

HUDERLO

*Henry Miller*

# ZWROTNIK KOZIOROŻCA

*W WAGONIE JAJNIKÓW*

## ***HISTORIA CALAMITATUM***

*(Historia moich niedoli)*

Zdarza się często, że przykłady daleko skuteczniej niż słowa potrafią wzniecać lub koić ludzkie uczucia. Dlatego to natchnąwszy cię już niejaką otuchą w rozmowie naszej, postanowiłem jeszcze z oddali napisać do ciebie list właśnie o samych nawiedzeniach nieprzyjaznego mi losu, ażebyś się podniósł na duchu i uznawszy, że doświadczenia twoje w porównaniu z moimi albo w ogóle na miano cierpień nie zasługują, albo są bardzo znikome, cierpliwiej je znosił

***PIOTR ABELARD***

Skoro ktoś raz się pozbył upiora, wszystko następuje z niezachwianą pewnością, nawet pośród chaosu. Od początku był tylko i wyłącznie chaos - płyn, który mnie omywał i który wchłaniałem skrzelami. W substracie, gdzie księżyc rzucał jednostajny, mleczny blask, królował spokój i płodność; wyżej natomiast rozbrzmiewały waśnie i zgiełk. We wszystkim natychmiast dopatrywałem się przeciwieństw, sprzeczności, między zaś rzeczywistością i nierzeczywistością - ironii, paradoksu. Byłem swoim największym wrogiem. Nie znalazłoby się nic, co pragnąłbym robić, a czego robić bym nie mógł. Już nawet w dzieciństwie, kiedy niczego mi nie zbywało, chciałem umrzeć: chciałem się poddać, bo nie widziałem sensu w walce. Czułem, że przedłużanie mojej egzystencji, o którą przecież nie prosiłem, niczego nie dowiedzie, nie przyczyni, nie doda ani nie ujmie. Wszyscy dokoła mnie byli skazani na porażki, a jeżeli nie na porażki, to na śmieszność. Zwłaszcza ci, którzy odnieśli sukces. Ludzie sukcesu nudzili mnie niepomierne. Współczułem nieudolnym, chociaż bynajmniej nie z sympatii. Powodowało mną czysto negatywne uczucie, pewna słabość, która rozkwitała na sam widok ludzkiego nieszczęścia. Kiedy szedłem innym z pomocą, nie łudziłem się nadzieją, że to polepszy ich sytuację; pomagałem dlatego, że nie potrafiłem się temu oprzeć. Sama chęć zmiany stanu rzeczy wydawała mi się czcza; byłem przekonany, że nic się nie zmieni, chyba że za sprawą zmiany w sercu, ale kto zdoła zmienić serca ludzkie? Raz na czas któryś z moich znajomych się nawracał - aż mi się chciało rzygać. Bóg nie był mi potrzebny bardziej niż ja Jemu, a jeżeli w ogóle istnieje, jak sobie często mówiłem, spotkam się z Nim na chłodno i splunę Mu w twarz.

Najbardziej mi przeszkadzało to, że od pierwszego wejrzenia brano mnie zwykle za człowieka dobrego, życzliwego, szczodrego, lojalnego i wiernego. Może i miałem te wszystkie zalety, ale jeżeli nawet, to tylko dlatego, że pozostawałem obojętny - stać mnie było na dobroć, życzliwość, szczodrość, lojalność i tak dalej, bo byłem wolny od zazdrości. Jednej jedynej zazdrości ofiarą nigdy nie padłem. Nigdy nikomu ani niczemu nie zazdrościłem. Przeciwnie, dla wszystkich i dla wszystkiego czułem jedynie litość. Od samego początku musiałem się przyuczać, żeby niczego zbyt gorliwie nie pragnąć. Od samego początku miałem pewną, aczkolwiek sztuczną niezależność. Nikt mi nie był potrzebny, bo chciałem być wolny, chciałem robić i dawać wyłącznie to, co mi podyktuje kaprys. Z chwilą, gdy czegokolwiek ode mnie oczekiwano albo żądano, natychmiast stawałem okoniem. Taką właśnie postać przybrała moja niezależność. Innymi słowy, byłem zepsuty, zepsuty, można by rzec, od zarania. Zupełnie jak gdyby matka wykarmiła mnie trucizną i chociaż wcześniej odstawiono mnie od piersi, owa trucizna nigdy nie opuściła mojego organizmu. Nawet kiedy matka odstawiła mnie od piersi, zachowałem całkowitą obojętność; dzieci na ogół się buntują

albo przynajmniej udają bunt, a mnie to guzik obchodziło. Już w powijakach miałem naturę filozofa. Z zasady byłem przeciwny życiu. Jakaż to zasada? Zasada daremności. Wszyscy dokoła walczyli. Ja zaś jeżeli na pozór dokładałem starań, to wyłącznie w tym celu, żeby komuś sprawić przyjemność; w głębi duszy głównie mnie to obchodziło. A jeżeli ktoś zechce mi wyjaśnić, dlaczego tak właśnie było, wszystkiemu zaprzeczę, bo urodziłem się z przekleństwem, którego nic nie wymaże. Później, już jako dorosły człowiek, dowiedziałem się, że wyjęcie mnie z łona matki przysporzyło im nie lada kłopotów. Świetnie to rozumiem. Po co się niby ruszać? Po co wychodzić z miłego, ciepłego miejsca, z przytulnego schronienia, w którym wszystko dostaje się za darmo? Najwcześniejsze moje wspomnienie to zimno, śnieg i lód w rynsztoku, szron na szybach okiennych, chłód zaparowanych zielonych ścian kuchni. Dlaczego ludzie mieszkają w barbarzyńskich klimatach strefy umiarkowanej, jak się ją niesłusznie nazywa? Bo są z urodzenia idiotami, próżniakami i tchórzami. Dopiero w wieku dziesięciu lat zdałem sobie sprawę, że istnieją "ciepłe" kraje, całe obszary, na których nie trzeba wyciskać z siebie siódmych potów, żeby przeżyć, ani też drzeć z zimna i udawać, że to takie krzepiące i wesołe. Wszędzie tam, gdzie jest zimno, mieszkają ludzie, którzy zaharowują się jak dzicy, a kiedy wydają na świat potomstwo, prawią mu kazania o pracy - która jest w gruncie rzeczy tylko i wyłącznie doktryną bezwładu. Moi rodacy byli do szpiku kości typami nordyckimi, a zatem idiotami. Wyznawali wszelkie niesłuszne idee, jakie kiedykolwiek objawiono. Pośród nich znalazła się doktryna czystości, nie wspominając już o prawości. Byli czyści aż do znudzenia. Za to w środku cuchnęli. Ani razu nie otworzyli drzwi prowadzących do wnętrza duszy; ani razu nie zamarzyło im się skoczyć na oślep w ciemność. Po obiedzie zmywano obowiązkowo naczynia i ustawiano je w kredensie; gazetę po przeczytaniu składano równiutko i kładziono na półkę; ubrania po upraniu prasowano, składano w kostkę i umieszczano w szufladach. Wszystko było gotowe na jutro, tyle że jutro nigdy nie nadchodziło. Teraźniejszość stanowiła jedynie pomost, i tak po dziś dzień wszyscy jęczą na tym pomoście wtórując jękom świata, a żaden z tych idiotów nie pomyśli o wysadzeniu owego pomostu w powietrze.

W swej goryczy często szukam powodów, żeby ich potępić, po to by jeszcze bardziej potępić siebie. Gdyż pod wieloma względami sam ich przypominam. Przez długi czas uważałem, że udało mi się zbiec, ale w miarę upływu czasu widzę, że wcale nie jestem lepszy, może nawet trochę gorszy, bo przecież widziałem znacznie wyraźniej niż oni, a mimo to nie zdołałem zmienić swojego życia. Kiedy patrzę na nie wstecz, wydaje mi się, że nigdy nie zrobiłem niczego z własnej woli, jedynie pod naciskiem innych. Ludzie często mnie uważają za faceta żadnego przygód; nic bardziej mylnego. Moje przygody zawsze były

przygodne, zawsze mi narzucane, wcale ich nie podejmowałem, tylko musiałem je znosić. Stanowią kwintesencje owych dumnych, chełpliwych nordyckich ludów, które nie miały najmniejszej smykałki do przygód, a mimo to przetrząsnęły całą ziemię, wyróciły ją na nice, zostawiając wszędzie po sobie relikty i ruiny. Niespokojne duchy, lecz nie żadne przygód. Udręczone duchy, niezdolne do życia dniem dzisiejszym. Wszyscy, jak jeden mąż, haniebnii tchórze, nie wyłączając mnie. Albowiem istnieje tylko jedna wielka przygoda, mianowicie wyprawa w głąb siebie, gdzie nie liczą się ani czas, ani przestrzeń, ani nawet czyny.

Raz na kilka lat już, już zbliżałem się do tego odkrycia, ale w typowy dla siebie sposób zawsze się jakoś wymigiwałem. Kiedy usiłuję znaleźć dobrą wymówkę, przychodzi mi jedynie do głowy otoczenie, znane mi ulice i zamieszkujący je ludzie. W całej Ameryce nie potrafię wskazać takiej ulicy ani jej mieszkańców, którzy mogliby człowieka doprowadzić do odkrycia własnej jaźni. Schodziłem ulice wielu krajów świata, ale nigdzie nie czułem się tak upodlony i upokorzony jak w Ameryce. W mojej głowie cały ten gąszcz amerykańskich ulic składa się na jedną wielką kloakę, kloakę ducha, która wszystko wsysa i odsąca, aż zostaje wieczne gówno. Nad tą kloaką duch pracy macha swą czarodziejską różdżką; tuż obok siebie wykwitają pałace i fabryki, zakłady amunicji, przedsiębiorstwa chemiczne, huty, sanatoria, więzienia i zakłady dla umysłowo chorych.

Cały ten kontynent to koszmar wytwarzający nieprzebrane mnóstwo największych nieszczęść. Byłem sam jeden, odosobniony, pośród największego festiwalu bogactwa i szczęścia (statystycznego bogactwa, statystycznego szczęścia), chociaż nigdy nie spotkałem człowieka, który byłby naprawdę bogaty albo naprawdę szczęśliwy. Ale przynajmniej wiedziałem, że jestem nieszczęśliwy, niebogaty, wytrącony z równowagi, wybity z rytmu. W tym tkwiła jedyna moja pociecha, jedyna radość. Tyle że mi to nie wystarczało. Dla mojego spokoju ducha, dla mojego sumienia byłoby lepiej, gdybym wyraził jawnie swój bunt, gdybym poszedł zań do więzienia, gdybym tam zgnił i umarł. Byłoby lepiej, gdybym wzorem tego szaleńca Czolgosza zastrzelił jakiegoś zacnego prezydenta, choćby takiego jak właśnie McKinley, pocziwą duszę bez większego znaczenia, która nikomu nie wyrządziła najmniejszej krzywdy. W głębi bowiem mego serca czaiło się morderstwo; chciałem zobaczyć Amerykę w ruinie, zmiecioną z powierzchni ziemi. Chciałem to zobaczyć powodowany wyłącznie pragnieniem zemsty, jako zadośćuczynienie za zbrodnie popełnione przeciwko mnie i innym, mnie podobnym, którzy nigdy nie umieli podnieść głosu, żeby wykrzyknąć własną nienawiść, własny bunt, uzasadnioną żądzą krwi.

Byłem złym owocem złej ziemi. Gdyby jaźń nie była niezniszczalna, owo „ja”, o którym teraz piszę, już dawno uległoby zagładzie. Niektórzy mogą to uznać za wytwór

wyobraźni, wszystko jednak, co wyobraźnia mi dzisiaj podsuwa, zdarzyło się naprawdę, przynajmniej mnie. Historia może temu przeczyć, bo nie odegrałem żadnej roli w dziejach moich rodaków, ale nawet jeżeli wszystko, co mówię, trąci złą wolą, obfituje w uprzedzenia, złośliwości, niechęć, nawet jeżeli nazwać mnie kłamcą i trucicielem, to i tak jest to prawda, którą należy przełknąć.

A zatem, co się zdarzyło...

Wszystko, co się zdarza, o ile ma jakąkolwiek wagę, leży w naturze sprzeczności. Aż do nadejścia tej, dla której piszę te słowa, wyobrażałem sobie, iż odpowiedź na wszystko leży gdzieś na zewnątrz, jak się to mówi, w samym życiu. Kiedy na Nią trafiłem, wydało mi się, że złapałem samo życie, coś, w co będę się mógł wgrzyźć. Tymczasem życie całkiem wymknęło mi się z rąk. Sięgnąłem, by móc się czegoś uchwycić... i nie znalazłem nic. Kiedy jednak sięgałem, żeby się zahaczyć, przytrzymać, ja, pozostawiony na mieliźnie, znalazłem wszak coś, czego wcale nie szukałem - siebie. Odkryłem, że przez całe życie nie pragnąłem bynajmniej żyć - jeżeli te zabiegania innych nazwać życiem - lecz wyrazić siebie. Uprzytomniłem sobie, że nigdy w najmniejszym stopniu nie interesowało mnie życie, tylko to, czemu się właśnie oddaję, a co biegnie równoległe do życia, z niego się wywodzi, a jednocześnie zarazem poza nie wykracza. Prawda czy nawet rzeczywistość mało mnie właściwie interesują; interesuje mnie natomiast własne o nich wyobrażenie, które dzień w dzień musiałem w sobie tłumić, aby móc żyć. Mniejsza o to, czy umrę dzisiaj, czy jutro, nigdy mnie to zresztą nie obchodziło, boli mnie natomiast i napawa goryczą fakt, że nawet dzisiaj, po latach prób, nie mogę powiedzieć tego, co naprawdę myślę i czuję. Od wczesnego dzieciństwa trwam w pogoni za tym widmem, nic mnie nie cieszy, niczego nie pragnę, jak tylko tej siły, tej zdolności. Wszystko inne jest kłamstwem - wszystko, co dotąd robiłem bądź mówiłem, a co nie było podporządkowane temu jednemu jedyemu celowi. Innymi słowy, lwią część mojego życia.

Byłem sprzecznością, jak się to mówi, z natury rzeczy. Brano mnie za człowieka poważnego i szlachetnego, albo wesołego i lekkomyślnego, albo szczerego i uczciwego, albo nonszalanckiego i beztroskiego. Miałem wszystkie te cechy naraz, ponadto miałem coś jeszcze, czego nikt by się nie spodziewał, a już najmniej ja sam. W wieku sześciu czy siedmiu lat siadywałem na ławce w warsztacie dziadka i czytałem mu przy szyciu. Pamiętam go bardzo wyraźnie w tych chwilach, kiedy przyciskając oburącz gorące żelazko do szwu

marynarki stał zapatrzony tęsknie w okno. Pamiętam wyraz jego twarzy, kiedy tak stał zatopiony w marzeniach, lepiej niż treść czytanych przeze mnie książek, lepiej niż prowadzone przez nas rozmowy czy moje uliczne zabawy. Zachodziłem w głowę, o czym tak marzy, co go tak ciągnie na zewnątrz. Nie potrafiłem jeszcze wówczas śnić na jawie. Zawsze miałem klarowny umysł, żyłem daną chwilą, byłem poskładany. Jego marzenia bardzo mnie fascynowały. Wiedziałem, że odrywa się od tego, co akurat robi, że nie myśli wtedy o żadnym z nas, że pogrąża się w samotności, a zatem jest wolny. Ja zaś nigdy nie pogrążałem się w samotności, najmniej zresztą wtedy, kiedy byłem sam. Zawsze, odkąd pamiętam, miałem towarzystwo: przypominałem kawałek dużego sera, zapewne świata, chociaż nie zaprzątałem sobie głowy takimi myślami. Wiem jednak, że nigdy nie istniałem poza nim, nigdy nie uważałem siebie - że się tak wyrażę - za duży ser. Nawet więc kiedy miałem powody do nieszczęścia, do narzekań i płaczu, ulegałem złudzeniu, że uczestniczę we wspólnym, powszechnym nieszczęściu. Kiedy płakałem, płakał cały świat - przynajmniej tak mi się zdawało. Zresztą płakałem bardzo rzadko. Przeważnie byłem szczęśliwy, śmiałem się, dobrze się bawiłem. A dobrze się bawiłem, ponieważ, jak już powiedziałem, naprawdę głównie mnie to wszystko obchodziło. Żyłem w przeświadczeniu, że jeżeli coś szło mi nie tak, wszędzie szło nie tak. Szło zaś na ogół nie tak wówczas, kiedy człowiek zanadto się przejmował. Wykoncypowałem to sobie bardzo wcześnie. Pamiętam chociażby przypadek kolegi z dzieciństwa, Jacka Lawsons. Chłopak leżał przez cały rok w łóżku, przechodząc najgorsze męczarnie. Był moim najlepszym przyjacielem, a w każdym razie tak się o nim mówiło. Z początku pewno było mi go żal, nawet od czasu do czasu wpadałem do jego domu, żeby o niego zapytać; ale po miesiącu czy dwóch całkiem się uodporniłem na jego cierpienie. Powiedziałem sobie, że chłopak musi przecież umrzeć, więc im prędzej, tym lepiej, co pomyślawszy zacząłem się stosownie do tego zachowywać, innymi słowy, natychmiast o nim zapomniałem, pozostawiłem go na pastwę losu. Miałem wtedy najwyżej dwanaście lat, pamiętam, jaki byłem dumny z tej decyzji. Pamiętam też pogrzeb - co za pożalowania godna impreza. Zgromadzili się tam wszyscy, koledzy i krewni, zawodzący nad marami niczym stado chorych małp. Zwłaszcza ta jego matka wnerwiła mnie jak mało kto. Była to wielce uduchowiona osoba, rzadki okaz, członkini, jeśli się nie mylę, Stowarzyszenia Nauki Chrześcijańskiej, i chociaż nie wierzyła ani w chorobę, ani w śmierć, podniosła taki rwetes, że chyba sam Pan Jezus powstałby z grobu. Tylko nie jej ukochany Jack! Nie, Jack leżał tam zimny jak lód, sztywny, nieczuły na jej wezwania. Ponad wszelką wątpliwość był trupem. Wiedziałem o tym i bardzo mnie to cieszyło. Nie uroniłem z tego powodu niepotrzebnych łez. Nie mogłem powiedzieć, że mu teraz lepiej, bo przecież "on" już nie istniał. On znikł, a wraz

z nim cierpienia, jakie musiał przejść i jakie mimo woli sprawił innym. Amen! - powiedziałem sobie w duchu, po czym ogarnięty lekką histerią puściłem głośno bąka tuż przy trumnie.

To całe nadmierne przejmowanie się - o ile pamiętam, udzieliło mi się dopiero wówczas, kiedy się po raz pierwszy zakochałem. A i wtedy zbytnio się nie przejmowałem. Gdybym się naprawdę przejmował, nie mógłbym tu teraz o tym pisać; już dawno umarłbym ze złamanym sercem albo zawisnąłbym przez nie na stryczku. Samo to przeżycie kryło w sobie coś złego, gdyż nauczyło mnie żyć w kłamstwie. Nauczyło mnie uśmiechać się, mimo że wcale nie miałem ochoty na uśmiech, pracować, mimo że nie wierzyłem w pracę, żyć, mimo że nie miałem powodu dalej żyć. I nawet wtedy, kiedy Ją dawno zapomniałem, pozostał mi nawyk robienia tego, w co nie wierzę.

Jak już powiedziałem, od początku był tylko chaos. Czasem jednak zbliżałem się tak bardzo do środka, do samego sedna owego zamętu, że aż dziw bierze, iż nic wokół mnie nie wybuchło.

Przyjęło się wszystko składać na karb wojny. Oświadczam, że wojna nie wywarła najmniejszego wpływu ani na mnie, ani na moje życie. Kiedy inni zabiegali o wygodne synekury, ja się imiałem kolejnych nędznych prac, a w żadnej nie zagrzałem miejsca dość długo, żeby utrzymać równowagę ciała i duszy. Zwalniano mnie równie prędko, jak zatrudniano. Na brak inteligencji nie narzekałem, a mimo to budziłem nieufność. Gdziekolwiek się znalazłem, wszędzie siałem niezgodę - nie dlatego, żebym był idealistą, ale dlatego, że niby reflektor obnażałem na każdym kroku głupotę i daremność wysiłków. Nie byłem przy tym rasowym lizydupem. A to już z całą pewnością przekreślało moje szanse. Kiedy ubiegałem się o pracę, od razu rzucało się w oczy, że guzik mnie obchodzi, czy ją dostanę, czy nie. No i najczęściej nie dostawałem. Po pewnym jednak czasie samo szukanie pracy przerodziło się dla mnie w zajęcie, żeby nie powiedzieć, w rozrywkę. Zachodziłem tu czy tam i pytałem o cokolwiek. Był to mój sposób zabijania czasu - moim zdaniem bynajmniej nie gorszy od pracy. Byłem sam sobie szefem, sam wyznaczałem sobie godziny urzędowania, tyle że w odróżnieniu od innych szefów doprowadzałem się wyłącznie do upadku, do bankructwa. Nie byłem zjednoczeniem ani trustem, ani stanem, ani federacją, ani administracją państwową - już raczej przypominałem Boga.

Taki stan rzeczy utrzymywał się mniej więcej od połowy wojny aż do... no, do dnia, kiedy wpadłem w pułapkę. Nadszedł w końcu taki dzień, kiedy zaczęło mi strasznie zależeć na pracy. Bardzo mi była potrzebna. Nie mając ani chwili do stracenia, zdecydowałem się podjąć najpodlejszą pracę pod słońcem, mianowicie pracę posłańca. Pod koniec dnia

wkroczyłem do biura kadr towarzystwa telegraficznego - Kosmodemonicznego Towarzystwa Telegraficznego Ameryki Północnej - gotów na wszystko. Szedłem właśnie z biblioteki publicznej, niosłem więc pod pachą kilka opasłych tomów na temat ekonomii i metafizyki. Ku mojemu wielkiemu zdumieniu odmówiono mi tej posady.

Odmówił mi tej pracy mały konus, który obsługiwał pulpit sterowniczy. Najwidoczniej wziął mnie za studenta, chociaż z mojego podania wynikało niezbiecie, że dawno ukończyłem szkoły. W życiorysie przypisywałem sobie nawet tytuł doktora nauk humanistycznych uniwersytetu Columbia. Fakt ten najwyraźniej przeszedł nie zauważony albo wzbudził podejrzenia owego konusa, który mnie odrzucił. Szlag mnie trafił, tym bardziej, że po raz pierwszy w życiu miałem naprawdę szczerze zamiary. Musiałem też przełknąć własną dumę, która jest, na swój sposób, całkiem niemała. Żona, jak zwykle, wyszydziła mnie i wyśmiała. Ot, wykonałem czczy gest - brzmiał jej komentarz. Położyłem się do łóżka, mając nad czym rozmyślać, noc upływała, a ja coraz bardziej się tym gryzłem i wpadałem w coraz większą złość. Nie tyle bolało mnie to, że mam na utrzymaniu żonę i dziecko; nikt nie daje człowiekowi pracy tylko dlatego, że ten ma na utrzymaniu rodzinę - zdążyłem się o tym aż za dobrze przekonać. Nie, dopieкло mi do żywego, że odrzucono mnie, Henry V. Millera, wykwalifikowanego, nieprzeciętnego osobnika, który ubiegał się o najpodlejszą pracę pod słońcem. To mnie dobiło. Nie mogłem tego przeboleć. Z samego rana wstałem cały w skowronkach, ogoliłem się, włożyłem najlepsze ubranie i pomknąłem do metra. Udałem się wprost do dyrekcji towarzystwa telegraficznego... na dwudzieste czwarte piętro czy gdzie tam mieściły się klitki prezesa i wiceprezesów. Poprosiłem o widzenie z prezesem. Prezes był, ma się rozumieć, w terenie albo też zbyt zajęty, żeby mnie przyjąć, ale może zechciałbym się z łaski swojej zobaczyć z wiceprezesem czy raczej z jego sekretarzem. Spotkałem się z sekretarzem wiceprezesa, niegłupim, taktownym gościem, powiedziałem mu więc to i owo do słuchu. Wyłożyłem swoje racje dyplomatycznie, nie unosząc się zanadto, dając mu wszakże do zrozumienia, że nie tak łatwo mnie zbyć.

Kiedy podniósł słuchawkę i poprosił o połączenie z dyrektorem generalnym, zrazu sądziłem, że to jakiś fortel, że będą mnie tak odsyłać jeden do drugiego, aż mi się znudzi. Gdy tylko zaczął mówić, natychmiast zmieniłem zdanie. Kiedy dotarłem do gabinetu dyrektora, który się mieścił w innym, oddalonym nieco budynku, już tam na mnie czekali. Rozsiadłem się w wygodnym skórzanym fotelu, przyjąłem jedno z podsuniętych mi dużych cygar. Ten osobnik od początku przejawiał żywe zainteresowanie sprawą. Poprosił, żebym mu opowiedział wszystko, łącznie z najdrobniejszymi szczegółami, nastawiał tylko wielkie owłosione uszy, żeby pochwycić najmniejsze okruchy informacji, które mogłyby poprzeć to



czy tamto, co mu się roilo w tej jego lepetynie. Zrozumiałem, że jakimś trafem wyświadczyłem mu doprawdy przysługę. Dawałem się ciągnąć za język, aby zadośćuczynić jego życzeniom, a przez cały czas patrzyłem tylko, skąd wieje wiatr. Podczas rozmowy spostrzegłem, że facet coraz bardziej się do mnie przekonuje. Nareszcie ktoś choć trochę we mnie uwierzył! Tylko tego było mi trzeba, żeby podjąć jedną z moich ulubionych kwestii. Po latach bowiem uganiania się za pracą zyskałem w tej materii niejaką biegłość - wiedziałem nie tylko to, czego mam nie mówić, ale też wiedziałem, jakie rzucać aluzje i napomknienia. Wkrótce potem mój rozmówca wezwał zastępcę, który musiał wysłuchać mojej opowieści. Zdażyłem się już zorientować, w czym rzecz. Pojąłem, że Hymie - "ten mały gudłaj" wedle określenia dyrektora - nie ma prawa się podszywać pod kierownika do spraw zatrudnienia. Hymie uzurpował sobie ten przywilej, to jedno zdołałem stwierdzić. Nie ulegało poza tym wątpliwości, że Hymie jest Żydem, Żydzi zaś nie są najlepiej widziani przez dyrektora ani przez pana Twilligera, wiceprezesa, który stanowił zresztą cierń w jego boku.

Może właśnie Hymie, "ten parszywy mały gudłaj", przesądził o tak wysokim procencie Żydów w składzie osobowym posłańców. Może Hymie we własnej osobie zajmował się zatrudnianiem w biurze kadr - przy Sunset Place, jak o nim mówiono. Panu Clancy, dyrektorowi generalnemu, nadarzyła się zatem wspaniała okazja, żeby odwołać ze stanowiska niejakiego pana Burnsa, który - jak mnie poinformowano - blisko trzydzieści lat piastował funkcję kierownika do spraw zatrudnienia, a najwyraźniej już się teraz do tej pracy nie przyklada.

Nasza konferencja trwała dobrych kilka godzin. Przed jej zakończeniem Clancy odwołał mnie na stronę i zapowiedział, że ma zamiar mianować mnie szefem tej komórki. Zanim mi jednak powierzy to stanowisko, chciałby mnie prosić o pewną przysługę, a zarazem coś w rodzaju stażu, który bardzo mi się później przyda, mianowicie, żebym popracował jako specjalny posłaniec. Będę dostawał uposażenie kierownika do spraw zatrudnienia, tyle że z osobnej listy płac. Jednym słowem, miałem krążyć od jednej filii do drugiej i obserwować, co w trawie piszczy. Raz na czas miałem sporządzać raporcik, jak tam wszystko idzie. A od czasu do czasu, zgodnie z sugestią pana Clancy, miałbym odwiedzić go w zaciszu jego domu, żeby sobie pogawędzić na temat warunków panujących w stu jeden oddziałach Kosmodemonicznego Towarzystwa Telegraficznego Miasta Nowy Jork. Innymi słowy, miałem przez kilka miesięcy zabawiać się w szpiega, po czym przejąć ster nad tą bandą. Może pewnego pięknego dnia mnie też mianują dyrektorem generalnym albo wiceprezesem. Oferta była, owszem, kusząca, chociaż ciągnął się za nią smród. Wyraziłem zgodę.

Po upływie kilku miesięcy siedziałem już w Sunset Place, zatrudniając i zwalniając

jak opętany. Była to, jak Boga kocham, rzeźnia. Jeden wielki bezsens. Marnotrawstwo ludzi, materiałów, sił. Odrażająca farsa w dekoracjach potu i nieszczęścia ludzkiego. Podobnie jednak jak przedtem akceptowałem rolę szpiega, tak teraz akceptowałem zatrudnianie i zwalnianie z całym dobrodziejstwem inwentarza. Godziłem się na wszystko. Jeżeli wiceprezes wydawał zarządzenie, że nie wolno zatrudniać kalek, nie zatrudniałem kalek. Jeżeli wiceprezes żądał, aby zwolnić bez wypowiedzenia wszystkich posłańców, którzy ukończyli czterdzieści pięć lat, zwalniałem ich bez wypowiedzenia. Wykonywałem wszystkie polecenia, ale tak, żeby tamci musieli za to płacić. Kiedy wybuchał strajk, siedziałem z założonymi rękami i czekałem, aż sam minie. Dopilnowywałem jedynie, żeby ich słono kosztował. Cały system był tak przegniły, tak nieludzki, tak parszywy, tak beznadziejnie skorumpowany i zawył, że chyba tylko geniusz zdołałby mu nadać jakiś ład i sens, nie mówiąc już o zwykłej ludzkiej życzliwości czy wyrozumiałości. Występowałem sam jeden przeciwko całemu systemowi zatrudnienia w Ameryce, który jest przegniły do cna. Byłem piątym kołem u wozu, żadnej ze stron nie byłem do niczego potrzebny, najwyżej do tego, żeby mnie wyzyskiwać. Gdyż w gruncie rzeczy wszyscy tu padali ofiarami wyzysku - prezes i jego banda padali ofiarami niewidzialnych sił, podwładni ofiarami zwierzchników i tak dalej, i tak dalej, w całym przedsiębiorstwie bez wyjątku. Z mojej grzędę w Sunset Place rozciągał się widok z lotu ptaka na całe społeczeństwo amerykańskie. Zupełnie, jakby ktoś wyrwał kartkę z książki telefonicznej. Według alfabetu, liczb porządkowych, statystyki, wszystko układało się w jakiś porządek. Ale jeżeli przyjrzeć się temu z bliska, jeżeli prześledzić te strony lub poszczególne części z osobna, jeżeli przypatrzeć się każdemu osobnikowi i zbadać, co się na niego składa, zbadać powietrze, którym ten oddycha, żywot, jaki wieździe, ryzyko, jakie podejmuje, widziało się coś tak obrzydliwego i upokarzającego, tak podłego i nieszczęsnego, tak niewymownie beznadziejnego i bezsensownego, że już lepiej chyba byłoby zajrzeć w głąb wulkanu. Widziało się całe życie amerykańskie - jego ekonomię, politykę, moralność, duchowość, sztukę, statystykę, patologię. Wyglądało to jak wielki szankier na sfatygowanym kutasie. A prawdę powiedziawszy coś jeszcze gorszego, bo trudno się tam było nawet dopatrzeć czegoś, co by przypominało kutasa. Może dawniej to coś miało w sobie życie, coś wytwarzało, dawało przynajmniej chwilową przyjemność, chwilową rozkosz. Jednak z mojej nowej perspektywy zepsucie wyglądało na daleko większe niż to, które toczy najbardziej robaczywy ser. Aż dziw bierze, że ten smród ich wszystkich nie powalił... wciąż używam czasu przeszłego, ale przecież i dzisiaj jest tak samo, a może nawet gorzej. Tyle że teraz smród aż bije w nozdrza.

Zanim Valeska zjawiała się na scenie, zatrudniłem ładnych kilka korpusów posłańców.

Moje biuro przy Sunset Place przypominało otwarty rynsztok, i podobnie też cuchnęło. Okopałem się na pierwszej linii, toteż odór dolatywał mnie ze wszystkich stron naraz. Na początek umarł tamten gość, którego wygryzłem. Na zawał serca, w kilka tygodni po moim przyjeździe. Wytrzymał tylko tyle, żeby mnie wprowadzić, po czym wyzionął ducha. Wszystko potoczyło się tak szybko, że nie miałem nawet czasu na skrupuły. Z chwilą mojego przyjeźścia do biura rozpętywało się jedno wielkie piekło. Godzinę przed moim przyjeździe do pracy - a zawsze się spóźniałem - już wszędzie tłoczyli się kandydaci. Musiałem łokciami torować sobie drogę po schodach i dosłownie szturmem przedzierać się do własnego biurka. Zanim jeszcze zdążyłem zdjąć kapelusz, musiałem odebrać kilkanaście telefonów. Na moim biurku stały trzy aparaty i wszystkie dzwoniły jednocześnie. Wyciskały ze mnie siódme poty, zanim wziąłem się na dobre do pracy. Nie miałem się nawet czasu wysrać - aż do piątej albo szóstej po południu. Hymie miał jeszcze gorzej niż ja, bo tkwił przykuty do pulpitu sterowniczego. Siedział tam od ósmej rano do szóstej po południu i rozsyłał krążowników. Krążownicy to byli posłańcy wypożyczani przez jedną filię drugiej na jeden dzień albo nawet część dnia. Żadna ze stu jeden filii nie miała nigdy pełnej obsady; Hymie musiał grać w szachy z krążownikami, gdy ja tyrałem jak szalony, żeby załatać dziury. Jeżeli jakimś cudem udało mi się jednego dnia uzupełnić wszystkie wakaty, nazajutrz rano sytuacja była dokładnie taka sama jak poprzednio albo jeszcze gorsza. Najwyżej dwadzieścia procent załogi stanowili pracownicy etatowi; reszta to zbieranina. Etatowi przepędzali nowicjuszy. Sami zarabiali po czterdzieści do pięćdziesięciu dolarów tygodniowo, czasem sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt pięć, a czasem nawet i sto dolarów tygodniowo, czyli o wiele więcej od urzędników, często też więcej niż ich kierownicy. Nowicjusze zaś z trudem wyciągali dziesięć dolarów na tydzień. Niektórzy pracowali godzinę i odchodzili, nierzadko wyrzucając plik telegramów do śmieci albo do rynsztoka. A kiedy odchodzili, natychmiast żądali wypłaty, co było niemożliwe, bo w obowiązującej, bardzo skomplikowanej księgowości nikt nie umiał obliczyć przed upływem dziesięciu dni, ile dany posłaniec zarobił. Z początku zapraszałem takiego kandydata, żeby przy mnie usiadł, i tłumaczyłem mu wszystko szczegółowo. Tak postępowałem, dopóki nie straciłem głosu. Prędko jednak nauczyłem się oszczędzać siły na niezbędne spytki. Po pierwsze, co drugi chłopak był urodzonym kłamcą, czasem też na dobitkę oszustem. Wielu z nich już wielokrotnie zatrudniano i zwalniano. Niektórzy upatrywali w tym znakomitej okazji do poszukania sobie kolejnej pracy, gdyż konieczność przywiodła ich do setek biur, w których normalnie ich noga by nie postąpiła. Na szczęście McGovern, nasz stary wiarus, który pilnował drzwi i wręczał formularze, miał fotograficzną pamięć. Poza tym za moimi plecami znajdowały się wielkie księgi, gdzie odnotowywano

każdego kandydata, który przewinął się przez ten młyn. Księgi przypominały akta policji; roilo się w nich od czerwonych ptaszków na oznaczenie takich czy innych wykroczeń. Sądząc z tej dokumentacji, znajdowałem się naprawdę w gnieździe szerszeni. Co drugie nazwisko było uwikłane w kradzież, malwersację, burdę, demencję, perwersję albo debilizm. "Uważaj, ten i ten jest epileptykiem!" "Nie zatrudniaj go - to czarnuch!" "Miej się na baczności - X siedział w Dannemora albo w Sing Sing".

Gdybym pedantycznie przestrzegał obowiązującego tam ceremoniału, nigdy bym nikogo nie zatrudnił. Musiałem się uczyć w biegu, i to nie z akt ani od tych nade mną, lecz z własnego doświadczenia. Tysiąc jeden drobiazgów pozwalało rozszyfrować kandydata; musiałem rejestrować je wszystkie naraz, i to szybko, bo podczas jednego krótkiego dnia nawet w tempie najszybszego baseballisty można zatrudnić jedynie tyle a tyle osób. A niezależnie od liczby przeze mnie zatrudnionych, zawsze ich było za mało. Nazajutrz wszystko rozpocznie się od nowa. Wiedziałem, że niektórzy zabawią u nas tylko jeden dzień, mimo to musiałem ich zatrudnić. Cały system był z gruntu zły, ale nie do mnie należało go krytykować. Do mnie należało wyłącznie zatrudniać i zwalniać. Znajdowałem się w samym środku tarczy obrotowej, która wirowała tak prędko, że nic się na niej nie utrzymało. Potrzebny był tu monter, zgodnie jednak z rozumowaniem naszych pryncypałów nic w tym mechanizmie nie szwankowało, wszystko grało, może z wyjątkiem przejściowych usterek. A te przejściowe usterki prowadziły do epilepsji, kradzieży, wandalizmu, perwersji, czarnuchów, Żydów, prostytutek i czego tam jeszcze - czasem też do strajków i lokautów. Wówczas zgodnie z tym rozumowaniem należało wziąć potężną miotłę i wymieść stajnię do czysta albo chwycić za pałki i rewolwery, po czym wbić trochę rozumu do głów tym nieszczęsnym idiotom, którzy żyli w złudnym przeświadczeniu, że z gruntu źle się tu dzieje. Dobrze było raz na czas pogwarzyć o Bogu albo dać im trochę pośpiewać, od czasu do czasu przydawała się i premia, kiedy już sprawy przybierały tak fatalny obrót, że gorzej być nie mogło. Najistotniejsze było jednak to, żeby zatrudniać i zwalniać; dopóki starczało ludzi i amunicji, należało przeć naprzód, bezustannie czyścić okopy. Tymczasem Hymie wciąż brał środki na przeczyszczenie - w takich ilościach, że powinny mu były wysadzić zadek w powietrze, gdyby w ogóle miał jeszcze zadek, bo przecież go już nie miał, wyobrażał sobie tylko, że chodzi się wysrać, że strzela kupę do klopa. Na dobrą sprawę ten nieborak działał jak w transie. Miał na głowie sto jeden filii, a w każdej mityczny, o ile nie hipotetyczny, zestaw posłańców, czy zatem owi posłańcy byli prawdziwi czy nieprawdziwi, uchwytني czy nieuchwytني, Hymie musiał ich od świtu do nocy roztasowywać, ja tymczasem łątałem dziury, również zresztą urojone, bo kiedy wysyłano rekruta do danego biura, któż niby mógł

przewidzieć, czy dotrze tam dzisiaj, jutro czy nigdy. Jedni z nich gubili się w metrze albo w podziemnych labiryntach drapaczy chmur; inni przez okrągły dzień jeździli kolejką nadziemną, bo uniform posłańca dawał im prawo do darmowych jazd, a zapewne wcześniej nie trafiła im się taka gratka. Niektórzy ruszali w kierunku Staten Island, a kończyli w Canarsie, bądź też policja przyprowadzała ich w stanie oszołomienia. Inni zapominali, gdzie mieszkają, i ginęli jak kamień w wodę. Inni, zatrudnieni przez nas dla biura w Nowym Jorku, objawiali się po miesiącu w Filadelfii, jak gdyby nigdy nic, jak gdyby takie były reguły gry. Inni ruszali ze zleceniem, ale po drodze uznawali, że łatwiej sprzedawać gazety, toteż je sprzedawali w naszym uniformie, dopóki ich nie zgarnięto. Jeszcze inni, wiedzeni osobliwym instynktem samozachowawczym, szli wprost do szpitala na obserwację.

Hymie po przyjsciu do biura najpierw strugał ołówki; a robił to skrupulatnie nie przejmując się liczbą telefonów, bo - jak mi to wyjaśnił później - gdyby zaraz z samego rana nie zatemperował ołówków, nigdy by już potem nie znalazł na to czasu. Potem wyglądał przez okno, żeby sprawdzić, jaka jest pogoda. Następnie świeżo zatemperowanym ołówkiem rysował kratkę u góry tabliczki, którą trzymał pod ręką, i nanosił na nią komunikat meteorologiczny. Co również - jak mnie poinformował - często mu zapewniało wygodne alibi. Jeżeli spadł akurat śnieg po kolana albo ulice pokrywała gołoledź, nawet sam diabeł byłby usprawiedliwiony, że nie rozesłał prędeż krążowników, no więc kierownika do spraw zatrudnienia też chyba można usprawiedliwić, iż w takie dni nie załatał wszystkich dziur. Nie mogłem tylko nijak pojąć, dlaczego tuż po zastruganiu ołówków włączał pulpit sterowniczy, zamiast pójść się wysrać. Ale i to mi później wyjaśnił. Tak czy owak, dzień nieodmiennie zaczynał się od zamieszania, biadolenia, zatwardzenia i wakatów. Zaczynał się również od głośnych śmierzących bąków, brzydkiego zapachu z ust, zszarpanych nerwów, epilepsji, zapalenia opon mózgowych, niskich pensji, zaległych wypłat, schodzonych butów, odcisków i paluchów koślawych, płaskostopia i złamanych łuków stopy, od zaginionych portfeli i zgubionych bądź skradzionych piór wiecznych, od telegramów pływających w rynsztoku, pogroźek wiceprezesa i dobrych rad dyrekcji, od awantur i sporów, oberwań chmur i zniszczonych drutów telefonicznych, od nowych metod wydajnej pracy i starych, dawno zarzuconych, od nadziei na lepsze jutro i od modlitwy o premię, która nigdy nie nadchodziła. Nowi posłańcy wychodzili z okopów i ginęli pod kulami karabinów maszynowych; starzy drążyli coraz głębiej niczym szczury w serze. Nikt nie był zadowolony, a już najmniej ze wszystkich klienci. W dziesięć minut uzyskiwało się połączenie telefoniczne z San Francisco, natomiast depeza czasem szła cały rok do adresata, a czasem nigdy do niego nie docierała.

Towarzystwo YMCA, pragnąc usilnie podnieść morale wszystkich młodych chłopców

pracujących w Ameryce, urządziło w południe zebrania, czy nie zechciałbym zatem wysłać kilku swoich szczawików, aby wysłuchali pięciominutowego przemówienia Williama Carnegie Asterbilta Juniora na temat pracy. Pan Mallory z Ligi Opieki Społecznej chciałby wiedzieć, czy nie poświęciłbym kilku minut, żeby go wysłuchać w sprawie wzorowych więźniów zwolnionych warunkowo, którzy chętnie podjęliby się każdej pracy, chociażby posłańców. Pani Guggenhoffer z Żydowskiego Towarzystwa Dobroczyнного byłaby niezmiernie wdzięczna, gdybym jej pomógł uratować kilka rozbitych domów, które się rozbiły, bo w całej rodzinie wszyscy byli albo niedołączni, albo ułomni, albo upośledzeni. Pan Haggerty z Przytułku dla Zbiegłych Chłopców zapewniał, że ma dla mnie odpowiednich młodzieńców, bylebym tylko dał im szansę; wszyscy padli ofiarami złych ojczymów i macoch. Burmistrz Nowego Jorku byłby wielce rad, gdybym zechciał się osobiście zająć panem, który mi przedstawi ten list, a za którego ręczy pod każdym względem - nie pojmowałem jedynie, dlaczego sam, do cholery, nie dał rzeczonemu panu pracy. Pochyliła się nade mną mężczyzna i wręcza mi świstek papieru, na którym przed chwilą napisał: "Rozumie wszystko, tylko nie słyszę głosu". Tuż za nim stoi Luther Winifred w wyświechtanej marynarce pospinanej agrafkami. Luther, jak się przedstawia, jest w dwóch siódmych czystej krwi Indianinem, a w pięciu siódmych Amerykaninem niemieckiego pochodzenia. Jako Indianin mieni się Krukiem, z tych Kruków w Montanie. Ostatnio pracował przy zakładaniu żaluzji okiennych, ale nie ma prawie tyłka, dlatego wstydzi się wspinać po drabinie na oczach dam. Niedawno wyszedł ze szpitala, może więc nie ma zbyt dużo sił, ale wystarczy mu ich, żeby roznosić telegramy, przynajmniej tak mu się zdaje.

No i jest jeszcze Ferdinand Misch - jak mogłem o nim zapomnieć? Od samego rana czeka w kolejce, żeby zamienić ze mną słowo. Nie odpowiadam na jego listy. Czy tak się godzi? Ujmuje mnie swoim pytaniem. Oczywiście, że nie. Przypominam sobie mgliście ostatni jego list, jaki przyszedł z Kliniki dla Psów i Kotów w Grand Concourse, gdzie pracował jako posługacz. Żałuje, jak twierdzi, że zrezygnował z tamtej pracy, "ale to dlatego, że ojciec jest dla niego za surowy, nie daje mu się rozrywać ani zabawiać poza domem". "Mam teraz dwadzieścia pięć lat - pisze - czyli nie powinienem chyba już musieć spać z własnym ojcem, prawda? Mówią o panu, że jest pan dżentelmenem z klasą, skoro więc teraz jestem już samodzielny, mam nadzieję..." McGovern, nasz stary wiarus, stoi przy Ferdinandzie i czeka tylko na mój znak. Miałby ochotę wygonić stąd Ferdinanda jak byle włóczęgę - pamięta go sprzed pięciu lat, kiedy Ferdinand leżał w uniformie na chodniku przed wejściem do głównego budynku towarzystwa, wstrząsany atakiem epilepsji. Niech to szlag, na to się nie zdobędę! Dam temu nieszczęśnikowi szansę. Może go wyślę do Chinatown,

gdzie jest względnie spokojnie. Kiedy Ferdinand przebiera się na zapleczu w uniform, wysłuchuję młodego sieroty, który chce "postawić firmę na nogi". Obiecuje, że jeżeli dam mu szansę, będzie się modlił za mnie w każdą niedzielę, to znaczy w każdą, w którą chodzi do kościoła, bo opuszcza te niedziele, kiedy się musi stawić u kuratora. Okazuje się, że tak naprawdę chłopak nic złego nie zrobił. Popchnął tylko faceta, tamten upadł, rąbnął głową i zmarł. Następny: były konsul z Gibraltaru. Ma elegancki charakter pisma - aż za elegancki. Proszę, żeby do mnie zajrzał pod koniec dnia - coś mi się w nim nie podoba. Tymczasem Ferdinand dostał ataku w przebieralni. Co za szczęście! Gdyby się to zdarzyło w metrze, a miałby numerki na czapce i całą resztę, jak nic trafiłbym do mamra. Następny: gość z jedną ręką, wścieka się jak diabli, bo McGovern wskazuje mu drzwi. - Co, do pioruna! Jestem przecież silny i zdrow! - wykrzykuje, po czym żeby tego dowieść, chwyta jedyną ręką krzesło i roztrzaskuje je na kawałki. Wracam do biurka, gdzie czeka na mnie telegram. Otwieram. Od George'a Blasiniego, byłego posłańca nr 2459 z południowo-zachodniej filii. "Przepraszam, że musiałem tak szybko odejść, ale to zajęcie nie zgadza się z moją skłonnością do próżnowania, bo wprawdzie wierzę w pracę i powściągliwość, lecz jakże często nie potrafimy się kontrolować ani przełknąć własnej dumy". Jasny gwint!

Z początku byłem pełen zapału, mimo śruby od góry i cęgów od dołu. Miałem różne pomysły, wdrażałem je w czyn, czy się to podobało wiceprezesowi, czy nie. Co jakieś dziesięć dni wzywano mnie na dywanik i prawiono kazania na temat mojego "zbyt wielkodusznego serca". Nigdy nie miałem centa przy duszy, za to bez skrupułów wydawałem cudze pieniądze. Dopóki byłem szefem, miałem kredyt. Rozdawałem pieniądze na prawo i lewo; rozdawałem swoje ubrania, pościel, książki, wszystko, czego miałem w nadmiarze. Gdyby to ode mnie zależało, oddałbym całą tę firmę nieborakom, którzy mnie nachodzili. Kiedy proszono mnie o dziesięć centów, dawałem pół dolara, kiedy proszono o dolara, dawałem pięć. Ni diabła nie dbałem o to, ile rozdaję, bo łatwiej mi było pożyczać i dawać, niż odmawiać tym nieborakom. Nigdy w życiu nie widziałem takiego nagromadzenia niedoli ludzkiej i mam nadzieję, że nigdy więcej podobnego nie zobaczę. Wszędzie jest pełno biedaków - zawsze ich było dużo i zawsze będzie. Pod tą straszliwą nędzą tli się płomyk, zwykle tak nikły, że trudno go dojrzeć, ale tli się bez przerwy. Jeżeli ktoś ma odwagę w niego dmuchnąć, może wzniecić istną pożogę. Wciąż mnie napominano, żebym zbyt łatwo nie ulegał, nie roztkliwiał się, nie roztaczał miłosierdzia. Bądź stanowczy! Bądź twardy! - przestrzegano mnie. Pierdołę! - powiedziałem sobie - właśnie że będę szczodry, dobroduszny, wyrozumiały, tolerancyjny, troskliwy. Z początku wysłuchiwałem każdego petenta do końca; jeżeli nie mogłem dać mu pracy, dawałem pieniądze, a jeżeli ich nie miałem, dawałem mu

papierosy albo szczyptę odwagi. Ale dawałem! Skutki okazały się oszałamiające. Nie sposób oszacować konsekwencji dobrego uczynku, ciepłego słowa. Zalewała mnie ludzka wdzięczność, serdeczne życzenia, zasypywano mnie zaproszeniami, wzruszającymi upominkami. Gdybym naprawdę miał władzę, a nie był tylko piątym kołem u wozu, osiągnąłbym Bóg wie co. Mógłbym z pomocą Kosmodemonicznego Towarzystwa Telegraficznego Ameryki Północnej przywieść całą ludzkość przed oblicze Boga; mógłbym podobnie nawrócić zarówno Amerykę Północną, jak i Południową, a na dokładkę całą Kanadę. Trzymałem sekret w ręku - należy być szczodrym, dobrym, cierpliwym. Wykonywałem pracę pięciu urzędników. Przez trzy lata prawie nie sypiałem. Nie miałem ani jednej całej koszuli, często paliłem się ze wstydu, kiedy pożyczałem pieniądze od żony albo obrabowywałem skarbonkę dziecka, czy podkradałem niewidomemu gazeciarszowi ze stacji metra trochę drobnych na bilet do pracy. Miałem tyle długów, że nie zdołałbym ich spłacić, nawet gdybym pracował dwadzieścia lat. Brałem od tych, którzy mieli, i dawałem potrzebującym, pewien słuszności własnego postępowania; gdybym znalazł się ponownie w takiej sytuacji, nie inaczej bym się zachował.

Raz dokonałem nawet cudu powstrzymując szaloną rotację pracowników, na co nikt już w najśmielszych marzeniach nie liczył. Zamiast mnie popierać w moich wysiłkach, kopano pode mną dołki. Zgodnie z rozumowaniem pryncypałów rotacja ustała, bo płace osiągnęły za wysoki pułap. Toteż obcięto płace. Zupełnie jak gdyby ktoś odbił kopniakiem dno wiadra. Cały gmach zatrzęsł się w posadach, runął na moje ręce. Jak gdyby nic się nie stało, dyrekcja nalegała, żeby natychmiast uzupełnić wakaty. Aby złagodzić nieco ten cios, dano mi do zrozumienia, że mogę zwiększyć procent Żydów, od czasu do czasu mogę nawet zatrudnić jakiegoś kalekę, jeżeli sobie poradzi, mogę to i tamto, co przedtem było rzekomo wbrew przepisom. Tak mnie to oburzyło, że zacząłem przyjmować kogo się tylko dało; przyjąłbym chyba dzikie konie i goryle, gdybym mógł z nich wykrzesać choć odrobinę inteligencji potrzebnej do dostarczania telegramów. Jeszcze przed kilkoma dniami pod koniec urzędowania miewałem zwykle pięć czy sześć wakatów. Teraz zdarzało się ich trzysta, czterysta, pięćset - sypnęły się jak piasek. Coś cudownego! Siedziałem sobie i nie zadając żadnych pytań zatrudniałem całe rzesze czarnuchów, Żydów, paralityków, kalek, byłych więźniów, dziwek, zboczeńców, wariatów, którzy potrafili ustać na dwóch nogach i utrzymać depezę w ręku. Kierownicy stu jeden filii przerazili się nie na żarty. A ja się śmiałem. Śmiałem się całutki dzień, rozmyślając o tym, jakiego narobiłem cholernego bigosu. Ze wszystkich dzielnic miasta napływały skargi. Praca kulała, cierpiała na obstrukcję, dusiła się. Chyba muł prędzej dotarłby na miejsce niż niektórzy z tych idiotów, których zaprząłem do



pracy.

Najmilsza część dnia to przyjmowanie kobiet posłańców. Od razu w całej budzie zmieniał się nastrój. Zwłaszcza Hymie odczuwał to jako dar niebios. Tak obracał pulpit sterowniczy, żeby móc mnie obserwować, kiedy będzie rozsyłał tu czy tam swoich krążowników. Mimo wzmożonej pracy miał bez przerwy erekcję. Przychodził do pracy z uśmiechem na ustach, który nie zniknął mu z twarzy aż do końca dnia. Był w siódmym niebie. Pod koniec dnia zawsze miałem listę pięciu czy sześciu wartych spróbowania. Sztuka polegała na tym, żeby wodzić je na pasku, obiecać im pracę, ale najpierw dostać od nich darmowy numerek. Zwykle wystarczyło im rzucić przynętę, żeby pod wieczór wróciły do biura, gdzie kładło się je na ocynkowanym stole w przebieralni. Jeżeli któraś miała przytulne mieszkanko, jak to się czasem zdarzało, odprowadzaliśmy ją do domu i kończyliśmy sprawę w łóżku. Jeżeli lubiła sobie wypić, Hymie przynosił butelkę. Jeżeli była naprawdę dobra, a bardzo potrzebowała forsy, Hymie wyciągał plik banknotów i wykladał piątaka albo i dziesiątaka, zależnie od sytuacji. Aż mi ślinka napływa do ust na samo wspomnienie tego pliku, który zawsze nosił przy sobie. Nie wiem, skąd miał tyle pieniędzy, bo był najniżej płatnym urzędnikiem w całej naszej budzie. Ale miał, o ile bym więc poprosił, zawsze dostawałem. Raz jeden zdarzyło się, że dostaliśmy rzeczywiście premię, wtedy spłaciłem Hymiego aż do ostatniego centa - co go tak zdumiało, że zabrał mnie na kolację do Delmonica i wydał na mnie majątek. Na domiar wszystkiego nazajutrz się uparł, żeby mi kupić kapelusz, koszulę i rękawiczki. Zaproponował nawet, że mógłbym wpaść do niego do domu i przelecieć jego żonę, chociaż mnie uprzedził, że jego pani ma akurat kłopoty z jajnikami.

Poza Hymiem i McGovernem miałem jeszcze dwie asystentki, przystojne blondynki, które często szły z nami wieczorem na kolację. No i był O'Mara, mój stary przyjaciel, który wrócił akurat z Filipin i którego mianowałem swoim głównym asystentem. Był też Steve Romero, konkursowy byczek, którego trzymałem na wypadek kłopotów. No i O'Rourke, detektyw firmy, który meldował się u mnie zawsze pod koniec dnia pracy, kiedy zaczynał swoją robotę. Na ostatku dokooptowałem do personelu jeszcze jedną osobę, czyli Kronskiego, młodego studenta medycyny, diabło zainteresowanego przypadkami patologicznymi, na których brak nie mogliśmy narzekać. Stanowiliśmy zatem wesołą drużynę, zjednoczoną w wysiłkach, żeby za wszelką cenę przypieprzyć firmie. Pieprząc zaś firmę, pieprzyliśmy zarazem wszystko, co nam wpadło w ręce; wyłamywał się jeden O'Rourke, który musiał zachować pewną godność, a poza tym miał kłopoty z prostatą i stracił wszelkie zainteresowanie pieprzeniem się. Ale O'Rourke był urodzonym księciem, niebywale wprost

szczodrobliwym. Właśnie O'Rourke wieczorami zapraszał nas na kolacje, i to właśnie do niego się zwracaliśmy, kiedy popadaliśmy w tarapaty.

Tak się przedstawiała sytuacja przy Sunset Place po upływie kilku lat. Byłem przesiąknięty ludźmi, najrozmaitszymi doświadczeniami. W chwilach trzeźwości sporządzałem notatki, które zamierzałem wykorzystać później, gdybym kiedykolwiek miał szansę spisać te doświadczenia. Wciąż czekałem na jakiś oddech. I wtedy pewnego dnia, kiedy znów mnie wezwano na dywanik z powodu jakiegoś drobnego uchybienia, wiceprezes rzucił hasło, które złapało mnie za gardło. Powiedział mianowicie, że chętnie zobaczyłby książkę napisaną w stylu opowieści o Horatio Algerze traktującą o posłańcach; wspomniał nawet, że może ja bym się do czegoś takiego nadawał. Szlag mnie trafił na myśl o tym, co z niego za dureń, a zarazem wpadłem w uniesienie, bo w skrytości ducha aż mnie korciło, żeby to z siebie wyrzucić. Pomyślałem sobie - ech, ty stary pierdoło, czekaj, aż to z siebie wyrzucę... Już ja ci pokażę książkę o Horatio Algerze... poczekaj tylko! Po wyjściu z jego gabinetu aż mi się zakręciło w głowie. Zobaczyłem ten tłum mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy przeszli przez moje ręce, zobaczyłem, jak płaczą, żebrzą, błagają, zaklinają, pomstują, plują, awanturują się, grożą. Zobaczyłem ślady ich włóczędzy na autostradach, pociągi rozrzucone na podłodze, rodziców w łachmanach, pustą skrzynię na węgiel, zatkany zlew, ociekające wilgocią ściany, a między zimnymi paciorkami wilgoci karaluchy biegające w oszalałym pędzie; zobaczyłem, jak kuśtykają niczym pokręcone gnomy albo padają na grzbiet w epileptycznym szale, jak dostają skurczu pyszczków tocząc ślinę, jak ich odnóżami wstrząsa dreszcz; zobaczyłem, jak pękają ściany i wylewa się z nich robactwo niczym uskrzydłona powódź, a pryncypałowie ze swą żelazną logiką czekają, aż wszystko przeminie, czekają, aż wszystko się jakoś załata, czekają z zadowoleniem, z pewnością siebie, z wielkimi cygarami w gębach, z nogami na biurkach, twierdząc, że zaistniały przejściowe kłopoty. Zobaczyłem, jak bohater, Horatio Alger, marzenie chorej Ameryki, wspina się coraz wyżej, najpierw jako posłaniec, potem urzędnik, naczelnik, kierownik, nadinspektor, wiceprezes, prezes, potentat trustu, magnat piwa, Pan wszystkich Ameryk, bóg złota, bóg nad bogami, glina z gliny, takie nic u szczytu, zero z dziewięćdziesięcioma siedmioma tysiącami po przecinku w tę i wewtę. Eh, wy gówniarze, powiedziałem sobie w duchu, już ja wam narysuję portret dwunastu małych ludzi, zer bez dziesiętnych, cyfr, jednostek, dwanaście niezłomnych robaków, które nadgryzają fundamenty waszego przegniłego na wskroś gmachu. Już ja wam pokażę, jak wygląda Horatio Alger nazajutrz po apokalipsie, kiedy przeminie cały smród.

Ściągali do mnie z całej kuli ziemskiej, żeby im przyjść z pomocą. Wyjąwszy ludy

pierwotne, wśród załogi nie zabrakło prawie żadnej grupy etnicznej. Wyjąwszy Ajnów, Maorysów, Papuasów, Weddów, Lapończyków, Zulusów, Patagończyków, Igorotów, Hotentotów, Tuaregów, wyjąwszy zaginionych Tasmańczyków, zaginione plemiona z Grimaldi, zatopionych mieszkańców Atlantydy, miałem u siebie przedstawicieli niemal wszystkich grup pod słońcem. Miałem dwóch braci, którzy nadal byli czcicielami słońca, dwóch nestorianów z prastarej Asyrii; miałem parę maltańskich bliźniaków z Malty i potomka Majów z Juka-tanu; miałem kilku naszych małych brązowoskórych braci z Filipin i Etiopczyków z Abisynii; miałem ludzi wprost z pampy argentyńskiej i przybłąkanych kowbojów z Montany; miałem Greków, Łotyszów, Polaków, Chorwatów, Słoweńców, Ukraińców, Czechów, Hiszpanów, Walijszczyków, Finów, Szwedów, Rosjan, Duńczyków, Meksykan, Portorykańczyków, Kubańczyków, Urugwajczyków, Brazylijczyków, Australijczyków, Persów, Japońców, Chińczyków, Jawajczyków, Egipcjan, Afrykanów ze Złotego Wybrzeża i z Wybrzeża Kości Słoniowej, Hindusów, Ormian, Turków, Arabów, Niemców, Irlandczyków, Anglików, Kanadyjczyków - a także wielu Włochów i wielu Żydów. O ile pamiętam, miałem zaledwie jednego Francuza, który nie zagrzał u nas miejsca dłużej niż trzy godziny. Miałem kilku Indian, głównie Czirokezów, ale żadnych Tybetańczyków ani Eskimosów; widywałem nazwiska przekraczające ludzkie pojęcie i pismo od pisma klinowego aż po zaskakującą piękną kaligrafię Chińczyków. Słyszałem, jak błagają o pracę ludzie, którzy przedtem pracowali jako egipciolodzy, botanicy, chirurdzy, górnicy w kopalniach złota, profesorowie orientalistyki, muzycy, inżynierowie, lekarze, astronomowie, antropolodzy, chemicy, matematycy, burmistrzowie miast i gubernatorzy stanów, strażnicy więzienni, kowboje, drwale, marynarze, nielegalni poławiacze ostryg, sztauerzy, nitowacze, dentyści, malarze, rzeźbiarze, hydraulicy, architekci, handlarze narkotyków, ginekolodzy od skrobanek, handlarze żywym towarem, nurkowie głębinowi, robotnicy wysokościowi, farmerzy, sprzedawcy ubrań, traperzy, latarnicy, sutenerzy, radni miejscy, senatorowie, wszystko, co się tylko rusza na tym świecie, a wszyscy bez wyjątku rozbitkowie życiowi błagający o pracę, o papierosy, o pieniądze na bilet, o szansę, na miłość boską, o jeszcze jedną szansę! Widywałem i poznawałem ludzi, którzy byli święci, jeżeli w ogóle święci chodzą po tej ziemi; widywałem i mieszałem u siebie na rozmowach uczonych, z nałogami i bez; wysłuchiwałem mężczyzn, którym płonął w trzewiach święty ogień, a którzy przekonali by samego Boga Wszechmogącego, że warto im dać kolejną szansę, tylko nie wiceprezesa Kosmoskosego Towarzystwa Telegraficznego. Siedziałem przykuty do biurka i podróżowałem z prędkością światła po całym świecie, ucząc się, że wszędzie jest tak samo - głód, upokorzenie, ciemnota, zło, chciwość, zdzierstwo, szykany, tortury, despotyzm:

nie ludzkość jednego człowieka wobec drugiego: pęta, uprząż, postronek, uzda, bat, ostrogi. Im mniejszy kaliber, tym gorzej dla człowieka. Tak straszliwie upodleni ludzie chodzili ulicami Nowego Jorku, wzgardzeni, najniżsi z najniższych, chodzili jak alki, pingwiny, woły, tresowane foki, cierpliwe osły, wielkie ośliska, obłąkane goryle, potulni wariaci zajęci skubaniem dyndającej przynęty, myszki tańczące walca, świnki morskie, wiewiórki, króliki, chociaż nie jeden spośród nich mógłby z powodzeniem rządzić światem, napisać największą książkę, jaką kiedykolwiek napisano. Kiedy myślę o niektórych z tych Persów, Hindusów i Arabów, jakich znałem, kiedy myślę o ich cechach charakteru, wdzięku, subtelności, inteligencji, świętości, pluję na białych zdobywców tego świata, na zdegenerowanych Brytyjczyków, tępych Niemców, kołtuńskich, zadowolonych z siebie Francuzów. Ziemia jest wielką czującą istotą, planetą przesyconą na wskroś ludźmi, żywą planetą mówiącą głosem drżącym, pełnym zająknięć; nie jest natomiast domem białej rasy ani rasy czarnej, żółtej czy zaginionej niebieskiej, lecz domem człowieka, wszyscy zaś ludzie są równi przed Bogiem i dostaną swoją szansę, jeżeli nawet nie teraz, to za milion lat. Pewnego dnia nasi mali brązowoskórzy bracia z Filipin mogą znów przeżyć rozkwit, zamordowani Indianie obu Ameryk też mogą zmartwychpowstać, by przemierzać konno równiny, na których dzisiaj stoją miasta, zionąc ogniem i spustoszeniem. Kto ma ostatnie słowo? Człowiek! Ziemia jest jego własnością, albowiem to on jest ziemią, jej ogniem, wodą, powietrzem, minerałem i roślinnością, jej duchem, kosmicznym, niezniszczalnym, duchem wszystkich planet, który się przezeń przekształca, przez niezliczone znaki i symbole, przez niezliczone przejawy. Czekać, wy kosmoskose telegraficzne wypierdki, wy demony u szczytu czekające na naprawy hydrauliczne, czekać, wy plugawi biali zdobywcy, którzy pohańbiliście ziemię czarcimi kopytami, narzędziami, bronią, zarazkami, czekać, wy wszyscy, którzy opływacie w dostatek i liczyte własne miedziaki, to jeszcze nie koniec. Zanim nastąpi kres, ostatni człowiek będzie miał szansę dojść do słowa. Sprawiedliwość musi się dokonać aż do ostatniej czującej molekuly - i się dokona! Nikomu nic tu nie ujdzie na sucho, a już na pewno nie tym kosmoskosym gówniarzom z Ameryki Północnej.

Kiedy już poszedłem na urlop - a nie brałem go przez trzy lata, bo tak gorliwie zabiegałem o dobro firmy! - wziąłem od razu trzy tygodnie zamiast dwóch i napisałem książkę o dwunastu małych ludziach. Pisałem ją jak leci, po piętnaście, dwadzieścia, czasem trzydzieści stron dziennie. Sądziłem, że aby być pisarzem, trzeba codziennie napisać przynajmniej piętnaście stron. Sądziłem, że pisarz powinien wyrzucić z siebie wszystko naraz - w jednej książce - po czym paść. Nie miałem o pisaniu zielonego pojęcia. Bałem się jak cholera. Zawzięłem się jednak, żeby wymazać Horatio Algera ze świadomości

północnoamerykańskiej. Była to zapewne najgorsza książka, jaką kiedykolwiek napisano. Powstało wielkie tomiszcze, od początku do końca niedobre. Ale była to moja pierwsza książka, toteż bardzo ją pokochałem. Gdybym miał wówczas pieniądze, tak jak Gide, opublikowałbym ją na własny koszt. Gdybym miał śmiałość Whitmana, sprzedawałbym ją jak domokrażca chodząc od drzwi do drzwi. Wszyscy, którym ją pokazałem, twierdzili zgodnie, że jest okropna. Radzono mi, żebym porzucił myśl o pisaniu. Musiałem się nauczyć, podobnie jak Balzac, że najpierw trzeba napisać wiele tomów, zanim podpisze się któryś własnym nazwiskiem. Musiałem się nauczyć, co niebawem uczyniłem, że trzeba porzucić wszystko inne i nie robić nic innego, tylko pisać, pisać i jeszcze raz pisać, nawet jeżeli odradzają nam to wszyscy na świecie, nawet jeżeli nikt w nas nie wierzy. Może właśnie dlatego się pisze, że nikt nie wierzy; może prawdziwa tajemnica polega na wzbudzaniu w ludziach wiary. Nic dziwnego, że tamta książka była nieudana, chybiona, zła, koszmarna, jak powiadano.

Od samego początku pokusiłem się o coś, co prawdziwy geniusz podjąłby dopiero pod koniec. Chciałem na początku powiedzieć ostatnie słowo. Było to bezsensowne i żałosne. Poniosłem sromotną porażkę, chociaż umocniło to żelazem mój kręgosłup i wlało siarki w moją krew. Poznałem przynajmniej smak klęski. Zrozumiałem, co to znaczy porwać się na coś wielkiego. Dzisiaj, kiedy myślę o okolicznościach, w których pisałem tamtą książkę, kiedy myślę o tym ogromnym materiale, któremu usiłowałem nadać formę, kiedy myślę o tym, co miałem nadzieję ogarnąć, poklepuję się tylko po plecach i stawiam sobie rzymską piątkę. Jestem dumny z tego, że poniosłem tak druzgoczącą porażkę; gdyby mi się powiodło, znaczyłoby to, że jestem potworem. Czasem, kiedy przeglądam własne bruliony, kiedy patrzę na same tylko nazwiska tych, o których zamierzałem napisać, dostaję zawrotu głowy. Każdy przychodził do mnie z całym swoim światem; przychodził i zwał mi go na biurko; oczekiwał, że go podniosę i wezmę na swoje barki. Nie miałem czasu stworzyć sobie własnego świata: musiałem stać bez ruchu jak Atlas z nogami na grzbiecie słonia, który stał z kolei na grzbiecie żółwia. Pytanie o to, na czym stał żółw, prowadziłoby do obłądu.

Nie śmiałem wtedy myśleć o niczym poza "faktami". Żeby wyjść poza fakty, musiałbym być twórcą, a przecież człowiek nie staje się twórcą z dnia na dzień. Najpierw trzeba się załamać, żeby zniweczyć w sobie wszelkie sprzeczne punkty widzenia. Trzeba przeżyć swoją zagładę jako istoty ludzkiej, żeby się narodzić jako jednostka. Trzeba się obrócić w węgiel i w minerał, żeby iść w górę poczynając od najniższego wspólnego mianownika jaźni. Trzeba się wyzbyć litości, żeby nauczyć się odczuwać z samych korzeni własnego istnienia. Z „faktów” nie da się stworzyć nowego nieba i nowej ziemi. Nie ma żadnych „faktów” - jest tylko jeden fakt, mianowicie, że człowiek, każdy człowiek w każdym

zakątku kuli ziemskiej zmierza do pewnego ładu. Jedni obierają dłuższą drogę, inni krótszą. Każdy na swój sposób zmierza ku własnemu przeznaczeniu i nikt mu w tym nie pomoże, co najwyżej poprzez okazanie dobroci, życzliwości, cierpliwości. Przy całym moim entuzjazmie pewne rzeczy wydawały mi się wówczas niezrozumiałe, choć dzisiaj są dla mnie jasne. Mam tu na myśli na przykład Carnahana, jednego z dwunastu małych ludzi, o których zechciałem napisać. Był, jak to się mówi, wzorowym posłańcem. Skończył prestiżową wyższą uczelnię, odznaczał się prawdziwą inteligencją, miał nieskazitelną charakter. Pracował osiemnaście do dwudziestu godzin dziennie, zarabiał więcej niż którykolwiek z naszych posłańców. Obsługiwani przez niego klienci przysyłałi nam listy wychwalające go pod niebiosa; proponowano mu rozmaite dobre posady, które z różnych powodów odrzucał. Żył skromnie, większą część poborów wysyłał żonie i dzieciom, mieszkającym w innym mieście. Miał dwie wady - pociąg do kieliszka i ambicje kariery. Mógł przez rok nie tknąć alkoholu, ale jeżeli wypił choć kroplę, już było po nim. Dwa razy się dorobił na Wall Street, a mimo to, zanim zwrócił się do mnie o pracę, dochrapał się zaledwie pozycji zakrystiana przy kościele w jakiejś mieścinie. Wyrzucono go stamtąd, bo włamał się do składu wina mszalnego, po czym przez całą noc wydzwaniał kościelnymi dzwonekami. Był prawdomówny, uczciwy, szczery. Od razu intuicyjnie nabrałem do niego zaufania, popartego zresztą nienagannymi rekomendacjami z pracy. A mimo to strzelił z zimną krwią do żony i dzieci, a potem do siebie. Na szczęście żadne z nich nie umarło; cała rodzina leżała razem w szpitalu i wszyscy się z tego wylizali. Kiedy przeniesiono go do więzienia, poszedłem odwiedzić jego żonę, oferując pomoc. Kategorycznie odmówiła. Powiedziała, że jej mąż to najbardziej wredny i okrutny skurwysyn, jakiego nosiła ziemia - chętnie go ujrzy na szubienicy. Przez dwa dni starałem się ją udobruchać, ale pozostała niewzruszona. Wybrałem się do więzienia, odbyłem z facetem rozmowę przez siatkę. Jak się zorientowałem, zdążył się już wkraść w łaski władz więziennych, już mu przyznano specjalne przywileje. Wcale nie był załamany. Przeciwnie, miał zamiar jak najlepiej wykorzystać odsiadkę, studiując tajniki handlu. Po wyjściu chciał zostać najlepszym sprzedawcą w całej Ameryce. Powiedziałbym, że sprawiał wrażenie człowieka szczęśliwego. Prosił, żebym się o niego nie martwił, że da sobie radę. Wszyscy mu szli na rękę, na nic nie mógł narzekać. Rozstałem się z nim cokolwiek oszołomiony. Poszedłem na pobliską plażę, żeby się wykapać. I zobaczyłem wszystko w nowym świetle. Tak mnie pochłonęły rozważania na temat tego faceta, że omal nie zapomniałem, iż trzeba wracać do domu. Któż śmiałyby powiedzieć, że to, co się przydarzyło, nie wyszło mu na dobre? Niewykluczone, że wyjdzie z więzienia jako kaznodzieja z prawdziwego zdarzenia, nie zaś jako sprzedawca. Trudno przewidzieć, do czego ten człowiek jest zdolny. I nikt nie

mógł mu pomóc, bo ten człowiek zmierzał ku przeznaczeniu własną, bardzo osobistą drogą.

Był też inny facet, Hindus nazwiskiem Gupta. Nie tylko stanowił wzór cnót, był po prostu święty. Uwielbiał flet, na którym grywał samotnie w swoim obskurnym, małym pokoiku. Pewnego dnia znaleziono go nagiego z gardłem poderżniętym od ucha do ucha, na łóżku przy nim leżał ów flet. Na pogrzeb przyszło tuzin kobiet, lejących namiętne łzy, a wśród nich żona dozorca, który go zamordował. Mógłbym poświęcić całą książkę temu młodemu człowiekowi, najbardziej subtelnemu i świętemu z poznanych przeze mnie osób, który nigdy nikomu nie sprawił przykrości, nigdy od nikogo nic nie wziął, popełnił jednak ten kardynalny błąd, że przyjechał do Ameryki, aby w niej szerzyć pokój i miłość.

Był też Dave Olinski, inny lojalny, sumienny posłaniec, który myślał tylko i wyłącznie o pracy. Miał jedną zabójczą słabość - za dużo mówił. Zanim się u mnie zjawił, po wielokroć objechał cały świat, nie warto nawet wymieniać, czego to on nie robił w życiu. Znał pewno ze dwanaście języków, bardzo się zresztą szczycił swoimi zdolnościami w tym względzie. Należał do tych ludzi, których zapał i gorliwość doprowadzają do zguby. Chciał wszystkim pomagać, wszystkim uczyć, jak odnieść sukces. Domagał się większej ilości pracy, niż mogliśmy mu jej zapewnić - był po prostu zachłanny na pracę. Może powinienem był go ostrzec, kiedy go wysyłałem do naszej filii w Dzielnicy Wschodniej, że będzie pracował w trudnej okolicy, ale udawał, jakoby się na wszystkim znał, i tak się rwał do pracy w tym rejonie (z powodu znajomości języków), że nie udzieliłem mu żadnych rad. Pomyślałem sobie - sam się niebawem przekonasz. I tak się też stało, bardzo prędko wpakował się w kabałę. Pewnego dnia zgłosił się do nas hardy Żyd z tamtej dzielnicy i zażądał blankietu. Posłaniec Dave siedział akurat za biurkiem. Nie spodobała mu się arogancja tamtego chłopaka. Pouczył go, że trzeba trochę grzeczniej. Oberwał za to po uszach. Zaczął dalej kłapać dziobem, na co dostał taką wciurę, że zęby sypnęły mu się do gardła, a szczękę miał złamaną w trzech miejscach. Nie nauczyło go to jednak trzymać języka za zębami. Zachował się jak ostatni dureń, bo poleciał wprost na komisariat i złożył skargę. Tydzień później, kiedy zdrzemnął się u nas na ławce, do biura wdarła się banda chuliganów i zbiła go na miazgę. Miał tak poharataną głowę, że mózg przypominał dosłownie omlet. Tamci opróżnili na dobitkę sejf i wywrócili go do góry nogami. Dave zmarł w drodze do szpitala. Znaleziono przy nim pięćset dolarów schowanych w skarpetce... Był też Clausen i jego żona Lena. Kiedy szukał pracy, przyszli we dwoje. Lena trzymała na ręce niemowlę, a drugą prowadziła dwoje małych dzieci. Przysłała ich do mnie jakaś agencja pomocy społecznej. Zatrudniłem go jako nocnego posłańca, żeby miał stałą pensję. Po kilku dniach dostałem od niego list, dość głupkowaty, z przeprosinami za niestawienie się do pracy, bo musiał się zgłosić do swojego

kuratora. Po czym kolejny list ze skargą, że żona nie chce z nim spać, bo nie ma zamiaru mieć więcej dzieci. Prosi mnie więc, żebym ich odwiedził i przekonał ją, aby z nim spała. Poszedłem do niego do domu - sutereny w dzielnicy włoskiej. Istny dom wariatów. Lena znów była w ciąży, bodajże w siódmym miesiącu, i dosłownie na granicy obłądu. Zaczęła sypiać na dachu, bo w piwnicy było jej za gorąco, poza tym nie chciała, żeby mąż jej dotykał. Kiedy próbowałem jej wytłumaczyć, że teraz to i tak jest bez znaczenia, spojrzała tylko na mnie z krzywym uśmiechem. Clausen walczył przedtem na wojnie, może więc zbzikował od tego gazu - tak czy owak szła mu piana z ust. Przyrzekł, że jej rozwali głowę, jeżeli nie przestanie sypiać na tym dachu. Twierdził, że Lena tam sypia, bo się zadaje z węglarzem, który mieszka na strychu. Na te słowa Lena znów się uśmiechnęła tym swoim smętnym, żabim uśmiechem. Clausen stracił panowanie nad sobą i kopnął ją z rozmachem w tyłek. Wyszła nadąsana, zabierając ze sobą dzieciarnię. Krzyknął za nią, żeby więcej nie wracała. Następnie otworzył szufladę i wyciągnął dużego colta. Trzymał go, jak oświadczył, na wszelki wypadek, a nuż się przyda. Pokazał mi też kilka noży i pałkę własnej roboty. Po czym się rozplakał. Powiedział, że żona robi z niego idiotę. Ma już potąd zaharowywania się dla niej, bo ta sypia z kim się tylko da. Dzieci nie są jego, bo nie może już robić dzieci, nawet gdyby chciał. Zaraz następnego dnia, kiedy Lena wyszła na zakupy, zaprowadził dzieci na dach i pałką, którą mi pokazywał, stłukł je na miazgę. Po czym skoczył z dachu głową w dół. Kiedy Lena wróciła do domu i zobaczyła, co się stało, wpadła w obłąd. Trzeba ją było zapakować w kaftan bezpieczeństwa i wezwać karetkę... Był też Schuldig, szczur, który spędził dwadzieścia lat w więzieniu za nigdy nie popełnioną zbrodnię. Zanim się do niej przyznał, pobito go prawie na śmierć; następnie samotna cela, głód, tortury, perwersje, narkotyki. Kiedy go w końcu wypuszczono, przestał być człowiekiem. Któregoś wieczoru opowiedział mi o swoich ostatnich trzydziestu dniach w więzieniu, o udręce czekania na wypuszczenie. Nigdy czegoś podobnego nie słyszałem; nie sądziłem, że człowiek może znieść takie katusze. Kiedy wyszedł na wolność, nie odstępował go strach, że mogą go zmusić do popełnienia zbrodni, za którą znów trafi do więzienia. Uskarżał się, że ktoś go śledzi, obserwuje, ściga. Twierdził, że „oni” nakłaniają go do czynów, na które nie ma najmniejszej ochoty. „Oni” to te chuje, które go tropiły, których opłacano, żeby go znów wpakować do pudła. W nocy, kiedy spał, szeptali mu coś do ucha. Był wobec nich bezradny, bo najpierw go hipnotyzowali. Czasem podkładali mu pod poduszkę narkotyki, a obok rewolwer albo nóż. Chcieli, żeby zabił niewinnego człowieka, co tym razem pozwoliłoby im wytoczyć słuszny proces. Jego stan pogarszał się z dnia na dzień. Pewnego wieczoru, po kilkugodzinnym spacerze z plikiem telegramów w kieszeni, podszedł do policjanta z prośbą, żeby ten go



zamknął. Nie pamiętał swojego nazwiska, adresu ani nawet miejsca pracy. Zupełnie stracił własną tożsamość. Wciąż tylko powtarzał: - Jestem niewinny... jestem niewinny. - I znów dano mu trzeci stopień poczytalności. Raptem podskoczył i wrzasnął jak wariat: - Przyznam się... przyznam się - po czym zaczął sypać zbrodniami jak z rękawa. I tak przez trzy godziny. Naraz urwał te cierniste wyznania, powiódł dokoła wzrokiem jak ktoś, kto nagle oprzytomniał, a następnie z gwałtownością i siłą, na jakie stać wyłącznie pomyleńca, dał potężnego susa przez pokój i rąbnął głową w mur, roztrzaskując sobie czaszkę... Przywołuję te zdarzenia w skrócie i w pośpiechu, tak jak mi przelatują przez głowę; pamięć mam nabita tysiącami podobnych szczegółów, krocim twarzy, gestów, opowieści, wyznań, wszystkie zaś splatają się i zazębiają niczym gigantyczna, oszłamiająca fasada świątyni hinduskiej, tyle że nie z kamienia, a z doświadczeń ludzkich, monstualny, fantastyczny gmach wzniesiony całkowicie z rzeczywistości, nie będący jednak rzeczywistością, jedynie naczyniem, w którym zawiera się tajemnica człowieka. Przeskakuję myślą do kliniki, do której powodowany dobrymi intencjami w całej swojej ignorancji odstawiałem co młodszych pracowników na leczenie. Żeby oddać atmosferę tamtego miejsca, nie przychodzi mi do głowy lepsze porównanie niż obraz Hieronima Boscha, wyobrażający magika, który na wzór dentysty wrywa żywy nerw, wyrzyna głupotę. Układny sadysta, który zawiadywał tą kliniką, przy pełnym poparciu i tolerancji władz, stanowił wcielenie wszelkiego blichtru i szarlatanerii naszych uczonych medyków. Był dosłownie sobowtórem doktora Kaligari, tyle że bez czapki czarnoksiężnika. Udając, że się zna na regulacji gruczołów wydzielania, obdarzony władzą średniowiecznego monarchy, niepomny na zadawany przez siebie ból, ignorując wszystko poza swoją wiedzą lekarską, przystępował do pracy na ciele ludzkim, tak jak hydraulik zabiera się do podziemnych rur kanalizacyjnych. Pominąwszy nawet to, że wprowadzał trucizny do organizmu pacjentów, odwoływał się także do własnych pięści albo kolan, zależnie od potrzeb. Byle tylko wywołać „reakcję”. Jeżeli ofiara była w stanie letargu, krzyczał na nią, bił w twarz, szczypał w rękę, szturchał, kopał. Jeżeli przeciwnie, ofiara wykazywała nadmiar energii, korzystał z tych samych metod, tyle że ze zdwojoną gorliwością. Nie brał pod uwagę żadnych odczuć zdanych na niego pacjentów; każda wywołana przezeń reakcja stanowiła jedynie dowód bądź przejaw praw regulujących działanie wewnętrznych gruczołów wydzielania. Celem jego terapii było przystosowanie ofiary do życia w społeczeństwie. Niezależnie jednak od tempa jego pracy, odnoszonych sukcesów lub ich braku, społeczeństwo produkowało coraz większą liczbę nie przystosowanych. Niektórzy byli tak wspaniale nie przystosowani, że kiedy próbując wywołać u nich przysłowiową reakcję walił ich na odlew w twarz, odparowywali silnym

ciosem albo kopniakiem w jądra. To prawda, że większość jego klientów stanowili, jak ich określał, początkujący kryminaliści. Cały kontynent staczał się - i nadal się stacza - po równi pochyłej. Toteż nie tylko gruczoły wymagają regulacji, lecz również łożyska kulkowe, armatura, układ kostny, mózg, mózdzek, kość ogonowa, krtań, trzustka, wątroba, jelito grube i cienkie, serce, nerki, jądra, macica, jajowody, cały ten przeklęty mechanizm. Jak kraj długi i szeroki panoszą się bezprawie, przemoc, gwałt, demony. Wiszą one w powietrzu, w klimacie, w nader imponującym pejzażu, w kamiennych lasach ciągnących się jak okiem sięgnąć, w rwących rzekach drążących na wylot skaliste kaniony, w nadnaturalnych odległościach, w nadprzyrodzonych spieczonych pustkowiach, w przeobfitych plonach, w gigantycznych owocach, w mieszaninie donkiszotowskich krwi, w kontraście kultów, sekt, wierzeń, w przeciwstawieniu praw i języków, w sprzecznościach temperamentów, reguł, potrzeb, żądań. Ten kontynent jest pełen ukrytej przemocy, kości przedpotopowych potworów, zaginionych ludów, tajemnic spowitych zagładą. Atmosfera staje się czasem tak naładowana, że dusza wyrzywa się z ciała i dostaje szału. Wszystko - niczym deszcz - albo się leje jak z cebra, albo w ogóle nie występuje. Cały kontynent to jeden wielki wulkan o kraterze tymczasowo ukrytym za ruchomą panoramą, na którą składają się sen, lęk i rozpacz. Wszędzie to samo od Alaski po Jukatan. Przyroda dominuje. Przyroda odnosi zwycięstwo. Wszędzie ten sam prymitywny pęd do zabijania, plądrowania, niszczenia. Na zewnątrz wszyscy sprawiają wrażenie zdrowych, silnych ludzi -krzepkich, pełnych optymizmu, dzielnych. W środku zaś toczą ich robaki. Wystarczy małeńka iskra, a wybuchną.

Często się zdarza, podobnie zresztą jak w Rosji, że ktoś przychodzi w bojowym nastroju. Bo taki się obudził, jak gdyby zawiał go monsun. Dziewięć razy na dziesięć to dusza człowiek, przez wszystkich lubiany. Ale kiedy najdzie go gniew, nic go nie powstrzyma. Zupełnie jak koń cierpiący na kołowaciznę, pozostaje go więc tylko z miejsca zastrzelić. Przeważnie dotyka to osób łagodnego usposobienia. Pewnego dnia wpadają w szał. W Ameryce bez przerwy ktoś dostaje szału. Potrzebne im ujście dla ich energii, dla ich żądy krwi. Europa regularnie wykrwawia się podczas wojen. Ameryka to kraj pacyfistyczny i kanibalistyczny. Na zewnątrz wygląda jak przepiękny plaster miodu, gdzie trutnie łążą po sobie w wirze pracy; a w środku rzeźnia, człowiek zabija bliźniego i wysysa mu szpik z kości. Pozornie zakrawa to na odważny, męski świat; lecz tak naprawdę jest to burdel prowadzony przez tutejsze kobiety, w którym ich synowie bawią się w sutenerów, a cholerni cudzoziemcy sprzedają własne ciała. Nikt nie wie, co to znaczy siedzieć na dupie i się cieszyć. Zdarza się to tylko w filmach, gdzie wszystko jest udawane, nawet ognie piekielne. Cały kontynent smacznie sobie śpi, tymczasem jego sen przeistacza się w jeden wielki koszmar.

Nikt chyba nie spał w samym środku tego koszmaru smaczniej niż ja. Kiedy wybuchła wojna, odbiła się w moich uszach zaledwie nikłym echem. Podobnie jak wielu moich rodaków, byłem pacyfistą i kanibalem. Miliony ludzi, które posłano na rzeź, zeszło z tego świata, podobnie jak wyginęli Aztecy, Inkowie, Indianie i bizona. Ludzie udawali, że bardzo się tym przejmują, ale tak naprawdę guzik ich to obchodziło. Rzucali się tylko niespokojnie we śnie. Nikt nie stracił apetytu, nikt się nie zerwał i nie uderzył na alarm. Po raz pierwszy zdałem sobie sprawę z tej wojny jakieś pół roku po zawieszeniu broni. Jechałem właśnie Czternastą Ulicą tramwajem linii śródmiejskiej. Jeden z naszych bohaterów, młody teksańczyk z rzędem orderów zdobiących mu pierś, zauważył oficera idącego chodnikiem. Widok oficera przyprawił go o furję. Sam był sierżantem, miał więc zapewne powody do irytacji. Tak czy owak, oburzył się na widok oficera, wstał więc z siedzenia i zaczął pomstować ile weszło na rząd, wojsko, cywilów, pasażerów w wagonie, na wszystkim i na wszystko. Krzyczał, że gdyby wybuchła kolejna wojna, nie zaciągnięto by go na nią choćby dwudziestoma mułami. Musiałby zobaczyć wszystkich tych skurwysynów wybitych co do jednego, żeby się znów sam zaangażował; gównu mu po orderach, które mu przyznano, i żeby poprzeć słowa czynem, zdarł wszystkie z piersi i wyrzucił przez okno; co więcej, gdyby ponownie się znalazł w okopach z oficerem, zastrzeliliby go z tyłu jak parszywego psa, nie inaczej rozprawiliby się z generałem Pershingiem i wszystkimi innymi generałami. Wykrzyczał znacznie więcej, nie szczędząc najwymyślniejszych przekleństw, jakich się tam, na wojnie, nauczył, i nikt nie pisał słówka, żeby mu się sprzeciwić. A kiedy skończył, po raz pierwszy zrozumiałem, że tam gdzieś naprawdę przetoczyła się wojna, że wziął w niej udział ten człowiek, którego miałem właśnie okazję wysłuchać, że mimo całej jego odwagi wojna zrobiła z niego tchórza, że gdyby tenże człowiek miał dalej zabijać, to tym razem z pełną świadomością i z zimną krwią, że nikt nie poważyłby się go wysłać na krzesło elektryczne, gdyż ten człowiek wykonał swój obowiązek wobec rodaków, tłumiąc w sobie własne święte instynkty, wszystko jest więc cacy, cacy, bo jedna zbrodnia zmywa drugą popełnianą w imię Boga, ojczyzny i ludzkości, pokój wszystkim ludziom dobrej woli. Po raz drugi zetknąłem się z rzeczywistością wojny, kiedy sierżant rezerwy Griswold, nocny posłaniec, dostał pewnego dnia amoku i zdemolował naszą filię na jednym z dworców kolejowych. Przysłano go do mnie, żebym pokazał mu drzwi, ale ja nie miałem serca go zwolnić. Odwalił taki kawał przepięknej niszczycielskiej roboty, że miałem go raczej ochotę uściskać i przytulić do serca; wznosiłem tylko modły do Boga, żeby pojechał teraz na dwudzieste czwarte piętro czy gdzie tam urzędował prezes z wiceprezesami i sprzątnął tę sakramencką bandę. Żeby jednak zachować dyscyplinę i podtrzymać tę cholerną farsę, musiałem go jakoś ukarać albo samemu

ponieść za to karę; starając się jednak zrobić jak najmniej, zdjąłem go z prac zleconych i przenieśliem na stałą pensję. Przyjął to nie najlepiej, bo nie był do końca pewien, czy opowiadam się za nim, czy przeciwko niemu, toteż natychmiast przysłał mi list z zapowiedzią, że za dzień lub dwa złoży mi wizytę, grożąc przy tym, żebym się miał na bacności, bo mi da niezły wycisk. Zapowiadał, że przyjdzie po godzinach pracy, jeżeli się więc boję, powinienem zapewnić sobie obstawę złożoną z osiłków. Wiedziałem, że nie rzuca słów na wiatr, dlatego po odłożeniu listu zacząłem się cały trząść. Czekałem jednak na niego sam, bo uznałem, że moja prośba o obstawę byłaby dowodem jeszcze większego tchórzostwa. Było to dziwne przeżycie. Od pierwszej chwili, kiedy mnie zobaczył, musiał zrozumieć, że jeśli istotnie jestem skurwysynem i zakłamanym, śmierzącym hipokrytą, od jakich mi nawymyślał w liście, to tylko dlatego, że on jest tym, kim jest, czyli nikim lepszym ode mnie. Pewno od razu zdał sobie sprawę, że jedziemy na tym samym wózku, który na domiar złego grozi wywróceniem się. Widziałem, jak coś takiego się w nim kotłuje, kiedy postąpił krok naprzód, niby nadal wściekły, nadal tocząc pianę z ust, ale w gruncie rzeczy uszła z niego para i stał się miękki jak puch. Mnie natomiast od pierwszej chwili opuścił cały mój wcześniejszy strach. Ponieważ siedziałem tam w spokoju i samotności, słabszy i mniej zdolny do obrony, zyskałem nad nim widomą przewagę. W gruncie rzeczy wcale nie chciałem mieć nad nim przewagi. Ale tak się to potoczyło, wykorzystałem więc sytuację. Gdy tylko usiadł, zmiękł jak wosk. Z mężczyzny stał się dużym dzieckiem. Pewno były miliony ludzi jego pokroju, dużych dzieci z karabinami maszynowymi, którzy bez zmrużenia powiek zmiotali całe pułki wojska; jednakże w okopach pracy, bez broni, bez uchwytanego, rozpoznawalnego wroga stawali się bezradni jak mrówki. Wszystko kręciło się wokół jedzenia. Jedzenia i czynszu - bo tylko o nie warto walczyć - tyle że nie było uchwytanego, rozpoznawalnego sposobu walki. Zupełnie jakby ktoś miał przed sobą całą armię silnych, dobrze uzbrojonych żołnierzy, gotowych zmieść wszystko, co w zasięgu wzroku, a mimo to dzień w dzień zarządzał odwrót, odwrót i jeszcze raz odwrót, bo tak każe strategia, nawet jeżeli wiąże się to ze stratą pola, stratą broni, stratą amunicji, stratą jedzenia, stratą snu, stratą odwagi, wreszcie ze stratą życia. Wszędzie tam, gdzie ludzie toczyli walkę o jedzenie i czynsz, trwał ten odwrót, w nocy, we mgle, chociaż nie usprawiedliwiała go najzupełniej nic poza wymogami taktycznymi. Straszliwie go to zżerało. Walka była łatwa, jednakże walka o jedzenie i czynsz przypominała walkę przeciwko armii duchów. Pozostawał jedynie odwrót, a podczas tego odwrotu widok własnych braci, którzy jeden po drugim padają cicho, tajemniczo, we mgle, w ciemnościach, i nie ma na to rady. Był tak piekielnie skołowany, zaskoczony, tak koszmarnie stropiony i pokonany, że wtulił głowę w ramiona i zapłakał na moim biurku. A kiedy tak

szlochał, naraz zadzwonił telefon, gabinet wiceprezesa - nigdy wiceprezes we własnej osobie, tylko zawsze jego gabinet - z poleceniem, żeby natychmiast zwolnić tego Griswolda. Mówię więc: - Tak jest! - i odkładam słuchawkę. Nie wspominam o tym, rzecz jasna, ani słówkiem Griswoldowi, tylko go odprowadzam do domu, wstępuję do niego na kolację z jego żoną i dziećmi. A na odchodnym mówię sobie w duchu, że jeżeli będę go musiał zwolnić, ktoś za to zapłaci - chcę się zresztą najpierw dowiedzieć, kto i dlaczego wydał takie polecenie. Nazajutrz rano idę podminowany i zaperzony do gabinetu wiceprezesa, proszę o widzenie z samym wiceprezesem i pytam, czy to on wydał takie polecenie - i dlaczego? Zanim jeszcze tamten ma okazję zaprzeczyć albo wyłuszczyć swoje racje, walę prosto z mostu, co o tym myślę, a jak mu się nie podoba, to niech się wypcha - bo jeśli się panu nie podoba, panie Willu Twilldilliger, to niech pan bierze moją i jego posadę i wsadzi sobie gdzieś - z tymi słowy wychodzę. Wracam do swojej rzeźni i zasiadam jak zwykle do pracy. Spodziewam się jak nic, że jeszcze tego samego dnia wyrzucą mnie na zbity pysk. Ale nic podobnego. Przeciwnie, ku swojemu zdumieniu odbieram telefon od dyrektora generalnego z prośbą, żebym się tak nie unosił, żebym trochę ochłonął, tak, tylko spokojnie, proszę nie działać zbyt pochopnie, sprawę rozpatrzmy i tak dalej. Pewno nadal ją rozpatrują, bo Griswold pracuje jak dawniej - nawet dostał awans na urzędnika, co nawiasem mówiąc było chwytem poniżej pasa, bo jako urzędnik zarabiał mniej niż jako posłaniec, ale podbechtało to jego dumę i niewątpliwie co nieco go udobruchało. Tak to już jest, kiedy facet struga tylko bohatera we śnie. Chyba że koszmar jest na tyle silny, żeby człowieka obudzić, bo w przeciwnym razie wciąż się tylko cofa i albo ląduje na ławce rezerwowych, albo na stanowisku wiceprezesa. Co zresztą na jedno wychodzi, pierdolony burdel, farsa, od początku do końca fiasko. Dobrze to znam, bo sam się przebudziłem. A kiedy się przebudziłem, natychmiast stamtąd odszedłem. Wyszedłem tymi samymi drzwiami, którymi wszedłem - i to bez jednego „żegnam pana”!

Wszystko rozgrywa się momentalnie, tyle że najpierw trzeba przejść długą drogę. Kiedy coś się dzieje, człowiek staje w obliczu wybuchu poprzedzonego sekundę wcześniej iskrą. Wszystko jednak dzieje się zgodnie z prawem - i to przy pełnej aprobacie i współpracy całego kosmosu. Zanim zebrałem w sobie dość siły, żeby wstać i wybuchnąć, trzeba było odpowiednio spreparować i uzbroić bombę. Kiedy już zaprowadziłem siaki taki porządek tym łajdakom z góry, musiałem dać się ściągnąć na ziemię, dostać parę niełychych kopniaków niczym piłka, dać się zdeptać, rozgnieść, upokorzyć, spętać, doprowadzić do stanu meduzowatej impotencji. Przez całe życie nigdy mi nie brakowało przyjaciół, ale w tym akurat okresie wyrastali wokół mnie jak grzyby po deszczu. Nie miałem dosłownie chwili dla siebie. Kiedy wracałem pod wieczór do domu z nadzieją na odpoczynek, ktoś już tam na mnie

czekał. Czasami czekała cała zgraja, wcale się nie przejmując, czy wracam, czy nie. Każde moje grono przyjaciół gardziło drugim. Na przykład Stanley miał w pogardzie całą resztę. Ulric również odnosił się do innych z pogardą. Właśnie wrócił po wielu latach z Europy. Od dzieciństwa bardzo rzadko się widywaliśmy, aż tu nagle, czystym przypadkiem, spotkaliśmy się na ulicy. Był to w moim życiu bardzo ważny dzień, bo otworzył mi nowy świat, świat, o którym często marzyłem, nie sądząc, że dane mi go będzie zobaczyć. Pamiętam bardzo wyraźnie, że staliśmy aż do zmroku na rogu Szóstej Alei i Czterdziestej Dziewiątej Ulicy. Pamiętam, bo wydawało mi się to takie nierzeczywiste, żeby u zbiegu tych dwóch ulic na Manhattanie wysłuchiwać czyichś opowieści o Etnie, Wezuwiuszu, Capri, Pompei, Maroku i Paryżu. Pamiętam, że Ulric wciąż się rozglądał jak ktoś, kto nie bardzo zdaje sobie sprawę, co go czeka, ale ma przeczucie, iż popełnił horrendalny błąd decydując się na powrót. Przez cały czas jego oczy mówiły jedno - to nie ma żadnego, ale to żadnego sensu. Nie powiedział tego jednak wprost, tylko wciąż powtarzał w kółko: - Na pewno by ci się tam podobało! Na pewno czułbyś się tam jak u siebie w domu. - Kiedy się rozstaliśmy, byłem zupełnie oszołomiony. Nie mogłem się doczekać kolejnego spotkania. Chciałem wszystkiego wysłuchać od nowa, z najdrobniejszymi szczegółami. Nic, co dotąd czytałem o Europie, nie mogło się równać tej żarliwej relacji z ust mojego przyjaciela. Tym bardziej mnie to dziwiło, że wychowaliśmy się w tym samym otoczeniu. Jemu się udało, ponieważ miał bogatych przyjaciół - i ponieważ umiał oszczędzać. Ja natomiast nie znałem nigdy nikogo bogatego, kto by podróżował i miał pieniądze w banku. Wszyscy moi znajomi byli podobni do mnie, wegetowali z dnia na dzień, nie zaprzęтали sobie głów przyszłością. O'Mara, tak, ten trochę podróżował, na dobrą sprawę objechał cały świat - ale jako włóczęga albo żołnierz, co było nawet gorsze od włóczęgostwa. Mój przyjaciel Ulric to pierwszy spotkany przeze mnie facet, o którym mógłbym z ręką na sercu powiedzieć, że podróżował. I umiał się dzielić wrażeniami.

W następstwie tego przypadkowego spotkania na ulicy zaczęliśmy się dość często widywać, i to przez dobrych kilka miesięcy. Wpadał do mnie wieczorem, po kolacji, spacerowaliśmy razem po pobliskim parku. Ależ byłem złakniony jego opowieści! Fascynowały mnie najdrobniejsze szczegóły tego innego świata. Nawet teraz, wiele, wiele lat później, nawet teraz, kiedy znam Paryż jak własną kieszeń, wciąż mam przed oczyma jego obraz Paryża, do dziś jakże żywy, do dziś jakże realny. Czasem po deszczu, kiedy mknę taksówką przez miasto, chwytam przelotne obrazki Paryża z jego opowieści; ot, takie migawki, na przykład przy mijaniu Tuileries, albo błysk Montmartre'u czy Sacre Coeur widzianego przez Rue Laffitte w ostatnich promieniach dnia. Zwykły chłopak z Brooklynu. I

to było jego określenie, którego czasem używał, kiedy czuł się zażenowany tym, że nie potrafi się lepiej wyrazić. Ale przecież ja też byłem tylko zwykłym chłopakiem z Brooklynu, czyli jednym z ostatnich, najostatniejszych ludzi. Kiedy się tak włóczę, ocierając się o świat, rzadko się zdarza, żebym trafił na kogoś, kto umiałby równie ciepło i wiernie opisać to, co widział i czuł. Właśnie tym wieczorom z Ulrikim w parku Prospect bardziej niż czemukolwiek zawdzięczam swoją dziś tutaj obecność. Wciąż jeszcze czeka na mnie wiele z tych miejsc, które mi opisał; niektórych pewno nigdy nie zobaczę. Ale wszystkie żyją we mnie, bliskie i pulsujące, tak jak je przede mną odmalował podczas naszych przechadzek po parku.

Z tymi opowieściami o innym świecie splata się cała treść i struktura książek Lawrence'a. Kiedy park już dawno opustoszał, często siedzieliśmy we dwóch na ławce omawiając koncepcje tego pisarza. Patrząc z perspektywy czasu na te nasze rozmowy, widzę teraz, jak bardzo błądziłem, jak dalece nie rozumiałem prawdziwego znaczenia słów Lawrence'a. Gdybym je wówczas naprawdę rozumiał, całe moje życie na pewno przybrałoby inny obrót. Większość z nas spędza pokaźną część życia w zanurzeniu. W każdym razie mogę powiedzieć o sobie, że do czasu wyjazdu z Ameryki nie wychynałem na powierzchnię. Może Ameryka ma z tym niewiele wspólnego, ale fakt pozostaje faktem, że dopiero kiedy dotarłem do Paryża, otworzyłem szeroko oczy. A może stało się tak wyłącznie dlatego, że wyrzekłem się Ameryki, wyrzekłem się swojej przeszłości.

Mój przyjaciel Kronski wyrzucał mi moje „euforie”. W ten sposób sprytnie mi przypominał w chwilach mojej nadmiernej radości, że nazajutrz czeka mnie depresja. I nie mylił się. Wciąż miewałem wzloty i upadki. Długie okresy ponuractwa i melancholii, po których następowały nieoczekiwane wybuchy wesołości, nawiedzonej inspiracji. Nigdy tak naprawdę nie byłem sobą. Dziwnie to brzmi, ale to prawda. Albo byłem anonimowym człowiekiem, albo osobnikiem o nazwisku Henry Miller podniesionym do n-tej potęgi. W tym drugim nastroju potrafiłem, na przykład, wyrecytować Hymiemu podczas jazdy tramwajem jednym tchem całą książkę. Hymie zaś nigdy nie podejrzewał, że kryje się we mnie ktoś więcej niż tylko dobry kierownik do spraw zatrudnienia. Do dziś widzę spojrzenie, jakim mnie obrzucił pewnego wieczoru, kiedy znajdowałem się w jednym ze swoich stanów „euforii”. Wsiadliśmy do tramwaju na Moście Brooklyńskim, żeby dojechać do mieszkania w Greenpoint, gdzie czekało nas przyjęcie u pary kurewek. Hymie, jak zwykle, rozgadał się na temat jajników swojej żony. Przede wszystkim nie wiedział dokładnie, co to są jajniki, musiałem mu więc przystępnie i bez ogródek wyjaśnić. Oddając się tym wyjaśnieniom, uprzytomniłem sobie raptem, jakie to niesamowicie tragiczne, a zarazem śmieszne, że Hymie

nie wie, co to są jajniki, i poczułem się pijany, zupełnie jakbym wypił kwartę whisky. Z idei chorych jajników błyskawicznie wykwit! na podobieństwo rośliny tropikalnej najbardziej niewiarygodny asortyment różnaitości, pośród których bezpiecznie, chciałoby się powiedzieć, pewnie ulokowali się Dante i Szekspir. W tej samej chwili uzmysłowiłem sobie nagle własny ciąg myślowy, który się zaczął gdzieś w połowie Mostu Brooklyńskiego, a który przerwało raptownie słowo „jajniki”. Zdałem sobie sprawę, że wszystko, co Hymie do mnie mówił, dopóki nie padło słowo „jajniki”, przesiało się przeze mnie jak piasek. To, co rozpocząłem tam, na Moście Brooklyńskim, rozpoczynałem już wiele razy przedtem, zwykle w drodze do warsztatu mojego ojca. Ten rytuał powtarzałem dzień w dzień niczym w transie. Krótko mówiąc, rozpocząłem książkę o kolejnych godzinach, o nudzie i monotonii mojego życia pośród najbardziej gorączkowych zajęć. Przez wiele lat nie myślałem o tej książce, którą wówczas pisałem codziennie w myślach na trasie z Delancey Street do Murray Hill. Ale ten przejazd przez most, zachód słońca, drapacze chmur rzucające refleksy światła niczym fosforyzujące trupy, poszukiwanie straconego czasu zrobiły swoje... we wspomnieniu wracały przejazdy tam i z powrotem przez ten most, dojazdy do pracy będącej śmiercią, powroty do domu będącego kostnicą, uczenie się na pamięć *Fausta*, widok cmentarza w dole, plucie na ten cmentarz z jadącego pociągu, codziennie rano ten sam kolejarz na peronie, imbecyl, inni imbecyle pochłonięci lekturą gazet, nowe drapacze chmur pnące się do góry, nowe grobowce, w których będzie się pracować i umierać, łódki przepływające poniżej, linia Fall River, linia Albany Day, po co ja jadę do pracy, co będę robił dziś wieczorem, gorąca cipa przy moim boku, czy zanurzę jej rękę w kroczu, gdyby tak uciec i zostać kowbojem, a może Alaska, kopalnie złota, bierz dupę w troki i przed siebie, jeszcze nie umieraj, poczekaj do jutra, łut szczęścia, rzeka, skończ z tym, i w głąb, w głąb, niczym korkociąg, głowa i ramiona w błocie, nogi swobodne; przyplyną ryby i pogryzą, od jutra nowe życie, gdzie, gdziekolwiek, po co zaczynać od nowa, wszędzie tak samo, śmierć, śmierć przynosi rozwiązanie, ale jeszcze nie umieraj, poczekaj do jutra, łut szczęścia, nowa twarz, nowy przyjaciel, miliony okazji, jeszcze jesteś za młody, popadasz w melancholię, jeszcze nie umieraj, poczekaj do jutra, łut szczęścia, tak czy owak się pieprz, i dalej przez most do szklanej zajezdni, wszyscy sklejeni razem, robaki, mrówki, wypełzają z obumarłego drzewa, podobnie wypełzają ich myśli. Może kiedy jechałem uniesiony wysoko między dwoma brzegami, zawieszony nad ruchem ulicznym, nad życiem i śmiercią, po obu stronach strzeliste grobowce, grobowce odbijające ostatnie refleksy światła słonecznego, a w środku płynie obojętnie rzeka, płynie niby czas, może za każdym takim przejazdem coś mnie ciągnęło, kazało mi to wszystko wchłonać, obwieścić siebie; tak czy owak, za każdym takim podniebnym przejazdem byłem naprawdę



sam i zawsze wtedy zaczynała mi się pisać ta książka, wykrzykując sprawy, którymi nie potrafiłem oddychać, myśli, których nigdy nie wypowiedziałem, rozmowy, których nigdy nie odbyłem, nadzieje, marzenia, złudzenia, do których nigdy się nie przyznałem. Jeżeli zatem to była moja prawdziwa osobowość, to była czymś wspaniałym, ponadto nigdy się nie zmieniała, tylko zawsze podejmowała wątek od ostatniego przystanku, nieodmiennie uderzała w tę samą strunę, w strunę, o którą zatraćłem, kiedy jako dziecko po raz pierwszy wyszedłem sam na ulicę, a tam, zamarznięty w brudnym, skutym lodem rynsztoku, leżał zdechły kot, po raz pierwszy zobaczyłem wtedy śmierć i ją pojąłem. Od tamtej chwili wiedziałem, co znaczy żyć w odosobnieniu: każdy przedmiot, każda żywa istota i każda martwa rzecz wiodły swój niezależny żywot. Moje myśli również wiodły niezależny żywot. Raptem, kiedy patrzyłem na Hymiego i myślałem o dziwnym słowie „jajniki”, dziwniejszym teraz od wszystkich znanych mi słów, naszło mnie owo poczucie lodowatego odosobnienia, siedzący zaś obok Hymie wydał mi się ropuchą i niczym więcej. Skakałem z tamtego mostu głową w dół, prosto w prastary muł, z nogami swobodnymi, oczekującymi pogryzienia; niczym szatan, który dał nura przez niebiosy, przez lity rdzeń ziemi, głową w dół, i przebił się do samego jej jądra, do najmroczniejszych, najgłębszych, najgorętszych czeluści piekielnych. Kroczyłem pustynią Mojave, a człowiek u mojego boku czekał na zapadnięcie nocy, żeby się na mnie rzucić i mnie zabić. Kroczyłem znów po krainie marzeń, człowiek balansował nade mną na linie, a nad nim jeszcze jeden człowiek siedział w samolocie i wypisywał dymne litery na niebie. Kobieta uczepiona mojego ramienia była w ciąży, za sześć czy siedem lat ten jej bagaż, który dzisiaj nosiła w łonie, będzie mógł przeczytać na niebie owe litery i on, ona lub ono zrozumie, że to od papierosa, później zaś sam zapali papierosa, może będzie wypalał paczkę dziennie. W łonie na każdym palcu formowały się paznokcie; można by się zatrzymać przy palcu u nogi, najmniejszym, jaki można sobie wyobrazić, i łamać sobie głowę usiłując to pojąć. Po jednej stronie rejestru znajdują się napisane przez człowieka książki zawierające taki galimatias wiedzy i bzdur, prawdy i fałszu, że gdyby nawet ktoś dożył matuzalowego wieku, i tak by się nie połapał w tym gąszczu; po drugiej natomiast stronie takie rzeczy jak paznokcie u nóg, włosy, zęby, krew, jajniki, jeśli łaska, a wszystkie niezgłębione, spisane innym atramentem, innym pismem, pismem nieczytelnym, nie do odcyfrowania. Oczy ropuchy były utkwione we mnie niczym dwa guziki zatopione w zimnym tłuszczu; tkwiły w zimnym pocie prastarego mułu. Każdy zaś guzik to jajnik, który się odkleił, ilustracja ze słownika bez dobrodziejstwa lukubracji; zmatowiały w zimnym, żółtym tłuszczu gałki ocznej, każdy guzikowaty jajnik tchnął podziemnym chłodem, stanowił piekielną ślizgawkę, gdzie ludzie stali w lodzie na głowach, z nogami swobodnymi, oczekując pogryzienia. Tam przechadzał

się samotnie Dante przytłoczony swoją wizją, mijał kolejne niezliczone kręgi i tak zbliżał się do nieba, by zasiąść na tronie własnego dzieła. Tam Szekspir z pogodnym czołem zapadał w bezdenne rozmyślenia pełne gniewu, by wyłonić się w eleganckich quatro i w intrygach. Puszysty szron niezrozumienia zmiatany huraganami śmiechu. Z jądra ropuszego oka promieniowały czyste białe szprychy klarownej jasności, których niepodobna opatrzyć przypisami ani zaklasyfikować, policzyć ani zdefiniować, gdyż obracają się niewidzialnie w kalejdoskopowych zmianach. Hymie ropucha był jajnikowym złączem na wysokim przejeździe między dwoma brzegami: to dla niego zbudowano owe drapacze chmur, wykarczowano dzikie tereny, zmasakrowano Indian, wymordowano bizony; dla niego połączono Mostem Brooklyńskim dwa bliźniacze miasta, zatopiono kesony, od jednej wieży do drugiej przeciągnięto kable; dla niego ludzie siedzieli do góry nogami na niebie wypisując ogniem i dymem rozmaite słowa; dla niego wymyślono środki znieczulające, kleszcze medyczne i Grubą Bertę, aby mogły zniszczyć to, czego oko nie dojrzy; dla niego rozszczepiono molekułę i wykazano, że atom nie ma substancji; dla niego co noc omiatano teleskopami gwiazdy i fotografowano rodzące się światy w chwili poczęcia; dla niego urągano barierom czasu i przestrzeni, wielcy zaś kapłani wywłaszczonego kosmosu wyjaśniali niepodważalnie i nieodwołalnie wszelki ruch, czy to lot ptaków, czy też obroty planet. Właśnie wtedy, powiedzmy na środku mostu, w środku spaceru, zawsze w środku, czy to książki, rozmowy czy aktu miłosnego, odradzała się we mnie myśl, że nigdy nie robiłem tego, na co miałem ochotę, i z tego zaniechania wyrósł we mnie ten twór, który był niczym innym jak tylko obsesyjną rośliną, krzewem koralowym zagarniającym wszystko, łącznie z życiem, aż życie stało się tym, czego się wypierano, a co wciąż się na nowo objawiało dając życie, a zarazem je zabijając. Widziałem, jak to coś czepia się śmierci niczym włosy rosnące u trupa, ludzie mówią „śmierć”, lecz włosy nadal świadczą o życiu, na ostatku nie ma już śmierci, tylko życie włosów i paznokci, ciało odchodzi, stygnie duch, tyle że w śmierci nadal coś żyje, zagarnia przestrzeń, napędza czas, tworzy nieustający ruch. Może tego dokonać miłość albo smutek, albo fakt narodzin ze szpotawą nogą; przyczyna niczym, zdarzenie wszystkim. Na początku było Słowo... Czymkolwiek to Słowo było, chorobą czy twórczością, tak czy owak zaczęło się gwałtownie szerzyć; pędziło wciąż naprzód wyprzedzając czas i przestrzeń, przeżywając anioły, detronizując Boga, rozpętując wszechświat. Każde słowo zawierało w sobie wszystkie słowa - dla tego, który nabrał dystansu poprzez miłość, smutek czy z jakiegokolwiek innego powodu. W każdym słowie prąd biegł z powrotem do zaginionego początku, którego nigdy się znów nie odnajdzie, albowiem nie ma początku ani końca, tylko to, co się w początku i w końcu wyraża. Toteż w wagonie jajników podróżowali

razem człowiek i ropucha zbudowani z tej samej materii, nie lepszej i nie gorszej od Dantego, chociaż z pewnością innej, przy czym jeden nie znał dokładnie znaczenia niczego, drugi zaś znał aż nazbyt dokładnie znaczenie wszystkiego, stąd obaj stropieni i zagubieni w początkach i końcach jechali, by wreszcie wysiąść przy Java bądź India Street, w Greenpoint, gdzie miały ich z powrotem włączyć w tak zwany nurt życia dwie trocinowe lalunie ze znanego gatunku brzuchonogów z rozedrganymi jajnikami.

Za najwspanialszy dowód własnego przystosowania bądź nieprzystosowania do moich czasów poczytuję sobie dzisiaj fakt, że w gruncie rzeczy nie interesowało mnie nic, o czym pisano lub mówiono. Intrygował mnie jedynie przedmiot, odrębna, odosobniona, nieistotna rzecz. Mogła to być część ciała ludzkiego, klatka schodowa w teatrzyku wodewilowym, komin albo guzik znaleziony w rynsztoku. Cokolwiek to było, pozwalało mi się otworzyć, poddać, złożyć podpis. Nie mogłem się bowiem podpisać pod rozgrywającym się wokół mnie życiem, pod ludźmi, którzy stworzyli znany mi świat. Stawiałem się zdecydowanie poza ich światem, tak jak kanibal stawia się poza obrębem cywilizowanego społeczeństwa. Przepęłniała mnie perwersyjna miłość do rzeczy samej w sobie - nie tyle więc filozoficzna, ile żarliwy, rozpaczliwie żarliwy głód, jak gdyby w tej porzuconej, bezwartościowej rzeczy, przez wszystkich pogardzanej, kryła się tajemnica mojej regeneracji.

Żyjąc w świecie odznaczającym się zalewem nowości, opowiadałem się za tym, co stare. W każdym przedmiocie znajdowała się drobna cząsteczka, która szczególnie przykuwała moją uwagę. Mikroskopowym okiem wychwytywałem każdą skazę, każde ziarnko brzydoty, które dla mnie stanowiło o pięknie danego przedmiotu. Cokolwiek odsuwało ów przedmiot na bok, czyniło go niezdatnym do użytku lub przesądzało o jego przestarzałości, sprawiało, że stawał mi się bliski i pociągający. Jeżeli nawet była to perwersja, był to zarazem objaw zdrowia, zważywszy, że nie czułem się skazany na przynależność do świata, który wokół mnie powstawał. Niebawem i ja miałem się upodobnić do owych tak przeze mnie czczonych przedmiotów, stać się kimś odsuniętym na boczny tor, bezużytecznym członkiem społeczeństwa. Z całą pewnością byłem przestarzały, to jedno nie ulegało kwestii. A mimo to potrafiłem rozbawiać, pouczać, inspirować. Tyle że nigdy nie miałem zyskać pełnej aprobaty. Kiedy przyszła mi taka ochota, kiedy coś mnie takiego podkuśliło, umiałem wybrać sobie dowolnego człowieka, z dowolnej warstwy społecznej, i kazać mu się wysłuchać. Mogłem do woli wywierać na niego wpływ niczym mag albo czarodziej, pod warunkiem, że mnie nie opuszczał mój duch. W głębi serca wyczuwałem u innych nieufność, skrępowanie, wrogość, zresztą nie do wytrzebień, gdyż dyktował je instynkt. Powinienem być zostać kłownem, co by mi pozwalało na największą grę środków

wyrazu. Nie doceniałem jednak tej profesji. Gdybym został klownem, czy nawet komikiem wodewilowym, zyskałbym sławę. Ludzie chwaliliby mnie właśnie za to, że mnie nie rozumieją; rozumieliby tylko tyle, że nie sposób mnie zrozumieć. Już sam ten fakt przynosiłby jakąś ulgę.

Nie mogłem się nigdy nadziwić, że ludzi tak często ogarnia irytacja, kiedy słuchają moich słów. Może popadałem nieraz w pewną ekstrawagancję, chociaż nierzadko zdarzało się to, kiedy trzymałem się głównego kursu. Zmiana frazy, wybór niefortunnego przymiotnika, łatwość, z jaką słowa cisnęły mi się na usta, aluzje do tematów będących na ogół tabu - wszystko sprzysięgało się przeciwko mnie, odrzucając mnie jako wyrzutka, wroga społeczeństwa. Choćby wszystko się zaczęło jak najpomyślniej, prędzej czy później wietrzono we mnie coś nie tak. Jeżeli byłem na przykład skromny i pokorny, to byłem wówczas zbyt skromny i zbyt pokorny. Jeżeli byłem wesoły i spontaniczny, śmiały i beztroski, to byłem nazbyt swobodny, nazbyt wesoły. Nigdy nie mogłem się zgrać *au point* z osobnikiem, z którym akurat rozmawiałem. Sytuacja nie ulegała bynajmniej zmianie, jeżeli w grę nie wchodziła kwestia życia i śmierci - a dla mnie wówczas wszystko nią było - tylko kwestia spędzenia miłego wieczoru u kogoś ze znajomych. Emanowały ze mnie wibracje, przytony i półtony, które nieprzyjemnie obciążały atmosferę. Czasami cały wieczór zabawiałem towarzystwo swoimi opowieściami, rozśmieszałem, jak to często bywało, do łez, i wszystko się dobrze zapowiadało. Ale los tak chciał, że zawsze przed końcem wieczoru musiało się coś wydarzyć, musiała się rozpuścić jakaś wibracja, od której zaczynał drżeć żyrandol albo która przypominała jakiejś wrażliwej duszy o nocniku pod łóżkiem. Chociaż więc śmiech dopiero zamierał, już się dawało wyczuć jad. - Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy - powiadano, ale wyciągnięta do mnie wilgotna, bezwładna ręka zadawała kłam tym słowom.

*Persona non grata!* Jezu, jakie mi się to dzisiaj wydaje oczywiste! Żadnych wyborów, żadnych możliwości: musiałem brać to, co było do wzięcia i starać się to polubić. Musiałem się nauczyć żyć z szumowinami, pływać jak szczur rynsztokowy albo zatonać. Jeżeli ktoś postanowi dołączyć do stada, już się uodparnia. Żeby zyskać poparcie i poklask, trzeba się wyrzec swojej indywidualności, trzeba się nie wyróżniać ze stada. Można marzyć, jeżeli marzy się tak samo. Ale jeśli komuś marzy się coś innego, już przestaje być w Ameryce, Amerykaninem z Ameryki, lecz staje się Hotentotem z Afryki albo Kałmukiem, albo szympansem. Z chwilą gdy się ma „inne” myśli, przestaje się być Amerykaninem. A z chwilą gdy człowiek staje się kimś innym, ląduje na Alasce, na Wyspie Wielkanocnej albo w Islandii.

Czy mówię to z goryczą, zazdrością, urazą? Może. Może żałuję, że nie potrafiłem się stać Amerykaninem. Może. W swoim zapale, który jest przecież amerykański, właśnie mam spłodzić monstrualne gmaszysko, drapacz chmur, który niewątpliwie przetrwa znacznie dłużej niż wszystkie inne drapacze chmur, ale który też zniknie, kiedy przeminie to, co go zrodziło. Pewnego dnia zniknie wszystko, co amerykańskie, bardziej doszczętnie niż kultura grecka, rzymska czy egipska. Jest to jedna z tych myśli, które wypychały mnie poza obręb ciepłego, przytulnego krwiobiegu, gdzie niegdyś wszyscy, jako te bizona, paśliśmy się w spokoju. Myśl, która wpędziła mnie w bezgraniczny smutek, albowiem najwyższą męką jest nie należeć do czegoś trwałego. Ale nie jestem bizonem, nigdy też nie chciałem nim być, nie jestem nawet duchowym bizonem. Wymknąłem się, żeby się włączyć w znacznie starszy strumień świadomości, w rasę poprzedzającą bizona, w rasę, która owe bizona przeżyje.

Wszystkie przedmioty, wszystkie rzeczy ożywione i nieożywione, które są inne, posiadają trwałe cechy niemożliwe do wykorzenia. Niczego, co jest mną, nie da się wykorzeniać, bo jest inne. Jest to, jak powiedziałem, drapacz chmur, tyle że inny od zwykłego drapacza chmur *a l'americaine*. W tym gmachu nie ma wind ani okien na siedemdziesiątym drugim piętrze, z których można by skoczyć. Jeżeli komuś znudzi się wspinaczka w górę, to ma cholernego pecha. W głównym holu nie ma automatycznego spisu lokatorów. Jeżeli ktoś kogoś szuka, będzie musiał szukać na własną rękę. Jeżeli ma się ochotę napić, będzie musiał w tym celu wyjść na zewnątrz; w tym budynku brak saturatorów z napojami, kiosków z cygarami, budek telefonicznych. Wszystkie inne drapacze chmur mają to, czego wam potrzeba! Ten zaś jeden zawiera tylko to, czego potrzeba mnie, co ja sam lubię. Gdzieś w tym drapaczu chmur bytuje Valeska, jeszcze do niej dojdziemy, kiedy tak mi nakaże mój duch. Na razie Valeska miewa się dobrze, bo spoczywa dwa metry pod powierzchnią, już chyba obrana do czysta przez robaki. Kiedy miała jeszcze ciało, też była obrana do czysta przez robaki ludzkie, które nie żywią szacunku dla niczego, co ma inne zabarwienie, inny zapach.

Smutkiem napawał fakt, że w żyłach Valeskiej płynęła murzyńska krew. Bardzo to przygnębiało wszystkich z jej otoczenia. Bo czy ktoś chciał, czy nie, ona zawsze dawała to do zrozumienia. Murzyńska krew, jak powiadam, i fakt, że matka była dziwką. Matka była, oczywiście, biała. O ojcu nikt nic nie pamiętał, nawet sama Valeska.

Wszystko toczyło się gładko do czasu, gdy wyszpiegował ją pewien usłużny Żydek z gabinetu wiceprezesa. Był przerażony, co mi oznajmił w zaufaniu, że mogłem zatrudnić kolorową jako swoją sekretarkę. Przedstawił to tak, jak gdyby mogła zarazić posłańców. Nazajutrz wezwano mnie na dywanik. Zupełnie jak gdybym popełnił świętokradztwo. Udawałem, rzecz jasna, że nie zauważyłem u niej nic niezwykłego, poza tym, że jest nad

wyraz inteligentna i nad wyraz kompetentna. Na ostatku wkroczył w to sam prezes. Odbił krótką rozmowę z Valeską, podczas której dyplomatycznie zaproponował jej objęcie lepszego stanowiska w Hawanie. Nie padło ani słowo o nieszczęsnej domieszce w jej krwi. Tylko że tak świetnie sprawdziła się w swojej pracy, iż chciałby ją awansować - do Hawany. Valeska wróciła do biura oburzona. A kiedy się złościła, wyglądała bosko. Powiedziała, że nie ruszy się ani na krok. Byli tam akurat Steve Romero i Hymie, wszyscy razem wybraliśmy się na kolację. Przez cały wieczór siedzieliśmy jak ścięci. Valeskiej nie zamykała się buzia. W drodze do domu oświadczyła mi, że zamierza wszcząć walkę; dopytywała tylko, czy nie zagraża to mojej posiadzie. Powiedziałem jej spokojnie, że jeżeli ją wyrzucą, to i ja odejdę. Z początku udawała, że nie wierzy. Upewniłem ją, że mówię szczerze, że nie obchodzą mnie skutki. Chyba przesadnie się tym przejęła; wzięła moje ręce w swoje i trzymała je bardzo delikatnie, a łzy płynęły jej ciurkiem po policzkach.

Tak się to wszystko zaczęło. Chyba zaraz nazajutrz podsunąłem jej liścik, że szaleję na jej punkcie. Przeczytała go siedząc naprzeciwko mnie, a kiedy skończyła, popatrzyła mi prosto w oczy i oznajmiła, że nie wierzy. Ale tego wieczoru znów poszliśmy na kolację, trochę więcej wypiliśmy, zaczęliśmy tańczyć i w tańcu Valeska przytuliła się do mnie zmysłowo. Traf chciał, że właśnie w tym czasie moja żona szykowała się do kolejnej skrobanki. Powiedziałem o tym Valeskiej podczas tańca. W drodze do domu raptem zwróciła się do mnie z propozycją: - Może ci pożyczyć sto dolarów? - Następnego dnia wieczorem przyprowadziłem ją do nas do domu na kolację, gdzie wręczyła mojej żonie sto dolarów. Nie posiadałem się ze zdziwienia, że tak szybko znalazły wspólny język. Przed końcem wieczoru ustalono, że Valeska przyjdzie do nas w dniu skrobanki i zajmie się dzieckiem. Nadszedł ten dzień, dałem Valeskiej wolne popołudnie. W godzinę po jej wyjściu uznałem, że też wezmę sobie wolne. Ruszyłem w kierunku teatru burleski na Czternastej Ulicy. Kiedy byłem już jedną przecznicę od teatru, nagle zmieniłem zdanie. Przemknęło mi przez głowę, że gdyby coś się stało - gdyby moja żona miała wykitować - nie czułbym się, cholera, zbyt dobrze, gdybym spędził popołudnie w teatrze burleski. Pospacerowałem trochę pod arkadami, po czym ruszyłem do domu.

Aż dziwne, jak to się wszystko potoczyło. Usiłując zabawić dzieciaka, naraz przypomniałem sobie sztuczkę, jaką mi w dzieciństwie pokazywał dziadek. Bierze się kostki domina i buduje z nich wysokie okręty wojenne; następnie delikatnie pociąga się obrus, po którym owe okręty płyną, aż dotrą do krawędzi stołu, a wtedy szarpie się gwałtownie i wszystkie spadają na podłogę. Powtarzaliśmy ten manewr we trójkę wiele razy, aż mała zrobiła się taka senna, że poczłapała do drugiego pokoju i tam zasnęła. Kostki domina

poniewierały się po całej podłodze, obok leżał obrus. I nagle Valeska siedziała oparta o stół, język miała głęboko zanurzony w moich ustach, a ja trzymałem rękę między jej nogami. Kiedy ją położyłem na stole, owinęła nogi wokół mnie. Czułem jedną kostkę domina pod stopą - część floty, którą zatopiliśmy tuzin albo i więcej razy. Przypomni mi się dziadek, jak siedział na ławce i przestrzegał moją matkę, że jestem za mały, żeby tyle czytać, to jego spojrzenie pełne zadumy, kiedy przykładał gorące żelazko do wilgotnego szwu marynarki; przypomni mi się atak ciężkiej jazdy na wzgórzu San Juan, rysunek przedstawiający Teda Roosevelta w natarciu na czele swoich ochotników, z wielkiej książki, którą czytywałem za ławką w warsztacie; przypomni mi się krażownik Maine, który pływał po moim łóżku w pokoiku z zakratowanym oknem, admirał Devey, a także Schley i Sampson; przypomni mi się wycieczka do portu marynarki wojennej, która mnie ominęła, bo po drodze mój ojciec raptem sobie przypomniał, że mieliśmy się tego dnia stawić u lekarza, kiedy zaś wyszliśmy z gabinetu, byłem nie tylko pozbawiony migdałków, ale i wszelkiej wiary w ludzi... Ledwie skończyliśmy, zadzwonił dzwonek, to moja żona wracała z rzeźni. Kiedy szedłem otworzyć drzwi, jeszcze zapinałem rozporek. Żona była biała jak młynarz. Miała taką minę, jak gdyby nie było jej pisane przeżyć kolejnego zabiegu. Zapakowaliśmy ją do łóżka, następnie pozbieraliśmy kostki domina i rozesłaliśmy obrus z powrotem na stole. Zaledwie kilka dni temu w małym bistro, wychodząc do toalety, minąłem dwóch starszych panów grających w domino. Musiałem na chwilę przystanąć i podnieść jedną kostkę. Jej dotyk natychmiast przypomni mi tamte okręty i łoskot, z jakim spadały na podłogę. A wraz z okrętami moje utraczone migdałki i utraconą wiarę w ludzi. Toteż za każdym razem, kiedy szedłem Mostem Brooklyńskim i patrzyłem z góry na port marynarki wojennej, czułem się, jakby mi dusza uciekała w pięty. Tam w górze, zawieszony między dwoma brzegami, zawsze się czułem, jak gdybym wisiał nad próżnią; wszystko, co mi się dotąd zdarzyło, wydawało mi się tam nierealne, gorzej niż nierealne - niepotrzebne. Zamiast przybliżyć mnie do życia, do ludzi, do działań ludzkich, most niejako zrywał wszelkie więzy. I nieważne, czy zbliżałem się do jednego, czy też do drugiego brzegu: po obu stronach czyhało piekło. Jakoś udało mi się zerwać więzy ze światem tworzonym ludzkimi rękami i umysłami. Może dziadek miał rację, może wypaczyły mnie przeczytane za młodu książki. Ale już od wieków książki nie roszczą sobie do mnie prawa. Dawno przestałem na dobrą sprawę czytać. Zły wpływ jednak pozostał. Teraz ludzie są dla mnie książkami. Czytam ich od deski do deski, po czym odrzucam na bok. Pochłaniam ich, jednego po drugim. A im więcej czytam, tym bardziej rośnie mi apetyt. Nie ma temu końca. Nie mogło być końca i nie było, aż pewnego dnia zaczął się we mnie budować most, a ten połączył mnie na nowo z nurtem życia, z którego wyłączyłem się jeszcze

w dzieciństwie.

Straszliwe poczucie odosobnienia. Wisiało nade mną przez wiele lat. Gdybym wierzył gwiazdom, musiałbym wierzyć, że pozostaję w absolutnym władaniu Saturna. Wszystko, co mnie spotkało, spotkało mnie zbyt późno, żeby coś dla mnie znaczyć. Podobnie rzecz się miała z moimi narodzinami. Przewidziany na Boże Narodzenie, urodziłem się pół godziny za późno. Zawsze mi się wydawało, że miałem być takim człowiekiem, jakim się zostaje przez sam fakt urodzenia 25 grudnia. Tego dnia urodził się admirał Dewey, a także Jezus Chrystus... może też, kto wie, i Krisznamurti. W każdym razie szykował mi się taki właśnie los. Ponieważ jednak moja matka miała zaciśniętą macicę i trzymała mnie w uścisku niczym ośmiornica, przyszedłem na świat w zupełnie innej konfiguracji - innymi słowy, pod złą gwiazdą. Powiadają - to znaczy, astrologowie - że z czasem wszystko obróci się dla mnie na lepsze; czeka mnie ponoć chwalebna przyszłość. Tylko co mnie obchodzi przyszłość? Byłoby znacznie lepiej, gdyby rano 25 grudnia moja matka spadła ze schodów i złamała sobie kark: to by mi dało dobry start! Kiedy więc myślę o tym, gdzie nastąpił rozłam, przesuwam go coraz bardziej wstecz, aż nie ma się dokąd cofnąć, tylko trzeba wszystko złożyć na karb mojej spóźnionej godziny narodzin. Nawet moja matka, ze swoimi ciętym językiem, jakby to rozumiała. - Zawsze się wleciesz! w tyle jak krowi ogon - tak o mnie mawiała. Ale czy to moja wina, że trzymała mnie u siebie w zamknięciu, aż przeszła owa godzina? Przeznaczenie wybrało mnie na takiego a takiego człowieka; położenie gwiazd było pomyślne, ja zaś zgodnie z ich wolą wierzyłem, żeby się wydostać na zewnątrz. Tyle że nie do mnie należał wybór matki, która mnie miała powić. Zważywszy okoliczności, może mam szczęście, że nie urodziłem się debilem. Jedno wszak wydaje się pewne - a jest to kac po owym dwudziestym piątym - że urodziłem się z kompleksem ukrzyżowania. Czyli, ściśle rzecz biorąc, urodziłem się jako fanatyk. Fanatyk! Pamiętam, jak od najwcześniejszego dzieciństwa obrzucano mnie tym słowem. Zwłaszcza rodzice. Kto to jest fanatyk? Ktoś, kto żarliwie wierzy i rozpaczliwie postępuje w imię swojej wiary. Zawsze w coś wierzyłem, stąd moje kłopoty. Im bardziej dostawałem po łapach, tym gorliwiej wierzyłem. Wierzyłem - a reszta świata nie wierzyła! Gdyby to była wyłącznie kwestia znoszenia kary, można by wierzyć do ostatka; jednakże świat jest znacznie bardziej podstępny. Zamiast człowieka karać, podkopyje go, wydrąży od środka, usuwa mu ziemię spod nóg. Nie chodzi mi nawet o zdradę.. Tę można zrozumieć, można z nią nawet walczyć. Nie, to coś znacznie gorszego, coś bardziej perfidnego niż zdrada. Negatywizm, który zapędza człowieka w kozi róg. Wciąż marnujemy energię, żeby złapać równowagę. Ogarnia nas duchowy zawrót głowy, balansujemy na krawędzi, włosy nam się jeżą, nie możemy uwierzyć, że pod nogami mamy bezdenną przepaść. Przyczyna



tkwi w nadmiarze entuzjazmu, w żarliwym pragnieniu, żeby wyściskać ludzi, okazać im swoją miłość. Im bardziej wyciągamy ręce ku światu, tym bardziej ten się usuwa. Nikt nie chce prawdziwej miłości, prawdziwej nienawiści. Nikt nie chce, żebyśmy zanurzyli rękę w jego tajemnych wnętrznościach - wolno to jedynie księdzu w chwili składania ofiary. Dopóki żyjemy, dopóki tętni w nas jeszcze ciepła krew, musimy udawać, że coś takiego jak krew nie istnieje, podobnie jak nie istnieje szkielet pod okrywającym go ciałem. Nie deptać trawników! Oto motto przyświecające ludziom.

Jeżeli zbyt długo balansujemy na krawędzi przepaści, nabywamy wielkiej, ale to wielkiej wprawy: w którąkolwiek stronę nas popchną, zawsze chwytną równowagę. Ponieważ ustawicznie jesteśmy w formie, wpadamy w szaleńczą radość, radość, można by rzec, nienaturalną. W obecnych czasach istnieją na świecie tylko dwa narody, które pojmują głębszy sens takiego stwierdzenia - Żydzi i Chińczycy. Jeżeli nie mieliśmy akurat szczęścia urodzić się w jednym z nich, czeka nas niewesoły los. Zawsze śmiejemy się w nieodpowiedniej chwili; biorą nas za okrutników bez serca, gdy w istocie jesteśmy jedynie twardzi i odporni. Ale jeżeli ktoś się śmieje wtedy, kiedy inni się śmieją, i płacze, kiedy inni płaczą, musi być gotów umrzeć tak jak oni i tak jak oni żyć. Znaczy to, że ma się rację, chociaż i tak najgorzej się na tym wychodzi. Znaczy to być martwym, kiedy jest się żywym, a żywym dopiero po śmierci. W tym towarzystwie świat zawsze przybiera oblicze normalności, nawet w najbardziej nienormalnych okolicznościach. Nic nie jest słuszne bądź niesłuszne, dopiero myśl nadaje rzeczom dany wymiar. Człowiek przestaje wierzyć w rzeczywistość, zaczyna wierzyć w myślenie. A kiedy nadciąga kres, wraz z człowiekiem odchodzą jego myśli i stają się dlań bezużyteczne.

Jeśli w to głęboko, bardzo głęboko wniknąć, na Chrystusa nigdy nie przyszedł kres. W chwili, gdy chwiał się i kołysał, jak gdyby ogromnie się wzbraniał, negatywny wir wodny zakotłował się i wstrzymał jego śmierć. Cały negatywny impuls ludzkości skłębił się poniekąd w gigantyczną, bezwładną masę, aby utworzyć człowiecze integrum, postać numer jeden, jedyną i niepodzielną. Nastąpiło zmartwychwstanie niemożliwe do wyjaśnienia, chyba że przyjmujemy fakt, iż ludzie zawsze byli skłonni i skorzy odrzucić własne przeznaczenie. Ziemia kręci się dalej, kręcą się też gwiazdy, a ludzie, wielka rzesza ludzi tworzących świat, są ujęci w wizerunku tego jednego jedyne.

Jeżeli ktoś nie zostanie ukrzyżowany na wzór Chrystusa, jeżeli zdoła przetrwać, żyć dalej całkowicie wolny od poczucia rozpacz i bezsensu, wówczas zdarza się kolejna dziwna rzecz. Jak gdyby się w istocie umarło i ponownie zmartwychwstało; taki ktoś żyje supernormalnym życiem zupełnie jak Chińczycy. Innymi słowy, jest nienaturalnie wesół,

nienaturalnie zdrów, nienaturalnie obojętny. Umknął gdzieś tragiczny wymiar: człowiek żyje jak kwiat, jak kamień, jak drzewo, w jedności z przyrodą, a zarazem wbrew przyrodzie. Jeżeli umiera nasz najlepszy przyjaciel, nie zaprzędamy sobie nawet głowy pójściem na pogrzeb; jeżeli kogoś na naszych oczach przejedzie tramwaj, kroczymy dalej, jak gdyby nic się nie stało; jeżeli wybucha wojna, niech sobie przyjaciele idą na front, nas ta rzeź nie interesuje. I tak dalej, i dalej. Życie staje się widowiskiem, a jeżeli ktoś jest akurat twórcą, rejestruje przemijający spektakl. Nie ma mowy o samotności, bo ulegają zniszczeniu wszelkie wartości, łącznie z naszymi własnymi. Kwitnie jedynie współczucie, nie jest to wszakże ludzkie współczucie, współczucie ograniczone, tylko coś monstrualnego i złego. Tak niewiele nas obchodzi, że gotowi jesteśmy poświęcić samych siebie dla kogokolwiek lub czegokolwiek. Równocześnie w niesłychanym tempie rozwija się nasze zainteresowanie, nasza ciekawość. To też jest podejrzane, bo może nas przykuć do guzika tak samo jak do ważkiej sprawy. Między rzeczami nie ma podstawowej, niezmiennej różnicy: wszystko płynie, wszystko podlega zagładzie. Powierzchnia naszego istnienia wciąż się kruszy; w środku natomiast twardniejemy jak diament. Może właśnie ów twardy, magnetyczny środek przyciąga do nas chcąc nie chcąc innych. Jedno jest pewne, że kiedy umieramy i zmartwychwstajemy, należymy do ziemi, toteż wszystko, co jest z tej ziemi, staje się nieodwołalnie naszym udziałem. Stajemy się dziwami natury, bytami bez cienia; nigdy ponownie nie umrzemy, tylko przeminiemy niczym zjawiska wokół.

Nic z tego, o czym teraz piszę, nie było mi znane w owym czasie, kiedy dokonywała się we mnie wielka przemiana. Wszystko, co znosiłem, stanowiło jedynie przygotowanie do tej chwili, kiedy pewnego wieczoru, włożywszy kapelusz na głowę, wyjdę z tego biura, z dotychczasowego życia osobistego, i poszukam kobiety, która wyzwoli mnie od śmierci za życia. Z tej perspektywy patrzę teraz na swoje nocne włóczęgi po ulicach Nowego Jorku, na białe noce przespacerowane we śnie, kiedy widziałem miasto, w którym się urodziłem, tak jak ktoś widzi miraż. Często na tych wyciszonych ulicach towarzyszył mi O'Rourke, detektyw firmy. Często śnieg pokrywał ziemię, a powietrze było mroźne. O'Rourke gadał bez przerwy o kradzieżach, o morderstwach, o miłości, o naturze ludzkiej, o Złotym Wieku. Miał taki zwyczaj, że kiedy dobrze się już zapuścił w jakiś temat, przystawał nagle pośrodku ulicy i stawiał swoją ciężką stopę między moimi, żebym się nie mógł ruszyć. Następnie, chwytając mnie za poły marynarki, przysuwał swoją twarz do mojej i mówił mi prosto w oczy, przy czym każde słowo wwiercało się jak obrót świdra. Widzę znów, jak o czwartej nad ranem stoimy we dwóch pośrodku ulicy, wiatr wyje, śnieg sypie na miasto, a O'Rourke niepomny na nic poza opowieścią, którą musi z siebie wyrzucić. Pamiętam, że zawsze podczas tych jego

monologów zerkałem kątem oka na okolicę, świadom nie tyle jego słów, ile tego, że stoimy w Yorkville albo na Allen Street, albo na Broadwayu. Przejęcie, z jakim mi relacjonował banalne historyjki o morderstwach pośród największego nieładu architektonicznego stworzonego kiedykolwiek przez człowieka, zawsze trąciło dla mnie szaleństwem. Kiedy tak gadał o odciskach palców, ja szacowałem wzrokiem zwieńczenia i gzymsy kamieniczki z czerwonej cegły tuż za jego czarnym kapeluszem; myślałem o dniu, w którym ten gzyms zainstalowano, kto mógł go zaprojektować i dlaczego wyszedł mu taki brzydki, tak podobny do wszystkich innych koszmarnych, szpetnych gzymsów, jakie mijaliśmy po drodze z Dzielnicy Wschodniej do Harlemu i dalej, za Nowym Jorkiem, za rzeką Missisipi, za Wielkim Kanionem, za pustynią Mojave, wszędzie w Ameryce, gdzie buduje się domy dla ludzi. Wydawało mi się to czystym szaleństwem, że przez całe życie dzień w dzień muszę siedzieć i wysłuchiwać opowieści innych ludzi, banalnych tragedii nędzy i rozpacz, miłości i śmierci, tęsknoty i rozczarowania. Skoro, jak to się zdarzało, codziennie przychodziło do mnie przynajmniej pięćdziesiąt osób, a każda wylewała przede mną swoje żale i wobec każdej musiałem być niemy słuchaczem, nic dziwnego, że w którymś momencie zatkałem uszy, znieczuliłem serce. Wystarczał mi najmniejszy kąsek; mogłem go przeżuwać i trawić wiele dni i tygodni. Mimo to musiałem tam siedzieć zalewany przez tę powódź, podczas wieczornych spacerów znów wysłuchiwać, słuchać przez sen, słuchać marząc. Napływali z całego świata, ze wszystkich warstw społecznych, mówili tysiącem różnych języków, czcili różnych bogów, stosowali się do różnych praw i obyczajów. Olbrzymią księgę stanowiły opowieści najbiedniejszych, ale chociaż każda z nich miała swoją okazałą objętość, można by je wszystkie skrócić do rozmiarów dziesięciu przykazań, można by je zmieścić, tak jak modlitwę Ojczy Nasz, na odwrocie znaczka pocztowego. Codziennie tak się rozrastałem, że moja kryjówka zdawała się obejmować cały świat; kiedy zostawałem sam, kiedy już nie musiałem słuchać, kurczyłem się do rozmiarów łebka od szpilki. Największą rozkoszą, choć jakże rzadką, było spacerować ulicami samemu... spacerować nocą ulicami, kiedy nikt się nie kręcił po mieście, i dumać nad otaczającą mnie ciszą. Miliony leżały na wznak, martwe dla świata, z szeroko otwartymi ustami, wydając z siebie co najwyżej chrapanie. Przechadzałem się pośród najdziwniejszej architektury, jaką kiedykolwiek wymyślono, zastanawiając się, dlaczego i po co, skoro codziennie z tych obskurnych nor lub z przepysznych pałaców wylewa się armia ludzi, którzy marzą tylko o tym, żeby perorować o własnej niedoli. W ciągu roku wysłuchiwałem skromnie licząc dwudziestu pięciu tysięcy opowieści; przez dwa lata pięćdziesięciu tysięcy; przez cztery dojdę do stu tysięcy; za dziesięć lat zwariuję ze szczętem. Już znałem tyle osób, że mogłyby zaludnić niemałe miasto. Ale co by to było za miasto,

gdyby tak wszystkich zebrać do kupy! Czy domagaliby się drapaczy chmur? Czy domagaliby się muzeów? Czy domagaliby się bibliotek? Czy również budowałiby rynsztoki, mosty, tory kolejowe i fabryki? Czy projektowałiby takie same gzymsy z blachy podobne kubek w kubek do siebie, ciągnące się *adinfinitum* od Battery Park aż do Golden Bay? Wątpię. Tylko klęska głodu mogłaby nimi wstrząsnąć. Pusty brzuch, dziki wzrok, strach, strach przed gorszym pcha ich naprzód. Jeden za drugim, a wszyscy tacy sami, wszyscy doprowadzeni do rozpacz, popędzani kijem i smagani głodem budują najwyższe drapacze chmur, najgroźniejsze pancerniki, wykonują najszlachetniejszą stal, najdelikatniejsze koronki, najmisterniejsze wyroby ze szkła. Spacerzy z O'Rourke, wypełnione słuchaniem tylko i wyłącznie o kradzieżach, arszeniku, gwałtach, zabójstwach, przypominały śledzenie jednego małego motywu w wielkiej symfonii. I tak jak ktoś może gwizdać Bacha i myśleć o kobiecie, z którą chce się przespać, tak ja słuchając O'Rourkego, myślałem tylko o tym, kiedy skończy gadać i spyta: - Co byś zjadł? - Pośród najbardziej makabrycznych morderstw potrafiłem myśleć o befsztyku z polędwicy, który na pewno gdzieś tu po drodze dostaniemy, zastanawiać się, jaką do tego podadzą jarzynę i czy na deser lepiej zamówić placek, czy budyń z sosem waniliowym. Podobnie było, kiedy raz na czas spałem ze swoją żoną; kiedy ta jęczała i coś tam mamrotała, potrafiłem się zastanawiać, czy wyrzuciła fusy z maszynki do kawy, bo miała brzydki zwyczaj zaniedbywania różnych - i to ważnych - rzeczy. Świeża kawa była ważna, podobnie jak jajka na świeżym bekonie. Gdybym ją znów podkuł, pewnie nie byłoby najlepiej, bądź co bądź poważna sprawa, ale ważniejsza była świeża kawa z samego rana i zapach jajek na bekonie. Mogłem znosić rany w sercu, skrobanki i nieudane romanse, ale żeby brnąć dalej, musiałem sobie napęścić brzuch, i to czymś pożywным, czymś smacznym. Czułem się dokładnie tak, jak by się czuł Jezus Chrystus, gdyby go zdjęto z krzyża i nie dopuszczono do śmierci ciała. Jestem pewien, że wstrząs ukrzyżowania byłby tak potężny, iż Jezus doznałby całkowitej amnezji w odniesieniu do ludzkości. Jestem pewien, że po zagojeniu się ran machnąłby ręką na cierpienia ludzkości, natomiast z wielkim apetytem sięgnąłby po filiżankę świeżej kawy i gorącą grzanekę, zakładając, że miałby je na podorędziu.

Gdy człowiek targany zbyt wielką miłością, która jest zawsze rzeczą potworną, umiera z nieszczęścia, to rodzi się potem na nowo i nie zna miłości ni nienawiści, jedynie radość. A ta radość życia, nabyta w tak nienaturalny sposób, stanowi truciznę, która w końcu poraża cały świat. Cokolwiek powstaje poza normalnymi granicami ludzkiego cierpienia, działa niczym bumerang i przynosi zgubę. W nocy ulice nowojorskie odzwierciedlają ukrzyżowanie i śmierć Chrystusa. Kiedy śnieg leży ma ziemi, a wokół panuje bezbrzeżna cisza, z najohydniejszych budynków Nowego Jorku dobiega muzyka tak czarnej rozpacz i

bankructwa, że całym ciałem wstrząsa dreszcz. Ani jednego kamienia nie położono tu z miłości czy czci; ani jednej ulicy nie zbudowano do tańca czy radości. Jeden element dodawano do drugiego w szalonym zapędzie, żeby napęlić brzuch, toteż ulice zalatują brzuchami pustymi, pełnymi i napelnionymi do połowy. Ulice zalatują głodem, który nie ma nic wspólnego z miłością; zalatują brzuchem nienasyconym oraz czczymi, jałowymi wytworami pustych brzuchów.

W tej czczej, jałowej próżni, w tej zerowej bieli, uczyłem się cieszyć kanapką albo guzikiem. Potrafiłem z największym zainteresowaniem mierzyć wzrokiem gzyms lub zwieńczenie, udając, że słucham opowieści o ludzkiej niedoli. Przypominam sobie daty na niektórych budynkach oraz nazwiska architektów, którzy je projektowali. Przypominam sobie temperaturę i prędkość wiatru, kiedy stałem na jakimś rogu; umknęła tylko towarzysząca im opowieść. Przypominam sobie, że nawet wtedy przypominałem sobie co innego, mógłbym to nawet teraz przywołać, ale po co? Był we mnie człowiek, który umarł i zostały po nim jedynie wspomnienia; był też inny człowiek, który żył, czyli rzekomo ja we własnej osobie, ale żył tylko tak, jak żyje drzewo, kamień albo zwierzę w polu. Tak jak miasto przekształciło się w ogromny grobowiec, w którym ludzie zabiegali o to, żeby zasłużyć na godną śmierć, tak też moje życie zaczęło przypominać grobowiec, który budowałem z własnej śmierci. Krążyłem po kamiennym lesie, a w jego środku panował chaos; czasem w tym martwym środku, w samym sercu chaosu, tańczyłem albo zapijałem się na umór, albo się kochałem, albo się z kimś zaprzyjaźniałem, albo planowałem nowe życie, lecz to wszystko był chaos, kamień, beznadziejny, oszałamiający. Do czasu zetknięcia się z siłą na tyle potężną, żeby mnie wyrwać z tego obłądnego kamiennego lasu, nie miałem szans na żadne życie ani też nie mogłem napisać choćby jednej stronicy, która by miała jakiegokolwiek znaczenie. Niewykluczone, że przy tej lekturze nadal można odnosić wrażenie chaosu, ale zostało to napisane z żywego środka, chaos jest tu jedynie marginalny, bo to, że tak powiem, styczne strzępy świata, który przestał mnie już obchodzić. Zaledwie kilka miesięcy temu stałem na ulicach Nowego Jorku rozglądając się podobnie jak przed laty; i znów się przyłapałem na tym, że studiuję architekturę, mierzę wzrokiem drobne szczegóły wychwytywalne jedynie przez uszkodzone oko. Tym razem jednak przypominało to przyjazd z Marsa. Jakiż ród stanowi człowiek? - pytałem się w duchu. Co to znaczy? I nie nachodziły mnie obrazy cierpienia ani życia dokonanego w rynsztoku, tylko patrzyłem na ten dziwny, niezrozumiały świat, świat tak ode mnie oddalony, jak gdybym pochodził z innej planety. Pewnego wieczoru spoglądałem ze szczytu Empire State Building na miasto, które znałem z dołu; zobaczyłem z prawdziwej perspektywy te ludzkie mrówki, z którymi pełzałem, ludzkie wszy, z którymi się

zmagalem. Ludzie poruszali się w ślimaczym tempie, a każdy niewątpliwie wypełniał swe mikrokosmiczne przeznaczenie. W próżnej rozpaczy wzniesli ów kolosalny gmach, który stanowił ich dumę i chwałę. A u sufitu najwyższego piętra owego kolosalnego gmachu zawiesili sznur klatek, w których bezsensownie trelowały uwięzione kanarki. Na samym szczycie ich ambicji znalazły się te maleńkie kropeczki istnienia trelujące jak im życie miłe. Niewykluczone, że za sto lat - pomyślałem sobie - będą więzić w klatkach ludzi, wesołych, niedorozwiniętych, którzy będą śpiewać o przyszłym świecie. Może uda im się wyhodować trelującą rasę, która będzie trelować, kiedy inni będą się zajmować pracą. Niewykluczone, że w każdej klatce będzie siedział poeta albo muzyk, aby życie tam w dole płynęło bez przeszkód, w jedności z kamieniem, w jedności z lasem, falujący, skrzypiący chaos czczej, jałowej próżni. Za tysiąc lat może wszyscy już będą niedorozwinięci, robotnicy i poeci zarówno, a wszystko z powrotem obróci się w ruinę, jak to już wielokrotnie bywało. Za kolejny tysiąc, pięć albo dziesięć tysięcy lat od dzisiaj, dokładnie w miejscu, gdzie teraz stoję przypatrując się tej scenie, być może mały chłopiec otworzy książkę napisaną w nie znanym dotąd języku, książkę o płynącym tu obecnie życiu, którego autor nigdy nie doświadczył, o życiu wyzutym z formy i rytmu, mającym swój początek i koniec, i zamykając tę książkę pomyśli sobie, co za wspaniały ród był z tych Amerykanów, jakie cudowne życie toczyło się niegdyś na tym kontynencie, który on teraz zamieszkuje. Jednakże żaden przyszły ród, wyjąwszy co najwyżej ród ślepych poetów, nie zdoła sobie nigdy wyobrazić tej kipieli chaosu, z którego wzięła się ta przyszłość.

Chaos! Wyjący Chaos! Nie trzeba nawet wybierać konkretnego dnia. Wystarczy dowolny dzień z mojego ówczesnego życia. Każdy dzień mojego życia, mojego znikomego, mikrokosmicznego życia, odzwierciedlał zewnętrzny chaos. Spróbuję przywołać tamten okres... O siódmej trzydzieści dzwonił budzik. Nie wyskakiwałem z łóżka. Leżałem do pół do dziewiątej, usiłując złapać jeszcze chwilę snu. Snu - gdzie mi tam do snu! W głowie kołatał mi się obraz biura, w którym powinienem już urzędować. Widziałem, jak Hymie przychodzi punktualnie o ósmej, pulpit sterowniczy już brzęczy z żądaniami pomocy, kandydaci wchodzą po szerokich drewnianych schodach, z przebieralni dolatuje silny zapach kamfory. Po co wstawać i powtarzać wczorajszą kołomyję? Zmywali się w tym samym tempie, w jakim ich zatrudniałem. Zaharowywałem się jak dziki osioł, a i tak nie miałem ani jednej porządnej koszuli. W poniedziałki dostawałem kieszonkowe od żony - na dojazdy do pracy i na obiady. Zawsze siedziałem u niej w długach, ona zaś w długach w spożywczym, u rzeźnika, za komorne i tak dalej. O goleniu nie było mowy - nie starczało czasu. Wkładałem podartą koszulę, przelykałem śniadanie, pożyczalem pięć centów na metro. Jeżeli żona miała kiepski

humor, podkradałem pieniądze gazeciarzowi na stacji metra. Wbiegam bez tchu do biura, spóźniony o godzinę, czeka mnie jeszcze kilkanaście telefonów, zanim w ogóle wdam się w rozmowę z pierwszym kandydatem. Kiedy załatwiam jeden telefon, czekają na mnie trzy następne. Rozmawiam z dwóch aparatów naraz. Pulpit sterowniczy brzęczy. Hymie między telefonami struga ołówki. Odźwierny McGovern sterczy przy mnie, żeby mi udzielić rady na temat jednego z kandydatów, najprawdopodobniej wariata, który usiłuje znów się tu wślizgnąć pod fałszywym nazwiskiem. Za plecami mam fiszki i księgi z wykazem wszystkich kandydatów, jacy kiedykolwiek przewinęli się przez ten młyn. Nieprzydatni są oznaczani czerwonymi gwiazdkami; niektórzy mają przy nazwisku po sześć pseudonimów. Tymczasem w pokoju roi się jak w ulu. Cuchnie potem, brudnymi nogami, starymi uniformami, kamforą, lizolem, nieprzyjemnym zapachem z ust. Połowę z nich trzeba będzie odprawić z kwitkiem - nie dlatego, że nie są nam potrzebni, ale dlatego, że nawet w najgorszych dla nas okolicznościach na nic by się nie zdali. Przed moim biurkiem przy barierce stoi mężczyzna ze sparaliżowanymi rękami i zamglonym wzrokiem - były burmistrz Nowego Jorku. Ma teraz siedemdziesiąt lat i jest gotów wziąć cokolwiek. Ma imponujące referencje, tyle że nie możemy zatrudnić nikogo powyżej czterdziestego piątego roku życia. Czterdzieści pięć lat to w Nowym Jorku bariera wieku. Dzwoni telefon, przymilny sekretarz z YMCA. Czy nie zrobiłbym wyjątku dla chłopca, który właśnie zawitał do jego biura - chłopca, który rok, czy coś koło tego, spędził w domu poprawczym. Co on takiego zrobił? Usiłował zgwałcić własną siostrę. Oczywiście, Włoch. O'Mara, mój asystent, przepuszcza kandydata przez magiel pytań. Podejrzewa, że to epileptyk. Wreszcie mu się udaje i dla ukoronowania całej sprawy chłopak dostaje ataku u nas w biurze. Jedna z kobiet mdleje. Piękna młoda kobieta z szykowną futrzaną etolą na szyi stara się mnie przekonać, żebym ją przyjął. Na pierwszy rzut oka widać, że to kurwa, wiem z góry, że jej przyjęcie może mnie drogo kosztować. Chciałaby pracować w określonym budynku poza centrum - bo to blisko domu, jak mi tłumaczy. Zbliża się przerwa obiadowa, wpada kilku moich kumpli. Siedzą sobie z boku przypatrując się mojej pracy, jak gdyby to był wodewil. Przychodzi Kronski, student medycyny; powiada, że jeden z chłopców, których właśnie przyjąłem, cierpi na chorobę Parkinsona. Byłem tak zajęty, że nie miałem nawet czasu wyjść do toalety. Wszystkie telefonistki, wszyscy kierownicy mają hemoroidy, jak mnie zapewnia O'Rourke. On sam od dwóch lat stosuje masaż elektryczny, ale bez skutku. Przerwa obiadowa, jest nas sześcioro przy stole. Jak zwykle ktoś będzie musiał za mnie zapłacić. Szybko coś przegryzamy i pędzimy z powrotem do biura. Kolejne telefony, kolejne rozmowy z kandydatami. Wiceprezes się piekli, bo nie potrafimy utrzymać pełnej obsady posłańców. We wszystkich gazetach wychodzących w Nowym Jorku i w promieniu

trzydziestu kilometrów długie ogłoszenia z prośbą o pomoc. Przeczesałiśmy już wszystkie szkoły, żeby zwerbować posłańców na część etatu. Kołataliśmy do wszystkich organizacji dobroczynnych i agencji pomocy społecznej. Posłańcy uciekają jak szczury. Niektórzy nie zagrzewają miejsca nawet godzinę. Istny ludzki młyn. Najbardziej zaś napawa smutkiem fakt, że to wcale nie jest konieczne. Ale to już nie moje zmartwienie. Do mnie należy robić swoje albo umrzeć, jak powiada Kipling. Ciągnę dalej ten kierat, od jednej ofiary do drugiej, telefon dzwoni jak szalony, pokój coraz obrzydliwiej śmierdzi, dziury wciąż się powiększają. Każdy petent to człowiek upraszający o kromkę chleba; znam jego wzrost, wagę, kolor skóry, wyznanie, wykształcenie, doświadczenie itd. Wszelkie dane zostaną zapisane w księdze, następnie skatalogowane; alfabetycznie, a potem chronologicznie. Nazwiska i daty. Również odciski palców, jeżeli mamy na to czas. Po co to wszystko? A po to, żeby Amerykanie mogli się cieszyć najszybszą formą łączności znaną człowiekowi, żeby mogli szybciej sprzedawać swoje towary, żeby z chwilą, gdy ktoś wykorkuje na ulicy, najbliższa osoba z rodziny mogła zostać powiadomiona natychmiast, czyli w ciągu godziny, chyba że posłaniec, któremu powierzono dany telegram, postanowi rzucić pracę, a wraz z nią wrzucić cały plik telegramów do kosza na śmieci. Dwadzieścia milionów blankietów bożonarodzeniowych z życzeniami Wesołych Świąt i Szczęśliwego Nowego Roku, od dyrektorów, prezesa oraz wiceprezesa Kosmodemonicznego Towarzystwa Telegraficznego, wśród których może się zdarzyć telegram z tekstem: „Matka umiera, przyjeżdżaj natychmiast”, ale urzędnik jest zbyt zajęty, żeby zauważyć tę wiadomość, a jeżeli ktoś wniesie skargę o odszkodowanie za poniesione straty moralne, jest też dział prawny specjalnie wyszkolony do załatwiania takich nagłych wypadków, toteż możesz być pewien, że twoja matka umrze, a ty i tak będziesz miał Wesołe Świąta i Szczęśliwy Nowy Rok. Urzędnik, oczywiście, wyleci z pracy, a po miesiącu znów się tu zgłosi na posadę posłańca, wówczas się go przyjmie i obsadzi na nocnej zmianie opodał doków, gdzie nikt go nie pozna, a wtedy zjawi się jego żona z całą dzieciarnią, żeby podziękować dyrektorowi generalnemu czy nawet samemu wiceprezesowi za okazaną dobroć i wyrozumiałość. Po czym pewnego dnia wszyscy się szczerze zdziwią, iż ten właśnie posłaniec okradł sejf, wtedy poprosi się O'Rourkego, żeby udał się nocnym pociągiem do Cleveland lub Detroit i odnalazł tego gościa, nawet gdyby to miało kosztować dziesięć tysięcy dolarów. Wówczas wiceprezes wyda polecenie, żeby przestać zatrudniać Żydów, chociaż po trzech albo czterech dniach będzie je musiał nieco złagodzić, bo prawie sami Żydzi zgłaszają się do tej pracy. Ponieważ robi się gorąco, a materiał ludzki jest na wagę złota, omal nie zatrudniam karła z cyrku, pewno bym go zresztą zatrudnił, gdyby się nie rozkleił i nie wyznał, że jest kobietą. Na domiar złego Valeska bierze „toto” pod swoje



skrzydła, zabiera „toto” wieczorem do siebie do domu i zasłaniając się współczuciem bada „toto” gruntownie, łącznie z badaniem pochwy palcem wskazującym prawej ręki. Karlica robi się bardzo romansowa, a na ostatku bardzo zazdrosna. Jest to piekielnie wyczerpujący dzień, w drodze do domu wpadam na siostrę jednego ze swoich przyjaciół, która upiera się, żeby mnie zaprosić na kolację. Po kolacji idziemy do kina, po ciemku zaczynamy się trochę podpieszczać, wreszcie nie możemy już dłużej wytrzymać, wychodzimy z kina, wracamy do biura, gdzie kładę ją na ocynkowanym stole w przebieralni. Kiedy wracam do domu, tuż po północy, dzwoni Valeska, która domaga się, żebym natychmiast do niej przyjechał, bo ma bardzo pilną sprawę. Ode mnie to godzina jazdy metrem, padam dosłownie z nóg, ale skoro sprawa jest aż tak pilna, ruszam w drogę. Na miejscu poznaję jej kuzynkę, dość atrakcyjną młodą kobietę, która, jeśli wierzyć jej słowom, właśnie zadała się z nieznanym mężczyzną, bo znudziło jej się być dziewicą. I o co ten ambaras? Bo w tym pośpiechu zapomniała się zabezpieczyć, może więc jest w ciąży, i co wtedy? Dopytywały się, co moim zdaniem trzeba zrobić, na co odparłem: - Nic. - Wtedy Valeska bierze mnie na stronę i pyta, czy nie przespałbym się z łaski swojej z jej kuzynką, żeby ją jakoś wciągnąć w te rzeczy, bo w przeciwnym razie taka sytuacja może się powtórzyć.

Cała sprawa była dość zagmatwana, wszyscy troje śmialiśmy się histerycznie, po czym zaczęliśmy pić - panie miały w domu tylko kümmel, toteż niewiele nam było trzeba, żebyśmy się urznęli. Potem wszystko zagmatwało się jeszcze bardziej, bo obie panie zaczęły mnie obłapiać, przy czym żadna nie pozwalała drugiej nic robić. Wreszcie rozebrałem obie, położyłem do łóżka i tak zasnęły wtulone w siebie. Kiedy wyszedłem przed piątą nad ranem, zorientowałem się, że nie mam centa przy duszy, usiłowałem więc wyłudzić piąta od taksówkarza, ale nic nie wskórałem, w końcu musiałem zdjąć z siebie pelisę na futrze i mu ją dać - za pięć centów. Kiedy wróciłem do domu, żona nie spała, wściekła jak diabli, że tak długo mnie nie było. Odbyliśmy burzliwą rozmowę, w końcu wysiadły mi nerwy, pchnąłem ją, upadła na podłogę, zaczęła płakać i szlochać, na co obudziła się mała i słysząc wrzask żony tak się wystraszyła, że zaczęła się drzeć wniebogłosy. Przybiegła do nas dziewczyna z góry, żeby zobaczyć, co się stało. Była w kimonie, włosy spływały jej na plecy. W całym tym zamieszaniu zbliżyła się do mnie i wszystko potoczyło się tak jakoś nagle, bez żadnych zamiarów z naszej strony. Położyliśmy żonę do łóżka z mokrym ręcznikiem na czole, a kiedy sąsiadka się nad nią pochylała, stanąłem z tyłu, podniosłem jej kimono i w nią wszedłem, musiała więc stać tak dłuższą chwilę wygadując najrozmaitsze pocieszające bzdury. Wreszcie położyłem się do łóżka obok żony, która ku mojemu najwyższemu zdumieniu zaczęła się do mnie przytulać, bez słowa więc zwarliśmy szyki i tak już zostało do świtu. Powinienem był

czuć się wypluty, ale byłem zupełnie rozbudzony, leżałem przy niej rozważając wzięcie sobie wolnego dnia, żeby odnaleźć tamtą kurwę w pięknej etoli, z którą wcześniej rozmawiałem. Następnie zacząłem myśleć o innej kobiecie, żonie przyjaciela, która zawsze wytykała mi obojętność. Potem zacząłem myśleć o różnych kobietach - których z takich czy innych powodów nie miałem - aż wreszcie zasnąłem jak zabity i miałem polucję. Pół do ósmej zadzwonił jak zwykle budzik, a ja jak zwykle rzuciłem okiem na swoją podartą koszulę wiszącą na krześle, powiedziałem sobie „co tam, do cholery” i odwróciłem się na drugi bok. O ósmej zadzwonił telefon - Hymie. Radzę ci się zjawić jak najszybciej, bo mamy strajk. I tak to szło, dzień po dniu, bez żadnego powodu, wyjąwszy może ten jeden, iż cały kraj był pogmatwany, a to, co tu opisuję, działo się wszędzie, na większą lub mniejszą skalę, ale wszędzie tak samo, bo wszędzie panował chaos i bezsens.

Tak to leciało dzień w dzień prawie przez pięć lat. Kontynent ustawicznie nękały cyklony, tornada, przypływy i odpływy, powodzie, susze, śnieżyce, fale upałów, plagi szkodników, strajki, napady bandyckie, morderstwa, samobójstwa... wieczna gorączka i udręka, wiry i wybuchy. Przypominałem latarnika: pode mną rozbuchane fale, skały, rafy, szczątki roztrzaskanych flotylli. Mogłem włączyć syrenę alarmową, lecz nie potrafiłbym zapobiec katastrofie. Czułem nosem zagrożenie i katastrofę. Czasem to poczucie było tak silne, że buchało mi z nozdrzy ogniem. Marzyłem o tym, żeby się od niego uwolnić, a jednocześnie coś mnie do niego nieodparcie przyciągało. Byłem zarazem porywczy i flegmatyczny. Przypominałem niejako samą latarnię morską - bezpieczną pośród najbardziej wzburzonego morza. Pode mną ciągnęły się lite skały, ten sam szelf, na którym wznosi się podniebne drapacze chmur. Moje fundamenty zległy głęboko w ziemi, armatura zaś ciała była wykonana ze stali nitowanej na gorąco. Nade wszystko byłem okiem, potężnym reflektorem, który docierał dosłownie wszędzie, obracał się bez ustanku, bez litości. To szeroko rozwarte oko zdołało widocznie uspić czujność pozostałych zmysłów; wszystkie siły zużywałem na to, żeby patrzeć, wchłaniać dramat świata.

Jeżeli marzyła mi się zagłada, to przede wszystkim dlatego, żeby zgasło to moje oko. Marzyło mi się trzęsienie ziemi, jakiś kataklizm przyrody, który zatopiłby tę latarnię w morzu. Pragnąłem metamorfozy, zmiany w rybę, w lewiatana, w niszczyciela. Pragnąłem, by ziemia się rozstała, by pochłonęła wszystko w jednym wszechobejmującym ziewnięciu. Pragnąłem, by na moich oczach to miasto zatoneło głęboko w łonie morza. Pragnąłem siedzieć w jaskini i czytać przy świecy. Pragnąłem wygasić to oko, żeby móc poznać własne ciało, własne żądze. Pragnąłem na tysiąc lat zostać sam, żeby móc rozważyć to, co widziałem i słyszałem - no i żeby zapomnieć. Pragnąłem czegoś z tej ziemi, co nie byłoby dziełem

człowieka, czegoś z dala od ludzi, których miałem już przesyt. Pragnąłem czegoś z gruntu ziemskiego i całkowicie wypranego z idei. Pragnąłem poczuć, jak krew z powrotem napływa mi do żył, nawet za cenę unicestwienia. Pragnąłem wyrzucić z siebie kamień i światło. Pragnąłem mrocznej płodności przyrody, głębokiej studni łona, ciszy, a jeżeli nie - plusku czarnych wód śmierci. Pragnąłem być nocą oświetlaną bezlitosnym okiem, nocą otuloną gwiazdami i przemykającymi kometami. Być nocą tak przeraźliwie cichą, tak bez reszty niezrozumiałą, a przy tym wymowną. Nigdy więcej nie mówić, nie słuchać ani nie myśleć. Dać się objąć i opasać, a zarazem samemu obejmować i opasywać. Precz z litością, precz z czułością. Być człowiekiem jedynie w przyziemny sposób niczym roślina, robak lub strumyk. Być w rozkładzie, wycutym ze światła i kamienia, zmiennym jak molekula, trwałym jak atom, bezwzględny jak sama ziemia.

Mniej więcej na tydzień przed samobójstwem Valeskiej poznałem Marę. Tydzień czy dwa poprzedzające to zdarzenie były istnym koszmarem. Pasma nagłych śmierci i dziwnych spotkań z kobietami. Najpierw Pauline Janowski, szesnasto- czy siedemnastoletnia Żydóweczka bez domu, przyjaciół, rodziny. Przyszła do biura w poszukiwaniu pracy. Urzędowanie już się kończyło, ja zaś nie miałem serca odmówić jej tak zimno. Z takich czy innych względów postanowiłem zabrać ją do siebie na kolację, a jeżeli to możliwe, przekonać też żonę, żeby ją na jakiś czas przygarnęła. Zaintrygowała mnie jej pasja do Balzaca. Przez całą drogę do domu dziewczyna opowiadała mi o *Straconych złudzeniach*. Wagon był tak zatłoczony, a my w nim tak ściśnięci, że temat rozmowy nie miał właściwie znaczenia, bo oboje myśleliśmy tylko o jednym. Żona oczywiście zgłupiała, kiedy mnie zobaczyła w progu z piękną młodą dziewczyną. Odnosiła się do niej uprzejmie i elegancko na swój oziębły sposób, ale od razu się zorientowałem, że nie ma co prosić, aby ją przygarnęła. Zdobyła się tylko na tyle, żeby wysiedzieć z nami przy kolacji. Kiedy skończyliśmy, przeprosiła i wybrała się do kina. Dziewczyna zaczęła płakać. Nadal siedzieliśmy przy stole, przed nami piętrzyły się naczynia. Podeszedłem do niej i objąłem ją. Było mi jej szczerze żal, zupełnie straciłem głowę, co by tu można dla niej zrobić. Nagle dziewczyna zarzuciła mi ręce na szyję i namiętnie mnie pocałowała. Staliśmy tak dobrą chwilę objęci, ale zaraz oładnęła mną myśl, nie, przecież to zbrodnia, zresztą może żona nie poszła wcale do kina i lada chwila wpadnie z powrotem. Powiedziałem małej, żeby wzięła się w garść, bo pojedziemy dokądś tramwajem. Spostrzegłem na kominku skarbonkę dziecka, wziąłem ją do ubikacji i tam w milczeniu opróżniłem. W środku znalazłem tylko siedemdziesiąt pięć centów. Wsiadliśmy do tramwaju i pojechaliśmy na plażę. W końcu udało nam się znaleźć odosobniony zakątek, położyliśmy

się na piasku. Dziewczyna przejawiała histeryczną namiętność, nie pozostawało nic innego, jak to zrobić. Sądziłem, że po wszystkim zaczniesz mi robić wymówki, ale nic z tych rzeczy. Poleżeliśmy tak chwilę, po czym znów zaczęła mówić o Balzacu. Najwyraźniej miała ambicje, żeby zostać pisarką. Spytałem, co zamierza. Odparła, że nie ma najmniejszego pojęcia. Kiedy wstaliśmy, poprosiła, żebym ją odprowadził na autostradę. Powiedziała, że pojedzie chyba do Cleveland albo dokąd oczy poniosą. Było już po pomocy, kiedy zostawiłem ją stojącą przed stacją benzynową. Miała w portmonetce jakieś trzydzieści pięć centów. Kiedy ruszyłem z powrotem do domu, zacząłem przeklinać w duchu żonę, że jest taką podłą jędzą. Wolałbym, na Boga, ją właśnie, nie mającą się gdzie podziąć, zostawić tam na autostradzie. Wiedziałem, że po moim powrocie nie wymieni nawet imienia tamtej dziewczyny.

Wróciłem, żona na mnie czekała. Podejrzywałem, że znów mi zrobi piekło. Ale nie, czekała, bo O'Rourke zostawił dla mnie ważną wiadomość. Miałem zadzwonić natychmiast po powrocie do domu. Postanowiłem jednak nie dzwonić, tylko się rozebrać i położyć do łóżka. Ledwo zdążyłem się wygodnie ułożyć, kiedy zadzwonił telefon. O'Rourke. W biurze nadszedł do mnie telegram - O'Rourke pytał, czy ma go otworzyć i przeczytać. No, jasne. Telegram był podpisany: Monica. Nadany w Buffalo. Przyjeżdżała rano na stację Grand Central z ciałem swojej matki. Podziękowałem mu i wróciłem do łóżka. Żadnych pytań żony. Leżałem zachodząc w głowę, co by tu zrobić. Gdybym uległ prośbie, wszystko zaczęłoby się od nowa. A jeszcze tak niedawno dziękowałem swoim gwiazdom, że udało mi się Moniki pozbyć. Teraz zaś wracała, i to ze zwłokami matki. Łzy i pojednanie. O, nie, wcale mnie ta perspektywa nie bawiła. A jeżeli się nie zjawię? Co wtedy? Zawsze się znajdzie ktoś, kto zajmie się ciałem. Zwłaszcza jeżeli sierota jest atrakcyjną młodą blondynką z roziskrzonymi niebieskimi oczyma. Zastanawiałem się, czy znów podejmie pracę w restauracji. Gdyby nie znała greki i łaciny, nigdy bym się z nią nie związał. Ale ciekawość wzięła u mnie górę nad przyzwoitością. No i dziewczyna była tak cholernie biedna, co też mnie ujęło. Może nie wpadłbym tak bardzo, gdyby jej dłonie nie pachniały tłuszczem. Właśnie one podziały na mnie jak łyżka dziegciu - te jej tłuste ręce. Przypominam sobie nasz pierwszy wieczór, spacerowaliśmy po parku. Miała olśniewającą urodę, a przy tym była inteligentna i bystra. Właśnie w owym czasie kobiety nosiły krótkie spódniczki, które nosiła i ona - z dużą dla siebie korzyścią. Co wieczór chodziłem do tej restauracji tylko po to, żeby się napatrzeć, jak ona się rusza, zgina, żeby obsłużyć gości, albo schyla po widelec. A do tego zachwycające nogi, czarujące oczy i kapitalne uwagi na temat Homera, do wieprzowiny z kapustą cytaty z Safony, łacińskie koniugacje, ody Pindara, a do deseru powiedzmy *Rubajjaty* albo *Cynara*.

Ale te tłuste ręce i rozmemlane łóżko w pensjonacie naprzeciw rynku - fuj! Nie mogłem tego przełknąć. Im bardziej od niej stroniłem, tym bardziej do mnie lgnęła. Dziesięciostronicowe listy o miłości z przypisami do *Tako rzecze Zaratustra*. I raptem cisza, a ja nie posiadałem się z radości. Nie, za nic w świecie nie pójdę rano na stację Grand Central. Przewróciłem się na drugi bok i smacznie zasnąłem. Rano poproszę żonę o telefon do biura, niech powie, że jestem chory. Nie chorowałem już ponad tydzień - i już mnie brało.

W południe spotykam Kronskiego, który czeka na mnie przed biurem. Zaprasza mnie na obiad... bo chce, żebym poznał pewną Egipcjankę. Dziewczyna okazuje się Żydówką, ale pochodzi z Egiptu i ma wygląd Egipcjanki. To gorąca sztuka, obaj rozpracowujemy ją jednocześnie. Ponieważ byłem rzekomo chory, postanowiłem nie wracać do biura, tylko przejść się po Dzielnicy Wschodniej. Kronski miał wrócić, żeby mnie osłaniać. Podaliśmy sobie z dziewczyną ręce i każde poszło w swoją stronę. Ruszyłem nad rzekę, gdzie było chłodno, niemal od razu zapomniałem o dziewczynie. Siedziałem sobie na skraju nadbrzeża, nogi zwisały mi nad przyciesią. Przepłynął galar załadowany czerwonymi ceglami. Naraz przypomniała mi się Monica. Monica przyjeżdżająca na stację Grand Central z trupem. Z trupem - łącznie z dostawą do Nowego Jorku! Takie mi się to wydało absurdalne i komiczne, że roześmiałem się na głos. Co z nim zrobiła? Czy oddała go na bagaż, czy zostawiła na boczniczy? Z pewnością klęła mnie w żywe kamienie. Zastanawiałem się, co by sobie o mnie pomyślała, gdyby wiedziała, że siedzę tam w doku z nogami dyndającymi nad przyciesią. Było gorąco i parno mimo bryzy wiejącej od rzeki. Zapadłem w drzemkę. Kiedy już zasypiałem, przypomniała mi się Pauline. Wyobraziłem sobie, jak idzie autostradą machając ręką. To dzielna dziewczyna, nie ma dwóch zdań. Ciekawe, że nie bała się gwałtu. Może była tak zdesperowana, że przestała na cokolwiek zważać. No i ten Balzac! To już czysty absurd. Dlaczego akurat Balzac? Zresztą, to jej sprawa. Tak czy owak, ma za co jeść, aż spotka kolejnego faceta. Ale żeby taki dzieciak marzył o zostaniu pisarką! Niby czemu nie? Każdy ma jakieś złudzenia. Monica też chciała zostać pisarką. Wszyscy chcieli zostać pisarzami. Pisarzami! Chryste, przecież to jakiś bezsens!

Zasnąłem... Obudziłem się ze wzwodem. Słońce świeciło mi prosto w rozporek. Wstałem, obmyłem twarz w małej fontannie z pitną wodą. Nadal gorąco i parno jak nie wiem co. Asfalt był miękki jak kasza, muchy kąsały, śmieci gniły w rynsztoku. Szedłem między wózkami ręcznymi i patrzyłem na wszystko pustym wzrokiem. Przez cały ten czas czułem, że mi stoi, chociaż nikt konkretny mnie nie pociągał. Dopiero kiedy wróciłem na Drugą Aleję, przypomniałem sobie nagle tamtą egipską Żydówkę z obiadu. I jej słowa, że mieszka nad

rosyjską restauracją przy Dwunastej Ulicy. Nie miałem jeszcze jasności, co dalej ze sobą zrobić. Tak sobie krążyłem dla zabicia czasu. Nogi same poniosły mnie na północ, w kierunku Czternastej Ulicy. Kiedy znalazłem się naprzeciwko rosyjskiej restauracji, przystanąłem na chwilę, po czym rzuciłem się w górę, przeskakując po trzy stopnie naraz. Drzwi wejściowe były otwarte. Wchodziłem na kolejne podesty, sprawdzając nazwiska na drzwiach. Mieszkała na najwyższym piętrze, a pod jej nazwiskiem widniało nazwisko mężczyzny. Zapukałem cicho. Nic. Zapukałem jeszcze raz, trochę głośniej. Tym razem usłyszałem, że ktoś się rusza. Po czym głos tuż przy drzwiach pytający „kto tam”, a przy tym przekręcanie gałki. Pchnąłem drzwi i wpadłem do zaciemnionego pokoju. Wpadłem prosto w jej ramiona i poczułem jej nagość pod na wpół rozchylonym kimonem. Musiała się wyrwać z głębokiego snu, bo nie bardzo wiedziała, kto ją trzyma w ramionach. Kiedy uprzytomniła sobie, że to ja, usiłowała się wyrwać, ale trzymałem ją mocno i zacząłem namiętnie całować popychając ją przy tym łagodnie w stronę sofy pod oknem. Wymamrotała, że drzwi są otwarte, ale nie miałem zamiaru ryzykować, że wyslizgnie się z moich ramion. Zrobiłem więc nieznaczny zwrot i krok po kroczku nakierowałem ją na drzwi, które zamknęła pupą. Wolną ręką zasunąłem zasuwkę, następnie podprowadziłem dziewczynę na środek pokoju, tą samą wolną ręką rozpiąłem sobie rozporek i wyjąłem ptaka w gotowości bojowej. Była tak odurzona snem, że cała ta scena przypominała pracę nad maszyną. Ale też wiedziałem, że podoba jej się pieprzenie niemal przez sen. Tyle że za każdym moim mocniejszym pchnięciem dziewczyna coraz bardziej przytomniała. A im bardziej wracała jej przytomność, tym większy ogarniał ją strach. Nie wiedziałem, jak by ją znów uśpić, żeby nie stracić dobrego pierdolenia. Udało mi się ją przewrócić na sofę, nie oddając pola. Była już teraz rozgrzana jak diabli, wiła się i miotła jak piskorz. Odkąd zacząłem się do niej dobierać, chyba ani razu nie otworzyła oczu. Powtarzałem sobie w duchu - egipska dupa... egipska dupa - żeby zaś nie wystrzelić za prędko, specjalnie zacząłem myśleć o trupie, którego Monica przytargała ze sobą na stację Grand Central, i o trzydziestu pięciu centach, z którymi zostawiłem Pauline na autostradzie. Wtem ba-bach! Głośnie pukanie do drzwi, na co otworzyła szeroko oczy i spojrzała na mnie z najwyższym przerażeniem. Zacząłem się prędko wysupływać, ale ku mojemu zaskoczeniu mocno mnie przytrzymała. - Nie ruszaj się - szepnęła mi do ucha. - Zaczekaj! - Kolejne głośnie pukanie, po czym dobiegł mnie głos Kronskego: - Thelma, to ja... ja, Icek. - Omal nie parsknąłem śmiechem. Znow się osunęliśmy do naturalnej pozycji, a kiedy dziewczynie oczy same się zamknęły, ruszałem się w niej delikatnie, żeby jej znów nie obudzić. Chyba nigdy w życiu tak mi się wspaniale nie pierdoliło. Wyglądało na to, że nigdy nie skończę. Kiedy się obawiałem, że zaraz wytrysnę,

wstrzymywałem ruch i myślałem - myślałem na przykład o tym, gdzie chciałbym spędzić urlop, gdybym go dostał, albo myślałem o koszulach leżących w szufladach komody, albo o łacie na dywanie w nogach łóżka. Kronski nadal stał pod drzwiami - słyszałem, jak przestępuje z nogi na nogę. Za każdym razem, kiedy uświadomiłem sobie, że tam stoi, posuwałem ją lekko na dokładkę, a ona, na w pół śpiąca, reagowała z humorem, jak gdyby rozumiała, co chcę jej przekazać w tym języku dawania i brania. Nie śmiałem snuć domysłów, o czym ona myśli, bo od razu dostałbym orgazmu. Czasem niebezpiecznie się o niego ocierałem, ale zawsze ratowała mnie sztuczka z przywołaniem Moniki i trupa na stacji Grand Central. Sama ta myśl i cały komizm sytuacji działały na mnie jak zimny prysznic.

Kiedy było już po wszystkim, dziewczyna otworzyła szeroko oczy i spojrzała na mnie, jak gdyby widziała mnie po raz pierwszy w życiu. Nie miałem jej nic do powiedzenia; dudniło mi tylko w głowie, żeby uciekać stamtąd jak najprędzej. Kiedy się myliłmy, zauważyłem karteczkę na podłodze pod drzwiami. Liścik od Kronskiego. Właśnie zabrano do szpitala jego żonę - prosił naszą Egipcjanę, żeby się z nim spotkała w szpitalu. Co za ulga! Mogłem czmychnąć nie strzegąc sobie na próżno języka.

Nazajutrz telefon od Kronskiego. Jego żona umarła na stole operacyjnym. Wieczorem poszedłem do domu na kolację; siedzieliśmy jeszcze przy stole, kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi. Przy furtce stał Kronski z miną topielca. Zawsze trudno mi się było zdobyć na kondolencje; wobec niego wydawało mi się to niemożliwe. Wysłuchałem kilku banalnych słów współczucia mojej żony, co mi ją jeszcze bardziej obrzydziło.

- Chodźmy stąd - zaproponowałem.

Przez jakiś czas szliśmy w całkowitym milczeniu. W parku skręciliśmy prosto na łąki. Wisiała gęsta mgła, nie widziało się na metr naprzód. Kiedy tak płynęliśmy przed siebie, ni stąd, ni zowąd Kronski zaczął szlochać. Przystanąłem, odwróciłem głowę. Kiedy uznałem, że skończył, obejrzałem się, a on popatrzył na mnie z osobliwym uśmiechem.

- Dziwne - powiedział - jak trudno się pogodzić ze śmiercią.

Też się uśmiechnąłem i położyłem mu rękę na ramieniu.

- No, dalej - zachęciłem go - wygadaj się. Wyrzuć to z siebie.

Ruszyliśmy dalej po łąkach, jak gdybyśmy spacerowali pod powierzchnią morza. Mgła tak zgęstniała, że z ledwością rozróżniałem jego rysy twarzy. Mówił cicho i z zapamiętaniem.

- Wiedziałem, że tak się to skończy - powiedział. - To było zbyt piękne, żeby mogło trwać wiecznie. - W noc zanim żona zachorowała, miał sen. Śniło mu się, że utracił własną tożsamość. - Miotalem się po omacku, wykrzykując na głos swoje imię. Pamiętam, że

doszedłem do mostu, spojrzałem na wodę i zobaczyłem, że się topię. Skoczyłem z mostu głową w dół, a kiedy wypłynąłem na powierzchnię, ujrzałem Jettę unoszącą się na wodzie pod mostem. Nie żyła. - Po czym raptem dodał: - Byłeś tam wczoraj, kiedy pukałem do drzwi, prawda? Wiedziałem, że tam jesteś, nie mogłem odejść. Wiedziałem też, że Jetta umiera, chciałem być przy niej, ale bałem się iść sam. - Nie odezwałem się, toteż ciągnął dalej. - Pierwsza dziewczyna, w której się kochałem, umarła tak samo. Byłem wtedy jeszcze szczeniakiem, nie mogłem się z tym pogodzić. Co wieczór łąziłem na cmentarz i przesiadywałem przy jej grobie. Ludzie myśleli, że postradałem zmysły. Mieli chyba rację. Wczoraj, kiedy tam stałem pod tymi drzwiami, wszystko mi się przypomniało. Znów byłem w Trenton, przy tamtym grobie, a obok siedziała siostra dziewczyny, w której się kochałem. Mówiła, że tak dalej nie można, że zwariuję. Pomyślałem sobie, że już zwariowałem, żeby to więc sobie udowodnić, postanowiłem zdobyć się na jakiś wariacki krok, powiedziałem jej więc: - To nie tamtą kocham, tylko ciebie. - Przyciągnąłem ją do siebie, leżeliśmy chwilę całując się, a w końcu przerznąłem ją tam przy grobie. To mnie chyba wyleczyło, bo już nigdy tam nie wróciłem i ani razu o niej nie pomyślałem - aż do wczoraj, kiedy stałem pod tamtymi drzwiami. Gdybym cię wczoraj dorwał, chyba bym cię udusił. Nie wiem, dlaczego tak to odczuwałem, ale wydało mi się, że otworzyłeś grób i kalależ ciało dziewczyny, którą niegdyś kochałem. Oblęd czy co? A po co dziś do ciebie przyszedłem? Może dlatego, że jestem ci całkowicie obojętny... dlatego że nie jesteś Żydem i mogę z tobą porozmawiać... dlatego że się za cholere nie przejmujesz i masz rację... Czytałeś *Bunt aniołów*?

Doszliśmy właśnie do ścieżki rowerowej, która okalała cały park. Światła bulwaru płynęły we mgle. Przyjrzałem się dobrze Kronskiemu i zobaczyłem, że naprawdę odebrało mu rozum. Byłem ciekaw, czy zdołam go rozśmieszyć. Bałem się tylko, że skoro zacznie się śmiać, nigdy nie przestanie. Jałem więc mówić byle co, najpierw o Anatolu France, potem o innych pisarzach, a kiedy poczułem, że Kronski mi się wymyka, przeskoczyłem nagle na generała Iwołgina, na co Kronski zaczął się śmiać, może nie tyle śmiać, ile pisać, ohydnie pisać jak kogut z głową na pieńku. Tak go wzięło, iż musiał przystanąć, żeby się złapać za brzuch; łzy ciekły mu po twarzy, a w przerwach tego piania wydawał straszliwe szloch, aż się ścisnęło serce.

- Wiedziałem, że mi dobrze zrobisz - wypalił, kiedy minął mu ostatni atak.- Zawsze mówiłem, że kopnięty z ciebie skurczybyk... Sam jesteś żydowskim draniem, tylko o tym nie wiesz... No to mi powiedz, ty draniu, jak ci było wczoraj? Wsadziłeś jej? Nie mówiłem, że to dobra dupa? A wiesz, z kim ona mieszka? Jezuniu, miałaś szczęście, że cię nie przyłapał. Mieszka z rosyjskim poetą, ty go znasz. Kiedyś ci go przedstawiłem w Café Royal. Uważaj,



żeby nie zwąchał pisma nosem. Bo da ci niezły łomot... a potem napisze o tym piękny wiersz i pośle go jej z bukietem róż. Znam go jeszcze z czasów Stelton, kolonii anarchistów. Jego stary był nihilistą. Cała rodzina jest szurnięta. A tak przy okazji, dobrze ci radzę, miej się na baczności. Chciałem ci to wcześniej powiedzieć, ale nie sądziłem, że się tak pospieszysz. Wiesz, ona może mieć syfa. Wcale cię nie chcę straszyć. Mówię to tylko w trosce o ciebie...

Ten wybuch jakby go uspokoił. Na swój żydowski sposób Kronski usiłował dać mi do zrozumienia, że mnie lubi. W tym celu musiał najpierw zniszczyć wokół mnie wszystko - żonę, pracę, przyjaciół, tę „czarną zdzirę”, jak nazywał Valeskę, i tak dalej.

- Moim zdaniem pewnego pięknego dnia zostaniesz wielkim pisarzem - stwierdził. - Ale - dorzucił złośliwie - przedtem będziesz musiał trochę pocierpieć. Naprawdę pocierpieć, bo na razie nie wiesz, co to słowo znaczy. Tylko ci się wydaje, że już cierpiałeś. Musisz się najpierw zakochać. Bo weźmy tę czarną zdzirę... nie powiesz mi chyba, że naprawdę ją kochasz? Przyjrzałeś się dobrze, jaki ona ma tyłek... no, jaki rozłożysty? Za pięć lat będzie wyglądała jak ciocia Klocia. Stworzycie niezłą parę, kiedy wyjdziecie na spacer aleją z bandą czarnych bachorów drepczących za wami. Chryste, już wolałbym, żebyś się ożenił z Żydówką. Ty byś jej, rzecz jasna nie doceniał, ale taki związek dobrze by ci zrobił. Potrzeba ci czegoś, żebyś się ustatkował. Bo dotąd trwonisz tylko siły. Słuchaj, po co ty się zadajesz z tymi wszystkimi tępakami, których sobie wybierasz? Masz po prostu dar wybierania sobie niewłaściwych ludzi. Może byś się tak zajął czymś pożytecznym? To praca nie dla ciebie - gdzie indziej mógłbyś być kimś. Może przywódcą związkowym... sam nie wiem. Ale najpierw musisz się pozbyć tej swojej żony z twarzą jak żyleta. Fuj! Kiedy ją widzę, chętnie bym splunął w tę jej twarz. Nie rozumiem, jak taki facet mógł się ożenić z taką jędzą. Co cię tak wzięło - para wrzących jajników? W tym cały problem - tylko ci seks w głowie... Nie, nie to chciałem powiedzieć. Masz głowę na karku, masz wigor entuzjazm... ale głównie cię to obchodzi, co robisz i co się z tobą dzieje. Gdybyś nie był takim pieprzonym romantykiem, przysiągłbym niemal, że jesteś Żydem. Bo widzisz, ze mną jest inaczej. Ja nigdy nie miałem przed sobą żadnych widoków. Ale ty masz coś takiego w sobie, tylko jesteś, cholera, za leniwy, żeby to wydobyć. Wiesz, kiedy tak czasem słucham, jak gadasz, myślę sobie - gdyby ten facet potrafił to przelać na papier! Mógłbyś napisać książkę, przy której taki Dreiser musiałby zwiesić głowę. Różnisz się od wszystkich znanych mi Amerykanów; jakoś do nich nie pasujesz, co mi się zresztą podoba, niech mnie diabli. Jesteś też trochę stuknięty, pewno sam o tym wiesz. Ale w pozytywnym sensie. Wiesz, gdyby ktoś do mnie tak mówił, jak ty przed chwilą, chyba bym go zamordował. A ciebie wolę, bo nie próbowałeś okazać mi współczucia. Zresztą nigdy bym go od ciebie nie oczekiwał. Gdybyś dziś powiedział choć

jedno niestosowne słowo, po prostu bym oszalał. Jestem tego pewien. Byłem dosłownie na skraju. Kiedy wyjechałeś z tym swoim generałem Iwołginem, myślałem przez chwilę, że już po mnie. Dlatego uważam, że coś w sobie masz... to było sprytne posunięcie! A teraz coś ci powiem... jeżeli natychmiast nie weźmiesz się w garść, dostaniesz pierdolca. Masz w sobie coś takiego, co cię zżera. Sam nie wiem, co to jest, ale mnie nie oszukasz. Znam cię jak zły szeląg. Wiem, że coś cię gryzie, i to nie tylko twoja żona ani praca, ani nawet ta czarna zdzira, którą niby kochasz. Czasem sobie myślę, że urodziłeś się w niewłaściwych czasach. Niech ci się nie zdaje, że cię kreuję na swojego idola, ale zważ moje słowa... gdybyś miał trochę więcej wiary w siebie, mógłbyś być dzisiaj najwybitniejszym człowiekiem pod słońcem. Nie musiałbyś nawet zostawać pisarzem. Mógłbyś zostać, bo ja wiem, chociażby kolejnym Jezusem Chrystusem. Nie śmieję się, naprawdę tak uważani. Nie doceniasz własnych możliwości... jesteś ślepy na wszystko poza własnymi żądzami. Nie wiesz, czego chcesz. Nie wiesz, bo nie przystajesz ani na chwilę, żeby pomyśleć. Dajesz się ludziom wykorzystywać. Jesteś skończonym durniem, idiotą. Gdybym miał chociaż dziesiątą część tego co ty, przewróciłbym świat do góry nogami. Pewno uważasz, że to szaleństwo? Posłuchaj tylko... nigdy w życiu nie myślałem bardziej trzeźwo. Kiedy przyszedłem dziś do ciebie, byłem niemal gotów popełnić samobójstwo. Nieważne, czy to zrobię, czy nie. Chociaż teraz nie widzę w tym żadnego sensu. To mi jej nie przywróci. Urodziłem się pod parszywą gwiazdą. Gdziekolwiek się ruszę, wszędzie ściągam nieszczęście. Ale nie chce mi się jeszcze iść do ziemi... Najpierw chciałbym zrobić coś dobrego na tym świecie. Może ci się to wyda głupie, ale to prawda. Chciałbym coś zrobić dla innych...

Urwał nagle, znów na mnie spojrzał z tym swoim dziwnym, mglistym uśmiechem. Było to spojrzenie zrozpaczonego Żyda, obdarzonego, podobnie jak cała jego rasa, tak silnym instynktem życia, że nawet przy absolutnym braku nadziei nie znajduje w sobie dość siły, żeby popełnić samobójstwo. Ta rozpacz była mi całkiem obca. Pomyślałem sobie - gdybyśmy tak mogli się zamienić! Mógłbym odebrać sobie życie z powodu błahostki! A już najbardziej ze wszystkiego nurtowała mnie myśl, że on się nawet nie potrafi dobrze bawić na pogrzebie - na pogrzebie własnej żony! Jeden Bóg tylko wie, że pogrzeby, które razem obsłużyliśmy, były smutne jak cholera, ale za to potem coś do żarcia i picia, garść dobrych pieprznych kawałów i trochę szczerego, zdrowego śmiechu. Może byłem za młody, żeby się przejąć smutnymi aspektami, chociaż widziałem przecież wyraźnie, jak wszyscy płaczą i zawodzą. Tyle że mało sobie z tego robiłem, bo po pogrzebie, kiedy siedziało się w ogródku piwiarni przy cmentarzu, zawsze panowała atmosfera wesołości mimo żałobnych strojów, krepy i wieńców. Kiedy byłem mały, wydawało mi się, że ludzie próbują nawiązać jakąś dziwną

łącność ze zmarłym. Coś jak w dawnym Egipcie, gdy o tym teraz myślę. Niegdyś uważałem takich żałobników za bandę hipokrytów. Ale dziś jestem innego zdania. To byli po prostu głupi, zdrowi Niemcy, powodowani żądzą życia. W ogóle nie dostrzegali śmierci, chociaż to dziwnie brzmi, bo gdyby kierować się wyłącznie tym, co mówili, można by sądzić, że poświęcają jej sporo uwagi. Nic jednak nie rozumieli - w każdym razie nie tyle, co na przykład Żydzi. Rozprawiali o życiu po śmierci, ale w nie tak naprawdę wcale nie wierzyli. A jeżeli ktoś tak się pogrążył w rozpacz, że wprost usychał z żalu, patrzyli na niego nader podejrzliwie, jak się patrzy na wariata. Istnieją granice rozpacz, podobnie jak istnieją granice radości, takie wyniosłem stamtąd przeświadczenie. Na krańcach tych granic jest zawsze brzuch, który trzeba napełniać - kanapkami z serem limburgskim, piwem, kummelem, udkami indyka, jeżeli takowe się znajdują. Płakali nad piwem jak dzieci. A za chwilę już się śmiali, śmiali z jakiegoś dziwactwa zmarłego. Nawet ich sposób używania czasu przeszłego wywierał na mnie dziwne wrażenie. Godzinę po szurnięciu tego kogoś do grobu powiadali o nieboszczyku - „zawsze był taki zacny” - jak gdyby ten człowiek nie żył od tysiąca lat, był postacią historyczną albo bohaterem *Pieśni o Nibelungach*. Albowiem on już nie żyje, nie żyje i nic go nie wskrzesi, oni zaś, żywi, są na zawsze od niego odcięci, ale i dziś, i jutro trzeba żyć dalej, trzeba pracować, ubierać się, gotować obiady, a kiedy następnego trafi szlag, trzeba będzie wybrać trumnę, pohandryczyć się o testament, a wszystko zgodnie z codziennym rytuałem, toteż marnotrawienie czasu na smutek i żal jest grzechem, bo Bóg, jeżeli w ogóle istnieje, tak to wszystko urządził, natomiast my tu na ziemi nie mamy nic do gadania. Złem jest wychylenie się poza te ustalone granice radości i smutku. Wielkim grzechem jest grozić szaleństwem. Tamci mieli niesamowity zwierzęcy instynkt przystosowania, godny podziwu, gdyby istotnie był zwierzęcy, niestety zasługujący na wzgardę, kiedy człowiek zdał sobie sprawę, że to tylko i wyłącznie tępy niemiecki upór i obojętność. Mimo to wołałem poniekąd te zwierzęce kałduny od żydowskiego ubolewania wielogłowego niczym hydra. W głębi duszy nie potrafiłem się litować nad Kronskim - musiałbym się litować nad całym jego ludem. Śmierć jego żony była jedynie punkcikiem, drobnostką w dziejach jego nieszczęść. Jak sam powiedział, urodził się pod złą gwiazdą. Urodził się, żeby być świadkiem, jak wszystko idzie na opak - gdyż od pięciu tysięcy lat wszystko szło na opak we krwi całej rasy. Wszyscy jej przedstawiciele przyszli na świat z tym mrocznym, beznadziejnym smętkiem na twarzach, i tak samo z tego świata odejdą. Ciągnął się za nimi smród - trucizny, wymiocin, bóleści. Odór, który starali się usunąć z tego świata, był odorem, który sami na ten świat przynieśli. Słuchając go, oddałem się takim właśnie rozmyśleniom. Po rozstaniu z nim, kiedy skręciłem w boczną uliczkę, poczułem się w środku taki błogi i czysty, że zacząłem gwizdać i

podśpiewywać. Wtedy naszło mnie ogromne pragnienie, mówię więc sobie w swoim najlepszym irlandzkim dialekcie - musi trzeba ci się kropelkę napić, chłopie - co powiedziawszy wparowałem do jakiejś knajpki i zamówiłem wielki pienisty kufel piwa i dużego hamburgera z mnóstwem cebuli, wypilem kolejne piwo, następnie kropelkę brandy i pomyślałem z właściwą sobie gruboskórnością - jeżeli ten nieszczęsny skurczybyk nie ma na tyle oleju w głowie, żeby się cieszyć pogrzebem własnej żony, to ja go w tym zastąpię. Im dłużej o tym myślałem, tym większa mnie ogarniała wesołość, a jeżeli odczuwałem krztynę żalu bądź zazdrości, to tylko dlatego, że nie mogłem się z nią zamienić miejscami, z tą nieszczęsną żydowską duszą, bo śmierć była absolutnie nie do uchwycenia i nie do pojęcia dla takiego głupiego goja jak ja, marnowała się więc u takich jak oni, którzy wszystko o niej wiedzieli i wcale jej nie potrzebowali. Tak się diabelnie upoiłem tą myślą o śmierci, że w pijackim zamroczeniu mamrotałem do Boga tam w górze, żeby mnie zabił jeszcze tego wieczoru, zabij mnie, Boże, niech się wreszcie dowiem, o co w tym wszystkim chodzi. Usiłowałem sobie, cholera, wyobrazić, jak to jest, kiedy człowiek oddaje ducha, lecz nic z tego. Udało mi się jedynie wydobyć z siebie śmiertelne rżenie, ale zacząłem się przy tym dławić, na co dostałem takiego cholernego pietra, że omal się nie sfajdałem w portki. Zresztą to i tak nie była śmierć, tylko dławienie. Śmierć już prędzej przypominała nasz spacer w parku: dwie osoby kroczące obok siebie we mgle, ocierające się o drzewa i chaszczę, nie pada ani jedno słowo. Musi to być coś jeszcze bardziej pustego niż sama ta nazwa, przy tym słusznego i spokojnego, czy jak kto woli, szlachetnego. Wcale nie dalszy ciąg życia, tylko skok w ciemność bez możliwości powrotu nawet jako pyłek. Coś pięknego i słusznego, jak stwierdziłem, bo niby po co pragnąć powrotu. Skoro się raz zasmakuje, trzeba smakować w nieskończoność - życie albo śmierć. Każda strona rzuconej monety jest właściwa, byle na żadną nie stawiać zakładów. Owszem, przykro się zadławić własną śliną - to gorsze niż co innego. Ale przecież nie zawsze się umiera przez zadławienie na śmierć. Czasem odchodzi się we śnie, cicho i spokojnie jak jagnię. Wtedy przychodzi sam Pan Bóg i zabiera człowieka, jak to się mówi, na swoje łono. W każdym razie ten przestaje oddychać. Ale dlaczego, u diabła, człowiek miałby oddychać w nieskończoność? Wszystko, co musielibyśmy robić wiecznie, byłoby torturą. Jako te ludzkie nieboraki powinniśmy się cieszyć, że ktoś wymyślił stąd drogę odwrotu. Nie wzdramamy się przed pójściem spać. Przez jedną trzecią życia chrapiemy sobie w najlepsze jak pijane szczury. I co? Czy to taka tragedia? No więc powiedzmy, będzie to trzy trzecie pijackiego, szczurzego snu. Jezu, gdybyśmy mieli choć trochę rozumu, tańczylibyśmy z radości na samą myśl o tym! Wszyscy moglibyśmy umrzeć choćby jutro w łóżku, bez bólu, bez cierpienia - gdybyśmy potrafili skorzystać z danych nam środków

zaradczych. Szkopuł w tym, że nie chcemy umierać. Stąd właśnie Bóg i cały ten konkurs strzelecki tam na górze w naszych obłądnych śmietniskach. Generał Iwołgin! To go wprawiło w pianie... i kilka suchych szlochów. Równie dobrze mógłbym powiedzieć: ser limburski. Ale generał Iwołgin coś dla niego znaczy... łut szaleństwa. Ser limburski byłby zbyt przyziemny, zbyt banalny. A wszystko to przecież ser limburski, łącznie z generałem Iwołginem, tym nieszczęsnym moczymordą. Generał Iwołgin wziął się z sera limburskiego Dostojewskiego, to jego prywatny gatunek. Oznacza pewien specyficzny smak, pewną etykietę. Żeby ludzie mogli go poznać po smaku i po zapachu. Tylko co stworzyło ten ser limburski generała Iwołgina? To samo, co stworzyło ser limburski, innymi słowy x, czyli niewiadoma. A zatem? Zatem nic... po prostu nic. Koniec kropka - albo skok w ciemność bez możliwości powrotu.

Kiedy zdejmowałem spodnie, naraz sobie przypomniałem, co ten drań mi powiedział. Obejrzałem sobie kutasa, jak zawsze udawał niewiniątko. - Tylko mi nie mów, że masz syfa - powiedziałem trzymając go w ręce i lekko naciskając, jak gdyby za chwilę miała wytrysnąć kropla ropy. Nie, uznałem, mała szansa, żebym miał syfa. Nie urodziłem się pod taką gwiazdą. Trypra, owszem, już prędzej. Każdy kiedyś łapie trypra. Ale nie syfa! Wiem, że gdyby mógł, to by mi go życzył, tylko po to, żebym poznał, co znaczy cierpienie. Nie miałem jednak zamiaru zadośćuczynić jego zachciankom. Przyszedłem na świat jako głupi, ale szczęśliwy goj. Ziewnąłem. Syf nie syf, pomyślałem sobie, wszystko to i tak tylko cholerny ser limburski; jeżeli ona ma się ku temu, uszczknę jeszcze, kawałek i na tym zakończę dzień. Ale najwyraźniej nie miała się ku temu. Wołała odwrócić się do mnie tyłkiem. Leżałem więc sobie ze sztywnym kutasem przy jej tyłku i podsunąłem jej go telepatycznie. I jak pragnę Boga, chyba wiadomość dotarła do niej przez sen, bo chociaż smacznie już spała, bez trudu przeszedłem przez drzwi jej stajni, przy czym nie musiałem patrzeć na jej twarz, co mi sprawiało niewymowną ulgę. Kiedy po raz ostatni dałem jej popalić, pomyślałem sobie - „to dopiero ser limburski, chłopie, a teraz możesz się odwrócić i w kimono...”

I tak bez końca - seks i hymn śmierci. Nazajutrz po południu żona zadzwoniła do mnie do biura z wiadomością, że właśnie zabrano jej przyjaciółkę Arline do szpitala dla umysłowo chorych. Przyjaźniły się od czasów szkoły przyklasztornej w Kanadzie, gdzie obie pobierały lekcje muzyki i sztuki masturbacji. Stopniowo miałem okazję poznać całą tę trzódkę, łącznie z siostrą Antoliną, która nosiła gorset i najwyraźniej była wielką kapłanką kultu onanizmu. Każda z dziewcząt w swoim czasie durzyła się w siostrze Antolinie. Arline zaś, z facjatą jak czekoladowy ekler, nie była pierwszą z tej grupki, która trafiła do szpitala wariatów. Nie twierdzę, że przywiodła je tam masturbacja, ale z całą pewnością atmosfera klasztoru odegrała pewną rolę. Wszystkie były zepsute w zarodku.

Przed końcem dnia wkroczył mój stary przyjaciel, MacGregor. Miał jak zwykle ponurą minę, narzekał na przypadłości starszego wieku, chociaż ledwo przekroczył trzydziestkę. Kiedy mu powiedziałem o Arline, jakby się trochę ożywił. Podobno od dawna wiedział, że coś z nią nie tak. Dlaczego? Bo kiedy pewnej nocy usiłował ją zmusić do tych rzeczy, dziewczyna wpadła w histeryczny płacz. Nie tyle chodziło mu o sam płacz, ile o jej słowa. Panienska oświadczyła, że popełniła grzech przeciwko Duchowi Świętemu i że będzie musiała za to do końca żyć w czystości. Wspomniawszy to zdarzenie, roześmiał się, jak to on, posepnie.

- Wtedy ja jej na to: jak nie chcesz, to wcale nie musisz tego robić... tylko potrzyмай go w rękę. Chryste, kiedy to usłyszała, zupełnie jej odbiło. Oznajmiła, że usiłuję zbrukać jej niewinność, tak to ujęła. Ale wzięła go w rękę i pocisnęła tak mocno, że omal nie zemdlałem. Nie przestała przy tym płakać. I w kółko nawijała o Duchu Świętym i o swojej „niewinności”. Przypomniałem sobie, co mi kiedyś powiedziałeś, toteż zasunąłem jej raz a dobrze w buzię. Podziałało jak ręką odjął. Po chwili na tyle się uspokoiła, że pozwoliła mi go sobie wsadzić, i dopiero się zaczęła niezła polka. Pieprzyłeś się kiedyś z wariatką? Warto spróbować. Gdy tylko w nią wszedłem, zaczęła chrzanić jak nawiedzona. Trudno mi to opisać... zupełnie jakby nie wiedziała, że ją pieprzę. Miałaś kiedy kobietę, która by jadła podczas stosunku jabłko? Możesz sobie wyobrazić, jak to na człowieka działa. Tyle że tamto było tysiąc razy gorsze. Tak mnie to rozstroiło, że zacząłem myśleć, że i ja mam chyba świra... I jeszcze coś, w co już na pewno nie uwierzysz, ale mówię ci szczerą prawdę. Wiesz, co zrobiła po wszystkim? Objęła mnie i podziękowała... Czekał, to jeszcze nie wszystko. Potem wylazła z łóżka, uklękła i odmówiła pacierz za moją duszę. Jezu, pamiętam jak dziś. „Proszę Cię, spraw, żeby Mac stał się lepszym chrześcijaninem”, modliła się. A ja tam leżałem z obwisłym kutasem i jej słuchałem. Nie wiedziałem, czy mi się to śni, czy co. „Proszę Cię, spraw, żeby Mac stał się lepszym chrześcijaninem!” Znasz lepszy numer?

- Co robisz dziś wieczór? - zagadnął wesoło.

- Nic specjalnego - odparłem.

- To chodź ze mną. Mam taką jedną, którą chciałbym, żebyś poznał... Paula, poderwałem ją kilka dni temu w Roselandzie. Nie jest wariatką, tylko nimfomanką. Chętnie popatrzę, jak oboje tańczycie. To dopiero będzie frajda... po prostu ci się przyglądać. Jeżeli nie wystrzelisz, kiedy ona zacznie kręcić tyłkiem, to niech mnie dunder świśnie. Chodź, zamknij już tę budę. Po co tu sterczeć i pierdzieć w stołek?

Mieliśmy sporo czasu do zabicia przed pójściem do Roselandu, toteż wstąpiliśmy do małego lokaliku przy Siódmej Alei. Przed wojną mieściła się tu francuska speluna, a teraz

taka sobie knajpka prowadzona przez parę Italiańców. Zaraz przy drzwiach znajdował się mały bar, w głębi niewielka salka z podłogą posypaną trocinami i szafa grająca. Plan był taki, żeby najpierw wypić kilka kolejek, po czym coś przegryźć. Taki był plan. Znając jednak MacGregora, wcale nie miałem pewności, czy dotrzemy razem do Roselandu. Jeżeli trafi się kobieta, która mu wpadnie w oko - przy czym nie musiała być wcale cudem piękności ani okazem zdrowia - wiedziałem, że zostawi mnie na pastwę losu, a sam da drapaka. W jego towarzystwie musiałem pamiętać tylko o jednym, żeby się z góry upewnić, czy ma przy sobie dość pieniędzy na zapłacenie za zamówione przez nas trunki. No i oczywiście, nigdy go nie traciłem z oczu, dopóki nie zapłacił.

Przy pierwszym czy drugim kieliszku zawsze zaczynał snuć wspomnienia, rzecz jasna, o cipie. Nieodmiennie kojarzyły mi się z jego wcześniejszą opowieścią, która wywarła na mnie nie lada wrażenie. Traktowała o pewnym Szkocie na łożu śmierci. Kiedy Szkot odchodził z tego świata, żona widząc, jak usiłuje coś powiedzieć, nachyla się nad nim czule i pyta: - Co takiego, Jock, co mi chcesz powiedzieć? - Na co Jock podnosi się ciężko ostatnim wysiłkiem i powiada: - Tylko cipa... cipa... cipa.

Był to zawsze u MacGregora wątek otwierający, a zarazem kończący. To jego sposób na powiedzenie - marność. Lejtmotyw stanowiła choroba, bo w przerwach, że tak powiem, między jednym pieprzeniem a drugim zadreślał się na śmierć, a raczej zadreślał na śmierć swojego kutasa. Była to dla niego najnaturalniejsza rzecz pod słońcem, żeby pod koniec wieczoru powiedzieć - „chodź na chwilę na górę, chciałbym ci pokazać kutasa”. Od tego ciągłego wyjmowania, oglądania, mycia i szorowania po kilkanaście razy dziennie jego członek był, rzecz jasna, wiecznie spuchnięty i rozogniony. Co jakiś czas MacGregor zgłaszał się do lekarza na oględziny. Czasem, chyba tylko po to, żeby go uspokoić, lekarz dawał mu fiolkę maści i radził, żeby mniej pił. MacGregor długo to zawsze roztrząsał, bo, jak mi mówił, „skoro ta maść jest cokolwiek warta, dlaczego niby miałbym przestać pić?” Albo: „Gdybym w ogóle przestał pić, czy sądzisz, że ta maść byłaby mi potrzebna?” Moje rady wpadały mu, oczywiście, jednym uchem, a wypadały drugim. Wciąż musiał się czymś zamartwiać, a penis to doprawdy świetny powód do zmartwień. Czasem zamartwiał się własną łepetyną. Miał łupież jak prawie wszyscy, toteż kiedy jego kutas był w formie, zapominał o nim i zaczynał się martwić o głowę. Albo o klatkę piersiową. Gdy tylko pomyślał o klatce piersiowej, natychmiast zaczynał kaszleć. I to jak! Jak gdyby był w ostatnim stadium suchot. A kiedy uganiał się za jakąś kobietą, stawał się nerwowy i drażliwy jak kot. Tak mu się spieszyło, żeby dopaść swoją zdobycz. Z chwilą zaś, kiedy ją dopadł, znów się martwił, jak by się jej pozbyć. W każdej było coś złego, zwykle jakaś drobnostka, która odbierała mu apetyt.

Opowiadał mi to wszystko, kiedy siedzieliśmy w mrocznej sali na tyłach. Po kilku kolejkach jak zwykle wstał, poszedł do toalety, po drodze wrzucił monetę do szafy grającej, krążki zaczęły się kręcić, na co on podniósł wzrok i wskazując kieliszki powiedział: - Zamów następną kolejkę. - Kiedy wrócił z toalety, niezwykła błogość malowała mu się na twarzy, czy to dlatego, że wypróżnił pęcherz, czy też dlatego, że nadział się w korytarzu na jakąś dziewczynę, nie mam pojęcia. Tak czy owak, kiedy usiadł, obrał inny kurs - bardzo teraz opanowany i spokojny, prawie jak filozof.

- Wiesz, Henry, posuwamy się w latach. Nie powinniśmy tak zbijać bąków. Jeżeli w ogóle mamy coś osiągnąć, czas najwyższy się do tego zabrać...

Od lat wysłuchiwałem tej jego kwestii, wiedziałem też, czym się to skończy. To był tylko taki przerywnik, tymczasem mówca spokojnie godził wzrokiem po sali i szacował, która lalunia ma najmniej pijacki wygląd. Kiedy się więc rozwodził na temat nieszczęsnych porażek naszego życia, nogi tańczyły mu pod stołem, a oczy coraz bardziej się roziskrzyły. I to, co miało nastąpić, zawsze następowało przy słowach: - Bo weź takiego Woodruffa. On się nigdy nie wybije, bo to kawał chama i skurwysyna... - zawsze w tej właśnie chwili, jak powiadam, tak się składało, że wpadała mu w oko jakaś pijana dziwa przechodząca koło naszego stolika, toteż przerywał bez zająknięcia swoją opowieść, żeby powiedzieć: - Cześć, mała. Może byś tak usiadła i się z nami napiła? - Ponieważ takie pijane dziwy nigdy nie chodzą w pojedynkę, tylko parami, odpowiedź nieodmiennie brzmiała: - Czemu nie, tylko czy mogę przyprowadzić koleżankę? - Na co MacGregor strugając największego dżentelmena pod słońcem odpowiadał: - Ależ naturalnie, proszę cię bardzo. A jak ma na imię? - Po czym szarpał mnie za rękaw, nachylał się ku mnie i szeptał: - Tylko mi nie zwiej, słyszysz? Postawimy im jednego, po czym zaraz się ich pozbędziemy, kapujesz?

I jak zwykle po pierwszym kieliszku zjawiał się drugi, rachunek zaczynał niepokojąco rosnać, a przecież MacGregor nie będzie trwonil pieniędzy na parę byle wyciruchów, no to ty, Henry, wyjdiesz pierwszy, będziesz udawał, że musisz kupić lekarstwo, chwilę potem ja za tobą... tylko poczekaj na mnie, ty skurczybyku, nie zostawiaj mnie na pastwę losu tak jak zeszyłem razem. Ja zaś, jak zwykle, po wyjściu na dwór oddalałem się ile tylko sił w nogach, śmiejąc się do siebie i dziękując swoim szczęśliwym gwiazdom, że tak się go łatwo pozbyłem. Po tyłu kieliszkach nie patrzyłem nawet, dokąd mnie nogi niosą. Broadway jak zawsze jarzył się obłądnie światłami, tłum gęsty jak melasa. Wystarczy się weń włączyć jak mrówka i dać się nieść z prądem. Wszyscy tak robią, niektórzy mają po temu swoje powody, inni z kolei żadnych. Cały ten ruch, pęd naprzód ma wyrażać działanie, sukces, parcie do przodu. Wystarczy przystanąć i patrzeć na buty czy eleganckie koszule, na nową jesionkę, na



obrączki ślubne po dziewięćdziesiąt osiem centów sztuka. Co druga nora to orgia żarcia.

Za każdym razem, kiedy trafiałem na ten pas startowy w porze kolacji, ogarniała mnie gorączka oczekiwania. To zaledwie kilka przecznic od Times Square do Pięćdziesiątej Ulicy, mówiąc: „Broadway” przecież tylko to mamy na myśli, czyli w gruncie rzeczy, nic takiego, ot, zwyczajny kurnik, i to pośledniego rodzaju, ale o siódmej wieczór, kiedy kto żyw ugania się za stolikiem, w powietrzu słyhać coś jakby wyładowania elektryczne, człowiekowi włosy stają na głowie jak anteny, jeżeli więc ktoś jest dostatecznie wrażliwy, nie tylko wyłapie wszystkie błyski i rozbłyski, lecz również obudzi się w nim statystyczny nerw, *guid pro quo* interakcyjnej, międzywęzłowej, ektoplazmatycznej masy ciał kłębiących się w przestrzeni niczym gwiazdy, które tworzą Mleczną Drogę, tyle że to jest Błoga Biała Droga, szczyt świata, bo nad nim już nie ma żadnego dachu, a pod nogami choćby najmniejszej szczeliny ani dziury, w którą można by się zapaść i stwierdzić, że to kłamstwo. Całkowita bezosobowość tego wszystkiego wypycha człowieka na wyżyny żarliwego ludzkiego delirium, które każe mu rwać naprzód niczym ślepy kuc i tylko strzyc delirycznymi uszami. Wszyscy tak cholernie, tak bez reszty nie są sobą, że człowiek automatycznie zaczyna uosabiać cały ludzki ród, podaje rękę tysiącowi ludzkich rąk, szwargoce tysiącem języków, przeklina, klaszcze, gwizdże, kwili, monologuje, peroruje, gestykuluje, sika, sra, wyłudza, pochlebia, skamle, frymarczy, stręczy, jazgocze i tak dalej, i tak dalej. Jest tymi wszystkimi mężczyznami, którzy żyją na miarę Mojżesza, a ponadto jest kobietą kupującą sobie kapelusz, klatkę na ptaki albo zwyczajnie pułapkę na myszy. Można leżeć wyczekująco w witrynie sklepu, niczym pierścionek z czternastokaratowego złota, albo też wspiać się po budynku niczym ludzka mucha, nic jednak nie powstrzyma tej procesji, nawet parasole spadające z prędkością światła ani piętrowe morsy maszerujące jak gdyby nigdy nic ku ostrzygowym nadbrzeżom. Broadway, tak jak go widzę teraz i jak widziałem go przez dwadzieścia pięć lat, to szalbierstwo wymyślone przez świętego Tomasza z Akwinu, kiedy spoczywał jeszcze w łonie matki. Początkowo miały go zamieszkiwać jedynie węże i jaszczurki, legwan rogaty i czerwona czapla, lecz kiedy zatoniła wielka armada hiszpańska, ludzkość wygramoliła się spod keczu i rozpełzła ryjąc swoim ohydny, haniebnym wiciem i skręcaniem pizdowatą rozpadlinę, która ciągnie się z południa od Battery do pól golfowych na północ przez martwe, robaczywe centrum wyspy Manhattan. Między Times Square a Pięćdziesiątą Ulicą zawiera się to wszystko, co święty Tomasz z Akwinu zapomniał włączyć do swojego *magnum opus*, a zatem, między innymi, hamburgery, guziki, pudle, automaty, szare meloniki, taśmy do maszyny, pomarańczowe lizaki, darmowe ubikacje, podpaski higieniczne, cukierki miętowe, kule bilardowe, siekana cebula, karbowane serwetki, studzienki uliczne, guma do żucia,

przyczepy motocyklowe, landrynki, celofan, opony kordowe, iskrowniki, końska maść, pastylki od kaszlu i ta kocia nieprzeniknioność skłonnego do hysterii eunucha, który zmierza do wózka z napojami, a między nogami dynda mu obrzynek. Owa przedkolacyjna atmosfera, mieszanina paczuli, ciepłej blendy smolistej, lodowatej elektryczności, lukrowanego potu i pudrowanego moczu przyprawia człowieka o gorączkę delirycznego oczekiwania. Chrystus nigdy więcej nie zstąpi na ziemię ani nie narodzi się kolejny prawodawca, ani nie ustana morderstwo, kradzież, gwałt, a mimo to... mimo to czegoś się oczekuje, czegoś przeraźliwie cudownego i niedorzecznego, może zimnego homara w majonezie podanego na koszt firmy, może jakiegoś wynalazku na miarę światła elektrycznego czy telewizji, tyle że bardziej dewastującego, bardziej rozdzierającego duszę, wynalazku niesłychanego, który by przyniósł druzgoczący spokój i pustkę, nie tyle spokój i pustkę śmierci, ile życia, o jakim marzą mnisi, o jakim nadal marzy się w Himalajach, w Tybecie, w Lahaur, na Aleutach, w Polinezji, na Wyspie Wielkanocnej, marzenie ludzkości sprzed potopu, nim zapisano słowo, marzenie jaskiniowców i antropofagów, istot dwupłciowych o krótkich ogonach, istot pomawianych o obłąd, które nie mogą się nijak bronić, bo przewyższają ich liczebnie ci, co ponoć nie są obłądem dotknięci. Zimna energia schwytna w potrzask przez sprytnych chamów, po czym wypuszczona niczym rakiety, splecione ze sobą wewnątrznie koła, które mają dawać złudzenie siły i prędkości, jedno światła, inne mocy, jeszcze inne ruchowi, słowa telegrafowane przez pomyślników i zestawione razem niczym sztuczne zęby, doskonałe i odstręczające jak trędowaci, przymilne, miękkie, oślizgłe, bezsensowny ruch, pionowy, poziomy, kołowy, między ścianami i przez ściany, dla przyjemności, dla frymarzenia, dla zbrodni, dla seksu; wszelkie światło, ruch, moc poczęte bezosobowo, zrodzone i wydzielane przez zdławioną pizdowatą rozpadlinę, która ma olśniewać i zatrząwać dzikusa, prostaka, obcego, tyle że nikt nie jest ani olśniony, ani zatrwożony, bo ten głodny, ów trędowaty, wszyscy tacy sami, w niczym nie różni od dzikusa, prostaka, obcego, wyjąwszy co najwyżej drobne szczegóły, *bric a brac*, mydliny myśli, trociny umysłu. Tą samą pizdowatą rozpadliną schwytna w potrzask i nie olśnione kroczyły przede mną miliony, a wśród nich niejaki Blaise Cendrars, który następnie poleciał na Księżyc, stamtąd z powrotem na Ziemię, a potem w górę rzeki Orinoko udając dzikiego człowieka, chociaż solidny przy tym jak guzik, aczkolwiek już nie tak kruchy, nie tak śmiertelny, okazała bryła wiersza dedykowanego archipelagowi bezsenności. Spośród tych z gorączką nieliczni tylko wykluci, ja jeszcze nie wykluty, lecz chłonny i pokalany, odnotowujący z niemą zaciekłością nudę bezustannego dryfowania i ruchu. Przed kolacją łopot i brzęk światła z nieba, które cichutko perkocze przez szarą sklepioną kopułę, błakające się półkule z załączkami jąder niebieskich jaj, co koaguluja,

rozchodzą się, w jednym koszu raki, w drugim wykluwanie się świata aptyseptycznie osobistego i absolutnego. Ze studzienek ulicznych, szarych podziemnym życiem, ludzie przyszłego świata nasiąknięci gównem, lodowata elektryczność wgrzyza się w nich jak szczur, dzień ukatrupiony, nadciągają ciemności niby chłodne, orzeźwiające cienie rynsztoków. I w tym wszystkim ja, niczym obwisły kutas wyślizgujący się z przegrzanej cipy, nadal nie wykluty, skręcam się żądny poronienia, lecz anim martwy, anim dość miękki, ani wolny od spermy, mknący *ad astra*, gdyż jeszcze nie pora na kolację, a szał ruchu robaczkowego ogarnia górną okrężnicę, obszar podbrzusza, płat pępkowy i poszyszynkowy. Gotowane żywcem raki pływają w lodzie, nie dając przebaczenia i o przebaczenie nie prosząc, zwyczajnie, bez ruchu i bez pobudek w tej lodowatej nudzie śmierci, życie zaś przepływa obok witryny sklepowej, zakutane w samotność, żaloszny skorbut przeżarty ptomainą, oszroniona szyba okienna tnąca jak scyzoryk, do czysta, resztek nie ma.

Życie przepływa obok witryny sklepowej... a ja wraz z nim jako część życia niczym ten rak, czternastokaratowy pierścionek, końska maść, chociaż nader trudno ustalić fakt, gdyż faktem jest, że życie to artykuł handlowy z dołączonym listem przewozowym, wybrane przeze mnie jedzenie ważniejsze ode mnie, zjadacza, jedno zjada drugie, a zatem jeść, czasownik, to pan na grzędzie. Podczas jedzenia narusza się prawa gospodarza i chwilowo odnosi tryumf nad sprawiedliwością. Talerz i jego zawartość, wskutek drapieżnych sił rządzących jelitami, domagają się uwagi i jednoczą ducha, najpierw go hipnotyzują, potem z wolna połykają, następnie przeżuwiają i wchłaniają. Duchowa część istoty rozplywa się jak piana, nie pozostawiając żadnych dowodów ani śladów swej obecności, znika, znika bardziej nawet doszczętnie niż punkt w przestrzeni po zakończeniu rozprawy matematycznej. Gorączka, która jutro może powrócić, tak się ma do życia, jak rtęć w termometrze do ciepła. Gorączka nie ożywi życia, czego trzeba było dowieść, a zatem uświęca pulpety mięsne i spaghetti. Żucie wraz z tysiącami przeżuwaczy, a każde żucie aktem morderstwa, przydaje niezbędnej perspektywy społecznej, jakiej nabiera człowiek, kiedy wygląda przez okno i widzi, że nawet ludzkość można by sprawiedliwie poprowadzić na rzeź, okaleczyć, zagłodzić bądź stortuować, albowiem podczas żucia sam przywilej siedzenia na krześle w ubraniu, wycierania ust serwetką pozwala nam pojąć to, czego nie zdołali pojąć najmędrsi, mianowicie, że nie ma innej drogi w życiu, jak powiadali mędrzy wzbraniając się niejednokrotnie przed użyciem krzesła, ubrania czy serwetki. Toteż ludzie, którzy pędzą tą pizdowatą rozpadliną, czyli ulicą zwaną Broadwayem, codziennie o tych samych porach w pogoni za tym czy za owym, próbują ustalić to czy tamto, dokładnie tak samo jak matematycy, logicy, fizycy, astronomowie i im podobni. Sam dowód jest faktem, a fakt nie

ma znaczenia, wyjąwszy to, które mu nadali ci, co ustalają fakty.

Kiedy już zeżarłem pulpety mięsne, rzuciłem spokojnie papierową serwetkę na podłogę, beknąłem sobie ździebko, jeszcze nie wiedząc, po co ani dlaczego, wyszedłem znów w dwudziestoczerokaratowy blask i wmieszałem się w teatralny tłum. Tym razem błąkam się bocznymi ulicami podążając w ślad za ślepcem z akordeonem. Co pewien czas przysiadam na ganku i słucham arii. W operze muzyka nie ma sensu; tutaj, na ulicy, ma natomiast właściwy, szalony wydźwięk, który dodaje jej pikanterii. Kobieta towarzysząca ślepcowi trzyma w rękach blaszaną miseczkę; on też jest częścią życia podobnie jak ta blaszana miseczka, jak muzyka Verdiego, jak gmach Metropolitan Opera. Wszyscy i wszystko są częścią życia, ale nawet jeśli to zsumować razem, to i tak jeszcze nie jest życie. Kiedy życie jest życiem - pytam się - i dlaczego nie teraz? Ślepiec sunie przed siebie, a ja nadal siedzę na ganku. Pulpety były zepsute, kawa ohydna, masło zjełczałe. Wszystko, na co patrzę, jest zepsute, ohydne, zjełczałe. Ulica trąci brzydkim zapachem z ust; następna tak samo, następna i jeszcze następna też. Na rogu ślepiec znowu przystaje i gra „Do domu w nasze góry”. Wygrzebuje z kieszeni gumę do żucia - zaczynam żuć. Żuję dla samego żucia. Nie mam absolutnie nic lepszego do roboty, mógłbym wprowadzić podjąć decyzję, ale to niemożliwe. Ganek jest wygodny, nikt nic ode mnie nie chce. Jestem, jak to się mówi, częścią świata, życia, należę do niego, a zarazem nie należę.

Siedzę na tym ganku chyba z godzinę, bujam w obłokach. Dochodzę do tych samych wniosków co zawsze, kiedy mam chwilę czasu na rozmyślenia. Albo natychmiast powinienem wrócić do domu, żeby zacząć pisać, albo stąd uciec i rozpocząć zupełnie nowe życie. Przeraza mnie sama myśl o zaczęciu książki; tyle mam do powiedzenia, że nie wiem od czego ani jak zacząć. Nie mniej przeraza mnie myśl o ucieczce i rozpoczęciu od nowa: oznacza niewolniczą harówkę, żeby utrzymać razem ciało i duszę. Dla kogoś o moim temperamencie, w świecie takim, jaki jest, nie ma żadnej nadziei, żadnego wyjścia. Nawet gdybym potrafił napisać tę książkę, którą chcę napisać, i tak nikt by jej nie chciał - aż za dobrze znam swoich rodaków. Nawet gdybym potrafił zacząć od nowa, mija się to z celem, bo tak naprawdę nie mam ochoty ani pracować, ani stać się użytecznym członkiem społeczeństwa. Siedzę tak wpatrzony w dom po drugiej stronie ulicy. Nie tylko wydaje mi się szpetny i bezduszny, podobnie jak inne domy na tej ulicy, ale kiedy tak intensywnie się w niego wpatruję, naraz wydaje mi się nedorzeczny. Sam pomysł takiego skonstruowania siedziby ludzkiej zakrawa na istne szaleństwo. Całe miasto zakrawa na czyste szaleństwo, wszystkie jego elementy, rynsztoki, kolejki nadziemne, automaty, gazety, telefony, gliniarze, gałki do drzwi, przytułki, ekrany, papier toaletowy, wszystko. Tego wszystkiego mogłoby tu

nie być, i to nie tylko bez żadnych strat, lecz może z zyskiem jak świat szeroki. Przypatruję się ludziom przemykającym obok mnie, a nuż któryś by się ze mną zgodził. Gdybym tak zaczepił jednego i zadał mu najzwyczajniejsze pytanie. Gdybym nagle zapytał - Dlaczego pan tak żyje? - wezwąłby pewno gliniarza. Zastanawiam się: czy nikt nigdy nie rozmawia ze sobą tak jak ja? Może coś ze mną nie w porządku? I dochodzę do wniosku, że po prostu jestem inny. A to już poważna kwestia, jakkolwiek na nią patrzeć. Henry, mówię sobie, wstając powolutku z ganku, przeciągając się, otrzepując spodnie i wypluwając gumę, Henry, mówię sobie, jesteś jeszcze młody, jesteś zaledwie żółtodziobem, jeżeli więc dasz im się chwycić za jaja, to dureń z ciebie, bo jesteś lepszy od całej tej zgrai, tylko musisz się pozbyć wszystkich złudzeń na temat ludzkości. Musisz sobie uprzytomnić, mój drogi Henry, że masz do czynienia z rzezimieszkami, z ludożercami, chociaż wszyscy chodzą wystrojeni, wygoleni, wyperfumowani, ale to jedynie rzezimieszki i ludożercy. Nie pozostaje ci, Henry, nic innego, jak kupić sobie teraz batonika, a kiedy będziesz siedział przy kiosku z napojami, miej oczy otwarte i zapomnij o przeznaczeniu człowieka, bo jeszcze znajdzie się dla ciebie dobra dupa, a dobra dupa przeczyści ci łożyska kulkowe i pozostawi miły smak w ustach, tymczasem to wszystko powoduje tylko niestrawność, łupież, zgniły oddech, zapalenie mózgu. Kiedy się tak pocieszam, podchodzi do mnie facet, żeby mnie naciągnąć na dziesięć centów, daję mu dwadzieścia pięć, niech tam, a w duchu rozważam, że gdybym miał więcej oleju w głowie, zjadłbym za te pieniądze pyszny kotlet wieprzowy zamiast tamtych obrzydliwych pulpetów, ale co za różnica, skoro to wszystko jedzenie, jedzenie daje energię, a za sprawą energii kręci się ten świat. Macham ręką na batonik, idę przed siebie i niebawem znajduję się tam, gdzie od początku chciałem się znaleźć, czyli pod kasą Roselandu. A teraz, Henry, powiadam sobie, jeżeli naprawdę masz szczęście, spotkasz tu swego starego kumpla MacGregora, który najpierw da ci niezły ochrzan za to, że mu uciekłeś, a potem pożyczy ci piątala, no i jeżeli wstrzymasz oddech wchodząc po schodach, może też trafi ci się nimfomanka, która zafunduje ci suchy numererek. Henry, wchodź bardzo spokojnie i miej oczy szeroko otwarte! No więc wchodzę zgodnie z instrukcją aksamitnym krokiem, na paluszkach, oddaję w szatni kapelusz, odlewam się, jak to jest w zwyczaju, po czym wolniutko schodzę po schodach i robię przegląd dziewczynek wystrojonych w prześwitujące szmatki, upudrowanych, wyperfumowanych, wyglądających czujnie i rześko, chociaż pewno są śmiertelnie znudzone i umęczone. Kiedy tak krążę, z każdą jedną odbywam w wyobraźni po numerku. Cały lokal jest po prostu wytapetowany cipą i pierdoleniem, stąd mam niejaką pewność, że spotkam tu swojego starego przyjaciela MacGregora. Co za ulga, że nie muszę myśleć o tym, w jakim stanie znajduje się świat. Wspominam o tym dlatego, że przez chwilę, kiedy mierzyłem

wzrokiem pewną soczystą pupę, znów mnie wzięło. Omal nie wpadłem ponownie w trans. Przemknęła mi myśl, Chryste zmiłuj się nade mną, że może powinienem wziąć nogi za pas, czmychnąć do domu i rozpocząć książkę. Co za przerażająca myśl! Spędziłem raz cały wieczór siedząc przykuty do krzesła, nic nie widziałem, nic nie słyszałem. Zanim się otrząsnąłem, musiałem chyba napisać całkiem sporą książkę. Lepiej nie zasiadać. Lepiej ciągle krążyć. Henry, powinieneś tu kiedyś przyjść z kupą szmalu, żeby się przekonać, dokąd cię to zaprowadzi. Mieć przy sobie sto czy nawet dwieście dolców, wydawać jak leci i na wszystko się zgadzać. Na przykład ta wyniosła o posagowej figurze na pewno wylaby się jak piskorz, gdyby miała dobrze natłuszczone ręce. Gdyby tak powiedziała: Dwadzieścia dolców! - a ja bym mógł odpowiedzieć: - Nie ma sprawy! Gdybym mógł powiedzieć: - Wiesz, mała, mam na dole wóz... skoczmy na kilka dni do Atlantic City. - Tyle że nie mam wozu ani dwudziestu dolców. Nie siadaj... bądź ciągle w ruchu.

Staję przy barierce okalającej parkiet i obserwuję, jak krążą w koło. To nie jest czcza rozrywka... tylko poważny interes. W każdym rogu parkietu tabliczka z napisem: „Niestosowny taniec wzbroniony”. No i dobrze. Nic nikomu nie przeszkadza taka tabliczka w każdym rogu sali. W Pompei zawieszono by pewnie sterczącego fallusa. Ale tu jest Ameryka. Na to samo wychodzi. Nie wolno mi myśleć o Pompei, bo znów musiałbym siadać do pisania książki. Ruszaj się, Henry. Skup się na muzyce. Za wszelką cenę usiłuję sobie wyobrazić, jak bym się pysznie zabawił, gdybym miał forszę na karnet biletów, ale im bardziej dokładam starań, tym głębiej się zapadam. W końcu stoję już po kolana w pokładach lawy, duszą mnie gazy. Wcale bowiem nie lawa zabiła mieszkańców Pompei, tylko trujący gaz, który poprzedzał wybuch. Dlatego lawa uchwyciła ich w takich dziwacznych pozach, niejako z opuszczonymi portkami. Gdyby tak naraz zastygł cały Nowy Jork - cóż by to było za muzeum! Mój przyjaciel MacGregor stałby przy zlewie i szorował sobie chuja... lekarze od skrobanek z Dzielnicy Wschodniej złapani na gorącym uczynku... zakonnice w łóżkach masturbujące się nawzajem... licytator z budzikiem w ręku... telefonistki przy łącznicy... J.P. Morganana na klozecie podcierający sobie niewzruszenie tyłek... gliniarze z pałami dający niezły wycisk... striptizerki w ostatnich podrygach...

Stoję tak po kolana w pokładach lawy, sperma zalewa mi oczy: tymczasem J.P. Morganana podciera sobie niewzruszenie tyłek, telefonistki pracują przy łącznicy, gliniarze z pałami dają niezły wycisk, mój stary przyjaciel MacGregor szoruje sobie kutasa w obawie o zarazki, pieści go i obserwuje pod mikroskopem. Wszyscy złapani z opuszczonymi portkami, striptizerki również, chociaż one nie noszą portek ani bród, ani wąsów, tylko skrawki materiału, żeby sobie przykryć błyskające cipki. Siostra Antolina leży w klasztorным łóżku,

ze ściśniętymi kiszkami, podparta pod boki, i czeka na Zmartwychwstanie, czeka tak, czeka na życie bez przepukliny, bez seksu, bez grzechu, bez zła, pogryzając tymczasem herbatniki w kształcie zwierząt, ostre papryczki, wykwintne oliwki, podroby. Żydziaki w Dzielnicy Wschodniej, w Harlemie, w Bronx, w Canarsie, w Bronxville otwierają i zamykają wentylatory, wyciągają ręce i nogi, kręcą maszynką do parówek, zapychają rury, uwijają się jak szaleni za forsa, a jeżeli ktoś piśnie choć słowo, wylatuje na zbity łeb. Gdybym miał w kieszeni tysiąc sto biletów, a pod domem czekał na mnie Rolls-Royce, mógłbym się świetnie do woli zabawić, bo pieprzyłbym je wszystkie jak leci, nie bacząc na wiek, płeć, rasę, religię, narodowość, urodzenie ani wychowanie. Dla takiego człowieka jak ja nie ma wyjścia, skoro jestem, kim jestem, i świat jest, jaki jest. Świat dzieli się na trzy części, z czego dwie to pulpety mięsne i spaghetti, a trzecia to wielki syfilityczny wrzód. Ta wyniosła z posągową figurą to pewno zimna ryba *con anonyme* obłożona złotym liściem i cynfolią. Poza rozpaczą i rozczarowaniem zawsze jest jeszcze brak czegoś okropniejszego i dobre strony nudy. Nie ma nic gorszego ani nic bardziej pustego niż sam środek krzykliwej wesołości, uchwycony przez mechaniczne oko tej mechanicznej epoki, życie dojrzewające w czarnej skrzynce, negatyw podrażniony kwasem, obnażający chwilowe pozory nicości. Na krańcach tej chwilowej nicości zjawia się mój przyjaciel MacGregor, staje przy mnie, a z nim ta, o której mi opowiadał, nimfomanka imieniem Paula. Ma swobodny, lekki krok, wysoką grzędę dubeltowego seksu, wszystkie jej ruchy promieniują z lędźwi, zawsze w równowadze, zawsze gotowa płynąć, płasnąć, wirować i ścisnąć, oczy wiecznie tykają, palce u nóg świerzbią i migoczą, całe ciało faluje niczym jezioro smagane bryzą. Istne uosobienie halucynacji seksu, nimfa morska wijąca się w ramionach szaleńca. Obserwuję ich, jak centymetr po centymetrze krążą spazmatycznie na parkiecie; ruszają się niczym ośmiornica w rui. Muzyka między dyndającymi mackami kipi i błyska, to wylewa się kaskadą spermy i wody różanej, to formuje w tłusty słup niczym kolumna wzwiedziona bez podstawy, to znów kruszy się jak kreda, przy czym górna część nogi fosforyzuje, przypomina zebłą stojącą w kałuży złotego prawoślazu, z jedną nogą w prążki, drugą roztopioną. Złota prawoślazowa ośmiornica z gumowymi zawiasami i roztopionymi kopytami, a seks jej rozprzęgnięty i zawiązany na supeł. Na dnie morza ostrygi tańczą taniec świętego Wita, jedno ze szczękościskiem, inne z nader elastycznymi stawami w kolanach. Muzyka przyprawiona trutką na szczury, jadem grzechotnika, mdlącym zapachem gardenii, plwociną świętego jaka, obrzydliwym potem piżmoszczura, lukrowaną nostalgią trędowatego. Ta muzyka to sraczka, jezioro pełne benzyny, gęste od karaluchów i zjełczałych końskich szczyn. Ciurkające dźwięki to piana i ślina epileptyka, nocny pot ciupciającej się Murzynicy jebanej przez Żyda. Cała Ameryka

zawiera się w wycieku tego puzonu, w tym wymęczonym, zmordowanym rzeniu stoczonych gangreną krów morskich stacjonujących w Point Loma, Pawtucket, na przylądku Hatteras, na Labradorze, w Canarsie i punktach pośrednich między nimi. Ośmiornica tańczy niczym gumowy kutas - rumbę Spuyten Duyvil *inédit*. Nimfomanka Laura odstawia rumbę, seks jej się rozwija i skręca niczym krowi ogon. W brzuchu puzonu spoczywa dusza amerykańska pierdząc sobie do woli. Nic się nie marnuje - nawet najmniejszy wyprysk bździn. W tym złotym prawoślazowym śnie o szczęśliwości, w tańcu przewilgłym szczynami i benzyną, wielka dusza kontynentu amerykańskiego mknie niczym ośmiornica, wszystkie żagle postawione, luki zamknięte, silnik mruczy jak dynamo. Wielka dynamiczna dusza uchwycona w migawce aparatu fotograficznego, w gorączce rui, bezkrwista jak ryba, oślizgła jak śluz, dusza ludzkich krzyżówek rasowych na dnie morza, zżeranych tęsknotą, targanych żądzą. Taniec sobotniej nocy, kantalup gnijących na śmietniku, świeżych zielonych smarków i lepkich maści na delikatne organy. Taniec automatu i potworów, którzy je wymyślili. Taniec spluwy i bandytów, którzy się nimi posługują. Taniec pałki i chujów gliniarzy, którzy tłuką nimi ludzkie mózgi na polipowatą miazgę. Taniec świata iskrownika, iskry, która się odiskrza, cichy pomruk idealnego mechanizmu, rasa prędkości na tarczy obrotowej, dolar *al pari*, lasy martwe i okaleczone. Sobotnia noc jałowego tańca duszy, a każdy skoczny podrygiwacz to żywotny element tańca świętego Wita z liszaj owego snu. Nimfomanka Laura wywija cipą, cudne wargi jak płatki róży uzbrojone po zęby w szpony łożysk kulkowych, tyłek zerżnięty i wydrażony. Centymetr po centymetrze, milimetr po milimetrze suwają tak kopulującego trupa. Naraz stop! Muzyka raptem się urywa, jak gdyby nagle wyrwana z kontaktu, tancerze pierzchają na boki, ręce i nogi bez ruchu niczym listki herbaty opadające na dno szklanki. Teraz w powietrzu robi się niebiesko od słów, które skwierczą powoli jak ryba na patelni. Plewy pustej duszy unoszą się niczym małpi jazgot na najwyższych gałęziach drzew. W powietrzu niebiesko od słów wylatujących przez wentylatory, wracających ponownie we śnie przez karbowane przewody i kominy, uskrzydłonych niczym antylopa, prądkowanych niczym zebra, to leżących spokojnie jak mięczak, to znów plujących ogniem. Nimfomanka Laura zimna jak posąg, jej organy przeżarte, jej włosy porwane muzyką. Laura stoi na krawędzi snu, z przymkniętymi ustami, słowa padają z nich jak pyłek kwiatowy we mgle. Laura Petrarki siedzi w taksówce, każde słowo oddzwania brzęczyk w kasie, następnie podlega sterylizacji, następnie przyżeganiu. Bazyliškowa Laura wykonana w całości z azbestu kroczy na płonący stos z ustami pełnymi gumy. Dobra nasza – mówią jej wargi. Ciężkie, żłobione wargi muszli, wargi Laury, wargi zaginionej niebiańskiej miłości. Wszystkie one płyną w kierunku cienia przez opadającą mgłę. Ostatnie pomrukiujące resztki



muszlowatych warg wymykają się z brzegów Labradoru, kierują na wschód z błotnistą falą, zdążają ku gwiazdom z prądem jodyny. Zaginiona Laura, ostatnia z Petrarków, rozmywa się powoli na krawędzi snu. Nie szary ten świat, ale matowy, lekki bambusowy sen giętej niewinności. A wszystko w czarnej szalonej próżni nieobecności pozostawia mroczne poczucie brzemiennego zwątpienia, nie tak znów odległego szczytowi rozpaczy, która jest tylko wesołym młodocianym robakiem szlachetnego zerwania śmierci z życiem. Z tego odwróconego stożka ekstazy życie znów się podźwignie wznosząc prozaiczny drapacz chmur, ciągnąc mnie w górę za włosy i zęby, parszywe w swej skowyczącej czczej radości, ożywiony płód nie narodzonego robaka śmierci w oczekiwaniu na zgniliznę i rozpad.

W niedzielę rano budzi mnie telefon. Dzwoni mój przyjaciel Maxie Schnadig z wiadomością o śmierci naszego kolegi, Luke'a Ralstona Maxie przybiera doprawdy żałobny ton, który natychmiast budzi we mnie przekorę. Powiada, że Luke był takim równym gościem. To też odbieram jako fałszywą nutę, bo chociaż Luke istotnie był w porządku, był przecież taki sobie, daleko mu do równego gościa. Luke był utajonym pedałem, kiedy go zaś poznałem bliżej, okazał się potworną mendą. Powiedziałem to Maxiemu przez telefon; z jego reakcji wywnioskowałem, że nie bardzo mu to przypadło do gustu. Odparł, że Luke był mi zawsze przyjacielem. Owszem, ale to jeszcze nie wszystko. W gruncie rzeczy cieszyłem się nawet, że Luke wykitował w tak odpowiedniej chwili: mogłem spuścić zasłonę na te sto pięćdziesiąt dolarów, które mu byłem winien. Toteż kiedy odłożyłem słuchawkę, ogarnęła mnie prawdziwa radość. Co za niesłychana ulga, że nie muszę zwracać tego długu. Jeżeli chodzi o zejście Luke'a, wcale się nie przejąłem. Przeciwnie, będę mógł z tej okazji złożyć wizytę u jego siostry, Lottie, którą zawsze miałem ochotę przelecieć, ale jakoś nigdy się nie składało. Teraz wyobraziłem sobie, jak tam zachodzę w środku dnia, żeby jej złożyć kondolencje. Jej mąż będzie w biurze, nic więc nam nie przeszkodzi. Wyobraziłem sobie, że obejmuję ją i pocieszam; nie ma nic lepszego, niż zabierać się do kobiety, którą trapi wielki smutek. Wyobraziłem sobie, jak otwiera szeroko oczy - a oczy miała piękne, duże i szare - kiedy prowadzę ją do kanapy. Należała do kobiet, które dadzą człowiekowi dupy udając, że rozmawiają o muzyce albo o podobnych dyrdymałach. Odsuwała od siebie surową rzeczywistość, że się tak wyrażę, nagie fakty. Miała jednak na tyle przytomności umysłu, żeby podścielić ręcznik, aby nie poplamić kanapy. Przejrzałem ją na wylot. Wiedziałem, że najlepiej pójść do niej teraz zaraz, kiedy jeszcze trawia ją emocje po stracie ukochanego Luke'a - którego, nawiasem mówiąc, miała właściwie za nic. Niestety, była akurat niedziela,

mąż na pewno będzie w domu. Wróciłem do łóżka i leżałem sobie rozmyślając najpierw o Luke'u i o tym wszystkim, co dla mnie zrobił, potem o niej, o Lottie. Nazywała się Lottie Somers - zawsze podobało mi się jej imię i nazwisko. Świetnie do niej pasowały. Była jego przeciwieństwem - Luke chodził sztywny jak pogrzebacz, miał twarz jak kościotrup, zawsze nieskazitelny, szkoda słów. Ona natomiast miękka, krągła, mówiła cedząc, a nawet pieszcząc słowa, ruszała się ospale, skutecznie używała oczu. Nikt nie wziąłby tych dwojga za rodzeństwo. Tak się zapędziłem w swoich rozmyślaniach, że zacząłem się zabierać do własnej żony. Ale ta nieboraczka ze swoim purytańskim kompleksem udawała przerażenie. Lubiała Luke'a. Nie powiedziałaaby o nim „równy gość”, bo to do niej niepodobne, ale twierdziła, że był szczery, lojalny, był prawdziwym przyjacielem i temu podobne. Miałem tylu lojalnych, szczerych, prawdziwych przyjaciół, na diabła mi jeszcze ten jeden. Wreszcie wdaliśmy się w taką kłótnię na temat Luke'a, że żona dostała ataku hysterii, zaczęła płakać i szlochać - a wszystko, przypominam, działo się w łóżku. Od razu poczułem się głodny. Szloch przed śniadaniem to coś potwornego. Zszedłem na dół, przygotowałem sobie pyszne śniadanie, a kiedy je szykowałem, śmiałem się sam do siebie na myśl o Luke'u i tych stu pięćdziesięciu dolcach, które mi się z powodu jego śmierci upiekły, na myśl o Lottie i spojrzeniu, jakim mnie obdarzy, kiedy nadejdzie ta chwila... wreszcie, co najdziwniejsze, pomyślałem o Maxiem, Maxiem Schnadigu, wiernym przyjacielu Luke'a, jak stoi nad grobem z dużym wieńcem, może też rzuca garść ziemi na trumnę spuszczaną w dół. Coś tak głupiego, że aż trudno opisać. Nie miałem pojęcia, czemu mnie to tak razi, ale mnie raziło. Maxie to prostak. Tolerowałem go tylko dlatego, że raz na czas można go było naciągnąć na jakąś pożyczkę. No i przez tę jego siostrę, Ritę. Dawniej pozwalałem się sporadycznie zapraszać do jego domu, udając zainteresowanie jego obłąkanym bratem. Zawsze mnie tam czekał suty posiłek, a pomyłony brat dostarczał niezłej zabawy. Wyglądał jak szympanś i nie inaczej mówił. Maxie był za głupi, żeby mnie podejrzewać wyłącznie o dobrą zabawę; sądził, że naprawdę interesuję się jego bratem.

Była piękna niedziela, ja zaś jak zwykle miałem jakieś dwadzieścia pięć centów przy duszy. Ruszyłem przed siebie rozważając, dokąd by się tu udać, żeby wycyganąć jakąś forszę. Nigdy, rzecz jasna, nie było trudno zdobyć trochę mamony, chodziło tylko o to, żeby ją zdobyć i dać drapaka, nie zanudziwszy się przy tym na śmierć. Przyszło mi na myśl kilkunastu facetów tu w okolicy, facetów, którzy wysupłaliby co nieco bez słowa sprzeciwu, ale wiązałyby się to z długimi rozmowami - o sztuce, religii, polityce. Mogłem się też zdecydować na coś, co przyparty do muru praktykowałem już wiele razy, mianowicie odwiedzić jedną z filii towarzystwa telegraficznego, udając, że wpadam na przyjacielską

inspekcję, po czym w ostatniej chwili rzucić, żeby podwędzili do jutra z kasy, powiedzmy, dolara. Tyle że wymagałoby to czasu, no i jeszcze nudniejszych rozmów. Przemysławszy rzecz na chłodno wykalkulowałem, że najlepiej wstąpić do mojego małego przyjaciela, Curleya w Harlemie. Jeżeli Curley nie będzie miał forsy, zawsze może wyciągnąć coś matce z portmonetki. Wiedziałem, że mogę na nim polegać. Na pewno będzie chciał mi towarzyszyć, ale zawsze znajdzie się sposób, żeby go spławić przed końcem wieczoru. Był przecież tylko dzieckiem, nie musiałem się więc z nim cackać. Curley podobał mi się dlatego, że mimo swoich siedemnastu lat był wyprany do cna z moralności, skrupułów, wstydu. Zgłosił się do mnie jako czternastolatek, szukając pracy posłańca. Jego rodzice, którzy bawili wówczas w Ameryce Południowej, wysłali go do ciotki w Nowym Jorku, która prawie natychmiast go uwiodła. Nigdy nie chodził do szkoły, bo rodzice bez przerwy podróżowali; byli wędrownymi artystami, którzy, wedle jego określenia, pracowali „jak woły w kieracie”. Ojciec wielokrotnie odsiadywał wyroki. Zresztą nie był jego prawdziwym ojcem. No więc Curley zgłosił się do mnie jako szczeniak potrzebujący pomocy, a jeszcze bardziej przyjaciela. Z początku sądziłem, że będę mógł coś dla niego zrobić. Wszystkim od razu przypadł do gustu, zwłaszcza kobietom. Stał się maskotką naszego biura. Wkrótce jednak zdałem sobie sprawę, że jest niewyuczalny, że w najlepszym wypadku ma zadatki na szczwanego kryminalistę. Lubilem go jednak i nadal próbowałem coś dla niego robić, chociaż nigdy mu nie ufałem, kiedy traciłem go z oczu. Lubilem go chyba przede wszystkim dlatego, że nie miał krztyny poczucia honoru. Skoczyłby dla mnie w ogień, a równocześnie nie zawahałby się mnie zdradzić. Nie mogłem go nawet winić... bardzo mnie to bawiło. Tym bardziej że był w tym szczerzy. Nic na to nie mógł poradzić. Weźmy, na przykład, jego ciotkę Sophie. Twierdził, że go uwiodła. To prawda, ale zastanawia fakt, że dał się uwieść podczas wspólnego czytania Biblii. Mimo swojego młodocianego wieku jakby rozumiał, że jest pod tym względem ciotce Sophie potrzebny. Dał się więc uwieść, jak powiedział, po czym, kiedy się już lepiej poznaliśmy, zaproponował, że mnie przedstawi ciotce. Posunął się nawet do szantażu. Kiedy cholernie mu doskwierał brak pieniędzy, szedł do ciotki i je od niej wyłudzał - sprytnymi groźbami wydania całej sprawy. I to z miną niewiniątka. A miał niewiarygodnie anielski wygląd, choćby te wielkie wodniste oczy, które wydawały się tak uczciwe i szczerze. Zawsze gotów do najrozmaitszych posług, wierny jak pies. A przy tym nader przebiegły, bo skoro raz się już wkradł w czyjeś łaski, potrafił tego kogoś zmusić do znoszenia jego kaprysów. W dodatku nad wyraz inteligentny. Szczwaną inteligencją lisa przy całkowitej bezduszości szakala.

Wcale mnie więc nie zdziwiło, kiedy się owego popołudnia dowiedziałem, że

zabawiał się z Valeską. Po Valeskiej dobrał się do jej rozdziewiczonej już kuzynki, spragnionej mężczyzny, na którym mogłaby polegać. Na ostatku wziął się za karlicę, która urządziła sobie u Valeskiej przytulne gniazdko. Karlica interesowała go dlatego, że miała najzupełniej normalną cipę. Nie żywił wobec niej żadnych zamiarów, gdyż jak twierdził, jest obrzydliwą lesbijką, ale pewnego dnia naszedł ją niechcący podczas kąpieli i tak to się zaczęło. Wyznał, że już mu to wszystko dojadło, bo wszystkie trzy za bardzo się na niego napalają. Chyba najbardziej odpowiadała mu kuzynka, gdyż była przy forsie i chętnie się nią dzieliła. Valeska zbytnio się pilnowała, poza tym jak na jego gust miała za silny zapach. Prawdę powiedziawszy, zaczynał mieć dosyć kobiet. Twierdził, że to wina ciotki Sophie, bo zrobiła zły początek. Opowiadając mi to wszystko, nie przestaje szperać w szufladach biurka. Ojciec to kawał dusigrosza i skurwysyna, trzeba by go powiesić, klnie, bo nic nie może znaleźć. Pokazuje mi rewolwer z kolbą wykładaną macicą perłową... co by nim wskórał? Broń jest za dobra na tego starego skurczybyka... chętnie wysadziłby go w powietrze. Kiedy próbowałem zgłębić, dlaczego tak bardzo nienawidzi swojego staruszka, wyszło na jaw, że ten dzieciak jest opętańczo przywiązany do matki. Nie mógł znieść myśli, że stary chodzi z nią do łóżka. Nie chcesz chyba powiedzieć, że jesteś zazdrosny o starego, pytam. Owszem, jest zazdrosny. Jeżeli chcę znać prawdę, nie miałby nic przeciwko temu, żeby pójść z matką do łóżka. Czemu nie? Dlatego pozwolił się uwieść ciotce Sophie... bo przez cały czas myślał o matce. No ale nie czujesz się parszywie przetrząsając jej portmonetkę, pytam. Roześmiał się. Przecież to nie jej pieniądze, mówi, tylko jego. A co oni dla mnie zrobili? Zawsze mnie komuś podrzucali. Od samego początku nauczyli mnie oszukiwać. Jak tak można, cholera, wychowywać dzieciaka...

W całym domu nie ma ani centa. Curley wpada na pomysł, żebyśmy poszli razem do biura, a kiedy ja zajmę kierownika rozmową, on przetrząśnie szatnię i wybiera drobne z kieszeni ubrań. Albo jeżeli nie boję się ryzyka, wyczyści kasę. Nas w życiu nie będą podejrzewać, twierdzi. Pytam, czy robił to przedtem. No jasne... wiele razy, i to pod nosem kierownika. I nie było potem smrodu? Owszem... wylano kilku urzędników. Może byś lepiej pożyczył od ciotki Sophie, podsuwam. Z tym nie byłoby problemu, tylko trzeba by ją szybko wyciupciać, a on nie ma już na to ochoty. Za ciotką Sophie ciągnie się smród. Jak to smród? No bo ona... nie myje się regularnie. Co jej jest? Nic, tylko jest pobożna. Poza tym obrasta tłuszczem. Ale mimo wszystko lubi, żeby ją ciupciać? Czy lubi? Ma coraz większego bzika na tym punkcie. Coś obrzydliwego. Zupełnie jakby się szło do łóżka z maciorą. A co myśli o niej twoja matka? O niej? Jest na nią zła jak diabli. Uważa, że ciotka Sophie próbuje uwieść starego. Może zresztą i próbuje! Ale staremu co innego w głowie. Pewnego wieczoru

złapałem go w kinie na gorącym uczynku, jak się gził z młodą panienką. To manikiurzystka z hotelu Astor. Pewno usiłuje z niej wycisnąć trochę forsy. To jedyny powód, dla którego dobiera się do kobiet. Parszywy, łasy na pieniądze skurczybyk, chętnie bym go pewnego pięknego dnia zobaczył na krześle elektrycznym! Sam trafisz na krzesło, jak nie będziesz uważał. Kto? Ja ? Co to, to nie! Jestem za cwany. Może jesteś cwany, ale masz za długi język. Na twoim miejscu trzymałbym trochę bardziej język za zębami. I wiesz, dorzuciłem, żeby dać mu dodatkową szprycę, O'Rourke zagiął na ciebie parol; jeżeli mu kiedyś podpadniesz, nikt ci tu nie pomoże... To czemu nic nie mówi, skoro zagiął parol? Nie wierzę ci.

Wyjaśniam mu trochę dokładniej, że O'Rourke należy do tych osób - a jest ich w świecie stanowczo za mało - które wolą bliźnim nie wchodzić w szkodę, jeżeli tylko da się tego uniknąć. O'Rourke ma instynkt detektywa tylko w tym sensie, że lubi wiedzieć, co jest grane; charaktery ludzi wечно spoczywają zakodowane w jego głowie, podobnie jak teren wroga tkwi nieodmiennie w głowach przywódców wojskowych. Ludzie myślą, że O'Rourke wciąż tylko węszy i szpieguje, że znajduje szczególną przyjemność w wykonywaniu tej brudnej roboty dla firmy. Bynajmniej. O'Rourke to urodzony badacz natury ludzkiej. Chwyta różne sprawy bez wysiłku dzięki, oczywiście, swojemu specyficznemu spojrzeniu na świat. A co do ciebie... nie mam wątpliwości, że wie wszystko na twój temat. Przyznaję, że nigdy go o to nie pytałem, ale tak podejrzewam sądząc z pytań, jakie mi czasem zadaje. Może cię tylko wypuszcza. Pewnego wieczoru wpadnie na ciebie przypadkiem, wtedy cię na przykład zaprosi, żebyście wstąpili gdzieś razem coś przegryźć. I naraz ni stąd, ni zowąd wypali - pamiętasz, Curley, jak pracowałeś w tym a tym biurze, kiedy wylano tamtego Żydka za obrobienie kasy? Coś mi się zdaje, że pracowałeś wtedy na noc. Ciekawe. Bo wiesz, nigdy nie wykryto, czy tamten urzędnik ściągnął te pieniądze, czy nie. Musiano go, prosta sprawa, wylać za zaniedbanie, ale nie potrafimy z całą pewnością stwierdzić, czy naprawdę te pieniądze ukradł. Już od dłuższego czasu myślę o tamtej aferze. Mam pewne podejrzenia, kto mógł je ukraść, ale brak mi całkowitej pewności... Po czym najprawdopodobniej prześwidruje cię wzrokiem i raptownie zmieni temat. Może też opowie ci historyjkę o pewnym znanym mu oszuście, który sądził, że jest taki sprytny i wszystko mu ujdzie na sucho. Uraczy cię nią, aż się poczujesz, jakbyś siedział na rozżarzonych węglach. Już będziesz miał ochotę nawiać, ale kiedy będziesz się zbierał do wyjścia, on sobie przypomni kolejną interesującą historyjkę, poprosi cię więc, żebyś jeszcze chwilę zaczekał, on tymczasem zamówi kolejny deser. I tak przez trzy albo cztery godziny bez przerwy, bez żadnych wyraźnych insynuacji, tylko przez cały czas będzie cię badał, aż wreszcie, kiedy już uznasz, że jesteś wolny, kiedy podasz mu na pożegnanie rękę i odetchniesz z ulgą, stanie tuż przed tobą, postawi ci te swoje kwadratowe

stopy między nogami, chwyci cię za kłapy i przesywając wzrokiem na wylot spyta miłym, tryumfującym głosem: - No i co, chłopcze, nie sądzisz, że warto by się przyznać? - A jeżeli pomyślisz, że to tylko próba zastraszenia, że nadal możesz udawać niewiniątka i iść w swoją stronę, to jesteś w błędzie. Bo z chwilą, gdy każe ci się przyznać, to już nie żartuje i nic na świecie go nie powstrzyma. Jeżeli do tego dojdzie, radzę ci zwrócić wszystko aż do ostatniego centa. Nie poprosi mnie, żebym cię wylał ani nie będzie ci groził więzieniem - tylko spokojnie doradzi, żebyś co tydzień troszeczkę odkładał i mu to oddawał. Nikt się o tym nie dowie. Pewno nie powie nawet mnie. Bo wiesz, on w takich sprawach postępuje bardzo delikatnie.

- A gdybym tak - pyta nagle Curley - powiedział mu, że ukradłem te pieniądze, żeby ci pomóc? Co wtedy?

I zaczyna się histerycznie śmiać.

- Podejrzewam, że O'Rourke ci nie uwierzy - odpowiadam niewzruszenie. - Możesz oczywiście spróbować, jeżeli sądzisz, że w ten sposób ocalisz skórę. Ale, moim zdaniem, wywoła to zły skutek. O'Rourke mnie zna... wie, że nigdy bym ci na coś podobnego nie pozwolił.

- Przecież mi pozwoliłeś!

- Wcale ci nie kazałem tego robić. Zrobiłeś to bez mojej wiedzy. A to zupełnie co innego. Poza tym jak udowodnisz, że przyjąłem od ciebie pieniądze? Czy to nie idiotyzm oskarżać mnie, człowieka bardzo ci życzliwego, że wpuściłem cię w taką robotę? Kto ci uwierzy? Na pewno nie O'Rourke. Zresztą jeszcze cię nie przyskrzytnął. To po co się martwić z góry? Może zacząłbyś tak zwracać po troszeczkę pieniądze, zanim się do ciebie dobierze. Tylko rób to dyskretnie.

Teraz już Curley był naprawdę ugotowany. W kredensie znalazła się flaszką, którą jego stary trzymał na czarną godzinę, podsunąłem, żebyśmy łyknęli na rozgrzewkę. Kiedy piliśmy sznapsa, raptem sobie przypomniałem, jak Maxie mówił, że będzie w domu Luke'a, żeby złożyć kondolencje. Była to więc stosowna okazja, żeby dorwać Maxiego. Na pewno się będzie roztkliwiał, wcisnę mu więc dowolny kit. Mogę mu powiedzieć, że dlatego tak go zimno potraktowałem przez telefon, bo nie wiedziałem, do kogo się zwrócić o dziesięć dolarów, które są mi na gwałt potrzebne. Ponadto będę się mógł umówić na randkę z Lottie. Aż się uśmiechnąłem w duchu na tę myśl. Gdyby tylko Luke mógł zobaczyć, jakiego ma we mnie przyjaciela! Najtrudniejsze w tym wszystkim będzie podejść do marów i spojrzeć z żalem na Luke'a! Byle się tylko nie roześmiać!

Podzieliłem się tą myślą z Curleyem. Ryknął takim śmiechem, że aż łzy pociekły mu

po twarzy. Co mnie przy okazji przekonało, że bezpieczniej będzie zostawić Curleya na dole, kiedy będę wyludzał forszę. W każdym razie decyzja zapadła.

Kiedy wszedłem do środka, towarzystwo siadało właśnie do kolacji. Przybrałem najsmutniejszą minę, na jaką mnie było stać. Maxie był najwyraźniej wstrząśnięty moim nagłym przybyciem. Lottie już wyszła. To mi pomogło utrzymać smętną minę. Poprosiłem o kilka minut sam na sam z Luke'em, ale Maxie nalegał, że będzie mi towarzyszył. Inni zapewne odetchnęli z ulgą, bo przez całe popołudnie odprowadzali żałobników do trumny. A jak przystało dobrem Niemcom, nie lubili, żeby im przeszkadzać w kolacji. Patrząc na Luke'a wciąż z tym samym smętkiem w oczach, poczułem wlepiony w siebie baczny wzrok Maxiego. Podniosłem oczy, uśmiechnąłem się do niego tak jak zwykle, co wyraźnie zbiło go z tropu.

- Słuchaj, Maxie - zacząłem - jesteś pewien, że nas tu nie usłyszą? - Spojrzał na mnie z jeszcze większym zaskoczeniem i żalem, ale skinął potakująco głową. - Bo widzisz, Maxie... przyszedłem tu specjalnie, żeby się z tobą zobaczyć... żeby pożyczyć kilka dolarów. Wiem, jakie ci się to wyda okropne, ale wyobraź sobie, w jakiej jestem rozpaczliwej sytuacji, skoro się do czegoś takiego posuwam. - Kiedy to wyrzuciłem z siebie, Maxie zaczął poważnie kiwać głową, wargi układały mu się w duże O, jak gdyby usiłował odstraszyć duchy. - Posłuchaj, Maxie - ciągnąłem prędko, starając się mówić cicho głosem pełnym bólu - nie pora teraz na kazania. Jeżeli chcesz coś dla mnie zrobić, pożycz mi dziesięć dolarów, i to zaraz... daj mi je teraz, kiedy patrzę na Luke'a. Wiesz, bardzo go lubiłem. Wcale nie chciałem się tak dziś rano zachować. Zadzwoiłeś w niestosownej chwili. Żona darła włosy z głowy. Maxie, jesteśmy w tarapatkach, toteż liczę na ciebie. Jeżeli możesz, wyjdź teraz ze mną, to ci powiem coś więcej na ten temat... - Tak jak się spodziewałem, Maxie nie mógł ze mną wyjść. Nie było mowy, żeby opuścił ich w takiej chwili... - No to daj mi zaraz - powiedziałem niemal z irytacją. - Jutro ci wszystko wyjaśnię. Zjemy razem obiad w mieście.

- Posłuchaj, Henry - powiada Maxie zanurzając rękę w kieszeni, zażenowany na samą myśl, że ktoś mógłby go w takiej chwili przyłapać z plikiem gotówki w ręce - posłuchaj - mówi - dam ci oczywiście te pieniądze, ale nie mogłeś się do mnie zwrócić kiedy indziej? Nie chodzi o Luke'a... tylko... - zaczął chrząkać i bąkać, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Na miłość boską - mruknąłem pochylając się niżej nad Luke'em, bo gdyby ktoś wszedł, wołałem, żeby się nie domyślił, co tu się dzieje - na miłość boską, nie spierajmy się teraz... daj mi forszę i koniec... jestem w rozpaczliwej sytuacji, rozumiesz?

Maxie był tak zmieszany i zdenerwowany, że nie potrafił wysupłać jednego banknotu nie wyjmując z kieszeni całego pliku. Pochylając się szacownie nad trumną wyluskałem

górnym banknot z pliku, który wystawał mu z kieszeni. Nie wiedziałem nawet, czy to jeden dolar, czy dziesięć. Nie próbowałem tego sprawdzić, tylko jak najszybciej go schowałem i wyprostowałem się. Następnie wziąłem Maxiego pod rękę i tak wróciliśmy do kuchni, gdzie cała rodzina zajadała z powagą, ale też z apetytem. Proszono mnie, żebym został na poczęstunek. Niezręcznie mi było odmawiać, lecz odmówiłem jak najuprzejmiej i dałem nogę, a twarz aż mnie świerzbiała od histerycznego śmiechu.

Curley czekał na mnie na rogu pod latarnią. Tutaj już nie mogłem się powstrzymać. Chwyciłem Curleya za rękę i ciągnąc go za sobą ryknąłem takim śmiechem jak rzadko. Myślałem, że się nie przestanę śmiać. Za każdym razem, kiedy otwierałem usta, żeby opowiedzieć mu całe zdarzenie, dostawałem kolejnego ataku. Wreszcie obleciał mnie strach. Pomyślałem, że może zaśmieję się tak na śmierć. Kiedy już trochę ochłonałem, po dłuższej chwili milczenia, Curley raptem zapytał: - I co, dostałeś? - To wywołało kolejny atak, jeszcze gwałtowniejszy niż poprzednie. Musiałem się oprzeć o balustradę i trzymać za brzuch. Brzuch bolał mnie straszliwie, ale ten ból sprawiał mi dziwną przyjemność.

Największą ulgę przyniósł mi widok banknotu, który wyłuskałem z pliku Maxiego. Było to dwadzieścia dolarów. To mnie od razu otrzeźwiło. A przy tym nieco wkurzyło. Wkurzył mnie fakt, że w kieszeni tego durnia Maxiego spoczywało jeszcze więcej takich banknotów, może nawet dwudziestek, dziesiątek, piątek. Gdyby wyszedł ze mną, tak jak proponowałem, i gdybym się lepiej temu plikowi przyjrzał, nie miałbym żadnych skrupułów uciekając się do szantażu. Sam nie wiem dlaczego, ale potwornie mnie to wkurzyło. Od razu sobie pomyślałem, że muszę się jak najprędzej pozbyć Curleya - pięć dolarów mu na pewno starczy - po czym wybrać się na małą bibkę. Szczególnie miałem chrapkę na jakąś upadłą, brudną dupę, która nie miałaby krztyny przyzwoitości. Tylko gdzie taką... właśnie taką spotkać? Najpierw pozbądź się Curleya. Curley się, rzecz jasna, obraża. Sądził, że się ze mną zabawi. Udaje, że wcale nie chce tych pięciu dolarów, ale kiedy widzi, jak je zabieram, szybko mi wrywa.

I znów noc, niewymownie opustoszała, zimna mechaniczna noc w Nowym Jorku, gdzie nie ma spokoju, schronienia, ucieczki. Bezmierna, zamarznięta samotność tłumu o milionie nóg, zimna, próżna luna światła, obezwładniający bezsens ideału kobiety, która poprzez ten ideał przekroczyła granicę płci i doszła do wartości ujemnych, doszła do debetu niczym elektryczność, niczym naturalna energia mężczyzny, niczym planety bez aspektu, niczym programy walki o pokój, niczym miłość przez radio. Żeby tak mieć forszę w kieszeni pośród tej białej, naturalnej energii, wałęsać się bez celu i przyczyny wśród jaskrawego blasku pobielanych ulic, myśleć na głos w pełnej samotności na krawędzi szaleństwa, należeć



do miasta, wielkiego miasta, zakosztować ostatniej chwili u kresu czasu w największym mieście świata, a zarazem w ogóle jej nie odczuć, to znaczy samemu stać się miastem, światem martwego kamienia, próżnym światłem, niepojętym ruchem, nieuchwytnością i nieobliczalnością, tajemną perfekcją wszystkiego, co jest na minusie. Kroczyć w sam środek pieniędzy przez wieczorny tłum, pieniądze dają zabezpieczenie, ukołysanie, znudzenie, cały ten tłum jest pieniędzmi, oddech pieniędzmi, nie ma tu nigdzie ani jednego przedmiotu, który by pieniędzmi nie był, pieniądze, wszędzie pieniądze i nigdy ich dosyć, a potem brak pieniędzy albo ich niedostatek, odpływ pieniędzy albo ich przyływ, ale pieniądze, zawsze pieniądze, czy się je ma, czy ich nie ma, tylko pieniądze się liczą, pieniądz robi pieniądz, tylko jak się to robi, że pieniądz robi pieniądz?

Znów na dansingu, rytm pieniędzy, miłość płynąca z radia, bezosobowy, bezskrzydły dotyk tłumu, rozpacz sięgająca podeszew butów, nuda, desperacja. Pośród najwyższej mechanicznej perfekcji tańczyć bez radości, być tak rozpaczliwie samotnym, być niemal nadludzkim, bo jest się człowiekiem. Gdyby istniało życie na Księżycu, jakież byłby na to bardziej idealny, smętny dowód niż to? Jeżeli oddalanie się od Słońca oznacza sięgnięcie do chłodnego idiotyzmu Księżyca, w takim razie dotarliśmy do celu, życie zaś jest wyłącznie zimnym, lunarnym żarzeniem się Słońca. Oto taniec lodowatego życia w próżni atomu, a im więcej tańczymy, tym robi się zimniej.

No więc tańczymy w lodowatym szalonym rytmie, na krótkich i długich falach, taniec we wnętrzu filizanki nicości, a każdy centymetr pożądania wyznaczają dolary i centy. Miotamy się od jednej idealnej kobiety do drugiej w poszukiwaniu słabych stron, lecz wszystkie one są bez skazy, niewzruszone w swej nieskalanej lunarnej konsekwencji. Oto lodowato białe dziewictwo logiki miłości, pajęczyny fali odpływu, obrzeże absolutnej próżni. Właśnie na tym obrzeżu niepokalanej logiki perfekcji tańczę taniec ducha białej desperacji, ostatni biały człowiek pociąga za spust ostatniej emocji, goryl rozpaczy wali się w piersi nieskazitelnymi łapami w rękawiczkach. To ja jestem tym gorylem, który czuje, jak rosną mu skrzydła u ramion, oszołomionym gorylem w samym środku atlasowej pustki; wieczór również rośnie niczym elektrownia, strzelając białymi gorącymi pękami w aksamitną czarną przestrzeń. To ja jestem tą czarną przestrzenią nocy, w której pąki pękają w udreće, rozgwiadzą pływającą w zamrożonej rosie księżyca. Jestem załączkiem nowego obłądu, cudakiem ubranym w niepojęty język, szlochcem wbitym niczym drzazga w żywe ciało duszy. Tańczę przytomny, cudny taniec anielskiego goryla. Oto moi bracia i siostry, obłąkani i nieanielscy. Wszyscy tańczymy w pustej filizance nicości. Jesteśmy z jednego ciała, tyle że oddzieleni od siebie jak gwiazdy.

W tym momencie wszystko staje się dla mnie jasne, jasne, że w tej logice nie ma wybawienia, samo miasto jest najwyższą formą obłądu, a każda każdziutka jego część, czy to ożywiona, czy nieożywiona, wyrazem tegoż obłądu. Czuję się niedorzecznie i pokornie wielki, nie z megalomanii, lecz jako ludzki zarodek, martwa gąbka życia nabrzmiałego aż do nasycenia. Przestaję patrzeć w oczy kobiecie trzymanej w ramionach, tylko płynę, głowa, ręce, nogi, i widzę, że za oczodołami kryje się niezbadana kraina, świat przyszłości, a tu już nie ma żadnej logiki, jedynie spokojne rodzenie się zdarzeń nie przerwanych przez noc czy dzień, wczoraj ani jutro. Oko nawykłe do koncentracji na punktach w przestrzeni, skupia się teraz na punktach w czasie; oko widzi, wedle życzenia, naprzód albo wstecz. Zatraca się oko, które dotąd stanowiło „ja” mojej jaźni; to bezosobowe oko ani nie objawia, ani nie oświeca. Sunie po linii widnokregu, niestrudzony, nie poinformowany podróżnik. Usiłując zachować stracone ciało wyrosłem w logice jako miasto, jednostka w anatomii- perfekcji. Wykroczyłem poza własną śmierć, jasny i twardy duchem. Uległem podziałowi na nieskończone wczoraj, nieskończone jutro, znajdując spoczynek dopiero na samym szczycie zdarzenia, ściana z wieloma oknami, tyle że dom zniknął. Muszę zburzyć ściany i okna, ostatnią skorupę utraconego ciała, jeżeli mam się znów połączyć z teraźniejszością. Dlatego przestaję patrzeć w oczy lub oczyma, jedynie za sprawą kuglarstwa woli płynę przez oczy, głowę, ręce i nogi, aby zgłębić krzywą wzroku. Widzę wokół siebie, tak jak matka, która mnie zrodziła, niegdyś widziała rzeczy za rogiem czasu. Rozwaliłem mur wzniesiony przez narodziny, trasa podróży zaś pozostała kolistą i nieprzerwaną, okrągłą jak pępek. Żadnych form, obrazów, architektury, jedynie koncentryczne loty czystego szaleństwa. Jestem strzałą materii snu. Sankcjonuję własnym lotem. Niweczę spadając na ziemię.

Tak mijają chwile, weredyczne chwile czasu bez przestrzeni, kiedy wiem już wszystko, a wiedząc wszystko, zapadam się pod sklepienie bezinteresownego snu.

Między tymi chwilami, w przerwach snu, bezskutecznie usiłuje się budować życie, ale konstrukcja szalonej logiki miasta wcale nie stanowi dobrego rusztowania. Jako jednostka, istota z krwi i kości, codziennie jestem tłamszony i zmuszany do tworzenia bezkrwistego, bezkościstego miasta, którego perfekcja stanowi sumę całej logiki i śmierci snu. Walczę z oceaniczną śmiercią, w której moja własna śmierć jest zaledwie kroplą parującej wody. Żeby wznieść swoje jednostkowe życie chociażby o ułamek centymetra nad to tonące morze śmierci, muszę mieć w sobie wiarę przewyższającą wiarę Chrystusa, mądrość głębszą od najznakomitszego jasnowidza. Muszę mieć zdolność i cierpliwość, żeby sformułować to, co nie zawiera się w języku naszych czasów, albowiem to, co niezrozumiałe, jest bez znaczenia. Moje oczy są bezużyteczne, gdyż odbijają jedynie obraz rzeczy znanych. Całe moje ciało

musi się przeistoczyć w stały promień światła, który porusza się z coraz to większą prędkością, nie zatrzyma się, nie obejrzy za siebie, nie skurczy w sobie. To miasto rośnie niczym rak; ja muszę rosnać niczym słońce. To miasto coraz bardziej wżera się w znaczony czerwienią deficyt; to nienasycona biała wesz, która musi w końcu zdechnąć z wycieńczenia. Zagłodzę tę białą wesz, która mnie zżera. Zdechnę jako miasto, żeby stać się ponownie człowiekiem. Dlatego zamykam uszy, oczy i usta.

Zanim naprawdę stanę się ponownie człowiekiem, będę zapewne parkiem, naturalnym parkiem, do którego ludzie wstępują dla odpoczynku, dla zabicia czasu. Nieważne, co powiedzą czy zrobią, bo przynoszą tylko swoje zmęczenie, swoją nudę, swoją rozpacz. Będę buforem między białą wszą a czerwonym ciałkiem. Będę wentylatorem, który usunie trucizny, jakie zebrały się wskutek próżnych wysiłków, by doprowadzić do doskonałości to, co doskonałości osiągnąć nie może. Będę ładem i porządkiem, który istnieje w przyrodzie, który emanuje ze snu. Będę dzikim parkiem w środku koszmaru doskonałości, spokojnym, niewzruszonym snem w środku obłąkanych czynów, przypadkowym strzałem na białym stole bilardowym logiki, nie poznam płaczu ani sprzeciwu, będę tam jednak trwał w zupełnej ciszy, żeby dostawać i przywracać. Nie powiem nic do czasu, kiedy znów będę mógł zostać człowiekiem. Nie będę się starał chronić ani niszczyć. Nie wypowiem słów sądu ani krytyki. Ci, którzy mają dosyć, przyjdą do mnie po refleksję i po medytację; ci, którzy nie mają dosyć, umrą tak jak żyli, w nieładzie, w rozpacz, w nieświadomości prawdy odkupienia. Jeżeli ktoś mi powie, musisz być wierzący, nic nie odpowiem. Jeżeli ktoś mi powie, nie mam czasu, bo czeka na mnie dupa, nic nie odpowiem. Nawet jeżeli rozpęta się rewolucja, nic nie odpowiem. Zawsze gdzieś za rogiem będzie czekała jakaś dupa albo rewolucja, ale matka, która mnie zrodziła, bywała za wieloma rogami i nic nie odpowiadała, aż wreszcie wyróciła się na nice i ja jestem odpowiedzią.

Od takiej dzikiej pasji do doskonałości nikt przecież nie oczekuje ewolucji w dziki park, ja zresztą też nie, ale nawet hołdując śmierci nieskończenie lepiej jest żyć w stanie łaski i naturalnego zamętu. Gdy życie zmierza ku doskonałości śmierci, nieskończenie lepiej być kawałkiem wolnej przestrzeni, spłachciem zieleni, krztyną świeżego powietrza, kałużą wody. Lepiej też przyjmować ludzi w ciszy i brać ich w objęcia, albowiem nie sposób udzielać odpowiedzi, kiedy pędzą w szalonym tempie, żeby skrócić za róg.

Myślę teraz o bójce na kamieniu pewnego letniego popołudnia przed wielu, wielu laty, kiedy mieszkałem u ciotki Caroline opodal Heli Gate. Bawiłem się z kuzynem Gene w parku, kiedy otoczyła nas banda chłopaków. Nie wiedzieliśmy, po której stronie walczyć, ale walczyliśmy ze śmiertelną powagą na rumowisku skalnym nad brzegiem rzeki. Musieliśmy

wykazać nawet więcej odwagi niż tamci, bo zarzucano nam, że jesteśmy maminsynkami. Dlatego doszło do zabicia jednego chłopca z bandy przeciwników. Kiedy na nas nacierano, mój kuzyn Gene zamachnął się na ich herszta i ugodził go okazałym kamulcem w samo przyrodzenie. Ja się zamachnąłem niemal w tej samej chwili i mój kamień rąbnął go w skroń, a kiedy chłopak upadł, to już się nie podniósł ani nie wydał z siebie żadnego jęku. Po kilku minutach przyjechały gliny, okazało się, że chłopak nie żyje. Miał osiem albo dziewięć lat, tyle mniej więcej, ile my wszyscy. Nie wiem, co by z nami zrobiono, gdyby nas przyłapano. Tak czy owak pierchnęliśmy do domów, żeby nie budzić podejrzeń; w drodze do domu ogarnęliśmy się trochę i uczesaliśmy. Po powrocie prezentowaliśmy się prawie tak samo nienagannie jak przy wyjściu z domu. Ciotka Caroline dała nam jak zwykle dwie grube pajdy razowca ze świeżym masłem posypane cukrem, siedzieliśmy przy kuchennym stole i słuchaliśmy jej z anielskimi uśmiechami na ustach. Dzień był wyjątkowo gorący, toteż jej zdaniem powinniśmy lepiej zostać w domu, w dużym frontowym pokoju, gdzie zaciągnięto story, i pograć w kulki z naszym małym kolegą, Joeyem Kesselbaumem. Joey uchodził za opóźnionego w rozwoju, przeważnie więc go spławialiśmy, ale owego popołudnia, rozumiejąc się bez słów, Gene i ja pozwoliliśmy mu wygrać wszystko, co mieliśmy. Joey był tak wniebowzięty, że zabrał nas później do swojej piwnicy i kazał siostrze zadrzeć sukienkę, żebyśmy mogli zobaczyć, co ma pod spodem. Mówiono na nią Weesie, pamiętam też, że natychmiast do mnie przyłgnęła. Pochodziłem z innej dzielnicy miasta, która wydawała im się tak odległa, jak gdybym pochodził z obcego kraju. Chyba nawet uważali, że mówię inaczej niż oni. Inne urwisy musiały płacić, żeby Weesie podniosła dla nich sukienkę, tymczasem dla nas robiła to z miłości. Po pewnym czasie przekonaliśmy ją, żeby nie robiła tego więcej dla innych chłopaków - kochaliśmy ją i chcieliśmy, żeby szła prostą drogą.

Kiedy pod koniec lata rozstałem się z kuzynem, nie zobaczyłem go, aż dopiero po przeszło dwudziestu latach. Przy ponownym spotkaniu zaimponowała mi jego mina niewiniątka - dokładnie ten sam wyraz twarzy miał owego dnia bójki na kamienie. Kiedy przypomniałem mu tamtą bitwę, zdumiałem się jeszcze bardziej, że nie pamięta, iż to myśmy zabili tamtego chłopca; pamiętał jego śmierć, ale mówił o niej, jak gdyby żaden z nas nie maczał w niej palców. Kiedy wymieniłem imię Weesie, z trudem ją w ogóle kojarzył. Nie pamiętasz piwnicy u sąsiadów... Joeya Kesselbauma? Wówczas nikły uśmiech ożywił mu twarz. Zaskoczyło go, że pamiętam takie rzeczy. Sam był już żonaty, dzieciaty, pracował w fabryce produkującej eleganckie futerały do fajek. Zdumiało go, że pamiętam zdarzenia sprzed tak dawna.

Kiedy się z nim owego wieczoru rozstawałem, ogarnęło mnie wielkie przygnębienie.

Zupełnie jak gdyby Gene usiłował wymazać drogocenny fragment mojego życia i siebie wraz z nim. Bardziej był przywiązany do tropikalnych rybek, które teraz hodował, niż do tej wspaniałej przeszłości. Ja natomiast pamiętam wszystko, co się zdarzyło owego lata, zwłaszcza dzień bójk na kamieniu. Przychodzą takie chwile, kiedy doprawdy bardziej czuję na języku smak tamtej pajdy razowca, którą mi wtedy wręczyła jego matka, niż tego, co akurat jem. Widok małego pączka Weesie oddziałuje na mnie bodaj mocniej niż to, co w danej chwili trzymam w ręku. A widok tamtego powalonego chłopca budzi we mnie znacznie, ale to znacznie większe wrażenie niż historia drugiej wojny światowej. Całe tamto długie lato wydaje mi się idyllą wprost z arturiańskich legend. Często się zastanawiam, dlaczego właśnie tamto lato tak bardzo się odcisnęło w mojej pamięci. Wystarczy, żebym na chwilę przymknął oczy, a wszystkie kolejne dni ożywają na nowo. Z pewnością nie sprawiła mi cierpienia śmierć chłopca - zapomniałem o niej przed upływem tygodnia. Szybko też jakoś umknął mi widok Weesie stojącej z zadartą sukienką w pomrokach piwnicy. Może się to wydać dziwne, ale gruba pajda razowca, jaką codziennie dostawałem od matki Gene, przebija wszystkie obrazy z tamtego okresu. Zastanawiam się nad tym... i to wnikliwie. Może dlatego, że nigdy przedtem nie zaznałem takiej czułości i sympatii, jak ta, z jaką ciotka wręczała mi pajdę chleba. Ta moja ciotka Caroline była wyjątkowo brzydka. Na twarzy miała blizny po ospie, ale była to serdeczna, ujmująca twarz, której nie zdołałyby skalać żadne zniekształcenia. Ciotka była zażywna, miała przy tym łagodny, pieszczotliwy głos. Kiedy się do mnie zwracała, okazywała jakby więcej troski, więcej uwagi niż rodzonemu synowi. Chętnie zostałbym z nią na zawsze: gdybym mógł, wybrałbym ją na swoją matkę. Pamiętam wyraźnie, że kiedy moja matka przyjechała do nas w odwiedziny, zirytowało ją, że jestem tak zadowolony ze swojego nowego życia. Wspomniała nawet coś o mojej niewdzięczności, czego nigdy nie zapomnę, bo po raz pierwszy uprzytomniłem sobie, że niewdzięczność może być dla kogoś czymś dobrym lub wręcz niezbędnym. Kiedy przymykam teraz oczy i myślę o tym, o tamtej pajdzie chleba, prawie natychmiast przypominam sobie, że w tamtym domu nie wiedziałem, co to bura. Podejrzewam, że gdybym powiedział ciotce Caroline, iż zabiłem tam nad rzeką chłopaka, gdybym opowiedział jej wszystko ze szczegółami, otoczyłaby mnie ramieniem i przebaczyła - natychmiast. Może właśnie dlatego tamto lato jest mi tak bliskie. Było to lato milczącego i całkowitego przebaczenia. Dlatego nie mogę też zapomnieć Weesie. Miała w sobie tyle naturalnej dobroci, dziewczynka, która się we mnie kochała i nie czyniła mi żadnych wymówek. Była pierwszą osobą płci przeciwnej, która podziwiała mnie za to, że jestem inny. Po Weesie wszystko się odwróciło. Kochano mnie, ale i nienawidzono za to, że jestem, kim jestem. Weesie próbowała mnie zrozumieć. Lgnęła do mnie przez sam fakt, że

pochodzę z obcych stron, że mówię innym językiem. Nigdy nie zapomnę, jak błyszczały jej oczy, kiedy przedstawiała mnie swoim koleżankom. Dosłownie pałały miłością i podziwem. Czasem szliśmy we trójkę wieczorem nad rzekę i siedząc na brzegu gadaliśmy jak to dzieci pod nieobecność dorosłych. Dziś wiem aż za dobrze, że rozmawialiśmy rozsądniej i poważniej niż nasi rodzice. Ci bowiem płacili ciężki haracz za to, żeby móc nam codziennie dawać grubą pajdę chleba. Najgorszy haracz to utrata kontaktu z nami. Bo z każdą otrzymaną pajdą nie tylko coraz bardziej wobec nich obojętnieliśmy, lecz również zyskiwaliśmy nad nimi coraz większą przewagę. W naszej niewdzięczności tkwiła nasza siła i nasze piękno. Brak zaangażowania zwalniał nas z odpowiedzialności za wszelkie zbrodnie. Tamten chłopak, który na moich oczach padł martwy, który leżał tam bez ruchu, nie wydając żadnego odgłosu, żadnego jęku, zabicie tamtego chłopca zakrawa niemal na czysty, zdrowy czyn. Brudna i upokarzająca jest raczej walka o jedzenie, kiedy więc znajdowaliśmy się w obecności rodziców, czuliśmy, że przychodzą do nas zbrukani, czego nie mogliśmy im żadną miarą wybaczyć. Codzienna gruba pajda chleba smakowała tak bardzo właśnie dlatego, że nie musieliśmy na nią zarobić. Już nigdy chleb nie będzie mi tak smakował. Nigdy go już tak nie dostanę. W dniu zabójstwa smakował nawet lepiej. Trącił strachem, którego mi od tamtej pory brakuje w jego smaku. No i dostałem go z milczącym, acz całkowitym przebaczeniem ciotki Caroline.

Usiłuję dociec, co takiego kryje się w razowcu - coś dziwnie smakowitego, przerażającego i wyzwającego, coś, co się wiąże z pierwszymi odkryciami. Przypomina mi się inna pajda razowca, z jeszcze wcześniejszego okresu, kiedy wspólnie z moim kolegą z dzieciństwa, Stanleyem, myszkowałem w lodówce. Był to kradziony chleb, a zatem jeszcze smakowitszy dla podniebienia niż chleb wręczany z miłością. Dopiero jednak w samym akcie jedzenia razowca, kiedy łąziliśmy z kromką w rękę, zajęci jednocześnie rozmową, następowało coś na wzór objawienia. Przypominało to stan łaski, stan pełnej nieświadomości, wyrzeczenia się siebie. Cokolwiek mi się wówczas udzieliło, zachowałem chyba do dzisiaj w nietkniętej postaci, nie ma zresztą obaw, na pewno nie stracę zyskanej wówczas wiedzy. Może dlatego, że nie była to wiedza w potocznym tego słowa rozumieniu. Może raczej doznanie prawdy, chociaż słowo prawda brzmi tu jakby nazbyt precyzyjnie. Istotne dla rozmów z razowcem w rękę było to, że odbywały się zawsze z dala od domu, z dala od wzroku naszych rodziców, których się wprawdzie baliśmy, ale nigdy nie darzyliśmy szacunkiem. Kiedy pozostawiano nas samym sobie, nasza wyobraźnia nie miała granic. Fakty niezbyt się liczyły; każdy temat musiał nam dawać okazję do rozwinięcia. Dzisiaj, kiedy sięgam pamięcią wstecz, zdumiewa mnie, że tak dobrze rozumieliśmy się nawzajem, że tak

nieomylnie zgłębialiśmy charaktery wszystkich ludzi, czy to młodych, czy starych. W wieku siedmiu lat wiedzieliśmy, na przykład, z niezachwianą pewnością, że ten a ten skończy w więzieniu, ów zaharuje się na śmierć, a jeszcze inny zostanie nicponiem, i tak dalej. Nasze diagnozy okazały się jak najbardziej trafne, znacznie zresztą trafniejsze niż oceny naszych rodziców i nauczycieli, znacznie trafniejsze niż tak zwanych psychologów. Alfie Betcha wyrósł na ostatniego oberwańca; Johnny Gerhardt trafił do poprawczaka; Bob Kunst został wołem roboczym. Bezbłędne wyrocznie. Nauka, jaką nam wpajano, przeważnie mąciła nam tylko w głowach. Od pierwszego dnia w szkole nie nauczyliśmy się dosłownie niczego; przeciwnie, ogarnęła nas tępota, spowiła mgła słów i abstrakcji.

Z razowcem w ręku świat był tym, czym naprawdę jest, prymitywnym światem rządzonym magią, światem, w którym największą rolę odgrywa strach. Chłopiec, który potrafił wzbudzić największy strach, zostawał nie kwestionowanym przywódcą dopóty, dopóki zdołał utrzymać tę moc. Inni chłopcy umieli się buntować, i za to ich podziwiano, ale żaden nie został przywódcą. Większość stanowiła glinę w rękach tych nieustraszonych; na kilku można było polegać, ale na reszcie nie. W powietrzu aż drżało napięcie - nie sposób było przewidzieć jutra. To swobodne, prymitywne jądro społeczeństwa rodziło wyostrzone apetyty, wyostrzone emocje, wyostrzoną ciekawość. Niczego nie przyjmowaliśmy na wiarę; każdy dzień wymagał nowego sprawdzianu władzy, nowego dowodu siły bądź porażki. Zatem aż do dziewięciu czy dziesięciu lat czuliśmy prawdziwy smak życia - byliśmy zdani na samych siebie. To znaczy ci z nas, którzy mieli szczęście nie być rozpieszczani przez rodziców, którzy mogli bez przeszkód włóczyć się wieczorem ulicami i oglądać różne rzeczy na własne oczy.

Tak sobie teraz myślę, nie bez nutki żalu i tęsknoty, że to nader ograniczone życie wczesnego chłopięctwa było światem bez granic, natomiast późniejsze, dorosłe życie - ustawicznie kurczącą się przestrzenią. Człowiek zatracą się z chwilą pójścia do szkoły; czuje, że zakładają mu na szyję postronek. Chleb, podobnie jak życie, przestaje smakować. Zdobywanie chleba staje się poniekąd ważniejsze niż samo jedzenie. Wszystko jest wyliczone, wszystko ma swoją cenę.

Mój kuzyn Gene stał się kompletnym zerem; Stanley niedołągą pierwszej wody. Poza tymi dwoma chłopcami, których darzyłem największą sympatią, był jeszcze jeden, Joey, który został potem listonoszem. Aż mi się chce płakać, kiedy pomyślę, co życie z nich zrobiło. Jako chłopcy byli wprost kapitalni, może najmniej Stanley, bo miał najbardziej wybuchowy temperament. Wpadał od czasu do czasu w potworną furję, trudno więc było powiedzieć, jakie się z nim ma danego dnia układy. Ale Joey i Gene stanowili uosobienie dobroci; byli

przyjaciółmi w dawnym tego słowa znaczeniu. Często myślę o Joeyu, kiedy wyjeżdżam na wieś, bo to był prawdziwy wiejski chłopak. Czyli przede wszystkim bardziej lojalny, bardziej szczerzy i serdeczny niż inni nasi koledzy. Do dziś go widzę, jak do mnie biegnie; zawsze pędził z otwartymi ramionami, gotów mnie wyściskać, zawsze bez tchu recytował mi przygody, jakie dla mnie zaplanował, zawsze obładowany prezentami, które przyszykował na moje powitanie. Joey przyjmował mnie tak, jak ongiś monarchowie przyjmowali gości. Na cokolwiek spojrziałem, od razu stawało się moje. Mieliśmy sobie tyle do powiedzenia, nic jednak nie traćono nudą. A przecież żyliśmy w tak różnych światach. Chociaż sam też pochodziłem z miasta, kiedy odwiedzałem kuzyna Gene'a, poznawałem jeszcze większe miasto, Nowy Jork, gdzie moje wyrefinowanie traćono na znaczeniu. Stanley wprawdzie nie ruszał się na krok ze swojej dzielnicy, ale za to pochodził z dziwnego kraju za oceanem, z Polski, zawsze więc dzieliła nas ta podróż. Jego drugi język również zwiększał nasz podziw. Każdego z nas otaczała aura odmienności, konkretna tożsamość, która pozostawała nietykalna. Wraz z wkroczeniem w życie te różnice znikły, toteż wszyscy staliśmy się do siebie mniej lub bardziej podobni, a zarazem zdradziliśmy dotychczasowe tożsamości. Właśnie utrata własnej tożsamości, może nawet nieistotnej indywidualności, tak bardzo mnie smuci i opromienia tamten razowiec. Wspaniały razowiec stanowił zaczyn naszych poszczególnych osobowości; zupełnie jak chleb komunijny, który spożywają wszyscy, każdy jednak dostaje zeń tyle, ile mu się należy wedle jego stanu łaski. Dzisiaj wszyscy jemy ten sam chleb, tyle że bez błogosławieństwa komunii, bez stanu łaski. Jemy, żeby napchać sobie kałduny, a serca mamy przy tym zimne i puste. Cechuje nas odrębność, lecz nie indywidualność.

Z razowcem wiąże się jeszcze jedno - często jedliśmy go z surową cebulą. Pamiętam, jak wieczorami wystawałem ze Stanleyem, z kanapką w ręku, przed gabinetem weterynarza, który mieścił się naprzeciwko mojego domu. Dziwnym trafem doktor McKinney zawsze pod wieczór kastrował ogiery, który to zabieg, wykonywany publicznie, zawsze gromadził tłumek gapiów. Pamiętam zapach gorącego żelaza i drżenie końskich nóg, kocią bródkę doktora McKinneya, smak surowej cebuli i zapach gazu ziemnego tuż za naszymi plecami, gdzie kładziono nowy gazociąg. Było to więc z gruntu zapachowe przeżycie i, jak to świetnie opisuje Abelard, na dobrą sprawę bezbolesne. Nie znając powodów tych zabiegów, prowadziliśmy na ogół potem długie dysputy, które zwykle kończyły się awanturą. Inna sprawa, że nikt nie lubił doktora McKinneya; zawsze bowiem zalatywał jodoformem i starymi końskimi szczynami. Czasem rynsztok przed jego gabinetem spływał krwią, a w zimie krew zamarzała i nadawała chodnikowi dziwny wygląd. Niekiedy podjeżdżała olbrzymia



dwukółka, otwarty wóz cuchnący jak diabli, na który wrzucano martwego konia. Właściwie to windowano tam zewłok na długim łańcuchu, który skrzypiał zupełnie jak zarzucana kotwica. Smród wzdętego nieżywego konia jest obrzydliwy; na naszej ulicy pełno było obrzydliwych zapachów. Na rogu mieścił się zakład Paula Sauera, przed którym piętrzyły się surowe i wyprawione skóry; też śmierdziały niemilosiernie. Z blacharni za domem również dolatywał cierpki odór - coś jakby zapach nowoczesności i postępu. Smród martwego konia, wprost nie do wytrzymania, i tak jest tysiąc razy lepszy od smrodu palonych chemikaliów. A widok martwego konia z dziurą po kuli w skroni, koński łeb w kałuży krwi i odbytnica buchająca ostatnim spazmatycznym wypróżnieniem, o wiele lepszy od widoku grupki mężczyzn w niebieskich fartuchach, którzy wychodzą spod sklepionej łukiem bramy blacharni, ciągnąc ręczny wózek załadowany arkuszami świeżo wyprodukowanej blachy. Na szczęście naprzeciwko blacharni znajdowała się piekarnia, toteż przez drzwi na zapleczu, a właściwie kratę, mogliśmy obserwować piekarzy przy pracy i wdychać słodką, kuszącą woń chleba i ciast. Z kolei kiedy, jak powiadam, kładziono gazociąg, unosił się inny, dziwny bukiet zapachów - zapach świeżo rozkopanej ziemi, zardzewiałych żelaznych rur, gazu ziemnego, no i cebulowych kanapek, które zajadali włoscy robotnicy oparci o kopce wydobytej ziemi. Były też, oczywiście, inne zapachy, chociaż już mniej uderzające; na przykład zapach zakładu krawieckiego Silversteina, gdzie zawsze odchodziło prasowanie. Był to gorący, mdły zapach; żeby go przybliżyć, najlepiej sobie wyobrazić Silversteina, tyczkowatego, śmierdzącego Żyda, który czyści bździny zostawione w spodniach przez jego klientów. Tuż obok mieścił się sklep ze słodyczami i artykułami piśmiennymi, własność dwóch zbzikowanych, bardzo pobożnych starych panien; stąd unosił się niemalże mdlący, słodki zapach toffi, hiszpańskich orzeszków ziemnych, cukierków jujubowych, Sen-Sen i papierosów Sweet Caporal. Sklep papierniczy przypominał cudowną pieczarę: zawsze chłodny, zawsze pełen intrygujących przedmiotów; wzdłuż stoiska z napojami, odznaczającego się kolejnym wyrazistym zapachem, biegła gruba lada z marmuru, która latem wydzielala kwaskowatą woń, a mimo to kwasek mieszał się przyjemnie z nieco łaskoczącym, cierpkim zapachem gazowanej wody, kiedy musowała wlewana do czarki z lodami.

Wraz z oglądą, jaka przychodzi z dojrzałością, zapachy się rozmyły, zastąpił je tylko jeden wart zapamiętania, wyraźnie przyjemny zapach - zapach cipy. Ściśle rzecz biorąc zapach, który zostaje na palcach po pieszczotach z kobietą, bo jeżeli nie zauważyło się go wcześniej, później jest jeszcze miłszy, może dlatego, że zawiera aromaty czasu przeszłego, jakich nie ma zapach samej cipy. Ale ten zapach przynależny dorosłości to zaledwie nikły zapaszek w porównaniu z woniami zapamiętanymi z dzieciństwa. Ulatnia się on równie

szybko z wyobraźni, jak z rzeczywistości. Pamięta się wiele rzeczy o ukochanej kobiecie, ale jakże trudno przypomnieć sobie zapach jej cipy - choćby w największym przybliżeniu. Zapach mokrych włosów natomiast, mokrych włosów kobiety, jest znacznie silniejszy i trwalszy, sam nie wiem dlaczego. Po dziś dzień, mimo upływu blisko czterdziestu lat, pamiętam zapach włosów ciotki Tillie po myciu. Myła je w wiecznie przegrzanej kuchni. Najczęściej w sobotę pod wieczór, szykując się na bal, co wiązało się z innym dość wyjątkowym zdarzeniem że zaraz zjawi się sierżant kawalerii z przepięknymi żółtymi lampasami, wyjątkowo przystojny sierżant, który nawet w moich oczach był o wiele za szarmancki, męski i inteligentny dla takiej idiotki jak moja ciotka Tillie. Ale mniejsza o to, ciotka siedziała na taborecie przy kuchennym stole i suszyła włosy ręcznikiem. Obok niej lampa z okopconym, szkiełkiem, a za lampą dwa żelazka do fryzowania, których sam widok przepełniał mnie niewymowną odrazą. Najczęściej stało przed nią na stole oparte o coś lusterko; nawet teraz mam ją przed oczyma, jak krzywi twarz w grymasach, kiedy wyciska sobie wągry na nosie. Była to żylasta, szpetna imbecylka, z przodu wystawały jej dwa olbrzymie zęby, które nadawały jej wygląd konia, gdy tylko rozdziawiła usta w uśmiechu. Nawet po kąpieli zalatywało od niej potem. Ale ten zapach jej włosów - nigdy go nie zapomnę, bo kojarzy mi się z nienawiścią do niej i pogardą. Ten zapach schnących włosów przypominał zapach dobywający się z dna bagniska. Mieszały się w nim dwa zapachy - wilgotnych włosów i tych samych włosów, kiedy ciotka wrzucała je do pieca i tam zajmowały się ogniem. Z jej grzebienia wiecznie spadały kłaczkę pokryte łupieżem i potem z głowy, zawsze brudnej i tłustej. Stawałem przy niej i patrzyłem, ciekaw, jak się uda bal i jak ona się na nim zachowa. Kiedy się już wystroiła, padało pytanie, czy nie wygląda ślicznie i czy jej nie kocham, co oczywiście, potwierdzałem. Ale później, w ubikacji na korytarzu tuż obok kuchni, siadałem w migoczącym świetle lampki stojącej na parapecie i mówiłem sam do siebie: ależ ona kretyńsko wygląda. Po jej wyjściu brałem żelazka do włosów, wahałem i naciskałem. Były obrzydliwe, a zarazem frapujące - jak pająki. Wszystko mnie w tej kuchni frapowało. Chociaż ją tak dobrze znałem, nigdy jej nie zdołałem zgłębić. Była ogólnie dostępna, a przy tym intymna. To tutaj w soboty kąpano mnie w wielkiej blaszanej balii. To tutaj trzy siostry myły się i stroiły. To tutaj mój dziadek stawał przy zlewie i mył się do pasa, a potem wręczał mi buty do wypastowania. To tutaj wystawałem zimą w oknie i patrzyłem, jak pada śnieg, patrzyłem tępym, pustym wzrokiem, jak gdybym spoczywał w łonie i słuchał szumu wody, kiedy matka siedziała na klozecie. To w tej kuchni odbywano tajemnicze debaty napawające strachem, znieprawione nasiadówki, po których dorośli wychodzili ze skrzywionymi, ponurymi minami albo z oczyma czerwonymi od płaczu. Nie mam pojęcia, dlaczego biegli

akurat do kuchni. Często się jednak zdarzało, gdy tak stali potajemnie konferując, handrycząc się o testament albo deliberując, jak się pozbyć ubożego krewnego, że drzwi się raptem otwierały i wchodził gość, a wtedy natychmiast zmieniał się nastrój. To znaczy zmieniał się radykalnie, jak gdyby wszyscy odetchnęli z ulgą, że wtargnęła jakaś zewnętrzna siła, która oszczędzi im koszmaru przedłużającej się potajemnej debaty. Przypominam sobie teraz, że na widok otwierających się drzwi i twarzy nieoczekiwanego gościa aż mi serce podskakiwało z radości. Zaraz mi wręczą duży szklany dzban, żebym skoczył do narożnego baru, gdzie podam dzban przez okienko w drzwiach od strony mieszkalnej i poczekam, aż mi go oddadzą napelniony po brzegi pianistym płynem. Ta maleńka eskapada na róg po dzban piwa była wyprawą, której nie da się porównać z niczym. Po pierwsze, tuż pod nami mieścił się zakład fryzjerski, gdzie urzędował ojciec Stanleya. Czasami, kiedy mnie po coś akurat posyłano, widywałem, jak ojciec leje Stanleya pasem do ostrzenia brzytwy, od czego aż mi się krew gotowała w żyłach. Stanley był moim najlepszym przyjacielem, a jego ojciec był tylko zapitym Polaczkiem. Jednakże pewnego wieczoru, kiedy wybiegałem z dzbanem, trafiłem na miły mojemu sercu widok, bo jakiś inny Polak uganiał się z brzytwą za starym Stanleya. Zobaczyłem, jak jego stary wycofuje się rakiem za próg, krew cieknie mu po szyi, a twarz ma bladą jak płótno. Upadł na chodnik przed naszym sklepem, zwijając się i jęcząc; pamiętam, jak mu się przez chwilę przyglądałem, po czym poszedłem w swoją stronę całkiem usatysfakcjonowany i pokrzepiony na duchu. Pośród całej tej burdy Stanley wyslizgnął się z domu i towarzyszył mi aż do baru. Też się cieszył, chociaż trochę i bał. Kiedy wróciliśmy, karetka stała już przed drzwiami, kładziono ojca Stanleya na nosze, twarz i szyję miał zasłonięte prześcieradłem. Zdarzało się, że kiedy wyskakiwałem na dwór, przechodził pod naszym domem pieszczoszek z chóru ojca Carrola. Było to wydarzenie pierwszej wagi. Chłopak był od nas wszystkich starszy, a przy tym był maminsynkiem rosnącym na pedału. Wkurzał nas już sam jego chód. Gdy któryś z nas go tylko ujrzał, od razu biegła wieść na wszystkie strony, zanim więc doszedł do rogu, obstępował go rój chłopaków, sporo od niego mniejszych, którzy go przedrzeźniali i dręczyli, aż tamten uderzał w płacz. Wtedy rzucaliśmy się na niego jak zgraja wilków, powalaliśmy na ziemię i zdzieraliśmy mu ubranie z grzbietu. Było to haniebne widowisko, ale dobrze nam robiło. Nikt z nas jeszcze nie wiedział, kim jest naprawdę pedał, ale tak czy owak wywoływał nasz sprzeciw. Podobnie buntowaliśmy się przeciwko Chińczykom. W sąsiedztwie mieszkał pewien Chińczyk z pralni w głębi ulicy, który często koło nas przechodził i, podobnie jak tamtemu maminsynkowi z kościoła ojca Carrola, zawsze mu się od nas dostawało. Wyglądał zupełnie jak kulis z ilustracji w podręcznikach szkolnych. Nosił czarny alpakowy kaftan z obszywanymi dziurkami, pantofle bez

pięt, a z tyłu głowy ogonek. Zwykle chodził z rękoma schowanymi w rękawach. Najlepiej pamiętam ten jego chód, taki drepczący, drobny, kobiecy krok, bardzo dla nas obcy i groźny. Baliśmy się tego Chińczyka śmiertelnie i czuliśmy do niego nienawiść, bo z taką obojętnością przyjmował nasze wybryki. Sądziłyśmy, że w swej tępotcie nie zauważa naszych zniewag. Po czym pewnego dnia, kiedy weszliśmy do pralni, spotkała nas niespodzianka. Najpierw wręczył nam pranie, następnie sięgnął pod ladę i wyciągnął z wielkiego worka garść chińskich orzechów. Wyszedł z uśmiechem zza lady, żeby nam otworzyć drzwi. Nie przestając się uśmiechać złapał Alfie Betcha i wytargał za uszy; potem łapał kolejno każdego z nas i z tym samym uśmiechem targał za uszy. Wreszcie przybrał srogą minę, zwinnie jak kot dał susa za ladę, złapał długi, naprawdę okropny nóż i zaczął nim wymachiwać. Na łeb na szyję czmychnęliśmy stamtąd w popłochu. Kiedy dobiegliśmy za róg, obejrzelśmy się za siebie i zobaczyliśmy go na progu pralni z żelazkiem w ręku. Miał spokojną, opanowaną minę. Po tym zdarzeniu nikt już nie chodził do pralni; musieliśmy co tydzień płacić piątaka Louisowi Pirossie, żeby odbierał za nas pranie. Ojciec Louisa miał na rogu kiosk z owocami. Zwykle dawał nam zgniłe banany w dowód swojej sympatii. Zwłaszcza Stanley przepadał za zgniłymi bananami, bo ciotka mu je smażyła. W domu Stanleya smażone banany uchodziły za przysmak. Pewnego razu, w jego urodziny, urządzono mu przyjęcie, zaproszono wszystkich z sąsiedztwa. Wszystko szło pięknie, dopóki nie wniesiono smażonych bananów. Jakoś nikt się nie kwapił ich tknąć, bo to danie znali wyłącznie Polacy, w tym rodzice Stanleya. Myśmy uważali jedzenie smażonych bananów za coś obrzydliwego. W całym tym ambarasie któryś bystry młodzik wymyślił, żeby dać smażone banany Williemu Maine'owi. Głupi Willie Maine był starszy od nas wszystkich, ale nie umiał mówić. Wołał tylko na wszystko „Bjork! Bjork!” Kiedy mu podsunęto banany, powiedział „Bjork!” i wyciągnął po nie obie ręce. Ale był tam też jego brat George, który poczuł się dotknięty, że wciska się zgniłe banany jego niedorozwiniętemu bratu. No więc George wszczął bójkę, a kiedy Willie zobaczył, że biją jego brata, też zaczął walczyć, wykrzykując „Bjork! Bjork!” Zaczął młócić nie tylko chłopców, ale i dziewczyny, co rozpętało istne piekło. Na cały ten zgiełk wypadł wreszcie z zakładu stary Stanleya z pasem w ręku. Chwycił głupiego Willie Maine'a za kark i dalej go grzmocić. Wtedy jego brat George wymknął się, żeby wezwać na pomoc ojca. Ten ostatni, który też lubił zaglądać do kieliszka, przybiegł w szarej koszuli, a zobaczywszy, że pijany fryzjer bije jego biednego Williego, rzucił się na tamtego z pięściami i sprął go niemilosiernie. Willie tymczasem zdołał się uwolnić, stał na czworakach i opychał się teraz smażonymi bananami, które poniewierały się po podłodze. Pałaszował je jak kozioł, byle prędzej. Kiedy stary zobaczył, że jego syn jak jakiś cap wcina banany, wpadł w furję, złapał

pas i zaczął zawzięcie uganiać się za Williem. Znów więc Willie jął się drzeć „Bjork! Bjork!” i naraz wszyscy gruchnęli śmiechem. Co tak rozbawiło pana Maine'a, że ochłonął z gniewu. Wreszcie usiadł, a ciotka Stanleya przyniosła mu kieliszek wina. Cały ten harmider zwabił sąsiadów, podano więcej wina, potem piwa, potem wódki, i niebawem wszyscy byli podochoceni, śpiewali i gwizdali, nawet malcy się popili, upił się również głupi Willie, znów przypadł do podłogi na czworakach jak kozioł i wykrzykiwał „Bjork! Bjork!”, na co Alfie Betcha, który mimo swoich ośmiu lat też bardzo się upił, ugryzł głupiego Willie Maine'a w tyłek, Willie nie pozostał mu dłużny, wtedy wszyscy zaczęliśmy się gryźć, a rodzice przyglądali się temu ze śmiechem i okrzykami uciechy, zrobiło się bardzo, ale to bardzo wesoło, podano dokładkę smażonych bananów, tym razem wszyscy jedli, po czym nastąpiły toasty, dalsze kolejki, głupi Willie Maine próbował nam śpiewać, ale umiał tylko wyśpiewać „Bjork! Bjork!” Przyjęcie urodzinowe okazało się nadzwyczaj udane, później przez tydzień albo i dłużej nie mówiło się o niczym innym, tylko o tym przyjęciu i o tym, jakimi to zacnymi Polakami są rodzice Stanleya. Smażone banany też święciły tryumf i przez jakiś czas trudno było dostać od starego Louisa Pirossy zgniłe banany, bo cieszyły się takim wzięciem. I wtedy zdarzyło się coś, co rzuciło cień na całą dzielnicę - porażka Joe Gerhardta z rąk Joeya Silversteina. Ten ostatni był synem krawca; miał piętnaście albo szesnaście lat, chłopak dosyć spokojny, o skupionym wyrazie twarzy, odtrącany przez innych wyrostków dlatego, że był Żydem. Pewnego dnia, kiedy odnosił parę spodni na Fillmore Place, zaczepił go Joe Gerhardt, który był mniej więcej jego rówieśnikiem, ale uważał się za kogoś lepszego. Nastąpiła wymiana zdań, po czym Joe Gerhardt wyrwał małemu Silversteinów spodnie i wrzucił je do rynsztoka. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że mały Silverstein odpowie na taką zniewagę wprawiając w ruch pięści, kiedy się więc zamachnął na Joego Gerhardta i zadał mu cios prosto w szczękę, wszystkich aż zatkało, a już najbardziej samego Joego Gerhardta. Bójka trwała jakieś dwadzieścia minut, pod koniec Joe Gerhardt leżał na chodniku, nie mogąc się podnieść. Wtedy Silverstein zgarnął spodnie z ziemi, po czym wrócił milczący i dumny do zakładu ojca. Nikt nie odezwał się do niego słowem. Cały incydent uznano za katastrofę. Kto słyszał, żeby Żyd pobił goja? Wprost w głowie się nie mieści, a jednak tak się stało, i to na naszych oczach. Wieczór w wieczór, przesiadując jak zwykle na krawężniku, omawialiśmy to z najrozmaitszych punktów widzenia, ale nikt nie potrafił znaleźć rozwiązania, aż wreszcie... tak, aż wreszcie Johnny, młodszy brat Joego Gerhardta, tak się zaciętrzewił, że postanowił sam załatwić sprawę. Johnny, chociaż młodszy i mniejszy od brata, był silny i niezwyciężony jak młody żbik. Typowy Irlandczyk, z takich biedniaków, jakich pełno mieszkowało w okolicy. Postanowił załatwić porachunki z małym Silversteinem, czekając na niego pewnego

wieczoru, aż tamten wyjdzie ze sklepu, i tam go dopaść. Zanim go dopadł, zaopatrzył się w dwa kamienie, które ukrył w dłoniach, toteż kiedy biedny Silverstein upadł, rzucił się na niego okraciem i wygrzmocił mu skronie kamulcami nielichych rozmiarów. Ku jego zaskoczeniu Silverstein nie stawiał oporu; nawet kiedy Joe Gerhardt sam wstał i dał szansę Silversteinowi, żeby stanął na nogi, ten ani drgnął. Wówczas Johnny się przeląkł i zwiął. Musiał przeląć się nie na żarty, bo już nigdy nie wrócił; dowiedzieliśmy się sporo później, że złapano go gdzieś tam na Zachodzie i wysłano do poprawczaka. Jego matka, flejtuchowata irlandzka jędza, skomentowała, że dobrze mu tak i że, jak Boga kocha, ma nadzieję nie zobaczyć go więcej na oczy. Kiedy mały Silverstein się z tego wylizał, nie był już taki jak dawniej; mówiono, że to pobicie rzuciło mu się na mózg, że zbzikował. Z kolei prestiż Joego Gerhardta wyraźnie znów wzrósł. Poszedł, zdaje się, odwiedzić Silversteina, kiedy tamten leżał w łóżku, i serdecznie go przeprosił. O czymś takim też nikt nigdy nie słyszał. Było to coś tak dziwnego, tak niezwykłego, że patrzono na Joego Gerhardta prawie jak na błędnego rycerza. Nikt nie pochwalał postępu Johnny'ego, ale też nikomu nie przyszłoby do głowy chodzić z przeprosinami do Silversteina. Był to akt takiej subtelności, takiej elegancji, że patrzono na Joego Gerhardta jak na prawdziwego dżentelmena - pierwszego i jedyne dżentelmena w całej okolicy. To słowo, nigdy dotąd przez nas nie używane, było teraz na ustach wszystkich; miano dżentelmena uznano za nie lada wyróżnienie. Ta nagła przemiana pokonanego Joego Gerhardta w dżentelmena wywarła na mnie, pamiętam, olbrzymie wrażenie. Kilka lat później, kiedy przeniosłem się do innej dzielnicy i poznałem Francuza nazwiskiem Claude de Lorraine, potrafiłem już zrozumieć i docenić słowo „dżentelmen”. Nigdy przedtem nie widziałem takiego chłopaka jak ten Claude: W mojej dawnej dzielnicy okrzyczano by go maminsynkiem; przede wszystkim zbyt ładnie się wysławiał, zbyt poprawnie, zbyt uprzejmie, a ponadto był zbyt wyrozumiały, zbyt łagodny, zbyt szarmancki. No i podczas wspólnych zabaw słyszałem czasem, jak nieraz przechodzi na francuski, kiedy zbliżali się jego rodzice, co było dla nas wstrząsem. Niemiecki już słyszeliśmy, zatem, używanie niemieckiego było dopuszczalne, ale francuski?! Mówić po francusku, czy choćby rozumieć ten język, to coś z gruntu obcego, z gruntu arystokratycznego, zepsutego, *distingue*. Mimo to Claude był jednym z nas, na pewno od nas nie gorszym, a może nawet ciut lepszym, co musieliśmy w duchu przyznać. Miał tylko jedną wadę - ten francuski! To nas do niego zrażało. Nie miał prawa mieszkać w naszej dzielnicy, nie miał prawa być taki pojętny i męski. Często, kiedy matka wołała go do domu i już go pożegnaliśmy, zbieraliśmy się na placu i oplotkowaliśmy rodzinę Lorraine na wszystkie strony. Zastanawialiśmy się na przykład, co oni jedzą, bo Francuzi muszą mieć inne zwyczaje niż my. Nikt z nas nie przekroczył progu

domu Claude'a de Lorraine - kolejny podejrzany i zniechęcający fakt. Dlaczego? Co oni tam ukrywali? Ale kiedy nas mijali na ulicy, zawsze odnosili się bardzo serdecznie, zawsze się uśmiechali, zawsze mówili po angielsku, i to świetną angielszczyzną. Dlatego nas zawstydzali – po prostu byli kimś lepszym, i tyle. No i jeszcze jedna zastanawiająca rzecz - inni chłopcy na pytanie zadane wprost zawsze odpowiadali wprost, Claude de Lorraine nigdy natomiast nie dawał odpowiedzi wprost. Zawsze uśmiechał się czarująco, zanim odpowiedział, a był przy tym chłodny, opanowany, pełen ironii i kpiny, która nas przerastała. Był nam solą w oku, ten cały Claude de Lorraine, kiedy więc w końcu wyprowadził się z naszej dzielnicy, wszyscy odetchnęliśmy z ulgą. Ja sam dopiero po dziesięciu albo i piętnastu latach przypomniałem sobie tego chłopaka i jego dziwne, eleganckie maniery. I dopiero wtedy uznałem, że srodze się omyliłem. Bo nagle któregoś dnia pojąłem, że gdy Claude de Lorraine pewnego razu przyszedł do mnie i wyraźnie chciał się zaprzyjaźnić, ja potraktowałem go dość nonszalancko. Dopiero poniewczasie zrozumiałem, że Claude de Lorraine zobaczył pewno we mnie coś innego i chciał mnie zaszczyścić wyciągając przyjazną dłoń. Tyle że w tamtych czasach miałem taki, a nie inny kodeks honorowy, który polegał na bieganiu ze stadem. Gdybym został serdecznym przyjacielem Claude'a de Lorraine, zdradziłbym innych chłopców. Mniejsza o korzyści, jakie wiązałyby się z taką przyjaźnią, to nie dla mnie; należałem do swojej bandy, toteż moim obowiązkiem było zachować rezerwę wobec Claude'a de Lorraine. Tamto zdarzenie przypominało mi się ponownie po jeszcze dłuższej, trzeba przyznać, przerwie - kiedy siedziałem już kilka miesięcy we Francji i słowo *raisonable* nabrało dla mnie zupełnie nowego wymiaru. Pewnego razu, kiedy mi wpadło w ucho, przypomniały mi się oracje Claude'a de Lorraine na ulicy przed jego domem. Przypomniałem sobie z całą wyrazistością, że używał słowa *reasonable* - rozsądny. Prosił mnie zapewne, żebym był rozsądny, które to słowo nigdy by mi w owym czasie nie przeszło przez gardło, bo nie było na nie miejsca w moim słowniku. Było to słowo, tak jak „dżentelmen”, w ogóle rzadko używane, a i to nader powściągliwie i ostrożnie. Było to słowo, przez które można stać się pośmiewiskiem. Sporo było takich słów - na przykład doprawdy. Nie znałem nikogo, kto by go używał - aż zjawił się Jack Lawson. Używał go, bo jego rodzice byli Anglikami, i chociaż kpiliśmy sobie z niego, jakoś mu to wybaczyliśmy. Słowo doprawdy przypominało mi zaraz małego Carla Ragnera z mojej dawnej dzielnicy. Carl Ragner był jedynym synem polityka, który mieszkał na eleganckiej uliczce zwanej Fillmore Place. Mieszkał przy końcu ulicy w małym domu z czerwonej cegły, zawsze starannie utrzymanym. Pamiętam ten dom, bo mijając go w drodze do szkoły zwracałem uwagę na to, jak pięknie są wypolerowane miedziane gałki przy drzwiach. Prawdę powiedziawszy, nikt inny nie miał przy drzwiach

miedzianych gałek. Małemu Carlowi Ragnerowi nie wolno się było zadawać z innymi chłopcami. Na dobrą sprawę w ogóle rzadko go widywaliśmy. Zwykle tylko w niedzielę, kiedy szedł ze swoim ojcem. Gdyby jego ojciec nie był tak ważną osobistością w dzielnicy, pewno ukamienowano by małego Carla na śmierć. Nikt go po prostu nie trawił w tych jego odświętnych ciuchach. Nie tylko nosił długie spodnie i lakierki, ale też melonik i laseczkę. Sześćioletni chłopak, który pozwala się tak stroić, musi być ciamajdą - brzmiała jednogłośnie opinia. Niektórzy twierdzili, że jest chorowity, jak gdyby to usprawiedliwiałoby jego ekscentryczny strój. Najdziwniejsze, że ani razu nie słyszałem, żeby coś mówił. Był taki elegancki, taki szykowny, dlatego pewno wyobrażał sobie, iż odzywanie się w miejscu publicznym należy do złego tonu. W każdym razie czekałem na niego zawsze w niedzielę rano, żeby tylko zobaczyć, jak będzie przechodził ze swoim starym. Przyglądałem mu się z taką samą palącą ciekawością, z jaką przyglądałem się strażakom pucującym wozy w remizie. Czasem wracając do domu niósł mały pojemnik lodów, najmniejszy, jaki był w sprzedaży, prawdopodobnie tylko dla siebie, na deser. Deser to kolejne słówko, które poznaliśmy i którego używaliśmy pogardliwie w odniesieniu do ludzi pokroju małego Carla Ragnera i jego rodziny. Trawiliśmy długie godziny na domysłach, co też ci ludzie jedzą na deser, pastwiąc się z najwyższą lubością nad tym nowo odkrytym słowem deser, które zapewne przemyciliśmy z domu Ragnerów. Chyba też mniej więcej w tym czasie zyskał sobie sławę Santos Dumont. Samo jego imię i nazwisko, Santos Dumont, wydawało nam się groteskowe. Mniej nas obchodziły jego wyczyny - tylko to jego nazwisko. Dla większości z nas załatwywało cukrem z plantacji kubańskich, flagą Kuby z gwiazdą w rogu, zawsze wysoko cenioną przez kolekcjonerów małych kuponów dołączanych do papierosów Sweet Caporal, na których widniały albo flagi poszczególnych krajów, albo podobizny najbardziej znanych subrettek sceny bądź słynnych pięściarzy. Zatem Santos Dumont był okazem egzotycznym, w przeciwieństwie do zwykłych cudzoziemców bądź cudzoziemskich obiektów, takich jak chińska pralnia czy wyniosła francuska rodzina Claude'a de Lorraine. Santos Dumont brzmiało jak magiczne zaklęcie, kojarzyło się nam z pięknymi zamaszystymi wąsami, sombrero, ostrogami, czymś ulotnym, delikatnym, kapryśnym, donkiszotowskim. Czasem przywoływało aromat ziaren kawy, słomianych mat czy też, przez swą dogłębną dziwaczność i donkiszoterię, odsyłało do życia Hotentotów. Gdyż byli wśród nas starsi chłopcy, którzy zaczęli czytać i zabawiali nas godzinami snując fantastyczne opowieści zapożyczone z takich książek jak *Aisza* albo *Pod dwiema flagami* Ouidy. Prawdziwy smak wiedzy wiąże się dla mnie najściślej z pustym placem na skraju nowej dzielnicy, do której się przeprowadziłem w wieku dziesięciu lat. Kiedy nadeszły jesienne dni, a myśmy stali przy ognisku piekąc



wróble i surowe ziemniaki w małych puszkach, które zawsze nosiliśmy przy sobie, wynikał nowy typ rozmów, odmienny od dotychczas mi znanych, bo nawiązywały do książek. Któryś z nas przeczytał akurat książkę przygodową albo naukową, i zaraz cała ulica ekscytowała się nie znanym dotąd tematem. Na przykład któryś chłopak właśnie odkrył coś takiego jak prąd japoński, usiłował więc nam wszystkim wyjaśnić, skąd się wziął prąd japoński i czemu służy. Tylko w ten sposób nauczyliśmy się nowych rzeczy - pod płótem, piekąc wróble i surowe ziemniaki. Te elementy wiedzy zapadły głęboko w naszą świadomość - tak głęboko, że później w konfrontacji z bardziej ścisłą wiedzą nieraz trudno się było wyzbyć tej dawnej. I tak któregoś dnia jeden ze starszych chłopców przekonał nas, że już Egipcjanie wiedzieli o krwiobiegu, co wydało nam się tak oczywiste, że później trudno było przełknąć wiadomość o odkryciu krwiobiegu przez Anglika nazwiskiem Harvey. Wcale mnie zresztą nie dziwi, że w tamtym okresie większość naszych rozmów oscylowała wokół takich odległych obszarów, jak Chiny, Peru, Egipt, Afryka, Islandia, Grenlandia. Rozmawialiśmy o duchach, o Bogu, o wędrówce dusz, o piekle, o astronomii, o dziwnych ptakach i rybach; o formowaniu się kamieni szlachetnych, o plantacjach gumy, o metodach tortur, o Aztekach i Inkach, o życiu marynarzy, o wulkanach i trzęsieniach ziemi, o obrzędach pochówkowych i ceremoniach ślubnych w różnych stronach kuli ziemskiej, o językach, o pochodzeniu Indian, o wyginięciu bizonów, o dziwnych chorobach, o kanibalizmie, o czarnoksięstwie, o wyprawach na Księżyc i jak tam może być, o mordercach i rozbójnikach, o cudach w Biblii, o garncarstwie, o tysiącu i jeden spraw, których nigdy nie poruszano w domu ani w szkole, a które żywo nas interesowały, bo byliśmy wygłodniali, świat zaś wydawał nam się pełen dziwów i tajemnic, dopiero więc kiedy staliśmy rozgorączkowani tam na placu, wdawaliśmy się w poważne rozmowy, odczuwając potrzebę kontaktu dającego nam tyleż radości, co strachu.

Dziwy i tajemnice życia - które się w nas tłamsi, w miarę jak stajemy się odpowiedzialnymi członkami społeczeństwa! Dopóki nie wypchnięto nas do pracy, świat był bardzo mały, a myśmy mieszkali na jego skraju, niejako na granicy spraw nieznanych. W małym greckim świecie, który był mimo wszystko dość głęboki, żeby pomieścić najróżniejsze wariacje, najróżniejsze przygody i domysły. Wcale zresztą nie taki mały, skoro krył w zanadrzu nieograniczone możliwości. Nic nie zyskałem przez powiększenie swojego świata; przeciwnie - straciłem. Chciałbym być coraz bardziej dziecinny, wychodzić z dzieciństwa w odwrotnym kierunku. Chciałbym posuwać się pod prąd normalnej drogi rozwoju, dotrzeć do superinfantylnej sfery istnienia, która będzie absolutnie szalona i chaotyczna, chociaż nie tak szalona i chaotyczna jak otaczający mnie teraz świat. Jestem już człowiekiem dorosłym, ojcem i odpowiedzialnym członkiem społeczeństwa. Zarabiam już na chleb swój powszedni.

Przystosowałem się do świata, który nigdy nie był mój. Teraz chciałbym się wyrwać z tego powiększonego świata i znów stanąć na granicy świata nieznanego, co mi pozwoli ten błady, jednostronny świat odsunąć w cień. Chciałbym się przebić poza odpowiedzialność ojcostwa do nieodpowiedzialności anarchisty, którego nie da się zniewolić, ugłaskać, obłaskawić, przekupić ani zniesławić. Chciałbym sobie za przewodnika wziąć Oberona, nocnego tułacza, który rozpostarłszy swe czarne skrzydła przekreśla zarówno piękno, jak i grozę przeszłości; chciałbym zemknąć ku wiecznemu świtanie w takim tempie i tak nieodwołalnie, żeby nie było już miejsca na skruchę, skrupuły ani wyrzuty sumienia. Chciałbym prześcignąć ludzi z inwencją, przekleństwo tej ziemi, żeby znów stanąć przed nieprzekraczalną przepaścią, której nie sposób pokonać na najsilniejszych bodaj skrzydłach. Nawet jeśli muszę się stać dzikim, naturalnym parkiem zamieszkanym jedynie przez błogich marzycieli, nie wolno mi spocząć tutaj, w uporządkowanej bezmyślności odpowiedzialnego, dorosłego życia. Muszę tak postąpić w imię pamięci życia zgoła nieporównywalnego z życiem mi obiecany, w imię pamięci życia dziecka zdławionego we mnie i stłamszonego za jednomyślną zgodą tych, którzy sami się poddali. Wyrzekam się wszystkiego, co stworzyli ojcowie i matki. Wracam do świata mniejszego nawet niż świat helleński, wracam do świata, którego zawsze mogę dotknąć wyciągnawszy rękę, do świata tego wszystkiego, co dobrze znam, widzę i rozpoznaję. Wszelki inny świat jest dla mnie pusty, obcy, wrogi. Wkraczając ponownie w ten pierwszy, świetlany świat, znany mi z dzieciństwa, nie zamierzam tam bynajmniej spocząć, lecz przedostać się dalej do jeszcze bardziej świetlanego świata, z którego zapewne niegdyś uciekłem. Nie mam pojęcia, jak tamten świat wygląda, nie jestem zresztą pewien, czy go w ogóle znajdę, ale to mój świat i nic więcej mnie nie pociąga.

Pierwszy przebłysk, pierwsze przecucie świetlanego nowego świata nadeszło przy poznaniu Roya Hamiltona. Szedł mi wtedy dwudziesty pierwszy rok, chyba najgorszy rok w całym moim życiu. Byłem pogrążony w takiej rozpacz, że postanowiłem uciec z domu. Myślałem i mówiłem tylko o Kalifornii, gdzie zamierzałem rozpocząć nowe życie. Tak usilnie marzyłem o tej nowej ziemi obiecanej, że później, kiedy stamtąd wróciłem, prawie nie pamiętałem tej prawdziwej Kalifornii widzianej na własne oczy, tylko myślałem i mówiłem o Kalifornii z moich marzeń. Hamiltona poznałem tuż przed wyjazdem. Był problematycznym bratem przyrodnim mojego starego przyjaciela MacGregora; sami poznali się niedługo przedtem, bo Roy, który większość życia spędził w Kalifornii, żył w przeświadczeniu, że jego prawdziwym ojcem jest pan Hamilton, a nie pan MacGregor. W istocie rzeczy, przyjechał na Wschód właśnie po to, by rozwikłać zagadkę tego ojcostwa. Pobyt u MacGregorów bynajmniej mu nie pomógł w rozwiązaniu zagadki. Poznanie bowiem człowieka, który w jego

mniemaniu był mu prawowitym ojcem, zwiększyło tylko dylemat. Dylemat, jak mi później zdradził, wynikał stąd, że w żadnym z tych ludzi nie potrafił się dopatrzeć nijakiego podobieństwa do człowieka, za jakiego sam się uważał. Przypuszczalnie udręka związana z decyzją, którego z nich uznać za własnego ojca, przesądziła o formowaniu się jego charakteru. Wspominam o tym, bo od pierwszej chwili czułem, że mam do czynienia z indywidualnością, jakiej dotąd nie znałem. Po opisie MacGregora byłem przygotowany na to, że poznani dość „dziwnego” osobnika, a „dziwny” w ustach MacGregora znaczyło lekko kopnięty. Tymczasem Roy był, owszem, dziwny, ale przy tym tak bardzo normalny, że od razu wpadłem w zachwyty. Po raz pierwszy rozmawiałem z kimś, kto wykraczał poza znaczenie słów i zmierzał do samej istoty rzeczy. Odnosiłem wrażenie, że rozmawiam z filozofem, i to nie takim, jakich spotykam w książkach, ale z człowiekiem, który bez przerwy filozofuje - i który żyje wyznawaną przez siebie filozofią. Innymi słowy, nie hołdował żadnej teorii poza tą jedną, żeby zgłębiać istotę rzeczy, a w świetle każdego nowego objawienia żyć tak, aby między objawionymi mu prawdami a prawdami wdrażanymi w czyn istniał jak najmniejszy rozdźwięk. Jego zachowanie wydawało się jednak dziwne wszyskimi dokoła. Nie wydawało się natomiast dziwne tym, którzy go znali na tamym wybrzeżu, gdzie, jak powiadał, był w swoim żywiole. Tam go ponoć uważano za kogoś lepszego i słuchano z najwyższym szacunkiem, a może i z pewnym lękiem. Trafiłem na niego w trakcie jego zmagania, co zrozumiałem dopiero po wielu latach. W owym czasie nie pojmowałem wagi, jaką przykładał do odszukania swojego prawdziwego ojca; nawet się z tego podśmiewałem, bo tak mało znaczyła dla mnie rola ojca, podobnie zresztą jak rola matki. W Royu Hamiltonie zobaczyłem ironiczne zmagania człowieka, który już się wyemancypował, a mimo to próbował ustalić rzetelną biologiczną więź, która przecież nie była mu wcale potrzebna. Ta walka o prawdziwego ojca czyniła z niego paradoksalnie superojca. Był mi nauczycielem i wzorem; wystarczyło, żeby otworzył usta, a wiedziałem, że słucham mądrości jakże różnej od wszystkiego, co dotąd wiązałem z tym słowem. Łatwo byłoby go zlekceważyć jako mistyka, bo niewątpliwie nim był, ale był też pierwszym mistykiem, jakiego zdarzyło mi się poznać, który zarazem chodził nogami po ziemi. Był mistykiem, a jednocześnie umiał tworzyć praktyczne rzeczy, wśród nich na przykład wiertło, bardzo przydatne w przemyśle naftowym, na którym z czasem zbił majątek. Przez te dziwne metafizyczne rozmowy nikt jednak wtedy nie traktował zbyt poważnie jego bardzo praktycznego wynalazku. Uważano go za kolejny szalony pomysł Roya.

Bez przerwy mówił o sobie i o swoich związkach z otaczającym światem, przez co niestety brano go za najzwyczajniejszego egotystę. Mówiono nawet, co nie miało się chyba tak

dalece z prawdą, że bardziej go zajmuje prawda na temat ojcostwa MacGregora niż sam MacGregor jako ojciec. Chciano przez to powiedzieć, że tak naprawdę nie kocha swojego nowo odnalezionego ojca, tylko po prostu czerpie duże korzyści osobiste z prawdy samego odkrycia, że używa tego odkrycia do wzmocnienia swojej manii wielkości. To wszystko oczywiście prawda, bo pan MacGregor z krwi i kości był kimś znacznie mniej ważnym niż pan MacGregor jako symbol utraconego ojca. Ale MacGregorowie nie znali się na symbolach, nigdy by więc tego nie pojęli, nawet gdyby im to wytłumaczono. Podejmowali daremne wysiłki, żeby przygarnąć dawno utraconego syna, a zarazem przykroić go do zrozumiałego przez nich poziomu, na którym mogliby go traktować nie tyle jak „dawno utraconego”, ile po prostu jak syna. Tymczasem każdy głupi widział, że ten syn wcale nie był synem, lecz raczej duchowym ojcem, takim można by rzec Chrystusem, podejmującym śmiało wysiłki, żeby zaakceptować rodzoną krew, od której najwyraźniej zdołał się wyzwolić.

Dlatego tak mnie to zdziwiło i tak mi pochlebilo, że ów dziwny osobnik, na którego spoglądałem z najgorętszym podziwem, wybrał akurat mnie na swojego powiernika. W porównaniu z nim byłem nadmiernie zanurzony w książkach, w intelekcie i w świecie. Prędko jednak wyzbyłem się tej części swojej natury i zatopiłem się z lubością w ciepłym, bezpośrednim świetle emanującym z jego dogłębnej, przyrodzonej intuicji świata. W jego towarzystwie czułem się niejako obnażony, czy raczej odarty, bo było to coś znacznie więcej niż zwykła nagość, jakiej żądał od swoich rozmówców. W rozmowach ze mną zwracał się do takiego mnie, jakiego bardzo niejasno w sobie podejrzewałem, takiego na przykład, który wyłaniał się raptem przy lekturze książki i uświadamiał sobie, że śnił. Tylko nieliczne książki potrafiły mnie wprowadzić w taki trans, trans całkowitej jasności, w którym nieświadomie podejmuje się najgłębsze postanowienia. Rozmowy z Royem Hamiltonem miały taki właśnie wymiar. Bardzo wzmagały moją czujność, czujność nadprzyrodzoną, nie nadkruszając przy tym tkanki snu. Innymi słowy, przemawiał do załóżka jaźni, do istoty, która w końcu przerastała nagą osobowość, syntetyczną indywidualność, i pozwalała osiągnąć izolację oraz samotność, żebym mógł zmierzać ku własnemu przeznaczeniu.

Nasze rozmowy były niczym tajemny język, w ich trakcie inni usypiali albo rozptywali się jak duchy. Mojego przyjaciela MacGregora zdumiewało to i drażniło; a przecież znał mnie lepiej niż ktokolwiek inny, tyle że nigdy nie znalazł we mnie niczego, co by wskazywało na charakter, który teraz przed nim ujawniłem. Twierdził, że Roy Hamilton ma zły wpływ, co też było prawdą, gdyż to niespodziewane spotkanie z jego przyrodnim bratem rozdzieliło nas bardziej niż cokolwiek innego. Hamilton otworzył mi oczy, podsunął nowe wartości, a chociaż później miałem zatracić to spojrzenie, które mi przekazał, już nigdy

nie patrzyłem na świat ani na przyjaciół tak jak wcześniej, przed przybyciem Roya. Hamilton bardzo mnie zmienił, tak jak potrafi kogoś zmienić tylko wyjątkowa książka, wyjątkowa osobowość, wyjątkowe przeżycie. Po raz pierwszy w życiu zrozumiałem, co znaczy doświadczyć autentycznej przyjaźni, a mimo to nie czuć się tym doświadczeniem zniewolonym ani spętanym. Po naszym rozstaniu nigdy nie czułem potrzeby jego obecności; oddał mi się bez reszty, ja zaś go posiadałem, nie dając się samemu posiadać. Było to pierwsze czyste, absolutne doznanie przyjaźni i już nigdy się nie powtórzyło z nikim innym. Hamilton był nie tyle przyjacielem, ile samą istotą przyjaźni. Był symbolem ucieleśnionym, zatem w pełni satysfakcjonującym, dlatego przestałem odczuwać jego niezbędność. Sam to świetnie rozumiał. Może właśnie brak ojca pchnął go na drogę samopoznania, która wieńczy proces identyfikacji ze światem, a w rezultacie uprzytomnienia sobie bezużyteczności więzów. Kiedy osiągnął już pełnię samorealizacji, nikt mu z pewnością nie był potrzebny, a już najmniej ojciec z krwi i kości, którego bezskutecznie szukał w panu MacGregorze. Ten jego przyjazd na Wschód, to szukanie prawdziwego ojca miało zapewne być dla niego ostatnim sprawdzianem, bo kiedy się pożegnał, kiedy odrzucił MacGregora i Hamiltona, stał się człowiekiem, który oczyścił się z wszelkich brudów. Nigdy nie widziałem człowieka równie odizolowanego, równie samotnego, a zarazem pełnego życia i ufego w przyszłość jak Roy Hamilton, kiedy przyszedł się pożegnać. Nigdy też nie widziałem podobnego osłupienia i nieporozumień jak te, które pozostawił w rodzinie MacGregorów. Zupełnie jak gdyby umarł na ich łonie, został wskrzeszony, a teraz ich opuszczał jako całkiem nowy, nieznanym osobnik. Do dziś widzę, jak stoją na podjeździe, z niejako pustymi, głupio bezradnymi rękami, nie wiadomo dlaczego zapłakani, chyba dlatego, że pozbawiono ich czegoś, czego nigdy nie mieli. Widzę to tak: czuli się zaskoczeni i porzuceni, ale też mgliście, bardzo mgliście zdawali sobie sprawę, że przegapili wielką szansę, której nie mieli dość siły ani wyobraźni się uchwycić. Podszepnęło mi to ich głupie, puste machanie rękami; żaden chyba gest nie mógłby wywołać więcej cierpienia. Odczułem przeraźliwą niemoc świata stojącego w obliczu prawdy. Odczułem idiotyzm więzów krwi i miłości bez podbudowy duchowej.

Prędko oglądam się wstecz i widzę się znów w Kalifornii. Jestem sam, haruję jak wół na plantacji pomarańczy w Chula Vista. Czy naprawdę odnajduję siebie? Nie sądzę. Jestem żalonym, zapomnianym, nieszczęsnym człowiekiem. Utraciłem jakby wszystko. Można by rzec, że nie jestem człowiekiem, już raczej zwierzęciem. Przez całe dni stoję albo chodzę za dwoma osłami zaprzęgniętymi do mojego wózka. Nie mam myśli, marzeń, ani pragnień. Jestem całkiem zdrowy i pusty w środku. Jestem zerem. Jestem tak dogłębnie żywy i zdrowy, że do złudzenia przypominam dorodny owoc, podobny tym, jakie wiszą na drzewach Kalifornii.

Wystarczy jeszcze jeden promień słońca, a zgniję. *Pourri avant d'etre muri!*

Czy to naprawdę ja gniję w tym oślepiającym słońcu Kalifornii? Czy nic ze mnie nie zostało, z tego, czym byłem aż do tej chwili? Niech no pomyślę... Była Arizona. Pamiętam, że zapadł już zmierzch, kiedy po raz pierwszy stanąłem na arizońskiej ziemi. Zdażyłem jeszcze w półmroku dojrzeć ostatnie zarysy szarzejącego skalistego płaskowyżu o urwistych stokach. Idę główną ulicą miasteczka o zagubionej nazwie. Co ja tu robię na tej ulicy, w tym mieście? Kocham się w Arizonie, Arizonie mojej wyobraźni, której na próżno szukam wzrokiem. Jeszcze w pociągu towarzyszyła mi Arizona, którą przywiozłem tu z Nowego Jorku - już nawet po przekroczeniu granicy stanu. Bo nad kanionem wisiał most, który mnie wyrwał z zamyślenia. Taki most, jakiego dotąd nie widziałem, naturalny most spiętrzony tysiące lat temu przez kataklizmowy wybuch. A na tym moście zobaczyłem mężczyznę, który wyglądał mi na Indianina, jechał na koniu, a za strzemieniem u siodła miał przywieszzone duże juki. Naturalny milenijny most, który w tym klarownym powietrzu, na tle ginącego słońca, wyglądał jak najmłodszy, najnowszy most, jaki można sobie wyobrazić. Po tym jakże mocnym, jakże trwałym moście przejeżdżał, chwalić Boga, tylko jeden mężczyzna na koniu, a wokół pustka. Czyli to była Arizona, już nie wymysł mojej wyobraźni, lecz wyobraźnia obleczona w postać konia z jeźdźcem. Nawet coś więcej niż wyobraźnia, bo nie towarzyszyła jej aura dwuznaczności, tylko ostre, martwe wyodrębnienie rzeczy samej, czyli snu i śniącego usadowionego na koniu. Kiedy pociąg się zatrzymuje, stawiam nogę na ziemi, a noga tworzy wielką dziurę we śnie; znajduję się w mieście w Arizonie, ujętym w rozkładzie jazdy, ale to tylko geograficzna Arizona, którą może odwiedzić każdy, kto ma pieniądze. Maszeruję z walizką główną ulicą, widzę hamburgery i biura sprzedaży nieruchomości. Czuję się tak potwornie oszukany, że zaczynam płakać. Wokół już ciemno, stoję u wylotu ulicy, gdzie zaczyna się pustynia, i płaczę jak idiota. Który ja ronię łzy? To chyba ten mały nowy ja, który zaczął się wykluwać jeszcze w Brooklynie, a który teraz znajduje się na rozległej pustyni skazany na zagładę. Royu Hamiltonie, jakże mi jesteś potrzebny! Potrzebny na jedną chwilę, tylko na jedną krótką chwilę, kiedy się rozpadam. Jesteś mi potrzebny, bo nie byłem całkiem gotów na to, co zrobiłem. A przecież pamiętam twoje słowa, że bym nie podejmował tej podróży, jeżeli nie poczuję w sobie takiej konieczności. Dlaczego mnie od niej nie odwiodeś? No tak, tyle że on nigdy nikogo od niczego nie odwoził. Ja zaś nigdy nie prosiłem o rady. No więc jestem tutaj, załamany, na pustyni, tamten realny most za mną, przede mną natomiast to, co nierealne. Bóg jeden wie, jaki jestem ogłupiały i oszołomiony, gdybym mógł się zapaść pod ziemię i zniknąć, tobym się zapadł.

Spoglądam prędko wstecz i widzę kolejnego człowieka, którego pozostawiono, żeby

zmarniał doszczętnie na łonie rodziny - ojca. Lepiej rozumiem, co się z nim stało, kiedy sięgam daleko, daleko pamięcią wstecz i myślę o takich ulicach jak Maujer, Conselyea, Humboldt... zwłaszcza o Humboldt. Są to ulice dzielnicy nie tak odległej od naszej, tyle że innej, bardziej ekskluzywnej, bardziej tajemniczej. W dzieciństwie tylko raz byłem na ulicy Humboldt, nie pamiętam nawet celu tej wyprawy, możliwe, że bawiłem wtedy z wizytą u kogoś chorego z rodziny dogorywającego w niemieckim szpitalu. Ale sama ulica wywarła na mnie niezatarte wrażenie; nie mam zielonego pojęcia dlaczego. Pozostaje mi w pamięci jako najbardziej tajemnicza i obiecująca ulica z tych, które widziałem. Może kiedy szykowaliśmy się do wyjścia, matka, jak zwykle, obiecała nam w nagrodę za towarzyszenie jej coś wspaniałego. Zawsze obiecywano mi różne rzeczy, które się nigdy nie spełniały. Może właśnie wtedy, kiedy znalazłem się na ulicy Humboldt i spojrzałem ze zdumieniem na ten nowy świat, zapomniałem kompletnie, co mi obiecano, bo sama ulica stała się nagrodą. Pamiętam, że była bardzo szeroka, że po obu stronach zobaczyłem strome ganki, jakich nigdy przedtem nie widziałem. Pamiętam też, że u krawcowej na piętrze jednego z tych dziwnych domów stał w witrynie manekin z metrem krawieckim zawieszonym na szyi, i pamiętam, jak bardzo poruszył mnie ten widok. Na ziemi leżał śnieg, ale słońce prażyło tak mocno, że wyraźnie widzę dokoła skutych lodem jesionowych beczek małe kałuże wody pozostałe po roztopionym śniegu. Cała ulica jakby topniała w promiennym zimowym słońcu. Na balustradach wysokich ganków czapy śnieżne o przepięknych kształtach, które zaczynały się teraz osuwać, nikać, odsłaniając ciemne łaty tak wówczas modnego brunatnego piaskowca. Szklane tabliczki dentystów i lekarzy zatknięte w rogach okien lśniły wesoło w południowym słońcu, uzmysławiając mi po raz pierwszy w życiu, że może ich gabinety nie są wcale salami tortur, za jakie dotychczas je miałem. Wyobraziłem sobie, na swój dziecinny sposób, że w tej dzielnicy, zwłaszcza na tej ulicy, ludzie są bardziej życzliwi, bardziej otwarci, no i nieskończenie bardziej zamożni. Chociaż byłem zaledwie berbeciem, sam się musiałem chyba bardzo otworzyć, bo po raz pierwszy w życiu patrzyłem na ulicę bez strachu. Była to jedna z tych przestronnych, luksusowych, lśniących, topniejących ulic, jakie później, kiedy zacząłem czytać Dostojewskiego, kojarzyłem z roztopami w Sankt Petersburgu. Nawet kościoły wzniesiono tu w innych stylach architektonicznych; było w nich coś na poły orientalnego, coś z rozmachu, a zarazem swojskości, co jednocześnie przerażało mnie i frapowało. Zobaczyłem, że na tej szerokiej, obszernej ulicy domy stoją w sporej odległości od chodnika, trwają w ciszy i godności, nie skalane wstawkami sklepów, fabryczek czy zakładów weterynaryjnych. Zobaczyłem ulicę, którą tworzyły jedynie domy mieszkalne, i poczułem naraz lęk i podziw. Pamiętam to wszystko, co z całą pewnością wywarło na mnie tak ogromne

wrażenie, a mimo to nie potrafię sobie wytłumaczyć owej dziwnej mocy i fascynacji, jaką po dziś dzień budzi we mnie najmniejsza wzmianka o ulicy Humboldt. Po iluś latach wróciłem na tę ulicę wieczorem, żeby jej się znów przyjrzeć, i zaintrygowała mnie jeszcze bardziej niż za pierwszym razem. Wygląd ulicy częściowo się, rzecz jasna, zmienił, ale był wieczór, a wieczorem wszystko wydaje się mniej okrutne niż za dnia. I znów doznałem dziwnego poczucia przestronności, owego luksusu, który wprowadzie nieco przybladł, lecz nadal roztaczał aromat, nadal przebijał tu i ówdzie łatami, tak jak niegdyś kamienne balustrady przebijały spod topniejącego śniegu. Najwyrazistsze jednak było owo przemożne poczucie znalezienia się na granicy odkrycia. Znów z całą mocą zdałem sobie sprawę z obecności matki, obszernych bufiastych rękawów jej futra, okrutnej gwałtowności, z jaką przed laty ciągnęła mnie przez tę ulicę, i uporczywej wytrwałości, z jaką syciłem oczy wszystkim, co było dla mnie nowe i dziwne. Przy tej drugiej wizycie przypomniałem sobie mgliście inną postać z mojego dzieciństwa, starą gospodynię o wielce osobliwym nazwisku, panią Kicking. Nie pamiętam, kiedy zachorowała, ale przypominam sobie, że złożyliśmy jej wizytę w szpitalu, gdzie umierała, a ten szpital musiał znajdować się w pobliżu ulicy Humboldt, która nie umierała, tylko lśniła w topniejącym śniegu zimowego popołudnia. Co takiego mogła mi obiecać matka, czego już nigdy potem nie potrafiłem sobie przypomnieć? Zdolna, jak to ona, obiecać dosłownie wszystko, mogła owego dnia, powodowana nagłym kaprysem, obiecać mi coś tak niesamowitego, że w całej swojej dziecięcej łatwowierności nie potrafiłem tego przełknąć. Ale nawet gdyby mi obiecała księżyc, chociaż wiedziałem, że to nie wchodzi w rachubę, starałbym się z całej siły przyjąć jej obietnicę z okruczem wiary. Pragnąłem żarliwie wszystkiego, co mi obiecywano, toteż jeżeli nawet po namyśle dochodziłem do wniosku, że to na pewno niemożliwe, i tak po swojemu próbowałem znaleźć sposób, żeby te obietnice urzeczywistnić. Nie mieściło mi się wprost w głowie, że ludzie mogą obiecywać, nie mając najmniejszego zamiaru spełnić obietnic. Wierzyłem nawet wtedy, kiedy oszukiwano mnie w najbardziej haniebnym sposobie; wierzyłem, że jakieś zupełnie wyjątkowe, niezależne od danego człowieka okoliczności sprawiły, iż obietnica stała się czczą i jałową.

Ta kwestia wiary, dawnej, nigdy nie dotrzymanej obietnicy przywodzi mi na myśl ojca, którego opuszczono w chwili największej potrzeby. Aż do czasu jego choroby ani ojciec, ani matka nie przejawiali najmniejszych skłonności religijnych. Chociaż zawsze podsuwali kościół innym, sami od dnia ślubu ani razu nie przekroczyli jego progu. Zawsze posądzali o głupotę tych, którzy zbyt regularnie chadzali do kościoła. Już sam sposób, w jaki mówili - „ten i ten jest wierzący” - wyrażał pogardę i politowanie, czy wręcz litość, którą odczuwali wobec takich ludzi. Kiedy raz na czas z naszego, dzieci, powodu odwiedzał nas



niespodziewanie pastor, traktowali go jak kogoś, komu ze zwykłej uprzejmości należy się szacunek, ale z którym nic ich nie łączy, do którego odnoszą się nieco podejrzliwie, a w gruncie rzeczy mają za przedstawiciela gatunku w pół drogi między głupcem a szarlatanem. Nam na przykład mówili „przemięły człowiek”, ale w gronie własnych znajomych, kiedy aż się roilo od plotek, można było posłyszeć inne zgoła uwagi, którym zwykle towarzyszyły wybuchy pogardliwego śmiechu i figlarne przedrzeźnianie.

Ojciec śmiertelnie się rozchorował, bo zbyt gwałtownie zerwał z nałogiem. Przez całe życie był z niego wesoły kompan, prawdziwy brat łąta. Obrósł sympatycznym tłuszczykiem, policzki miał pyzate i czerwone jak buraki, w obejściu swobodny, lekkiego usposobienia, jakby miał dożyć sędziwego wieku cały i zdrow jak ryba. Ale pod tą gładką i wesołą powierzchownością wcale mu się tak dobrze nie działo. Interesy szły źle, piętrzyły się długi, zaczynali się już od niego odwracać niektórzy z jego starych przyjaciół. Najbardziej przygnębiał go stosunek mojej matki. Wszystko widziała w czarnych barwach, z czym wcale się nie kryła. Od czasu do czasu wpadała w histerię, rzucała się na niego z pazurami, wyklinała najgorszymi słowami, tłukła naczynia i groziła, że odejdzie na zawsze. Rezultat był taki, że pewnego ranka ojciec wstał z mocnym postanowieniem, iż nie tknie ani kropli więcej. Nikt tego nie brał poważnie; wielu już w tej rodzinie zrywało z nałogiem, przechodzili, jak to się mówi, na wodę, a potem szybko znów się staczali. Chociaż niejeden próbował, nikomu nie udało się zostać abstynentem. Mój stary był jednak inny. Bóg raczy wiedzieć, skąd i jak czerpał siłę, żeby wytrzymać w swoim postanowieniu. Wydaje mi się to niesłychane, bo gdybym ja był na jego miejscu, zapiłbym się na śmierć. Ale nie ojciec. Po raz pierwszy w życiu powziął mocne postanowienie. Matka zachowała się jak skrajna idiotka, bo z niedowierzania zaczęła z niego pokpiwać, naśmiewać się z jego silnej woli, która do tej pory była tak żałośnie słaba. On jednak trwał przy swoim. Koledzy od butelki odsunęli się dość szybko. Krótko mówiąc, niebawem znalazł się w całkowitym odosobnieniu. Musiało mu to dopieć do żywego, bo po upływie kilku zaledwie tygodni zapadł na śmiertelną chorobę, trzeba więc było wezwać lekarza. Częściowo się z tego wylizał, zaczął nawet wstawać z łóżka i chodzić po domu, ale nadal był bardzo chory. Miał niby to wrzody żołądka, chociaż nikt dokładnie nie wiedział, na co ojciec naprawdę cierpi. Wszyscy jednak wiedzieli, że zbyt gwałtownie zerwał z nałogiem. Ale było za późno, żeby wrócić do dawnego umiaru. Żołądek miał już tak słaby, że nie trawił nawet talerza zupy. Po kilku miesiącach z ojca została skóra i kości. I bardzo się zestarzał. Wyglądał jak Łazarz wskrzeszony z grobu.

Pewnego dnia matka wzięła mnie na bok i ze łzami w oczach ubłagała, żebym poszedł do naszego lekarza i dowiedział się prawdy o stanie zdrowia ojca. Doktor Rausch od lat leczył

naszą rodzinę. Był typowym pludrem starej daty, dość już zmęczonym i zdziwaczałym po latach praktyki, a mimo to niezdolnym całkiem porzucić swoich pacjentów. Na swój głupi teutoński sposób usiłował odstraszyć lżej chorych pacjentów, nakłonić ich, że się tak wyrażę, do powrotu do zdrowia. Kiedy się wchodziło do jego gabinetu, nigdy nie podnosił wzroku, tylko nadal pisał czy co tam akurat robił, rzucając nonszalancko, od niechcienia wyrywkowe pytania. Zachowywał się tak grubiańsko, tak podejrzliwie, że chociaż to śmiesznie zabrzmiało, mogło się wydawać, iż oczekuje od swoich pacjentów, że przyjdą nie tylko ze swoimi dolegliwościami, ale i z dowodami tych dolegliwości. Dawał człowiekowi odczuć, że ten cierpi nie tylko na ciele, ale i na umyśle. Jego ulubione powiedzonko brzmiało: „Tak się panu tylko zdaje”, a rzucał je ze zjadliwym drwiącym uśmieszkiem. Ponieważ dobrze go znałem i z całego serca nienawidziłem, poszedłem tam przygotowany, z laboratoryjną analizą kału ojca. Na wypadek gdyby żądał dalszych dowodów, miałem też przy sobie, w kieszeni płaszcza, analizę moczu.

Kiedy byłem mały, doktor Rausch okazywał mi pewną serdeczność, ale odkąd poszedłem do niego z tryprem, stracił do mnie wszelkie zaufanie, gdy więc tylko wsuwałem głowę przez drzwi, zawsze miał muchy w nosie. Jego dewiza brzmiała - jaki ojciec, taki syn - toteż wcale się nie zdziwiłem, kiedy zamiast podać mi żadaną informację, zaczął mnie pouczać, a tym samym mojego starego, na temat naszego trybu życia. - Nie można żyć wbrew naturze - wyrecytował z surową, uroczystą miną, nie patrząc na mnie, kiedy wypowiadał te słowa, tylko sporządzając jakieś bezużyteczne zapiski w wielkiej księdze. Podeszedłem spokojnie do biurka, stałem tak przez chwilę nie wydając głosu, a kiedy podniósł wzrok z tym swoim smętnym, jak zwykle rozdrażnionym wyrazem twarzy, odrzekłem: - Nie przyszedłem tu po nauki moralne... chciałem się dowiedzieć, co jest mojemu ojcu. - Na te słowa aż podskoczył i rzucając mi najsroższe pod słońcem spojrzenie, powiedział jak przystało takiemu głupiemu, brutalnemu pludrowi: - Twój ojciec nie ma szans powrotu do zdrowia, za niecałe pół roku umrze. - Na co odparłem: - Dziękuję. Tego się tylko chciałem dowiedzieć - i skierowałem się ku drzwiom. Wtedy jakby uznał, że popełnił błąd, podreptał za mną ciężkim krokiem, położył mi rękę na ramieniu, próbując złagodzić swoje stwierdzenie, mruczając i burcząc, że niby wcale nie chciał powiedzieć, iż ojciec na pewno umrze i takie tam, co szybko uciałem, bo otworzyłem drzwi i krzyknąłem na całe gardło, żeby usłyszeli wszyscy pacjenci w poczekalni: - Uważam pana za starego pierdziela. Oby pan zdechł. Dobranoc!

Kiedy przyszedłem do domu, złagodziłem nieco diagnozę lekarza, mówiąc, że stan ojca jest bardzo poważny, ale jeżeli będzie o siebie dbał, z pewnością się wylize. Wyraźnie to starego podniosło na duchu. Z własnej woli przeszedł na ścisłą dietę, tylko mleko i sucharki, i

czy to był najlepszy pomysł, czy nie, na pewno mu ona nie zaszkodziła. Przez jakiś rok żył jak półinwalida, zyskując z czasem coraz większy spokój wewnętrzny, widocznie powziął decyzję, że nic, ale to nic nie zakłóci jego opanowania, choćby wszystko sam diabeł nakrył ogonem. Kiedy odzyskał siły, zaczął codziennie odbywać spacer na pobliski cmentarz. Siadywał tam w słońcu na ławce i patrzył, jak starsi ludzie krzątają się przy grobach. Sama bliskość grobu, zamiast go przygnębiać, jakby go rozweselała. Podejrzewam, że pogodził się z myślą o ostatecznej śmierci, której przedtem nie śmiał spojrzeć w oczy. Często wracał do domu z kwiatami, które zebrał na cmentarzu, z twarzą rozpromienioną spokojną, łagodną radością, po czym siadał w fotelu i opowiadał o rozmowach, jakie odbył rano z innymi cherlakami, którzy odwiedzali cmentarz. Po pewnym czasie stało się jasne, że naprawdę odpowiada mu takie odosobnienie, a może więcej niż odpowiada, bo czerpał obficie z tego doświadczenia, czego nijak nie mogła pojąć moja matka. Zaczął się lenić, jak to ujmowała. Czasem wyrażała to dobitniej, pukając się palcem w czoło, ale nie mówiąc niczego wprost przez wzgląd na moją siostrę, która niewątpliwie była lekko pomyłona. Po czym któregoś dnia, dzięki uprzejmości pewnej starszej wdowy, która codziennie odwiedzała grób swojego syna i była, jak to matka mawiała - „pobożna” - poznał pastora z jednego z okolicznych kościołów. Było to przełomowe zdarzenie w życiu starego. Raptem jakby rozkwitł, teraz więc ta jego niepozorna gąbka duszy, która wyschła niemal do cna z braku strawy, nabrała tak niesamowitych rozmiarów, że trudno go było poznać. Człowiek, dzięki któremu w moim ojcu zaszły takie zmiany, sam nie odznaczał się niczym niezwykłym; był pastorem kościoła kongregacjonalistów osiadłym w skromnej parafii przylegającej do naszej dzielnicy. Miał jedną zaletę, mianowicie nie pchał się ze swoją religią na afisz. Stary niebawem popadł w chłopięcą czołobitność; nie mówił o niczym innym tylko o pastarze, którego uważał za przyjaciela. Ponieważ przez całe życie nie zaglądał do Biblii, zresztą do żadnej innej książki, było w tym, mówiąc oględnie, coś szokującego, kiedy się słyszało, jak przed każdym posiłkiem odmawia modlitwę. Odprawiał tę małą ceremonię w dziwny sposób, mniej więcej tak jak ktoś bierze środek uspokajający. Jeżeli zalecał mi przeczytanie jakiegoś rozdziału z Biblii, dodawał z namaszczeniem: „dobrze ci to robi”. Było to nowo odkryte przez niego lekarstwo, gwarantowany środek znachorski na wszystkie przypadłości, którego warto używać, nawet jeżeli się na nic nie cierpi, bo na pewno nie zaszkodzi. Uczęszczał na wszystkie nabożeństwa, wszystkie uroczystości odprawiane w kościele, ponadto czasem na spacerze wstępował do domu pastora na pogawędkę. Jeżeli pastor stwierdził, że prezydent to zacna dusza i trzeba by go ponownie wybrać, stary powtarzał jota w jotę słowa pastora i nakłaniał wszystkich dokoła, żeby głosowali ponownie na tego prezydenta. Wszystko, co

pastor mówił, było słuszne i sprawiedliwe, nikt nie miał prawa kwestionować jego zdania. Stary niewątpliwie pobierał w ten sposób edukację. Jeżeli pastor podczas kazania wspominał piramidy, stary natychmiast zaczynał się interesować piramidami. Rozprawiał o piramidach, jak gdyby każdy musiał koniecznie zapoznać się z tym tematem. Pastor stwierdził, że piramidy stanowią jedną z koronnych chwał człowieka, a zatem nie wiedzieć nic o piramidach to haniebna ignorancja, prawie grzech. Na szczęście pastor nie rozwodził się zbyt na temat grzechu; należał do tych nowoczesnych kaznodziejów, którzy prowadzili swoją trzódkę rozbudzając raczej ciekawość, niż apelując do sumień. Jego kazania przypominały bardziej wieczorowe kursy dokształcania, toteż ludziom pokroju mojego starego zapewniały świetną rozrywkę i inspirację. Od czasu do czasu zapraszał męskich przedstawicieli kongregacji na bibkę, żeby pokazać, iż dobry pastor jest tylko zwykłym śmiertelnikiem tak jak i oni, sam więc raz na czas lubi zjeść suty posiłek, nawet zakrapiany piwem. Zauważono, że pastor także śpiewa - i to nie tylko hymny religijne, lecz również popularne szlagiery. Jeśli dodać dwa do dwóch, można by nawet wnosić z jego jowialnego zachowania, że od czasu do czasu brał się za jakąś spódniczkę - zawsze, rzecz jasna, z umiarem. Właśnie to słowo stanowiło balsam na udreżoną duszę mojego starego - „umiara”. Zupełnie jak gdyby odkrył nowy znak zodiaku. I chociaż nadal był zbyt chory, żeby wrócić do umiarkowanego normalnego życia, ale zaraz robiło mu się lepiej na duszy. Toteż kiedy wujek Ned, który stale „przechodził na wodę” i stale ponosił porażkę, wpadł do nas kiedyś wieczorkiem, stary wygłosił mu wykład na temat cnoty umiaru. Wujek Ned był akurat przy wodzie, kiedy więc stary, przejęty własnymi słowami, naraz sięgnął do kredensu po karafkę wina, wszyscy doznali wstrząsu. Nikt nigdy nie śmiał zapraszać wujka Neda na kielicha, kiedy ten zrywał z nałogiem; było to wyraźne pogwałcenie lojalności. Ale stary zrobił to z takim przekonaniem, że nikt się nie poczuł urażony, a wujek Ned wypił nieduży kieliszek wina, po czym wrócił do domu, nie wstępując po drodze do baru, żeby ugasić pragnienie. Było to wydarzenie niezwykle i długo się o nim mówiło. Rzeczywiście od tamtego dnia wujek Ned zaczął się dziwnie zachowywać. Zaraz nazajutrz wybrał się ponoć do monopolowego, kupił butelkę sherry i przelał ją do karafki. Wstawił karafkę do kredensu, tak jak ojciec, i zamiast ją wydudlić za jednym zamachem, zadowalał się jednym kieliszkiem na raz - „tylko napaścyczek”, jak powiadał. Jego zachowanie tak się radykalnie zmieniło, że ciotka, nie mogąc uwierzyć własnym oczom, przyszła któregoś dnia do nas i odbyła ze starym długą rozmowę. Poprosiła go między innymi, żeby kiedyś wieczorem zaprosił do nich pastora, to może i wujek Ned dostanie się pod jego dobroczynne wpływy. Krótko mówiąc, niebawem Ned został wzięty pod skrzydła i podobnie jak mój stary dosłownie kwitł.

Wszystko dobrze szło aż do pikniku. Był to, niestety, wyjątkowo upalny dzień, toteż przez te gry, ożywienie, wesołość wujkowi Nedowi wyjątkowo doskwierało pragnienie. Dopiero kiedy się już nieźle zaproszył, ktoś zauważył regularność i częstotliwość, z jaką wuj biega do beczki piwa. Było jednak za późno. W tym stanie nikt go już nie mógł uratować. Nawet pastor nic by tu nie wskórał. Ned dyskretnie urwał się z pikniku i poszedł w tango, które trwało trzy dni i trzy noce. Może trwałoby i dłużej, gdyby się nie wdał w walkę na pięści przy nabrzeżu, gdzie znalazł go nieprzytomnego nocny stróż. Zabrano go do szpitala ze wstrząsem mózgu, z którego nigdy się już nie wylizał. Wracając z jego pogrzebu mój stary powiedział nie roniąc łzy: - Ned nie wiedział, co to umiar. To jego вина. Zresztą, teraz mu lepiej...

I jakby pragnąc dowieść pastorowi, że nie jest ulepiony z tej samej gliny, co wujek Ned, jeszcze gorliwiej oddał się swoim kościelnym obowiązkom. Awansował do rangi „starszego”, z którego to stanowiska był niebywale dumny, a które pozwalało mu pomagać podczas niedzielnych nabożeństw w zbiorce datków. Kiedy pomyślę, że mój stary chodził między ławkami kościoła kongregacyjnego z puszką w rękę; kiedy pomyślę, że stał nabożnie przed ołtarzem z tą puszką, gdy pastor błogosławił ofiarę, wydaje mi się to tak niesłychane, że właściwie brak mi słów. Lubię, z przekory, myśleć o człowieku, którym był, kiedy ja byłem jeszcze mały i spotykałem go w sobotnie popołudnia na przystani promu. Tuż przy wejściu na przystań znajdowały się trzy bary, zawsze w sobotnie południe wypełnione mężczyznami, którzy wpadli tu coś przekąsić przy darmowej ladzie i golnąć sobie kufel piwa. Widzę swojego starego, jak tam wystaje mając trzydzieści lat, zdrowy jak rydz, dusza człowiek, z uśmiechem dla wszystkich i z dowcipem dla rozweselenia innych, widzę, jak się opiera jedną ręką o kontuar, słomkowy kapelusz zsunięty na tył głowy, lewa ręka uniesiona, żeby wychylić pienisty płyn. Oczy miałem wówczas mniej więcej na wysokości jego ciężkiej złotej dewizki zwisającej mu w poprzek kamizelki; pamiętam wełniany garnitur w czarno-białą kratę, jaki nosił w środku lata, co go wyróżniało spośród innych mężczyzn w barze, którzy nie mieli tego szczęścia, żeby się urodzić krawcami. Pamiętam, jak zanurzał rękę w wielkiej szklanej misie na darmowej ladzie z przekąskami i wręczał mi kilka precli, namawiając, żebym skoczył obejrzeć tabelę wyników w witrynie pobliskiej redakcji „Brooklyn Times”. Kiedy wybiegałem z baru, żeby zobaczyć, kto wygrywa, może akurat przejeżdżał sznur rowerzystów tuż obok chodnika, trzymając się wąskiego pasa asfaltu przeznaczonego wyraźnie dla nich. Może prom zawijał właśnie do doku i przystawałem na chwilę, żeby się pogapić na mężczyzn w mundurach, którzy ciągnęli wielkie drewniane koła z przymocowanymi łańcuchami. Kiedy otwierano na oścież bramę i spuszczano trap, tłum ruszał przez szopę i pędził do barów wieńczących najbliższe rogi. Takie to były czasy, kiedy mój stary znał sens słowa „umiara”,

kiedy pił, bo naprawdę czuł pragnienie, a najwyższym przywilejem mężczyzny było wychylić kufel piwa. Jak to trafnie ujął Melville: „Dajcie każdemu stosowny dla niego pokarm - jeżeli, naturalnie, da się go zdobyć. Pokarmem twej duszy są światło i przestrzeń; nakarm ją zatem światłem i przestrzenią. Jednakowoż pokarmem ciała są szampan i ostrygi; daj mu zatem szampana i ostrygi; wspomóż to radosne zmartwychwstanie, jeżeli takowe nas czeka”. Tak, chyba dusza mojego starego jeszcze się wówczas nie skurczyła, była wiecznie przesycona światłem i przestrzenią, a jego ciało, nie bacząc na zmartwychwstanie, karmiło się wszystkim, co było stosowne i możliwe do zdobycia - jeśli już nie szampanem i ostrygami, to przynajmniej dobrym jasnym piwem i preclami. Wówczas jego ciało nie było przekleństwem, podobnie jak jego tryb życia czy brak wiary. Nie otaczały go też sępy, jedynie dobrzy kamraci, zwykli śmiertelnicy tacy jak on sam, którzy nie spojierali wysoko ani nisko, tylko wprost przed siebie, oczy zawsze mieli wlepione w horyzont i zadowalali się tym widokiem.

Teraz zaś, niczym poharatany wrak, doszedł do stanowiska starszego kościoła, stoi przed ołtarzem szary, przygarbiony i złamany, kiedy pastor błogosławi skromne datki, które pójdą na budowę nowej kręglarni. Może stary musiał przeżyć narodziny duszy, nasycić się tym gąbkowatym wzrostem, tym światłem i przestrzenią, jakie oferował mu kościół kongregacjonalistów. Cóż to jednak za lichy substytut dla człowieka, który znał w swoim życiu rozkosze jedzenia, jakiego domaga się ciało, i bez żadnych skrupułów zalewał swoją gąbczastą duszę światłem i przestrzenią, niechby i bezbożnymi, ale za to jakże promiennymi i ludzkimi. Znów myślę o tym jego godziwym brzuszku, nad którym przewieszał grubą złotą dewizkę, i tak sobie myślę, że po śmierci kałduna została mu jedynie gąbka duszy, poniekąd dodatek do śmierci jego ciała. Myślę o pastorze, który pochłonał go niczym nieludzki zjadacz gąbek, właściciel wigwamu zawieszonoego duchowymi skalpami. O wypadkach, które nastąpiły później, myślę jak o jakiejś tragedii gąbek, bo chociaż pastor obiecywał światło i przestrzeń, gdy tylko usunął się z życia mojego ojca, całe to wzniosłe gmaszysko legło w gruzach.

Wszystko potoczyło się w najzwyczajniejszy sposób, jak to w życiu. Pewnego wieczoru, po tradycyjnym spotkaniu panów, stary wrócił do domu z ponurą miną. Dowiedzieli się tego dnia, że pastor ich opuszcza. Zaproponowano mu lepszą posadę w mieście New Rochelle i mimo że niechętnie porzucał swą trzódkę, zdecydował się tę ofertę przyjąć. Przyjął ją, naturalnie, po długich rozważaniach - innymi słowy, wezwał go obowiązek. Żeby nie było wątpliwości, czekała go też lepsza pensja, ale to nic w porównaniu z ogromną odpowiedzialnością, jaką miał wziąć na siebie. Był tam, w New Rochelle, potrzebny, usłuchał więc głosu sumienia. Mój stary opowiadał to wszystko z takim samym namaszczeniem, jakie

pastor nadał swoim słowom. Ale od razu było widać, że stary czuje się dotknięty. Nie rozumiał, dlaczego New Rochelle nie mogło sobie znaleźć nowego pastora. Twierdził, że to nie w porządku kusić pastora większą pensją. Jest nam tu potrzebny, stwierdził ponuro, z takim smutkiem w głosie, że mnie samemu zebrało się prawie na płacz. Dodał, że będzie musiał pogadać sobie z pastorem od serca, bo nikt poza nim nie zdoła nakłonić tamtego do pozostania. Przez następne dni naprawdę bardzo się starał, zapewne ku wielkiemu stropieniu pastora. Aż serce się krajało na widok jego apatycznej miny, kiedy wracał z tych konferencji. Miał wyraz twarzy człowieka chwytającego się ostatniej deski ratunku, żeby nie utonąć. Pastor, rzecz jasna, pozostał niewzruszony. Nawet kiedy stary się rozkleił i przed nim rozplakał, tamten nie zmienił zdania. Wówczas nastąpił przełom. Od tamtej pory stary zaczął się radykalnie zmieniać. Stawał się coraz bardziej zgorzkniały i kłótniwy. Nie tylko zapomniał odmówić modlitwy przy stole, ale przestał chodzić do kościoła. Wrócił do dawnego zwyczaju spacerów na cmentarz i przesiadywania na ławce. Sposepniał, wpadł w melancholię, aż wreszcie na jego twarzy zagościł permanentny smutek, smutek zaprawiony rozczarowaniem, rozpaczą, poczuciem daremności. Już nigdy nie wspomniał nazwiska owego człowieka ani kościoła, ani starszyny, z którą się niegdyś związał. Kiedy mijał któregoś ze starszyny na ulicy, kłaniał się tylko, nie przystając, żeby mu podać rękę. Czytał systematycznie gazety od deski do deski, ale nie komentował. Czytał nawet ogłoszenia, wszystkie jak leci, jak gdyby starał się zatkać wielką dziurę, którą miał stale przed oczyma. Nigdy więcej nie słyszałem, żeby się śmiał. Co najwyżej rzucał nam zmęczony, beznadziejny uśmiech, uśmiech, który natychmiast zniknął i pozostawiał w nas wrażenie wymarłego życia. Był martwy jak krater, martwy bez nadziei na zmartwychwstanie. Bo nawet gdyby dostał nowy żołądek i nowy przewód pokarmowy, nie przywróciłoby go to życiu. Przestał odczuwać pokusę na szampana i ostrygi, potrzebę światła i przestrzeni. Był niczym ptak dodo, który chowa głowę w piasek i świzzcze kuprem. Kiedy zasypiał w fotelu klubowym, dolna szczęka opadała mu jak naderwany zawias; całe życie głośno chrapał, ale teraz chrapał donośniej niż kiedykolwiek, niczym ktoś, kto jest w istocie umarły dla świata. To jego chrapanie przypominało śmiertelne rżenie, z tą różnicą, że w przerwach dobywały się przeciągłe gwizdy, jakie dochodzą spod kiosku z orzeszkami ziemnymi. Kiedy chrapał, zupełnie jakby rąbał cały świat na kawałki, żebyśmy my, którzy po nim zostaniemy, mieli do końca życia dosyć drewna na podpałkę. Było to najstraszliwsze i najbardziej fascynujące chrapanie, jakie słyszałem w życiu: tak chrapliwe i hałaśliwe, koszmarne i komiczne; chwilami przypominało rozwalający się akordeon, kiedy indziej skrzek żaby na bagnach; po dłuższym gwizdaniu następował czasem przeraźliwy wizg, jak gdyby staremu przyszło wyzionąć ducha, po czym znów wpadał w

regularne wzloty i upadki, rytmiczne, głuche rąbanie, jakby stał rozebrany do pasa z siekierą w ręku przed zmasowanym oblędem całego *bric-à-bractego* świata. Pewnej groteskowości dodawał tym widowiskom wyraz mumii na jego twarzy, w której żyły tylko wielkie wydęte usta; zupełnie jak skrzela rekina, co zdrzemnął się na powierzchni spokojnego oceanu. Chrapał sobie smacznie w łonie głębin, nie turbowany przez sny ani porywy, niczym nie wstrząsany, nie nękany nie zaspokojonym pragnieniem; kiedy przymykał oczy i zapadał w sen, światła świata gasły, a on zapadał się w samotność jak przed narodzeniem, niczym kosmos zgrzytaniem zębów starty na miazgę. Siedział tak w fotelu klubowym niczym Jonasz w brzuchu wieloryba, bezpieczny w ostatnim schronieniu czarnej dziury, niczego nie oczekując, niczego nie pragnąc, nie tyle martwy, ile pogrzebany żywcem, przełknięty w całości i nie naruszony, wielkie wydęte usta falujące delikatnie w przyływach i odpływach białego oddechu pustki. Był w ziemi Nod szukając Kaina i Abla, ale nie spotkał żywej duszy, ani słowa, ani znaku. Podróżował z tym wielorybem i szorował czarne lodowate dno; pokonywał węzły morskie z najwyższą prędkością, wiedziony jedynie przez kudłate grzywy podwodnych bestii. Był dymem, który się kłębił z kominów, ciężkimi warstwami chmury, która przesłoniła księżyc, grubym szlamem, który pokrywał śliskie linoleum dna oceanu. Był bardziej martwy niż martwi, bo był żywy i pusty, poza wszelką nadzieją zmartwychwstania, gdyż podróżował poza granice światła i przestrzeni zagrzebany bezpiecznie w czarnej dziurze nicości. Bardziej godzien zazdrości niż współczucia, albowiem jego sen nie był drzemką czy przerywnikiem, lecz samym snem, który jest głębiną, zatem snem wciąż się pogłębiającym, coraz to głębiej pogrążonym we śnie, snem głębin najgłębszego snu, w skrajnej głębinie najpełniej przespanym, najgłębszym i najbardziej sennym snem śpiącego słodkiego snu. Spał. Śpi. Będzie spał. Spał. Spał. Ojczy, błagam cię, śpij, bo my tu na jawie, którzy nie śpimy, kipimy z przerażenia...

Kiedy tak świat ulatuje z trzepotem na ostatnich skrzydłach pustego chrapania, widzę, jak drzwi się otwierają i wkracza Grover Watrous. - Szczęść Boże! - wita się, wlokąc za sobą szpotawą nogę. To jeszcze zupełnie młody człowiek, a już znalazł Boga. Jest tylko jeden Bóg i Grover Watrous Go znalazł, zatem nic się tu więcej nie da powiedzieć poza tym, że wszystko należałoby powiedzieć jeszcze raz w nowym Bożym języku Grovera Watrousa. Ten jasny nowy język, wynaleziony przez Boga specjalnie dla Grovera Watrousa, niezmiernie mnie intryguje, po pierwsze dlatego, że zawsze miałem Grovera Watrousa za skończonego tu- mana, po drugie zaś dlatego, że z wiecznie ruchliwych palców Grovera znikły nikotynowe plamy. Kiedy byliśmy mali, Grover mieszkał w sąsiednim domu. Odwiedzał mnie czasem, żeby przeciwzyć ze mną duet. Chociaż miał zaledwie czternaście czy piętnaście lat, palił już



jak stary. Matka nie mogła nic na to poradzić, bo Grover był geniuszem, a geniusz musi mieć odrobinę swobody, zwłaszcza jeżeli ma na dobitkę takiego pecha, że urodził się szpotawy. Grover należał do tych geniuszów, którzy pływają się w brudzie. Nie tylko miał plamy nikotynowe na palcach, lecz również ohydny żalobę za paznokciami, które łamały się po wielogodzinnych ćwiczeniach, zmuszając młodego Grovera do ich namiętneho obgryzania. Grover wypluwał nadłamane paznokcie razem z okruchami nikotyny, które osiadały mu na zębach. Było to coś cudownego i inspirującego. Papierosy wypalały dziury w fortepianie, poza tym - jak zauważyła zgroźliwie moja matka - smoliły klawisze. Po wyjściu Grovera cały salon śmierdział jak pokój grabarza. Śmierdział niedopałkami, potem, brudną pościelą, przekleństwami Grovera i suchym żarem pozostałym po zamierających nutach Webera, Berlioza, Liszta i Spółki. Śmierdział też od zaropiałego ucha Grovera i jego psujących się zębów. Śmierdział zachwytem i szczebiotem jego matki. Jego dom przypominał stajnię idealnie przystosowaną do jego geniuszu, natomiast salonik w naszym domu przypominał poczekalnię zakładu pogrzebowego. Grover zaś był prostakiem, który nie miał na tyle ogłady, żeby wytrzeć nogi. Zimą leciało mu z nosa jak z rynsztoka, bo Grover był zbyt pochłonięty swoją muzyką, żeby mu się chciało wytrzeć nos, zimne smarki zwisały mu więc, aż sięgnęły ust, gdzie zlizywał je długi, biały język. Napuszonej muzyce Webera, Berlioza, Liszta i Spółki dawało to pikanterii pozwalającej jakoś strawić owe puste w środku indywidua. Co drugie słowo Grovera było przekleństwem, a jego najbardziej ulubione powiedzonko brzmiało: - Pierdołę, nic mi nie wychodzi! - Czasem tak się denerwował, że okładał fortepian pięściami jak wariat. To wyzwalał się jego geniusz, tyle że w niewłaściwy sposób. Jego matka przykładła zresztą wielką wagę do tych jego napadów szału; stanowiły dla niej dowód, że syn naprawdę coś w sobie ma. Inni po prostu mówili, że Grover jest nie do wytrzymania. Wiele mu jednak wybaczano przez tę jego szpotawą nogę. Grover był dość sprytny, żeby wykorzystywać swoje kalectwo; kiedy mu bardzo na czymś zależało, od razu go ta noga zaczynała boleć. Tylko fortepian jakoś nie przejawiał szacunku dla jego koślawej kończyny. Dlatego należało go wyklinać, kopać i okładać pięściami. Jeżeli natomiast Grover był w dobrej formie, godzinami sterczał przy fortepianie; wprost trudno go było oderwać. W takich chwilach matka stawała na trawniku przed domem i nagabywała sąsiadów, żeby wydusić od nich kilka słów pochwały. Tak ją porywała „boska” gra jej syna, że zapomniała ugotować kolację. Jego stary, który pracował w przedsiębiorstwie oczyszczania miasta, przeważnie wracał do domu głodny i zły. Czasem szedł prosto na górę, do saloniku, i zganiał Grovera z taboretu przy fortepianie. Sam miał niewyparzony język, kiedy więc go rozpuścił na swojego synalca geniusza, Grover niewiele miał już do powiedzenia. Zdaniem starego, Grover był po

prostu leniwym skurczybykiem, który robi wiele hałasu. Od czasu do czasu groził, że wywali ten pierdolony fortepian przez okno - i Grovera razem z nim. Jeżeli matka wtrącała się niebacznie, obrywała od niego szturchańca i wysłuchiwała: - Żeby kurwy na twój widok fajrant mówiły. - Stary też miewał, oczywiście, chwile słabości, wówczas pytał Grovera, co tam, do cholery, bębni, a jeżeli usłyszał w odpowiedzi: - Jak to, no przecież, że *Sonatę Pathétique* - ten stary przyk powiadał: - Co to, do cholery, znaczy? Czemu tego, jak rany Chrystusa, nie nazwą po ludzku? - Grover znacznie gorzej znosił ignorancję starego niż jego brutalność. Potwornie się za starego wstydził, a kiedy nie było go w pobliżu, szydził z niego bezlitośnie. Gdy trochę podrosł, zaczął twierdzić, że nie urodziłby się ze szpotawą nogą, gdyby jego stary nie był takim skończonym łajdakiem. Utrzymywał, że stary musiał kopnąć matkę w brzuch, kiedy chodziła w ciąży. Ten rzekomy kopniak w brzuch musiał pociągnąć za sobą różnorakie skutki, bo kiedy Grover wyrósł, jak już mówiłem, na młodzieńca, zwrócił się do Boga z taką żarliwością, że trudno było w jego obecności wysmarkać sobie nos nie prosząc najpierw Boga o pozwolenie.

Nawrócenie się Grovera nastąpiło po tym, jak jego stary wykorkował, dlatego mi się to teraz przypomniało. Przez ładnych kilka lat nie widziano Watrousów, aż tu nagle, w sam środek, że tak powiem, chrapania ojca wparował Grover udzielając błogosławieństwa i wzywając Boga na świadka. Równocześnie zakasał rękawy, żeby nas wyrwać z kręgu zła. Na pierwszy rzut oka zauważyłem w jego wyglądzie zmianę; obmył się do czysta krwią Baranka. Był tak nieskazitelny, że biła od niego niemalże piękna woń. Mowa też mu się oczyściła; zamiast dawnych ohydnych przekleństw, teraz padały tylko i wyłącznie błogosławieństwa i wezwania do modlitwy. Nie tyle prowadził rozmowę, ile ciągnął monolog, w którym sam odpowiadał sobie na zadawane pytania. Kiedy usiadł na podsuniętym mu krześle, od razu rzucił z bystrością królika, że Bóg Ojciec poświęcił swojego ukochanego Syna, abyśmy my mogli cieszyć się życiem wiecznym. Czy naprawdę pragniemy wiecznego życia, czy też wolimy się po prostu nurzać w uciechach ciała i umrzeć, nie zaznawszy zbawienia? Zapewne nigdy go nie tknęło, że nie wypada mówić o „ucieczkach ciała” dwojgu starszym ludziom, z których jedno smacznie śpi pochrapując. Był tak ożywiony i radosny w tym pierwszym przyływie miłosiernej łaski Bożej, że zapomniał chyba o tym, iż moja siostra jest stuknięta, bo nie pytając nawet o jej zdrowie, zalał ją lawiną nowo odkrytych duchowych bredni, na które ona pozostała kompletnie głucha, bo jak powiadam, brakowało jej tyłu klepek, że nie więcej by zrozumiała, gdyby jej nawijał o siekaniu szpinaku. Taki zwrot jak „przyjemności cielesne” znaczył dla niej mniej więcej tyle samo co piękny dzień z czerwonym parasolem. Kiedy patrzyłem, jak siostra siedzi na brzeżku krzesła i przekrzywia głowę, rozumiałem, iż

tylko czeka, aż on zaczerpnie oddechu, aby go zawiadomić, że pastor - jej pastor z kościoła episkopalnego - wrócił właśnie z Europy i że w podziemiach kościoła odbędzie się odpust, na którym ona dostanie mały kramik z serwetkami ze sklepiku z tandetą. I rzeczywiście, kiedy na chwilę przerwał, ona zaczęła swoje - o kanałach weneckich, o śniegu w Alpach, o psich zaprzęgach w Brukseli, o pięknej wątrobiance w Monachium. Ta moja siostra była nie tylko pobożna, lecz również zdrowo pomyłona. Grover wtrącił akurat słowo o tym, że widział nowe niebo i nową ziemię... albowiem pierwsze niebo i pierwsza ziemia przeminęły, jak powiedział, mrużąc w historycznym glissando orację na temat Nowego Jeruzalem, które Bóg ustanowił na ziemi i w którym on, Grover Watrous, niegdyś używający brzydkich słów i pokarany koślawą nogą, znalazł teraz spokój i ukojenie sprawiedliwych. - I śmierci już nie będzie... - zaczął krzyżeć, kiedy moja siostra pochyliła się ku niemu i spytała niewinnie, czy lubi grać w kręgle, bo pastor urządził właśnie wspaniałą nową kręglarnię w piwnicach kościoła i na pewno się ucieszy na widok Grovera, bo to cudowny człowiek, no i bardzo dobry dla biednych ludzi. Grover oświadczył, że gra w kręgle jest grzechem i że on sam nie należy do żadnego kościoła, bo kościoły są bezbożne; zarzucił nawet grę na fortepianie, gdyż jest potrzebny Bogu do wyższych celów. - Zwycięzca odziedziczy to wszystko - dodał - i będę mu Bogiem, a on będzie mi synem. - Znów urwał, żeby wysiąkać nos w piękną białą chusteczkę, na co moja siostra skorzystała z okazji, aby mu przypomnieć, że dawniej zawsze ciekło mu z nosa i nigdy go nie wycierał. Grover wysłuchał jej z poważną miną, po czym oznajmił, że uleczył się z wielu złych nawyków. W tym momencie obudził się mój stary, a kiedy zobaczył, że obok siedzi Grover jak żywy, bardzo się zdumiał i przez chwilę najwyraźniej nie miał pewności, czy Grover jest zjawą ze snu, czy złudzeniem, ale na widok czystej chusteczki szybko oprzytomniał.

- A, to ty! - zawołał. - Mały Watrousów, prawda? Co ty tu, na wszystkie świętości, porabiasz?

- Przychodzę w imieniu Najświętszego ze Świętych - odparł Grover wcale nie zbity z tropu. - Oczyszcza mnie śmierć na górze Kalwarii, a przybywam tu w imię najśladzszego Chrystusa, żeby przynieść panu odkupienie i żeby pan chodził w świetle, mocy i chwale.

Stary spojrzał osłupiały.

- Co cię naszło? - spytał posyłając Groverowi słaby, pobłażliwy uśmiech. Z kuchni wyszła właśnie matka i stanęła za krzesłem Grovera. Krzywiąc twarz w grymasie usiłowała dać staremu do zrozumienia, że Groverowi odbiło. Nawet moja siostra chyba pojęła, że coś z nim nie w porządku, zwłaszcza kiedy odmówił zajrzenia do nowej kręglarni, którą jej ukochany pastor urządził dla takich młodzieńców jak Grover.

Co się stało Groverowi? Nic, pominąwszy to, że stał mocno nogami na piątym kamieniu węgielnym potężnego muru miasta świętego Jeruzalem, na piątym kamieniu węgielnym wykonanym całkowicie z sardonixu, skąd roztaczał się widok na czystą rzekę wody żywota wypływającą z tronu Boga. A widok tej rzeki żywota działał na Grovera jak ukąszenie tysiąca pcheł w odbytnicę. Chyba musiałby przynajmniej siedem razy okrążyć Ziemię, żeby usiedzieć cierpliwie na tyłku i móc się przyglądać z siakim takim spokojem ślepoty i obojętności ludzi. Był ożywiony i oczyszczony, a chociaż w oczach niemrawych, flejtuchowatych, trzeźwo myślących istot był „kopnięty”, na mnie sprawił dużo lepsze wrażenie niż przedtem. Był utrapieńcem, który nikomu jednak nie czynił krzywdy. Jeżeli się go wystarczająco długo słuchało, człowiek sam dostępował poniekąd oczyszczenia, choćby nawet nie czuł się przekonany. Nowy jasny język Grovera zawsze mnie godził w przepoń i poprzez niepohamowany śmiech oczyszczał z brudów nagromadzonych wskutek flejtuchowatego trzeźwego myślenia wokół mnie. Miał w sobie tyle życia, ile chciałby mieć Ponce de Leon; tyle życia, ile zaznało doprawdy niewielu ludzi na świecie. Przy tej niesłychanej żywotności nie miał nikomu za złe, kiedy śmiano mu się w twarz, ani nie miałby za złe, gdyby ktoś go okradł z jego skromnego dobytku. Był żywy i pusty, co jest tak bliskie boskości, że graniczy z obłądem.

Stojąc mocno nogami na wielkim murze Nowego Jeruzalem, Grover poznał niezmierną radość. Może gdyby nie urodził się ze szpotawą nogą, nie zaznałby tak niesłychanej radości. Może dobrze się stało, że jego ojciec kopnął matkę w brzuch, kiedy Grover jeszcze spoczywał w jej łonie. Może właśnie ów kopniak wyniósł Grovera na wyżyny, co tak go ożywiło i obudziło, że nawet przez sen niósł Boże przesłania. Im ciężiej pracował, tym mniej był zmęczony. Przestał miewać zmartwienia, żale, dręczące wspomnienia. Nie uznawał żadnych obowiązków, żadnych powinności poza obowiązkiem służenia Bogu. A czego Bóg od niego oczekiwał? Niczego, niczego... byle tylko wyśpiewywał jego chwałę. Bóg żądał od Grovera Watrousa tego jedynie, by ten objawiał się żywy w swej postaci cielesnej. Prosił go tylko o to, żeby miał w sobie coraz więcej życia. A będąc w pełni żywy, Grover stał się głosem, ten głos zaś powodzią, która przeistoczyła wszystko, co martwe, w chaos, ten chaos z kolei stał się ustami świata, w którego samym centrum tkwił czasownik być. Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, a Bogiem było Słowo. Zatem Bóg stanowił ten dziwny mały bezokolicznik, albowiem tylko on istnieje - lecz czyż to nie dosyć? Dla Grovera było to aż nadto: było wszystkim. Skoro się wychodzi od tego Czasownika, co za różnica, jaką się pójdzie drogą? Wyzbycie się tego Czasownika znaczyło oddalenie się od centrum, wzniesienie wieży Babel. Być może Bóg umyślnie okaleczył Grovera Watrousa, żeby ten

trzymał się blisko centrum, blisko Czasownika. Bóg przywiązał niewidzialną liną Grovera Watrousa przy swym kołku, który biegł przez samo serce świata, Grover stał się więc tłustą gęsią, która dzień w dzień znosiła złote jajo...

Dlaczego piszę o Groverze Watrousie? Bo spotkałem w życiu tysiące ludzi, ale żaden z nich nie był tak żywy jak Grover. Większość była inteligentniejsza, wielu było bystrych, niektórzy byli nawet sławni, ale żaden nie był tak żywy i pusty jak Grover. Grover był niezmordowany. Przypominał cząstkę radu, która nawet zakopana pod górą, nie traci mocy emanowania energią. Widziałem przedtem wielu tak zwanych energicznych ludzi - czyż nie roi się od nich w Ameryce? - ale nigdy nie trafiłem na zbiorniki energii takich rozmiarów pod ludzką postacią. A co stworzyło ten jego niewyczerpany zasób energii? Objawienie. Tak, dokonało się to w okamgnieniu, czyli tak, jak zawsze się istotne sprawy dokonują. Z dnia na dzień wszystkie wyznawane przez Grovera wartości legły w gruzach. Naraz, ot tak, przestał się ruszać jak inni ludzie. Nacisnął hamulce i trzymał silnik na obrotach. Jeżeli dawniej podobnie jak inni uważał, że trzeba dokądś zmierzać, to teraz wiedział, że dokądś równa się wszędzie, a zatem i tutaj, czyli po co się ruszać? Skoro można zaparkować samochód i trzymać silnik na obrotach? Tymczasem Ziemia kręci się sama, o czym Grover dobrze wiedział, wiedział też, że kręci się wraz z nią. Czy Ziemia dokądś zmierza? Grover z pewnością musiał sobie zadawać to pytanie i z pewnością zadowalał się odpowiedzią, że nie zmierza donikąd. Kto zatem powiedział, że musimy dokądś dojść? Grover zadawał sobie pytanie, dokąd wszyscy dążą, bo - dziwna sprawa - chociaż każdy dąży do własnego celu, nikt nie przystaje, żeby pomyśleć, iż nieuchronnym celem wszystkich na równi jest grób. Zdumiewało to Grovera, bo nikt nie potrafiłby go przekonać, że śmierć nie jest pewnikiem, każdego łatwo natomiast przekonać, że wszelkie inne cele pewnikiem nie są. Przekonany o bezwzględnej nieuchronności śmierci, Grover nagle stał się nadzwyczaj i nad wyraz żywy. Po raz pierwszy w życiu zaczął żyć, a jednocześnie zupełnie wyparł szpotawą nogę ze swojej świadomości. Co też było dziwne, jeżeli się nad tym zastanowić, bo przecież szpotawą nogą, podobnie jak śmierć, to kolejny niezaprzeczalny fakt. Mimo to wyparł szpotawą nogę ze świadomości, a także - co ważniejsze - wszystko, co się z tą nogą wiązało. Tak samo, kiedy zaakceptował śmierć, ją również wyparł ze świadomości. Skoro uchwycił się tego jednego pewnika śmierci, wszystkie inne niepewności znikły. Reszta świata kuśtykała teraz razem ze szpotawymi niepewnościami, sam zaś Grover Watrous był wolny i swobodny. Grover Watrous stanowił uosobienie pewności. Mógł się nawet mylić, ale miał pewność. Zresztą co komu po tym, że ma rację, skoro musi kuśtykać na szpotawej nodze? Niewielu zgoła ludzi poznało tę prawdę i ich nazwiska okryły się sławą. Grover Watrous zapewne nigdy nie

zostanie sławny, ale i tak jest wielkim człowiekiem. Przypuszczalnie dlatego o nim piszę - miałem dość rozumu, aby pojąć, że Grover dostąpił wielkości, chociaż nikt inny by się ze mną nie zgodził. W owym czasie uważałem po prostu Grovera za nieszkodliwego fanatyka, owszem, trochę też „pomyłonego”, jak utrzymywała moja matka. Ale każdy, kto zgłębił prawdę pewności, musi być trochę pomyłony, tylko zresztą tacy ludzie zrobili cokolwiek dla świata. Inni, inni wielcy, zniszczyli coś tu i ówdzie, ale ci nieliczni, o których mówię, a w których poczet zaliczam Grovera Watrousa, byli zdolni zniszczyć wszystko dla dobra prawdy. Zazwyczaj tacy ludzie rodzą się z jakąś wadą, ze szpotawą nogą, że się tak wyrażę, zrzędzeniem jednak ironii losu ludzie pamiętają tylko tę szpotawą nogę. Jeżeli ktoś taki jak Grover zrzuci pęta swojej szpotawej nogi, świat powiada, że został „opętany”. Tak się przedstawia logika niepewności, a jej owocem jest nieszczęście. Grover był jedynym naprawdę szczęśliwym osobnikiem, jakiego kiedykolwiek poznałem, zatem wznoszę tu pomnik na cześć jego pamięci, pamięci o jego radosnej pewności. Wielka szkoda, że musiał posłużyć się Chrystusem w charakterze kuli, ale czy to ważne, jak ktoś dochodzi do prawdy, skoro się na nią rzuca i nią żyje?

## ***INTERLUDIUM***

Zamęt to określenie wynalezione przez nas na niezrozumiały porządek. Lubię wracać myślą do tego okresu, kiedy wszystko się formowało, albowiem porządek, jeśli dało się go zrozumieć, musiał być oszałamiający. Przed wszystkim był Hymie, Hymie żaba, były też jajniki jego żony, które już od dłuższego czasu gniły. Hymie żył bez reszty myślą o gnijących jajnikach żony. Był to stały temat jego rozmów; brał górę nad pigułkami przeczyszczającymi i obłożonym językiem. Hymie lubował się w „przysłowiach seksualnych”, jak je sam określał. Wszystko, co mówił, zaczynało i kończyło się na jajnikach. Mimo to nadal pstrykał żonę - odbywał długie węzowate kopulacje, podczas których wypalał papierosa albo i dwa, zanim doszło do rozprucia. Próbował mi tłumaczyć, jak to ropa z gnijących jajników ją rozpala. Żona zawsze była dobra w te klocki, teraz nawet lepsza. Bo kiedy je wytną, nie wiadomo, jak ona to przyjmie. Żona też najwyraźniej zdawała sobie z tego sprawę. *Ergo*, pieprzmy się na umór! Co wieczór, po sprząnięciu naczyń, rozbierali się w swoim małym gniazdku i kładli razem jak para węży. Wielokrotnie usiłowałem mi to przybliżyć - jak ona się pieprzy. Zupełnie jakby miała w środku ostrygę, ostrygę z miękkimi ząbkami, która go podskubywała. Czasami

czuł się, jakby tkwił w samym jej łonie, bo tak mu było miękko i przytulnie, a te miękkie ząbki skubały mu ptaka i przyprawiły dosłownie o obłąd. Leżeli oboje złożeni jak scyzoryk i gapili się w sufit. Żeby odwlec swój orgazm, Hymie myślał o biurze, o drobnych nękających go kłopotach i zawiązywał kiszki na supeł. Między orgazmami rozmyślał o kimś innym, bo kiedy żona znów się do niego zabierała, mógł sobie wyobrazić, że pieprzy się z zupełnie nową cipą. Przyjmował taką pozycję, żeby cały czas móc wyglądać przez okno. Tak się w tym wprawił, że potrafił rozebrać kobietę przechodzącą pod jego oknem bulwarem i przenieść ją do łóżka; umiał ją w myślach podstawić na miejsce żony, i to bez rozprucia. Czasem pieprzył się tak godzinami, powstrzymując wytrysk. Po co marnować nasienie! - powiedział.

Z kolei Steve Romero musiał się dobrze napocić, żeby móc się powstrzymać. Był zbudowany jak byk i siał nasieniem na prawo i lewo. Czasami porównywaliśmy notatki przesiadując w chińskiej knajpce za rogiem niedaleko biura. Panowała tam dziwna atmosfera. Może dlatego, że nie podawano wina. Może przez te dziwne czarne grzybki, jakie tam serwowano. Tak czy siak, ten temat nasuwał się sam. Zanim Steve się z nami spotkał, już miał za sobą trening, prysznic i masaż. Był czysty jak anioł. Niemal chodzący ideał człowieka. Choć może niezbyt rozbawiony, ale porządny był z niego facio, dobry kumpel, Hymie natomiast przypominał ropuchę. Przychodził do stolika wprost z moczarów, gdzie spędził zabagniony dzień. Brud płynął mu z ust jak miód. Trudno to zresztą nazwać w jego wypadku brudem, bo nic innego z nich nie spływało. Była to jedna płynna, oślizgła, lepka substancja, na którą składał się tylko seks. Kiedy patrzył na jedzenie, widział w nim potencjalną spermę; kiedy panował upał, twierdził, że to dobre dla jąder; kiedy jechał tramwajem, wiedział z góry, że ten rytmiczny ruch pobudzi u niego apetyt, spowoduje leniwy, „osobisty” wzwód, jak go określał. Nigdy się nie dowiedziałem, dlaczego akurat „osobisty”, ale to jego wyrażenie. Lubił z nami przestawać, bo miał niejaką pewność, że poderwiemy coś wartego grzechu. Kiedy działał na własną rękę, zwykle łądował gorzej. Przy nas miał odmianę - gojowskie cipy, jak je nazywał. Lubił gojowskie cipy. Bo ładniej pachną, jak powiedział. I są bardziej skore do śmiechu... Czasem wręcz podczas tych rzeczy. Jednego tylko nie znosił, mianowicie kolorowego towaru. Czuł zdumienie i odrazę, że prowadzam się z Valeską. Pewnego razu spytał, czy ona przypadkiem nie pachnie ciut za mocno. Odparłem, że mi to odpowiada - siła i aromat, a do tego mnóstwo sosu. Oblał się niemal rumieńcem. Aż dziw brał, jaki potrafił być delikatny w niektórych sprawach. Na przykład w kwestii jedzenia. Był bardzo wybredny. Może to też wynik rasizmu. I ta jego nieskazitelność. Nie znosił najmniejszej plamki na czystych mankietach. Bez przerwy się otrzepywał, bez przerwy wyjmował podręczne lusterko, żeby stwierdzić, czy nie ma między zębami resztek jedzenia.

Jeżeli znalazł bodaj okruszek, zasłaniał twarz serwetką, żeby go usunąć wykałaczką inkrustowaną macicą perłową. Jajników, rzecz jasna, nie mógł widzieć. Ani czuć ich zapachu, bo jego żona była także nieskazitelną dziwką. Przez cały boży dzień aplikowała sobie irygacje, żeby się przygotować do wieczornych godów. Tragiczne doprawdy, jaką wagę przykładała do tych swoich jajników.

Aż do dnia, w którym zabrano ją do szpitala, była regularną maszyną do pierdolenia. Przerażała ją potwornie sama myśl, że już nigdy nie będzie mogła się pieprzyć. Hymie naturalnie wciąż jej powtarzał, że mu to nie robi różnicy. Kiedy przywierał do niej jak wąż, z papierosem w zębach, a obok bulwarem przechodziły dziewczyny, przerastało to jego wyobraźnię, że kobieta mogłaby nie móc się więcej pieprzyć. Wierzył święcie, że operacja się uda. Uda! Innymi słowy, że jego żona będzie się pieprzyć jeszcze lepiej niż do tej pory. Wciąż jej to powtarzał, leżąc na plecach, wpatrzony w sufit.

- Przecież wiesz, że zawsze cię będę kochał - mówił. - Przesuń się trochę... o, tak... właśnie. Co to ja mówiłem? Aha... no właśnie, czym tu się martwić? Przecież będę ci wierny. Czeka, przesuń się jeszcze trochę... o, dobrze... świetnie.

Opowiadał nam o tym w chińskiej knajpce. Steve śmiał się do rozpuku, chociaż sam nigdy by się na coś takiego nie zdobył. Był na to za szczery - zwłaszcza wobec kobiet. Dlatego nigdy nie miał szczęścia. Bo na przykład mały Curley - Steve go wprost nienawidził - zawsze dostawał to, czego chciał... Był z natury kłamcą i oszustem. Hymie też zresztą nie przepadał za Curleyem. Twierdził, że tamten jest nieuczciwy, to znaczy nieuczciwy w kwestii pieniędzy. Hymie zaś w sprawach finansowych był bardzo skrupulatny. A już szczególnie nie lubił, jak Curley opowiadał o swojej ciotce. Nie dość, że rznął siostrę rodzonej matki, to na domiar wszystkiego miał ją za kawałek zeschłego sera, a tego już było Hymiemu za wiele. Powinno się mieć jakiś szacunek dla kobiety, o ile ta nie jest kurwą. Bo jeżeli nią jest, to już całkiem inna sprawa. Kurwa to nie kobieta. Kurwa to kurwa. Tak się przedstawiały zapatrywania Hymiego.

Prawdziwy jednak powód tej niechęci tkwił w tym, że gdziekolwiek ruszyli się razem, Curleyowi zawsze się trafiały najlepsze kaski. Na dobitkę Curley opłacał je zwykle pieniędzmi Hymiego. Już same prośby Curleya o pieniądze doprowadzały Hymiego do szału - były według niego zwykłym wymuszaniem. Uważał, że to w pewnej mierze moja wina, bo jestem zbyt pobłażliwy dla szczeniaka.

- On nie ma moralności - twierdził Hymie.

- A ty masz? - pytałem.

- Ja? W cholere, za stary jestem na to, żeby mieć moralność. Ale Curley to jeszcze



dzieciak.

- Zazdrościsz mu i tyle - komentował Steve.

- Zazdroszczę? Jemu? - I próbował zbyć tę myśl wzgardliwym śmiechem. Aż się wzdrygał na taki przytyk. - No, powiedz - mówił zwracając się do mnie - czy kiedykolwiek przejawiałem wobec ciebie zazdrość? Nie oddawałem ci dziewczyny, ilekroć mnie prosiłeś? Choćby tamtą rudą z naszej filii... pamiętasz... tę z dużymi cyckami? Niezła z niej była dupa, a przecież ci ją oddałem jak przyjacielowi. Sam powiedz. Bo mówiłeś, że lubisz duże cycki. Ale nie zrobiłbym tego dla Curleya. Bo to mały cwaniak. Niech sam sobie radzi.

Prawdę powiedziawszy, Curley radzi sobie niezgorzej. O ile mi wiadomo, zawsze miał na podorędziu pięć czy sześć sztuk. Chociażby taka Valeska - udało mu się z nią związać. Tak ją to cholernie bawiło, że ktoś się z nią pieprzy bez rumieńców na policzkach, iż nie wyraziła najmniejszego sprzeciwu, kiedy przyszło jej się podzielić nim z kuzynką, a potem z karlicą. Najbardziej lubiła wchodzić do wanny i pieprzyć się pod wodą. Wszystko szło dobrze, póki karlica się nie wywiedziała. Wynikła z tego nie lada chryja, którą ostatecznie zażegnano w saloniku na podłodze. Jeżeli wierzyć przechwałkom Curleya, robił chyba wszystko poza wieszaniem się na żyrandolach. I zawsze miał z tego pokaźne kieszonkowe. Valeska była hojna, z kolei jej kuzynka była słabego charakteru. Kiedy się znalazła w zasięgu twardego kutasa, miękła jak wosk. Wystarczył rozpięty rozporek, żeby ją wprawić w trans. Curley zmuszał ją do haniebnych rzeczy. Czerpał przyjemność z upokarzania jej. Trudno go za to winić, była taką afektowaną, zarozumiałą dziwą w tych swoich miejskich ciuchach. Można by niemal przysiąc, że nie ma cipy, bo tak się nosiła po mieście. No więc kiedy dopadał ją na osobności, kazał jej płacić za to wywyższanie się na ulicy. Podchodził do tego z zimną krwią. - Wyciągnij go! - komenderował rozpinając tylko trochę rozporek. - Wyciągnij go językiem! - (Próbował się w ten sposób odkuć na całej gromadce, bo, jak utrzymywał, wszystkie się wylizywały nawzajem za jego plecami.) W każdym razie, kiedy go już zakosztowała, szła po prostu na wszystko. Czasem kazał jej stawać na rękach i pchał ją po całym pokoju jak taczkę. Albo robił to tak, jak robią psy, a kiedy jęczała i wiała się, zapalał nonszalancko papierosa i dmuchał jej dymem między nogi. Kiedyś podczas takich zabaw wyciął jej brzydki numer. Doprowadził ją do takiego stanu, że dosłownie wychodziła z siebie. Kiedy już jej wymagłował dupę tym swoim rżnięciem od tyłu, wyciągnął kutasa na chwilę, jakby po to, żeby mu ochłonał, po czym wolniutko i bardzo delikatnie wsadził jej w pizdę długą, wielką marchew. - A to, panno Zarozumialska - powiedział - coś jakby sobowtór mojego kutasa - z tymi słowy oddalił się i zapiął spodnie. Kuzynka Zarozumialska była tak tym wszystkim oszołomiona, że wydała potężne pierdnięcie i

marchew wypadła. Przynajmniej Curley tak mi to zrelacjonował. Inna sprawa, że był wierutnym kłamcą, może więc w tych jego bajdurach nie ma krztyny prawdy, ale z całą pewnością stać go było na coś takiego. Jeśli chodzi o pannę Zarozumialską i jej wyszukane maniery wprost z eleganckiego Narragansett, no cóż, po takiej cipie można się spodziewać najgorszego. W porównaniu z Curleyem Hymie był purytaninem. Bo Hymie Laubscher i jego gruby, obrzezany kutas to jakby dwie różne rzeczy. Kiedy dostawał, jak mówił, „osobistego” wzrodu, oznaczało to, że nie czuje się zań odpowiedzialny. Jego zdaniem, sama przyroda dawała o sobie znać - poprzez jego grubego, obrzezanego kutasa. Podobnie rzecz się miała z cipą jego żony. Nosiła ją między nogami niczym ozdobę. Owszem, był to organ pani Laubscher, ale nie pani Laubscher we własnej osobie, jeżeli rozumiecie, co chcę przez to powiedzieć.

Wszystko to ma ukazać powszechny zamęt seksualny, jaki w owym czasie panował. Zupełnie jakby ktoś wynajął mieszkanie w Krainie Pierdolenia. Weźmy, na przykład, tę dziewczynę z góry... czasem schodziła na dół, kiedy moja żona dawała recital, żeby posiedzieć przy dziecku. Była taką prostaczką, że z początku nie zwracałem na nią uwagi. Ale podobnie jak inne też miała cipę, taką jakby bezosobową osobistą cipę, której była nieświadomie świadoma. Im częściej schodziła na dół, tym większą zyskiwała świadomość na swój nieświadomy sposób. Pewnego wieczoru, kiedy poszła do łazienki, a siedziała tam już podejrzanie długo, dało mi to do myślenia. Postanowiłem zajrzeć przez dziurkę od klucza i zobaczyć na własne oczy, co i jak. No i proszę, panienka stoi pod lustrem, głaszcze i pieści sobie kosmaczka. Prawie z nim rozmawia. Tak mnie to podnieciło, że zrazu nie wiedziałem, co robić. Wróciłem do dużego pokoju, zgasilem światło i położyłem się na kanapie czekając, aż dziewczyna stamtąd wyjdzie. Kiedy tak leżałem, wciąż miałem przed oczyma tę jej krzaczastą cipę i przebierające w środku palce. Rozpiąłem rozporek, żeby mój dzięcioł wychynął na wierzch w chłodzie ciemności. Usiłowałem zwabić ją telepatycznie tam, na kanapę, czy raczej żeby mój dzięcioł ją tam zwabił. „No, chodź tu, pizduniu - powtarzałem sobie - chodź tu i nakryj mnie tą swoją cipą.” Widocznie natychmiast odebrała moją wiadomość, bo za sekundę otworzyła drzwi i szła w ciemnościach, szukając po omacku kanapy. Nie odezwałem się ani słowem, nie poruszyłem się. Po prostu skoncentrowałem się na jej cipie, która sunęła w ciemnościach niczym krab. W końcu dziewczyna stanęła przy kanapie. Też się nie odezwała słowem. Stała tylko w milczeniu, a kiedy wsunąłem jej rękę między nogi, rozsunęła je odrobinę, żeby rozewrzeć jeszcze bardziej krocze. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek włożył rękę w tak soczystą cipę. Zupełnie jakby klej ściekał jej po nogach, gdybym więc miał pod ręką afisze, mógłbym przylepić co najmniej tuzin. Po chwili,

w tak naturalny sposób jak krowa, która opuszcza głowę, żeby skubać trawę, dziewczyna pochyliła się nade mną i włożyła go sobie do buzi. Zanurzyłem w niej cztery palce, bijąc tę ciecz w środku na pianę. Miała zatkane usta, sok płynął jej po nogach. Jak powiadam, nie padło między nami ani jedno słowo. Po prostu para milczących szaleńców, którzy pracują w ciemnościach niczym grabarze. Wiedziałem, że to raj pierdolenia, byłem więc chętny i gotów, jeżeli trzeba, pierdolić się do utraty zmysłów. Chyba w życiu nie miałem takiej dobrej dupy. Ani razu nie rozpuściła jadaczki - ani tamtej nocy, ani następnej, ani żadnej. Wykradała się na dół w ciemnościach, gdy tylko zwietrzyła, że jestem sam, i oblepiała mnie całego swoją cipą. A kiedy tak sięgam pamięcią wstecz, była to ogromna cipa. Mroczny, podziemny labirynt wyposażony w otomany i przytulne zakątki, gumowe zęby, strzykawki, wyściełane gniazdko, kaczy puch i liście morwy. Wwiercałem się tam jak samotny robak i zagrzebywałem w tę jej szparę, gdzie było tak cicho, swojsko i przytulnie, że leżałem sobie niczym delfin na ławicy ostryg. Jeden mały ruch, a mogłem się znaleźć w pulmanowskim wagonie czytając gazetę albo w zaułku brukowanym omszałymi kamieniami pełnym wiklinowych furtek, które otwiera i zamyka automat. Czasem przypominało to jazdę lunaparkową kolejką wodną, stromy uskok, a następnie mgławica lśniących krabów morskich, gwałtownie rozkołysane sitowie i skrzela małych rybek trzepoczące o mnie niczym klapki harmonijki. W tej ogromnej czarnej grocie znajdowały się jedwabno-mydlane organy wygrywające drapieżne czarne rytmy. Kiedy dziewczyna wzbijała się na wyżyny, kiedy puszczała soki na pełen regulator, wykwitał ciemny fiolet, morwowa plama niczym świt, brzuchomówczy świt doświadczany przez karlice i debilki podczas menstruacji. Przywodziło mi to na myśl kanibali żujących kwiaty, członków plemienia Bantu dostających amoku, dzięki jednorożce parzące się pośród rododendronów. Wszystko było anonimowe i nieokreślone, Jan Iks i jego żona, Emma Iks; nad nami zbiorniki gazu, a pod nami morskie życie. Od pasa w górę, jak powiadam, była szurnięta. Tak, kompletna wariatka, chociaż utrzymywała się jakoś na powierzchni. Może właśnie dlatego jej cipa była tak cudownie bezosobowa. Jedna cipa na milion, istna Perła Antyli, taka, jaką odkrył Dick Osborn podczas lektury Josepha Conrada. Leżała tak na rozległym Pacyfiku seksu niby migotliwa srebrzysta rafa w otoczeniu ludzkich anemonów, ludzkich rozgwiazd, ludzkich koralowców. Tylko ktoś taki jak Osborn mógł ją odkryć, wyznaczyć odpowiednią długość i szerokość geograficzną jej cipy. Po spotkaniach za dnia, obserwowaniu, jak z wolna dostaje hysia, wraz z nadejściem nocy zupełnie jakby się chwyciło w potrzask łasicę. Wystarczyło, żebym położył się w ciemnościach z otwartym rozporkiem i czekał. Przypominała Ofelię wskrzeszoną nagle pośród Kafrów. Nie potrafiła spamiętać ani słowa w żadnym języku, a już zwłaszcza po angielsku. Była głuchoniemą, która

utraciła pamięć, a wraz z zanikiem pamięci utraciła też lodówkę, żelazka do włosów, szczypczyki i torebkę. Była nawet bardziej naga od ryby wyjąwszy tę kępę włosów między nogami. I była nawet bardziej od ryby oślizgła, bo przecież ryby mają łuski, ona zaś nie miała. Czasem trudno się było połapać, czy to ja jestem w niej, czy ona we mnie. Prowadziliśmy otwartą wojnę, pankracjon w nowym wydaniu, a każdy gryzł się we własną dupę. Miłość pomiędzy trytonami, a przy tym zawór otwarty na oścież. Miłość bez płci i bez lizolu. Miłość inkubacyjna, jaką uprawiają rosomaki powyżej strefy drzew. Po jednej stronie Ocean Arktyczny, po drugiej Zatoka Meksykańska. I chociaż nigdy nie mówiliśmy o tym otwarcie, zawsze towarzyszył nam King Kong, King Kong uśpiony w rozbitym kadłubie „Titanica” między fosforyzującymi kośćmi milionerów i minogów. Żadna logika nie zdołałaby King Konga przegonić. Był olbrzymim wspornikiem podtrzymującym przelotne cierpienia duszy. Był tortem weselnym o owłosionych nogach i kilometrowych rękach. Był ekranem obrotowym przekazującym wiadomości. Był wylotem lufy rewolweru, który nigdy nie wypalił, trędowatym uzbrojonym w obrzynkowe gonokoki.

Właśnie tutaj, w pustce przepukliny, dokonywało się całe moje skupione myślenie poprzez penis. Przede wszystkim było tam twierdzenie dwumianowe, pojęcie, które mnie zawsze intrygowało: kładłem je pod lupę i badałem od A do Z. Był też Logos, który dotąd kojarzył mi się nie wiadomo dlaczego z oddechem: teraz odkryłem, iż przeciwnie, jest to niejako obsesyjny zastój, młyn, który nie przestaje mleć ziarna, mimo że wszystkie spichlerze dawno już napełniono i wyprowadzono Żydów z Egiptu. Był też Bucefał, fascynujący mnie chyba bardziej niż jakiegokolwiek inne słowo z mojego słownika, ilekroć znalazłem się w kłopotliwej sytuacji, zawsze go wypuszczałem klusem, a wraz z nim, rzecz jasna, Aleksandra i całą jego świtę w purpurze. Co za koń! Poczęty w Oceanie Indyjskim, jako ostatni z rodu, i nigdy nie sparzony z żadną istotą, wyjąwszy królową Amazonek podczas wyprawy do Mezopotamii. Był też szkocki gambit! Niesamowite wyrażenie nie mające nic wspólnego z szachami. Zawsze jawiło mi się w postaci Szkota na szczudłach, strona 2498 w pełnym wydaniu słownika Funka i Wagnalla. Gambit to taki skok po ciemku na mechanicznych nogach. Skok bez celu - stąd gambit! Skoro się go raz opanowało, był jasny jak słońce i najprostszy w świecie. Była też Andromeda, Gorgona Meduza, Kastor i Polluks rodem z nieba, mitologiczni bliźniacy tkwiący wieczyście w efemerycznym pyłe gwiezdny. Była lukubracja, słowo o zabarwieniu seksualnym, a przecież niosące intelektualne skojarzenia, które wprawiały mnie w zakłopotanie. Zawsze „nocne lukubracje”, przy czym noc jest tu złowieszczą istotną. No i arras. Ktoś został kiedyś „za arrasem” pchnięty sztyletem? Widziałem obrus mszalny wykonany z azbestu, i był to bolesny cios godny samego Cezara.

Jak powiadam, oddawałem się rozmyślaniom w dużym skupieniu, cechującym zapewne ludzi z epoki kamienia. Nic nie było ani absurdalne, ani możliwe do wyjaśnienia. Ot, taka układanka, którą - jeśli się ktoś znudzi - można odepchnąć od siebie obiema nogami. Wszystko można bez trudu zepchnąć na bok, nawet Himalaje. Było to myślenie zgoła różne od myślenia Mahometa. Prowadziło donikąd i dlatego sprawiało tyle przyjemności. Wielki gmach, który się mozolnie buduje podczas długiego pieprzenia, można zburzyć w okamgnieniu. Liczyło się tylko pieprzenie, a nie budowa. Zupełnie jakby ktoś mieszkał na arce podczas potopu i miał wszystko na podporządku, łącznie ze śrubokrętem. Po co popełniać morderstwa, gwałt czy kazirodztwo, skoro jedynym naszym zadaniem jest zabijać czas? Deszcz, deszcz, natomiast w środku arki wszystko ciepłe i suche, po parze z każdego gatunku, w spiżarni zaś wyborne szynki westfalskie, świeże jaja, oliwki, marynowane cebule, sos Worcestershire i inne smakołyki. Bóg wybrał mnie, Noego, ażebym ustanowił nowe niebo i nową ziemię. Dał mi solidny statek, wszystkie spojenia uszczelnione i odpowiednio wysuszone. Dał mi ponadto umiejętność żeglowania po burzliwych morzach. Niewykluczone, że kiedy ustanie deszcz, trzeba będzie zdobyć inną wiedzę, ale na razie wystarczy wiedza marynistyczna. Reszta zaś to szachy w Cafe Royal przy Drugiej Alei, tyle że musiałem sobie wyobrażać partnera, bystrą żydowską głowę, która pozwoli ciągnąć tę partię aż do ustania deszczu. Ale, jak powiedziałem wcześniej, nie miałem czasu na nudę; byli starzy przyjaciele, Logos, Bucefał, arras, lukubracja i tak dalej. Po co więc grać w szachy? Zamknięty tak przez wiele dni i nocy, zacząłem sobie uświadamiać, że myślenie, o ile nie równa się umysłowej masturbacji, potrafi być kojące, uzdrawiające, przyjemne. Myślenie, które nie prowadzi człowieka donikąd, prowadzi go wszędzie; wszelkie inne myślenie odbywa się po ustalonych torach, choćby więc ciągnęły się one jak najdalej, zawsze się kończą stacją albo pętlą. Na końcu zawsze jest czerwone światelko, które mówi STOP! Ale kiedy penis zabiera się do myślenia, nie ma żadnego stop ani odpusć; to wieczne święto, świeża przynęta, a ryba zawsze bierze. Co mi przywodzi na myśl inną cipę, Veronicę, czy jak jej tam było, która nieodmiennie spychała moje myśli na złe tory. Z Veronicą zawsze odchodziła szamotanina w sieni. Na parkiecie dansingowym można by pomyśleć, że ofiaruje człowiekowi prezent na zawsze w postaci swoich jajników, ale gdy tylko wyszła na dwór, zaczynała myśleć, myśleć o swoim kapeluszu, o torebce, o ciotce, która na nią czeka, o liście, który zapomniała wrzucić, o pracy, którą straci - nachodziły ją te idiotyczne, nieważne myśli, które nie miały nic wspólnego z tym, co się akurat działo. Zupełnie jakby nagle przyłączyła głowę do własnej cipy - najbardziej czujnej i sprytnej, jaką można sobie wyobrazić. Była to, że tak powiem, niemal metafizyczna cipa. Cipa przemyślująca problemy, zresztą nie tylko, bo był to

specyficzny rodzaj myślenia odmierzany tykającym metronomem. Ten rodzaj zastępczej, rytmicznej lukubracji wymagał specjalnego półmroku. Musiało być tak ciemno jak dla nietoperza, a przy tym tak jasno, żeby można było znaleźć guzik, jeżeli się akurat urwał i potoczył po podłodze w sieni. Chyba wiadomo, o co chodzi. Nieokreślona, aczkolwiek idealnie precyzyjna, żelazna przytomność umysłu pozorująca roztargnienie. A zarazem kapryśna i płochliwa, trudno się więc zorientować, czy to pies, czy wydra. Co trzymam w rękę? Wrażliwość czy nadwrażliwość? Odpowiedź brzmiała nieodmiennie: mucha, ptaszek. Jeżeli się ją złapało za biust, skrzeczała jak papuga; jeżeli sięgnęło się jej pod sukienkę, wiała się jak piskorz; jeżeli za mocno się ją przycisnęło, gryzła jak fretka. Odwlekała dosłownie bez końca. Dlaczego? O co jej chodziło? Czy zechce się poddać po godzinie albo dwóch? Za nic w świecie. Przypominała gołębia, który próbuje ulecieć, mimo że nogi ma spętane w żelaznym potrzaski!. Udawała, że nie ma nóg. Ale jeżeli człowiek wykonał ruch, żeby ją uwolnić, groziła, że zrzuci pióra.

Ponieważ miała taką wspaniałą pupę, a przy tym tak cholernie niedostępną, myślałem o niej jako o Pons Asinorum. Każde dziecko wie, że po Pons Asinorum może przejść tylko para białych osłów prowadzonych przez ślepcę. Nie mam pojęcia, dlaczego tak jest, ale taką zasadę ustanowił stary Euklides. Ten stary przyk był człowiekiem uczonym, toteż pewnego dnia - zapewne dla rozrywki - zbudował most, po którym nie mógł przejść żaden śmiertelnik. Nazwał go Pons Asinorum, gdyż miał dwa przepiękne białe osły, a tak był do nich przywiązany, że nie chciał ich nikomu oddać. Żył więc marzeniem, że on, ślepiec, pewnego dnia przeprowadzi osły przez ten most do krainy szczęśliwości dla osłów. I właśnie Veronica kierowała się podobnymi pobudkami. Tak dużo myślała o swojej pięknej białej pupie, że za żadną cenę nie chciała się z nią rozstać. Pragnęła, gdy nadejdzie pora, zabrać ją ze sobą do raju. Jej cipa zaś - o której, nawiasem mówiąc, nigdy nie wspominała - jej cipa zaś, jak powiadam, była wyłącznie kolejnym rekwizytem, który siedł z pupą w parze. W półmroku sieni nigdy nie mówiła otwarcie o swoich dwóch problemach, ale dawała je człowiekowi do zrozumienia, wprawiając go w zakłopotanie. A robiła to z isticie kuglarską zręcznością. Każde spojrzenie czy dotknięcie okazywało się tylko złudzeniem, bo zaraz wykazywała człowiekowi, że wcale nie widział ani nie dotykał. Była to nader subtelna seksualna algebra, nocna lukubracja, za którą nazajutrz dostawało się piątkę albo czwórkę, ale nic ponadto. Człowiek zdawał egzamin, dostawał dyplom, po czym droga wolna. Tymczasem pupa służyła do siedzenia, a cipa do wydalania wody. Między podręcznikiem a ubikacją znajdowała się strefa pośrednia, której nie wolno było przekroczyć, bo wiązała się z pierdoleniem. Fiki-miki i psi-psi, to i owszem, ale pierdolić się? Nigdy. Światło nigdy do końca nie gasło, słońce nigdy

nie wpadało do środka. Zawsze tylko tak jasno albo tak ciemno, żeby móc dojrzeć nietoperza. I tylko ten nikły promyczek światła zapewniał czujność umysłu, który baczył, że tak powiem, na torebki, ołówki, guziki, klucze i tym podobne. Myśli nie trzymały się głowy, skoro była już zaprzątnięta czym innym. Umysł przejawiał gotowość niczym puste krzesło w teatrze, na którym właściciel zostawił swój szapoklak.

Veronica, jak powiadam, miała rozgadaną cipę, coś straszego, jedynym jej celem było chyba rozgadać mężczyźnie ochotę do pierdolenia. Z kolei Evelyn miała śmiejącą się cipę. Też mieszkała na górze, tyle że w innym domu. Zawsze wparowywała podczas posiłków, żeby nam opowiedzieć nowy kawał. Komediantka pierwszej wody, jedyna dowcipna kobieta, jaką spotkałem w życiu. Wszystko było żartem, łącznie z pierdoleniem się. Potrafiła nawet sztywnego kutasa doprowadzić do śmiechu, a to już dużo. Podobno sztywny kutas nie ma sumienia, ale sztywny kutas, który się śmieje, to też coś niebywałego. Nie potrafię tego ująć inaczej niż tylko tak, że kiedy Evelyn była podniecona i rozkręcona, wyczyniała swoją cipą brzuchomówcze sztuczki. Już się chciało w nią wejść, a tu ta jej głuptasia między nogami zaczynała rechotać. Równocześnie sięgała po niego, rozkosznie go miętosila i ścisnęła. Ta głuptasia cipa umiała również śpiewać. W gruncie rzeczy zachowywała się jak tresowana foka.

Nie ma nic trudniejszego od kochania się w cyrku. Ten stały numer z tresowaną foką czynił Evelyn bardziej niedostępną, niż gdyby ktoś ją zakuł w żelazne pęta. Potrafiła utracić najbardziej „osobisty” wzwód pod słońcem. Utracić go śmiechem. Przy czym nie było to tak upokarzające, jak można by sądzić. Gdyż ten pochwowy śmiech miał w sobie coś sympatycznego. Cały świat przewijał się niczym pornograficzny film, którego wątek tragiczny stanowi impotencja. Można było zobaczyć siebie jako psa, łasicę albo białego królika. Miłość stawała się czymś ubocznym, porcją kawioru albo heliotropem. Można było widzieć w sobie brzuchomówcę rozprawiającego o kawiorze lub o heliotropach, lecz tak naprawdę człowiek zawsze był łasicą albo białym królikiem. Evelyn zawsze leżała z rozłożonymi nogami na zagonie kapusty, oferując pierwszemu lepszemu przybyszowi jasnozielony liść. Ale jeżeli ten ktoś zapragnął go skubnąć, cały zagon kapusty wybuchał śmiechem, wesołym, perlistym, pochwowym śmiechem, o jakim nie śniło się Jezusowi H. Chrystusowi ani Immanuelowi Ciapusowi Kantowi, bo gdyby im się śniło, świat nie byłby tym, czym dzisiaj jest, poza tym nie byłoby ani Kanta, ani Chrystusa Wszechmogącego. Kobiety rzadko się śmieją, ale jeżeli już się śmieją, ich śmiech jest wulkaniczny. Kiedy kobieta się śmieje, mężczyzna powinien natychmiast dać drapak do schronu przeciwyklonowego. Nic się nie ostanie przed tym pochwowym rechotem, nawet

żelazobeton. Kiedy pobudzić kobietę to śmiechu, potrafi ona zakasować hienę, szakala czy żbika. Czasem słyszy się taki śmiech na przykład podczas linczu. To znaczy, że puściły tamy, że wszystko uchodzi. To znaczy, że kobieta rusza do ataku - uważaj, żeby ci nie odcięła jąder! To znaczy, że jeżeli nadchodzi pomór, ONA go uprzedzi, i to z wielkim kolczastym batogiem, który żywcem obedrze człowieka ze skóry. To znaczy, że pójdzie do łóżka nie tylko z pierwszym lepszym facetem, ale też z cholera, zapaleniem opon mózgowych i trądem; to znaczy, że położy się na ołtarzu niczym klacz w rui i przyjmie każdego, kto jej się nawinie, łącznie z Duchem Świętym. To znaczy, że przez jedną noc obali to, co biedny mężczyzna, ze swym logarytmicznym sprytem, budował przez pięć, dziesięć, dwadzieścia tysięcy lat. Obali to i obsika, a nikt jej nie powstrzyma, kiedy ryknie na dobre śmiechem. Gdy więc mówiłem, że śmiech Veroniki potrafił utracić najbardziej „osobisty” wzwód, to wiedziałem, co mówię; potrafiła utracić „osobistą” erekcję i oddać człowiekowi z powrotem erekcję bezosobową, przypominającą rozgrzany do czerwoności pogrzebacz. Z samą Veronicą nie dało się zbyt daleko zejść, ale nie ulega wątpliwości, że można było daleko zajechać z tym, co się od niej dostało. Kiedy człowiek znalazł się w zasięgu jej głosu, to tak jakby dostał nadmierną dawkę afrodyzjaku. Nic w świecie nie zdołałoby mu obalić stojaka, chyba że by go położył pod młot kowalski. I tak to szło przez cały czas, chociaż każde moje słowo jest kłamstwem. Była to osobista wycieczka po bezosobowym świecie, mężczyzny z małym rydlem w ręku, który kopie tunel na wskroś ziemi, żeby się dostać na drugą stronę. Chodziło o to, żeby się przebić na wylot i najkrótszą drogą trafić wreszcie do Culebra, *nec plus ultra* miodowego miesiąca ciała. Ale, rzecz jasna, kopaniu nie było końca. Mogłem najwyżej liczyć na to, że utknę w martwym środku ziemi, gdzie ciśnienie jest najsilniejsze i zewsząd takie samo, że utknę tam na zawsze. Czułbym się jak Iksjon na swym kole, co stanowiłoby rodzaj zbawienia, na jaki nie powinno się wybrzydzać. Z drugiej strony, byłem metafizykiem intuicjonistą: nigdzie nie potrafiłem zagrzać miejsca, nawet w martwym środku ziemi. Musiałem za wszelką cenę szukać i zakosztowywać metafizycznego pierdolenia, a w tym celu należało wyjść na zupełnie nowe płaskowzgórze, na skalisty płaskowyż słodkiej lucerny i polerowanych monolitów, które z rzadka przefruwały orły i sępy.

Czasem siedząc wieczorem w parku, zwłaszcza w parku zaśmieconym papierami i resztkami jedzenia, widziałem, jak przechodzi taka istota, która jakby zmierzała do Tybetu, podążałem więc za nią z otwartymi oczyma, w nadziei, że ta kobieta naraz uniesie się w powietrze, bo gdyby rzeczywiście pofrunęła, ja bym na pewno też pofrunął, co oznaczałoby kres kopania i tarzania się. Czasem, zapewne z powodu zmierzchu albo innych zakłóceń, wydawało mi się, że istotnie frunie za róg. Bo nagle unosiła się kilkadziesiąt centymetrów nad



ziemią jak nadmiernie obciążony samolot; ale ten nagły, mimowolny wzlot, nieważne, czy prawdziwy, czy wyobrażony, dawał mi nadzieję, dawał śmiałość, żeby wpatrywać się bacznie w to miejsce i mieć oczy szeroko otwarte.

Megafony we mnie grzmiały: - No dalej, nie ustawaj, wytrwaj - i takie tam banialuki. Ale po co? W jakim celu? Dokąd? Skąd? Nastawiałem budzik, żeby wstać o określonej porze, tylko do czego tu wstawać? I po co? Z tym małym rydelkiem w ręku harowałem jak galernik bez krztyny nadziei na zapłatę. Gdybym nie ustawał w tym znoju, wykopałbym najgłębszą dziurę, jaką ktokolwiek kiedyś wykopał. Jednakże gdybym naprawdę chciał się dostać na drugą stronę ziemi, czyż nie byłoby prościej odrzucić rydel i po prostu udać się samolotem do Chin? Tyle że ciało idzie za rozumem. To, co najprostsze dla ciała, nie zawsze jest takie łatwe dla rozumu. Sytuacje zaś najtrudniejsze i najbardziej kłopotliwe powstają wówczas, kiedy ciało i rozum zaczynają się rozchodzić w dwie strony.

Machanie rydłem było błogosławieństwem: miałem wolną głowę, a przy tym nie zachodziło najmniejsze niebezpieczeństwo, że ta para, ciało i rozum, się rozdzieli. Gdyby ona-bestia zaczęła naraz jęczeć z rozkoszy, gdyby wpadła naraz w szal, przy którym szczęki latałyby jak stare sznurowadła, w piersiach by gwizdało, zebra by skrzypiały, gdyby ona-sodomitka zaczęła się naraz rozpadać na podłodze umierając ze szczęścia i przemęczenia, w tej samej chwili, ani ułamek sekundy wcześniej czy później, obiecany płaskowyż zamajaczyłby na horyzoncie niby statek wyłaniający się z mgły, trzeba by więc zatknąć na nim gwiazdy i paski oraz nadać mu imię Wuja Sama i wszystkich świętości. Takie nieszczęścia zdarzały się na tyle często, że niepodobna było nie wierzyć w realność sfery zwanej Pierdoleniem, bo tylko tak ją można nazwać, chociaż składało się na nią coś więcej niż pierdolenie, i przez samo pierdolenie człowiek ledwie się zaczynał do niej zbliżać. Każdy w swoim czasie zatknął flagę na tym terytorium, a mimo to nikt nie mógł rościć sobie do niego stałego prawa. Znikało przez noc - czasem w okamgnieniu. Była to Ziemia Niczyja, zaśmiecona i cuchnąca niewidzialną śmiercią. Kiedy ogłaszano rozejm, spotykano się na tym obszarze, wymieniano uściski rąk albo tytoń. Jednakże rozejm nigdy nie trwał zbyt długo. Stała była jedynie idea „strefy pomiędzy”. Tutaj śmigały pociski i piętrzyły się trupy; potem spadał deszcz i pozostawał jedynie upiorny zapach.

Wszystko to metaforyczne ujęcia tego, czego nie da się opisać wprost. Nie da się bowiem opisać czystego pierdolenia i czystej cipy: można je tylko wspominać w wydaniach luksusowych, bo w przeciwnym razie świat legnie w gruzach. Gorzkie doświadczenie nauczyło mnie, że świat trzyma się jedynie dzięki stosunkom płciowym. Ale pierdolenie, rzecz sama, oraz cipa, rzecz sama, zawierają poniekąd w sobie nie zidentyfikowany żywioł,

znacznie groźniejszy od nitrogliceryny. Żeby mieć pojęcie o rzeczy samej, należy zajrzeć do katalogu domu wysyłkowego Sears Roebuck, pod którym podpisuje się kościół anglikański. Na stronie dwudziestej trzeciej widnieje rysunek Priapa żonglującego korkociągiem na czubku ptaszka; stoi przez pomyłkę w cieniu Partenonu; jest całkiem nagi, wyjąwszy perforowane suspensorium wypożyczone mu na tę okazję przez sektę Świętych Opętanych z Oregonu i Saskatchewan. Na linii międzymiastowa z pytaniem, czy powinni sprzedawać krótko-, czy długoterminowo. On zaś powiada „odpierdolicie się” i odkłada słuchawkę. W tle Rembrandt studiuje anatomię naszego Pana Jezusa Chrystusa, który, jak pamiętacie, został ukrzyżowany przez Żydów, po czym zabrany do Abisynii, a tam przywalony płytami nagrobnymi i innymi przedmiotami. Pogoda, jak zwykle, ładna, nawet nieco cieplej, pominąwszy lekką mgielkę unoszącą się nad Morzem Jońskim; to pot z jąder Neptuna wykastrowanych przez wczesnych mnichów, a może przez manichejczyków, podczas plagi Zesłania Ducha Świętego. Wokół suszą się długie płaty koniny, wszędzie pełno much, tak jak je opisuje Homer w starożytnych czasach. Opodal solidna młockarnia McCormicka, żniwiarka i snopowiązałka z silnikiem o mocy trzydziestu sześciu koni mechanicznych, bez wyłącznika. Żniwa w toku, robotnicy przeliczają na odległych polach swoje zarobki. Tak wygląda świt pierwszego dnia stosunku płciowego w starożytnym świecie hallenistycznym, wiernie nam dziś przedstawionym w kolorze przez firmę braci Zeiss i innych cierpliwych zapaleńców z tego fachu. Ale nie tak to wyglądało na miejscu dla ludzi w czasach Homera. Nikt nie wie, jak wyglądał bóg Priapus, kiedy zredukowano go niechlubnie do postaci balansującej korkociąg na czubku ptaszka. Stojąc tak w cieniu Partenonu, z pewnością marzył o dalekiej cipie; pewno zatracił świadomość korkociągu, a także młockarni i żniwiarki; pewno znalazł olbrzymi spokój, aż wreszcie stracił nawet ochotę do marzeń. Wyobrażam sobie - chociaż mogę się mylić - że stojąc w podnoszącej się mgłę usłyszał naraz dzwony na Anioł Pański, i oto proszę, przed oczyma ukazały mu się wspaniałe zielone mokradła, na których Czoktawowie weselili się z Nawahami; w górze szybowwały białe kondory, a krawatki miały przyozdobione nagietkami. Ujrzał również wielką tablicę, w którą wpisano ciało Chrystusa, ciało Absaloma i zło, jakim jest pożądanie. Ujrzał gąbkę nasyoną krwią żab, oczy, które Augustyn przyszył sobie do skosy, szatę nie dość obszerną, by zakryć nasze niegodziwości. Zobaczył to wszystko w niegdysiejszej chwili, kiedy Nawahowie weselili się z Czoktawami, i tak go to zdumiało, że naraz ozwał mu się głos spomiędzy nóg, z długiej myślącej trzciny, którą zgubił był podczas snu, a był to najbardziej natchniony, najbardziej przenikliwy i przeszywający, najbardziej tryumfalny i zanoszący się złowrogim śmiechem głos, jaki się kiedykolwiek dobył z głębin. Zaczął więc śpiewać tym swoim długim kutasem z tak boskim

wdziękiem i elegancją, że białe kondory spłynęły z nieba i obsrały wielkimi fioletowymi jajami całe zielone mokradła. Pan Jezus powstał ze swego kamiennego łoża, i choć przywalony płytą nagrobną, zatańczył niby kozica górską. Z Egiptu przybyli fellachowie w łańcuchach, a tuż za nimi wojowniczy Igoroci i ślimakożercze ludy Zanzibaru.

Tak to wyglądało pierwszego dnia stosunku płciowego w starożytnym świecie Hellady. Od tamtej pory wszystko się ogromnie zmieniło. Śpiewanie kutasem już nie należy do dobrego tonu, podobnie nawet kondorom nie wolno srać fioletowymi jajami gdzie się tylko da. Wszystko jest skatologiczne, eschatologiczne i ekumeniczne. Jest wzbronione. *Verboten*. I tak Kraina Pierdolenia coraz bardziej zanika, staje się mitologiczna. Dlatego jestem zmuszony mówić mitologicznie. Mówię zatem z wielkim namaszczeniem z dodatkiem drogocennych maści. Odsuwam na bok zgrzytające cymbały, tuby, białe nagietki, oleandry i rododendrony. Niech żyją ciernie i kajdany! Chrystus nie żyje, sprasowany płytą nagrobną. Fellachowie wybielają piaski Egiptu, a przeguby mają luźno spętane. Sępy pożarły do ostatka wszystkie strzępy gnijącego ciała. Wszędzie spokój, milion złotych myszy skubie niewidzialny ser. Księżyc stoi na niebie, a Nil duma nad nadbrzeżnymi spustoszeniami. Ziemia cicho beka, gwiazdy dygoczą i becą, rzeki wyślizgują się z brzegów. Tak to już jest... Są cipy roześmiane i cipy rozgadane; są cipy oszalałe, histeryczne, w kształcie okaryn i cipy sejsmograficzne, rejestrujące wzloty i upadki soków żywotnych; są cipy ludożercze, które rozwierają się szeroko niczym paszcza wieloryba i połykają żywcem; są też cipy masochistyczne, które się zamykają niczym ostryga, mają twarde skorupy, a czasem w środku perłę albo i dwie; są cipy dytyrambiczne, które tańczą przy każdym zbliżeniu penisa i ociekają w ekstazie; są cipy jeżozwierzowe, które wystawiają igły i na Boże Narodzenie wymachują chorągiewkami; są cipy telegraficzne, które nadają alfabetem Morse'a, zostawiając człowiekowi w głowie same kropki i kreski; są cipy polityczne, przesiąknięte ideologią, które przeczą nawet klimakterium; są cipy wegetatywne, które nie reagują, chyba że się je wyciągnie z korzeniami; są cipy religijne, które pachną jak adwentyści dnia siódmego, pełne koralików, robaczków, muszli mięczaków, kozich bobków, a czasami nawet suchych okruchów chleba; są cipy ssaków o podbiciu ze skóry wydry, które hibernują przez długą zimę; są cipy żeglarskie wyposażone niczym jachty, dobre dla samotników i epileptyków; są cipy lodowcowe, w które można upuścić spadające gwiazdy, nie wywołując iskry; są cipy różnorakie, wymykające się kategoryzacji bądź opisowi, na które człowiek natyka się raz w życiu, a potem czuje się przywiedły i zwarzony; są cipy złożone z czystej radości, bez imienia ni dziedzictwa, i te są najlepsze ze wszystkich, tylko dokąd je poniosło?

No i jest ta jedna jedyna cipa, która jest wszystkim, nazwiemy ją więc supercipą,

albowiem nie należy do tej ziemi, tylko do owej krainy jasności, dokąd nas od dawna zapraszano, żebyśmy ulecieli. Tam wiecznie błyszczą rosa, a wysokie trzciny gną się na wietrze. Zamieszkuje ją wielki ojciec chędożenia, Ojciec Apis, wieszczbiarski byk, który przebódlł sobie drogę do nieba, po czym zdetronizował wykastrowane bóstwa dobra i zła. Od Apisa wywodzi się ród jednoroźców, owych dziwacznych bestii ze starożytnych podań, których uczone czoło wydłużyło się w lśniący fallus, z jednoroźców zaś stopniowo wykształcili się mieszkańcy późnych miast, o których mówi Oswald Spengler. Natomiast z martwego kutasa tego smętnego gatunku wyrósł olbrzymi drapacz chmur z ekspresowymi windami i wieżami obserwacyjnymi. Jesteśmy ostatnią dziesiątą rachunku seksualnego; świat kręci się niczym zgniłe jajo w skrzynce wyłożonej słomą. Wróćmy do aluminiowych skrzydeł, na których mielibyśmy odlecieć do tej jakże odległej krainy, krainy jasności, zamieszkiwanej przez Apisa, ojca chędożenia. Wszystko idzie naprzód jak naoliwione zegary; na każdą minutę na tarczy przypada milion bezszmerowych zegarów odmierzających łupiny czasu. Podróżujemy szybciej niż kalkulator błyskawicy, szybciej niż światło gwiazdy, szybciej, niż pomyśli czarodziej. Każda sekunda jest wszechświatem czasu. Każdy zaś wszechświat czasu jest zaledwie ułamkiem snu w kosmogonii prędkości. Kiedy prędkość osiągnie swój kres, będziemy tam, jak zwykle punktualni i szczęśliwie nie nazwani. Porzucimy skrzydła, zegary i kominki, nasze punkty oparcia. Wzniesiemy się lekko i radośnie jak słup krwi, a żadna pamięć nie będzie znów nas ciągnąć w dół. Ten czas nazywam domeną supercipy, albowiem urąga prędkości, rachubom i obrazowaniu. Sam penis też nie ma znanych rozmiarów ani wagi. Istnieje tylko przemożne poczucie pierdolenia, zbieg w trakcie ucieczki, nocny upiór palący spokojnie cygaro. Mały Nemo chodzi sobie z siedmiodniowym wzwodem i precudną parą niebieskich jąder darowanych mu przez Panią Szczodrobliwości. Niedziela rano za rogiem od Wiecznie Zielonego Cmentarza.

Niedziela rano, a ja sobie leżę, szczęśliwie umarły dla świata, w swoim łóżku z żelazobetonu. Za rogiem cmentarz, innymi słowy - świat stosunku płciowego. Bolał mnie jądra od pieprzenia się, które właśnie trwa, ale trwa pod moim oknem, na bulwarze, gdzie Hymie ma swoje kopulacyjne gniazdko. Myślę o pewnej kobiecie, a wszystko inne to głątwa. Powiadam, że o niej myślę, chociaż w gruncie rzeczy umieram gwiazdną śmiercią. Leżę tu niczym chora gwiazda, czekając, aż wygaśnie jej światło. Przed laty leżałem na tym samym łóżku w oczekiwaniu własnych narodzin. Nic się nie zdarzyło. Poza tym, że moja matka w swym luterzańskim gniewie wylała na mnie wiadro wody. Moja matka, biedna imbecylka, sądziła, że się lenię. Nie wiedziała, że porwał mnie gwiazdny nurt, że byłem ścierany na proch czarnej zagłady gdzieś, hen na krańcach wszechświata. Sądziła, że nie wyłażę z łóżka

przez zwykłe lenistwo. Wylała na mnie wiadro wody - wiłem się przez chwilę i dygotałem, ale nadal leżałem w swoim łóżku z żelazobetonu. Trwałem w bezruchu. Byłem wypalonym meteorem, który zdążył w okolice Węgi.

A teraz leżę na tym samym łóżku i tego światła we mnie nie sposób wygasić. Świat mężczyzn i kobiet weseli się na terenie cementarza. Odbywają stosunki płciowe, niech Bóg ich ma w opiece, a ja tu sam w Krainie Pierdolenia. Coś mi się zdaje, że słyszę hurgot wielkiej maszyny, obręcze linotypu przepuszczane przez wyzmaczkę seksu. Hymie i jego żona nimfomanka również leżą na tym samym poziomie co ja, tyle że po drugiej stronie rzeki. Rzeka nazywa się Śmierć i ma cierpki posmak. Wiele razy brodziłem w niej po pas, ale jakoś nigdy nie obróciłem się w kamień ani nie zyskałem nieśmiertelności. Wciąż płonę w środku jasnym płomieniem, chociaż na zewnątrz jestem martwy jak planeta. Z tego łóżka wstawałem i szedłem na tańce, i to nie raz, ale setki, tysiące razy. Za każdym wyjściem odnosiłem wrażenie, jakbym odtańczył taniec kościotrupów na termin vague. Może zbyt dużo własnej materii zmarnotrawiłem na cierpienie; może opętał mnie szalony pomysł, że zostanę pierwszym bochnem hutniczym rodzaju ludzkiego; może owładnęła mną myśl, że jestem zarówno podgorylem, jak i nadbogiem. Na tym łóżku z żelazobetonu pamiętam wszystko, a wszystko zawiera się w kryształach górskim. Nie ma żadnych zwierząt, tylko tysiące ludzi mówiących naraz, na każde wypowiedziane przez nich słowo mam natychmiastową odpowiedź, czasem zanim to słowo w ogóle padnie. Jest dużo zabijania, ale nie ma krwi. Morderstwa są popełniane na czysto, zawsze odbywają się w milczeniu. Ale nawet gdyby zabito wszystkich, i tak pozostałyby rozmowy, zawile, a jednocześnie jakże proste. Albowiem to ja je tworzę! Mam tę świadomość i dlatego nigdy nie doprowadzają mnie do szału. Odbywam rozmowy, jakie mogłyby się odbyć dopiero za dwadzieścia lat, kiedy spotkam odpowiedniego człowieka, którego sobie stworzę, gdy nadejdzie właściwa pora. Wszystkie te gaduły toczą się na pustym placu przylegającym do mojego łóżka niczym materac. Niegdyś ochrzciłem ten plac moim *terrain vague*. nazwałem go Ubiguczi, tyle że jakoś Ubiguczi nigdy mnie nie zadowalało, było zbyt niezrozumiałe, zbyt pełne znaczenia. Już lepiej trzymać się nazwy *terrain vague*, i tak zrobię. Ludzie uważają, że pustka to próżnia, ale to nieprawda. Pustka to dysonans, tłumny upiorny świat, w którym dusza przeprowadza zwiad. Pamiętam, że jako mały chłopiec stałem na takim pustym placu, jak gdybym był pełną życia duszą stojącą nago w samych butach. Ukradziono mi ciało, bo właściwie nie było mi potrzebne. W owym czasie mogłem istnieć i z ciałem, i bez niego. Kiedy zabijałem małego ptaka, piekłem go nad ogniskiem i zjadałem, to nie dlatego, że byłem głodny, ale dlatego, że chciałem poznać życie w Timbuktu albo w Tierra del Fuego. Musiałem tak stać na pustym placu i jeść martwe

ptaki, żeby wzbudzić w sobie pociąg do tej krainy jasności, którą później miałem zamieszkać samotnie i zaludnić nostalgią. Oczekiwałem od tej krainy rzeczy skończonych, srodze się jednak zawiodłem. Posunąłem się w stanie całkowitej martwoty tak daleko, jak tylko można, po czym zgodnie z prawem, niechybnie prawem tworzenia, nagle rozkwitłem i zacząłem żyć do utraty tchu niczym gwiazda o niespożytych świetle. Tu się zaczęły prawdziwe kanibalistyczne wyprawy, które tyle dla mnie znaczyły: już nie martwe wróble z ogniska, lecz żywe ludzkie mięso, kruche, soczyste ludzkie mięso, takie tajemnice jak świeże krwiste wątroby, takie sekrety jak nabrzmiałe guzy trzymane w lodzie. Nauczyłem się nie czekać, aż moja ofiara umrze, tylko wżerać się w człowieka, dopóki ze mną rozmawia. Często gdy odchodziłem od nie dokończonego posiłku, orientowałem się, że to przecież mój stary przyjaciel bez ręki albo nogi. Czasem go tam zostawiałem stojącego - tułów pełen śmierdzących wnętrzności.

Ponieważ należałem do miasta, jedyne wielkiego miasta na świecie, a nigdzie nie ma drugiej takiej ulicy jak Broadway, przechadzałem się nią wpatrzony w zalane światłem szynki i inne smakołyki. Byłem schyzjem od stóp do głów. Żyłem wyłącznie w *gerundivum*, które rozumiałem wyłącznie w łacinie. Na długo przedtem, zanim przeczytałem o Hildzie w *Czarnej Księdze* Durrella, mieszkalem razem z nią, wielkim kalafiosem moich snów. Przeżywaliśmy razem wszystkie morgantyczne przypadłości oraz kilka *ex cathedra*. Mieszkaliśmy w padlinie instynktów, a karmiliśmy się ganglionicznymi wspomnieniami. Nigdy nie istniał jeden wszechświat, lecz zawsze miliony, miliardy wszechświatów, które wzięte razem były nie większe od łebka szpilki. Był to roślinny sen na odludziu umysłu. Była to przeszłość, która sama jedna obejmuje wieczność. Pośród fauny i flory snów słyszałem rozmowy zamiejscowe. Kaleki i epileptycy zostawiali mi na stole depesze. Czasami wpadał Hans Castorp, a wtedy obaj oddawaliśmy się niewinnym przestępstwom. A jeżeli był akurat rzeński mroźny dzień, robiłem jedno okrążenie po welodromie na swoim rowerze Presto z Chemnitz u stóp Rudaw.

Najlepszy był taniec kościotrupów. Najpierw myłem się cały nad zlewem, zmieniałem bieliznę, goliłem się, nacierałem talkiem, czesałem, wkładałem lakierki do tańca. Czując się nienaturalnie lekki w środku i na zewnątrz, przez jakiś czas kręciłem się w tłumie, żeby złapać właściwy ludzki rytm, wagę i substancję ciała. Następnie biegłem prościutko na parkiet, porywałem kawał rozgorączkowanego ciała i rozpoczynałem jesiennie piruety. Tak właśnie pewnego wieczoru wkroczyłem do lokalu owłosionego Greka i wpadłem prosto na nią. Wydawała mi się cała granatowa, biała jak kreda, bez wieku. Nie tylko przepływał w obie strony, lecz również zjeżdżalnia bez końca, zmysłowość wewnętrznego rozedrgania; Była

niby rtęć, a zarazem miała apetyczną wagę. Rzuciła marmurowe spojrzenia niczym faun zastygły w lawie. Uznałem, że nadszedł czas, aby powrócić z peryferii. Ruszyłem do środka, a tu ziemia usuwa mi się spod moich zdumionych nóg. Raptem straciłem grunt pod nogami. Porzuciłem więc znowu pas kuli ziemskiej i oto ręce miałem pełne meteorycznych kwiatów. Sięgnąłem do niej dwiema płonącymi rękami, lecz ona była bardziej nieuchwytna niż piasek. Przemknęły mi przez głowę ulubione koszmary, lecz ona nie przypominała niczego, co przyprawiało mnie o poty i majaki. W tym delirium zacząłem wierzgać i rzeć. Kupiłem żaby i sparzyłem je z ropuchami. Chciałem wybrać najprostsze rozwiązanie, czyli umrzeć, ale nie kiwnąłem nawet palcem. Stałem bez ruchu i jałem na brzegach obracać się w kamień. Było to tak cudowne, tak kojące, tak wspaniale zmysłowe, że zacząłem się śmiać aż do trzewi, niczym hiena w szale rui. Może się obrócić w kamień z Rosetty! Stałem więc tylko bez ruchu i czekałem. Nadeszła wiosna, potem jesień, a następnie zima. Odnowiłem automatycznie swoją polisę ubezpieczeniową. Żywiłem się trawą i korzeniami drzew liściastych. Całymi dniami przesiadywałem oglądając jeden i ten sam film. Raz na czas myłem zęby. Jeżeli ktoś strzelił do mnie z pistoletu automatycznego, pociski się ześlizgiwały i odbijały rykoszetem o ściany wydając dziwne tat-a-tat. Pewnego razu w ciemnej uliczce, napadnięty przez zbira, poczułem, że nóż przebija mnie na wylot. Zupełnie jakbym wziął wodny masaż. Choć to dziwnie zabrzmiało, nóż nie zostawił dziur w mojej skórze. Było to tak osobliwe doznanie, że poszedłem zaraz do domu i zacząłem sobie wbijać noże w różne części ciała. Kolejne szprycowe kąpiele. Usiadłem, wyciągnąłem wszystkie noże i znów nie posiadałem się ze zdumienia, że nie ma żadnego śladu krwi, żadnej dziury, żadnego bólu. Już miałem się ugryść w rękę, kiedy zadzwonił telefon. Zamiejskowa. Nie dowiedziałem się, kto ją zamówił, bo nikt nie podszedł do telefonu. Natomiast taniec kościotrupów...

Obok witryny przepływa wolno życie. Leżę tak sobie niczym oświetlona szynka i czekam, aż spadnie topór. Na dobrą sprawę nie ma się czego bać, bo wszystko jest pokrajane na cienkie plasterki i owinięte celofanem. Naraz wszystkie światła miasta gasną, syreny obwieszczają alarm. Trujący gaz spowija całe miasto, wybuchają bomby, porozrywane ciała fruują w powietrzu. Wszędzie dokoła elektryczność i krew, drzazgi i megafony. Mężczyźni w powietrzu są rozradowani; ci w dole wrzeszczą i wyją. Kiedy już gaz i płomień strawią całe ciało, rozpoczyna się taniec kościotrupów. Przyglądam się z witryny, teraz już wyciemnionej. To coś lepszego niż upadek Rzymu, bo więcej jest do niszczenia.

Ciekawe, dlaczego kościotrupy tańczą tak ekstatycznie? Czyżby to był upadek świata? Czy może jakże często zapowiadany taniec śmierci? Przeróżający to widok - miliony kościotrupów roztańczonych w śniegu, kiedy miasto się wali. Czy cokolwiek kiedykolwiek

znów tu wyrosnie? Czy z łona wyjdą dzieci? Czy będzie jadło i wino? W powietrzu są ludzie, a jakże. Zstąpią na dół, żeby plądrować. Zapanuje cholera i dyzenteria, a ci, którzy tryumfalnie unosili się w górze, zginą wraz z całą resztą. Mam absolutną pewność, że będę ostatnim człowiekiem na ziemi. Już po wszystkim opuszczę witrynę i będę przechadzał się spokojnie pośród ruin. Będę miał dla siebie całą ziemię.

Zamiejscowa! Żeby mnie powiadomić, że nie jestem tak zupełnie sam. Czyli zagłada nie była absolutna? Bardzo mnie to przygnębia. Człowiek nie potrafi nawet zniszczyć samego siebie; potrafi jedynie niszczyć innych. Rzygać mi się chce. Co za złośliwy kaleka! Co za okrutny zawód! Zostały wszak inne gatunki, które posprzątają ten bałagan i zaczną od nowa. Bóg z krwi i kości zstąpi znów na dół i weźmie na siebie brzemień winy. Znowu będą tworzyć muzykę, wznosić budowle z kamienia i spisywać to wszystko w małych książkach. Tfu! Co za ślepy upór, co za niezdrowe ambicje!

Znów leżę w łóżku. Stary grecki świat, świt stosunku płciowego... i Hymie! Hymie Laubscher, zawsze na tym samym poziomie, spogląda w dół na bulwar po drugiej stronie rzeki. W obrzędach weselnych następuje chwila przerwy, wnoszą małże w cieście. Przesuń się trochę - powiada. - O, tak, dobrze, właśnie! Słyszę rechot żab na mokradłach pod oknem. Wielkie cmentarne żaby żywią się trupami. Wszystkie tulą się do siebie w stosunku płciowym; rechoczą opanowane radością seksu.

Rozumiem teraz, jak Hymie został poczęty i powołany do życia. Hymie żaba! Jego matka była na dnie stada, a Hymie, podówczas zaledwie embrion, leżał ukryty w jej worku. Było to w zaraniu stosunku płciowego, nikogo więc jeszcze nie ograniczały reguły gry markiza z Queensbury. Byle tylko pierdolić i być pierdolonym - niech diabli porwą wszystko inne. I tak to szło od starożytnych Greków - ślepe pierdolenie w błocie, składany naprędce skrzek, po czym śmierć. Ludzie pierdolą się na różnych poziomach, ale zawsze w błocie, a pomiot zawsze czeka jednaki koniec. Kiedy burzy się dom, zostaje stojące łóżko: kosmoseksualny ołtarz.

Brukałem łóżko polucyjnymi snami. Moja dusza, napięta i wyciągnięta na żelazobetonie, opuszczała ciało i pętała się tu i tam w małym wózku, takim jakich się używa w domach towarowych dla uzupełnienia towaru. Bawiły mnie ideologiczne zmiany i wycieczki; byłem włóczykijem w krainie intelektu. Wszystko jawiło mi się z całkowitą klarownością, bo było z kryształu górskiego; w każdej emersji widniało wielkimi literami UNICESTWIENIE. Teżalem z lęku przed zagładą; ciało samo przekształciło się w żelazobeton. Było przyozdobione stałą erekcją w najlepszym gatunku. Osiągnąłem stan pustki, którego tak żarliwie pragną co wierniejsi wyznawcy kultów ezoterycznych. Przestałem



istnieć. Nie byłem już nawet osobistym wzvodem.

Mniej więcej w tym czasie, kiedy przybrałem pseudonim Samson Lackawanna, zacząłem oddawać się rozbojowi. Wziął we mnie górę instynkt kryminalny. Jeżeli dotąd bywałem tylko błędną duszą, takim jakby gojowskim dybukiem, to teraz stałem się duchem pełnym ciała. Przybrałem imię, które mi odpowiadało, bylebym kierował się instynktem. Na przykład w Hongkongu wystąpiłem jako handlarz książkami. Nosilem skórzaną teczkę pełną meksykańskich dolarów i odwiedzałem systematycznie tych wszystkich Chińczyków, którzy się pragnęli doksztalcać. W hotelu dzwoniłem po kobiety, tak jak się dzwoni po whisky z wodą sodową. Rankami studiowałem język tybetański, żeby się przygotować do podróży do Lhasa. Już mówiłem biegle w jidysz, a także po hebrajsku. Potrafiłem jednocześnie podliczać dwa rzędy liczb. Chińczycy dawali się tak łatwo oszukiwać, że z niesmakiem wróciłem do Manili. Następnie wziąłem w swoje ręce niejakiego pana Rico i nauczyłem go sztuki sprzedawania książek bez marży. Cały zysk brał się ze stawek frachtu morskiego, a i tak, dopóki parałem się handlem, zapewniał mi dostatek.

Oddech stał się taką samą sztuką jak oddychanie. Wszystko było nie tyle dwoiste, ile wielorakie. Stałem się gabinetem luster odbijających pustkę. Skoro jednak raz przyjąłem zdecydowanie pustkę, byłem w domu, a tak zwane tworzenie polegało wyłącznie na zapelnianiu dziur. Wagon przenosił mnie usłużnie z miejsca na miejsce, w każdej bocznej kieszonce wielkiej próżni upychałem tonę wierszy, żeby wymazać myśl o unicestwieniu. Przede mną rysowały się nieograniczone perspektywy. Zacząłem żyć w perspektywie niczym mikroskopijny pyłek na soczewce gigantycznego teleskopu. Żadna noc nie przynosiła spoczynku. Tylko wieczne światło gwiazd na wypalonej powierzchni martwych planet. Tu i ówdzie jezioro czarne niczym marmur, w którym widziałem siebie, jak paraduję wśród świecących orbit światła. Gwiazdy wisiały tak nisko i rzucały tak oślepiające światło, jak gdyby wszechświat miał się dopiero narodzić. To wrażenie potęgowała moja samotność; nie tylko nie było zwierząt, drzew ani żadnych istot żywych, lecz również żadnego źdźbła trawy ani bodaj obumarłego korzenia. W tym fioletowym żarzącym się świetle bez choćby zarysu cienia sam ruch jak gdyby ustał. Przypominało to lunę czystej świadomości, myśl stała się Bogiem. A Bóg, po raz pierwszy w mojej przytomności, był porządnie ogolony. Ja też byłem porządnie ogolony, nieskazitelny, przeraźliwie akuratny. Ujrzałem swoje odbicie w marmurowych czarnych jeziorach otulone gwiazdami. Gwiazdy, gwiazdy... niczym cios między oczy, a wszelka pamięć szybko ucieka. Byłem Samsonem, byłem Lackawanną, umierałem jako jedna istota w ekstazie pełni świadomości.

I oto tu jestem, żegluję po rzece w swojej małej łódce. Wszystko, czego ode mnie

żądacie, zrobię dla was - za darmo. To jest Kraina Pierdolenia, w której nie ma zwierząt, drzew, gwiazd, problemów. Władzę sprawuje tu plemnik. Nic nie jest przesądzone z góry, przyszłość całkowicie niepewna, przeszłość nie istnieje. Na każdy milion urodzonych 999.999 jest skazanych na śmierć, aby się nigdy ponownie nie narodzić. Ale ten jeden, który zdąża do mety, ma zapewnione życie wieczne. Życie jest wtłoczone w nasienie, czyli w duszę. Wszystko ma duszę, łącznie z minerałami, roślinami, jeziorami, górami, skałami. Wszystko odczuwa, nawet na najniższym poziomie świadomości.

Skoro się to raz zrozumie, nie ma już miejsca na rozpacz. Na samym dole tej drabiny, wśród plemników, istnieje taki sam stan łaski jak u szczytu, u Boga. Bóg to suma wszystkich plemników obdarzonych pełną świadomością. Między dołem a szczytem nie ma przystanku, nie ma stacji pośredniej. Rzeka bierze swój początek gdzieś w górach i płynie do morza. Na tej rzece prowadzącej do Boga łódka jest równie przydatna jak pancernik. Od samego początku podróż wiedzie do domu.

Żeglując w dół rzeki... Wolny jak glista, wystarczająco przy tym mały, żeby wykonać każdy skręt. A do tego śliski jak piskorz. Jak ci na imię? - ktoś woła. Jak mi na imię? Mów na mnie po prostu Bóg - Bóg embrion. I żegluję dalej. Ktoś chciałby kupić mi kapelusz. Jaki rozmiar nosisz, imbecyłu? - woła. Jaki rozmiar? Powiedzmy, że rozmiar x! (Ale dlaczego oni wciąż do mnie krzyczą? Czyżbym miał być głuchy?) Kapelusz tracę przy najbliższej katarakcie. *Tant pis* - dla kapelusza. Czyż Bogu potrzebny jest kapelusz? Bóg musi się tylko stać Bogiem, i to Bogiem coraz bardziej. Cała ta podróż, wszystkie pułapki, upływ czasu, sceneria, a na tle tej scenerii człowiek, całe tryliony rzeczy zwanych człowiekiem, takich jak ziarna gorczycy. Nawet jako embrion Bóg nie ma pamięci. Kulisy świadomości składają się z nieskończenie drobnych ganglionów, pokrytych włosiem miękkim niczym wełna. Koziół górski stoi samotnie pośród Himalajów; nie pyta, jak się dostał na wierzchołek. Pasie się spokojnie pośród decor, kiedy nadejdzie pora, znów zejdzie w doliny. Trzyma pysk przy ziemi w poszukiwaniu trudnego do zdobycia na szczytach górskich pożywienia. W tym dziwnym koziorożcowym stanie embrionalnego Boga koziół żyje w tępej błogości na szczytach gór. Duże wysokości hołubią załazek odosobnienia, które pewnego dnia wyobcuje go zupełnie z duszy człowieka, uczyni z niego odludnego jak skała ojca wiodącego samotny żywot w niewyobrażalnej pustce. Najpierw jednak nadchodzą morganatyczne przypadłości, o których trzeba coś teraz powiedzieć...

Jest taki stan cierpienia, któremu nie da się zaradzić - albowiem jego przyczyny giną w mrokach. Potrafi go, na przykład, sprowadzić Bloomingdale. Wszystkie domy towarowe są symbolami choroby i pustki, ale Bloomingdale to moja specjalna choroba, moja nieuleczalna,

mętna dolegliwość. W chaosie Bloomingdale'a istnieje pewien porządek, tyle że w moim odczuciu całkowicie szalony: taki porządek znalazłbym na łebku od szpilki, gdybym go włożył pod mikroskop. Jest to porządek przypadkowego szeregu przypadków przypadkowo poczętych. Ten porządek wydziela nade wszystko odór - a jest to specyficzny odór Bloomingdale'a, który napawa me serce trwogą. U Bloomingdale'a rozpadam się bez reszty: skapuję na podłogę, bezradny mętnik kiszek, kości i chrząstek. Wszędzie unosi się ów zapach, nie tyle rozkładu, ile mezaliansu. Człowiek, ten nieszczęsny alchemik, zmieszał razem w milionie form i kształtów substancje i esencje nie mające ze sobą nic wspólnego. Bo ma w głowie guz, który zżera go bez litości; porzucił małą łódkę unoszącą go błogo w dół rzeki, aby zbudować większy, bezpieczniejszy statek, gdzie znajdzie się miejsce dla wszystkich. Ta praca tak go pochłonęła, że całkiem zapomniał, dlaczego porzucił swoją małą łódkę. Jego arka jest tak pełna *bric-à-brac*, że stała się solidnym gmachem nad metrem, w którym dominuje zapach linoleum. Jeżeli zebrać do kupy wszystko, co ważne, a ukryte w śródmiąższowej różnorodności Bloomingdale'a, i umieścić to na łebku od szpilki, powstanie wszechświat, w którym wielkie konstelacje poruszają się bez najmniejszego niebezpieczeństwa kolizji. Jest to mikroskopijny chaos, przyczyna moich morganatycznych dolegliwości. Na ulicy zaczynam na chybił trafił dźgać nożem konie albo unosić tu czy tam spódniczkę, szukając pod nią skrzynki na listy, albo przyklepać znaczki pocztowe na ustach, oczach lub pochwie. Albo raptem nachodzi mnie chętka wspiąć się na wysoki budynek niczym mucha, a kiedy już dotrę na dach, podrywam się do lotu na prawdziwych skrzydłach i lecę tak, lecę, lecę mijając w okamgnieniu takie miasta jak Weehawken, Hoboken, Hackensack, Canarsie, Bergen Beach. Kiedy człowiek staje się prawdziwym schyzjem, latanie okazuje się najłatwiejszą rzeczą pod słońcem; sztuka polega na tym, żeby lecieć eterycznym ciałem, zostawić u Bloomingdale'a własne kości, kiszki, krew i chrząstki; lecieć jedynie niezmienną jaźnią, która - nawet jeśli zatrzymać się na chwilę dla namysłu - zawsze ma skrzydła. Takie latanie w świetle dziennym ma sporą przewagę nad zwykłym nocnym lataniem, któremu się wszyscy oddają. Można je w każdej chwili przerwać równie szybko i stanowczo, jak gdyby się naciskało pedał hamulca; bez trudu można odnaleźć własną drugą jaźń, bo z chwilą rozpoczęcia lotu człowiek od razu staje się drugą jaźnią, innymi słowy, jaźnią tak zwaną pełną. Jednakże przeżycie z Bloomingdale'a dowodzi, iż ta pełna jaźń, którą się tak bardzo szcycimy, nader łatwo ulega rozpadowi. Zapach linoleum z nie wyjaśnionych przyczyn zawsze powoduje mój rozpad i omdlenie na podłogę. Jest to zapach wszystkich nienaturalności sklejonych we mnie razem, zebranych, by tak rzec, mocą negatywnego porozumienia.

Dopiero po trzecim posiłku zaczynają nikać poranne dary, przekazane nam przez fałszywe przymierze przodków, i z bagniska duszy wylania się prawdziwa, radosna skała jaźni. Wraz z zapadnięciem nocy wszechświat na łąbku od szpilki zaczyna się rozrastać. A rozrasta się organicznie, począwszy od nieskończonego małego pyłku nuklearnego, tak jak tworzą się minerały lub gromady gwiazd. Wzera się w otaczający chaos niczym sznur drążący w spiżarnianym serze. Wszystek chaos można by zebrać na łąbku od szpilki, ale jaźń, od samego początku mikroskopijna, dąży ku wszechświatowi z każdego punktu w przestrzeni. Nie jest to jaźń, o jakiej piszą w książkach, tylko jaźń bez wieku, przez tysiąclecia oddawana w dzierżawę ludziom o imionach i datach, jaźń, która zaczyna się i kończy jako robak, która jest robakiem w owym serze zwanym światem. I tak jak najłżejszy wietrzyk może wprawić w ruch potężny las, tak też za sprawą niezbadanego impulsu od środka ta jaźń niby skała może zacząć rosnąć i nic jej wtedy nie powstrzyma. Zupełnie jak Dziadek Mróz przy pracy, tyle że szybą okienną jest cały świat. Bez, wysiłku, bez dźwięku, bez walki, bez spoczynku; bezwzględnie, bezlitośnie, nieustrudzenie dokonuje się rozrost jaźni. I tylko dwa dania w karcie: jaźń i nie-jaźń. No i wieczność, w której się ta jaźń kształtuje. W owej wieczności, nie mającej nic wspólnego z czasem ani przestrzenią, zdarzają się interludia, w które wkrada się coś w rodzaju odwilży. Forma jaźni się załamuje, lecz sama jaźń - niczym klimat - pozostaje. W nocy amorficzna materia jaźni przybiera najbardziej przelotne formy; błęd sący się przez dziurki od klucza, a wędrowiec zostaje oderwany od swych wrót. Jeżeli otworzy się te wrota ciała ludzkiego na świat, prowadzą one do unicestwienia. Takie wrota są w każdej bajce, wychodzi przez nie czarnoksiężnik; nikt nigdy nie czytał, żeby ów czarnoksiężnik wracał do domu przez te same wrota. Jeżeli otworzyć je do środka, dalej się ciągną nieskończone wrota, a wszystkie przypominają klapy zapadni: nie widać żadnych horyzontów, żadnych linii lotniczych, rzek, map, biletów. Każda *couche* to postój tylko na jedną noc, czy trwa pięć minut, czy dziesięć tysięcy lat. Wrota nie mają klamek, nigdy się też nie zużywają. A co najważniejsze - nie widać ich końca. Wszystkie te postoje przypominają, by tak rzec, chybione badania mitu. Można wytyczyć swoją drogę, ustalić położenie, obserwować przemijające zjawiska; można się nawet czuć jak u siebie w domu. Tyle że nie wolno zapuszczać korzeni. Gdy tylko ktoś poczuje się „zadomowiony”, cały obszar się zawala, ziemia usuwa się spod nóg, konstelacje zrywają cumy, cały znany wszechświat, łącznie z niezniszczalną duszą, rusza w ciszy, złowieszczo spokojny i obojętny, ku nieznanemu, niewidocznemu przeznaczeniu. Wszystkie wrota jakby się naraz otwierają; ciśnienie jest tak wielkie, że następuje implozja, a w tym nagłym wybuchu szkielet rozpada się na kawałki. Takiego właśnie gigantycznego rozpadu musiał doświadczyć Dante, kiedy się znalazł w

piekle; nie dotknął bowiem dna, tylko jądra, martwego środka, z którego mierzy się czas. To tutaj zaczyna się komedia, to stąd się jawi jako boska.

Chcę przez to wszystko powiedzieć, że kiedy pewnego wieczoru przed dwunastu, a może czternastu laty przechodziłem przez drzwi obrotowe dansingu Amarillo, wydarzyło się coś bardzo ważnego. Interludium, o którym myślę jako o Krainie Pierdolenia, domenie czasu bardziej niż przestrzeni, jest dla mnie ekwiwalentem czyścica opisanego przez Dantego w drobnych szczegółach. Kiedy położyłem rękę na mosiężnym uchwycie drzwi obrotowych, żeby opuścić dansing Amarillo, wszystko, czym dotąd byłem, miało właśnie runąć. Nic w tym nierzeczywistego; minął bowiem czas moich narodzin, uniesiony potężniejszym nurtem. Tak jak przedtem zostałem wypchnięty z łona, tak teraz zostałem wepchnięty z powrotem na ponadczasowy wektor, gdzie proces wzrostu spoczywa w zawieszeniu. Przeszedłem do świata skutków. Nie było w nim strachu, tylko poczucie nieuchronności. Mój kręgosłup został przyłączony do węzła; aż po kość ogonową tkwiłem w nieubłaganym nowym świecie. Podczas wybuchu szkielet się rozpadł, pozostawiając po sobie niezmiennie ego bezradne jak rozgnieciona wesz.

Jeżeli nie zaczynam od tego punktu, to dlatego, że początku nie ma. Jeżeli natychmiast nie polecę do krainy jasności, to dlatego, że nic mi po skrzydłach. Jest godzina zero, księżyc stoi w nadirze...

Sam nie wiem, dlaczego myślę o Maxie Schnadigu, chyba że z powodu Dostojewskiego. Wieczór, w którym po raz pierwszy usiadłem do lektury Dostojewskiego, był najważniejszym wydarzeniem mojego życia, ważniejszym bodaj od pierwszej miłości. Był to pierwszy rozmyślny, świadomy akt o wielkim dla mnie znaczeniu; całkowicie zmienił oblicze świata. Już nie wiem, czy to prawda, że z chwilą, gdy podniosłem wzrok po pierwszym głębokim hańsieniu, stanął zegar. Wiem natomiast jedno, że cały świat na chwilę stanął w miejscu. Było to moje pierwsze zderzenie z duszą człowieka, a może powinienem powiedzieć, że Dostojewski był pierwszym człowiekiem, który mi swą duszę objawił. Może przedtem byłem lekko pomyłony, nie zdając sobie z tego sprawy, ale z chwilą, gdy się zatopiłem w Dostojewskim, stałem się zdecydowanie, nieodwracalnie, ku swemu zadowoleniu, naprawdę pomyłony. Zapracowany świat na jawie przestał dla mnie istnieć. Legły także w gruzach wszelkie moje ambicje i chęć pisania - przynajmniej na dłuższy czas. Przypominałem ludzi, którzy zbyt długo przebywali w okopach pod obstrzałem. Zwyczajne ludzkie cierpienia, zwyczajna ludzka zazdrość, zwyczajne ludzkie ambicje stały się dla mnie gównem warte.

Najlepiej wyobrażam sobie własny stan, kiedy myślę o swoich związkach z Maxiem i z jego siostrą Ritą. W owym czasie Maxie i ja bardzo często chodziliśmy razem pływać, to jedno dobrze pamiętam. Nierzadko cały dzień i całą noc spędzaliśmy na plaży. Siostrę Maxiego widziałem tylko raz lub dwa; na każdą moją wzmiankę o niej Maxie natychmiast gorączkowo zmieniał temat. Dosyć mnie to wkurzało, bo towarzystwo Maxiego naprawdę mnie nudziło, tolerowałem go tylko dlatego, że chętnie pożyczał mi pieniądze i kupował niezbędne rzeczy. Za każdym razem, kiedy wybieraliśmy się na plażę, łudziłem się nadzieją, że zjawi się niespodziewanie jego siostra. Ale nie, zawsze ją trzymał z daleka. Aż pewnego dnia, kiedy rozbieraliśmy się w przebieralni, a on mi pokazywał, jaką ma piękną, zwartą mosznę, ni stąd, ni zowąd tak go zagadnąłem:

- Wiesz, Maxie, te twoje jaja są naprawdę kapitalne i w ogóle, nie masz powodu do obaw, tylko gdzie się, do diabła, przez cały czas podziewa Rita, może byś tak kiedyś ją ze sobą przyprowadził, żebym mógł się dobrze przyjrzeć jej szamszurce... tak, szamszurce, wiesz, co nam na myśli.

Maxie, jako Żyd z Odessy, nigdy przedtem nie słyszał słowa „szamszurka”. Moje słowa wstrząsnęły nim do głębi, chociaż jednocześnie zafrapowało go to nowe słowo. Z niejakim osłupieniem powiedział:

- Jak rany, Henry, nie powinienes tak do mnie mówić!

- Niby dlaczego? - spytałem. - Przecież twoja siostra ma chyba cipę, co?

Już miałem coś dodać, kiedy dostał napadu straszliwego śmiechu, co uratowało sytuację, przynajmniej na jakiś czas. Ale Maxiemu nie przypadł do gustu ten pomysł. Przez cały dzień go to nurtowało, chociaż ani razu nie wrócił do naszej rozmowy. Przeciwnie, przez cały dzień prawie się nie odzywał. Jedyna forma zemsty, jaka mu przyszła do głowy, to namówić mnie, żebym wypłynął daleko poza strefę bezpieczeństwa, w nadziei, że mnie zmęczy i pozwoli mi utonąć. Tak wyraźnie widziałem, o co mu chodzi, że nabrałem siły dziesięciu chłopów. Niech mnie cholera, jeżeli się utopię tylko dlatego, że jego siostra, jak wszystkie zresztą kobiety, ma cipę.

Wszystko to się działo w Far Rockaway. Kiedy już się ubraliśmy i coś zjedliśmy, naraz uznałem, że wolałbym być sam, toteż na rogu ulicy raptownie podałem mu rękę i się pożegnałem. I proszę! Niemal w tej samej chwili poczułem się samotny w świecie, jak samotny czuje się człowiek w chwilach najwyższego niepokoju. Chyba dłubałem sobie z roztargnienia w zębach, kiedy ta fala samotności runęła na mnie niczym tornado. Stałem tak na rogu ulicy i dosłownie cały się obmacywałem, żeby sprawdzić, czy coś mnie nie uderzyło. Było to uczucie zgoła niewytłumaczalne, a zarazem cudowne, ożywiające, powiedziałbym,

jak podwójny tonik. Kiedy mówię, że byłem w Far Rockaway, chcę przez to powiedzieć, że stałem na krańcu świata, w miejscu zwanym Xanthos, jeżeli takowe istnieje, ale przecież musi chyba istnieć jakieś słowo na określenie nikąd. Gdyby wówczas nadeszła Rita, chyba bym jej nie poznał. Stałem się absolutnym nieznanym, stojąc tak pośród swoich współplemieńców. Wszyscy wydawali mi się obłąkani, ci moi współplemieńcy ze świeżo opalonymi twarzami, we flanelowych spodniach i w akuranych pończochach. Wszyscy się przedtem, podobnie jak ja, wykapali, bo była to przyjemna, zdrowa rozrywka, a teraz podobnie jak ja byli nasyceni słońcem i jedzeniem, no i trochę ociężali ze zmęczenia. Ja też się czułem nieco znużony, dopóki nie dopadła mnie ta samotność, kiedy to stojąc odcięty całkowicie od świata obudziłem się nagle zdjęty przerażeniem. Potwornie mnie to zelektrykowało, nie śmiałem nawet drgnąć ze strachu, że ruszę do ataku jak byk albo zacznę się wspinać po ścianie budynku, albo też tańczyć i krzyżeć. Naraz uprzytomniłem sobie, iż to wszystko stąd, że jestem tak naprawdę bratem Dostojewskiego, niewykluczone, że jestem jedynym człowiekiem w całej Ameryce, który rozumie, co autor miał na myśli pisząc tamte książki. Ponadto czułem, jak pączkują we mnie wszystkie te książki, które pewnego dnia sam napiszę: pękały w środku niczym dojrzałe kokony. A ponieważ aż do tamtej pory nie napisałem niczego poza diabelnie długimi listami o wszystkim i o niczym, trudno mi się było pogodzić z myślą, że kiedyś czas zacząć, czas napisać pierwsze słowo, pierwsze prawdziwe słowo. I oto ten czas nadszedł! To mi właśnie zaświtało w głowie.

Przed chwilą użyłem słowa Xanthos. Nie mam pojęcia, czy Xanthos istnieje, czy też nie, zresztą nic mnie to nie obchodzi, ale musi być takie miejsce na świecie, może na greckich wyspach, gdzie dochodzi się do krańca znanego świata i człowiek jest zupełnie sam, a mimo to wcale się nie boi, tylko raduje, bo na tej końcowej stacji czuje się stary świat przodków, wieczyście młody, nowy i zapładniający. Człowiek tam stoi, gdziekolwiek to miejsce się znajduje, niczym nowo wyklute pisklą przy swojej skorupce. To miejsce zwie się Xanthos czy, tak jak w moim przypadku, Far Rockaway.

I tam się właśnie znalazłem! Zapadł zmierzch, zerwał się wiatr, ulice opustoszały, w końcu lunęło jak z cebra. Chryste, to już mnie zupełnie dobiło! Kiedy zaczął padać deszcz i mnie, wpatzonego w niebo, siekł po twarzy, naraz poczułem nieprzewartą radość. Śmiałem się i śmiałem bez końca, po prostu jak wariat. Nie wiedziałem zresztą, z czego się śmieję. O niczym nie myślałem, tylko rozpierała mnie radość, oszalałem z rozkoszy, że jestem tak zupełnie sam. Gdyby mi wtedy podano na tacy śliczną, soczystą szamszurkę, gdybym mógł wówczas przebierać we wszystkich szamszurkach świata, nie mrugnąłbym nawet okiem. Miałem to, czego nie mogłaby mi dać żadna szamszurka. Mniej więcej wtedy, zmoczony do

suchej nitki, a mimo to rozpromieniony, pomyślałem o najbardziej nieistotnej rzeczy pod słońcem - o pieniądzach na bilet! Chryste, ten łajdak Maxie oszczędził nie zostawiając mi ani jednego sou. Znajdowałem się więc w swoim wspaniałym, rodzącym się starożytnym świecie, nie mając nawet centa w kieszeni dzinsów. Herr Dostojewski Junior musiał się rozejrzeć w okolicy, patrząc po przyjaznych i nieprzyjaznych twarzach, żeby skombinować choćby dziesięć centów. Przemierzył całą Far Rockaway, ale nikt za cholerę nie miał zamiaru podczas tej ulewy dać mu drobnych na przejazd. Kiedy tak spacerowałem w ciężkim zwierzęcym stuporze, który się wiąże z żebraniem, zacząłem myśleć o Maxiem, dekoratorze witryn, i o tym, jak wypatrzyłem go po raz pierwszy, kiedy stał w oknie wystawowym i ubierał manekin. Po kilku minutach myśli przeskoczyły na Dostojewskiego, potem cały świat zamarł, a wreszcie pomyślałem o ciele jego siostry, ciepłym i aksamitnym niczym wielki krzak róży rozkwitający nocą.

I wtedy zdarzyło się coś dziwnego... Kilka minut po tym, jak pomyślałem o Ricie, jej osobistej, niezwyklej szamszurce, siedziałem w pociągu do Nowego Jorku i zapadałem w sen z cudownym, rozmarzonym wzwodem. A co jeszcze dziwniejsze, kiedy wysiadłem z pociągu i przeszedłem za ledwie przecnicę albo dwie od stacji, na kogo natykam się za rogiem, jeśli nie na Ritę. Zupełnie jak gdyby dostała telepatyczną wiadomość o tym, co się dzieje w mojej głowie, Rita też miała mrówki w majtkach. Niebawem siedzieliśmy w chińskiej knajpce, tuż obok siebie w małej łoży, zachowując się zupełnie jak para królików w rui. Na parkiecie ledwie się poruszaliśmy. Tak mocno byliśmy spleceni, i to przez cały czas, niech inni dokoła podskakują sobie i podrygują ile wlezie. Mogłem ją nawet zabrać do siebie, bo w owym czasie mieszkałem sam, ale uznałem, że lepiej, jak odprowadzę ją do domu, ustawię w sieni i przelecę tuż pod nosem Maxiego - co też uczyniłem. W trakcie przypomniał mi się znów tamten manekin na wystawie i śmiech Maxiego po południu, kiedy rzuciłem słowo „szamszurka”. Omal się nie roześmiałem na głos, kiedy naraz poczułem, że Rita dochodzi w jednym z tych przeciągłych orgazmów, jakie spotyka się czasami u Żydówek. Podtrzymałem ją rękoma pod pośladkami, czubki palców miałem zanurzone w jej cipie, niejako w podszewce; kiedy zaczęła drżeć, uniosłem ją do góry i bujałem delikatnie w górę i w dół na końcu kutasa. Sądząc po jej zachowaniu, odnosiłem wrażenie, jakby zaraz miała dosłownie postradać zmysły. Przeżyła tak w powietrzu chyba ze cztery czy pięć orgazmów, zanim postawiłem ją znów na ziemi. Wyjąłem go z niej nie uroniwszy ani kropli i kazałem jej się położyć na podłodze w sieni. Jej kapelusz potoczył się w kąt, zawartość torebki się rozsypała, wypadło trochę drobnych. Odnotowuję ten fakt, bo zanim tak ją dobrze oporządziłem, zakonotowałem sobie w głowie, żeby wsadzić później do kieszeni trochę



drobnych na powrót do domu. Wszystko to zdarzyło się zaledwie kilka godzin po tym, jak napomknąłem Maxiemu w przebieralni, że chętnie rzuciłbym okiem na szamszurkę jego siostry, a tu szamszurka aż przy mnie mlaskała, ociekała wilgocią i raz po raz strzykała. Jeżeli nawet ktoś ją wcześniej pieprzył, na pewno nie pieprzył jej jak należy, to jedno nie ulega kwestii. Ja zaś nigdy nie byłem w tak wspaniale opanowanym, skupionym, iście naukowym stanie ducha jak teraz, kiedy leżałem na podłodze w sieni, tuż pod nosem Maxiego, rżnąc osobistą, świętą, niesamowitą szamszurkę jego siostry Rity. Mógłbym go tak w niej trzymać bez końca - coś niesłychanego, jaki byłem oddalony, a przy tym w pełni świadom każdego jej szarpnięcia i drzenia. Ktoś jednak musiał zapłacić za to, że chodziłem po deszczu w poszukiwaniu dziesięciu centów. Ktoś musiał zapłacić za ekstazę wynikłą z pączkowania we mnie wszystkich tych nie napisanych jeszcze książek. Ktoś musiał potwierdzić autentyczność tej osobistej, pozostającej w ukryciu cipy, która prześladowała mnie od wielu tygodni i miesięcy. Kto się do tego bardziej nadawał ode mnie? Myślałem tak szybko i tak intensywnie między orgazmami, że kutas chyba mi się wydłużył o kolejnych kilka centymetrów. Wreszcie postanowiłem położyć temu kres, przewracając ją na brzuch i posuwając od tyłu. Z początku trochę się opierała, ale kiedy poczuła, że się z niej wyslizguję, omal nie dostała szału. - Tak, tak, dalej, dalej! - błagała, co mnie naprawdę podnieciło. Ledwo jej go wsunąłem, kiedy poczułem, że już idę, jeden z tych długich, rozdzierających wytrysków z czubka kręgosłupa. Wepchnąłem go tak głęboko, że poczułem jakby coś pękło. Padliśmy oboje i zmordowani dyszeliśmy jak psy. Miałem jednak tyle przytomności umysłu, żeby wymacać ręką kilka monet. Nie było to wprawdzie konieczne, bo wcześniej Rita zdążyła mi pożyczyć kilka dolarów, ale chciałem sobie odbić brak drobnych na przejazd z Far Rockaway. Nawet wtedy, Chryste Panie, jeszcze się to nie skończyło. Bo w chwilę później poczułem, że znów zaczyna błądzić najpierw rękami, potem ustami. Nadal miałem połowiczny wzwód. Włożyła go sobie do buzi i zaczęła go pieścić językiem. Gwiazdy stanęły mi w oczach. I już za chwilę okręciła mi się nogami na szyi, a ja zanurzyłem język głęboko w jej piczy. Musiałem więc zabrać się znów do dzieła, znów go jej wsadzić do samego końca. Wiła się jak piskorz, Bóg mi świadkiem. Po czym znów zaczęła dochodzić w długich, przeciągłych, rozdzierających orgazmach, skamląc przy tym i jęcząc, zupełnie jakby majaczyła. Wreszcie musiałem go wyciągnąć i ją pohamować. Co za szamszurka! A ja chciałem tylko rzucić na nią okiem!

Maxie swoimi opowieściami o Odessie przywoływał coś, co utraciłem w dzieciństwie. Chociaż nigdy nie miałem jasnego obrazu Odessy, otaczająca ją aura przypominała moją dzielnicę w Brooklynie, która była mi tak droga i z której zbyt wcześnie mnie wyrwano. Czuję ją bardzo wyraźnie za każdym razem, kiedy widzę włoskie malarstwo bez

perspektywy; zwłaszcza jeżeli obraz przedstawia na przykład orszak pogrzebowy, narzuca się doznanie z dzieciństwa, doznanie intensywnej bliskości. Jeżeli obraz przedstawia otwartą ulicę, kobiety siedzące w oknach siedzą na ulicy, nie zaś nad nią czy z dala od niej. Wszystko, co się dzieje, natychmiast staje się wszystkim wiadome, tak jak wśród prymitywnych plemion. Morderstwo wisi w powietrzu, wszystkim rządzi przypadek.

Tak jak brakuje perspektywy u włoskich prymitywistów, tak też w mojej starej dzielnicy, którą musiałem opuścić jeszcze w dzieciństwie, ciągnęły się te równoległe pionowe płaszczyzny. Na nich wszystko się rozgrywało i przez nie, z jednej warstwy do drugiej, jak gdyby drogą osmozy, przenikały wszystkie wiadomości. Granice były ostre, wyraźnie określone, chociaż nie były nieprzekraczalne. Mieszkałem wówczas, jako mały chłopiec, niedaleko granicy między częścią północną a południową. Znajdowałem się nieco na północ od tej linii podziału, dosłownie kilka kroków od szerokiej ulicy przelotowej zwanej Północną Drugą Ulicą, która w moim odczuciu naprawdę oddzielała północną część od południowej. Właściwą granicę wytyczała ulica Grand prowadząca do promu przy Broadwayu, tyle że ta ulica nic dla mnie nie znaczyła, poza tym, że powoli zaczynała się zapełniać Żydami. Nie, to Północna Druga była ulicą magiczną, granicą między dwoma światami. Mieszkałem zatem między dwiema granicami, prawdziwą i wyobrażoną - tak zresztą jak przez całe życie. Biegła tamtędy mała uliczka łącząca ulicę Grand z Północną Drugą, zwana Fillmore Place. Ta uliczka biegła po przekątnej od domu mojego dziadka, w którym wszyscy mieszkaliśmy. Była to najbardziej urzekająca uliczka, jaką widziałem w życiu. Po prostu ideał ulicy - dla małego chłopca, kochanka, wariata, pijaka, oszusta, rozpustnika, bandyty, astronoma, muzyka, poety, krawca, szewca, polityka. Bo taka to była ulica, mieszcząca takich właśnie przedstawicieli rodu ludzkiego, a każdy z nich stanowił świat sam dla siebie, wszyscy zaś mieszkali w harmonii i dysharmonii, ale razem, tworząc zwarty zespół, ściśle ze sobą spleciony zarodnik ludzki, który nie mógł się rozpaść, chyba że rozpadłaby się cała ulica.

Przynajmniej tak się wówczas zdawało. Do czasu otwarcia mostu Williamsburg, kiedy to nastąpiła inwazja Żydów z ulicy Delancey w Nowym Jorku. Spowodowało to rozpad naszego małego świata, uliczki zwanej Fillmore Place, która zgodnie z nazwą była ulicą wartości, godności, światła, niespodzianek. Jak więc powiadam, przybyli Żydzi i niczym mole zaczęli podgryzać tknię naszego życia, aż nic nie zostało prócz ich molowej obecności, którą wszędzie ze sobą przynosili. Wkrótce ulica zaczęła brzydko pachnieć, wkrótce prawdziwi mieszkańcy się stamtąd wynieśli, wkrótce domy jęły się walić, odpadły nawet ganki niczym obłazująca farba. Wkrótce ulica nabrała wyglądu brudnej gęby, pozbawionej wszystkich co ważniejszych zębów, zewsząd ziały ohydne szerniałe pieńki, wargi gniły,

podniebienie zanikło. Wkrótce śmieci piętrzyły się w rynsztoku po kolana, schody przeciwpożarowe zapełniły się wzdętą pościelą, karaluchami, zakrzepłą krwią. Wkrótce w witrynach sklepów pojawiły się tabliczki „koszerne”, wszędzie rozpanoszył się drób, łososie, marynaty i ogromne bochny chleba. Wkrótce przed każdym domem, na każdym ganku, na małych podwóreczkach i przed sklepami zjawily się wózki dla dzieci. Wraz z tymi przemianami znikł również język angielski; słyszało się tylko jidysz, tylko ten bełkotliwy, dławiący, syczący język, w którym Bóg i zgniłe warzywa prawie tak samo brzmią i prawie to samo znaczą.

Nasza rodzina wyprowadziła się stamtąd jako jedna z pierwszych tuż po tej inwazji. Kilka razy w roku wracałem do swojej dawnej dzielnicy, na urodziny, na Boże Narodzenie lub w Święto Dziękczynienia. Przy każdej wizycie dostrzegałem ubytek czegoś, co kochałem i hołubiłem. Wszystko podupadało, zupełnie jak w złym śnie. Dom zamieszkały nadal przez moich krewnych przypominał starą fortecę obracającą się w ruinę; moja rodzina, uwięziona w jednym ze skrzydeł tej fortecy, wiodła smętne życie wyspiarskie, jej zaś członkowie sami nabrali wyglądu ludzi zaszczytanych, wylęknionych, upodlonych. Zaczęli się nawet doszukiwać różnic między poszczególnymi sąsiadami Żydami, uznając niektórych z nich za względnie ludzkich, względnie porządných, czystych, miłych, sympatycznych, życzliwych i tak dalej. Serce mi się krajało. Chętnie wziąłbym do ręki karabin maszynowy i zmiotł całą tę dzielnicę, Żydów i gojów na równi.

Mniej więcej w czasie tej inwazji władze postanowiły zmienić nazwę Północna Druga na Aleja Metropolitan. Ta trasa, która dla gojów była ulicą cmentarzy, stała się teraz tak zwaną arterią przelotową, łączącą dwa getta. Od strony Nowego Jorku nadbrzeże rzeki ulegało gwałtownym przeobrażeniom, gdyż wznoszono tam drapacze chmur. Po naszej stronie, po stronie Brooklynu, piętrzyły się magazyny, a także dojścia do nowych mostów, wokół których mnożyły się skwery, szalety miejskie, sale bilardowe, sklepy papiernicze, lodziarnie, restauracje, sklepy z ubraniami, lombardy i tak dalej. Krótko mówiąc, otwierała się metropolia w najgorszym tego słowa znaczeniu.

Dopóki mieszkaliśmy w naszej dawnej dzielnicy, nigdy nie mówiliśmy Aleja Metropolitan, tylko zawsze Północna Druga, mimo oficjalnej zmiany nazwy. Chyba dopiero osiem czy dziesięć lat później, kiedy pewnego zimowego dnia stałem na rogu ulicy przodem do rzeki i po raz pierwszy zauważyłem olbrzymi gmach Towarzystwa Ubezpieczeń Metropolitan, uprzytomniłem sobie, że Północnej Drugiej już nie ma. Wyobrażona granica mojego świata uległa zmianie. Mój wzrok pobiegł teraz dużo dalej poza cmentarze, daleko poza rzeki, poza miasto Nowy Jork czy nawet stan Nowy Jork, daleko wreszcie poza Stany

Zjednoczone. W Point Loma w Kalifornii spojrzałem niegdyś na rozległy Pacyfik i odczułem tam coś, co wykrzywiło mi na zawsze twarz w drugą stronę. Pamiętam, jak pewnego wieczoru wróciłem do swojej dawnej dzielnicy ze swoim starym przyjacielem Stanleyem, który właśnie wyszedł z wojska, i spacerowaliśmy tam sobie pełni smutku i zadumy. Europejczyk nigdy nie zazna, podobnego uczucia. W Europie nawet jeżeli miasto ulega modernizacji, pozostają w nim szczątki dawnego. W Ameryce, chociaż te szczątki istnieją, zostają wyparte, wymazane ze świadomości, zdeptane, zapomniane, zniweczone przez nowe. To nowe dzień po dniu, niby mól podgryzający tknię życia, nie pozostawia po sobie nic tylko wielką dziurę. Spacerowałem tak ze Stanleyem po tej przerażającej dziurze. Nawet wojna nie sieje takiego zniszczenia i spustoszenia. Choćby starła ona miasto na popiół i zmiotła wszystkich jego mieszkańców, na gruzach powstaje znowu coś, co przypomina stare. Śmierć jest zapładniająca, zarówno dla gleby, jak i dla ducha. W Ameryce zniszczenie zawsze jest całkowite, niweczące. Nie ma odnowy, jedynie rakowata narośl, kolejne warstwy nowej, trującej tkanki, a każda brzydsza od poprzedniej.

Spacerowaliśmy, jak powiadam, w tej olbrzymiej dziurze, a zimowy wieczór był jasny, mroźny, roziskrzony; kiedy minęliśmy część południową i zbliżyliśmy się do linii granicznej, oddaliśmy hołd dawnym reliktom, czyli miejscom, w których niegdyś stało to czy owo, gdzie dawniej zawsze mogliśmy coś dla siebie znaleźć. Kiedy doszliśmy do Północnej Drugiej między Fillmore Place a Północną Drugą - zaledwie kilka metrów, a jakże bogaty, absorbujący zakątek kuli ziemskiej - przystanąłem przed budą pani O'Melio i spojrzałem na dom, w którym poznałem, co to znaczy naprawdę być istotą cielesną. Wszystko skurczyło się teraz do miniaturowych rozmiarów, łącznie ze światem leżącym poza linią graniczną, światem tak dla mnie niegdyś tajemniczym, tak zatrważająco imponującym, tak wytyczonym. Kiedy stałem tam w transie, naraz przypomniałem sobie sen, który mnie wiele razy nachodził, który do dzisiaj zdarza mi się przyśnić, a który, mam nadzieję, będzie do mnie wracał, jak długo żyję. Był to sen o przekraczaniu linii granicznej. Podobnie jak we wszystkich snach, niesamowita jest owa wyrazistość rzeczywistości, fakt, że człowiek tkwi w rzeczywistości, a nie we śnie. Po drugiej stronie tej linii nikt mnie nie zna, jestem zupełnie sam. Nawet język się zmienia. Na dobrą sprawę zawsze uznają mnie za obcego, za cudzoziemca. Mam przed sobą nieskończenie dużo czasu, całkowicie mi odpowiada wałęsanie się po ulicach. Muszę dodać, że jest tam tylko jedna ulica - ta, na której mieszkałem. Wreszcie dochodzę do żelaznego mostu nad stacją rozrządową. Zawsze docieram do mostu dopiero po zapadnięciu zmierzchu, chociaż od linii granicznej wcale tu nie jest daleko. Spoglądam w dół na pajęczaste tory, punkty załadunkowe, tendry, magazyny, a kiedy patrzę na ten zespół

dziwnych poruszających się ciał, wokół zachodzi proces przemian, zupełnie jak we śnie. Przy tej transformacji i deformacji uprzytamniam sobie, że to dawny sen, który mi się już tyle razy śnił. Mam potwornego stracha, że się obudzę, właściwie wiem, że to zaraz nastąpi, dokładnie w chwili, gdy stoję pośrodku wielkiej otwartej przestrzeni i mam właśnie wejść do domu, gdzie znajduje się coś o najwyższym dla mnie znaczeniu. Kiedy ruszam w kierunku domu, parcela, na której stoję, rozmywa się jakby na brzegach, rozplywa, znika. Przestrzeń zwija się niczym dywan i pochłania mnie, a zarazem cały dom, do którego nie zdążyłem nawet wejść.

Od tego najprzyjemniejszego ze znanych mi snów nie ma absolutnie żadnego przejścia do książki zatytułowanej *Ewolucja twórcza*. W tej książce Henri Bergsona, do której doszedłem równie naturalnie jak do snu w krainie poza linią graniczną, znów jestem całkiem sam, znów jestem cudzoziemcem, znów człowiekiem w nieokreślonym wieku, który stoi na żelaznym moście i przygląda się od środka i od zewnątrz osobliwej przemianie. Gdyby ta książka nie wpadła mi w ręce akurat w tym momencie, chyba bym oszalał. Nadeszła w momencie, w którym kolejny wielki świat kruszył mi się w rękach. Nawet gdybym z tej książki nic a nic nie zrozumiał, gdybym zachował w pamięci tylko jedno słowo „twórcza”, to i tak by wystarczyło. To słowo stało się moim talizmanem. Z nim potrafiłem wyrzec się całego świata, zwłaszcza przyjaciół.

Bywają takie chwile, kiedy człowiek musi zerwać z przyjaciółmi, żeby zrozumieć sens przyjaźni. Może to dziwnie zabrzmieć, ale odkrycie tej książki równało się odkryciu broni, narzędzia, za pomocą którego mogłem się odciąć od wszystkich otaczających mnie przyjaciół, bo przestali cokolwiek dla mnie znaczyć. Ta książka zastąpiła mi przyjaciela, bo nauczyła mnie, że przyjaciele nie są mi potrzebni. Dała mi siłę trwania w samotności i pozwoliła mi tę samotność docenić. Nigdy tej książki nie rozumiałem; czasem nawet odnosiłem wrażenie, że ją rozumiem, ale się myliłem. Ważniejsze było dla mnie, żeby jej nie rozumieć. Kiedy czytałem ją na głos przyjaciołom, wypytywałem ich, tłumaczyłem im, pojąłem jasno, że nie mam przyjaciół, że jestem w świecie sam. Mimo że ani ja, ani moi przyjaciele nie rozumieliśmy znaczenia słów, jedno wyszło bardzo wyraźnie na jaw, mianowicie, że istnieje wiele sposobów nierozumienia, różnice zaś między nierozumieniem jednego człowieka a nierozumieniem kogoś drugiego tworzą świat *terra firma*, jeszcze trwalszy niż różnice w rozumieniu. Załamało się wszystko, co dawniej niby to rozumiałem, zostałem więc z czystą kartą. Z drugiej strony, moi przyjaciele okopywali się jeszcze bardziej w dołku rozumienia, który sami sobie wykopali. Umierali wygodnie w swoich łózkach rozumienia, aby się stać użytecznymi obywatelami świata. Współczułem im, lecz w krótkim czasie porzuciłem ich jednego po drugim bez krztyny żalu.

Co zatem kryło się w tej książce, że tyle dla mnie znaczyło, a zarazem pozostawało niejasne? Wróć do słowa „twórcza”. Jestem pewien, że cały sekret leży w uprzytomnieniu sobie znaczenia tego słowa. Kiedy teraz myślę o tej książce i o swoim do niej stosunku, staje mi przed oczyma człowiek, który przechodzi obrzęd wtajemniczenia. Dezorientacja i reorientacja, związane z wtajemniczeniem w sekret, to najcudowniejsze przeżycie, jakiego można doznać. Wszystko, co umysł wypracował przez całe życie w celu asymilacji, kategoryzacji i syntetyzacji, należy rozebrać na części i uporządkować na nowo. Przeprowadzka duszy! Przy czym nie trwa ona dzień, lecz tygodnie i miesiące. Człowiek przypadkiem spotyka na ulicy przyjaciela, którego nie widział od kilku miesięcy, a już tamten stał mu się całkiem obcy. Daje mu się kilka znaków z nowej grzędy, a jeśli nie złapie, w czym rzecz, porzuca się go - na dobre. Przypomina to czyszczenie pola bitwy: wszystkich bezpowrotnie okaleczonych i dogorywających załatwia się jednym szybkim uderzeniem pałki. Człowiek idzie naprzód, do nowych pól bitewnych, do nowych tryumfów albo porażek. Ale idzie naprzód! A wraz z nim idzie naprzód cały świat, i to z przerażającą dokładnością. Szuka się nowych pól działania, nowych przedstawicieli rodzaju ludzkiego, których się cierpliwie uczy i wyposaża w nowe symbole. Czasami wybiera się tych, na których przedtem nigdy by się nie spojrzano. Próbuje się wszystkiego i wszystkich w swoim zasięgu, jeżeli nie dostąpili objawienia.

Tak oto znalazłem się w pokoju przeróbek krawieckich w zakładzie mojego ojca, gdzie przesiadywałem i czytałem na głos zatrudnionym tam Żydom. Czytałem im tę swoją nową Biblię, tak jak chyba święty Paweł musiał przemawiać do swoich uczniów. Z tą jedną przewagą, a jakże, że tamci nieszczęśni Żydzi nie umieli czytać po angielsku. Przede wszystkim zwracałem się do krojczego Buncheka, który miał rabiniczną głowę. Po otwarciu książki wybierałem na chybił trafił jakiś ustęp i czytałem im go, przekładając od razu na przystępny, niemal prymitywny angielski. Następnie usiłowałem tłumaczyć, dobierając przykłady i analogie spośród bliskich im spraw. Zdumiewało mnie to, jak dużo rozumieli, o ile więcej niż, powiedzmy, profesor uniwersytecki, pisarz czy jakikolwiek wykształcony człowiek. To, co rozumieli, nie miało, rzecz jasna, nic wspólnego z samą książką Bergsona, ale czyż nie na tym polega rola takiej właśnie książki? Sam ją rozumiem w ten sposób, że książka jako taka znika z pola widzenia, zostaje pożarta żywcem, przetrawiona i wchłonięta przez organizm jako ciało i krew, które z kolei dają początek nowemu duchowi i przekształcają świat. Było to wielkie święto komunii, w której uczestniczyliśmy wszyscy przy czytaniu tej książki, a już zupełnie wyjątkowy był rozdział na temat nieładu, gdyż przeniknąwszy mnie na wylot, dał mi tak wspaniałe poczucie porządku, że gdyby raptem

kometa spadła na ziemię i wszystko rozbebeszyła, przewróciła do góry nogami, wyróciła na nice, mógłbym w okamgnieniu przestawić się na nowy porządek. Opuściły mnie wszelkie złudzenia i wszelki strach przed nieładem, podobnie jak wcześniej przed śmiercią. Labirynt stał się moją krainą szczęśliwości, a im bardziej się zagłębiam w ową gmatwaninę, tym lepszą zyskuję orientację.

Z *Ewolucją twórczą* pod pachą wsiadam po pracy do kolejki nadziemnej przy Moście Brooklyńskim i rozpoczynam podróż do domu w kierunku cmentarza. Czasem wsiadam na ulicy Delancey, w samym sercu getta, po długim spacerze zatłoczonymi ulicami. Wsiadam do kolejki pod ziemią niczym robak przepuszczany przez kiszki. Za każdym razem, kiedy zajmuję miejsce w tłumie, który kłębi się na peronie, wiem, że jestem tam najbardziej wyjątkowym osobnikiem. Patrzę na wszystko, co się wokół mnie dzieje, jak obserwator z innej planety. Trzymam pod pachą swój język, swój świat. Jestem strażnikiem wielkiej tajemnicy; gdybym otworzył usta i zaczął mówić, wstrzymałbym cały ruch. Gdyż to, co miałbym do powiedzenia, i to, co w sobie tłumię codziennie w drodze do biura i z powrotem, stanowi absolutny dynamit. Jak dotąd, nie dojrzałem, żeby rzucić swoją laskę dynamitu. Obracam go w myślach z namysłem, z zadumą, z rozważą. Jeszcze pięć, a może dziesięć lat i zmiotę tych wszystkich ludzi co do jednego. Kiedy pociąg szarpie gwałtownie na zakręcie, mówię sobie - świetnie! wyskocz z szyn, zniszcz ich na miejscu! Nigdy nie myślę o tym, że gdyby pociąg wypadł z szyn, sam znalazłbym się w niebezpieczeństwie. Jesteśmy sprasowani jak sardynki, cała ta rozgrzana tłuszczą, przyciśnięta do mnie, rozprasza moją uwagę. Uświadamiam sobie, że para nóg owinęła się wokół moich. Spoglądam w dół na dziewczynę siedzącą naprzeciwko, patrzę jej prosto w oczy i wciskam kolana głębiej w jej krocze. Dziewczyna zaczyna się wiercić niespokojnie na siedzeniu, wreszcie zwraca się do dziewczyny siedzącej obok ze skargą, że ją molestuje. Pasażerowie wokół patrzą na mnie wrogo. Wyglądam niewinnie przez okno, udaję, że niczego nie słyszałem. Nawet gdybym chciał, nie mógłbym przesunąć nóg. Jednakże dziewczynie udaje się stopniowo, zdecydowanymi ruchami, wyplątać swoje nogi z moich. Znajduję się teraz niemal w tej samej sytuacji w dziewczyną siedzącą obok tamtej, z tą, która musiała wysłuchać jej skarg. I prawie od razu czuję sympatyczny dotyk, po czym, ku swojemu zaskoczeniu, słyszę, jak ta mówi tamtej, że nic tu nie można poradzić, że to nie jest wina tego pana, tylko wina kolei, bo nas tak załadowała jak owce. I znów czuję drzenie jej nóg przy swoich, ciepły, ludzki napór, zupełnie jak uścisk dłoni. Jedyłą wolną ręką udaje mi się otworzyć książkę. Mam w tym dwojaki cel: po pierwsze, chcę, żeby dziewczyna zobaczyła, co czytam, po drugie, mam ochotę prowadzić tę rozmowę nóg nie zwracając niczyjej uwagi. Udaje mi się kapitalnie.

Kiedy w pociągu trochę się rozluźnia, zajmuję miejsce koło dziewczyny i wdaję się z nią w rozmowę - oczywiście o książce. Jest to namiętna Żydówka o ogromnych wodnistych oczach i szczerości, którą taka zmysłowość wyzwała. Kiedy dziewczyna musi wysiąść, idziemy oboje pod rękę ulicami, odprowadzam ją do domu. Zbliżam się niemal do obrzeży mojej dawnej dzielnicy. Wszystko jest mi tu znajome, choć przy tym odstręczająco obce. Od wielu lat nie chodziłem tymi ulicami, a teraz idę sobie z młodą Żydóweczką z getta, z piękną dziewczyną o silnym żydowskim akcencie. Wyraźnie od niej odstaję. Czuję, że oglądają się za nami przechodnie. Jestem intruzem, gojem, który trafił do tej dzielnicy, żeby poderwać niezłą, dorodną dupę. Ona natomiast wydaje się dumna ze swego podboju; chwali się mną przed swoimi znajomymi. Patrzcie, kogo poderwałam w pociągu, wykształconego szarmanckiego goja! Niemal słyszę, jak sobie tak myśli. Idąc powoli lustruję wzrokiem okolice, rejestruję wszystkie konkretne szczegóły, które zadecydują o tym, czy wpadnę do niej po kolacji, czy nie. Kwestia wspólnej kolacji jest już przesądzona, chodzi tylko o porę i miejsca spotkania, no i jak do tego podejmiemy, bo już prawie pod domem wyznaje, że ma męża, który jest objazdowym handlarzem, musi więc zachować ostrożność. Zgadzam się wrócić później, spotkamy się na rogu przed sklepem ze słodyczami o umówionej godzinie. Jeżeli mam ochotę przyprowadzić kolegę, ona przyprowadzi koleżankę. Nie, uznaję, że wolę się z nią spotkać sam na sam. Umowa stoi. Dziewczyna ściska mi rękę i szybko znika w brudnym hallu. Pędzę z powrotem do kolejki nadziemnej, prosto do domu, żeby prędko zjeść obiad.

Letni wieczór, wszystko otwarte na oścież. Kiedy jadę z powrotem na spotkanie, cała przeszłość miga jak w kalejdoskopie. Tym razem zostawiłem książkę w domu. Bo teraz ruszam na podbój cipy, książka mi nie w głowie. Znow się znajduję po tej stronie linii granicznej, kolejne stacje przemykają z wizgiem obok, przez co kurczy się mój świat. Zanim docieram do celu podróży, znow jestem niemal dzieckiem, dzieckiem przerażonym przemianą, która się dokonała. Co mi się stało, mężczyźnie z Czternastego Oddziału, że wyskakuję na tej stacji w pogoni za żydowską cipą? A jeśli nawet ją przerznę, to co dalej? Co mam takiej dziewczynie do powiedzenia? Co mi po pierdoleniu, skoro w istocie chodzi mi o miłość? Tak, nagle spada to na mnie niczym tornado... Una, dziewczyna, którą niegdyś kochałem, dziewczyna, która mieszkała tu w okolicy, Una o wielkich niebieskich oczach i lnianych włosach, Una, na której widok drżałem, Una, którą bałem się pocałować czy nawet wziąć za rękę. Gdzie jest Una? Tak, naraz obezwładnia mnie paląca kwestia: gdzie jest Una? Po kilku sekundach jestem kompletnie rozłożony, kompletnie zagubiony, opuszczony, pograżony w najpotworniejszym niepokoju i w rozpacz. Jak mogłem pozwolić jej odejść?



Dlaczego? Co się stało? Kiedy to się stało? Myślałem o niej jak wariat dzień i noc, rok w rok, po czym niepostrzeżenie umknęła mi z głowy, ot tak, niczym cenciak wypadający z dziurawej kieszeni. Coś niesłychanego, koszmarnego, szalonego. Przecież wystarczyło poprosić ją o rękę, zaproponować ślub - nic więcej. Gdybym się oświadczył, od razu by się zgodziła. Kochała mnie, i to kochała do szaleństwa. No właśnie, przypominam sobie, przypominam, jak na mnie patrzyła przy naszym ostatnim spotkaniu. Żegnałem się z nią, bo jeszcze tego samego wieczoru wyjeżdżałem do Kalifornii, zostawiałem wszystkich, żeby rozpocząć nowe życie. Tyle że nigdy nie miałem zamiaru tego nowego życia podjąć. Zamierzałem jej się oświadczyć, ale ta wierutna, wyssana z palca bajka tak gładko przeszła mi przez usta, że sam w nią uwierzyłem, toteż pożegnałem się i odszedłem, a ona tam stała patrząc za mną, czułem, jak jej oczy przeszywają mnie na wylot, słyszałem, jak w środku coś w niej wyje, ja jednak maszerowałem naprzód jak automat, w końcu skręciłem za róg i tak się to skończyło. Do widzenia! Ot tak, po prostu. Jak w malignie. A przecież miałem jej powiedzieć - chodź do mnie! Chodź do mnie, bo dłużej nie mogę bez ciebie żyć!

Jestem taki słaby, taki chwiejny, że z ledwością schodzę po schodach El. Teraz już wiem, co się stało - przekroczyłem linię graniczną! Ta Biblia, którą wszędzie ze sobą noszę, ma mnie pouczać, wtajemniczać w nowe życie. Nie ma już świata, który znałem, przestał istnieć, skończył się, przeminął. A wraz z nim przeminęło wszystko to, czym byłem. Jestem zewłokiem, który dostaje zastrzyk nowego życia. Jestem radosny i błyszczący, rozplamiony nowymi odkryciami, w środku jednak nadal czuję olów, nadal czuję żużel. Zaczynam płakać - właśnie tam na stopniach El. Szlocham głośno jak dziecko. Teraz uświadamiam sobie z całą wyrazistością: jesteś sam na świecie! Jesteś sam... sam... sam. Jak to gorzko być tak samemu... gorzko, gorzko, gorzko, gorzko. Nie ma temu końca, nie sposób tego wyjaśnić, taki jest los wszystkich ludzi na ziemi, a zwłaszcza mój... zwłaszcza mój. I znów przemiana. I znów wszystko chwieje się i przechyla. Znów jestem we śnie, bolesnym, delirycznym, przyjemnym, oszalamiającym śnie przekroczenia granicy. Stoję na środku pustego placu, ale nie widzę domu. Bo go nie mam. Sen był mirażem. Na pustym placu nigdy nie było żadnego domu. Dlatego nie mogłem doń wejść. Mój dom nie jest z tego świata ani z tamtego. Jestem człowiekiem bez domu, bez przyjaciela, bez żony. Jestem potworem, który należy do rzeczywistości jeszcze nie istniejącej. Ale przecież ona istnieje, będzie istnieć, mam co do tego pewność. Idę teraz szybkim krokiem, ze spuszczoną głową, mruczę coś sobie pod nosem. Tak dalece zapomniałem o swojej randce, że nawet nie zauważyłem, czy minąłem tę dziewczynę, czy też nie. Nie wykluczone, że minąłem. Niewykluczone, że patrzyłem wprost na nią i jej nie poznałem. Niewykluczone, że i ona mnie nie poznała. Jestem szalony, szalony

z bólu, szalony z niepokoju. Jestem w rozpacz. Ale nie jestem zagubiony. Bo istnieje przecież rzeczywistość, do której należę. Tyle że bardzo, ale to bardzo daleko. Mogę tak chodzić ze spuszczoną głową aż do sądnego dnia i nigdy tej rzeczywistości nie znaleźć. Ale ona istnieje, nie mam co do tego wątpliwości. Patrzę na ludzi morderczym wzrokiem. Gdybym mógł rzucić bombę i wysadzić całą tę dzielnicę w powietrze, to bym rzucił. Byłbym szczęśliwy widząc, jak wszystko wylatuje do góry z jękiem, pokierszowane, porozrywane, zniweczone. Chciałbym zniweczyć całą kulę ziemską. Wcale nie czuję się jej częścią. Jest bowiem od początku do końca obłąkana. Cały ten konkurs strzelecki. To wielki kawał zeschłego sera, w którym uczują robaki. Ja pierdołę! Niech to wszystko idzie w diabły! Zabić, zabić, zabić: zabić ich wszystkich, Żydów i gojów, młodych i starych, dobrych i złych...

Czuję się lekki, lekki jak piórko, krok mam coraz bardziej stabilny, opanowany, równy. Jaki piękny wieczór! Gwiazdy świecą tak jasno, tak spokojnie, tak odległe. Nie tyle ze mnie szydzą, ile przypominają mi o daremności wszystkiego dokoła. Kim jesteś, młody człowieku, żebyś miał mówić o ziemi, o wysadzaniu wszystkiego w powietrze? Młody człowieku, wisimy tu od milionów, miliardów lat. Widzieliśmy wszystko, wszyściuteńko, a przecież co wieczór spokojnie świecimy, oświetlamy drogę, koimy serca. Rozejrzyj się wokół siebie, młody człowieku, zobacz, jakie wszystko jest stateczne i piękne. Widzisz, nawet śmiecie z rynsztoka wyglądają pięknie w tym świetle. Podnieś liść kapusty, potrzymaj go delikatnie w ręce. Schylam się po liść kapusty leżący w rynsztoku. Ma dla mnie zupełnie nowy wygląd, zawiera w sobie cały wszechświat. Odrzynam kawałek i dokładnie mu się przyglądam. Nadal wszechświat. Nadal niewymownie piękny i zagadkowy. Prawie się wstydzę wyrzucić go z powrotem do rynsztoka. Schylam się i kładę go delikatnie na innych odpadkach. Ogarnia mnie zaduma i wielki spokój. Kocham wszystkich na świecie. Wiem, że w tej właśnie chwili jest gdzieś kobieta, która na mnie czeka, jeżeli więc będę postępował bardzo rozważnie, bardzo łagodnie, bardzo powoli, to do niej dotrę. Będzie stała, powiedzmy, na rogu, a kiedy się zbliżę, natychmiast mnie pozna. Wierzę w to, Bóg mi świadkiem! Wierzę, że wszystko jest sprawiedliwe i uporządkowane. Mój dom? Toż to świat - cały świat! Wszędzie się czuję jak u siebie w domu, chociaż wcześniej o tym nie wiedziałem. Lecz teraz wiem. Znikła linia graniczna. Bo nigdy jej nie było: sam ją stworzyłem. Idę ulicami wolno i spokojnie. Ukochanymi ulicami. Którymi chodzą wszyscy i wszyscy cierpią, tyle że tego nie okazują. Kiedy przystaję i opieram się o latarnię uliczną, żeby zapalić papierosa, nawet latarnia wydaje mi się życzliwa. Wcale nie jest przedmiotem z żelaza - ale tworem umysłu ludzkiego, ukształtowanym w określony sposób, wygiętym i uformowanym ludzkimi rękami,

zapalona ludzkim oddechem, ustawiona ludzkimi rękami i nogami. Obracam się i głaszczę żelazną powierzchnię. Mam wrażenie, że do mnie przemawia. To ludzka latarnia. Należy tutaj podobnie jak liść kapusty, jak podarte skarpetki, jak materac, jak kuchenny zlew. Wszystko stoi w określony sposób na określonym miejscu, tak jak nasz umysł pozostaje w określonym stosunku do Boga. Świat, w swojej widzialnej, namacalnej masie stanowi mapę naszej miłości. To nie Bóg, lecz życie jest miłością. Miłość, miłość, miłość. A w najbardziej wyśrodkowanym środku tego wszystkiego kroczy młody człowiek, czyli ja, Gottlieb Leberecht Müller we własnej osobie.

Gottlieb Leberecht Müller! Tak nazywa się człowiek, który utracił własną tożsamość. Nikt nie potrafił mu powiedzieć, kim on jest, skąd przybył ani co się z nim stało. W kinie, gdzie zetknąłem się z tym osobnikiem po raz pierwszy, sugerowano, że miał wypadek podczas wojny. Ale kiedy rozpoznałem siebie na ekranie, wiedząc, że nie brałem udziału w żadnej wojnie, zrozumiałem, że autor wymyślił tę fikcyjkę, żeby mnie nie demaskować. Często zapominam, który to jest ten prawdziwy ja. Często we śnie wypijam, jak to się mówi, eliksir zapomnienia i błąkam się opuszczony, pogrążony w rozpacz, szukając własnego ciała i nazwiska. Czasem też sen od rzeczywistości dzieli jedynie najcieńsza z nici. Czasem, gdy ktoś do mnie mówi, wyskakuję z butów i niczym roślina unoszona z prądem rzeki rozpoczynam własną podróż wykorzenionej jaźni. W tym stanie potrafię sprostać codziennym wymogom życia - umiem na przykład znaleźć sobie żonę, zostać ojcem, utrzymywać rodzinę, zabawiać przyjaciół, czytać książki, płacić podatki, odbywać służbę wojskową i tak dalej, i tak dalej. W tym stanie - w miarę potrzeby - potrafię zabić z zimną krwią dla dobra własnej rodziny, w obronie własnego kraju bądź z jakiegokolwiek stosownego powodu. Jestem zwykłym, szarym obywatelem, który nosi określone nazwisko i dostaje numer paszportu. Nie jestem ani trochę odpowiedzialny za swój los.

Po czym pewnego dnia, bez najmniejszego ostrzeżenia, budzę się, rozglądam i nie rozumiem, co się wokół mnie dzieje, nie rozumiem własnego zachowania ani zachowania sąsiadów, nie rozumiem też, dlaczego rządy prowadzą akurat wojny albo ogłaszają pokój, cokolwiek akurat trwa. W takich chwilach rodzę się na nowo, rodzę ochrzczony swoim prawowitym imieniem: Gottlieb Leberecht Müller! Wszystko, co robię pod swoim prawowitym imieniem, zyskuje miano obłędu. Ludzie wykonują ukradkowe znaki za moimi plecami, a czasem nawet przed moim nosem. Jestem zmuszony zerwać z przyjaciółmi, rodziną, ukochanymi. Jestem zmuszony zwinąć obóz. I znów, naturalnie jak we śnie, dryfuję z prądem, zwykle idę autostradą, twarz mam zwróconą ku chyłacemu się słońcu. Wyostrzają

mi się zmążył. Jestem najłagodniejszym, najbardziej jedwabistym i chytrym ze zwierząt - a zarazem jestem, można by rzec, świętym człowiekiem. Wiem, jak sobie radzić. Wiem, jak unikać pracy, unikać powikłanych związków, unikać litości, współczucia, odwagi i wszelkich innych pułapek. Trwam w danym miejscu lub przy danej osobie, dopóki nie dostanę tego, czego pragnę, a potem znów odchodzę. Nie mam żadnego planu: wystarczy mi bezcelowa włóczęga. Jestem wolny jak ptak, pewny jak ekwilibrysta. Manna leci z nieba: dość, że wyciągam ręce i przyjmuję. A wszędzie zostawiam po sobie najmielsze wspomnienia, jak gdybym przyjmując te obsypujące mnie dary, naprawdę wyrządzał innym przysługę. Kochające ręce zajmują się nawet moją brudną bielizną. Bo wszyscy kochają kogoś, kto dobrze żyje! Gottlieb! Co za piękne imię! Gottlieb! W kółko je sobie powtarzam. Gottlieb Leberecht Müller!

W takim stanie zawsze kumałem się ze złodziejami, łobuzami i mordercami, a jacy oni byli dla mnie dobrzy i uprzejmi! Jak bracia. Bo czyż nimi nie są? Czyż nie jestem winien wszystkich zbrodni i czyż za nie wszystkie nie wycierpiałem? I czy to właśnie nie przez swoje zbrodnie czuję tak silną więź ze swoimi pobratymcami? Zawsze kiedy widzę błysk rozpoznania w oczach drugiego człowieka, czuję tę tajemną więź. Tylko w oczach sprawiedliwych nie zapala się nigdy błysk. Tylko sprawiedliwi nigdy nie poznają tajemnicy ludzkiego pobratymstwa. Tylko sprawiedliwi popełniają zbrodnie przeciwko człowiekowi, sprawiedliwi są prawdziwymi potworami. Tylko sprawiedliwi żądają naszych odcisków palców, dowodzą nam, że umarliśmy, nawet jeżeli jako żywo przed nimi stoimy. Tylko sprawiedliwi narzucają nam dowolne imiona, imiona fałszywe, wpisują do rejestru fałszywe daty i grzebią nas żywcem. Wolę zatem złodziei, łobuzów, morderców, chyba że trafię na człowieka swojego pokroju, swojej klasy.

Dotąd go nie znalazłem! Nie znalazłem kogoś tak hojnego jak ja, tak skłonnego do wybaczenia, tak tolerancyjnego, tak lekkomyślnego, tak nonszalanckiego, o tak czystym sercu. Wybaczam sobie wszystkie popełnione zbrodnie. Czynię to dla dobra ludzkości. Wiem, co to znaczy być człowiekiem, znam plusy i minusy tego stanu. Ta świadomość przysparza mi cierpienia, ale też się nią upajam. Gdybym miał okazję zostać Bogiem, to bym ją odrzucił. Gdybym miał okazję zostać gwiazdą, to bym ją odrzucił. Najcudowniejsza szansa, jaką oferuje życie, to być człowiekiem. Pozwala ogarnąć cały wszechświat. Łącznie ze świadomością śmierci, która nie cieszy nawet Boga.

W chwili gdy piszę tę książkę, jestem człowiekiem, który ochrzcił się sam na nowo. Minęło już wiele lat, tyle się od tamtej pory zdarzyło, że trudno mi wrócić do owej chwili i odtworzyć drogę Gottlieba Leberechta Müllera. Może jednak uda mi się na coś naprowadzić,

jeżeli powiem, że człowiek, którym dzisiaj jestem, zrodził się z rany. Ta rana doszła mi do serca. Prawem ludzkiej logiki powinienem dawno nie żyć. W istocie wszyscy, którzy mnie niegdyś znali, uznali mnie za nieboszczyka, krążyłem wśród nich jak duch. Mówiąc o mnie używali czasu przeszłego, litowali się nade mną, grzebali coraz głębiej. Pamiętam jednak, jak się wówczas śmiałem, jak kochałem się z innymi kobietami, jak smakowałem w jedzeniu i picciu, jak rozkoszowałem się miękkim łóżkiem, do którego przyłgnałem niczym maniak. Coś mnie zabiło, a mimo to żyłem. Tyle że żyłem bez pamięci, bez imienia; byłem odcięty od nadziei, a także od skrupułów i skruchy. Nie miałem przeszłości, i zapewne nie będę miał przyszłości; pogrzebano mnie żywcem w pustce, która była raną, jaką mi zadano. Sam byłem tą raną.

Jeden z moich przyjaciół czasem mi opowiada o cudzie na Golgocie, z czego nic a nic nie rozumiem. Wiem jednak co nieco o cudownej ranie, jaką odniosłem, o ranie, która zabiła mnie w oczach świata i z której zrodziłem się i ochrzciłem na nowo. Wiem coś o cudzie tej rany, którą przeżyłem i która się zagoiła wraz z moją śmiercią. Mówię o tym jak o czymś dawno minionym, ale to wciąż we mnie tkwi. Wszystko jest dawno minione i na pozór niewidzialne, niczym konstelacja, która zapadła raz na zawsze za horyzontem.

Fascynuje mnie, że wszystko tak martwe i pogrzebane jak ja można wskrzesić, i to nie tylko raz, lecz niezliczoną ilość razy. W dodatku za każdym razem, kiedy nikałem, zagłębiałem się coraz bardziej w pustkę, toteż z każdym aktem wskrzeszenia cud się powiększał. I nigdy żadnych stygmatów! Człowiek odradza się zawsze jako ten sam człowiek, z każdym odrodzeniem coraz bardziej staje się sobą. Za każdym razem zrzuca tylko skórę, a wraz z nią swoje grzechy. Człowiek umiłowany przez Boga to człowiek żyjący dobrze. Człowiek umiłowany przez Boga to cebula o milionie łupin. Zrzucenie pierwszej warstwy przysparza niewymownego cierpienia; następna warstwa jest już mniej bolesna, następna jeszcze mniej, aż wreszcie ból staje się przyjemny, coraz przyjemniejszy, przechodzi w rozkosz, w ekstazę. Dalej nie ma już ani przyjemności, ani bólu, tylko po prostu ciemności ustępujące przed światłem. I kiedy ciemności ulegają rozproszeniu, wyłania się z ukrycia rana: rana, która jest człowiekiem, miłością ludzką, skąpana w świetle. Wraca utracona tożsamość. Człowiek wychodzi ze swej otwartej rany, z grobu, który tak długo w sobie nosił.

Widzę ją teraz pogrzebaną w grobowcu mojej pamięci, tę, którą kochałem bardziej niż wszystkie inne, bardziej niż cały świat, bardziej niż Boga, bardziej niż własne ciało i krew. Widzę, jak się jątrzy w krwawej ranie miłości, tak mi bliska, że trudno ją odróżnić od samej rany. Widzę, jak się szamocze, żeby się oswobodzić, oczyścić z bólu miłości, a z każdym podrygiem zapada się znów w ową ranę, wije się ubabrana we krwi, zdławiona. Widzę w jej

oczach trwogę, niemy żalorny ból, wzrok zwierzęcia schwytanego w pułapkę. Widzę, jak rozwiera nogi dla wyzwolenia, a każdy orgazm niesie jęk udręki. Słyszę, jak wałą się mury, mury nas przygniatają, dom staje w płomieniach. Słyszę, jak tamci wołają nas z ulicy, wzywają do pracy, wzywają do broni, ale my tkwimy przygwożdżeni do podłogi, gdzie gryzą nas szczury. Grób i łono miłości grzebią nas jak w mogile, noc napełnia nam trzewia, gwiazdy skrzą się nad czarnym, bezdennym jeziorem. Ulatują mi z pamięci słowa, umyka jej imię, choć powtarzałem je jak monoman. Zapomniałem, jak wyglądała, jaka była w dotyku, jak pachniała, jak się pieprzyła wnikając coraz głębiej w noc niezgłębionej pieczary. Podążałem za nią do najgłębszej dziury jej istnienia, do kostnicy jej duszy, do oddechu, który jej jeszcze nie zgasł na ustach. Szukałem uporczywie tej, której imienia nigdzie nie zapisano, dotarłem do samego ołtarza i co znalazłem - nic. Owinąłem się wokół tej pustej skorupy nicości jak wąż gwałtownymi splotami; przez sześć wieków leżałem spokojnie nie oddychając, a wydarzenia świata przesiewały się aż do dna tworząc oślizgłe podłoże śluzu. Widziałem, jak konstelacje wywiercają wielką dziurę w suficie wszechświata; widziałem inne planety i czarną gwiazdę, która miała mnie wyzwolić. Widziałem, jak Smok wyswobadza się od dharmy i karmy, widziałem, jak nowa rasa ludzka dusi się w żółtku przyszłości. Przebadałem wszystkie znaki i symbole, lecz nie potrafiłem odczytać jej twarzy. Widziałem jedynie lśniące oczy świdrujące na wylot, wielkie, pełne, jaskrawe piersi, jak gdybym za nimi płynął w elektrycznych upustach jej rozżarzonej wizji.

Jak ona mogła się tak rozrosnąć poza wszelkie ramy świadomości? Jakim nieogarnionym prawem tak się rozpostarła na obliczu świata, że obnażała wszystko, a zarazem ukrywała siebie? Była schowana w obliczu słońca niczym księżyc w eklipsie; była lustrem, które utraciło rtęć, lustrem, które pochłania zarówno obraz, jak i strach. Kiedy patrzyłem w głąb jej oczu, w mięsiste, przezroczyste ciało, widziałem strukturę mózgu wszelkich formacji, wszelkich powiązań, wszelkiej efemeryczności. Widziałem mózg w mózgu, nieskończoną maszynę w nieskończonym ruchu, słowo Nadzieja obracające się na rożnie, opiekane, ociekające tłuszczem, kręcące się bez końca w jamie trzeciego oka. Słyszałem jej sny mamrotane w zaginionych językach, zdławione krzyki pobrzmiwające w drobnutkich szczelinach, jęki, oddechy, westchnienia rozkoszy, świst smagających batów. Słyszałem, jak wzywa mnie po imieniu, którego jeszcze nie wypowiedziałem, słyszałem, jak klnie i wrzeszczy z oburzenia. Słyszałem wszystko powiększone tysiąckrotnie, niczym człowieczek zamknięty we wnętrzu organów. Złapałem stłumiony oddech świata, jak gdyby uwięziony na rozstajach dźwięku.

Tak chodziliśmy, spaliśmy, jedliśmy, zawsze razem, bliźniaki syjamskie, które

połączyła Miłość i tylko Śmierć może rozdzielić.

Chodziliśmy do góry nogami, ręka w rękę, po szyjce od butelki. Prawie zawsze ubierała się na czarno, pomijawszy sporadyczne akcenty fioletu. Nie nosiła bielizny, tylko prostą suknię-rurę z czarnego aksamitu nasyconego diabolicznymi perfumami. Chodziliśmy do łóżka o świcie, a wstawaliśmy, kiedy zaczynało zmierzchać. Mieszkaliśmy w czarnych dziurach przy zaciągniętych storach, jedliśmy z czarnych talerzy, czytaliśmy czarne książki. Wyglądaliśmy z czarnej dziury naszego życia w czarną dziurę świata. Słońce bezustannie było wyciemnione, jak gdyby chciało nas wesprzeć w naszych ustawicznych morderczych wysiłkach. Słońcem był nam Mars, księżycem Saturn; mieszkaliśmy na stałe w zenicie podziemia. Ziemia przestała się kręcić, przez dziurę w niebie nad nami wзираła czarna gwiazda, która nigdy nie mrugała. Czasami miewaliśmy napady śmiechu, wariackiego żabiego rechotu, który przyprawiał sąsiadów o dreszcze. Czasami śpiewaliśmy opętańczo, fałszując, na całe gardło. Tkwiliśmy w zamknięciu przez całą długą ciemną noc duszy, okres niewymiernego czasu, który zaczynał się i kończył na wzór eklipsy. Kręciliśmy się wokół swoich ego niczym upiorne satelity. Byliśmy wiecznie pijani naszym obrazem, który widzieliśmy patrząc sobie nawzajem w oczy. Jak więc wyglądaliśmy dla innych? Tak jak zwierzę wygląda dla rośliny, tak jak gwiazdy wyglądają dla zwierzęcia. Albo tak jak Bóg wyglądałby dla człowieka, gdyby diabeł dał mu skrzydła. Przy tym wszystkim w stałej, bliskiej intymności bezkresnej nocy ona była promienna, rozradowana, płynęła z niej superczarna radość jak powolny wyciek spermy byka mitraickiego. Miała dwie lufy jak dubeltówka, byczyca z palnikiem acetylenowym w łonie. Podczas rui koncentrowała się na wielkim kosmokratorze, przewracała oczami ukazując białka, usta miała pełne śliny. W ślepej dziurze seksu tańczyła walca niczym tresowana mysz, szczęki rozluźnione jak u węża, ciało pokryte gęsią skórką, pięknie upierzoną. Kipiała w niej nienasycona żądza jednorożca, silne pragnienie, które doprowadziło Egipcjan do upadku. Nawet dziura w niebie, przez którą przeświecały matowe gwiazdy, ginęła w jej furii.

Żyliśmy przywarci do sufitu, wokół unosiły się gorące, zjełczałe opary życia codziennego i nas dusiły. Żyliśmy w marmurowej rui, wznosząca się świetlistość ludzkiego ciała rozgrzewała węzowate sploty, w których tkwiliśmy zamknięci. Żyliśmy przykuci do najdalszych głębin, nasze skóry uwędzone na kolor szarego cygara oparami światowej namiętności. Niczym dwie głowy obnoszone na drzewcach przez naszych katów, krążyliśmy wolno i statecznie nad głowami i ramionami świata poniżej. Czymże było życie na stabilnej ziemi dla nas, pozbawionych głów i złączonych na zawsze genitaliami? Byliśmy bliźniaczymi wężami z rajy, rozświetlonymi w rui i chłodnymi jak sam chaos. Życie było ustawicznym

czarnym pierdoleniem się wokół stałego bieguna bezsenności. Życie było Skorpionem w koniunkcji z Marsem, w koniunkcji z Merkurym, w koniunkcji z Wenus, w koniunkcji z Saturnem, w koniunkcji z Plutonem, w koniunkcji z Uranem, w koniunkcji z rtercią, laudanum, radem, bizmutem. Wielka koniunkcja odbywała się co sobota wieczór, kiedy Lew chędożył Smoka w domu brata i siostry. Wielkim nieszczęściem był promień słońca przedzierający się przez zasłony. Wielkim przekleństwem był Jupiter, król ryb, bo mógł błysnąć łaskawym okiem.

Trudno mi o tym opowiadać, bo za dużo pamiętam. Pamiętam wszystko, tyle że jako kukła siedząca na podołku brzuchomówcy. Odnoszę takie wrażenie, jakbym przez to długie, nieprzerwane małżeńskie przesilenie siedział jej na podołku (nawet wtedy, gdy stała) i recytował kwestie, których mnie nauczyła. Odnoszę wrażenie, że musiała zavezwać głównego hydraulika Pana Boga, aby czarna gwiazda świeciła bez przerwy przez dziurę w suficie, musiała mu zlecić, żeby spadł deszczem wiekuistej nocy, a wraz z nim pełzające katusze sunęły bezszelestnie w ciemnościach, tak by umysł stał się wirującym szydłem ryjącym gorączkowo czarną nicość. Czy tylko mi się zdaje, że mówiła bez przerwy, czy też stałem się tak świetnie wyćwiczoną kukłą, że chwytałem myśl, zanim dotarła do jej ust? Wargi pięknie się rozchylały, wygładzały pod grubą warstwą ciemnej krwi; obserwowałem zafascynowany, jak się otwierają i zamykają, czy szeptały ze zmijowatą nienawiścią, czy też gruchały jak turkawka. Zawsze widziałem je w zbliżeniu jak w kadrze filmowym, toteż znałem wszystkie szczeliny, wszystkie pory, a kiedy się zaczynał histeryczny ślinotok, obserwowałem, jak ślina pieni się i paruje, zupełnie jakbym siedział w fotelu na biegunach pod wodospadem Niagara. Nauczyłem się, co robić, jakbym był częścią jej organizmu; byłem lepszy od kukły brzuchomówcy, bo potrafiłem działać, chociaż nikt mnie nie pociągał za sznurki. Czasami improwizowałem, co niekiedy sprawiało jej ogromną przyjemność; udawała, rzecz jasna, że nie dostrzega tych ingerencji, ale zawsze poznawałem, kiedy jest zadowolona, po tym, jak się wdzięczyła. Miała dar przeobrażeń; niemal równie szybkich i subtelnych, jak gdyby była diabłem wcielonym. Obok pantery i jaguara najlepiej jej wychodziły zachowania ptaków: dzikiej czapli, ibisa, flaminga, łabędzia w rui. Umiała tak jakoś nagle runąć, jak gdyby zauważyła smakowitą padlinę, dawała wtedy nura prosto w kiszki, rzucała się natychmiast na najlepsze kąski - serce, wątrobę czy jajniki i w okamgnieniu odlatywała. Jeżeli ktoś ją wypatrzył, leżała niewzruszona jak kamień u podnóża drzewa, z oczyma lekko przymkniętymi, ale przy tym znieruchomiałymi w przykuwającym spojrzeniu bazyliuszka. Wystarczyło ją lekko dźgnąć, a stawała się różą, najczarniejszą różą o wyjątkowo aksamitnych płatkach i odorującym zapachu. Zdumiewające, jak świetnie nauczyłem się



odczytywać znaki; choćby przeobrażenie było nie wiem jak raptowne, zawsze byłem tam na jej podołku, na podołku ptaka, zwierzęcia, węża, róży, nieważne: na podołku nad podołkami, na ustach nad ustami, czubek przy czubku, piórko przy piórku, jak żółtko jajka, perła w ostrydze, uścisk raka, posmak spermy i wezykatorii. Życie było Skorpionem w koniunkcji z Marsem, w koniunkcji z Wenus, z Saturnem, z Uranem i tak dalej; miłość była konkatenacją zuchw, capnij to, capnij tamto, capnij, capnij, zuchwowe cap-cap mandali żądy. Kiedy nadchodziła pora posiłku, już słyszałem, jak obiera jajka, a ze środka dochodzi pi-pi, dobry omen najbliższego posiłku. Jadłem jak monoman, z długotrwałą, podsycaną snem żarłocznością człowieka, który trzykrotnie przerywa post. Kiedy zaś jadłem, ona wydawała z siebie pomruki, rytmiczny drapieżny charkot sukuba pożerającego swoje małe. Co za rozkoszna noc miłości! Ślina, sperma, sukubacja, zapalenie zwieracza, wszystko za jednym zamachem: małżeńska orgia w Czarnej Dziurze Kalkuty.

Na zewnątrz wisiała czarna gwiazda, panislamska cisza, tak jak w jaskiniowym świecie, gdzie nawet wiatr milknie. Na zewnątrz, jeżeli śmiałem się weń zagłębić, upiorny spokój oblędu, ukołysany świat ludzi, wyczerpany stuleciami nieprzerwanych rzezi. Na zewnątrz jedna wielka skrwawiona, wszechobjmująca membrana, w której rozgrywała się wszelka działalność, bohaterski świat szaleńców i pomyleńców, co ugasili krwią światłości nieba. Jak błogie było nasze życie gołąbki i sępa w ciemnościach! Ciało, w którym można było zatopić zęby albo penisa, dorodne wonne ciało bez śladów noża lub nożyc, bez blizn po rozerwanym szrapnelu, bez oparzeń gazem musztardowym, bez piekących płuc. Wyjąwszy halucynacyjną dziurę w suficie, niemal idealne życie w łonie. Ale ta dziura tam była - niczym szczelina w pęcherzu - i żaden tampon nie zdołałby jej trwale zatamować, żaden mocz nie mógłby przejść bezboleśnie. Szczaj dużo i do woli, a jakże, tylko jak tu zapomnieć o komornym na dzwonnicy, o nienaturalnej ciszy, o zagrożeniu, strachu, zagładzie tego „drugiego” świata? Napełniaj brzuch, a jakże, jutro zresztą też, i jutro, i jutro, i jutro - ale co potem, na ostatku? Co znaczy na ostatku? Zmiana brzuchomówcy, zmiana podołka, przesunięcie osi, kolejna rysa w grobowcu... co? Co? Powiadam wam - kiedy tak siedziałem na jej podołku, sparaliżowany spokojnymi, kłującymi promieniami czarnej gwiazdy, obdarzony rogamami, uzdą, uwiązany i usidlony telepatyczną ostrością naszego wzajemnego podniecenia, nie myślałem o niczym, niczym spoza zajmowanej przez nas celi, nawet o okruszku na białym obrusie. Myślałem jedynie w obrębie czterech ścian naszego amebowego życia, czystą myślą, jaką nam dał Immanuel Ciapuś Kant, którą potrafi odtworzyć tylko kukielka brzuchomówcy. Przemyślałem wszystkie teorie naukowe, wszystkie teorie sztuki, każde ziarno prawdy w każdym podejrzanym systemie zbawienia. Oszacowałem wszystko co

do joty, z gnostycznymi dziesiętnymi włącznie, niczym wygraną, którą oblicza pijak pod koniec sześciodniowych zawodów. Wszystkie jednak szacunki dotyczyły następnego życia, które – być może - ktoś kiedyś przeżyje. Tkwiłiśmy w szyjce butelki, jak to się mówi, ona i ja, ale szyjka butelki została rozbita, butelka zaś była jedynie fikcją.

Pamiętam, jak mi powiedziała przy naszym drugim spotkaniu, że nie sądziła, iż mnie jeszcze zobaczy. Następnym razem oświadczyła, że miała mnie za narkomana, jeszcze następnym razem nazwała mnie bogiem, po czym usiłowała popełnić samobójstwo, po czym ja usiłowałem, po czym znów ona podjęła taką próbę, a wszystko zbliżało nas tylko bardziej do siebie, tak bardzo, że przelaliśmy się w siebie, zamieniliśmy się osobowościami, imionami, tożsamościami, wyznaniem, ojcami, matkami, braćmi. Nawet jej ciało przeszło radykalną zmianę, i to nie raz, lecz kilka razy. Z początku była duża i aksamitna niczym jaguar o jedwabistej, zwodniczej sile drapieżnych kotów, przyczajenie, skok, chwyt; potem stała się mizerna, krucha, delikatna, prawie jak bławatek, po czym z każdą kolejną zmianą następowały jeszcze subtelniejsze modulacje - skóry, mięśni, karnacji, postawy, zapachu, chodu, gestów i tak dalej. Zmieniała się jak kameleon. Nie sposób było stwierdzić, jaka jest naprawdę, bo przy każdym stawała się zupełnie inną osobą. Po pewnym czasie sama już nie wiedziała, jaka jest. Ten proces przemian zaczął się, zanim ją poznałem, o czym się dowiedziałem później. Tak jak wiele innych kobiet, które uważają się za brzydkie, pragnęła stać się piękna, olśniewająco piękna. W tym celu najpierw wyrzekła się własnego nazwiska, potem rodziny, przyjaciół, wszystkiego, co ją łączyło z przeszłością. Całą przymysłowość, wszystkie umiejętności skierowała na doskonalenie urody, wdzięku, których i tak los jej nie poskąpił, chociaż kazano jej wierzyć, że ich nie ma. Wciąż żyła przed lustrem, studiowała każdy swój ruch, każdy gest, każdy najłżejszy grymas. Zmieniła cały swój sposób mówienia: dykcję, intonację, akcent, frazeologię. Pilnowała się do tego stopnia, że niepodobna było poruszyć tematu jej początków. Wciąż miała się na baczności, nawet we śnie. I podobnie jak dobry generał prędko odkryła, że najlepsza obrona to atak. Nie zdarzało jej się zostawiać nie obsadzonych pozycji; wszędzie stacjonowały jej wysunięte posterunki, jej zwiady, jej warty. Głowa pracowała niby obracająca się bez przerwy latarnia o nie gasnącym świetle.

Ślepa na własną urodę, wdzięk, osobowość, nie mówiąc już o tożsamości, zaangażowała wszystkie siły w wykreowanie mitycznej istoty, takiej jak Helena albo Junona, której wdziękowi nie oprze się ni mężczyzna, ni kobieta. Bezwiednie, całkiem nieświadoma legendy, zaczęła pomału tworzyć ontologiczne tło, mityczny ciąg wydarzeń poprzedzających świadome narodziny. Nie musiała pamiętać własnych kłamstw i fikcji - wystarczyło, że nie traci z pamięci własnej roli. Nie powstrzymała się przed największym kłamstwem, w

przyjętej przez siebie roli była całkowicie wierna sobie. Nie musiała wymyślać przeszłości: pamiętała tę przeszłość, która do niej należała. Nie zbijało jej z tropu pytanie postawione wprost, bo i tak zawsze udzielała wymijających odpowiedzi. Odślaniała jedynie narożniki wiecznie obracających się faset, oślepiające wiązki światła, utrzymywane przez nią w ciągłym ruchu. Nigdy nie była istotą, którą można w końcu przyłapać na odpoczynku, lecz samym mechanizmem, poruszającym niestrudzenie miriady luster odbijających stworzony przez nią mit. Nie łapała nigdy równowagi; wiecznie zawieszona nad swoimi licznymi tożsamościami w pustce własnej jaźni. Nie pragnęła bynajmniej stać się legendarną postacią, zwyczajnie chciała, żeby doceniono jej urodę. Ale w tej pogoni za pięknem szybko zapomniała o celu tych poszukiwań, padła ofiarą własnego dzieła. Stała się tak oszalamiająco piękna, że czasami aż napawała trwogą, czasami zaś bywała po prostu brzydsza od najbrzydszej kobiety pod słońcem. Wyzwalała strach i przerażenie, zwłaszcza kiedy jej wdzięk osiągnął szczyty. Zupełnie jak gdyby wola, ślepa i nie kontrolowana, przeświecała przez dzieło stworzenia obnażając monstrum, którym jest niewątpliwie.

W ciemnościach, gdzie się zaszyla uwięziona w czarnej dziurze, odcięta od świata, wrogów, rywali, oślepiający dynamizm woli zwalniał nieco tempo, przydawał jej blasku topionej miedzi, słowa płynęły z ust niczym lawa, ciało szukało gwałtownie punktu oparcia, grzędy na czymś stabilnym i substancjalnym, czegoś, w czym mogłoby zaznać odnowy i znaleźć chwilę wytchnienia. Było w tym coś z nerwowości telegramu zamiejscowego, SOS tonącego statku. Z początku brałem to za namiętność, ekstazę ciała ocierającego się o drugie ciało. Zdawało mi się, że trafiłem na żywy wulkan, na Wezuwiusz w postaci kobiety. Nie podejrzewałem, że to ludzki statek idący na dno oceanu rozpaczy, w Morzu Sargassowym impotencji. Teraz myślę o tamtej czarnej gwiazdce, przeświecającej przez dziurę w suficie, o tamtej niezmiennej gwiazdce, wiszącej nad naszą małżeńską celą, bardziej niezmiennej, bardziej odległej niż sam Absolut, i wiem, że to ona, wyzuta ze wszystkiego, co w istocie się na nią składało: martwe czarne słońce bez aspektu. Wiem, że odmienialiśmy czasownik „kochać” jak dwoje wariatów, próbujących się pieprzyć przez żelazną kratę. Twierdziłem, że w tej gorączkowej szamotaninie po ciemku zapominam czasem, jak się nazywa, jak wygląda, kim jest. To prawda. W ciemnościach przechodziłem sam siebie. Ześlizgiwałem się z torów ciała w bezkresny kosmos seksu, w kanałowe orbity ustanowione przez tę czy tamtą: na przykład przez Georgianę jednego krótkiego popołudnia, Thelmę, egipską kurwę, Carlottę, Alannah, Ung, Monę, Magdę, sześć- czy siedmioletnie dziewczynki; zbłąkane panienki, błędne ogniki, twarze, ciała, uda, muśnięcie w metrze, sen, pamięć, pożądanie, tęsknotę. Mógłbym zacząć od Georgiany, dziewczyny jednego niedzielnego popołudnia, opodal torów

kolejowych, w sukni w kropki, o rozkołysanych biodrach, akcencie z Południa, namiętych ustach, wylewających się piersiach; mógłbym zacząć od Georgiany, tego miriadowo rozgałęzionego żyrandola seksu, i posuwać się coraz dalej, poprzez rozwidlenia cipy do n-tego wymiaru seksu, do świata bez końca. Georgiana przypominała membranę delikatnego uszka nie dopracowanego monstrum zwanego seksem. Była na wskroś żywa, wdychała światło wspomnienia krótkiego popołudnia w alei, pierwszy uchwytny zapach i materię świata pierdolenia, który, jak świat światem, jest sam w sobie bytem bez granic, umykającym definicji. Cały świat pierdolenia podobny do rozrastającej się membrany zwierzęcia, które nazywamy seksem, które jest niczym kolejna istota wrastająca w naszą istotę i stopniowo ją wypierająca, toteż z czasem ludzki świat będzie jedynie niejasnym wspomnieniem tej nowej, pochłaniającej wszystko, płodzącej wszystko, samorodnej istoty.

Właśnie owa wężowa kopulacja w ciemnościach, to dwusuwowe, dwururkowe zwanie spętało mnie kaftanem bezpieczeństwa pełnym wątpliwości, zazdrości, strachu, osamotnienia. Jeżeli zacząłem swoją mereżkę od Georgiany i miriadoramiennego żyrandola seksu, miałem pewność, że ona też się zajmowała budowaniem membrany, tworzeniem uszu, oczu, palców u nóg, czaszki, i pozostałych składników seksu. Rozpocząła od potwora, który ją zgwałcił, o ile w tej opowieści tkwi jakaś prawda; tak czy owak, też startowała na równoległym torze, po czym posuwała się coraz dalej poprzez tę wielokształtną, samoistną istotę, w której ciele oboje usilnie pragnęliśmy się spotkać. Znając jedynie wycinek jej życia, dysponując jedynie stekiem kłamstw, wymysłów, wyobrażeń, iluzji i obsesji, składając do kupy skrawki, kokainowe sny, rozmarzenia, nie dokończone zdania, sieczkę rojeń, historyczne brednie, źle ukryte fantazje, niezdrowe pragnienia, trafiając od czasu do czasu na słowo, które stało się ciałem, łowiąc oderwane strzępy rozmów, łapiąc przemycone spojrzenia, na wpół wstrzymane gesty, mogłem śmiało odtworzyć panteon jej własnych prywatnych bogów pierdolenia, istot aż nadto z krwi i kości, mężczyzn chociażby z tego samego popołudnia, może nawet sprzed godziny, gdy jej cipa być może jeszcze się dławiała spermą ostatniego stosunku. Im bardziej była uległa, namiętna, rozpustna, tym bardziej ja stawałem się niepewny. Nie było początku, żadnego osobistego, indywidualnego punktu wyjścia; spotykaliśmy się niczym doświadczeni szermierze na polu honoru, zatłoczonym teraz duchami zwycięstwa i porażki. Byliśmy czujni, wrażliwi aż do ostatniego pchnięcia jak zaprawieni w bojach przeciwnicy.

Przybyliśmy oboje pod osłoną ciemności z naszymi armiami i z dwóch przeciwnych stron sforsowaliśmy bramy cytadeli. Nasz krwawy czyn nie znał oporu; nie prosiliśmy o litość, ale też sami nie mieliśmy litości. Dochodziliśmy razem we krwi, w morderczym,

szklistym zjednoczeniu, nocą pod wygasłymi gwiazdami, wyjąwszy tę jedną stałą czarną gwiazdę wiszącą niczym skalp nad dziurą w suficie. Jeżeli dziewczyna była dostatecznie nafaszerowana kokainą, rzygała wszystkim jak wyrocznia, wszystkim, co ją spotkało w ciągu tego dnia, dnia wczorajszego, przedwczorajszego, w zaprzesłym roku, wszystkim aż do dnia jej narodzin. Przy czym żadne jej słowo, żaden szczegół nie były prawdą. Nie ustawała ani na chwilę, bo gdyby ustała, próżnia zaistniała w czasie jej pierzchnięcia mogłaby spowodować tak potężny wybuch, że zdołałby pogrzebać cały świat. Była miniaturą maszyny kłamstwa całego świata, wyposażoną w ten sam ustawiczny, niszczycielski strach, który pozwala ludziom zaangażować całą energię w tworzenie maszyny śmierci. Wystarczył rzut oka, żeby ją uznać za nieustraszoną, za uosobienie odwagi, bo tak i było, dopóki nie musiała zbaczać z własnych torów. Za jej plecami ciągnęła się twarda rzeczywistość, kolos deptający jej po piętach. Codziennie kolosalna rzeczywistość nabierała nowych wymiarów, codziennie stawała się coraz bardziej przerażająca i paraliżująca. Codziennie dziewczyna musiała zabiegać o coraz szybsze skrzydła, ostrzejsze szczęki, bardziej przenikliwe, hipnotyczne oczy. Był to wyścig na krańce świata, wyścig przegrany już na starcie, chociaż nikt go nie mógł powstrzymać. Na obrzeżu tej pustki tkwiła Prawda, gotowa jednym błyskawicznym ruchem odzyskać stracony grunt. Było to tak proste i oczywiste, że doprowadzało ją do obłędu. Choćby się zmobilizowało tysiąc osobowości, zarekwirowało największe armaty, oszukało największe umysły, pokonało najdłuższą drogę - to i tak na końcu czeka porażka. Podczas ostatniego spotkania wszystko musiało się nieodwołalnie zawalić - spryt, umiejętności, siła, wszystko. Dziewczyna była ziarnem piasku na brzegu największego oceanu, a co gorsza, przypominała wszystkie inne ziarna piasku na brzegu tegoż oceanu. Była skazana na to, żeby wszędzie rozpoznawać swoją wyjątkową jaźń aż do końca świata. Cóż za los sobie wybrała! Jej wyjątkowość musiała przepaść w powszechności! Jej siła musiała ulec redukcji do stanu skrajnej bierności! Czyste szaleństwo, halucynacja. To niemożliwe! Nieprawdopodobne! Naprzód! Niczym czarne legiony. Naprzód! Przez wszystkie stopnie coraz bardziej rozszerzającego się kręgu. Naprzód, z dala od siebie, dopóki ostatnia substancjalna cząsteczka duszy nie rozciągnie się w nieskończoność. Podczas panicznej ucieczki dziewczyna niosła poniekąd w łonie cały świat. Coś nas ciągnęło poza krańce wszechświata ku mgławicy nie wykrywalnej przez żaden instrument. Coś nas popychało ku pauzie tak cichej, tak długotrwałej, że w porównaniu z nią śmierć zakrawa na hulankę oszalałych czarownic.

Rankiem wpatrywałem się w bezkrwisty krater jej twarzy. Ani jednej kreski, zmarszczki, skazy! Oblicze anioła w ramionach Stwórcy. Kto zabił Czerwonego Kapturka? Kto zmasakrował Irokezów? To nie ja, mógłby odpowiedzieć mój cudny anioł, bo też, na

Boga, któż patrząc na tę czystą, nieskalaną twarz śmiałby temu zaprzeczyć? Któż by dostrzegł w tym niewinnym śnie, że jedna połowa twarzy należy do Boga, a druga do Szatana? Maską była gładka niczym śmierć, chłodna, cudowna w dotyku, woskowa, niczym płatek otwarta na najłżejszy podmuch wiatru. Tak kusząco spokojna i szczerą, że można by w niej zatonać, wtopić się w nią całą, w ciało i w całą resztę, niczym nurek, i nigdy stamtąd nie wrócić. Dopóki oczy nie otworzyły się na świat, leżała tak całkiem wygaszona i lśniąca jak księżyc odbitym światłem. W śmiertelnym transie niewinności fascynowała jeszcze bardziej; jej zbrodnie rozplątywały się, wylewały porami, a ona leżała zwinięta niczym śpiący wąż, który przyłgnał do ziemi. Ciało, silne, gibkie, krzepkie, o nienaturalnej poniekąd wadze; odznaczała się ciężarem gatunkowym nie tyle żywego człowieka, ile ciężarem, można by rzec, ciepłego trupa. Tak musiałaby chyba wyglądać piękna Nefretete w tysiąc lat po mumifikacji, cud sztuki balsamowania, sen ciała uchronionego od pośmiertnego rozkładu. Leżała zwinięta u stóp pustej w środku piramidy, w relikwiarzu próżni własnego dzieła niczym święty relikwiarz przeszłości. Nawet oddech jakby ustał, tak głęboki był jej sen. Spadła poniżej ludzkiej sfery, poniżej sfery zwierząt, nawet poniżej sfery roślin: zapadła się do poziomu świata minerałów, gdzie życie dzieli tylko włos od śmierci. Opanowała tak dalece sztukę oszustwa, że nawet sen nie zdołałby jej zdradzić. Nauczyła się nie śnić: kiedy zwijała się we śnie, natychmiast wyłączała prąd. Gdyby ktoś ją w tym stanie przyłapał i otworzył czaszkę, trafiłby na całkowitą próżnię. Nie miała dręczących tajemnic; wszystko, co człowiek potrafi zabić w sobie, potrafiła i ona. Mogłaby tak żyć bez końca niczym księżyc, niczym dowolna martwa planeta, promieniując hipnotycznym blaskiem, tworząc fale namiętności, zalewając świat obłędem, odbarwiając ziemskie substancje magnetycznymi, metalicznymi promieniami. Wysiewając własną śmierć, doprowadzała wszystkich wokół siebie do najwyższej gorączki. W potwornym bezruchu snu odnawiała swą magnetyczną śmierć połączeniem z zimną magmą zamaryłych planetarnych światów. Była magicznie nietykalna. Jej wzrok nieubłaganie przeszywał człowieka na wylot: był to wzrok księżycowy, w którym martwy smok życia buchał zimnym ogniem. Jedno oko było w ciepłym brązie, w kolorze jesiennego liścia; drugie było orzechowe, magnetyczne oko, które błyskało jak igła kompasu. Nawet we śnie to oko nie przestawało błyskać pod osłoną powieki; był to właściwie jedyny znak jej życia.

Z chwilą otwarcia oczu natychmiast była całkiem rozbudzona. Budziła się gwałtownie, jak gdyby widok świata i ludzkich parafernaliów stanowił dla niej wstrząs. Od razu ruszała do akcji, ciskała się jak ogromny pyton. Męczyło ją światło! Budziła się przeklinając słońce, przeklinając blask rzeczywistości. Pokój musiał być zaciemniony, świece zapalone, okna szczelnie zamknięte, żeby nie wdarły się tam odgłosy z ulicy. Chodziła nago,

z papierosem zwisającym w kąciku ust. Przykładała wielką wagę do swojej toalety; musiała dopilnować tysiąca drobnych szczegółów, zanim włożyła choćby szlafrok. Przypominała sportowca szykującego się do wielkiego występu. Od korzonków włosów, które studiowała z najwyższą uwagą, aż po kształt i długość paznokci u nóg, każda część anatomii musiała jeszcze przed śniadaniem zostać gruntownie przebadana. Niczym sportowiec, jak powiadam, chociaż w gruncie rzeczy bardziej przypominała kontrolę techniczną samolotu ponaddźwiękowego przed lotem próbnym. Kiedy już włożyła sukienkę, startowała do dnia, do lotu, który mógł się zakończyć choćby w Irkucku czy w Teheranie. Przy śniadaniu nabierała tyle paliwa, żeby wystarczyło na całą podróż. Śniadanie ciągnęło się bardzo długo: jedyna ceremonia podczas całego dnia, którą celebrowała i przedłużała. Ciągnęło się wprost nieznośnie. Człowiek się zastanawiał, czy ona w ogóle zerwie się do lotu, czy aby nie zapomniła o swojej wielkiej misji, którą ślubowała sobie codziennie wypełniać. Może dumiała nad rozkładem dnia, a może wcale nie dumiała, tylko po prostu dawała czas funkcjonalnym procesom swej imponującej maszyny, tak aby po starcie nie musiała zawracać. O tej porze była bardzo spokojna i opanowana; przypominała wielkiego ptaka, który przycupnął na turni, tocząc w rozmarzeniu wzrokiem po niższych partiach gór. Od śniadania wcale nie podrywała się nagle, żeby pikowym lotem spaść na ofiarę. Przeciwnie, z wczesnoporannej grzędy odfruwiała wolno i majestatycznie, synchronizując wszystkie ruchy z tętnem silnika. Przed nią rozciągała się cała przestrzeń, tylko kaprys wyznaczał jej kierunek. Stanowiła niemal obraz wolności, gdyby nie saturniczna waga ciała i nienaturalna rozpiętość skrzydeł. Mimo dostojnej postury zwłaszcza przy odlocie wyczuwało się strach towarzyszący jej codziennemu lataniu. Była posłuszna własnemu przeznaczeniu, a zarazem żarliwie pragnęła je przewyciężyć. Codziennie rano wzbijała się ze swej grędy niczym z himalajskiego szczytu; zawsze kierowała lot ku nie objętym mapami regionom, gdzie jeżeli wszystko dobrze poszło, ginęła na zawsze. Codziennie rano wzlatywała z tą swoją rozpaczliwą, ostatnią nadzieją; unosiła się ze spokojem, z grobową powagą jak ktoś, kto ma właśnie zstąpić do grobu. Nie zataczała ani jednego koła nad polem; nie rzucała ani jednego spojrzenia za siebie na tych, których opuszczała. Nie zostawiała też za sobą najmniejszego okrucha własnej osobowości; wzlatywała w powietrze z całym dobytkiem, z najmniejszymi okrawkami dowodów, które mogłyby zaświadczyć o jej istnieniu. Nie zostawiała nawet po sobie najlżejszego westchnienia ani paznokcia. Znikała bez reszty, jak potrafiłby chyba jedynie sam diabeł, z jemu tylko wiadomych powodów. Człowiek zostawał z wielką pustką w garści. Czuł się opuszczony, zresztą nie tylko opuszczony, lecz również zdradzony, nieludzko zdradzony. Nie miał ochoty jej powstrzymywać ani wzywać do powrotu; zostawał z przekleństwem na

ustach, z czarną nienawiścią zaciemniającą cały dzień. Później, gdy krążył po mieście, krocząc wolno jak inni przechodnie, gdy pełzał niczym robak, zbierał pogłoski o jej spektakularnym locie; widziano ją, jak kołowała nad pewnym miejscem, tu i ówdzie nurkowała zupełnie nie wiadomo dlaczego, gdzie indziej wykonywała korkociąg, tu przemknęła jak kometa, tam wypisała dymem litery na niebie, i tak dalej, i tak dalej. Wszystko, czego się tknęła, było enigmatyczne i elektryzujące, robione najwyraźniej bez celu. Coś jak symboliczny, a zarazem ironiczny komentarz do ludzkiego życia, do zachowania tego mrówkopodobnego stworzenia, jakim jest człowiek, widzianego w innym wymiarze.

Między jej odlotem a przylotem żyłem życiem pełnokrwistego schyzia. Nie mogę powiedzieć, że mijała wieczność, bo wieczność kojarzy się raczej ze spokojem i zwycięstwem, z dziełem człowieka, z czymś zasłużonym: nie, przeżywałem antrakt, w którym każdy włos siwieje aż do nasady, każdy milimetr skóry zaczyna swędzieć i palić, aż całe ciało staje się rozjątrzoną raną. Widzę siebie, jak siedzę w ciemnościach przy stole, ręce i nogi rosną mi ogromne, jak gdybym dostał galopującej słoniowacizny. Słyszę, jak krew wali mi do mózgu, dudni w bębenkach niczym młoty kowalskie himalajskich diabłów; słyszę, jak dziewczyna trzepocze wielkimi skrzydłami, bodaj w Irkucku, i wiem, że sunie wciąż naprzód, coraz dalej, coraz bardziej nieuchwytna. W pokoju jest tak cicho i tak przeraźliwie pusto, że krzyczę i wyję, żeby narobić choć trochę hałasu, usłyszeć jakiś ludzki odgłos. Usiłuję się podnieść zza stołu, ale nogi zbyt mi ciężą, a ręce przeobraziły się w bezkształtne kończyny nosorożca. Im bardziej cięży mi ciało, tym lżejsza atmosfera zapanowuje w pokoju; będę się tak rozrastał, aż wypełnię pokój jedną wielką masą stężałej galarety. Wypełnię nawet pęknięcia w ścianie; przebiję ją sobą niczym pasożytnicza roślina, będę się rozrastał, aż cały dom zginie w nieopisanej masie ciała, włosów i paznokci. Wiem, że to śmierć, lecz nie potrafię zabić tej świadomości ani jej właściciela. Żyje tylko maleńka cząsteczka mnie, zaledwie pyłek świadomości, ale w miarę jak rozrasta się bezwładny zewłok, ów płomyk życia goreje coraz żywszym blaskiem, aż świeci we mnie niczym zimny ogień klejnotu. Rozświetla całą kleistą masę miazgi, toteż zaczynam przypominać nurka z latarką w ciele martwego potwora morskiego. Jakaś cienką, ukrytą niteczką wciąż jestem połączony z życiem nad powierzchnią tej głębiny, tyle że ten wyższy świat jest taki odległy, ciężar zaś trupa tak wielki, iż nawet gdyby to było możliwe, wypłynięcie na powierzchnię musiałoby zająć wiele lat. Poruszam się we własnym martwym ciele, badając każdy zakątek i zakamarek jego olbrzymiej, bezkształtnej masy. Badaniom nie ma końca, bo wraz z tym nieustającym wzrostem zmienia się cała topografia, która osuwa się i dryfuje niczym gorąca magma ziemi. Nawet przez chwilę nie jest to *terra firma*, nawet przez chwilę nic nie jest stałe ani



rozpoznawalne: to wzrost bez punktów orientacyjnych, podróż, której cel zmienia się przy najdrobniejszym ruchu bądź wstrząsie. Właśnie to ustawiczne wypełnianie przestrzeni zabija wszelkie poczucie czasu lub przestrzeni; im bardziej ciało się rozrasta, tym świat staje się mniejszy, aż w końcu czuję, że wszystko skupia się na łebku od szpilki. Ogromna martwa masa, jaką teraz jestem, wciąż grzęźnie, a ja mimo to czuję, że jej podstawa, świat, z którego wyrasta, nie przewyższa rozmiarami łebka od szpilki. Podczas swojej polucji, w samym sercu i gardle - jeśli tak wolno rzec - śmierci wyczuwam nasienie, cudowną, nieskończenie małą dźwignię, która zapewnia równowagę światu. Rozlałem się po świecie niczym syrop, a jego pustka mnie przeraża, ale nie ma jak się tego nasienia pozbyć; stało się ono zupełkiem zimnego ognia, który grzmi niczym słońce w rozległej próżni martwego zewłoku.

Kiedy wielka drapieżna ptaszycza wraca zmęczona ze swego lotu, znajduje mnie tutaj pośród mojej nicości, mnie, niezniszczalnego schyzia, oślepiające nasienie ukryte w samym sercu śmierci. Codziennie dziewczyna pragnie znaleźć inną podstawę egzystencji, ale przecież innej nie ma, tylko to odwieczne nasienie światła, które odnajduję dla niej dzień w dzień za cenę własnego umierania. Leć, żarłoczna ptaszyczo, leć na krańce świata! Oto twój żer błyszczący w obrzydliwej, stworzonej przez ciebie pustce. Wrócisz, żeby kolejny raz przepaść w czarnej dziurze; będziesz tak ciągle wracać, bo na tych skrzydłach nie zdołasz ulecieć w świat. Tylko ten świat możesz zamieszkiwać, ten grobowiec węża, królestwo ciemności.

I nagle, zupełnie bez powodu, kiedy myślę o jej powrocie do gniazda, przypominam sobie niedzielne poranki w starym domku blisko cmentarza. Przypominam sobie, jak siadywałem w koszuli nocnej przy fortepianie, jak przebierałem bosymi nogami po pedałach, a starzy w sąsiednim pokoju grzali się leżąc w łóżku. Pokoje przechodziły jeden w drugi na wzór teleskopu, tak jak w dawnych amerykańskich mieszkaniach kolejarzy. W niedzielę rano człowiek wylegiwał się w łóżku, aż miałby ochotę piszczeć z rozkoszy. Około jedenastej starzy pukali w ścianę mojego pokoju, żebym przyszedł i im zagrał. Wbiegałem do ich sypialni tanecznym krokiem niczym bracia Fratellini, tak pełen żaru i lekki jak piórko, że mógłbym wzniesić się niczym żuraw masztowy ku najwyższej gałęzi drzewa w niebiesiech. Mógłbym dokonać wszystkiego jedną ręką, a miałem przecież grać na dwie. Stary mówił do mnie „Jim Słoneczko”, bo taki byłem pełen „siły”, pełen witalności i wigoru. Najpierw fikałem dla nich kilka koziołków na dywanie przed łóżkiem; następnie śpiewałem falsetem, usiłując imitować kukiełkę brzuchomówcy; potem wykonywałem kilka lekkich, ekscentrycznych kroków tanecznych, żeby im pokazać, z której strony wieje wiatr, po czym fru! jak powiew bryzy lądowałem na taborecie przy fortepianie i wykonywałem ćwiczenie na

tempo. Zawsze rozpoczynałem od Czernego, żeby się rozgrzać do występu. Stary nie znosił Czernego, podobnie zresztą jak i ja, ale Czerny był wówczas *plat du jour* w karcie, toteż go grałem, aż mi się rozluźniły stawy. Z niejasnych powodów Czerny przypomina mi tę wielką pustkę, jaka mnie naszała później. Co za tempo uzyskiwałem przykuty do taboretu! Zupełnie jak gdybym wypił jednym haustem butelkę toniku, po czym kazał się przywiązać pasami do łóżka. Kiedy już odegrałem jakieś dziewięćdziesiąt osiem wprawek, byłem gotów do maleńkiej improwizacji. Nabierałem pełną garść akordów i waliłem w fortepian od końca do końca, po czym przechodziłem smętnie do *Spalenia Rzymu* albo *Wyścigu rydwanów Ben Hura*, które lubili wszyscy, bo to takie zrozumiałe dźwięki. Na długo przed lekturą *Tractatus Logico-Philosophicus* Wittgensteina komponowałem do niego muzykę w tonacji sasafrasowej. Byłem wówczas obeznany z naukami ścisłymi i z filozofią, z dziejami religii, z logiką indukcyjną i dedukcyjną, znałem mantykę wątrobową, kształt i wagę czaszek, farmakopeę i metalurgię, wszystkie te nieprzydatne gałęzie wiedzy, które dają człowiekowi przedwczesne poczucie niestrawności i melancholii. Te mdłości uczonych bzdur burzyły mi się w kiszkaach przez cały tydzień, czekając, aż w niedzielę obleką się muzyką. Między *Nocnym alarmem ogniowym* a *Marszem wojskowym* nachodziło mnie natchnienie, które miało zniszczyć wszelkie istniejące formy harmonii i stworzyć moją własną kakofonię. Proszę sobie wyobrazić Urana w dobrym układzie z Marsem, Merkurym, Księżycem, Jowiszem, Wenus. Trudno to sobie wyobrazić, bo Uran funkcjonuje najlepiej w złych układach, kiedy jest, że tak powiem, „cierpiący”. Wszakże muzyka, jaką się popisywałem w niedzielne poranki, muzyka dobrego samopoczucia i troskliwie pielęgnowanej rozpaczki rodziła się z nielogicznie dobrych układów Urana, mocno zakotwiczonego w Siódmym Domu. Wtedy jeszcze tego nie wiedziałem, nie wiedziałem o istnieniu Urana, co zresztą było nader fortunate. Teraz jednak widzę, że było to wątpliwe szczęście, fałszywe samozadowolenie, destrukcyjny rodzaj płomiennej twórczości. Im bardziej wpadałem w euforię, tym cichsi stawali się rodzice. Nawet moją niedorozwiniętą siostrę ogarniał spokój i opanowanie. Sąsiedzi stawali zasłuchani pod oknem, raz na czas dochodził mnie wybuch ich owacji, po czym łubudu! znów startowałem jak rakieta - Ćwiczenie na Tempo nr 947 1/2. Jeżeli akurat dostrzegłem karalucha maszerującego po ścianie, byłem w siódmym niebie: to mnie bez najmniejszych modulacji doprowadzi do Opus Zet mojego smętnie karbowanego klawikordu. Pewnej niedzieli ni stąd, ni zowąd skomponowałem jedno z najpiękniejszych scherz - na cześć wszy. Była wiosna, wszyscy przechodziliśmy kurację siarkową; przez cały tydzień ślęczałem nad *Piekieł* Dantego po angielsku. Niedziela przyszła niczym odwilż, ptaki dosłownie oszalały w tej naglej fali upału, toteż wlatywały i wylatywały przez okno, nieczułe na muzykę.

Przyjechała właśnie z Hamburga czy z Bremy nasza ciotka Niemka, stara panna, o wyglądzie herod-baby. Sama jej obecność przyprawiała mnie o napady złości. Ciotka zwykle głąskała mnie po głowie i mawiała, że zostanę drugim Mozartem. Nienawidziłem Mozarta, zresztą do dzisiaj go nienawidzę, żeby się więc na niej zemścić, grałem źle, uderzałem we wszystkie fałszywe tony, jakie znałem. I wtedy, jak powiadam, nadeszła mała wesz, prawdziwa wesz, która leżała zagrzebana w mojej zimowej bieliźnie. Wyciągnąłem ją i położyłem delikatnie na brzegu czarnego klawisza. Następnie zacząłem prawą rękę wygrywać wokół niej skoczną melodyjkę; hałas prawdopodobnie ją ogłuszył. Zachowywała się jak zahipnotyzowana moją żwawą pirotechniką. Ten bezruch przypominający trans zadziałał mi w końcu na nerwy. Postanowiłem wprowadzić gamę chromatyczną i z całą siłą spadłem na wesz trzecim palcem. Załatwiłem ją raz a dobrze, z taką siłą, że przykleiła mi się do opuszka palca. To mnie wprowadziło w taniec świętego Wita. Wtedy zaczęło się scherzo. Wiązanka zapomnianych melodii przyprawionych aloesem i sokiem jeżozwierzy, wygrywana czasem na trzech klawiszach jednocześnie, obracająca się zawsze niczym tańcząca walca mysz wokół niepokalanego poczucia. Później, kiedy poszedłem na koncert Prokofiewa, zrozumiałem, co się w nim dzieje; zrozumiałem Whiteheada, Russella, Jeansa, Eddingtona, Rudolfa Euckena, Frobeniusa i Linka Gillespie; zrozumiałem, dlaczego człowiek po prostu musiał wymyślić twierdzenie dwumianowe; zrozumiałem, skąd się wzięła elektryczność i sprężone powietrze, nie wspominając już o łaźniach Sprudla i okładach błotnych z Battaglio. Zrozumiałem, muszę powiedzieć całkiem jasno, że człowiek ma we krwi martwą wesz, kiedy więc dostajemy symfonię, fresk albo silny materiał wybuchowy, tak naprawdę otrzymujemy ipekakuanową reakcję, nie przewidzianą w przygotowanej z góry karcie. Zrozumiałem też, dlaczego nie powiodło mi się jako muzykowi, którym przecież byłem. Wszystkie kompozycje, które ułożyłem w głowie, wszystkie te prywatne i artystyczne przesłuchania, jakie mi były dane dzięki świętej Hildegardzie czy świętej Brygidzie albo świętemu Janowi od Krzyża, czy Bóg wie komu, zostały napisane na następny wiek, wiek mniejszej liczby instrumentów i silniejszych anten, a także silniejszych bębenków usznych. Zanim się doceni taką muzykę, trzeba doświadczyć innego rodzaju cierpienia. Beethoven wytyczył nowe obszary - człowiek uprzytamnia sobie jego obecność, kiedy wybucha, załamuje się w jądrze własnej ciszy. Jest to domena nowych wibracji - dla nas jedynie niejasna mgławica, albowiem musimy dopiero wyjść poza własne pojęcie cierpienia. Musimy dopiero przełknąć ten mgławicowy świat, jego mózół, jego orientację. Dane mi było słyszeć niesamowitą muzykę, leżącą obojętnie i nieczułą na otaczający mnie smutek. Słyszałem wykluwanie się nowego świata, odgłosy rwących rzek płynących swoim nurtem, dźwięk gwiazd mielących i siekących, fontann zapchanych

łśniącymi klejnotami. Wszelką muzyką nadal rządzi stara astronomia, to produkt oranżerii, panaceum na *Weltschmerz*. Muzyka nadal stanowi antidotum nie nazwanego, chociaż to jeszcze nie muzyka. Muzyka to planetarny ogień, coś nieredukowalnego, samowystarczalnego; pismo łupkowe bogów, abrakadabra partaczona przez ludzi świątłych i prostych na równi, albowiem odczepiono oś. Proszę zajrzeć w trzewia, w to, co niepokieszone i nieuchronne! Nic nie jest przesądzone z góry, nie ma ustaleń ani rozstrzygnięć. Wszystko, co idzie naprzód, cała muzyka, architektura, prawo, rządy, wynalazki, odkrycia - wszystko to ćwiczenia na tempo wygrywane w ciemnościach, Czerny przez duże Zet jeżdżący na szalonym białym koniu w butelce kleju.

Kolejny powód, dla którego nigdy nie zaszedłem daleko z tą cholerną muzyką, był taki, że zawsze mieszała się z seksem. Odkąd umiałem już zagrać piosenkę, dupy obsiadały mnie zawsze jak muchy. Przede wszystkim była to wina Loli. Lola to moja pierwsza nauczycielka gry na fortepianie. Lola Niessen. Śmieszne nazwisko, typowe dla naszej ówczesnej dzielnicy. Brzmiało jak cuchnący pikling albo robaczywa cipa. Prawdę powiedziawszy, Lola nie była żadną pięknoscią. Przypominała raczej Kałmuczkę albo Czinuczkę przez swoją ziemistą cerę i zaprawione żółcią oczy. Miała kilka brodawek i narośli, nie mówiąc już o wąsach. Naprawdę jednak podniecało mnie jej owłosienie; miała cudowne długie czarne włosy, które układała na swej mongolskiej czaszce we wznoszące się i opadające koczki. U nasady szyi skręcała je w węzowaty węzeł. Zawsze się spóźniała, chociaż taka z niej była sumienna idiotka, toteż kiedy przychodziła, już zdążyłem wytracić wszystkie siły na masturbację. Kiedy jednak siadała przy mnie na taborecie, znów się podniecałem, chociażby przez te śmierdzące perfumy, jakimi zlewała sobie pachy. W lecie nosiła luźne rękawy, przez które widziałem pod pachami kępki włosów. Sam ich widok doprowadzał mnie do obłędu. Wyobrażałem sobie, że jest owłosiona na całym ciele, nawet na pępku. Marzyłem więc o tym, żeby się zagłębić i wpić zębami. Mógłbym zjeść włosy Loli jak największy smakołyk, gdyby było przy nich choć trochę mięsa. W każdym razie miała dużo włosów, to właśnie chciałem powiedzieć, a jej owłosienie na podobieństwo goryla odrywało moje myśli od muzyki i kierowało je ku cipie. Tak bardzo pragnąłem zobaczyć tę jej cipę, że wreszcie pewnego dnia przekupiłem jej młodszego braciszka, żeby pozwolił mi na nią zerknąć, kiedy wejdzie do wanny. Ten widok przekroczył moje najśmielsze wyobrażenia - miała krzaczaste kudły od pępka aż po krocze, olbrzymi zbity kłak, futrzaną sakwę, jaką noszą Szkoci, włochatą niczym ręcznie tkany dywan. Kiedy przejechała po niej puszką z talkiem, myślałem, że zemdleję. Następnym razem, kiedy przyszła na lekcję, zostawiłem przy rozporoku kilka rozpiętych guzików. Ale ona jakby niczego nie zauważyła. Jeszcze następnym

razem zostawiłem cały rozporek rozpięty. Tym razem zareagowała. - Chyba o czymś zapomniałeś, Henry - powiedziała. Czerwony jak burak podniosłem na nią wzrok i spytałem bezczelnie: - A o czym? - Udawała, że patrzy w bok, wskazując na niego lewą ręką. Tak bardzo zbliżyła rękę, że nie mogłem się powstrzymać, chwyciłem ją i wepchnąłem sobie do rozporka. Poderwała się szybko, blada i wystraszona. Teraz już cały kutas sterczał mi z rozporka i dygotał z rozkoszy. Natarłem na nią, sięgając zarazem pod jej sukienkę, żeby się dostać do tego ręcznie tkanego dywanu, który widziałem przez dziurkę od klucza. Nagle dostałem mocny cios w uszy, za chwilę kolejny, po czym chwyciła mnie za ucho, zaprowadziła do kąta, gdzie obróciła mnie twarzą do ściany i powiedziała: - A teraz zapnij sobie rozporek, głuptasie! - Po chwili wróciliśmy do fortepianu - z powrotem do Czernego i do ćwiczeń na tempo. Nie odróżniałem już krzyżyków od bemoli, ale nie przestawałem grać ze strachu, że powie o wszystkim mojej matce. Na szczęście niełatwo czyjeś matce coś takiego powiedzieć.

Ten incydent, aczkolwiek zenujący, zaważył w decydujący sposób na naszych stosunkach. Sądziłem, że następnym razem będzie dla mnie surowa, ale przeciwnie, najwyraźniej się odpicowała, spryskała chyba jeszcze bardziej perfumami i nawet jakby poweselała, co było dość dziwne jak na Lolę, bo zwykle była posepna i zamknięta w sobie. Nigdy więcej nie śmiałem rozpiąć rozporka, ale dostawałem erekcji, które utrzymywały się przez całą lekcję, co pewno musiało Lolę podniecać, bo zawsze rzucała w tę stronę ukradkowe spojrzenia. Miałem wtedy zaledwie piętnaście lat, a ona co najmniej dwadzieścia pięć albo i dwadzieścia osiem. Nie bardzo wiedziałem, co robić, pozostawało mi któregoś dnia z rozmysłem się na nią rzucić, kiedy mama wyjdzie z domu. Przez pewien czas śledziłem ją wieczorami, kiedy wychodziła sama. Miała zwyczaj chodzić po zmroku na długie samotne spacerunki. Podążałem za nią krok w krok w nadziei, że dojdzie do jakiegoś opustoszałego miejsca w pobliżu cmentarza, gdzie będę się mógł ostro zabrać do dzieła. Czasem miałem wrażenie, że wie, iż za nią idę, i że jej to odpowiada. Podejrzewam, że czekała, aż ją dopadnę - chyba o to jej naprawdę chodziło. Tak czy owak, pewnego wieczoru leżałem sobie w trawie przy torach kolejowych; była parna letnia noc, ludzie pokładli się wszędzie dokoła niczym zziąbane psy. Wcale nie myślałem o Loli - po prostu tak sobie leniuchowałem, było za gorąco, żeby w ogóle o czymkolwiek myśleć. Naraz widzę, że wąską ścieżką zbliża się kobieta. Leżę rozwalony na skarpie, w pobliżu żadnej żywej duszy. Kobieta podchodzi wolno, ze spuszczoną głową, jak gdyby zatopiona w marzeniach. Poznaje ją dopiero, kiedy jest już blisko. - Lola! - wołam. - Lola! - Na mój widok zdziwienie maluje jej się na twarzy. - Co ty tu robisz? - pyta i zaraz siada obok mnie na skarpie. Nie zadałem sobie nawet trudu, żeby

odpowiedzieć, podczołgałem się do niej bez słowa i rozłożyłem ją na wznak. - Błagam, nie tutaj - poprosiła, ale nie zwróciłem na to najmniejszej uwagi. Włożyłem jej rękę między nogi, zaplatałem się w tę futrzaną sakwę, która ociekała wilgocią niczym strudzony koń. Było to, na Boga, moje pierwsze pierdolenie, musiało się więc tak skończyć, że obok przejechał pociąg i sypnął na nas gorącymi iskrami. Lola się przeraziła. Był to też chyba jej pierwszy raz, bodaj nawet bardziej potrzebny jej niż mnie, ale kiedy poczuła te iskry, chciała mi się wyrwać. Zupełnie jak gdybym musiał okiełznać dziką klacz. Nieźle się z nią uszarpałem, ale nie mogłem jej nijak utrzymać na ziemi. Wstała, strzepnęła ubranie i poprawiła koczek na szyi. - Musisz wracać do domu - powiedziała. - Nie mam najmniejszego zamiaru - odparłem i z tymi słowy wziąłem ją pod rękę, po czym ruszyliśmy razem. Szliśmy tak dłuższy czas w zupełnym milczeniu. Żadne z nas nie zwracało uwagi, dokąd idziemy. W końcu wyszliśmy na autostradę, nad nami ciągnęły się zbiorniki, a obok leżał staw. Instynktownie skierowałem się do stawu. Kiedy się do niego zbliżaliśmy, musieliśmy przejść pod nisko zwisającymi gałęziami drzew. Pomagałem się Loli schylać, wtem się poślizgnęła i pociągnęła mnie za sobą. Wcale nie próbowała wstać, tylko się mnie uczepliła i przycisnęła do siebie, po czym ku swojemu całkowitemu zaskoczeniu poczułem, że wkłada mi rękę w rozporek. Pieściła mnie tak rozkosznie, że nie wiadomo kiedy spuściłem się jej na rękę. Następnie wzięła moją dłoń i wsadziła sobie między nogi. Leżała na plecach zupełnie odprężona, nogi miała szeroko rozwarte. Nachyliłem się, wycalowałem kolejno wszystkie włosy na jej cipie; wsadziłem język w jej pępek i wylizałem go do czysta. Następnie położyłem się z głową między jej nogami i chleptałem sok, który z niej wyciekał. Jęczała teraz i zaciskała ręce jak opętana; włosy miała całkiem potargane, opadły jej teraz na nagi brzuch. Krótko mówiąc, znów w nią wszedłem i wytrzymałem tak dłuższy czas, za co mi pewnie była cholernie wdzięczna, bo sam nie wiem, ile razy miała orgazm - zupełnie jak eksplozja wiązki ogni bengalskich, przy czym zatapiała we mnie zęby, miażdżyła mi wargi, orała mnie pazurami, rozerwała mi koszulę i czegoś tam jeszcze nie robiła. Po powrocie do domu, kiedy się dobrze obejrzałem w lustrze, byłem cały poznaczony jak młody wół po piętnowaniu.

Wszystko to było piękne, dopóki trwało, ale nie trwało zbyt długo. Miesiąc później Niessenowie przenieśli się do innego miasta i nigdy już Loli nie zobaczyłem. Powiesiłem sobie tylko jej futrzaną sakwę nad łóżkiem i co wieczór się do niej modliłem. A kiedy zaczynałem grać Czernego, dostawałem erekcji na samą myśl o Loli leżącej w trawie, na myśl o jej długich czarnych włosach, o koczku u nasady szyi, o jękach, jakie wydawała, i o soku, który z niej wyciekał. Gra na fortepianie stanowiła dla mnie jeden wielki substytut pierdolenia. Musiałem czekać następne dwa lata, zanim znów wrażliwym jak to się mówi, swój

miecz, co zresztą wcale nie mogło się równać z tamtym razem, bo złapałem przy tym cacaną chorobę, ponadto nie było to w lecie, nie leżeliśmy w trawie, nie czułem żadnego żaru, po prostu odbyłem zimne, mechaniczne pierdolenie za jednego dolca w obskurnym hoteliku, ta ździra próbowała udawać, że właśnie dochodzi, a dochodziła mniej więcej tak samo jak indyk na Boże Narodzenie. Zresztą może wcale nie od niej podłapałem trypra, tylko od jej kumpelki w sąsiednim pokoju, która się gziła z moim kolegą, Simmonsem. Odbyło się to w ten sposób - tak prędko skończyłem swoje mechaniczne pierdolenie, że postanowiłem do nich zajrzeć i zobaczyć, jak idzie mojemu koledze Simmonsowi. A tu proszę, nadal się ciupciają, i to jeszcze jak. Ta jego dziewczyna była Czeszką, w dodatku głupawą; najwidoczniej była świeża w branży, bo czasem zapominała się i naprawdę upajała samym aktem. Kiedy patrzyłem, jak mu daje, uznałem, że poczekam i sam się do niej dobiorę. Tak też zrobiłem. Przed upływem tygodnia dostałem wycieku, a potem zorientowałem się, że to pewno wiewiór, czyli gonokok.

Po roku, czy coś koło tego, sam zacząłem udzielać lekcji i tak się złożyło, że matka dziewczynki, którą uczyłem, była taką flądą, wyciruchem, ladacznicą, jakiej świat nie widział. Później się dowiedziałem, że mieszkała z czarnuchem. Jakby nie mogła sobie znaleźć dość dużego kutasa, żeby jej dogodził. Za każdym razem, kiedy zbierałem się do wyjścia, zatrzymywała mnie przy drzwiach i się o mnie ocierała. Bałem się z nią zaczynać, bo krążyła plotka, że kobieta jest przeżarta syfem, ale co tu, u diabła, począć, kiedy taka napalona dziwa klei się do człowieka cipą i wsuwa mu język do połowy gardła. Pierdoliłem ją na stojąco w sieni, co nie sprawiało mi większych trudności, bo kobieta była lekka, mogłem ją unieść w rękach jak lalkę. Trzymam ją tak któregoś wieczoru, aż tu naraz słyszę, jak ktoś wkłada klucz do zamka, ona też to słyszy i zamiera z przerażenia. Nie ma dokąd uciec. Na szczęście przy wejściu wisi portiera, chowam się więc za nią. Po chwili słyszę, jak jej czarny ogier całuje ją i pyta: - No i co tam, pieszczotko? - a ona mu opowiada, jak to na niego czekała, niech idzie z nią prędko na górę, bo się już nie może doczekać, i takie tam dyrdymały. Kiedy uciął skrzyp schodów, otworzyłem delikatnie drzwi i się wymknąłem, po czym, jak pragnę Boga, naprawdę dostałem pietra, bo jeżeli ten czarny byczek kiedykolwiek się dowie, to mi jak nic poderżnie gardło. Przystałem więc udzielać lekcji w tej norze, ale niedługo zaczęła mnie nachodzić jej córka - świeżo upieczona szesnastka - czy nie mógłbym dawać jej lekcji w domu koleżanki. No więc zaczęliśmy od nowa wprawki Czernego, z iskrami i czym trzeba. Po raz pierwszy poznałem zapach świeżej cipy, coś cudownego, jak świeżo skoszone siano. Pieprzyliśmy się tak lekcja w lekcję, a czasem też między lekcjami. Po czym pewnego dnia zaczyna się smutna historia - dziewczyna jest podkuta i co z tym fantem począć? Musiałem

znaleźć pewnego Żydka, żeby mnie z tego wyciągnął, ten z kolei żąda dwudziestu pięciu dolców za robotę, ja zaś nigdy jak żyję nie widziałem dwudziestu pięciu dolców na oczy. Poza tym mała jest nieletnia. Poza tym mogło się wdać zakażenie krwi. Daję mu pięć dolarów zaliczki i wynoszę się na kilka tygodni do Adirondacks. Tam spotykam nauczycielkę, która strasznie chce pobierać lekcje. Kolejne ćwiczenia na tempo, kolejne kondomy i kombinacje. Za każdym razem, kiedy siadałem do fortepianu, rozpętywałem jakby kolejną cipę.

Jeżeli odbywało się przyjęcie, musiałem przynosić ze sobą pieprzoną taśmę perforowaną do pianoli; równało się to dla mnie owinięciu własnego penisa chusteczką do nosa i włożeniu go sobie pod pachę. Na wakacjach w wiejskiej chacie czy w karczmie zawsze się znalazła jakaś nadwyżka cip, bo muzyka wywoływała niesłychany efekt. Wakacje to okres, na który czekałem przez cały rok, nie tyle z powodu cip, ile dlatego, że nie musiałem pracować. Kiedy zrzuciałem uprząż, stawałem się błaznem. Tak mnie rozpierała energia, że miałem ochotę wyskoczyć ze skóry. Przypominam sobie, jak pewnego lata w górach Catskills spotkałem dziewczynę imieniem Francie. Była śliczna i namiętna, miała jędrne szkockie cycki i rząd olśniewających wprost, równych białych zębów. Wszystko zaczęło się w rzece, w której się kąpaliśmy. Trzymaliśmy się łódki, gdy wtem jedna pierś wyslizgnęła się na wierzch. Wyjąłem szybko drugą i rozwiązałem ramiączka. Dziewczyna spłoszona dała nurka pod łódkę, ja za nią, a kiedy wychyliła głowę, żeby zaczerpnąć powietrza, zdarłem z niej ten cholerny kostium kąpielowy i oto unosiła się na wodzie jak jakaś syrena z wielkimi jędrnymi cyckami podskakującymi niczym spęczniałe korki. Wyskoczyłem z kąpielówek i zaczęliśmy baraszkować przy burcie jak delfiny. Niebawem podpłynęła kajakiem jej koleżanka. Dziewczyna przy kości, truskawkowa blondynka o oczach koloru agatu, bardzo piegowata. Dostyc ją zaskoczył widok nas obojga nago, ale szybko wyciągnęliśmy ją z kajaka i też rozebraliśmy. Po czym już we troje zaczęliśmy się bawić w berka pod wodą, chociaż trudno mi z nimi szło, bo obie wiły się jak piskorze. Kiedy już mieliśmy dosyc, pobiegliśmy do domku plażowego, który stał w szczerym polu niczym opuszczona budka wartownicza. Ubrania przynieśliśmy ze sobą i już mieliśmy się ubierać, wszyscy troje, w tej budce. Było koszmarnie gorąco i parno, zbierały się burzowe chmury. Agnes - koleżanka Francie - bardzo się spieszyła z ubieraniem. Zawstydziała się, że tak stoi przed nami całkiem naga. Z kolei Francie wydawała się zupełnie rozluźniona. Siedziała na ławce, założyła nogę na nogę i paliła papierosa. Kiedy Agnes wciągała halkę, mignęła błyskawica i tuż za chwilę rozległ się potworny huk pioruna. Agnes krzyknęła i upuściła halkę. Za kilka sekund kolejny błysk i znów grzmot niebezpiecznie blisko. Niebo zaciągnęło się granatem, zaczęły kąsać muchy, mieliśmy stracha, wszystko nas swędziało, wpadliśmy w lekki popłoch. Zwłaszcza Agnes,



która bała się piorunów, a jeszcze bardziej się bała, że znajdą nas martwych, i to wszystkich troje jak nas Pan Bóg stworzył. Chciała narzucić łauszki i biec do domu. Akurat kiedy nam to oznajmiła, lunęło jak z cebra. Sądziiliśmy, że za kilka minut przeleci, toteż staliśmy tak nago wyglądając przez uchylone drzwi na dymiącą rzekę. Łało niemiłosiernie, bez przerwy hasały wokół nas błyskawice. Teraz już wszyscy mieliśmy niezłego pietra, nie wiedząc przy tym, co robić. Agnes załamywała ręce i modliła się na głos; wyglądała wypisz wymaluj jak idiotka George'a Grosza, jedna z tych pokrzywionych dziwek z różańcem na szyi, a na dokładkę żółta od żółtaczk. Myślałem, że zaraz nam zemdleje albo wykręci podobny numer. Raptem wpadłem na genialny pomysł, żeby odstawić w deszczu taniec wojenny - żeby oderwać ich uwagę. Skaczę więc, żeby rozpocząć swe płaśy, a tu wali piorun i rozłupuje drzewo opodal. Ogarnia mnie taki piekielny strach, że tracę zmysły. Zawsze kiedy czuję lęk, zaczynam się śmiać. Toteż ryknąłem śmiechem, dzikim, mrozącym krew w żyłach śmiechem, na co dziewczyny uderzyły w krzyk. Kiedy to usłyszałem, nie wiem dlaczego przypomniały mi się ćwiczenia na tempo, jednocześnie poczułem, że stoję w próżni, wszystko dokoła jest granatowe, deszcz wybija na moim delikatnym ciele gorący i zimny tatuaz. Wszystkie doznania zebrały się na powierzchni skóry, natomiast pod najdalszą jej warstwą byłem pusty, lekki jak piórko, lżejszy od powietrza, dymu, talku, magnezu czy od czego tam, do cholery, chcecie. Naraz znalazłem się w Chippewa, znów ta sasafrasowa tonacja, gównu mnie teraz obchodziło, czy dziewczyny krzyczą, czy mdleją, czy popuszczają w majtki, których i tak na sobie nie miały. Kiedy patrzyłem na szaloną Agnes z różańcem na szyi i to jej wielkie brzuszysko sine ze strachu, tknęło mnie, żeby odstawić bluźnierczy taniec, przytrzymując jedną ręką jaja, a drugą grając na nosie grzmotom i błyskawicy. Deszcz był gorący i zimny, a w trawie jakby kipiało od ważek. Podskakiwałem niczym kangur i darłem się co sił w płucach: - Ojcie, ty stary, oszukańczy skurczybyku, zabieraj się z tą pierdoloną błyskawicą, bo Agnes przestanie w ciebie wierzyć! Słyszysz, stary chuju, skończ już ten szacher-macher... doprowadzasz Agnes do szału. Ej, ty tam, głuchy jesteś, stary pryku? - I przy nie ustającym terkocie takich prowokacyjnych bzdur na ustach tańczyłem wokół domku plażowego, skocznie i zwinnie jak gazela, wykrzykując najstraszliwsze wyzwiska, jakie mi ślina przyniosła na język. Kiedy znów strzelił piorun, podskoczyłem wyżej, a kiedy gruchnął grzmot, zaryczałem jak lew, po czym fiknąłem koziołka, przetoczyłem się po trawie jak szczeniak, gryzłem dla nich trawę i ją wypluwałem, waliłem się w piersi jak goryl, a przez cały ten czas widziałem wprawki Czernego rozłożone na fortepianie, białą stronicę pełną krzyżyków i bemoli, bo jak ten durny osioł wyobrażałem sobie, że tak się należy uczyć obsługi dobrze temperowanego klawesynu. Naraz pomyślałem, że Czerny może już być w

niebie, skąd na mnie patrzy, toteż splunąłem do niego tak wysoko, jak tylko mogłem, a kiedy znów się przetoczył grzmot, zawołałem co tchu w piersiach: - Ej, ty tam, Czerny, ty draniu, oby ci ta błyskawica urwała jaja... obyś się udławił własnym krzywym ogonem, obyś się nim udusił... słyszysz mnie, ty pomyłony chuju?

Mimo jednak wszystkich moich starań Agnes coraz bardziej dostawała kręćka. Była tępą irlandzką katoliczką, nigdy więc nie słyszała, żeby ktoś się tak zwracał do Boga. Nagle, kiedy tańczyłem na tyłach domku plażowego, rzuciła się pędem do rzeki. Usłyszałem krzyk Francie: - Leć po nią, ona się utopi! Leć po nią! - Skoczyłem więc za nią, deszcz nadal siekł jak cholera, krzychałem, żeby wracała, ale ona biegła na oślep, jak gdyby wstąpił w nią diabeł, a kiedy dotarła na brzeg, dała nura prosto do wody i skierowała się w stronę łódki. Popłynąłem za nią, a kiedy dobiliśmy do burty, jedną ręką złapałem dziewczynę w pasie bojąc się, żeby nie wyróciła łódki, po czym zacząłem przemawiać do niej spokojnie i czule, jak gdybym rozmawiał z dzieckiem. - Zostaw mnie - rzuciła -jesteś ateistą! - Jezu, na te słowa aż mnie zamurowało ze zdumienia. Czyli o to jej chodziło? Cała ta histeria tylko stąd, że obrażałem Boga Wszzechmogącego. Miałem ochotę ją porządnie zdzielić, żeby oprzytomniała. Ale oboje potraciliśmy głowy, bałem się więc, że zrobi coś idiotycznego, na przykład ściągnie nam łódkę na głowę, jeżeli do niej odpowiednio nie podejść. Udałem zatem, że ogromnie mi przykro, że naprawdę nie chciałem, tylko sam byłem w śmiertelnym strachu, i tak dalej, a kiedy przemawiałem łagodnie i czule, zsunąłem rękę z jej pasa i zacząłem ją delikatnie głaskać po pupie. Z pewnością tego jej było trzeba. Zaczęła mi nieskładnie tłumaczyć, jaką to ona jest dobrą katoliczką, jak się stara nie grzeszyć, może tak się przejęła tym, co mówi, że nie wiedziała, co jej robię, ale przecież, kiedy włożyłem jej rękę w krocze, mówiąc przy tym najpiękniej, jak umiałem, o Bogu, o miłości, o chodzeniu do kościoła, o spowiedzi i takie tam banialuki, musiała chyba coś czuć, bo miałem w środku co najmniej trzy palce, które furkotały jak pijane szpulki.

- Obejmij mnie, Agnes - powiedziałem miękko, wyciągając stamtąd rękę i przyciągając dziewczynę do siebie, żeby móc wsunąć nogi między jej uda... - O, tak... a teraz się odpręż... zaraz skończę.

I nie przestając gadać o kościele, spowiedzi, Bogu, miłości i wszystkich tych cudactwach, zdołałem w nią wejść.

- Jesteś dla mnie bardzo dobry - powiedziała, zupełnie jak gdyby nie zauważyła, że wsadziłem jej kutasa - przepraszam, że zachowałam się jak idiotka.

- Wiem, Agnes - odparłem - już dobrze... a teraz obejmij mnie mocniej... o, tak.

- Łódka może się przewrócić - powiada ona i bardzo się stara, żeby utrzymać pupę w

tej samej pozycji, wiosłując prawą ręką.

- Tak, wracajmy na brzeg - odpowiadam i zaczynam z niej wychodzić.

- Nie zostawiaj mnie - ona na to i ściska mnie mocniej. - Nie zostawiaj mnie, bo się utopię. - Właśnie wtedy Francie wbiega do wody. - Pospiesz się - mówi Agnes - pospiesz się... bo się topię.

Muszę przyznać, że Francie była w porządku. Z pewnością nie była katoliczką, a jeżeli miała jakąś moralność, to najwyżej gadzią. Należała do tych dziewczyn, które przychodzą na świat, żeby się pieprzyć. Nie stawiała sobie żadnych celów, nie miała wielkich pragnień, nie okazywała zazdrości, nie żywiła urazy, zawsze była pogodna, a przy tym niegłupia. Wieczorami, kiedy przesiadywaliśmy na ganku w ciemnościach rozmawiając z gośćmi, podchodziła, siadała mi na kolanach, a: pod sukienką nic nie miała, wtedy się w nią wślizgiwałem, ona zaś śmiała się i rozmawiała z innymi. Gdyby miała okazję, chyba byłaby nie mniej bezwstydna przy samym papieżu. Po powrocie do miasta, kiedy odwiedziłem ją w domu, wycięła ten sam numer przed rodzoną matką, której wzrok, na szczęście, zaczął się pogarszać. Kiedy szliśmy na tańce, a ona miała mrówki w majtkach, zaciągała mnie do budki telefonicznej i jak przystało na taką wariatkę, rozmawiała z kimś przez telefon, z kimś takim jak Agnes, odstawiając swój numer. Czerpała widocznie szczególną przyjemność z robienia tego pod nosem innych ludzi; twierdziła, że ma się więcej frajdy, jeżeli za dużo się o tym nie myśli. W zatłoczonym metrze na przykład, kiedy wracaliśmy z plaży do domu, przekręcała sukienkę tak, że rozcięcie wypadało na środku, brała moją rękę i wkładała ją sobie prosto w cipę. Jeżeli w wagonie panował ścisk, a myśmy byli bezpiecznie zapchani w kąt, wyjmowała sobie mojego kutasa z rozporka i trzymała go w dłoniach, zupełnie jak ptaka. Czasem wpadała w rozbawiony nastrój, wieszala na nim torebkę, jak gdyby chciała dowieść, że nie ma tu najmniejszego ryzyka. Inną jej zaletą było to, że nie udawała, iż jestem jedynym facetem, jakiego wodzi na pasku. Nie wiem, czy wszystko mi mówiła, ale na pewno mówiła mi bardzo dużo. Opowiadała ze śmiechem o swoich romansach, kiedy na mnie wchodziła albo kiedy go jej wsadzałem, albo kiedy właśnie dochodziłem. Opowiadała, jak to robią inni, czy są duzi, czy mali, co mówią, kiedy się podniecą, i tak dalej, podając przy tym najdrobniejsze szczegóły, zupełnie jak gdybym miał pisać na ten temat podręcznik. Ani jej własne ciało, ani uczucia, ani cokolwiek, co jej dotyczyło, nie stanowiło dla niej żadnej świętości.

- Francie, ty cholerna pierdolniczko - powtarzałem jej - masz moralność ostygi.

- Ale mnie lubisz, prawda? - odpowiadała. - Mężczyźni lubią się pieprzyć, kobiety też. Nikomu to nie robi krzywdy, a chyba nie musimy kochać wszystkich, z którymi się

pieprzymy? Wcale nie chciałabym się zakochać. To potworne, żeby się musieć pieprzyć w kółko z jednym i tym samym mężczyzną, nie uważasz? W końcu gdybyś się nie pieprzył z nikim innym, tylko ze mną, tobyś się mną szybko znudził, no nie? Czasem miło się popieprzyć z kimś, kogo się nie zna. Tak, to chyba najlepsze, co może być - dodawała - żadnych komplikacji, numerów telefonów, listów miłosnych, resztek, prawda? Uważasz, że to takie okropne? Kiedyś próbowałam nakłonić brata, żeby mnie przeleciał. Wiesz, jaki z niego ciamajda, wszyscy go mają po dziurki w nosie. Już nie pamiętam dokładnie, jak to było, w każdym razie zostaliśmy sami w domu, a mnie tego dnia ogarnęła chcica. Brat wszedł do mojego pokoju, żeby mnie o coś tam poprosić. Leżałam sobie z zadartą spódnicą i tylko to jedno chodziło mi po głowie, kiedy więc wszedł, gównu mnie obchodziło, że to akurat mój brat. Myślałam o nim wyłącznie jako o mężczyźnie, leżałam więc z zadartą kiecką, powiedziałam mu, że nie najlepiej się czuję, że boli mnie brzuch. Chciał zaraz pobiec po jakieś lekarstwo, ale go od tego odwiodłam, niech mi tylko rozmasuje brzuch, to mi dobrze zrobi. Rozpięłam bluzkę i kazałam mu masować sobie nagą skórę. Usiłował wlepić wzrok w ścianę, co za idiota, i masował mnie, jak gdybym była kawałkiem drewna. „Nie tam, matolku - powiedziałam - tylko niżej... czego ty się boisz?” I udawałam, że się zwijam z bólu. W końcu dotknął mnie niechcący. „O, tam! Właśnie - zawołałam. - Rozmasuj, tak mi to dobrze robi!” Czy wiesz, że ten skończony osioł naprawdę masował mnie przez pięć minut, nie zdając sobie sprawy, że to wszystko tylko gra? Byłam tak rozdrażniona, że kazałam mu się wynosić do diabła i zostawić mnie samą. „Jesteś eunuchem” - powiedziałam, ale taki był z niego dureń, że chyba nie wiedział, co to znaczy.

Roześmiała się na wspomnienie, jakim nedorajdą był jej brat. Stwierdziła, że chyba nadal jest prawiczkim. I co ja na to - czy to bardzo źle? Wiedziała oczywiście, że nie będę tak uważała.

- Posłuchaj, Francie - zagadnąłem - opowiadałaś kiedyś tę historię temu gliniarzowi, z którym się prowadzasz?

- Najprawdopodobniej nie.

- Ja też nie sędzę - stwierdziłem - bo gdyby usłyszał takie androny, spuściłby ci manto.

- Już mi dał łomot - ona na to.

- Co? - spytałem. - Pozwalasz mu się bić?

- Wcale się nie dopraszam - odparła - ale wiesz, jaki z niego nerwus. Nikomu innemu nie pozwalałam się bić, ale jakoś jego bicie specjalnie mi nie przeszkadza. Czasem mi to nawet dobrze robi... Bo ja wiem, może kobietę powinno się raz na czas bić. Wcale tak bardzo nie boli, jeżeli się faceta naprawdę lubi. A potem jest dla mnie taki cholernie czuły, że aż mi

wstyd...

Nieczęsto trafia się dupa, która się do czegoś takiego przyzna - to znaczy prawdziwa dupa, a nie jakaś tam kretynka. Bo była na przykład Trix Miranda i jej siostra, pani Costello. Niezłe z nich były numerantki. Trix chodziła z moim przyjacielem, MacGregorem, a udawała przed własną siostrą, z którą mieszkała, że nie łączy ich łóżko. Z kolei siostra udawała przed wszystkimi razem i każdym z osobna, że jest oziębła, że nie poszłaby do łóżka z żadnym mężczyzną, nawet gdyby miała ochotę, bo jest „tam za mała”. Tymczasem mój przyjaciel MacGregor pieprzył obie równo, o czym zresztą dobrze wiedziały, a mimo to okłamywały się nawzajem. Dlaczego? Nigdy nie doszedłem prawdy. Ta dziwka Costello była histeryczką; kiedy uznawała, że nie ma sprawiedliwego udziału w rżnięciach MacGregora, natychmiast dostawała pseudoepileptycznego ataku. Trzeba było wtedy obkładać ją ręcznikami, masować przeguby, rozpinąć pod szyją, rozcierać nogi, a na ostatku targać ją na górę do łóżka, gdzie mój przyjaciel MacGregor zajmował się nią, gdy tylko położył tę drugą spać. Czasem obie siostry kładły się razem na popołudniową drzemkę; jeżeli MacGregor był w pobliżu, też szedł na górę i kładł się między nimi. Jak mi tłumaczył ze śmiechem, sztuczka polegała na tym, żeby udawał, że śpi. Leżał więc oddychając głęboko, otwierał przy tym raz jedno, raz drugie oko, żeby zobaczyć, która naprawdę zasypia. Kiedy już nabrał pewności, że jedna śpi, miętosił tę drugą. W takich sytuacjach wołał nawet histeryczkę, panią Costello, którą mąż odwiedzał raz na pół roku. Jak twierdził MacGregor, im większe ryzyko, tym bardziej go to podniecało. Jeżeli dobierał się akurat do drugiej siostry, Trix, którą niby powinien adorować, musiał udawać, że byłoby okropnie, gdyby tamta ich złapała na gorącym uczynku, a zarazem, jak mi to przedstawiał, zawsze miał nadzieję, że tamta się obudzi i ich złapie. Tyle że zameżna siostra, która wedle własnego określenia, była „tam za mała”, to cwana dziwka, a na domiar wszystkiego czuła się winna wobec siostry, gdyby więc tamta ich złapała, to musiałyby chyba udawać, że dostała właśnie ataku i nie wiedziała, co robi. Za nic w świecie nie przyznałyby się, że pozwoliła sobie na przyjemność stosunku z mężczyzną.

Znałem ją dość dobrze, bo w swoim czasie dawałem jej lekcje, i naprawdę stawałem na głowie, żeby się przyznała, że ma normalną cipę i że chętnie by się popierdoliła, gdyby jej się raz czy drugi trafiło. Opowiadałem jej niestworzone historie, w gruncie rzeczy słabo zakamuflowane przykłady jej własnych zachowań, lecz ona pozostawała niewzruszona. Pewnego dnia udało mi się nawet tyle wskórać - szczyt wszystkiego! - że pozwoliła mi tam sobie wsadzić palec. Uznałem, rzecz jasna, że sprawa jest przesądzona. Wprawdzie była tam sucha i ciasnawa, ale złożyłem to na karb jej hysterii. Wyobraźcie sobie jednak, że ktoś posuwa się tak daleko z dupą, po to, by usłyszeć, jak kobieta obciągając gwałtownie sukienkę

rzuca mu w twarz: - Widzisz, mówiłam ci, że nie jestem normalnie zbudowana.

- Nic podobnego - odpowiadałam gniewnie. - To co mam zrobić, oglądać cię pod mikroskopem?

- Też coś - odcina się udając, że znów ma muchy w nosie. - Jak ty do mnie mówisz!

- Dobrze wiesz, że to bujda - ciągnę. - Dlaczego opowiadasz mi takie brednie? Nie sądzisz, że cipa to ludzka rzecz i że raz na jakiś czas warto jej używać? Chcesz, żeby ci wyschła?

- Co za język! - zawołała przygryzając dolną wargę i czerwieniąc się jak burak. - Zawsze cię miałam za dżentelmena.

- Sama nie jesteś damą - odparowałam - bo nawet dama przyznaje się do pierdolenia raz na jakiś czas, poza tym damy nie proszą dżentelmenów, żeby im tam wkładali palce i sprawdzali, jak są zbudowane.

- Nigdy cię nie prosiłam, żebyś mnie dotykał - odrzekła. - Nawet by mi nie przyszło do głowy cię prosić, żebyś mnie dotknął, a co dopiero mojego przyrodzenia.

- Może sądziłaś, że zrobię ci wymaz z ucha, co?

- W tamtej chwili traktowałam cię jak lekarza i tyle - powiedziała wyniośle, usiłując mnie zmrozić.

- Posłuchaj - zaryzykowałam zmianę frontu. - Uznajmy to wszystko za nieporozumienie, nic się nie stało, nic a nic. Za dobrze cię znam, żebyś cię miał tak obrażać. Przecież bym nie śmiał za skarby świata. Tylko rzeczywiście zacząłem się zastanawiać, że może masz rację, może jesteś tam za mała. Wiesz, wszystko poszło jakoś tak prędko, nie zdążyłem się zorientować, jak tam jest... właściwie to nawet nie włożyłem palca do środka. Chyba dotknąłem tylko na zewnątrz, nie dalej. Czekaj, usiądź tu na kanapie... pozostanmy jak dawniej przyjaciółmi. - Przyciągnąłem ją do siebie. Najwyraźniej miękła. Objąłem ją w pasie, jak gdybym chciał ją czule pocieszyć. - Zawsze tak było? - spytałem niewinnie i zaraz omal nie wybuchnąłem śmiechem, uprzytomniwszy sobie, jakie to idiotyczne pytanie. Zwiesiła speszona głowę, jak gdybyśmy poruszyli tragedię, o której nie wolno wspominać. - Posłuchaj, może gdybyś usiadła mi na kolanach... - i posadziłem ją sobie delikatnie na kolana, a równocześnie wsunąłem delikatnie rękę pod sukienkę i położyłem jej leciutko na jej kolanie - może gdybyś tak przez chwilę posiedziała, lepiej byś się poczuła... o, widzisz, wtul się we mnie... lepiej ci teraz?

Nie odpowiedziała, ale też nie stawiała oporu; leżała oparta bezwładnie z przymkniętymi oczyma. Powoli, bardzo łagodnie i gładko przesunąłem rękę powyżej kolana, nie przestając mówić do niej niskim, kojącym głosem. Kiedy sięgnąłem palcami do kroku i

rozchyliłem nieco te jej małe wargi, była wilgotna jak ścierka. Masowałem delikatnie, rozwierając ją coraz bardziej, a ciągle nadawałem telepatyczną audycję o kobietach, które się czasem myślą co do siebie i do własnych, rzekomo niewielkich, rozmiarów, chociaż w gruncie rzeczy są tam zupełnie normalne. Im dłużej to trwało, tym bardziej ociekała sokiem i tym szerzej się otwierała. Miałem już w niej cztery palce, a znalazłoby się i więcej miejsca, gdybym miał więcej palców. Miała olbrzymią cipę, dobrze przy tym rozwierconą, co czułem pod ręką. Spojrzałem na nią, żeby zobaczyć, czy nadal ma zamknięte oczy. Miała rozchylone usta i dyszała, a oczy szczelnie zamknięte, jak gdyby udawała przed sobą, że to wszystko tylko sen. Mogłem teraz zabrać się ostro do dzieła, nie groził najmniejszy sprzeciw. Może więc trochę złośliwie odepchnąłem ją bez potrzeby, żeby tylko stwierdzić, jak zareaguje. Była miękka niczym puchowa poduszka, kiedy więc uderzyła głową o poręcz sofy, wcale nie wykazała oznak zdenerwowania. Zupełnie jak gdyby się znieczuliła w oczekiwaniu gratisowego rżnięcia. Ściągnąłem z niej wszystkie łauszki, rzuciłem na podłogę, a kiedy już rozpracowałem ją trochę na sofie, wyszedłem z niej, położyłem ją na podłodze, na ubraniu; po czym znów się w nią wśliznąłem, a ona trzymała go mocno tą swoją zastawką ssącą, którą się tak wprawnie posługiwała mimo zewnętrznych pozorów zapadnięcia w śpiączkę.

Zadziwia mnie fakt, że muzyka zawsze przeradzała się w seks. Wieczorami, kiedy wychodziłem na samotne spacerki, zawsze musiałem kogoś poderwać - pielęgniarce, dziewczynę wychodzącą z dansingu, sprzedawczynię, pierwszą lepszą spódniczkę. Kiedy ruszaliśmy z moim przyjacielem MacGregorem jego samochodem - zajrzemy tylko na plażę, jak powiadał - o północy nieodmiennie siedziałem w obcym saloniku w dziwnej dzielnicy i trzymałem na kolanach jakąś dziewczynę, zwykle taką, za którą nie dałbym złamanego szeląga, bo MacGregor był jeszcze mniej wybredny ode mnie. Często, kiedy wsiadałem do jego samochodu, oświadczałem:

- Tylko dzisiaj żadnych dup, co?

- Jezu - on na to - ale skąd, mam już dosyć... tak tylko wyskoczmy... może do Sheepshead Bay, co ty na to?

Zwykle nie ujechaliśmy jeszcze mili, kiedy nagle zatrzymywał samochód przy krawężniku i trącał mnie łokciem.

- Spójrz tylko - powiadał wskazując dziewczynę, która szła sobie chodnikiem. - Chryste, co za laska! - Albo: - Co byś powiedział, gdybyśmy ją zaprosili na wspólną przejażdżkę? Może wytrzaśnie skądś koleżankę.

I zanim zdążyłem odpowiedzieć, już ją nagabywał i serwował jej swój repertuar, taki

sam dla wszystkich. W dziewięciu przypadkach na dziesięć dziewczyna łapała przynętę. Zanim ujechaliśmy kawalek, obmacywał ją wolną ręką, po czym pytał, czy nie wytrzasnęłaby skądś koleżanki, która by nam dotrzymała towarzystwa. A jeżeli dziewczucha robiła ceregiele, jeżeli nie odpowiadały jej takie prędkie pieszczoty, mówił: - No, dobra, to wynos się w diabły... nie będziemy marnować czasu na takie jak ty! - Z tymi słowy zwalniał, po czym wyrzucał ją z wozu. - Przecież nie będziemy sobie zawracać głowy takimi dupami, mam rację, Henry? - zwracał się do mnie chichocząc przy tym cichutko.- Poczekaj, zanim noc się skończy, obiecuję ci naprawdę dobry kasek. - Kiedy mu zaś przypominałem, że jeden wieczór mieliśmy sobie darować, odpowiadał: - Jak sobie życzysz... uznałem, że miałbyś większą frajdę. - Po czym nagle znów hamulce podrywały nas do góry, a on przemawiał do jakiejś jedwabistej sylwetki wylaniającej się z mroku: - Witaj, siostrze, co porabiasz, wybrałaś się na spacer? - Tym razem mogło to być coś bardziej podniecającego, gorąca dupenia gotowa zdrzeć spódnice i podać to człowiekowi jak na talerzu. Może nawet nie trzeba jej było stawiać nic do picia, wystarczyło zjechać w boczną uliczkę i zabrać się do dzieła, jeden po drugim, w samochodzie. A jeżeli była lalunią o kurzym mózdzku, bo takie się najczęściej trafiały, MacGregor nie zadawał sobie nawet trudu, żeby ją odwieźć do domu. - To nam nie po drodze - powiedział ten drań. - Wyskakuj tutaj - po czym otwierał drzwi i już jej nie było. Chwilę potem, oczywiście, zachodził w głowę, czy panienska była czysta. Przez całą drogę powrotną nie przestawał o tym myśleć. - Chryste, powinniśmy być bardziej ostrożni - mówił. - Przy takim podrywie można nie wiadomo co złapać. Po tamtej ostatniej, pamiętasz, tamtej, którą poderwaliś w alejach, swędzi mnie jak diabli. Może to tylko z nerwów... za dużo o tym myślę. Powiedz mi, Henry, dlaczego facet nie może trzymać się jednej dupy. Weźmy na przykład Trix, dobra z niej dziewczyna, przecież wiesz. I ja ją nawet jakoś lubię... cholera, po co zresztą o tym gadać? Znasz mnie przecież, nigdy nie mam dosyć. Wiesz, już tak ze mną niedobrze, że czasem, kiedy jadę na randkę, zważ, że z dziewczyną, z którą mam się pieprzyć, wszystko ustalone, no więc, jak mówię, czasem sobie jadę, a tu kątem oka widzę taką laskę przechodzącą ulicę i zanim się obejrzę, już ją mam w samochodzie, a niech szlag trafi tamtą drugą. Chyba do reszty ocipiałem... jak uważasz? Zresztą mi nie mów - dodawał prędko. - Znam cię, ty łotrze... na pewno mi wygarniesz najgorsze rzeczy. - A po chwili: - Wiesz, dziwny z ciebie gość. Jeszcze nie widziałem, żebyś czegoś odmówił, ale jakoś nigdy się niczym nie przejmujesz. Czasem mi się wydaje, że gównem cię wszystko obchodzi. Ale też wierny z ciebie drań, prawie monogamista. Nie mam pojęcia, jak ty wytrzymujesz tak długo z jedną babą. Nigdy się nie nudzisz? Chryste, z góry wiadomo, co taka ma do powiedzenia. Czasem chciałoby się powiedzieć... no wiesz, wpaść do środka i rzucić: „Słuchaj, mała, nic



nie mów... tylko go wyjmij i rozłóż szeroko nogi". - Roześmiał się serdecznie. - Wyobrażasz sobie minę Trix, gdybym jej coś takiego zasunął? Mówię ci, raz już byłem tego bliski. Miałem na sobie kapelusz i płaszcz. Ale była zła! Już nie tyle jej chodziło o ten płaszcz, co o kapelusz! Wytłumaczyłem jej, że się boję przeciagu... oczywiście nie było tam żadnego przeciagu. Szczerze mówiąc, cholernie mi się spieszyło, żeby stamtąd czmychnąć, uznałem więc, że jak nie zdejmę kapelusza, to szybciej wyjdę. W rezultacie spędziłem z nią całą noc. Zrobiła mi taką awanturę, że nie mogłem jej uspokoić... Ale posłuchaj, to jeszcze nic. Raz miałem pijaną irlandzką dupę, ta dopiero miała szalone pomysły. Po pierwsze, nigdy nie chciała robić tego w łóżku... tylko zawsze na stole. Wiesz, raz na jakiś czas to nawet fajnie, ale tak stale to człowiek zaczyna mieć dosyć. No więc pewnej nocy - sam chyba byłem ździebko przyprószony - mówię jej, nie, nic z tego, ty pijanico... dzisiaj idziesz ze mną do łóżka. Chcę się popierdolić naprawdę, w łóżku. I wiesz, że musiałem się z nią prawie godzinę wykłócać, zanim ją zdołałem przekonać, żeby poszła ze mną do łóżka, a i to pod warunkiem, że nie zdejmę kapelusza. Wyobrażasz sobie, jak rznąłem tę głupią kurwę mając kapelusz na głowie? W dodatku cały golusieńki! Spytałem ją: „Dlaczego chcesz mnie w kapeluszu?” I wiesz, co powiedziała? Powiedziała, że tak jest eleganciej. Wyobrażasz sobie, co się tej kurwie roiło w głowie? Po prostu czułem do siebie odrazę za to, że z nią chodzę. Dlatego nigdy nie zjawiałem się tam trzeźwy. Musiałem najpierw dobrze zatankować, zaprawić się na cacy, wiesz, jak to ze mną bywa...

Dobrze wiedziałem. Był jednym z moich najdawniejszych przyjaciół, i to najbardziej kłótliwych, jakich znałem. Uparty - to za mało powiedziane. Był jak muł, zatwardziały Szkot. A jego stary był jeszcze gorszy. Kiedy zaczynali sobie skakać do oczu, zawsze miałem niezłe widowisko. Stary tańczył, dosłownie tańczył z wściekłości. Jeżeli stara próbowała ich rozdzielić, dostawała w limo. Regularnie wyrzucali go z domu. Szedł więc w cholerę, zabierając cały swój dobytek, łącznie z wszystkimi meblami, no i, oczywiście, z fortepianem. Po jakimś miesiącu wracał, bo w domu zawsze mu wybaczano. Po czym któregoś wieczoru znów przychodził do domu pijany z kobietą, którą gdzieś poderwał, i cała burda zaczynała się od początku.

Nawet nie tyle mieli do niego pretensje o to, że wraca do domu z dziewczyną i że trzyma ją u siebie całą noc, ile o to, że ma czelność poprosić matkę, aby im podała śniadanie do łóżka. Jeżeli matka zaczynała mu wymyślać, zamykał jej usta słowami:

- Co ty mi tu będziesz mówić. Do dzisiaj nie wyszłabyś za męża, gdyby cię stary nie podkuł.

Starsza pani załamywała, ręce i utyskiwała:

- Co za syn! Co za syn! Boże, zlituj się nade mną, czym ja sobie na coś takiego zasłużyłam? Na co on odpowiadał:

- Dałabyś spokój, stara idiotko!

Nierzadko jego siostra usiłowała załagodzić całą sprawę.

- Chryste, Wallie - napominała go - nie obchodzi mnie, co robisz, ale nie mógłbyś się tak odnosić do matki z większym szacunkiem?

Wtedy MacGregor zapraszał siostrę, żeby usiadła na łóżku, i przymiłał się, żeby mu przyniosła śniadanie. Zwykle musiał pytać swoją aktualną partnerkę z łóżka o imię, żeby móc ją przedstawić siostrze.

- Nie jest taka zła - mawiał o siostrze. - To jedyna porządna osoba w całej rodzinie... Posłuchaj, siostruniu, przynieś nam coś do żarcia, dobrze? Pyszniutki jajka na boczku, co ty na to? A stary jest w domu? Jaki ma dzisiaj humor? Bo chętnie pożyczylbym kilka dorców. Może byś tak od niego wyciągnęła, co? Kupię ci coś ładnego na Gwiazdkę. - Po czym, jak gdyby wszystko już zostało ustalone, ściągał koc, żeby obnażyć panienkę u swego boku. - Spójrz tylko, siostruniu, prawda, że jest śliczna? Co za nogi! Powinnaś sobie znaleźć faceta... taka jesteś chuda. Bo widzisz, Patsy na pewno nie musi się o to dopraszać, prawda, Patsy? - i klepał Patsy po tyłku. - A teraz szoruj, siostruniu, napiłbym się kawy... i dopilnuj, żeby boczek był chrupiący! Tylko nie przynoś mi tego ohydneho boczku ze spożywczego... kup taki ekstra. No i się pospiesz!

Podobała mi się jego słabość; tak jak wszyscy mężczyźni, którzy ćwiczą siłę woli, w środku był zupełnym mięczakiem. Niczego by nie odmówił - taki miał słaby charakter. Zawsze był bardzo zajęty, a przecież na dobrą sprawę nic nie robił. Wiecznie coś wkuwał, wiecznie usiłował się doksztalić. Brał, na przykład, wielki słownik, codziennie wrywał jedną kartkę i zgłębiał ją pilnie w drodze do biura i z biura. Głowę miał nabitą faktami, a im bardziej były absurdalne i chaotyczne, tym większą z nich czerpał przyjemność. Jakby chciał udowodnić wszem wobec, że życie to jedna wielka farsa, gra nie warta świeczki, zawsze jedno wyklucza drugie, i tak dalej. Wychował się w Północnej Dzielnicy, niedaleko okolicy, w której spędziłem dzieciństwo. Był zresztą nieodrodnym dzieckiem Północnej Dzielnicy, między innymi dlatego tak bardzo go lubiłem. Sposób, w jaki mówił, kącikiem ust, czy na przykład hardość w rozmowie z gliniarzami, to jego spluwanie z obrzydzeniem, wyszukane przekleństwa, sentymentalizm, ograniczone horyzonty, namiętność do bilardu i do gry w kości, mitręzenie całych nocy na pogaduszkach, pogarda dla bogaczy, włóczęgi po knajpach z politykami, ciekawość do bezwartościowych rzeczy, szacunek dla wiedzy, fascynacja dansingiem, barem, teatrem burleski, to jego gadanie o zwiedzaniu świata, chociaż nie ruszał

się na krok poza miasto, idealizowanie byle kogo, o ile ten ktoś był „charakterny”, tysiąc jeden podobnych rysów charakteru i dziwactw zjednywało mu moją sympatię, bo właśnie takimi cechami odznaczali się chłopcy, których znałem w dzieciństwie. Najwyraźniej cała dzielnica składała się tylko i wyłącznie z cudownych wykolejeńców. Dorośli zachowywali się jak dzieci, a dzieci były niepoprawne. Nikt nie mógł podskoczyć dużo wyżej niż jego sąsiedzi, zaraz by go zlinczowano. Aż dziw bierze, że ten czy ów w ogóle został lekarzem bądź prawnikiem. A i tak musiał być równym gościem, musiał udawać, że mówi tak jak inni, musiał głosować na demokratów. Na przykład gadki MacGregora na temat Platona lub Nietzschego do jego kumpli były naprawdę warte zapamiętania. Przede wszystkim, żeby kolesie w ogóle pozwolili mu opowiadać o kimś takim jak Platon lub Nietzsche, musiał udawać, że trafił przypadkiem na te nazwiska; albo na przykład mówił, że pewnego wieczoru w drugiej sali baru spotkał interesującego pijaka, który się rozgadał na temat jakiegoś tam Nietzschego czy Platona. Udawał nawet, że nie wie dokładnie, jak się wymawia ich nazwiska. Ten Platon wcale nie był taki głupi, dodawał przepaszajaco. Coś tam mu się kołatało pod czaszką, o tak, jeszcze jak. MacGregor sam chętnie by zobaczył, jak jeden z tych tępych polityków z Waszyngtonu bierze się za łby z takim gościem jak Platon. I ciągnął dalej, przystępnie i rzeczowo opowiadając swoim koleżkom od gry w kości, co to za bystry facio był z tego Platona w swoich czasach, czym się wyróżniał w porównaniu z innymi facetami w innych czasach. Gość był na pewno eunuchem, dorzucał, żeby wylać trochę zimnej wody na tę całą erudycję. W tamtych czasach, dodawał sprytnie, wielcy faceci, filozofowie, kazali sobie często obcinać jaja - to fakt! - żeby nic ich nie kusilo. Z kolei ten drugi, Nietzsche, to był dopiero typ, nadawali się do czubków. Podobno kochał się we własnej siostrze. Taki nadwrażliwy. Musiał mieszkać w specjalnym klimacie - bodajże w Nicei. MacGregor sam nie przepada za Niemcami, ale ten Nietzsche to całkiem co innego. Tak się składa, że Nietzsche po prostu ich nienawidził. Podawał się za Polaka czy kogoś takiego. Słusznie ich obrobił, nie ma co. Mówił, że to głupie chamy, a Bóg mi świadkiem, że ten facet wiedział, co mówi. W każdym razie nieźle ich podsumował. Powiadał jednym słowem, że są gównno warci, no i co, nie miał racji? Widzieliście, jak te łajdaki wzięły dupę w troki, kiedy im zaaplikowano dawkę ich własnego leku?

Słuchajcie, znam takiego faceta, który wygarnął całe ich gniazdo w okolicy Argonne. Twierdził, że takie z nich były szmaty, że nawet by na nich nie nasrał. Twierdził, że nie zmarnowałyby na nich ani jednej kulki, po prostu rozwaliłyby im te głupie łby pałką. Wypadło mi akurat z głowy jego nazwisko, w każdym razie mówił, że przez te kilka miesięcy sporo się tam napatrzył. Twierdził, że największa frajda, jaka mu się trafiła w tym całym pierdołniku,

to kiedy puknął własnego majora. Nawet właściwie nic do niego nie miał - po prostu nie podobała mu się morda tamtego faceta. Nie podobało mu się, jak tamten wydaje rozkazy. Podobno większość oficerów, którzy tam polegli, dostało kulki w plecy. I dobrze im tak, tym kutasom! On był tylko chłopakiem z Północnej Dzielnicy. Prowadzi teraz bodajże salę bilardową koło Wallabout Market. Spokojny z niego gość, nie wtyka nosa w cudze sprawy. Ale jak z nim zacząć gadać o wojnie, przestaje nad sobą panować. Powiada, że zamordowałby prezydenta Stanów Zjednoczonych, gdyby ten spróbował rozpocząć kolejną wojnę. I mówię wam, zabiłby go jak nic... Tylko, cholera, co to ja wam chciałem powiedzieć na temat Platona? Aha...

Kiedy innych nie było w pobliżu, raptownie wrzucił inny bieg.

- Nie wierzysz w takie gadanie, co? - pytał. Przyznawałem, że nie. - To się mylisz - ciągnął. - Należy trzymać z ludźmi, bo człowiek nie wie, do czego mu się potem przydadzą. Zachowujesz się, jakbyś był wolny, niezależny! Jakbyś miał się za kogoś lepszego. I tu się bardzo mylisz. Skąd wiesz, co z tobą będzie za pięć lat, czy nawet za pół roku? Możesz oślepnąć, możesz wpaść pod ciężarówkę, możesz trafić do czubków, człowiek nie wie, co go czeka. Nikt nie wie. Możesz być bezradny jak niemowlę...

- No i co z tego? - pytałem.

- Nie sądzisz, że dobrze byłoby mieć przyjaciela, kiedy ci będzie naprawdę potrzebny? Możesz być tak cholernie bezradny, że chętnie przyjmiesz rękę, która cię przeprowadzi przez ulicę. Uważasz, że ci faceci są nic niewarci, uważasz, że marnują tylko z nimi czas. Posłuchaj, człowiek nie wie, co taki facet może dla niego któregoś dnia zrobić. Samemu daleko się nie zajędzie...

Był drażliwy na punkcie mojej niezależności, którą nazywał obojętnością. Nie posiadał się z radości, kiedy musiałem go prosić o forszę. Miał wtedy okazję wygłosić mi kazanie na temat przyjaźni.

- Czyli tobie też jest potrzebna forsa? - powiedział z uśmiechem zadowolenia, który rozjaśniał mu całą twarz. - Czyli poeta też musi czasem jeść? Proszę, proszę... Masz szczęście, że przyszedłeś z tym do mnie, mój drogi Henry, bo mam do ciebie słabość, znam cię, ty zimny skurczybyku. Nie ma sprawy, ile ci potrzeba? Sam nie mam dużo, ale z tobą się podzielę. Sprawiedliwie, co? A może sądzisz, draniu, że powinienem dać ci wszystko i potem samemu chodzić po ludziach i pożyczać? Zjadłoby się dobry obiad, co? Jajka na szynce to ciut za mało, prawda? I pewnie mam cię w dodatku podrzucić do restauracji? Wstań no na chwilę z fotela, podłożę ci pod tyłek poduszkę. Proszę, proszę, czyli jesteś splukany! Chryste, zawsze jesteś splukany. Nie pamiętam, żebyś kiedykolwiek miał forszę. I nigdy ci nie wstyd?

Mówisz o tych włóczęgach, z którymi się zadaję... no to wiedz, mój panie, ci faceci nigdy mnie nie naciągają na dziesięć centów tak jak ty. Są bardziej honorowi, woleliby ukraść, niż mnie prosić. Ale ty, cholera, masz głowę nabitą górnolotnymi ideami, chciałbyś uzdrawiać świat i takie tam brednie, tylko nie chce ci się pracować dla forsy, o, to nie dla ciebie... czekasz, aż ci ktoś to poda na srebrnej tacy. Też coś! Szczęście, że są jeszcze tacy faceci jak ja, którzy cię rozumieją. Henry, nabrałbyś wreszcie rozumu. Bo bujasz w obłokach. Nie wiesz o tym, że każdy chce jeść? Większość ludzi godzi się po to pracować, nie wylegują się przez cały dzień w łóżku tak jak ty, żeby nagle szybko wskoczyć w portki i pobiec do najbliższego kumpla, jaki się nawinie. A gdyby mnie tu nie było, to co byś zrobił? Nie musisz odpowiadać... wiem, co powiesz. Ale posłuchaj, nie możesz tak dalej żyć. Pewno, mądrze gadasz, miło cię posłuchać. Wiesz, z tobą jednym naprawdę lubię rozmawiać, ale dokąd cię to zaprowadzi? Któregoś dnia zamkną cię za włóczęstwo. Jesteś tylko włóczęgą, nie wiesz o tym? Nie jesteś nawet tyle wart, co ci włóczędzy, na których tak się wypinasz. Gdzie ty się podziewasz, kiedy ja jestem w opałach? Wtedy cię nie ma. Nie odpisujesz na moje listy, nie odbierasz telefonów, czasem się nawet chowasz, kiedy do ciebie wpadam. Wiem, wiem, nie musisz mi tłumaczyć. Wiem, że nie masz ochoty słuchać bez przerwy mojego gadania. Ale, cholera, czasem naprawdę muszę z tobą pogadać. A ciebie to gównem obchodzi. Jeżeli tylko deszcz nie pada ci na głowę i brzuch masz akurat zapchany, jesteś szczęśliwy. Nie myślisz o przyjaciółach, chyba że sam masz nóż na gardle. Tak się nie robi. Przyznaj mi rację, to ci dam dolara. Psiakrew, Henry, jesteś moim jedynym prawdziwym przyjacielem, a przy tym skurczybyckim chamem, niech mnie pokręci, jeśli źle mówię. Jesteś po prostu skurczybyckim nicponiem. Wolisz się zagłodzić na śmierć, niż przyłożyć palec do jakiejś roboty... Śmiałem się oczywiście i wyciągałem rękę po dolara, którego mi obiecał. To go na nowo rozdrażniało.

- Gotów jesteś powiedzieć wszystko, prawda, bylebym dał ci tego dolara, którego ci obiecałem? Co za typ! Co tu gadać o moralności, Chryste, masz moralność grzechotnika. Nie, jak rany Boga, jeszcze ci nie dam. Najpierw cię trochę podręcę. Dołożę starań, żebyś zarobił te pieniądze. Może byś mi tak wyczyścił buty, co? Bo jak ich teraz nie wyczyścisz, to nikt ich nie wyczyści.

Biorę więc jego buty i proszę o szczotkę. Nie mam nic przeciwko temu, nic a nic. Ale to go najwyraźniej rozwściecza.

- I co, masz zamiar czyścić? Jak rany Boga, to już przechodzi ludzkie pojęcie. Czekaj, gdzie twoja duma? Czy ty ją w ogóle masz? A jesteś przecież facetem, który wszystko wie. Coś niesłychanego. Tyle, do cholery, wiesz, że musisz czyścić buty przyjaciół, żeby ich naciągnąć na obiad. Co za gnida! Masz, draniu, szczotkę! A przy okazji wyczyść i drugą parę.

Chwila przerwy. MacGregor myje się nad umywalką i nuci coś pod nosem. Naraz wesołym, promiennym tonem:

- Jak tam dzisiaj na dworze, Henry? Słonecznie? Wiesz, mam dla ciebie odpowiedni lokal. Co byś powiedział na małże z boczkiem, a do tego sos tatarski? Znam taką knajpę nad zatoką. Taki dzień jak dzisiaj jest wymarzony na małże z boczkiem, co, Henry? Tylko mi nie mów, że masz co innego do roboty... jeżeli cię już tam zaciągnę, musisz mi poświęcić chwilę czasu, sam rozumiesz. Chryste, jak ja bym chciał mieć twoje usposobienie. Bo ty tylko żyjesz z minuty na minutę. Czasem tak sobie myślę, że znacznie lepiej, cholera, lądujesz niż my wszyscy, chociaż jesteś parszywym skurczybykiem, zdrajcą i złodziejem. Przy tobie dzień mi upływa jak we śnie. Nie rozumiesz, o co mi chodzi, kiedy ci powtarzam, że od czasu do czasu muszę się z tobą spotkać? Dosłownie wariuję, kiedy przez cały czas jestem sam. Jak sądzisz, dlaczego wieszcznie się uganiam za dupami? Dlaczego całymi nocami gram w karty? Dlaczego zbijam baki z tymi włóczęgami z Point? Bo muszę z kimś gadać.

Nieco później nad zatoką, kiedy siedzimy w ogródku nad wodą, już po jednej wódce, w oczekiwaniu na morskie przysmaki...

- Życie nie jest takie złe, jeżeli się robi to, na co się ma ochotę, prawda, Henry? Jak zarobię trochę szmalu, wybiorę się w podróż dookoła świata, wezmę cię wtedy ze sobą. Tak, chociaż wcale na to nie zasługujesz. Pewnego dnia naprawdę wydam na ciebie grubą forszę. Bo chciałbym zobaczyć, jak się będziesz zachowywał, kiedy ci dać wolną rękę. Po prostu dam ci te pieniądze... Nie będę udawał, że ci je pożyczam. Zobaczymy, jak będą wyglądały twoje wzniosłe idee, kiedy naprawdę poczujesz forszę. Bo wiesz, kiedy nawijałem wtedy o Platonie, chciałem cię o coś zapytać: chciałem cię zapytać, czy czytałeś kiedyś te jego historie o Atlantydzie. Czytałeś? Naprawdę? No i co o tym myślisz? Uważasz, że to tylko takie historyjki, czy może kiedyś coś takiego istniało?

Nie miałem odwagi mu powiedzieć, że w moim przekonaniu jest wiele setek, a nawet tysięcy kontynentów, o których istnieniu, przeszłym bądź przyszłym, nawet się nam nie śniło. Odparłem więc tylko, że moim zdaniem Atlantyda mogła niegdyś jak najbardziej istnieć.

- Zresztą, to nie takie ważne - ciągnął dalej - ale powiem ci, co na ten temat myślę. Myślę, że musiały istnieć takie czasy, kiedy ludzie byli inni. Nie wierzę, że zawsze byli takimi świniami, jakimi są dzisiaj i byli przez ostatnich kilka tysięcy lat. Zakładam, że mógł być taki czas, kiedy ludzie umieli żyć, kiedy umieli się odprężyć i cieszyć życiem. Wiesz, co mnie doprowadza do szału? Kiedy patrzę na swojego starego. Odkąd przeszedł na emeryturę, przez cały boży dzień siedzi tylko przed kominkiem zupełnie osowiały. Całe życie harował po to, żeby teraz siedzieć jak ten załamany goryl. Cholera, gdybym sądził, że i mnie to czeka,

strzeliłbym sobie w łeb. Rozejrzyj się... rozejrzyj się po ludziach, których obaj znamy... znasz chociaż jednego, który byłby czegoś wart? Chciałbym wiedzieć, na co tyle zachodu? Jak to się mówi, trzeba żyć. Niby po co? Cholera, wszyscy mieliby się lepiej, gdyby nie żyli. Bo to jedna wielka kupa gnoju. Kiedy wybuchła wojna, patrzyłem, jak ludzie szli do okopów, i myślałem sobie, świetnie, może to ich nauczy rozumu! Wielu oczywiście nie wróciło. Ale inni! Myślisz, że wrócili bardziej ludzcy, mądrzejsi? Skądże znowu! Wszyscy są w głębi serca rzeźnikami, a jak przyjdzie co do czego, to tylko skamlą. Aż mnie mdli od tej całej pierdolonej bandy. Widzę, jacy są, bo codziennie wyciągam ich z mamra za kaucją. Widzę obie strony. Po tamtej stronie jeszcze gorzej cuchnie. Gdybym ci wyjawiał co nieco na temat sędziów, którzy skazują tych biednych nieboraków, miałbyś ochotę dobrać im się do skóry. Wystarczy spojrzeć na ich twarze. Żebyś wiedział, Henry, chciałbym wierzyć, że kiedyś było inaczej. Nie widzieliśmy jeszcze prawdziwego życia, i chyba już nie zobaczymy. Na mój rozum taki stan rzeczy będzie trwał przez kolejnych kilka tysięcy lat. Uważasz, że gonię za pieniędzmi. Uważasz, że mi odbiło, bo chcę zarobić kupę forsy. No to ci powiem, że chcę trochę uciuć, żeby się wyrwać z tego gówna. Chętnie zamieszkałbym z czarną dziwką, byle się tylko wyrwać z tej atmosfery. Urobiłem się po jaja, żeby zajść tu, gdzie teraz jestem, czyli wcale nie tak znów wysoko. Podobnie jak ty wcale nie wierzę w pracę, tylko tak mnie wyuczono. Gdybym umiał rozkręcić jakiś interes, gdybym umiał podwędzić co nieco tym parszywym łotrom, z którymi mam do czynienia, zrobiłbym to z czystym sumieniem. Tyle że ciut za dobrze znam się na prawie, w tym cały szkopał. Ale zobaczysz, jeszcze ich przechytrzę. A jeżeli już się na coś porwę, to z rozmachem...

Kolejna wódka do podanych morskich przysmaków i MacGregor ciągnie swoje.

- Nie bujałem, kiedy mówiłem, że zabiorę cię z sobą w podróż. Poważnie o tym myślę. Pewno mi teraz powiesz, że musisz się zajmować żoną i dzieckiem. Kiedy ty się wreszcie pozbędziesz tej wiedźmy? Nie rozumiesz, że musisz ją rzucić w cholere? - Zaczyna się cicho śmiać. - Ho! Ho! I pomyśleć, że to ja ci ją podsunałem! Nie przyszłoby mi do głowy, że będziesz takim idiotą, żeby jej się dać omotać. Sądziłem, że ci serwuję niezły towar, a ty, biedaczysko, od razu się z nią ożeniłeś. Ho, ho! Posłuchaj, Henry, jeżeli masz jeszcze choć trochę oleju w głowie, nie pozwól, żeby ta jędzowata pinda zafajdała ci życie, rozumiesz? Nie obchodzi mnie, co zrobisz ani dokąd się udasz. Za nic bym nie chciał, żebyś stąd wyjeżdżał... bardzo by mi cię brakowało, mówię ci to szczerze, ale na miłość boską, nawet gdybyś miał wiać do Afryki, to wiej, tylko wyrwij się z jej szponów, bo ona nie jest ciębie warta. Czasem, kiedy mi się trafi dobra dupa, to zaraz sobie myślę, byłaby w sam raz dla Henry'ego, i mam zamiar ci ją przedstawić, po czym oczywiście zapomina. Ale,

Chryste, człowieku, na świecie żyją tysiące dup, z którymi mógłbyś się dogadać. A tyś musiał sobie wybrać taką podłą dziwę... Chcesz dokładkę boczku? Jedz lepiej teraz, co masz zjeść, bo potem nie będzie szmału. Napijesz się jeszcze? A jeśli spróbujesz dziś ode mnie uciec, przysięgam, że nigdy ci już nie pożyczę ani centa... Co to ja mówiłem? A, tak, o tej pierdolonej dziwie, z którą się ożeniłeś. No to posłuchasz mnie czy nie? Za każdym razem obiecujesz, że od niej uciekniesz, ale nigdy nie uciekasz. Nie sądzisz chyba, mam nadzieję, że ją utrzymujesz? Ty durniu, wcale jej nie jesteś potrzebny, sam tego nie widzisz? Ona po prostu chce cię zadręczyć na śmierć. A co do małej... na twoim miejscu, psiakrew, bym ją utopił. Nie jesteś przecież ojcem. Sam nie wiem, kim ty, do diabła, jesteś... po prostu wiem, że za dobry z ciebie, do licha, facet, żeby marnować sobie na nie własne życie. Może byś tak wreszcie spróbował coś ze sobą zrobić? Jesteś jeszcze młody i sprawiasz dobre wrażenie. Wyjedź dokądś, cholera, jak najdalej stąd, i zacznij od nowa. Gdyby ci była potrzebna forsa, to ci ją skombinuję. Wiem, że to pieniądze wyrzucone w błoto, ale i tak bym ci je skombinował. Bo tak się składa, Henry, że cię cholernie lubię. Dużo więcej od ciebie skorzystałem niż od kogokolwiek innego na świecie. Bo chyba mamy sporo wspólnego, chociażby to, że pochodzimy z tej samej dzielnicy. Aż dziwne, że cię wtedy nie znałem. Cholera, popadam w sentymenty...

I tak zleciał dzień na jedzeniu i piciu, słońce mocno grzało, samochód obwoził nas, gdzie tylko chcieliśmy, w przerwach cygara, drzemki na plaży, przegląd mijających nas dup, gaduły, śmiechy, trochę też śpiewów -jeden z wielu takich dni spędzonych z MacGregorem. W takie dni naprawdę czas jakby się zatrzymał. Na powierzchni było wesoło i beztrosko; czas upływał jak lepki sen. W środku zaś stan zagrożenia i złe przeczucia, a nazajutrz przygnębienie i niepokój. Świetnie wiedziałem, że któregoś dnia będę musiał z takim trybem życia zerwać; wiedziałem, że w ten sposób przesiuszkam tylko czas. Ale wiedziałem też, że nic na to nie mogę poradzić - przynajmniej na razie. Coś się musiało wydarzyć, coś wielkiego, coś, co by mnie poderwało na nogi. Trzeba było mnie popchnąć, ale siła, która popchnęłaby mnie we właściwym kierunku, musiała pochodzić spoza mojego świata, tego jednego byłem pewien. Nie potrafiłem zadręczać się tym na śmierć, bo nie leżało to w mojej naturze. Przez całe życie wszystko - w końcu - dobrze się układało. Nie było mi pisane się wysilać. Coś należało pozostawić opatrności - w moim przypadku bardzo dużo. Mimo wszelkich zewnętrznych przejawów pecha czy niepowodzenia wiedziałem, że jestem w czepku urodzony. Owszem, przyznaję, że sytuacja zewnętrzna była kiepska, bardziej jednak dręczyła mnie sytuacja wewnętrzna. Naprawdę bałem się siebie, własnego apetytu, ciekawości, elastyczności, podatności, towarzyskości, umiejętności przystosowania. Żadna sytuacja sama



w sobie nie mogła napawać mnie strachem: zawsze miałem świadomość, że dobrze mi się wiedzie, że siedzę sobie niejako w kielichu jaskra i spijam miód. Nawet gdybym trafił do więzienia, podejrzewałem, że by mnie to bawiło. Chyba dlatego, że przed niczym się nie broniłem. Inni wyniszczali samych siebie ciskając się, szamocząc, wrywając; moja strategia polegała na tym, żeby się unosić na fali. Nie przejmowałem się tym, co mi wyrządzano, lecz tym, co wyrządzano sobie albo innym. Tak dobrze się czułem w środku, że musiałem przyjmować na siebie problemy świata. Dlatego właśnie przez cały czas żyłem w takim chaosie. I dlatego nie potrafiłem się, że tak powiem, zsynchronizować z własnym przeznaczeniem. Usiłowałem przeżyć los świata. Jeżeli wracałem, na przykład, wieczorem do domu i nie było tam nic do jedzenia, nawet dla dziecka, obracałem się na pięcie i szedłem tego jedzenia poszukać. Ale zauważyłem, co mnie zresztą zdumiewało, że gdy tylko znalazłem się na zewnątrz w poszukiwaniu żarcia, natychmiast dochodziła do głosu *Weltanschauung*. Nie myślałem tylko i wyłącznie o jedzeniu dla nas, lecz o jedzeniu w ogóle, o jedzeniu we wszystkich jego przejawach, wszędzie na świecie o danej porze, jak je zdobyto, jak przyrządzono, co robią ci, którzy go nie mają, i jak można by to urządzić, żeby wszyscy mieli jedzenie, kiedy trzeba, żeby już nie tracić więcej czasu na tak idiotycznie prosty problem. Litowałem się, rzecz jasna, nad żoną i dzieckiem, ale też litowałem się nad Hotentotami i australijskimi buszmenami, nie mówiąc już o głodującym Belgach, Turkach czy Ormianach. Litowałem się nad rodzajem ludzkim, nad głupotą człowieka i nad jego brakiem wyobraźni. Niezjedzenie jednego posiłku nie było takie straszne, wstrząsała mną natomiast do głębi upiorna pustka ulicy. Te cholerne domy, jeden podobny do drugiego, a wszystkie jakby puste i smętne. Pod nogami równe płyty chodnikowe, asfalt na jezdni, piękne-obrzydliwie-eleganckie ganki kamieniczek, a mimo to można dzień i noc uchodzić nogi po tej kosztownej nawierzchni w pogoni za kawałkiem chleba. To mnie dobijało. Ten absurd. Gdyby tak można było wybiec z dzwonkiem obiadowym i zawołać: - Słuchajcie, ludzie, jestem głodny. Komu wyczyścić buty? Komu wyrzucić śmieci? Komu przetkać rury? - Gdyby tak można było wyjść na ulicę i im to wprost powiedzieć. Ale człowiek boi się gębę otworzyć. Jeżeli powiedzieć przechodniowi na ulicy, że się jest głodnym, ten dostaje potwornego pietra i czmycha przerażony. Nigdy tego nie potrafiłem zrozumieć. I do dziś nie rozumiem. A to przecież takie proste - wystarczy powiedzieć „tak”, kiedy ktoś się do nas z czymś zwraca. Jeżeli nie można powiedzieć „tak”, trzeba go wziąć pod rękę i poprosić kogoś innego o pomoc. Nie mogę pojąć, dlaczego trzeba wskakiwać w mundur i zabijać nie znanych sobie ludzi tylko i wyłącznie po to, żeby zdobyć tę kromkę chleba. Takie myśli zaprzatają mi głowę bardziej niż to, do czyjej gęby on trafia i ile kosztuje. Dlaczego miałbym się, kurwa,

martwić o jakieś ceny? Jestem tu po to, żeby żyć, a nie po to, żeby rachować. A tego jednego te dranie odmawiają człowiekowi - życia! Chcą, żeby człowiek strawił całe życie na dodawaniu liczb. To ma dla nich sens. To jest rozsądne. To jest mądre. Gdybym ja tu rządził, może nie byłoby takiego porządku, ale, jak rany Boga, na pewno byłoby weselej! Człowiek nie musiałby srać w portki z powodu błahostek. Może nie byłoby wyasfaltowanych dróg, krążowników szos, megafonów ani miliona, miliarda najrozmaitszych urzędów, może nawet nie byłoby szyb w oknach, może spałoby się na ziemi, może nie byłoby francuskiej kuchni ani kuchni włoskiej czy chińskiej, może ludzie zabijaliby się nawzajem, kiedy zabrakłoby im cierpliwości, może też nikt by ich nie powstrzymał, bo nie byłoby więzień, policji ani sędziów, a już na pewno nie byłoby ministrów ani ciał ustawodawczych, bo nie byłoby żadnych cholernych praw, których można by przestrzegać bądź nie przestrzegać, może też podróże z miejsca na miejsce trwałyby całe miesiące i lata, ale niepotrzebne byłyby wize, paszporty i dowody tożsamości, bo człowiek nie byłby nigdzie zarejestrowany, nie miałby numeru, a gdyby chciał co tydzień zmieniać nazwisko, mógłby je zmieniać, bo nikomu by to nie wadziło, skoro niczego by nie posiadał poza tym, co mógłby unieść ze sobą, zresztą dlaczego miałby chcieć coś posiadać, skoro wszystko byłoby za darmo?

W tym okresie, kiedy pętałem się od drzwi do drzwi, od jednej pracy do drugiej, od jednego przyjaciela do drugiego, od posiłku do posiłku, starałem się mimo wszystko znaleźć takie miejsce, które byłoby mi kotwicą; coś w rodzaju koła ratunkowego pośród rwącego nurtu kanału. W promieniu jednej mili wokół mnie rozlegały się odgłosy wielkiego żalobnego dzwonu. Kotwica pozostawała niewidoczna - tkwiła głęboko w dnie kanału. Widać było, jak podskakuję niczym korek na powierzchni, to kołyszę się łagodnie, to znów bujam gwałtownie w przód i w tył. Bezpieczeństwo zapewniało mi wielkie biurko, które przez pięćdziesiąt lat stało w zakładzie krawieckim mojego starego, poczęło wiele rachunków i jęków, mieściło w schowkach najdziwniejsze pamiątki, aż wreszcie je podwędziłem, kiedy ojciec był chory i nie siedział w zakładzie; teraz zaś stało pośrodku naszego ponurego salonu na drugim piętrze szacownej kamieniczki w martwym punkcie najbardziej szacownej dzielnicy Brooklynu. Musiałem stoczyć nie lada bitwę, żeby je tam ustawić, ale uparłem się, żeby stanęło w samiutkim środku naszej chałupy. Zupełnie jakbym ustawił mastodonta na środku gabinetu dentystycznego. Ale ponieważ żona nie miała znajomych, którzy by ją odwiedzali, a dla moich znajomych mogłoby nawet, pies z nim, wisieć sobie na żyrandolu, trzymałem je w salonie, wokół ustawiłem wszystkie wolne krzesła, jakie mieliśmy, po czym siadałem wygodnie, kładłem nogi na biurku i marzyłem o tym, co bym napisał, gdybym coś pisał. Przy biurku miałem sopluchę, dużą, mosiężną, z tego samego zakładu, raz na czas do niej

spluwałem, żeby sobie przypomnieć, że tam stoi. Wszystkie przegródki ziały pustką, podobnie jak wszystkie szuflady; na biurku nic nie leżało poza arkuszem białego papieru, na którym nie byłem w stanie postawić nawet ptaszka. Kiedy myślę o tych tytanicznych wysiłkach, żeby skanalizować gorącą lawę, która we mnie kipiała, o wysiłkach powtarzanych tysiące razy, żeby skierować lejek na właściwe miejsce i uchwycić jedno słowo, jedną frazę, nieodmiennie myślę o ludziach z epoki kamienia. Sto tysięcy, dwieście tysięcy, trzysta tysięcy lat, żeby dotrzeć do ery paleolitu. Upiorna walka, bo przecież nikomu się nie śniło coś takiego jak paleolit. Nadszedł bez wysiłku, zrodzony w jednej sekundzie; można by powiedzieć - cud, tyle że wszystko zdarza się cudem. Coś się zdarza albo się nie zdarza, i tyle. Niczego nie osiąga się potem i walką. Prawie wszystko, co nazywamy życiem, jest tylko bezsennością, cierpieniem, bo zatraciliśmy nawyk zasypiania. Nie umiemy odpuścić. Jesteśmy jak te pajacyki na sprężynie w pudełku, a im bardziej się szarpimy, tym trudniej jest wleźć z powrotem do pudełka. Podejrzewam, że gdybym oszalał, chyba nie znalazłbym lepszej metody zakotwiczenia niż ustawienie tego neandertalskiego mebla pośrodku salonu. Z nogami na biurku, dryfując z prądem, z kręgosłupem wygodnie wciśniętym w grubą skórzaną poduchę, zachowywałem idealny dystans do kłębiących się wokół mnie, wyrzuconych na brzeg szczątków i odpadków, które - jak próbowali mnie zapewnić przyjaciele, gdyż byli szaleni i płynęli z prądem - stanowiły rzekomo życie. Pamiętam wyraźnie swój pierwszy kontakt z rzeczywistością, który nastąpił, jeśli tak wolno rzec, przez nogi. Ten milion słów, które napisałem, proszę zważyć, dobrze uporządkowanych, dobrze powiązanych, był dla mnie niczym - szorstkim szyfrem z epoki kamiennej - gdyż kontakt odbywał się przez głowę, a głowa jest bezużytecznym dodatkiem, chyba że ktoś zakotwiczony na środku kanału głęboko w błocie. Wszystko, co napisałem przedtem, miało wartość muzealną, większość pisarstwa ma po dziś dzień wartość muzealną, dlatego właśnie nie zajmuje się ogniem, dlatego nie rozpała świata. Była to jedynie forma przekazu starożytnych ludów, które przeze mnie przemawiały; nawet moje marzenia nie były autentyczne, nie były *bona fide* marzeniami Henry Millera. Spokojne siedzenie i skupienie się na tej jednej myśli, która miała wyjść ze mnie - koła ratunkowego, wymagało iście herkulesowego wysiłku. Nie brakowało mi myśli ani słów, ani siły wyrazu - brakowało mi czegoś znacznie istotniejszego: zaworu, który odciąłby dopływ soku. Ta cholerna machina nie chciała się zatrzymać, w tym cały szkopuł. Nie tylko znajdowałem się w samym środku nurtu, ale ten nurt przepływał przeze mnie, a ja nie miałem nad nim żadnej kontroli.

Pamiętam dzień, w którym zdołałem wreszcie zatrzymać tę machinę, i jak ten drugi mechanizm, sygnowany moimi inicjałami, dzieło moich rąk, moja krwawica, zaczął pomału

działać. Chodziłem do pobliskiego teatru na sztuki wodewilowe; był to poranek, miałem bilet na balkon. Stojąc w kolejce w hallu już doznałem dziwnego uczucia zwartości. Zupełnie jak gdybym krzepnął, stawał się wyraźną, zwartą galaretą. Coś jak ostatnia faza gojenia się rany. Byłem u szczytu normalności, czyli w stanie wysoce nienormalnym. Nawet gdyby przyszła cholera i tchnęła mi w usta swym zgniłym oddechem - nie miałyby to znaczenia. Mógłbym się pochylić nad trędowatym i ucałować jego owrzodzoną rękę, a najprawdopodobniej nic by mi się nie stało. Nie była to jedynie równowaga w tej ustawicznej wojnie między zdrowiem a chorobą, czyli stan, o którym wszyscy marzymy, lecz dodatnia liczba we krwi, oznaczająca, że przynajmniej na kilka chwil choroba została całkowicie rozgromiona. Gdyby ktoś miał na tyle rozumu, żeby zapuścić korzenie w takiej chwili, już nigdy by nie zachorował ani nie zaznał nieszczęścia, ani nawet nie umarł. Ale dojście do takiego wniosku wymagałoby dużego kroku wstecz, jeszcze przed epokę kamienną. W tamtym momencie nie marzyłem nawet o zapuszczaniu korzeni; po raz pierwszy w życiu przeżywałem znaczenie cudu. Tak bardzo byłem zdumiony słysząc, jak zazębiają mi się tryby, że chętnie oddałbym życie w tamtym miejscu i w tamtej chwili za sam przywilej owego przeżycia.

A oto co się stało... Kiedy mijalem biletera trzymając w ręku przedarty bilet, przygasły światła i kurtyna poszła w górę. Stałem tak przez chwilę, oszołomiony z lekka tymi nagłymi ciemnościami. Kiedy kurtyna z wolna się podniosła, doznałem uczucia, że od wiek wieków ta krótka chwila poprzedzająca spektakl zawsze magicznie ucisza człowieka. Czulem, jak kurtyna wznosi się w człowieku. I natychmiast zdałem sobie sprawę, że jest to symbol ukazujący mu się wciąż we śnie, gdyby więc człowiek się rozbudził, nigdy na scenę nie wyszliby aktorzy, miejsce na deskach zająłby on, Człowiek. Nie mogę tego nawet nazwać myślą - było to raczej przecucie, a przy tym tak proste i obezwładniająco wyraziste, że machina natychmiast się zatrzymała, a ja stałem sam ze sobą, skąpany w rozświetlonej rzeczywistości. Odwróciłem wzrok od sceny i spojrzałem na marmurowe schody, którymi powinienem pójść w górę do swojego miejsca na balkonie. Zobaczyłem mężczyznę, który szedł wolno schodami do góry, z ręką opartą o balustradę. Mógłbym to być ja, moje dawne „ja” lunatykujące od chwili narodzin. Nie objąłem okiem całych schodów, tylko kilka stopni, które ów człowiek pokonał czy też pokonywał w chwili, kiedy to wszystko ogarniałem wzrokiem. Mężczyzna nie doszedł do szczytu schodów ani nie zdjął ręki z marmurowej balustrady. Poczulem, że kurtyna się opuszcza, i przez kolejnych kilka chwil znajdowałem się za sceną, krążąc pośród dekoracji niczym zerwany ze snu rekwizyt, niezupełnie pewien, czy nadal śni, czy też patrzy na sen odgrywany na scenie. Wszystko było tak zielone i świeże, tak dziwnie nowe jak krainy chleba i sera, które panny z Biddenden, połączone w biodrach,

oglądają codziennie przez całe swoje długie życie. Widziałem tylko to, co żywe! Cała reszta rozmyła się w półcieniu. Żeby więc zachować świat przy życiu, pomknąłem do domu nie czekając na przedstawienie i zasiadłem, żeby opisać ten niezniszczalny fragment schodów.

Mniej więcej w tym czasie dadaści przeżywali swoje dni, a w ślad za nimi lada chwila mieli nadejść surrealiści. Dopiero jakieś dziesięć lat później usłyszałem o obu tych grupach; bo w tamtym okresie nie czytałem jeszcze francuskich książek ani nie miewałem francuskich pomysłów. Byłem zapewne jedynym dadaistą w całej Ameryce, chociaż o tym nie wiedziałem. Równie dobrze mógłbym mieszkać w dżungli Amazonki, bo tyle mnie łączyło ze światem zewnętrznym. Nikt nie rozumiał, o czym piszę ani dlaczego. Umysł miałem tak klarowny, że brano mnie za pomyłkę. Opisywałem Nowy Świat - niestety odrobinę za wcześnie, bo go jeszcze nie odkryto, nikogo więc nie można było przekonać o jego istnieniu. Był to bajkowy świat, nadal ukryty w jajowodach. Nic nie było, rzecz jasna, wyraźnie sformułowane: istniał zaledwie mglisty zarys kręgosłupa, a już na pewno nie było ani rąk, ani nóg, ani włosów, ani paznokci, ani zębów. O seksie nikomu się po prostu nie śniło; był to świat Kronosa i jego jajowego potomstwa. Był to świat joty, każda zaś jota nieodzowna, przeraźliwie logiczna, a zarazem całkowicie nieprzewidywalna. Nie było czegoś takiego jak rzecz, bo nie istniało pojęcie „rzeczy”.

Jak powiadam, opisywałem Nowy Świat, ale podobnie jak Nowy Świat, odkryty przez Kolumba, okazał się on światem znacznie starszym od jakiegokolwiek nam znanego. Pod zewnętrzną powłoką skóry i kości dojrzałem niezniszczalny świat, który człowiek zawsze nosi ze sobą; nie był doprawdy ni stary, ni nowy, był tym odwiecznie prawdziwym światem, zmieniającym się z minuty na minutę. Wszystko, na co patrzyłem, było palimpsestem, i nie znalazłoby się pismo tak dziwne, żebym nie zdołał go odcyfrować. Kiedy wieczorem kumple się rozchodzili, często siadałem i pisałem do swoich przyjaciół, australijskich buszmenów albo budowniczych kopców w dorzeczu Missisipi, albo do Igorotów na Filipinach. Musiałem oczywiście pisać po angielsku, bo tylko ten język znałem, ale między moim językiem a kodem telefonicznym używanym przez moich najlepszych przyjaciół była przepaść wielka jak świat. Zrozumiałby mnie każdy człowiek pierwotny, każdy człowiek z pradawnych epok: nie rozumieli go tylko otaczający mnie ludzie, czyli kontynent liczący sto milionów mieszkańców. Aby pisać zrozumiale dla nich, musiałbym po pierwsze coś zabić, a po drugie zatrzymać czas. Właśnie uprzytomniłem sobie, że życie jest niezniszczalne i że nie ma czegoś takiego jak czas, istnieje tylko teraźniejszość. Czy oczekiwano po mnie, że wyprę się prawdy, mimo że strawiłem całe życie, aby w nią wejrzeć? Niestety, tak. Nie chciano słyszeć tylko o

jednym - że życie jest niezniszczalne. Bo czyż ten ich drogocenny nowy świat nie został wzniesiony na zagładzie niewinnych istot, na gwałcie, grabieży, torturach i spustoszeniu? Oba kontynenty zostały splugawione; oba zostały odarte i ograbione z wszystkiego, co drogocenne - z rzeczy. W moim przekonaniu nikogo nie spotkało większe upokorzenie niż Montezumy; żadnej rasy nie wytępiono bardziej okrutnie niż Indian; żadnej ziemi nie zadano tak ohydnych i krwawego gwałtu, jaki zadali Kalifornii poszukiwacze złota. Aż mnie oblewa rumieniec na myśl o naszych początkach - ręce mamy unurzane we krwi i zbrodni. A nie ma końca tej rzezi oraz rozbojowi, o czym się przekonałem na własne oczy zjeżdżając wzdłuż i wszerz całą tę ziemię. Łącznie z moimi najbliższymi przyjaciółmi wszyscy są potencjalnymi mordercami. Często nie trzeba było nawet wyjmować broni ani lasa, ani żelaza do piętnowania - wynaleziono subtelniejsze, bardziej szatańskie metody torturowania i zabijania własnych pobratymców. Osobiście najbardziej dręczące katusze przeżywałem dlatego, że musiałem uśmiercać słowo, zanim w ogóle wyszło z moich ust. Gorzkie doświadczenie nauczyło mnie trzymać język za zębami; nauczyłem się siedzieć w milczeniu, wręcz z uśmiechem, chociaż miałem pianę na ustach. Nauczyłem się podawać rękę i pytać „co słychać?” wszystkich tych wrogów o wyglądzie niewiniątek, którzy tylko czekali, aż usiądę, żeby mi wysssać krew.

Jak mogłem, zasiadając w salonie przy swoim prehistorycznym biurku, posługiwać się tym kodem gwałtu i morderstwa? Byłem sam jeden na tej olbrzymiej półkuli przemocy, ale nie byłem sam jeden, jeśli chodzi o rodzaj ludzki. Byłem samotny w świecie rzeczy oświetlonych fosforyzującymi przeblyskami okrucieństwa. Rozpierała mnie szalona energia, której nie sposób było wyzwolić, chyba że w służbie śmierci i daremności. Nie potrafiłem się zdobyć na pełne oświadczenie - równałoby się to kaftanowi bezpieczeństwa albo krzesłu elektrycznemu. Przypominałem człowieka zbyt długo trzymanego w lochu - musiałem szukać drogi wolno, nieporadnie, żebym się nie potknął i nie został przejechany. Musiałem się stopniowo przyzwyczaić do kar, jakie niesie ze sobą wolność. Musiałem wykształcić sobie nowe warstwy naskórka, żeby mnie chronił przed tym palącym światłem z nieba.

Jajnikowy świat wynika z rytmu życia. Z chwilą narodzin dziecko staje się częścią świata, w którym rządzi nie tylko rytm życia, lecz również rytm śmierci. Gorączkowa chęć życia, życia za wszelką cenę, nie wynika z rytmu życia w nas, lecz z rytmu śmierci. Nie tylko nie ma powodu utrzymywać się przy życiu za wszelką cenę, ale wręcz, jeżeli życie nas mierzi, należy z niego zrezygnować. Utrzymywanie się przy życiu, spowodowane ślepych pragnieniem wygranej ze śmiercią, samo w sobie sieje śmierć. Każdy z nas, kto nie pogodził się bez reszty z życiem, kto go nie pomnaża, przyczynia się do napełniania świata śmiercią. Najprostszy gest ręką może wyrazić ostateczny sens życia; słowo wypowiedziane całym

naszym jestestwem może dać życie. Działanie samo w sobie nic nie znaczy - często stanowi znak śmierci. Za sprawą zwykłego nacisku z zewnątrz, za sprawą otoczenia i przykładu, za sprawą samego klimatu kształtowanego przez wszelkie działanie można się stać częścią monstrowalnej maszyny śmierci, takiej jak na przykład Ameryka. Co dynamo wie o życiu, spokoju, rzeczywistości? Co amerykańskie dynamo wie o mądrości i energii, o życiu dostatnim i wiecznym będącym udziałem obdartego żebraka, który siedzi pod drzewem zatopiony w medytacji? Czym jest energia? Czym jest życie? Wystarczy poczytać ten idiotyczny bełkot podręczników naukowych i filozoficznych, żeby sobie uświadomić, iż mądrość tych pełnych energii Amerykanów jest guzik warta. Posłuchajcie, ci zbiegowani maniacy koni mechanicznych zmuszali mnie ustawicznie do ucieczki; po to, żeby przełamać ich szalony rytm, rytm śmierci, musiałem szukać schronienia na takiej długości fali, która - dopóki nie znalazłem odpowiedniej pożywki we własnych trzewiach - mogłaby przynajmniej zastopować rytm narzucony przez tamtych. Z całą pewnością nie było mi potrzebne to groteskowe, nieporęczne, przedpotopowe biurko, które ustawiłem w salonie; z całą pewnością niepotrzebne mi było dwanaście pustych krzeseł ustawionych wokół niego półkolem; potrzebny mi był tylko skrawek miejsca, gdzie mógłbym pisać, oraz trzynaste krzesło, które wyrwałoby mnie z używanego przez nich zodiaku i uniosło do nieba poza niebem. Ale kiedy doprowadza się kogoś niemal do szału i kiedy on, zapewne ku swojemu zaskoczeniu, uświadamia sobie, że nadal zachował pewien opór, własną siłę, to istnieje spore prawdopodobieństwo, że taki człowiek będzie się zachowywał jak człowiek pierwotny. Nie tylko stanie się uparty i zacięty, lecz również przesądny, zacznie wierzyć w magię i ją uprawiać. Taki człowiek żyje poza religią - i właśnie przez swą religijność cierpi. Taki człowiek stanie się monomanem nastawionym tylko na jedno, mianowicie na złamanie diabelskiej klątwy, jaką nań nałożono. Taki człowiek nie jest zdolny do rzucania bomb, do buntu; chce przestać reagować, czy to apatycznie, czy gwałtownie. Taki człowiek, spośród wszystkich ludzi na ziemi, pragnie, by każdy czyn był przejawem życia. Jeżeli uświadomiwszy sobie tę przemożną potrzebę zacznie działać regresywnie, stanie się niespołeczny, zacznie się zacinać i jękać, okaże się tak dalece nieprzystosowany, że nie będzie zdolny zarobić na życie; wiedźcie, że ten człowiek znalazł drogę powrotną do łona i do źródła życia, oraz że jutro, zamiast być tym wzgardzonym celem pośmiewiska, na które go wystawiliście, powstanie jako prawowity człowiek, a wszystkie siły świata na nic się przeciwko niemu nie zdadzą.

Z szorstkiego szyfru, jakim ten człowiek zwa swego prehistorycznego biurka nawiązuje łączność ze starożytnymi ludami świata, buduje się nowy język, który przebijają się

przez współczesny język śmierci niczym fale radiowe przez burzę. Ta długość fal nie kryje w sobie większej magii niż łono. Ludzie są samotni, pozbawieni kontaktu ze sobą, bo wszystkie ich wynalazki mówią jedynie o śmierci. Śmierć to automat, który rządzi światem czynu. Śmierć milczy, bo nie ma ust. Śmierć nigdy niczego nie wyraża. Śmierć jest zarazem cudowna - po życiu. Tylko ktoś taki jak ja, kto otworzył usta i przemówił, tylko ktoś, kto powiedział „tak”, „tak”, „tak” i jeszcze raz „tak!”, potrafi otworzyć szeroko ramiona przed śmiercią i nie zaznać strachu. Śmierć jako nagroda, tak! Śmierć jako wynik spełnienia, tak! Śmierć jako tarcza i korona, tak! Ale nie śmierć od podstaw, izolująca ludzi, przepełniająca ich strachem, goryczą i samotnością, dająca im jałową energię, obdarzająca ich wolą, która potrafi jedynie powiedzieć „nie!” Pierwszym słowem, jakie pisze każdy, kto odnalazł siebie, własny rytm, a zatem rytm życia, jest „tak!” Wszystko, co pisze potem, to również „tak”, „tak”, „tak” - „tak” na tysiąc milionów sposobów. Żadne, choćby największe dynamo - choćby dynamo stu milionów martwych dusz - nie wygra z człowiekiem, który mówi „tak!”

Trwała wojna, ludzie szli na rzeź, milion, dwa miliony, pięć milionów, dziesięć milionów, dwadzieścia milionów, wreszcie sto milionów, następnie miliard, wszyscy, mężczyźni, kobiety i dzieci, aż do ostatniego człowieka. „Nie! - krzyczeli. - Nie! Nie przejdą!” A mimo to wszyscy przechodzili; wszyscy mieli swobodne przejście, czy krzyczeli „tak”, czy „nie”. Ja zaś siedziałem sobie pośrodku tego tryumfalnego pokazu wyniszczającej duchowo osmozy, z nogami na wielkim biurku, i usiłowałem nawiązać łączność z Zeusem, ojcem Atlantydy, i z jego zaginionym potomstwem, nieświadom faktu, iż Apollinaire umrze w szpitalu wojskowym w przeddzień zawieszenia broni, nieświadom faktu, że w swoim „nowym pisarstwie” skreślił te niezatarte wersy:

*Bądźcie wyrozumiali kiedy nas porównujecie  
Z tymi co byli doskonałością porządku  
Nas którzy wszędzie wietrzymy przygodę  
Nie jesteście waszymi wrogami  
Chcemy ogarnąć rozległe i dziwne dziedziny  
Gdzie kwiat tajemniczości prosi chętnych o zerwanie*

Nieświadom, że w tym samym wierszu napisał również:

*Litości dla nas walczących zawsze na krańcach Bezkrzesu i przyszłości*



*Litości dla naszych błędów litości dla naszych grzechów\**

Byłem również nieświadom faktu, że żyją ludzie o takich obco brzmiących nazwiskach, jak Blaise Cendrars, Jacques Vaché, Louis Aragon, Tristan Tzara, René Crevel, Henri de Montherlant, André Breton, Max Ernst, Georges Grosz; nieświadom faktu, że 14 lipca 1916 roku w Saal Waag w Zurychu proklamowano pierwszy manifest dadaistów - „manifest monsieur Antipyrine” - że w tym dziwnym dokumencie powiedziano, iż: „Dada to życie bez kapci i bez odpowiedników... wynikłe z twardej konieczności, bez dyscypliny moralności, splunięcie w stronę ludzkości”. Nieświadom faktu, że manifest dadaistów z roku 1918 zawiera takie linijki: „Piszę manifest i niczego nie chcę, a mimo to mówię pewne rzeczy, chociaż jestem z zasady przeciwny manifestom, podobnie jak jestem przeciwny zasadom... Piszę ten manifest, żeby wykazać, iż można podejmować całkowicie sprzeczne działania na jednym świeżym oddechu; jestem przeciwny działaniom; jestem za wieczną sprzecznością, również za afirmacją, nie jestem ani za, ani przeciw, i nie wyjaśniam, bo mierzi mnie zdrowy rozsądek... Jest taka literatura, która nie dociera do spragnionych mas. Dzieło twórców zrodzone z prawdziwej potrzeby autora i dla niego. Świadomość nadrzędnego egotyzmu, gdzie zatracają się gwiazdy... Każda stronica musi eksplodować albo dogłębną powagą i wagą, trąbą powietrzną, zawrotem głowy, czymś nowym, wiecznym, szokującym żartem, entuzjazmem dla zasad albo aspektem typografii. Z jednej strony skołowany, umykający świat, spokrewniony z dzwoneczkami piekielnej gamy, z drugiej zaś nowe byty...”

Minęły trzydzieści dwa lata, a ja wciąż mówię „tak!”. Tak, monsieur Antipyrine! Tak, monsieur Tristan Bustano-by Tzara! Tak, monsieur Max Ernst Geburt! Tak! Monsieur René Crevel, skoro już zginąłeś śmiercią samobójczą, tak, świat oszalał, miałeś rację. Tak, monsieur Blaise Cendrars, miałeś rację, że zabijałeś. Czy to właśnie w dniu zawieszenia broni wyszła twoja książeczka *J'ai tué?* Tak, „trzymajcie się, chłopcy, ludzkość...” Tak, Jacques Vaché, święta racja: „Sztuka powinna trochę bawić i odrobinę nudzić”. Tak, mój drogi nieżyjący Vaché, ile miałeś racji, jak bawiłeś, jak nudziłeś, wzruszałeś, ile wniosłeś czułości i prawdy: „Symbolika leży w naturze symboli”. Powtórz to jeszcze raz z tamtego świata! Masz tam megafon? Znalazłeś wszystkie ręce i nogi, które wyleciały w powietrze podczas *mêlée*? Zdołasz je złożyć z powrotem do kupy? Pamiętasz spotkanie w Nantes w 1916 roku z André Bretonem? Świętowaliście razem narodziny hysterii? Czy Breton powiedział ci, że istnieją tylko rzeczy cudowne, nic prócz rzeczy cudownych, i że rzeczy cudowne są zawsze cudowne

---

\* Przełożył Adam Ważyk

- czy to nie cudowne znów to słyszeć, chociaż masz zatkanie uszy? Chciałbym tu włączyć, zanim przejdę dalej, twój portret pióra Emile Bouvier dla moich brooklyńskich kolegów, którzy mogli się wtedy na mnie nie poznać, ale teraz na pewno się poznają...

„... nie był do końca szalony, jeżeli więc sytuacja tego wymagała, potrafił wytłumaczyć swoje zachowanie. Mimo to jego czyny były tak niepokojące jak najgorsze ekscentryzmy Jarry'ego. Na przykład tuż po wyjściu ze szpitala zatrudnił się jako sztauer, po czym spędzał popołudnia rozładowując węgiel na nadbrzeżach Loary. Wieczorami natomiast obchodził kawiarnie i kina, wystrojony wedle najnowszej mody, dobierając w dodatku najrozmaitsze stroje. Ponadto w czasie wojny paradował czasami w mundurze porucznika huzarów, czasem znów w uniformie angielskiego oficera, lotnika albo chirurga. W życiu prywatnym był równie swobodny i nonszalancki, bez trudu przyszło mu, na przykład, przedstawić Bretona jako André Salomona, sam zaś bez cienia próżności przypisywał sobie najwspanialsze tytuły i przygody. Nigdy nie mówił «dzień dobry», «dobry wieczór» ani «do widzenia», nigdy nie zaprzętał sobie głowy listami, wyjąwszy listy od matki, kiedy ją prosił o pieniądze. Z dnia na dzień nie poznawał najlepszych przyjaciół...”

Poznajecie mnie, chłopcy? Ot, chłopak z Brooklynu, który nawiązuje łączność z rzywym albinosem z plemienia Zuni. Z nogami na biurku szykuje się do napisania „mocnych dzieł, dzieł nigdy nie zrozumianych”, jak zapowiadali moi nieżyjący koledzy. Owe „mocne dzieła” - czy się na nich poznacie, jeżeli je zobaczycie? Czy wiecie, że z tych milionów zabitych ani jedna śmierć nie była konieczna dla stworzenia „mocnego dzieła”? Nowe byty, tak! Nadal potrzebne nam nowe byty. Moglibyśmy się obyć bez telefonu, bez samochodu, bez bombowców wysokiej klasy - ale nie możemy się obyć bez nowych bytów. Jeżeli Atlantyde pochłonęło morze, jeżeli sfinks i piramidy pozostają wieczystą zagadką, to dlatego, że nie narodziły się nowe byty. Zatrzymajcie na chwilę tę machinę! Spójrzcie wstecz! Spójrzcie na rok 1914, kiedy Kajzer siedzi na koniu. Niech tak przez chwilę siedzi ściskając słabą ręką wodze. Spójrzcie na jego wąsy! Spójrzcie na jego wyniosłość i arogancję! Spójrzcie na jego mięso armatnie ustawione w najsurowszej dyscyplinie, a wszyscy gotowi na rozkaz dać się zabić, dać sobie wypruć kiszki, dać się spalić w gaszonym wapnie. Chwileczkę, zaraz, spójrzcie na drugą stronę - oto obrońcy naszej wielkiej i chwalebnej cywilizacji, ludzie, którzy będą wojować, żeby zakończyć wojnę. Wystarczy zmienić ich ubiory, zmienić ich mundury, zmienić konie, zmienić flagi, zmienić teren. Jak to, czyżbym widział Kajzera na białym koniu? Czy to ci straszni Hunowie? A gdzie jest Gruba Berta? O, już widzę - zdawało mi się, że mierzy w Notre-Dame. Ludzkość, moi drodzy, ludzkość zawsze maszeruje na czele... A te mocne dzieła, o których była mowa? Gdzie są te mocne dzieła? Proszę wezwać

Western Union i wysłać ręczego posłańca - nie kalekę ani osiemdziesięciolatka, lecz młodzieńca! Poproście go, żeby znalazł owo wielkie dzieło i je tu do nas przyniósł. Jest nam potrzebne. Mamy dla niego nowiutkie muzeum, które tylko czeka, żeby je przyjąć - mamy celofan i system dziesiętny Deweya, żeby je skatalogować. Potrzebne nam tylko nazwisko autora. Nawet jeżeli nie ma nazwiska, nawet jeżeli jest to praca anonimowa, nie będziemy wybrzydzać. Nawet jeżeli zawiera odrobinę gazu musztardowego, nam to nie wadzi. Proszę je tu przynieść żywe lub martwe - wyznaczono dwadzieścia pięć tysięcy dolarów nagrody dla znalazcy.

A jeżeli ktoś wam wmawia, że tak musiało być, że nie mogło być inaczej, że Francja postąpiła najlepiej jak umiała, Niemcy też, podobnie mała Liberia, mały Ekwador i wszyscy inni alianci również postąpili najlepiej jak umieli, i że od czasu wojny wszyscy postępują jak najlepiej, żeby to wszystko jakoś załatać albo zapomnieć, powiedzcie im, że najlepiej nie wystarczy, że nie chcemy więcej słuchać logicznych argumentów, iż ktoś „postąpił najlepiej jak mógł”, powiedzcie im, że nie chcemy mniejszego zła, nie wierzymy, iż zło może być większe lub mniejsze, tak jak nie wierzymy w pomniki wojenne. Nie chcemy słyszeć o logice wypadków, ani o żadnej logice. „*Je ne parle pas logique* - powiedział Montherlant - *je parle générosité.*” Mogliście nie dość dobrze to zrozumieć, bo to po francusku. Powtórzę wam zatem w języku Królowej: „Nie mówię logiką, mówię szczodrobliwością”. Kiepska to angielszczyzna jak na Królową, ale przynajmniej wyraźna. Szczodrobliwość - słyszycie? Nigdy jej nie przejawiacie, żaden z was, ani podczas wojny, ani podczas pokoju. Nie znacie nawet znaczenia tego słowa. Myślicie, że dostawy broni i amunicji dla strony zwycięskiej to szczodrobliwość; myślicie, że wysłanie sióstr Czerwonego Krzyża lub Armii Zbawienia na front to szczodrobliwość. Myślicie, że premia spóźniona o dwadzieścia lat to szczodrobliwość; myślicie, że skromna renta i wózek inwalidzki to szczodrobliwość; myślicie, że jeśli się przywróci człowieka do jego dawnej pracy, to szczodrobliwość. Nie wiecie, dranie, co to słowo, do cholery, znaczy! Być szczodrobliwym to mówić „tak”, zanim się otworzy usta. Żeby mówić „tak”, trzeba najpierw być surrealistą albo dadaistą, bo wtedy się rozumie, co znaczy mówić „nie”. Można nawet mówić jednocześnie „tak” i „nie”, jeżeli robi się więcej, niż inni od nas oczekują. Bądź szatuerem za dnia, a wieczorem dandysem jak nie przymierzając Beau Brummell. Noś dowolny mundur, byle nie własny. Kiedy piszesz do matki, proś, żeby wysupłała dla ciebie trochę forsy na czystą szmatę, którą mógłbyś podetrzeć sobie tyłek. Niech cię nie dręczy widok sąsiada, który biegnie za swoją żoną z nożem: przypuszczalnie ma ku temu wystarczający powód, a jeżeli ją zabije, bądź pewny, że świetnie wiedział, dlaczego to robi. Jeżeli starasz się doskonalić umysł, przestań! Bo to niemożliwe.

Zajrzyj do własnego serca i żołądka - umysł jest w sercu.

O, tak, gdybym wtedy wiedział o istnieniu takich typów jak Cendrars, Vache, Grosz, Ernst, Apollinaire, gdybym ich wtedy znał, gdybym wiedział, że na swój sposób myślą dokładnie tak samo jak ja, chyba eksplodowałbym jak bomba. Ale byłem nieświadom. Nieświadom faktu, że blisko pięćdziesiąt lat wcześniej szalony Żyd w Południowej Ameryce spłodził takie zaskakująco cudowne frazy jak „kaczka wątpliwości o wermutowych ustach” albo „widziałem, jak figa jadła osła” - że mniej więcej w tym samym czasie pewien Francuz, wówczas zaledwie chłopiec, powiedział: „Znajdźcie kwiaty, które są krzesłami”... „mój głód to okruchy czarnego powietrza”... „jego serce, bursztyń i hubka”. Może też w tym samym czasie Jarry mówił „w jedzeniu dźwięk ciem”. Apollinaire po nim powtarzał „przy dżentelmenie, który sam się zjada”, a Breton mruczał cicho „pedały nocy chodzą bez ustanku”, może w „powietrzu pięknym i czarnym”, które samotny Żyd znalazł pod Krzyżem Południa, inny człowiek, również osamotniony i wygnany, hiszpańskiego pochodzenia, szykował się do przelania na papier tych pamiętnych słów: „Pragnę nade wszystko znaleźć pociechę rozżalony na me wygnanie, na wygnanie z wieczności, na to oderwanie od ziemi (*destierro*), które z lubością nazywam swoim oderwaniem od nieba... Myślę dzisiaj, że najlepiej napisać tę powieść opowiadając, jak się ją powinno napisać. Jest to powieść z powieści, twórczość z twórczości. Albo Bóg z Boga, *Deus de Deo*”. Gdybym wiedział, że doda również następujące słowa, z pewnością wybuchłbym jak bomba... „Przez szaleństwo rozumie się utratę rozumu. Rozumu, lecz nie prawdy, albowiem są przecież szaleńcy, którzy wypowiadają prawdy, kiedy inni milczą...” Mówiąc o tych sprawach, mówiąc o wojnie i o ofiarach wojny, nie mogę się powstrzymać, żeby nie wspomnieć, iż po dwudziestu latach trafiłem na te oto słowa po francusku pióra Francuza. O, cudzie nad cudami! *Il faut le dire, il y a des cadavres que je ne respecte qu' á moitié*. Tak, tak i jeszcze raz tak! Porwijmy się na jakiś wariacki krok - dla samej przyjemności! Porwijmy się na coś żywego i wspaniałego, choćby nawet destruktywnego!

Jak rzekł szalony kamieniarz: „Wszystko wywodzi się z wielkiej tajemnicy i przechodzi z jednego stopnia na drugi. Cokolwiek postępuje o jeden stopień naprzód, nie budzi obrzydzenia”.

Wszędzie, we wszystkich czasach deklaruje się ten sam jajnikowy świat. A mimo to równoległe do tych deklaracji, do tych przepowiedni, do tych ginekologicznych manifestów, równoległe i równocześnie z nimi nowe słupy totemiczne, nowe tabu, nowe tańce wojenne. Kiedy w to powietrze, tak czarne i piękne, bracia człowieka, poeci, poszukiwacze przyszłości wypluwali swoje magiczne linijki, w tym samym czasie, o, dogłębna i zdumiewająca

zagadko, inni ludzie powiadali: „Może byś tak objął posadę w naszej fabryce amunicji. Obiecujemy ci najwyższe płace, najzdrowsze i najbardziej higieniczne warunki. Praca jest tak łatwa, że nawet dziecko mogłoby ją wykonywać”. A jeżeli mieliście siostrę, żonę, matkę, ciotkę, która nie miałaby dwóch lewych rąk, która potrafiłaby dowieść, że nie ma nałogów, mogliście ją albo je przyprowadzić ze sobą do tej fabryki amunicji. Gdybyście się wstydzieli plamić sobie ręce, wytłumaczyliby wam bardzo subtelnie i inteligentnie, jak działają te delikatne urządzenia, co się dzieje, kiedy wybuchną, i dlaczego nie wolno marnować nawet śmieci, bo... *et ipso facto e pluribus unum*. Kiedy zdzierałem sobie zelówki w poszukiwaniu pracy, zdumiewał mnie nie tyle fakt, że pracodawcy dzień w dzień przyprowadzają mnie o mdłości (zakładając, że miałem na tyle szczęścia, aby napełnić sobie czymś brzuch), ile że wszyscy zawsze chcą wiedzieć, czy nie mam nałogów, czy jestem solidny, czy nie jestem alkoholikiem, czy jestem przedsiębiorczy, czy już wcześniej pracowałem, a jeżeli nie, to dlaczego. Nawet śmieci, kiedy dostałem pracę w przedsiębiorstwie miejskim przy ich zbieraniu, były dla nich, morderców, cenne. Stojąc po kolana w błocie, najniższy z najniższych, kulis, wyrzutek, mimo wszystko należałem do tej ich bandy śmierci. Usiłowałem nocami czytać *Piekło*, ale było po angielsku, angielski zaś to nie język dla dzieła katolickiego. „Cokolwiek wchodzi w siebie we własną jaźń, czyli we własne libido...” Libido! Gdybym potrafił wówczas żonglować takim słowem, z jakim spokojem zbierałbym te śmieci! Jak miło nocą, gdy nie ma się Dantego na podporządku, a ręce śmierzdzą błotem i szlamem, upajać się tym słowem, które po holendersku znaczy „pożądanie”, a po łacinie brzmi *libitum*, czyli boskie *beneplacitum*. Stojąc po kolana w śmieciach powiedziałem pewnego dnia to, co ponoć już dawno powiedział Mistrz Eckhart: „Bóg jest mi prawdziwie potrzebny, ale ja też jestem potrzebny Bogu”. Czekala na mnie praca w rzeźni, miła posadka sortowacza wnętrzości, tyle że nie potrafiłem zdobyć pieniędzy na bilet do Chicago. Pozostałem w Brooklynie, we własnym pałacu wnętrzości, i kręciłem się w kółko na cokole labiryntu. Pozostałem na swoich śmieciach szukając „pęcherzyka jajowego”, „smoczego zamku na dnie morza”, „Serca Niebios”, „pola o powierzchni cała kwadratowego”, „domu o powierzchni stopy kwadratowej”, „mrocznego przejścia”, „siedziby poprzedniego Nieba”. Pozostałem w zamknięciu niczym więzień Forculusa, boga drzwi, Kardei, bóstwa zawiasów, i Limentusa, boga progu. Rozmawiałem wyłącznie z ich siostrami, trzema boginiami o imionach Obawa, Bładość, Gorączka. Nie widziałem „azjatyckiego przepychu”, który widział święty Augustyn, naprawdę bądź oczyma wyobraźni. Nie widziałem też „narodzin bliźniaków tak blisko siebie, że ten drugi trzymał pierwszego za piętę”. Widziałem natomiast ulicę o nazwie Myrtle Avenue, która biegnie od Ratusza

Miejskiego do Fresch Pond Road, chociaż tą ulicą nie przeszedł nigdy żaden święty (boby się rozpadła), nie przeszedł żaden cud ani poeta, ani żaden ludzki geniusz, ani nie wyrósł tam żaden kwiat, ani słońce nie padało tam prosto, ani nie omył jej żaden deszcz. Zamiast prawdziwego Piekła, które musiałem odłożyć na dwadzieścia lat, daję wam Myrtle Avenue, jedną z niezliczonych konnych drózek uczęszczaną wyłącznie przez żelazne potwory zmierzające do serca amerykańskiej pustki. Jeżeli ktoś widział jedynie Essen, Manchester, Chicago, Levallois-Perret, Glasgow, Hoboken, Canarsie czy Bayonne, to nie widział nic z olśniewającej pustki rozwoju i oświecenia. Drogi czytelniku, musisz przed śmiercią zobaczyć Myrtle Avenue, choćby tylko po to, żeby zrozumieć, jak daleko w przyszłość sięgał Dante. Musisz mi uwierzyć, że na tej ulicy ani w stojących rzędem domach, ani w brukujących ją kamieniach, ani w ekstazie, która ją dzieli na dwie połowy, ani w żadnej istocie, która ma imię i tam mieszka, ani w żadnym zwierzęciu, ptaku czy owadzie przechodzącym tamtędy do rzeźni bądź już zaszlachtowanym nie ma nadziei na „libido”, „sublimację” czy „abominację”. Jest to nie tyle ulica smutku, albowiem smutek byłby ludzki i swojski, ile czczej pustki: jest bardziej pusta niż najdawniej wygasły wulkan, bardziej pusta niż sama próżnia, bardziej pusta niż słowo Bóg w ustach niewiernego.

Stwierdziłem, że nie znałem wówczas słowa po francusku, i to prawda, ale byłem właśnie w przededniu wielkiego odkrycia, odkrycia, które mogłoby mi zrekompensować pustkę Myrtle Avenue i całego kontynentu amerykańskiego. Dobijałem już niemal do brzegu ogromnego francuskiego oceanu znanego jako Elie Faure, oceanu, po którym nawet Francuzi rzadko żeglowali i który najwyraźniej brali mylnie za śródlądowe morze. Czytając go nawet w tak zwietrzałym języku, jakim stał się angielski, pojąłem, że ten człowiek, który na mankiecie własnej koszuli opisał chwałę rodzaju ludzkiego, to sam Zeus, ojciec Atlantydy, z dawna przeze mnie poszukiwany. Nazwałem go oceanem, ale był zarazem światową symfonią. Był pierwszym kompozytorem, jakiego wydał na świat naród francuski; egzaltowany, a przy tym opanowany, dziw natury, galijski Beethoven, wielki lekarz duszy, gigantyczny piorunochron. Był też słonecznikiem obracającym się ku słońcu, zawsze upajającym się światłem, zawsze promiennym, tętniącym witalnością. Nie był ani optymistą, ani pesymistą, w każdym razie nie bardziej niż ocean, który ani nie jest dobroczynny, ani złowrogi. Wierzył w rodzaj ludzki. Sam go powiększył o jeden łokieć, przywrócił mu bowiem godność, siłę, potrzebę twórczości. We wszystkim dopatrywał się twórczości, słonecznego szczęścia. Nie zapisywał tego w sposób uporządkowany, tylko muzyczny. Nie przeszkadzał mu fakt, że Francuzom słoń nastąpił na ucho - rozpisывał instrumentację dla całego świata. Kiedy po kilku latach przybyłem do Francji, zdumiało mnie, że nie wzniesiono tam

pomników na jego cześć, nie nazwano jego imieniem żadnych ulic. Co gorsza, przez bite osiem lat ani razu nie słyszałem, żeby jakiś Francuz wymienił jego nazwisko. Musiał umrzeć, żeby zostać wyniesiony na panteon francuskich bóstw - i to jak blado musieli wyglądać deifikowani jemu współcześni przy tak promiennym słońcu! Gdyby nie był lekarzem i nie mógł w ten sposób zarabiać na życie, jakież los by go spotkał! Może stałby się kolejnym wytrawnym śmieciarzem! Człowiek, który ożywił egipskie freski w ich najbardziej płomiennych barwach, mógłby po prostu umrzeć śmiercią głodową, bo tyle obchodził innych ludzi. Ale był oceanem, w którym utonęli krytycy, podobnie zresztą jak redaktorzy, wydawcy i odbiorcy. Miną całe eony, zanim on wyschnie, wyparuje. Potrwa to chyba dopóty, dopóki Francuzi nie wyrobią sobie muzycznego ucha.

Gdyby muzyka nie istniała, chyba trafiłbym do domu wariatów tak jak Niżynsky. (Mniej więcej w tym czasie stwierdzono, że Niżynsky jest obłąkany. Przyłapano go na tym, że rozdaje pieniądze ubogim - a to zawsze zły znak!) Głowę miałem pełną cudownych skarbów, smak wyrobiony i wybredny, mięśnie w idealnej formie, apetyt świetny, doskonały węch. Nie pozostawało nic innego, jak tylko się doskonalić, toteż szalałem wprost oddając się dzień w dzień doskonaleniu samego siebie. Nawet jeżeli czekała na mnie jakaś posada, nie mogłem jej podjąć, bo trzeba mi było nie tyle pracy, ile pełniejszego życia. Nie mogłem marnować czasu na to, żeby być nauczycielem, adwokatem, lekarzem, politykiem czy co tam społeczeństwo miało mi do zaoferowania. Łatwiej mi było przyjąć prace fizyczne, bo miałem wówczas wolną głowę. Kiedy mnie wyrzucono ze śmieciarek, pamiętam, że związałem się z pewnym kaznodzieją, który nabrał do mnie najwyraźniej wielkiego zaufania. Zostałem poniekąd asystentem zbierającym datki i prywatnym sekretarzem. Ów kaznodzieja nakierował moją uwagę na cały świat filozofii indyjskiej. Wieczory miałem wolne i wtedy spotykałem się z przyjaciółmi u Eda Bauriesa, który mieszkał w arystokratycznej części Brooklynu. Ed Bauries był ekscentrycznym pianistą, który nie potrafił w ogóle czytać nut. Miał serdecznego przyjaciela nazwiskiem George Neumiller, z którym często grywał duety. Z kilkunastu kompanów, którzy zbierali się w domu Eda Bauriesa, prawie każdy umiał grać na fortepianie. Wszyscy mieliśmy wtedy od dwudziestu jeden do dwudziestu pięciu lat; nigdy nie przyprawdzaliśmy tam ze sobą kobiet, zresztą podczas tych spotkań prawie nigdy się nie mówiło o kobietach. Mieliśmy zawsze mnóstwo piwa i cały wielki dom do swojej dyspozycji, bo było lato, rodzice Eda bawili na wakacjach, zbieraliśmy się więc tam, kiedy chcieliśmy. Chociaż mógłbym wymienić co najmniej tuzin podobnych domów, wspominam dom Eda Bauriesa, bo był typowy dla czegoś, z czym się nigdzie indziej na świecie nie spotkałem. Ani Ed Bauries, ani żaden z jego znajomych nie podejrzewał, jakie wtedy czytałem książki ani

jakie sprawy zaprzętały mi głowę. Kiedy wpadałem, witano mnie entuzjastycznie - jako kłowna. Spodziewano się po mnie, że rozruszam towarzystwo. W tym wielkim domu stały w różnych pomieszczeniach cztery fortepiany, nie mówiąc już o czeleście, organach, gitarach, mandolinach, skrzypcach i całej reszcie. Ed Bauries był wariatem, bardzo przy tym przystępnym, sympatycznym i szczodrym. Kanapki podawał zawsze w najlepszym gatunku, piwa ile dusza zapragnie, a jeżeli ktoś chciał przenocować, zawsze się znalazło miejsce na tak pięknej kanapie, jaką można sobie tylko wymarzyć. Kiedy zbliżałem się tam ulicą - dużą, szeroką, senną, luksusową, ulicą nie z tego świata - już słyszałem brzdąkanie fortepianu w dużym salonie na parterze. Okna były szeroko otwarte, kiedy więc podchodziłem bliżej, widziałem Ala Burgera albo Connie Grimma rozpartych w dużych fotelach, z nogami na parapecie, z potężnymi kufłami w rękach. Zapewne przy fortepianie siedział George Neumiller, improwizował, rozebrany do pasa, z wielkim cygarem w zębach. Zebrani gadali i zaśmiewali się, George zaś bębnił w klawiaturę szukając dobrego początku. Kiedy złapał temat, wołał Eda, który siadał koło niego, oceniał melodię na swój nieprofesjonalny sposób, po czym nagle walił w klawisze, żeby nie pozostać mu dłużnym. Kiedy wchodziłem, mogło się zdarzyć, że ktoś akurat próbował stanąć w sąsiednim pokoju na rękach - na parterze znajdowały się trzy duże pokoje w amfiladzie, a za nimi ogród, i to olbrzymi, pełen kwiatów, drzew owocowych, winogron, posągów, fontann i wszystkiego. Czasami, kiedy było za gorąco, chłopcy przynosili do ogrodu czeleste albo małe organy (no i, rzecz jasna, beczkę piwa), rozsiadaliśmy się wokół mroku śmiejąc się i śpiewając - dopóki sąsiedzi nie zmusili nas, żebyśmy przestali. Czasami muzyka rozbrzmiewała w całym domu, na wszystkich piętrach naraz. Było to czyste szaleństwo, stan odurzenia, toteż obecność kobiet wszystko by popsuła. Czasami przypominało to konkurs na wytrzymałość - Ed Bauries i George Neumiller przy wielkim fortepianie, przy czym jeden usiłuje zamęczyć drugiego, zmieniają się miejscami nie przestając grać, krzyżują ręce, to wygrywają zwykłe palcówki, to znów grają na miarę Wurlitzera. I zawsze było coś do śmiechu. Nikt nie pytał, co kto robi, o czym myśli, ani nic takiego. Przy wejściu do domu Eda Bauriesa człowiek zostawiał jakby w szatni własne cechy tożsamości. Nikogo za cholerę nie obchodziło, jaki kto nosi rozmiar kapelusza ani ile za niego zapłacił. Już od progu królowała tylko i wyłącznie zabawa - a kanapki i napitki serwowano na koszt lokalu. Kiedy taki wieczór się rozkręcił, trzy lub cztery fortepiany naraz, czelesta, organy, mandoliny, gitary, piwo płynące korytarzami, kominek zastawiony kanapkami i cygarami, wiaterek od ogrodu, George Neumiller rozebrany do pasa szalejący przy klawiaturze, było to lepsze od najlepszego przedstawienia, a w dodatku nie kosztowało ani centa. Co więcej, przy tym całym rozbieraniu się i ubieraniu zawsze się załapywałem na



trochę drobnych w kieszeni i garść dobrych cygar. Nigdy nie widywałem żadnego z nich między tymi spotkaniami - jedynie w poniedziałkowe wieczory przez całe lato, kiedy Ed prowadził dom otwarty.

Gdy tak stałem w ogrodzie i słuchałem tego zgiełku, nie mogłem wprost uwierzyć, że to jest to samo miasto. Ale gdybym rozpuścił jadaczkę i otworzył przed nim duszę, wszystko by przysło. Bo żaden z tych obiboków nie zmierzał w oczach świata donikąd. Poczciwe z nich były typki, dzieciaki, faceci z upodobaniem do muzyki i dobrej zabawy. Lubili ją tak bardzo, że czasem trzeba było wzywać karetkę. Tak jak owego wieczoru, kiedy Al Burger zwichnął sobie nogę w kolanie, popisując się przed nami jednym ze swoich numerów. Wszyscy byli tak rozbawieni, tak przejęci muzyką, tak nabuzowani, że musiał nas bitą godzinę przekonywać, iż naprawdę cierpi. Próbowaliśmy go zanieść do szpitala, ale to jednak za daleko, zresztą to taki dobry dowcip, toteż upuszczaliśmy go raz na czas, bo wtedy wył jak opętany. W końcu zadzwoniliśmy z automatu policyjnego po pomoc, no i przyjechała karetka, a także radiowóz. Al pojechał do szpitala, my zaś do mamra. Całą drogę śpiewaliśmy na całe gardło. Kiedy już nas zwolniono za kaucją, humory wciąż nam dopisywały, gliniarzom zresztą też, no więc wszyscy zeszliśmy do sutereny, gdzie stał zepsuty fortepian, i tam dalej ciągnęliśmy grę i śpiewy. Wszystko to przypomina jakiś okres w dziejach przed narodzeniem Chrystusa, który nie kończy się z powodu wybuchu wojny, tylko dlatego, że nawet taki lokal jak dom Eda Bauriesa nie jest uodporniony na truciznę sącząca się z zewnątrz. Dlatego, że każda ulica staje się Myrtle Avenue, że pustka przepełnia cały kontynent, od Atlantyku aż po Pycyfik. Dlatego, że po pewnym czasie jak kraj długi i szeroki nie znajdzie się ani jeden dom, w którym ktoś stałby na rękach i śpiewał. Po prostu tego się już nie robi. I nigdzie już nie rozbrzmiewają jednocześnie dwa fortepiany, ani nie znajdzie się dwóch facetów, którzy chcieliby grać razem całą noc, ot tak, dla frajdy. Dwóch facetów, którzy potrafią grać tak jak Ed Bauries z Georgem Neumillerem, trafia natychmiast do radia albo do filmu, gdzie wykorzystuje się jedynie ułamek ich talentu, a resztę wyrzuca do śmieci. Sądząc po występach publicznych nikt nie wie, jakimi talentami dysponuje wielki kontynent amerykański. Sporo później przesiadywałem całe popołudnia na progach dzielnicy muzyków słuchając, jak rzepołą zawodowcy. To też było niezłe, chociaż zupełnie w innym stylu. Nic z zabawy, jedynie ustawiczne ćwiczenia, żeby zarobić dolary i centy. Każdy człowiek w Ameryce, który przejawiał choć krztynę humoru, oszczędzał go, żeby się wybić. Zdarzali się wśród takich ludzi cudowni wariaci, których nigdy nie zapomnę, którzy nie dorobili się sławy, a przecież byli solą tej ziemi. Pamiętam anonimowego wykonawcę z trupy objazdowej Keitha, największego bodaj wariata w całej Ameryce, za co zapewne dostawał pięćdziesiąt dolarów

tygodniowo. W każdy dzień powszedni, trzy razy dziennie, wychodził i dosłownie urzekał publiczność. Nie miał żadnego numeru - wiecznie improwizował. Nie powtarzał nigdy dowcipów ani skeczy. Szafował sobą rozrzutnie, chociaż nie sędzę, żeby był przy tym narkomanem. Należał do tych facetów, którzy się już rodzą pod taką gwiazdą, a rozpierała go tak gorąca energia i radość, że nic nie zdołałoby jej powstrzymać. Umiał grać na dowolnym instrumencie, tańczyć, stepować, wymyślać na oczekaniu historyjki i ciągnąć je, dopóki mu nie przerwano. Nie poprzestawał na własnym numerze, lecz również pomagał innym. Stał za kulisami i czekał na odpowiednią chwilę, żeby się wpasować w numer kogoś innego. Stanowił jednoosobowy teatr, i to teatr zawierający większą dawkę terapii niż cały arsenał współczesnej nauki. Należałoby mu wypłacać pensję równowartości pensji prezydenta Stanów Zjednoczonych. Należałoby zwolnić prezydenta Stanów Zjednoczonych oraz Sąd Najwyższy i powierzyć władzę temu człowiekowi. Potrafił bowiem uleczyć wszelkie choroby, jakie tylko istnieją. Był w dodatku facetem, który podjąłby się tego za darmo, gdyby go ktoś o to poprosił. Właśnie tacy ludzie przyczyniają się do opróżnienia zakładów dla umysłowo chorych. Nie proponują lekarstwa - zarażają szaleństwem wszystkich. Między takim rozwiązaniem a ustawicznym stanem wojny, jakim jest cywilizacja, istnieje tylko jedno wyjście - i tę drogę wszyscy w końcu obierzemy, bo wszystko inne jest skazane na porażkę. Typ człowieka, który uosabia tę jedyną drogę wyjścia, ma głowę o sześciu obliczach i ośmiu oczach; jego głowa to obracająca się latarnia morska, a zamiast potrójnej korony, której można by się spodziewać na czubku, znajduje się tam dziura przewietrzająca niewielkie doprawdy zasoby rozumu. Rozumu ma niewiele, jak powiadam, bo niewiele jest bagażu do niesienia, bo kiedy ktoś żyje pełnią świadomości, szara substancja przemienia się w światło. Jest to jedyny typ człowieka, jaki można przedłożyć nad komika; nie śmieje się ani nie płacze, wznosi się ponad cierpienie. Jeszcze go nie dostrzegamy, bo jest zbyt blisko nas, a konkretnie tuż pod naszą skórą. Kiedy komik sprawia, że zrywamy boki, to przemawia do nas ten człowiek, którego imię mogłoby zapewne brzmieć Bóg, gdyby miał używać jakiegoś imienia. Kiedy cały rodzaj ludzki pokłada się ze śmiechu, śmieje się aż do bólu, to każdy stąpa po tej ścieżce. W takiej chwili każdy może równie dobrze być Bogiem jak kimkolwiek innym. W takiej chwili następuje unicestwienie podwójnej, potrójnej, poczwórnej, wielopłaszczyznowej świadomości, co powoduje, że szara substancja skręca się w martwe zwoje na czubku czaszki. W takiej chwili naprawdę czuje się dziurę na czubku głowy; wie się, że niegdyś tkwiło tam oko i że to oko mogło postrzegać wszystko naraz. Oka już nie ma, ale kiedy śmiejecie się aż do łez i bólu brzucha, to doprawdy otwieracie świetlik w sklepieniu i przewietrzacie głowę. Nikt was w takiej chwili nie nakłoni, żebyście chwycili za broń i zabijali wroga; ani też nikt

was nie nakłoni, żebyście otworzyli opasły tom zawierający metafizyczne prawdy o świecie i zaczęli go czytać. Jeżeli wiecie, co znaczy wolność, wolność całkowita, a nie względna, to musicie pojąć, że większej już nie osiągniecie. Jeżeli występuję przeciwko kondycji świata, to nie dlatego, że jestem moralistą, tylko dlatego, że chcę się więcej śmiać. Nie twierdzę, że Bóg to beczka śmiechu; powiadam tylko, że trzeba się dużo śmiać, zanim się człowiek zbliży do Boga. Celem całego mojego życia jest zbliżyć się do Boga, a zatem zbliżyć się do siebie. Dlatego nieważne, jaką pójdę drogą. Ale muzyka jest bardzo ważna. Muzyka stanowi tonik dla szyszynki. Muzyka to nie Bach czy Beethoven, tylko otwieracz duszy. Wprowadza w nas straszliwy spokój, uprzytamnia nam, że nad naszym istnieniem jest jakiś dach.

Dotkliwy koszmar życia nie zawiera się w katastrofach ani w nieszczęściach, bo one nas tylko rozbudzają, człowiek się z nimi brata i oswaja, aż je wreszcie poskromi... nie, to raczej jakby się było, powiedzmy, w pokoju hotelowym w Hoboken i miało się przy duszy tylko tyle pieniędzy, żeby starczyło na kolejny posiłek. Człowiek znajduje się w mieście, w którym nie spodziewa się znaleźć ponownie, byle przetrwać tę noc w hotelu, ale wymaga to całej odwagi i hartu ducha, żeby tam wytrzymać. Musi być jakiś powód, dla którego pewne miasta, pewne miejsca budzą taką odrazę i lęk. Musi się tam odbywać jakieś ustawiczne morderstwo. Ludzie należą do tego samego rodzaju co każdy z nas, zajmują się jak wszędzie indziej swoimi sprawami, budują podobne domy, ani lepsze, ani gorsze, mają taki sam system oświaty, taką samą walutę, takie same gazety - a mimo to są całkiem różni od innych znanych nam ludzi, zresztą cała atmosfera jest inna, inny jest rytm i inne napięcie. Zupełnie jakby się patrzyło na siebie w drugim wcieleniu. Człowiek wie z zastraszającą pewnością, że życiem nie rządzą ani pieniądze, ani polityka, ani religia, ani wychowanie, ani rasa, ani język, ani zwyczaje, tylko coś innego, coś, co przez cały czas usiłujemy zdławić, a co tak naprawdę nas dławi, bo w przeciwnym razie nie wpadlibyśmy nagle w popłoch i nie zastanawialibyśmy się nad tym, jak by tu uciec. W niektórych miastach nie trzeba nawet spędzać nocy - wystarczy godzina lub dwie, żeby człowieka wyprowadzić z równowagi. W ten sposób, na przykład, myślę o Bayonne. Przyjechałem tam późno wieczorem z kilkoma adresami, jakie mi podano. Trzymałem pod pachą walizeczkę z broszurą reklamową Encyclopaedia Britannica. Miałem krążyć pod osłoną ciemności i sprzedawać tę cholerną encyklopedię nieborakom, którzy się pragną doksztalcać. Gdyby zrzucano mnie nad Helsingfors, nie czułbym się chyba bardziej nieswojo niż na ulicach Bayonne. W moim odczuciu nie było to amerykańskie miasto. W gruncie rzeczy, nie było to wcale miasto, tylko wielka ośmiornica wijąca się w ciemnościach. Pierwsze drzwi, do których podszedłem, miały tak odpychający wygląd, że nawet nie zapukałem; obszedłem tak kilka adresów, zanim zebrałem się na odwagę, żeby zapukać.

Pierwsza twarz, na jaką spojrzałem, przeraziła mnie jak diabli. Nie chcę przez to powiedzieć, że speszyła mnie lub zmroziła - po prostu mnie przeraziła. Była to twarz pomocnika murarskiego, tępego Irlandczyka, który rad by człowieka rąbnąć siekierą albo napluć mu w twarz. Udałem, że pomyliłem nazwiska, i ruszyłem w te pędy pod następny adres. Za każdym razem, kiedy otwierały się drzwi, widziałem kolejnego potwora. Wreszcie trafiłem na biednego prostaczka, który naprawdę chciał się doksztalić, i to mnie załamało. Poczulem głęboki wstyd za siebie, za swój kraj, swoją rasę, swoją epokę. Umordowałem się jak dziki przekonując go, żeby nie kupował tej cholernej encyklopedii. Spytał mnie niewinnie, co mnie zatem sprowadza do jego domu, a ja bez najmniejszego zastanowienia palnąłem mu wierutne kłamstwo, które miało się z czasem okazać wielką prawdą. Powiedziałem mu, że udaję tylko sprzedawcę encyklopedii, żeby poznawać ludzi i o nich pisać. To go niesłychanie zainteresowało, nawet bardziej niż sama encyklopedia. Chciał się dowiedzieć, co o nim napiszę, jeżeli mogę mu zdradzić. Dwadzieścia lat zabrało mi sformułowanie odpowiedzi na to pytanie, ale oto i ona. Jeżeli nadal chcesz wiedzieć, Janie Iks z miasta Bayonne, proszę bardzo... Sporo ci zawdzięczam, bo po tamtym kłamstwie opuściłem twój dom, podarłem broszurę reklamową, którą dostałem w biurze Encyclopaedia Britannica, i wyrzuciłem ją do rynsztoka. Przyrzekłem sobie, że już nigdy nie będę odwiedzał ludzi pod fałszywym pretekstem, choćby nawet po to, żeby im dawać Pismo Świąte. Już nigdy nie będę niczego sprzedawał, choćbym miał głodować. Wracam teraz do domu, gdzie usiądę do biurka i naprawdę zacznę pisać o ludziach. A jeżeli ktoś zastuka do moich drzwi, żeby mi coś sprzedać, zaproszę go do środka i zapytam: - Po co pan to robi? - Jeżeli zaś odpowie, że musi jakoś zarabiać na życie, zaproponuję mu pieniądze, jakie akurat będę miał przy sobie, i ubłagam, żeby się jeszcze raz zastanowił nad tym, co robi. Chciałbym uchronić jak największą liczbę osób przed udawaniem, że muszą robić to czy tamto, żeby zarobić na życie. To nieprawda. Dużo lepiej zagłodzić się na śmierć. Każdy, kto dobrowolnie głodzi się na śmierć, blokuje kolejny trybik w tym automatycznym procesie. Wolałbym już widzieć, jak ktoś chwyta broń i zabija sąsiada, żeby zdobyć potrzebne sobie jedzenie, niż jak podtrzymuje ten automatyczny proces udając, że musi zarabiać na życie. To właśnie chciałem powiedzieć, panie Janie Iks.

Idę dalej. Czyli nie dotkliwy koszmar nieszczęść i katastrof, jak powiadam, lecz automatyczna regresja, cała panorama atawistycznej walki duszy. Most w Północnej Karolinie niedaleko granicy z Tennessee. Kiedy wychodzi się z bujnych pól tytoniowych, wszędzie niskie chatynki i woń palonego świeżego drewna. Dzień mija w gęstym jeziorze rozkołysanej zieleni. Dokoła żywej duszy. Naraz przecinka i znajduję się nad wielkim

parowem, którego brzegi łączy rozklekotany drewniany most. Koniec świata! Nie mam pojęcia, jak ja tu, na miłość boską, dotarłem i dlaczego tu jestem. Co ja tu będę jadł? Zresztą choćbym się najadł do syta, i tak byłbym smutny, przeraźliwie smutny. Nie wiem, dokąd się udać. Ten most to koniec, koniec mnie, koniec znanego mi świata. Ten most to oblęd: nie ma powodu, żeby tu stał ani żeby przezeń przechodzono. Nie ma mowy, żebym dał bodaj jeden krok, odmawiam przejścia przez ten szalony most. W pobliżu niski murek, pod którym się kładę, żeby się zastanowić, co robić i dokąd się udać. Rozważam spokojnie, jak potworne piętno wycisnęła na mnie cywilizacja - jak niezbędni mi są ludzie, rozmowy, książki, teatr, muzyka, kawiarnie, trunki i tak dalej. Coś potwornego być takim cywilizowanym człowiekiem, bo kiedy się dociera do końca świata, nic nie jest w stanie przeważyć lęku samotności. Być osobą cywilizowaną to znaczy mieć skomplikowane potrzeby. A w pełni ukształtowany człowiek nie powinien niczego potrzebować. Przez cały dzień chodziłem po polach tytoniowych i narastał we mnie ten niepokój. Co ja tu robię w tym tytoniu? Do czego zmierzam? Wszędzie ludzie wytwarzają plony i dobra dla innych ludzi, ja zaś jestem jak ten duch, który się snuje pośród tych wszystkich niepojętych poczynań. Chciałbym sobie znaleźć jakąś pracę, ale nie chcę być częścią tego piekielnego automatycznego procesu. Idę przez miasto, przeglądam gazetę, w której piszą o tym, co się dzieje w tym miasteczku i w jego okolicach. Na mój rozum nic się tu nie dzieje, zegar stanął, tylko ci nieboracy tego nie wiedzą. Mam ponadto silne przeczucie, że w powietrzu wisi morderstwo. Czuję je nosem. Kilka dni wcześniej przekroczyłem niewidzialną granicę oddzielającą Północ od Południa. Nie byłem tego świadom, dopóki nie nadjechał czarnuch wozem zaprzężonym w dwa konie; kiedy się ze mną zrównał, wstał z siedzenia i z najwyższym szacunkiem zdjął kapelusz. Miał śnieżnobiałe włosy i wielką godność wypisaną na twarzy. Poczuję się koszmarnie, uprzytomniłem sobie, że niewolnicy nadal istnieją. Ten człowiek musiał uchylić przede mną kapelusza, bo należę do białej rasy. A przecież to ja powinienem był uchylić kapelusza przed nim! Powinienem był oddać mu honory jako przedstawicielowi tych, którzy przeżyli nikczemne tortury, jakie biali zaaplikowali czarnym. Powinienem był pierwszy uchylić kapelusza, dać temu człowiekowi do zrozumienia, że nie jestem częścią tego systemu, że błagam o wybaczenie w imieniu wszystkich swoich białych braci, którzy są zbyt ograniczeni i okrutni, żeby się zdobyć na szczery, jawny gest. Dzisiaj bez przerwy czuję na sobie ich wzrok; patrzą zza drzwi, zza drzew. A wszyscy na pozór bardzo spokojni, bardzo opanowani. Czarnuch nigdy nic nie mówi. Czarnuch, on nucić sobie przez cały czas. Biały człowiek myśleć, czarnuch nauczyć się jego miejsce. Czarnuch nic się nie nauczyć. Czarnuch czekać. Czarnuch patrzeć wszystko, co robić biały człowiek. Czarnuch nie mówić nic, o nie, nic a nic.

A MIMO TO CZARNUCH ZABIJA BIAŁEGO CZŁOWIEKA! Za każdym razem, kiedy czarnuch patrzy na białego, przebija go sztyletem. Wcale bowiem nie upały ani nie dżdżownice, ani nie złe plony zabijają Południe - tylko czarni! Czarni wydzielają truciznę, czy to świadomie, czy nieświadomie. Południe jest znarkotyzowane i otumanione murzyńską trucizną.

Idę dalej... Siedzę przed zakładem fryzjerskim nad rzeką James. Spędzę tu tylko dziesięć minut, żeby dać odpocząć nogom. Naprzeciwko hotel i kilka sklepów; wszystko się szybko kurczy, kończy tak, jak się zaczęło - bez powodu. Z głębi serca żałuję tych nieboraków, którzy się tu rodzą i tu umierają. Nie ma na dobrą sprawę dostatecznego powodu, żeby ta miejscina w ogóle istniała. Nie ma powodu, żeby ktokolwiek przechodził tą ulicą, golił się, strzygł lub kupował befsztyk z polędwicy. Ludzie, kupcie sobie broń i pozabijajcie się nawzajem! Wymażcie tę ulicę na zawsze z mojej pamięci - bo nie ma w sobie krztyny sensu.

Tego samego dnia, po zapadnięciu zmroku. Brnę dalej, coraz bardziej zagłębiam się w Południe. Oddalam się od tamtego miasteczka krótką drogą prowadzącą na autostradę. Wtem słyszę za sobą kroki, zaraz potem mijają mnie truchtem młody człowiek, ciężko dyszy i klnie z całych sił. Przystaję na chwilę, zachodzę w głowę, co to może znaczyć. Słyszę, jak nadbiega truchtem drugi mężczyzna; to starszy człowiek, ma przy sobie broń. Oddycha dość lekko, nie kłapie dziobem jak tamten. Kiedy znajduje się w zasięgu mojego wzroku, księżyc akurat wychodzi zza chmur, mogę się więc dobrze przyjrzeć twarzy tego człowieka. To łowca ludzi. Stoję z boku, kiedy dołączają do niego inni. Dygoczę ze strachu. To szeryf, słyszę czyjeś słowa, już on go złapie. Coś potwornego. Ruszam w kierunku autostrady czekając na strzał, który położy temu wszystkiemu kres. Ale nic nie słyszę, tylko ten ciężki oddech młodego człowieka i szybkie, rażne kroki tłumu podążającego w ślad za szeryfem. Kiedy już dochodzę do szosy, z ciemności wyłania się człowiek, podchodzi do mnie bardzo cicho. - Dokąd idziesz, synu? - pyta spokojnie, niemal czule. Bąkam coś o najbliższym miasteczku. - Lepiej zostań tutaj, synu - powiada. Nie odezwałem się już ani słowem. Dałem się zaprowadzić z powrotem do miasta i oddać jak złodziej w ręce policji. Leżałem na podłodze z bodaj pięćdziesięcioma innymi facetami. Miałem cudowny erotyczny sen, który się skończył gilotyną.

Brnę dalej... Równie ciężko jest posuwać się naprzód, jak się cofać. Straciłem poczucie, że jestem obywatelem amerykańskim. Ta część Ameryki, z której pochodzę, gdzie miałem pewne prawa, gdzie czułem się wolny, została tak daleko za mną, że zaczyna mi się zamazywać w pamięci. Czuję się, jak gdyby ktoś przez cały czas przystawiał mi karabin do pleców. Słyszę tylko - idź przed siebie. Jeżeli ktoś coś do mnie mówi, staram się nie

odpowiadać zbyt inteligentnie. Udaję, że bardzo mnie interesują zbiory, pogoda, wybory. Kiedy przystaję, patrzą na mnie, biali i czarni - przeszywają mnie wzrokiem na wylot, jak gdybym był jadalny i soczysty. Muszę przejść co najmniej kolejnych tysiąc mil, jak gdybym miał prawdziwy cel, jak gdybym naprawdę dokaś zmierzał. Muszę mieć wyraz wdzięczności w oczach, skoro nikt mnie dotąd nie puknął. Przygnębia mnie to, a zarazem raduje. Jesteś napiętnowany - a mimo to nikt nie pociąga za spust. Pozwalają ci bez przeszkód dojść do Zatoki Meksykańskiej, gdzie możesz się utopić.

No i proszę, dotarłem do Zatoki Meksykańskiej, wszedłem prosto do wody i utopiłem się. Zrobiłem to za darmo. Kiedy wyłowiono trupa, był oznaczony „łącznie z dostawą” Myrtle Avenue, Brooklyn; odesłano go „płatne gotówką przy dostawie”. Kiedy pytano mnie później, dlaczego odebrałem sobie życie, jedyna odpowiedź, jaka mi przyszła do głowy, brzmiała: - Bo chciałem zelektryzować kosmos! - Miałem na myśli coś bardzo prostego - Delaware, Lackawanna i Western były zelektryfikowane, Linie Lotnicze Seaboard były zelektryfikowane, natomiast dusza człowieka nadal tkwiła na etapie pokrytego plandeką wozu. Urodziłem się na łonie cywilizacji i przyjąłem ją bardzo naturalnie - co było robić? Dowcip polega na tym, że nikt inny nie brał jej poważnie. Byłem jedynym naprawdę cywilizowanym człowiekiem w swoim otoczeniu. Jak dotąd nie znalazłem sobie miejsca. A przecież książki, które czytałem, muzyka, której słuchałem, zapewniły mi, że istnieją na świecie inni podobni do mnie ludzie. Musiałem przejść szmat drogi i utopić się w Zatoce Meksykańskiej, żeby znaleźć usprawiedliwienie dla kontynuowania tej pseudocywilizowanej egzystencji. Musiałem się niejako odwszawić z własnego duchowego ciała.

Kiedy otworzyły mi się oczy na fakt, że w całym tym planie nie jestem nawet pyłkiem, doznałem prawdziwej radości. Prędko wyzbyłem się wszelkiego poczucia odpowiedzialności. I gdyby moim znajomym nie nudziło się pożyczać mi wiecznie pieniędzy, chyba przesiuskałbym tak resztę życia. Świat jawił mi się jako muzeum; nie miałem nic lepszego do roboty, jak tylko objadać się tym przepysznym tortem czekoladowym, którym nas obdarzyły poprzednie pokolenia. Ta moja radość życia denerwowała wszystkich. Logika podpowiadała innym, że sztuka jest, owszem, bardzo piękna, a jakże, lecz trzeba zarabiać na życie, a wtedy człowiek stwierdza, że jest zbyt zmęczony, żeby w ogóle myśleć o sztuce. Dopiero jednak kiedy zacząłem się odgrażać, że dodam od siebie warstwę albo dwie do tego pysznego tortu, innych to rozjuszyło. Miara się przebrała. Oznaczało to, że jestem szalony do szpiku kości. Najpierw uznano mnie za bezużytecznego członka społeczeństwa; potem przez jakiś czas uważano mnie za nonszalanckiego, beztroskiego trupa o nienasyconym apetycie; teraz zaś zostałem wariatem. (Posłuchaj, ty draniu, znajdź sobie jakąś robotę... mamy już

ciebie dosyć!) Taka zmiana frontu była poniekąd orzeźwiająca. Czulem, jak wiatr hula po korytarzach. Przynajmniej nie byliśmy już zabalsamowani. Trwała wojna, ja zaś jako trup byłem wystarczająco świeży, żeby stoczyć pozostałą we mnie walkę. Wojna odnawia. Wojna burzy krew. Właśnie podczas wojny światowej, która mi uleciała z pamięci, w moim sercu zaszła zmiana. Ożeniłem się z dnia na dzień, żeby udowodnić wszem wobec, że tak czy siak głównie mnie to obchodzi. W ich pojęciu ślub jest czymś godnym pochwały. Pamiętam, że kiedy to ogłosiłem, za sam ten fakt od razu zarobiłem pięć dolarów. Mój przyjaciel MacGregor pokrył koszty zezwolenia, poza tym zapłacił nawet za moje golenie i strzyżenie, bo twierdził, że w takim stanie nie mogę iść do ślubu. Zakrzyknięto, że nie ogolony nie mogę się ożenić; osobiście nie rozumiałem, dlaczego nie miałbym dać się wpręgnąć w małżeństwo nie idąc wcześniej do fryzjera, ale ponieważ nic mnie to nie kosztowało, uległem tej presji. Ciekawe, że wszyscy się rwali, żeby coś nam dać na utrzymanie. Tylko dlatego, że przejawiałem niby odrobinę rozsądku, naraz wszyscy się do nas zlecieli - może tak pomóc nam w tamtym albo w szamantym? Wszyscy, ma się rozumieć, zakładali, że teraz to już na pewno pójdę do pracy, przekonam się, iż życie to poważna sprawa. Nikomu nie przyszło do głowy, że mógłbym pozwolić, aby żona pracowała na mnie. Z początku naprawdę odnosiłem się do niej bardzo przyzwoicie. Nie byłem w końcu poganiaczem niewolników. Prosiłem ją tylko o pieniądze na przejazdy - żeby szukać tej swojej mitycznej pracy - no i o kieszonkowe na papierosy, kino, i tak dalej. Odkryłem, że skoro jesteśmy po ślubie, naprawdę ważne rzeczy, takie jak książki, płyty gramofonowe, adaptory, befsztyki z polędwicy i tym podobne możemy brać na raty. Kredyt dla młodych małżeństw był najwidoczniej pomyślany dla takich facetów jak ja. Pierwsza rata to kaszka z mleczkiem - resztę zostawiłem w rękach opatrności. Wszyscy zawsze mówili - trzeba jakoś żyć. Na Boga, powiedziałem więc sobie to samo: - Trzeba jakoś żyć! Najpierw żyć, a płacić potem.- Kiedy zobaczyłem palto, które mi się podobało, wchodziłem do sklepu i kupowałem. Kupowałem je przed sezonem, żeby dowieść, iż jestem trzeźwo myślącym człowiekiem. Cholera, byłem przecież mężem, a niedługo zapewne zostanę ojcem - należy mi się chyba przynajmniej zimowe palto. A kiedy już miałem palto, pomyślałem o solidnych butach, o parze grubych kurdybanów, o jakich marzyłem całe życie, ale nigdy nie było mnie na nie stać. Kiedy nastały silne chłody, a ja wciąż szukałem pracy, czasem bywałem bardzo głodny - jak to zdrowo krążyć tak dzień w dzień po mieście, czy to ślota, śnieg, wiatr, czy grad - toteż raz na czas wpadałem do przytulnej knajpki i zamawiałem soczysty befsztyk z cebulą i frytkami. Wziąłem sobie polisę ubezpieczeniową na życie i od wypadków - jak mnie zapewniano, to bardzo ważne, kiedy człowiek jest żonaty. Bo gdybym któregoś dnia padł trupem - co wtedy? Pamiętam faceta, który mi to tłumaczył, żeby



wysunąć decydujący argument. Już mu obiecałem, że podpiszę, ale on pewno zapomniał. Od razu się zgodziłem, z przyzwyczajenia, ale, jak powiadam, facet najwyraźniej przeoczył ten fakt - albo nie licowało to z jego etyką zawodową, żeby podpisać umowę, dopóki się nie wyrecytowało całego przemówienia. Już go miałem zapytać, ile czasu musi upłynąć, zanim będzie można wziąć pożyczkę na tę polisę, kiedy agent rzucił mi owo hipotetyczne pytanie: - Bo jeżeli któregoś dnia padnie pan trupem, co wtedy? - Pewno uznał, że brak mi piątej klepki, bo tak się na te słowa roześmiałem. Śmiałem się, aż łzy pociekły mi po twarzy.

- Nie sądzę, żebym powiedział coś aż tak śmiesznego - odezwał się w końcu.

- Widzi pan - odparłem przybierając bardzo poważny ton - proszę mi się dobrze przyjrzeć. I niech mi pan powie, czy wyglądam na faceta, który przejmuje się choć trochę, co się stanie po jego śmierci?

Chyba go to zaskoczyło, bo zaraz dodał:

- Nie sądzę, żeby to było etyczne podejście, panie Miller. Na pewno nie chciałby pan, żeby pańska żona...

- A gdybym tak panu powiedział - odparowałem - że gównu mnie obchodzi, co się stanie z żoną po mojej śmierci, co wtedy? - Ponieważ uraziło to jeszcze bardziej jego wrażliwość etyczną, dodałem dla wzmocnienia efektu: - Jeżeli o mnie chodzi, nie musicie wypłacać odszkodowania, kiedy odwalę kitę. Robię to tylko dla pańskiego dobrego samopoczucia. Nie widzi pan, że staram się pomagać światu? Jakoś trzeba żyć, prawda? No to zapewniam panu kęs strawy i tyle. Jeżeli ma pan coś jeszcze do zaoferowania, proszę walić. Kupię wszystko, co dobrze brzmi. Jestem kupcem, a nie sprzedawcą. Lubię uszczęśliwiać ludzi, tylko dlatego kupuję różne rzeczy. Czyli ile to ma kosztować tygodniowo? Pięćdziesiąt siedem centów? Świetnie. Co to jest pięćdziesiąt siedem centów? Widzi pan ten fortepian? Kosztuje bodajże trzydzieści dziewięć centów tygodniowo. Proszę się rozejrzeć... wszystko, co pan tu widzi, kosztuje mniej więcej tyle samo tygodniowo. Pyta pan: jeżeli umrę, to co wtedy? Czy pan uważa, że splątam tym wszystkim ludziom takiego figla, że umrę? To byłby szatański dowcip. Nie, wolałbym, żeby tu przyszli i zabrali te rzeczy, to znaczy gdybym nie mógł za nie zapłacić... - Zaczął się nerwowo wiercić, a wzrok, jak mi się zdawało, miał dość szklisty. - Przepraszam - zagadnąłem przerywając swój wywód - nie miałby pan ochoty sobie gołnąć, żeby opić tę polisę?

Odmówił, lecz ja nalegałem, a poza tym nie podpisałem jeszcze papierów, przedtem bowiem trzeba zrobić analizę moczu, dostać świadectwo lekarskie oraz najrozmaitsze zgody i pieczętki - znałem już te brednie na pamięć - uznałem więc, że możemy sobie najpierw gołnąć kieliszeczek, żeby nieco przedłużyć ten poważny interes, bo szczerze mówiąc kupno

polisy, czy w ogóle kupno czegokolwiek, sprawiało mi prawdziwą przyjemność, dawało poczucie, że jestem taki sam jak wszyscy inni obywatele, że jestem człowiekiem, i owszem!, a nie jakąś małpą. Wyjąłem zatem butelkę sherry (bo tylko na to mi pozwalano) i nalałem mu kieliszek po brzegi, myśląc sobie, że dobrze, iż tego sherry ubywa, bo może następnym razem kupią mi coś lepszego.

- Kiedyś sam też sprzedawałem polisy - oznajmiłem podnosząc kieliszek do ust. - Mógłbym sprzedawać cokolwiek. Sęk w tym, że jestem leniwy. Weźmy taki dzień jak dzisiaj... czy nie milej jest siedzieć w domu i czytać książkę albo słuchać gramofonu? Gdybym dzisiaj pracował, nie zastałby mnie pan w domu, prawda? Nie, lepiej się nie przemęczać i pomagać ludziom, kiedy tu przychodzą... na przykład panu. Nie uważa pan, że znacznie przyjemniej jest kupować niż sprzedawać? Ma się rozumieć, jeżeli się jest przy forsie! A my tu, w tym domu, nie potrzebujemy zbyt dużo pieniędzy. Jak już mówiłem, fortepian kosztuje jakieś trzydzieści dziewięć centów tygodniowo, no, może czterdzieści dwa, natomiast...

- Przepraszam, panie Miller - wtrącił - ale czy nie sądzi pan, że powinniśmy się zabrać do podpisywania papierów?

- Ależ naturalnie - zgodziłem się ochoczo. - Przyniósł pan wszystkie ze sobą? No to jak pan sądzi, od którego zaczniemy? A tak przy okazji, nie miałby pan pióra wiecznego na sprzedaż?

- Proszę tylko tutaj podpisać - rzekł udając, że ignoruje moje uwagi. - I tutaj, to wszystko. A teraz, panie Miller, ja się już pożegnam. Za kilka dni odezwie się do pana nasza firma.

- Tylko niech się pospieszą - rzuciłem odprowadzając go do drzwi - bo mogę zmienić zdanie i popełnić samobójstwo.

- Ależ tak, ależ naturalnie, panie Miller, pospieszmy się. Żegnam pana, do widzenia!

Kredyt dla młodych małżeństw w końcu się, rzecz jasna, wyczerpuje, zwłaszcza jeżeli ktoś jest takim gorliwym kupcem jak ja. Dokładałem wszelkich starań, żeby podtrzymywać ruch w interesie u amerykańskich producentów i ludzi od reklamy, ale chyba sprawiałem im zawód. Wszystkim sprawiałem zawód. Jeden człowiek szczególnie się na mnie zawiódł, chociaż naprawdę się starał, żeby przyjść mi z pomocą, lecz w końcu się na mnie sparzył. Myślę o nim i o tym, jak wziął mnie na swojego asystenta - jakże chętnie i wielkodusznie - bo później, kiedy sam przyjmowałem i wyrzucałem niczym pistolet kalibru czterdziestu dwóch koni, mnie samego wystawiano na prawo i lewo do wiatru, ale do tamtej pory tak się już zdążyłem uodpornić, że gównu mnie to obchodziło. Tamten człowiek jednak zadał sobie trud,

aby mi pokazać, że we mnie wierzy. Był redaktorem katalogu wielkiego domu wysyłkowego. Było to olbrzymie kompendium szajsu, które wydawano raz do roku, a którego opracowanie zabierało cały rok. Nie miałem zielonego pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi ani dlaczego pewnego dnia zaszedłem do niego do biura, chyba tylko po to, żeby się ogrzać, bo już za długo kręciłem się po dokach, usiłując znaleźć pracę rachmistrza albo byle kogo. W biurze było przytulnie, toteż wygłosiłem mu długą mowę, żeby trochę odtajać. Nie wiedziałem, o jaką pracę prosić - po prostu o pracę.

Był to człowiek wrażliwy, dobrego serca. Chyba się domyślił, że jestem pisarzem albo że chcę nim zostać, bo wkrótce zaczął mnie wypytywać, co lubię czytać i co myślę na temat tego czy innego pisarza. Tak się złożyło, że miałem w kieszeni listę książek - książek, których szukałem w bibliotece publicznej - wyjąłem ją zatem i mu pokazałem. - Jak mi Scott miły! - zawołał - pan naprawdę czyta takie książki? - Skromnie skinąłem głową, i jak mi się to często zdarzało, kiedy mnie natchnęła czyjaś głupia uwaga, zacząłem rozprawiać o Misteriach Hamsuna, które właśnie czytałem. Facet po prostu zaczął się rozplęwać. Kiedy mnie zapytał, czy nie zechciałbym zostać jego zastępcą, z góry przeproszał, że oferuje mi tak niskie stanowisko; oznajmił, że mogę nie spiesząc się poznawać tajniki tej pracy, chociaż na pewno pójdzie mi to jak z płatka. Po czym spytał, czy nie przyjąłbym pożyczki z jego własnej kieszeni do czasu pierwszej wypłaty. Zanim zdążyłem odpowiedzieć „tak” lub „nie”, już wyjął banknot dwudziestodolarowy i mi go wcisnął. Bardzo mnie tym, oczywiście, ujął. Byłem gotów zaharować się jak wół dla tego człowieka. Zastępca redaktora - nieźle to brzmiało, zwłaszcza dla moich kredytodawców w okolicy. Przez jakiś czas byłem tak zadowolony, że mogę jeść rostbefy, kurczaki i polędwicę wieprzową, że udawałem, iż mi ta praca odpowiada. W istocie bowiem wciąż tylko pilnowałem się, żeby nie zasnąć. W tydzień nauczyłem się tego, czego się miałem nauczyć. A potem? Potem się czułem, jakbym odsiadywał dożywocie. Żeby wykorzystać jakoś ten czas, pisałem opowiadania, eseje i długie listy do przyjaciół. Pewno sądzono, że spisuję nowe pomysły dla firmy, bo przez dłuższy czas nikt nie zwracał na mnie uwagi. Stwierdziłem, że to świetna praca. Miałem prawie cały dzień dla siebie, na swoje pisanie, bo nauczyłem się w ciągu godziny odwalać biurową robotę. Tak się zapaliłem do własnej pracy, że wydałem polecenie swoim podwładnym, aby mi nie przeszkadzano poza wyznaczonymi porami. Żeglowałem sobie jak ten wietrzyk, firma płaciła mi regularnie, a poganiacze niewolników wykonywali robotę, jaką im wyznaczyłem, aż tu pewnego dnia, kiedy byłem akurat w środku ważnego eseju na temat antychrysta, do mojego biurka podchodzi mężczyzna, którego nigdy przedtem nie widziałem, zagląda mi przez ramię i sarkastycznym tonem zaczyna czytać na głos to, co właśnie napisałem. Nie musiałem nawet

pytać, kim jest ani do czego zmierza - głowę zaprzętała mi tylko jedna myśl, którą w kółko gorączkowo powtarzałem: - Czy dostanę wypłatę za tydzień wymówienia? - Kiedy przyszedł czas się pożegnać z moim dobroczyńcą, czułem się nieco zawstydzony, zwłaszcza że na samym wstępie powiedział: - Usiłowałem ci załatwić wypłatę za tydzień wymówienia, ale nie chcieli o tym słyszeć. Szkoda, że nie mogę nic dla ciebie zrobić. Sam sobie rzucasz kłody pod nogi. Prawdę powiedziawszy, nadal bardzo w ciebie wierzę, ale niestety podejrzewam, że przez jakiś czas będzie ci bardzo ciężko. Nigdzie się nie możesz wpasować. Pewnego dnia zostaniesz wielkim pisarzem, jestem tego najzupełniej pewien. Teraz muszę cię już przeprosić - dodał ściskając mi serdecznie rękę - bo muszę iść do szefa. Powodzenia!

Poczułem się nieco dotknięty tym zdarzeniem. Chciałbym móc mu dowieść tam na miejscu, że jego wiara we mnie ma swoje uzasadnienie. W tamtej chwili pragnąłem się usprawiedliwić przed całym światem: skoczyłbym z Mostu Brooklyńskiego, gdyby to miało przekonać ludzi, że nie jestem skurwysynem bez serca. Serce miałem wielkie jak wieloryb, czego wkrótce dane mi było dowieść, tyle że nikt do niego nie zaglądał. Wszystkim sprawiałem zawód - nie tylko firmie udzielającej kredytu dla młodych małżeństw, lecz również gospodarzowi, rzeźnikowi, piekarzowi, gościom od gazu, wody i elektryczności, wszystkim. Gdybym tak potrafił uwierzyć w pracę! Bo jak mi życie drogie, nie potrafiłem. Widziałem tylko, że ludzie urabiają sobie jaja, gdyż inaczej nie potrafią. Przypomniała mi się wygłoszona przeze mnie mowa, dzięki której dostałem tę pracę. Pod pewnymi względami przypominałem Herr Nagla. Nie sposób było przewidzieć, co zrobię za minutę. Nie wiadomo, czy byłem potworem, czy świętym. Podobnie jak wielu wspaniałych ludzi naszych czasów, Herr Nagel był desperatem - i to właśnie owa desperacja zjednywała mu sympatię innych ludzi. Hamsun sam nie wiedział, co począć z tym bohaterem: wiedział, że istnieje, i wiedział, że jest kimś więcej niż tylko zwykłym bufonem i mitomanem. Chyba kochał Herr Nagla bardziej niż którąkolwiek ze stworzonych przez siebie postaci. A dlaczego? Bo Herr Nagel był, jak każdy artysta, zapoznanym świętym - jak każdy, kto staje się pośmiewiskiem przez swoje wybory, które są prawdziwie głębokie, a wydają się światu zbyt proste. Żaden człowiek nie pragnie być artystą - coś go do tego skłania, gdyż świat nie chce uznać jego prawowitego przywództwa. Praca nic dla mnie nie znaczyła, bo unikano prawdziwej pracy, którą należało wykonać. Uważano mnie za człowieka leniwego i niezaradnego, tymczasem, przeciwnie, przejawiałem nadmierną aktywność. Nawet jeżeli uganiałem się tylko za spódniczką, to już było coś, gra warta świeczki, zwłaszcza w porównaniu z innymi formami aktywności - jak na przykład wyrabianie guzików czy przykręcanie śrub, czy nawet usuwanie wyrostków robaczkowych. A dlaczego tak chętnie mnie słuchano, kiedy ubiegałem się o pracę? Dlaczego

uważano, że jestem zabawny? Niewątpliwie dlatego, że zawsze z pożytkiem spędzałem czas. Przynosiłem ludziom prezenty - z godzin spędzonych w bibliotece publicznej, z beczynnych włóczęg po ulicach, z intymnych zbliżeń z kobietami, z popołudni w teatrze burleski, z wizyt w muzeach i galeriach sztuki. Gdybym był tępakiem, ot, takim biednym, ale uczciwym niezgula, gotowym urabiać sobie jaja za tyle to a tyle tygodniowo, nie proponowano by mi tych prac, które dostawałem, nie podsuwano by mi cygar ani nie zabierano na obiad, ani nie pożyczano pieniędzy, co się często zdarzało. Musiałem mieć coś takiego w sobie, co zapewne nieświadomie stawiano wyżej niż końską siłę czy umiejętności techniczne. Sam nie wiedziałem, co to jest, bo nie cechowała mnie ani duma, ani próżność, ani zawiść. Miałem jasność co do ważnych spraw, ale wpadałem w osłupienie przy zetknięciu z błahostkami życia. Musiałem doświadczyć takiego osłupienia na dużą skalę, zanim w ogóle chwyciłem, o co w tym wszystkim chodzi. Zwykli ludzie częstokroć znacznie szybciej chwytają sytuacje praktyczne: ich ego pozostaje w zgodzie ze stawianymi im wymogami: świat nie różni się zbyt od ich względem niego wyobrażeń. Jednakże ktoś, kto zupełnie nie potrafi dotrzymać kroku reszcie świata, albo cierpi z powodu kolosalnego rozdęcia własnego ego, albo pozwala, by jego ego tak się zanurzyło, że na dobrą sprawę przestaje istnieć. Herr Nagel musiał skakać na głęboką wodę w poszukiwaniu swojego prawdziwego ego; jego istnienie było zagadką, zarówno dla niego, jak i dla wszystkich innych. Nie mogłem sobie pozwolić, żeby wszystko pozostawić tak zawieszony w powietrzu - zagadka nazbyt mnie intrygowała. Nawet gdybym miał się niczym kot ocierać o każdego napotkanego człowieka, musiałem dotrzeć do samego dna. Jeżeli się wystarczająco długo i mocno pociera, to zawsze pójdzie iskra!

Hibernacja zwierząt, zawieszenie życia praktykowane przez niektóre niższe jego formy, niesłychana żywotność pluskwy, która potrafi czekać bez końca za tapetą ścienną, trans jogów, katalepsja patologicznych jednostek, więź mistyków z kosmosem, nieśmiertelność życia komórkowego - tego wszystkiego uczy się twórca, żeby w stosownej chwili rozbudzić świat. Twórca należy do rdzennej rasy ludzkiej X; sam jest poniekąd duchowym mikroblem, który przenosi się z jednej rdzennej rasy do drugiej. Nie załamują go nieszczęścia, albowiem nie należy do fizycznego, rasowego planu rzeczy. Jego zjawienie się zawsze się zbiega z katastrofą i rozpadem; jest bytem cyklicznym zamieszkującym epicykl. Nigdy nie wykorzystuje nabytych doświadczeń dla osobistych celów; używa ich do celów wyższych, do których go powołano. Nic się w nim nie marnuje, nawet najmniejsze błahostki. Jeżeli przerwać mu na dwadzieścia pięć lat lekturę książki, potrafi ją podjąć od strony, na której skończył, jak gdyby nic się w tym czasie nie zdarzyło. Wszystko, co się zdarza w tym czasie, a co dla większości ludzi jest „życiem”, dla niego stanowi zaledwie przerywnik w

dążeniu naprzód. Ponadczasowość jego dzieła, kiedy twórca wyraża siebie, stanowi jedynie odbicie automatyzmu życia, w którym musi spoczywać w stanie uśpienia, niejako na tyłach snu, w oczekiwaniu na sygnał obwieszczający chwilę narodzin. To ważna sprawa, zawsze zresztą dla mnie jasna, nawet wtedy, gdy się tego wypierałem. Niezadowolenie, które prowadzi człowieka od słowa do słowa, od jednego aktu twórczego do drugiego, to po prostu bunt przeciwko bezcelowości zwłoki. Im bardziej ktoś się rozbudzi jako artystyczny mikrob, tym mniejszą ma ochotę cokolwiek robić. Skoro się jest w pełni rozbudzonym, wszystko wydaje się sprawiedliwe, nie ma więc potrzeby wyrwać się z transu. Działanie, wyrażone w tworzeniu dzieła sztuki, stanowi ustępstwo na rzecz automatycznej zasady śmierci. Topiąc się w Zatoce Meksykańskiej, miałem szansę uczestniczyć w aktywnym życiu, które pozwoliłoby prawdziwej jaźni na hibernację, dopóki nie dojrzeję do własnych narodzin. Rozumiałem to doskonale, chociaż działałem po omacku i na oślep. Rzuciłem się z powrotem w nurt aktywności ludzkiej, aż dotarłem do źródła wszelkiej aktywności, gdzie się wdarłem, obwołując się dyrektorem do spraw kadrowych towarzystwa telegraficznego, i pozwoliłem, by fala ludzkości omyła mnie niczym wielkie grzywacze w białych czapach. Całe to aktywne życie poprzedzające ostateczny akt rozpaczy wiodło mnie od jednej wątpliwości do drugiej, zaślepiało coraz bardziej na prawdziwą jaźń, która podobnie jak kontynent zdławiony dowodami wielkiej cywilizacji w rozkwicie, dawno już zatonała w morzu. Kolosalne ego poszło na dno, a ludzie widzieli na powierzchni jedynie gorączkowe ruchy peryskopu duszy szukającej swojego celu. Skoro miałem kiedyś znów powstać i dosięść fal, wszystko, co w zasięgu wzroku, musiało ulec zniszczeniu. Ten potwór, który co pewien czas powstawał, żeby dopaść z morderczym zamiarem swojej ofiary, po czym znów dawał nura, by grasować i plądrować, gdy nadejdzie pora, powstanie po raz ostatni, żeby się objawić jako arka, zabierze na siebie po parze z każdego gatunku, aż wreszcie, kiedy wody potopu opadną, osiądzie na czubku wysokiego szczytu górskiego, gdzie otworzy na oścież swe wrota i zwróci światu to, co ocalał przed katastrofą.

Jeżeli czasami drzę na myśl o swoim aktywnym życiu, jeżeli miewam koszmary, to zapewne dlatego, że myślę o tych wszystkich, których obrabowałem i zamordowałem podczas swojego snu za dnia. Robiłem wszystko, co mi nakazywała moja natura. Natura odwiecznie szepce człowiekowi do ucha: - Jeżeli chcesz przetrwać, musisz zabijać! - Jako istota ludzka nie zabijasz jak zwierzę, tylko automatycznie, samo zaś zabijanie jest zamaskowane, a jego odgałęzienia - niezliczone, toteż zabijasz nawet o tym nie myśląc, zabijasz bez potrzeby. Najbardziej wysławiani ludzie to najwięksi zabójcy. Wierzą, że oddają przysługi swoim bliźnim, i wierzą w to szczerze, lecz są mordercami bez serca, a w chwilach oprzytomnienia

zdają sobie sprawę z własnych zbrodni i wykonują gorączkowe, szaleńcze, donkiszotowskie dobre uczynki, żeby zmasać swoje winy. Dobroć człowieka bardziej śmierdzi niż tkwiące w nim zło, ponieważ dobroci nie zdołano jeszcze poznać ani nie stanowi ona potwierdzenia świadomej jaźni. Kiedy człowieka spychają w przepaść, łatwo mu w ostatniej chwili wyrzec się własnego dobytku, obrócić się i po raz ostatni uściskać wszystkich, których się zostawia. Jak zatrzymać ten ślepy pęd? Jak zatrzymać ten automatyczny proces, kiedy jeden drugiego spycha ze skraju przepaści?

Kiedy siedziałem przy biurku, nad którym wywiesiłem napis: „Wy, którzy tu wchodzicie, nie porzucajcie nadziei!” - kiedy siedziałem tam mówiąc „tak”, „nie”, „tak”, „nie”, zdałem sobie sprawę z rozpaczą przechodzącą w białą gorączkę, że jestem marionetką, w której ręce społeczeństwo włożyło karabin maszynowy Gatlinga. Nawet jeżeli spełniłem dobry uczynek, w ostatecznym rozrachunku nie miało to większego znaczenia, niż gdybym popełnił zły uczynek. Przypominałem znak równości, przez który przepływa algebraiczna liczba ludzkości. Byłem dość istotnym, aktywnym znakiem równości, tak jak generał podczas wojny, ale choćbym się wspiał na wyżyny kompetencji, nie potrafiłbym się zmienić w znak plus ani w znak minus. Zresztą, o ile zdołałem ustalić, nikt inny również tego nie potrafi. Całe nasze życie zostało oparte na zasadzie tego równania. Liczby całkowite stały się symbolami, które tasowano w imię śmierci. Litość, rozpacz, pasja, nadzieja, odwaga - oto doczesne refrakcje spowodowane patrzeniem na równania pod różnymi kątami. Nic by też nie dała próba położenia kresu owemu ustawicznemu kuglarstwu poprzez odwrócenie się do niego plecami ani poprzez spojrzenie na nie wprost i ich opisanie. W gabinecie luster niepodobna odwrócić się plecami do samego siebie. Nie zrobię tego. Zrobię co innego! Świetnie. Tylko czy da się w ogóle nic nie robić? Czy da się przestać myśleć o robieniu czegokolwiek? Czy da się kompletnie znieruchomieć i bezmyślnie promieniować znaną sobie prawdą? Taka właśnie idea krążyła mi po głowie i płonęła, może więc kiedy byłem najbardziej otwarty, najbardziej promieniujący energią, najbardziej współczujący, najbardziej chętny, pomocny, uczciwy, dobry, przebijała ze mnie właśnie ta zakodowana idea, toteż automatycznie powtarzałem: - Ależ nie ma o czym mówić... nic takiego, naprawdę... proszę mi nie dziękować, to drobiazg - i tak dalej i dalej. Oddając tyleset strzałów dziennie, może już przestałem zwracać uwagę na wybuchy; może sądziłem, iż otwieram klatki na gołębie i wypełniam niebo mlecznobiałym ptactwem. Widzieliście kiedyś na ekranie syntetycznego potwora, Frankensteina odrobionego jak istota z krwi i kości? Czy możecie sobie wyobrazić, że ktoś go przyuczył, żeby pociągał za spust i widział równocześnie wyfruwające gołębie? Frankenstein to nie mit: Frankenstein to nader realny twór zrodzony z osobistego doświadczenia wrażliwego człowieka. Potwór jest

zawsze bardziej realny, kiedy nie udaje istoty z krwi i kości. Potwór na ekranie to nic w porównaniu z potworem wyobraźni; nawet istniejące patologiczne potwory, które trafiają na komisariaty policji, są zaledwie mglistymi przejawami potwornej rzeczywistości, w jakiej musi żyć patolog. Ale być potworem, a zarazem patologiem - to już domena zarezerwowana dla określonego gatunku ludzi, którzy zakamufłowani jako artyści są wysoce świadomi faktu, iż sen niesie w sobie jeszcze większe niebezpieczeństwo niż bezsenność. Po to, żeby nie zasnąć, żeby nie paść ofiarą bezsenności zwanej „życiem”, uciekają się do narkotyku wiecznego zestawienia razem słów. To nie jest proces automatyczny, jak twierdzą, bo zawsze istnieje złudzenie, że w każdej chwili mogą przestać. Ale przecież nie mogą; udało im się jedynie stworzyć złudzenie, które jest już jakimś osiągnięciem, dalekim jednak od stanu przebudzenia, czynnego lub biernego. Pragnąłem być rozbudzony, nie mówiąc ani nie pisząc o tym, aby móc w pełni akceptować życie. Wspomniałem o pradawnych ludziach w odległych zakątkach świata, z którymi częstokroć nawiązywałem łączność. Dlaczego uważałem, że ci ludzie „pierwotni” lepiej mnie rozumieją niż kobiety i mężczyźni z mojego otoczenia. Czy byłem na tyle szalony, żeby w coś takiego wierzyć? Nie sądzę. Owi „pierwotni” ludzie to zdegenerowane pozostałości dawniejszych ras, człowieka, który, jak podejrzewam, musiał mieć lepszy kontakt z rzeczywistością. Ciągłe widzimy dowody nieśmiertelności całej rasy w tych jej przedstawicielach z przeszłości, którzy nadal trwają w - przyblakłej wprawdzie - chwale. Nie moja to rzecz, czy rodzaj ludzki jest nieśmiertelny, czy nie, ale żywotność tej rasy coś dla mnie znaczy, a jeszcze więcej znaczy, czy jest ona aktywna, czy uśpiona. Kiedy żywotność nowej rasy maleje, żywotność dawnych ras nabiera dla rozbudzonego umysłu coraz większego znaczenia. Żywotność dawnych ras trwa nawet po śmierci, tymczasem żywotność nowej rasy w przededniu śmierci jakby w ogóle nie istnieje. Jak gdyby człowiek nioś brzęczący rój pszczół do rzeki, aby je tam utopić... Taki obraz chodził mi po głowie. Gdybym tylko był tym człowiekiem, a nie pszczołą! W pewien niejasny, niewytłumaczalny sposób wiedziałem, że jestem człowiekiem, że nie utonę wraz z rojem tak jak inni. Zawsze, kiedy znalazłem się w grupie, dostawałem znak, żeby wystąpić z szeregu; od urodzenia tak mnie wyróżniano, choćbym więc przeżywał najgorsze udręki, wiedziałem, że nie są śmiertelne ani że nie będą trwały wiecznie. Zawsze też, kiedy proszono mnie, żebym wystąpił naprzód, działo się ze mną coś dziwnego. Wiedziałem, że przewyższam człowieka, który mnie wzywa! Olbrzymia pokora, jaką przejawiałem, nie wynikała wcale z hipokryzji, lecz z uprzytomnienia sobie doniosłości sytuacji. Własna mądrość, którą już miałem nawet jako wyrostek, napawała mnie przerażeniem; była to mądrość człowieka „pierwotnego”, który zawsze przewyższa cywilizowanego człowieka trafną oceną wymogów okoliczności. Jest to



mądrość życia, nawet jeżeli życie na pozór przechodzi obok takich ludzi. Czułem się prawie tak, jak gdyby wystrzelono mnie na orbitę egzystencji, która dla reszty ludzkości nie osiągnęła jeszcze pełnego rytmu. Jeżeli miałem z nimi pozostać i nie dać się zepchnąć w inną sferę egzystencji, musiałem jakoś zabić czas. Z drugiej strony, pod wieloma względami nie dorastałem do ludzi wokół mnie. Zupełnie jak gdybym przeszedł przez ognie piekielne nie w pełni oczyszczony. Nadal miałem ogon i rogi, a kiedy wzbierały we mnie namiętności, plułem trującą siarką, która niosła spustoszenie. Zawsze mówiono, że mam „diabelne szczęście”. Dobro, jakie mnie spotykało, nazywano „szczęściem”, zło natomiast uważano za wynik moich słabości, czy raczej za skutek mojej ślepoty. Rzadko ktokolwiek dostrzegał we mnie zło! Byłem w tej materii szczwany jak sam diabeł. Wszyscy natomiast widzieli, że często bywam ślepy. W takich chwilach zostawiano mnie samego, unikano, jak nie przymierzając diabła. Po czym sam dobrowolnie opuściłem świat i wróciłem do ognia piekielnych. Te ruchy tam i z powrotem są dla mnie tak realne, czy wręcz bardziej realne niż cokolwiek, co się zdarzyło między nimi. Przyjaciele, którzy sądzą, że mnie znają, nic o mnie nie wiedzą, bo prawdziwy ja przechodziłem niezliczoną ilość razy z rąk do rąk. Ani ci, którzy mi dziękowali, ani ci, którzy mnie przeklinali, nie wiedzieli, z kim mają do czynienia. Nikt nigdy nie znalazł do mnie klucza, gdyż bez przerwy wymazywałem swoją osobowość. Trzymałem tak zwaną „osobowość” w zawieszeniu aż do chwili, kiedy pod wpływem koagulacji złapie właściwy ludzki rytm. Postanowiłem chować twarz aż do chwili, w której zrównam krok ze światem. Był to niewątpliwie błąd. Nawet zabijając czas warto przybrać rolę artysty. Działanie jest ważne, nawet jeżeli oznacza bezprzedmiotową działalność. Nie powinno się mówić „tak”, „nie”, „tak”, „nie”, nawet jeżeli zajmuje się najwyższe stanowisko. Nie powinno się tonąć w ludzkiej fali przyływu, nawet po to, żeby zostać mistrzem. Należy za wszelką cenę wybijać własny rytm. W ciągu kilku krótkich lat zgromadziłem tysiącletnie doświadczenie, niestety je zaprzepaściłem, bo mi nie było potrzebne. Już raz zostałem ukrzyżowany i naznaczony krzyżem; urodziłem się wolny od konieczności cierpienia, a mimo to nie znałem innej formy brnięcia naprzód, jak tylko powtarzanie tego dramatu. Sprzeciwiała się temu cała moja mądrość. Cierpienie jest bezprzedmiotowe, jak mi w kółko podpowiadała moja mądrość, ja jednak cierpiałem dobrowolnie. Cierpienie nigdy mnie niczego nie nauczyło; innym może być wciąż niezbędne, dla mnie zaś jest wyłącznie algebraicznym przejawem duchowego nieprzystosowania. Cały ten dramat współczesnego człowieka odgrywany poprzez cierpienie dla mnie nie istnieje, i zresztą nigdy nie istniał. Wszystkie moje kalwarie były różnymi ukrzyżowaniami, pseudotragediami, odgrywanymi, żeby podsycać ognie piekielne, aby płonęły jasno dla prawdziwych grzeszników, którym grozi zapomnienie.

Kolejna sprawa... zagadka spowijająca moje zachowanie pogłębiała się, w miarę jak zbliżałem się do grona krewnych ze strony matki. Matka, z której lędźwi wyszedłem, była mi całkowicie obca. Przede wszystkim urodziwszy mnie, urodziła następnie moją siostrę, którą zwykle nazywam swoim bratem. Siostra była poniekąd nieszkodliwym potworem, aniołem o ciele idioty. W dzieciństwie dziwnie się czułem, rosnąc i dojrzewając u boku tej istoty, skazanej do końca życia na psychiczną karłowatość. Nie potrafiłem być jej bratem, bo nie potrafiłem uważać tego atawistycznego tłumoka ciała za „siostrę”. Podejrzewam, że funkcjonowałyby normalnie wśród prymitywnych ludów australijskich. Mogłaby tam nawet zyskać sławę i władzę, bo, jak powiedziałem, stanowiła uosobienie dobroci, nie znała zła. W cywilizowanym natomiast świecie była bezradna; nie tylko nie miała ochoty zabijać, lecz również nie miała ochoty kwitnąć kosztem innych. Była niezdolna do pracy, bo gdyby ją nawet przyuczono do wykonywania nasadek do materiałów wybuchowych, mogłaby, na przykład, wracając do domu w roztargnieniu wyrzucić całą pensję do rzeki albo oddać ją żebrakowi na ulicy. Często w mojej obecności spuszczano jej manto jak psu za to, że z roztargnienia, jak to określano, dopuściła się pięknego czynu miłosierdzia. Już jako dziecko nauczyłem się, że nie ma nic gorszego, niż zrobić bez powodu dobry uczynek. Z początku też wymierzano mi takie same kary jak siostrze, bo podobnie miałem zwyczaj rozdawania różnych rzeczy, zwłaszcza nowych, które właśnie dostałem. Raz nawet, w wieku pięciu lat, spotkało mnie lanie za to, że poradziłem matce, aby wycięła sobie kurzajkę na palcu. Spytała mnie kiedyś, co z nią zrobić, ja zaś przy swojej ograniczonej wiedzy w zakresie medycyny poradziłem, żeby wycięła ją nożyczkami, a ona jak ta idiotka posłuchała. Po kilku dniach wdało się zakażenie krwi, toteż matka dopadła mnie z krzykiem: - To tyś mi ją kazał wyciąć! - i sprąła mnie na kwaśne jabłko. Wówczas zrozumiałem, że urodziłem się w niewłaściwym domu. Wówczas zabrałem się do nauki jak szatan. Co tu mówić o przystosowaniu! Zanim skończyłem dziesięć lat, poznałem już na własnej skórze całą teorię ewolucji. Przechodziłem więc przez wszystkie stadia życia zwierzęcego, a mimo to byłem przykuty do tej istoty zwanej moją „siostrą”, która najwyraźniej była prymitywnym stworzeniem i która nigdy, nawet w wieku dziewięćdziesięciu lat, nie zdołałaby opanować alfabetu. Zamiast piąć się w górę niczym prężne drzewo, zacząłem się przechylać na jeden bok, urągając tym samym prawu ciężkości. Zamiast wypuszczać gałęzie i liście, rodziłem okna i wieżyczki. W miarę wzrostu cała moja istota obracała się w kamień, a im bardziej piąłem się do góry, tym bardziej urągałem prawu ciężkości. Byłem wyjątkowym zjawiskiem w całym krajobrazie, ale takim, które zaskarbia sobie ludzi i wzbudza podziw. Gdyby matka, która nas poczęła, zdobyła się na kolejny wysiłek, może urodziłby się przepiękny biały bizon, a wtedy można by całą naszą

trójkę umieścić na stałe w muzeum, co by nam dało zabezpieczenie do końca życia. Rozmowy rozgrywające się między krzywą wieżą w Pizie, słupem do chłosty, chrapiącą maszyną a pterodaktylem w ludzkiej skórze były, oględnie mówiąc, nieco dziwaczne. Wszystko mogło stanowić temat rozmowy - okruczeństwo chleba, który „siostra” przeoczyła ścierając obrus, bądź kolorowa marynarka Josepha, która w krawieckiej głowie starego mogła być albo dwurzędowa, albo zakietowa, albo surdutowa. Kiedy wracałem ze ślizgawki, gdzie całe popołudnie jeździłem na łyżwach, ważny był nie ten ozon, który wdychałem za darmo, ani geometryczne figury wzmacniające mi mięśnie, lecz mała plamka rdzy pod klamrami, bo jeżeli jej się natychmiast nie szczyści, diabli mogą wziąć całą łyżwę i spowodować rozkład o wymiarze pragmatycznym, zupełnie niezrozumiałym dla moich jakże marnotrawnych myśli. Mała plamka rdzy, żeby się trzymać tego błahego przykładu, mogła wywołać najbardziej niewyobrażalne skutki. Powiedzmy, że „siostra” szukając puszek z naftą przewróciła słoiki gotujących się suszonych śliwek, wystawiając zatem na szwank życie całej rodziny, bo pozbawiała nas przepisowych kalorii jutrzejszego posiłku. Musiała wtedy dostać tęgie lanie, nie tyle w złości, bo to by zakłócało proces trawienia, ile spokojnie i metodycznie, tak jak chemik ubijałby białko jajka szykując pomniejszy eksperyment. Jednakże „siostra”, nie rozumiejąc profilaktycznego charakteru kary, oddawała się najbardziej mrozącym krew w żyłach krzykom, co tak wzburzało starego, że wychodził na spacer i wracał po dwóch, trzech godzinach kompletnie pijany, a co gorsza, zataczając się nieprzytomnie, obłupywał nieco farby z wahadłowych drzwi. Ten odprysk farby rozpętywał zaciętą bitwę, która nie wpływała najlepiej na moje sny, bo w świecie snu często zamieniałem się miejscami z siostrą, biorąc na siebie zadawane jej tortury i podsycając je swoim nadwrażliwym umysłem. Zawsze w tych snach towarzyszyły mi odgłosy tłuczonego szkła, wrzasków, przekleństw, jęków i szlochów, toteż gromadziłem niejasną wiedzę o starożytnych tajemnicach, obrzędach inicjacyjnych, wędrówkach dusz i tak dalej. Wszystko mogło się zaczynać od sceny z życia na jawie - siostra stała w kuchni przy tablicy, matka górowała nad nią z linijką pytając, ile to jest dwa i dwa? na co siostra wykrzykiwała pięć. Łup! nie, siedem, Łup! nie, trzynaście, osiemnaście, dwadzieścia! Siedziałem wtedy przy stole odrabiając lekcje, podobnie jak na jawie w takich sytuacjach, gdy za sprawą nieznacznego skrętu lub obrotu, na przykład kiedy w moich oczach linijka spadała na twarz siostry, naraz przenosiłem się do zupełnie innej sfery, gdzie szkło było nieznaną, tak jak nie znali go Indianie Kickapoo czy Lenni Lenape. Wokół znane mi twarze - to moi krewni ze strony matki, którzy z niewiadomych powodów nie poznawali mnie w tym nowym otoczeniu. Byli ubrani na czarno, skóry mieli szare jak popiół, niczym diabły tybetańskie. Wszyscy nosili przy sobie noże i inne narzędzia tortur: należeli do kasty

ofiarniczych rzeźników. Najwyraźniej miałem całkowitą swobodę i władzę równą bogu, a mimo to jakimś kapryśnym zrządzeniem losu tak się to kończyło, że sam leżałem na kłocu ofiarnym, jeden zaś z moich uroczych krewnych ze strony matki pochylał się nade mną z błyszczącym nożem, żeby mi wyciąć serce. W pocie i strachu zaczynałem recytować „swoje lekcje” wysokim, piskliwym głosem, coraz szybciej, bo już czułem, że nóż celuje mi w serce. Dwa i dwa jest cztery, pięć i pięć jest dziesięć, ziemia, powietrze, ogień, woda, poniedziałek, wtorek, środa, wodór, tlen, azot, miocen, pliocen, eocen, Ojciec, Syn, Duch Święty, Azja, Afryka, Europa, Australia, czerwony, niebieski, żółty, szczaw, śliwa daktylowa, melon, surmia... szybciej, coraz szybciej... Odyn, Wotan, Parsifal, król Alfred, Fryderyk Wielki, Hanza, bitwa pod Hastings, Termopile, 1492, 1776, 1812, admirał Farragut, szarża Picketta, Lekka Brygada, zebraliśmy się tu dzisiaj, Pan jest mym pasterzem, nie będę, jeden i niepodzielny, nie, 16, nie, 27, na pomoc! mordują! policja! - krzyżąc coraz głośniej i recytując coraz szybciej kompletnie wariuję, nie czuję już bólu ani strachu, chociaż kłują mnie wszędzie nożami. Wtem ogarnia mnie całkowity spokój, a ciało spoczywające na kłocu, które nadal dźgają z radością i ekstazą, nic nie czuje, bo ja, jego właściciel, zdołałem umknąć. Zamieniłem się w kamienną wieżę, która pochyla się nad tą sceną i obserwuje ją z naukowym zainteresowaniem. Wystarczyłoby poddać się prawu ciężenia, a runąłbym na nich i stał ich na proch. Ale ja nie poddaję się prawu ciężenia, bo za bardzo mnie fascynuje cały ten horror. Tak mnie doprawdy fascynuje, że wypuszczam coraz więcej okien. Kiedy zaś światło przenika do kamiennego wnętrza mojej istoty, czuję, że moje korzenie, ugruntowane w ziemi, żyją i że pewnego dnia sam się wyrwę z tego transu, w którym trwam.

Tyle jeśli chodzi o sen, w którym jestem tak tragicznie zakorzeniony. W rzeczywistości jednak, kiedy zjawiają się drodzy krewni ze strony matki, jestem wolny jak ptak i kręcę się w kółko niczym igła magnetyczna. Kiedy mnie o coś pytają, udzielam im pięciu odpowiedzi, a każda lepsza od poprzedniej; kiedy proszą, żebym im zagrał walca, gram dwurzędową sonatę na lewą rękę; kiedy namawiają, żebym nałożył sobie jeszcze jedno udko kurczaka, wymiatam talerz do czysta, łącznie z sosem; kiedy mnie zachęcają, żebym wyszedł na dwór i pobawił się na ulicy, wychodzę i w przystępie euforii rozcinam kuzynowi głowę puszką po konserwach; kiedy mi grożą laniem, powiadam: proszę bardzo, nie mam nic przeciwko temu! Kiedy głaszczą mnie po głowie za dobre wyniki w szkole, pluję na podłogę, aby im dowieść, że jeszcze mam się czego uczyć. Robię wszystko, czego ode mnie oczekują, i to z nawiązką. Kiedy proszą, żebym siedział cicho i nic nie mówił, siedzę cicho jak trusia: nie słyszę, co do mnie mówią, nie ruszam się, kiedy mnie dotykają, nie płaczę, kiedy mnie szczypią, nawet nie drgnę, kiedy mnie popchną. Kiedy narzekają, że jestem uparty, staję się

uległy i giętki jak guma. Kiedy chcą, żebym się zmęczył i nie przejawiał tyle energii, pozwalam sobie narzucić najrozmaitsze prace i wykonuję je tak sumiennie, że na ostatku padam na podłogę jak worek pszenicy. Kiedy domagają się ode mnie rozsądku, wykazuję superrozsądek, co ich doprowadza do szału. Kiedy każą mi się podporządkować, podporządkowuję się tak pedantycznie, że wprowadza to niesłychany zamęt. A wszystko dlatego, że molekularne życie brata i siostry jest nie do pogodzenia z masą atomową, jaką nam nadano. Ponieważ ona w ogóle nie rośnie, ja rosnę jak grzyb po deszczu; ponieważ ona nie ma osobowości, ja staję się kolosem; ponieważ ona jest wolna od zła, ja staję się trzydziestodwuramiennym żyrandolem zła; ponieważ ona niczego od nikogo nie żąda, ja żądam wszystkiego; ponieważ ona budzi wszędzie kpiny, ja budzę strach i szacunek; ponieważ ona wciąż musi znosić upokorzenia i tortury, ja się mścę na wszystkich, zarówno przyjaciółach, jak i wrogach; ponieważ ona jest bezradna, ja nabieram supermocy. Mania wielkości, na jaką cierpiałem, wynikała po prostu z moich usilnych starań, żeby oczyścić tę małą plamkę rdzy, która, by tak rzec, przywarła do naszych rodzinnych łyżew. Ta mała plamka rdzy pod klamrami zrobiła ze mnie mistrza łyżwiarstwa. Zacząłem jeździć tak szybko i tak zapamiętałem, że nawet kiedy lód już stopniał, ja się nadal ślizgałem, ślizgałem się po błocie, po asfalcie, po strumieniach, rzekach i zagonach melonów, po teoriach ekonomicznych i tym podobnych. Byłem przy tym tak szybki i zwinny, że mógłbym się równie dobrze ślizgać przez piekło.

Jednakże całe to wymyślne ślizganie na nic się nie zdało - Ojciec, sternik nad sternikami, panamerykański Noe, zawsze wzywał mnie z powrotem na arkę. Zawsze kiedy przestawałem się ślizgać, następował kataklizm - ziemia rozstępowała się i mnie wchłaniała. Byłem wszystkim ludziom bratem, a równocześnie zdrajcą samego siebie. Zdobywałem się na najbardziej zdumiewające ofiary, by odkryć, że są daremne. Bo co za sens było dowodzić, że mogę sprostać temu, czego się ode mnie oczekuje, skoro nie chciałem tak żyć? Za każdym razem, kiedy człowiek dociera do granic zewnętrznych oczekiwań, staje przed tym samym problemem - bycia sobą! I już przy pierwszym kroku poczynionym w tym kierunku zdaje sobie sprawę, że nie ma ani plusa, ani minusa; odrzuca więc łyżwy precz i zaczyna płynąć. Nie ma już cierpienia, bo nic nie zagraża naszemu bezpieczeństwu. Nie ma też nawet chęci niesienia pomocy innym, bo niby czemu odbierać im przywilej, na który powinni sobie zasłużyć? Życie ciągnie się od jednej chwili do drugiej w oszłamiającą nieskończoność. Nie ma większej realności niż ta, którą sobie wyobrażamy. Kosmos jest dokładnie taki, jakim go widzimy w wyobraźni, i żaden inny być nie może, dopóki ty jesteś sobą, a ja mną. Człowiek żyje pośród owoców własnych czynów, a te czyny są plonem jego myśli. Myśl i czyn to

jedno, bo człowiek pływa w nich i za ich przyczyną, a wszystko to jest, ni mniej, ni więcej tylko tym, czego od nich żądamy. Każdy ruch pływaka oznacza wieczność. System ogrzewania i chłodzenia to jeden system, a Zwrotnik Raka od Zwrotnika Koziorożca dzieli zaledwie wyobrażona linia. Człowiek nie żyje w ekstazie ani w otchłani smutku, nie modli się o deszcz ani nie tańczy gigi. Żyje jak szczęśliwa skała pośród oceanu: tkwi tam niewzruszenie, kiedy wszystko kłębi się wokół. Ma stałe miejsce w rzeczywistości, która dopuszcza myśl, że nic nie jest stałe, że nawet najszcześniejsza i najpotężniejsza skała pewnego dnia zupełnie się roztopi i rozplynie w oceanie, który ją zrodził.

Do takiego oto muzycznego życia dążyłem, kiedy pierwszy raz ślizgałem się jak wariat po sionkach i korytarzach prowadzących z zewnątrz do wewnątrz. Moje wysiłki nigdy mnie do niego nie zbliżyły, moja szaleńcza aktywność czy ocieranie się o ludzkość też zresztą nie. Był to wyłącznie ruch od jednego wektora do drugiego wewnątrz koła, które niezależnie od poszerzania się obwodu pozostawało zawsze równoległe do omawianej tu przeze mnie sfery. Koło przeznaczenia można w każdej chwili transcendować, gdyż w każdym punkcie swojej powierzchni styka się ono z rzeczywistym światem, wystarczy zatem jedna iskra iluminacji, żeby wywołać cud, żeby przemienić łyżwiarza w pływaka, pływaka zaś w skałę. Skała to jedynie obraz czynu, który wstrzymuje jałowe obroty koła i wtrąca istotę w stan pełnej świadomości. Z kolei pełna świadomość przypomina zaiste niewyczerpany ocean nasycający słońce i księżyc, a jednocześnie zawierający je w sobie. Wszystko, co jest, zostało zrodzone z bezmiernego oceanu światła - nawet noc.

Czasami, podczas ustawicznych obrotów koła, majaczył mi rodzaj skoku, jaki należało wykonać. Gdyby tak wyskoczyć z tego machizmu zegarowego - co za wyzwalamąca myśl. Być czymś więcej, czymś innym niż najbystrzejszy wariat na ziemi! Dzieje człowieka na ziemi niepomernie mnie nudziły. Nudziły mnie też zwycięstwa, nawet zwycięstwo nad złem. Cudownie jest promieniować dobrocią, bo to niesie ukojenie, dodaje sił, tchnie witalnością. Ale jeszcze cudowniej jest po prostu być, bo nie ma temu końca i nie wymaga to popisów. Być to muzyka, czyli profanacja ciszy dla dobra ciszy, a zatem stan poza wszelkim dobrem i złem. Muzyka to akt bez aktywności. To czysty akt kreacji pływający na swym własnym łonie. Muzyka nikogo nie przymusza ani nie staje w obronie, nie szuka ani nie wyjaśnia. Muzyka to bezszmerowy odgłos pływaka w oceanie świadomości. To nagroda, którą można dać tylko samemu sobie. Dar od boga, którym się samemu jest, bo przestało się myśleć o Bogu. Zwiastun boga, którym każdy zostanie we właściwym czasie, kiedy wszystko, co jest, będzie poza wszelkim wyobrażeniem.

## KODA

Nie tak dawno spacerowałem ulicami Nowego Jorku. Kochany stary Broadway. Była noc, niebo powleczone dalekowschodnim granatem tak intensywnym, jak złoto na suficie Pagody, rue de Babylone, kiedy maszyna zaczyna dzwonić. Przechodziłem dokładnie pod miejscem, gdzie się poznaliśmy. Stałem tam przez chwilę wpatrując się w czerwone światła w oknach. Muzyka rozbrzmiewała tak jak zawsze - lekka, ognista, urzekająca. Byłem sam, a wokół mnie miliony ludzi. I kiedy tak stałem, uprzytomniłem sobie, że wcale nie myślę o Niej; myślę o książce, którą piszę, bo książka stała się dla mnie ważniejsza niż Ona, niż wszystko, co między nami było. Czy ta książka okaże się prawdą, całą prawdą i tylko prawdą, tak mi dopomóż Bóg? Zanurzając się znów w tłum, zmagalem się z kwestią „prawdy”. Od lat usiłowałem opowiedzieć tę historię i zawsze kwestia prawdy ciążyła mi jak jakiś koszmar. Jakże często opowiadałem innym o naszym życiu, a zawsze mówiłem prawdę. Tyle że prawda może być zarazem kłamstwem. Prawda to nie wszystko. Prawda jest wyłącznie sednem całości bez dna.

Pamiętam, że przy pierwszej naszej rozłące poczucie całości złapało mnie za gardło. Kiedy ode mnie odchodziła, udawała, a może nawet w to wierzyła, że to konieczne dla naszego dobra. Wiedziałem w głębi serca, że próbuje się ode mnie uwolnić, ale byłem zbyt tchórzem, żeby się do tego przed sobą przyznać. Kiedy jednak zrozumiałem, że może się beze mnie obyć, choćby przez pewien czas, prawda, którą próbowałem wyprzeć, zaczęła rosnać w alarmującym tempie. Sprawiała mi większy ból niż cokolwiek, czego zdarzyło mi się przedtem doświadczyć, ale też niosła uzdrowienie. Kiedy stałem się zupełnie pusty w środku, kiedy samotność osiągnęła takie rozmiary, że nie dało jej się już dalej pogłębić, naraz poczułem, że aby dalej żyć, muszę włączyć tę nieznośną prawdę w coś większego niż struktura osobistego nieszczęścia. Poczułem, że niepostrzeżenie wkroczyłem w inną sferę, sferę mocniejszego, bardziej elastycznego tworzywa, którego nie da rady zniszczyć bodaj najstraszliwsza prawda. Usiadłem do listu, bo chciałem jej napisać, że myśl o jej utracie napawa mnie takim smutkiem, iż postanowiłem napisać o niej książkę, książkę, która ją uwieczni. Będzie to książka, pisałem, jakiej świat nie widział. Ciągnąłem tak w ekstazie, aż nagle przerwałem, żeby zadać sobie pytanie, dlaczego jestem taki szczęśliwy.

Kiedy przechodziłem obok sali dansingowej i znów myślałem o tej książce, uprzytomniłem sobie raptem, że nasze życie dobiegło końca: uprzytomniłem sobie, że

planowana przeze mnie książka nie jest niczym innym, jak tylko grobowcem, w którym miałbym pogrzebać tę dziewczynę - a zarazem należącego do niej siebie. Minęło sporo czasu, i od tamtej pory usiłowałem tę książkę napisać. Dlaczego sprawia mi to taką trudność? Dlaczego? Bo nie potrafię znieść myśli o „końcu”.

Prawda kryje się w tej wiedzy o końcu, okrutnej i bezwzględnej. Możemy znać prawdę i się z nią pogodzić albo możemy odrzucić tę wiedzę i ani nie umrzeć, ani się na nowo nie narodzić. Tak można żyć w nieskończoność, negatywnym życiem równie stałym i pełnym bądź równie rozproszonym i fragmentarycznym jak atom. Jeżeli dostatecznie długo kroczyć tą drogą, nawet owa atomowa wieczność może się przedzierać w nicość, a wtedy rozpadnie się cały wszechświat.

Od lat usiłowałem opowiedzieć tę historię; za każdym razem, kiedy zaczynałem, obierałem inną trasę. Przypominam badacza, który pragnąc opłynąć kulę ziemską uważa, że nie musi nawet brać ze sobą kompasu. Co więcej, ponieważ ta opowieść była tak długo przedmiotem moich marzeń, jeła z czasem przypominać rozległe, ufortyfikowane miasto, ja zaś, który w kółko o niej marzyłem, znajduję się poza miastem, jak ten tułacz, po czym przybywam do kolejnych jego bram, zbyt utrudzony, żeby wejść do środka. I jak to z tułaczami bywa, miasto będące siedzibą mojej opowieści bez końca mnie zwodzi. Chociaż zawsze je widać, nie sposób do niego dotrzeć, majaczy jak widmowa cytadela w chmurach. Ze strzelistych blanków pikują w dół chmary wielkich białych gęsi w równym kluczu. Końcami niebieskobiałych skrzydeł muskają marzenia przesłaniające mi widzenie. Przebieram niezgrabnie nogami; ledwo łapię grunt, znów go tracę. Tułam się tak bez celu, próbując złapać pewny, twardy grunt, skąd roztaczałby się widok na całe moje życie, ale za mną jedynie gmatwanina krzyżujących się dróg, splątanych, błędnych, okrężnych, spazmatyczne drgawki kurczenia, któremu właśnie odrąbano głowę.

Kiedy usiłuję sobie wytłumaczyć ten szczególny obrót, jaki przybrało moje życie, kiedy sięgam wstecz niejako do pierwszej przyczyny, nieodmiennie myślę o pierwszej dziewczynie, którą kochałem. Odnoszę wrażenie, że wszystko datuje się od tamtego poronionego związku. A był to związek dziwny, masochistyczny, śmieszny i tragiczny zarazem. Może miałem przyjemność pocałować ją kilka razy, pocałunkiem, który się zwykle rezerwuje dla bogiń. Widziałem ją sam na sam nie więcej niż kilkanaście razy. Za nic w świecie nie mogła się domyślać, że przez ponad rok przechodziłem co wieczór pod jej domem z nadzieją ujrzenia jej choć przez chwilę w oknie. Co wieczór po kolacji wstawałem od stołu i odbywałem długi spacer, który prowadził do jej domu. Kiedy tamtędy przechodziłem, nigdy nie stała w oknie, a ja nigdy nie miałem odwagi stanąć przed jej domem i czekać. Krążyłem



tam i z powrotem, tam i z powrotem, lecz ani słyhu, ani widu. Dlaczego do niej nie napisałem? Dlaczego nie zadzwoniłem? Pamiętam, że kiedyś zebrałem w sobie tyle śmiałości, żeby zaprosić ją do teatru. Przyszedłem po nią do domu z bukietem fiołków; był to jedyny raz, kiedy zdarzyło mi się kupić kwiaty jakiegokolwiek kobiecie. Kiedy wychodziliśmy z teatru, fiołki odpadły od stanika jej sukni, a ja w całym swym pomieszaniu na nie nastąpiłem. Błagałem, żeby je tam zostawiła, ale ona koniecznie chciała je podnieść. Myślałem o własnej niezgrabności - dopiero znacznie później przypomniałem sobie uśmiech, jakim mnie obdarzyła schylając się po fiołki.

Było to kompletne fiasko. W końcu uciekłem. Tak naprawdę uciekałem od innej kobiety, ale w przeddzień wyjazdu z miasta postanowiłem jeszcze raz się zobaczyć z tamtą. Było wczesne popołudnie, dziewczyna wyszła porozmawiać ze mną na zewnątrz, na małym odgrodzonym podwóreczku przed domem. Była już zaręczona z innym mężczyzną; udawała, że jest szczęśliwa, ale mimo całego swojego zaślepienia widziałem, że wcale nie jest taka szczęśliwa, jaką udaje. Gdybym powiedział choć jedno słowo, z całą pewnością rzuciłaby tamtego faceta; może nawet uciekłaby ze mną. Wolałem się jednak ukarać. Pożegnałem się nonszalancko i poczłapałem ulicą jak żywy trup. Nazajutrz rano ruszyłem na zachodnie wybrzeże z mocnym postanowieniem rozpoczęcia nowego życia.

Nowe życie również okazało się fiaskiem. Skończyłem na ranczu w Chula Vista jako najniezszczęśliwszy człowiek, jakiego nosiła ziemia. Nadal kochałem tamtą dziewczynę, no i była też ta druga kobieta, dla której czułem jedynie głęboką litość. Z tą drugą przeżyłem dwa lata, ale wydawało mi się, że to wieczność. Miałem wówczas dwadzieścia jeden lat, ona twierdziła, że ma trzydzieści sześć. Za każdym razem, kiedy na nią patrzyłem, mówiłem sobie w duchu - kiedy będę miał trzydzieści, ona będzie miała czterdzieści pięć, kiedy będę miał czterdzieści, ona będzie miała pięćdziesiąt pięć, kiedy będę miał pięćdziesiąt, ona będzie miała sześćdziesiąt pięć. Miała drobne zmarszczki pod oczami, zmarszczki od śmiechu, ale tak czy owak zmarszczki. Kiedy ją całowałem, wyolbrzymiały się wielokrotnie. Śmiała się łatwo, lecz oczy miała smutne, przeraźliwie smutne. Ormiańskie oczy. Włosy, niegdyś rude, były teraz utlenione na blond. Poza tym była cudowna - ciało Wenus, dusza Wenus, wierna, miła, wdzięczna, to wszystko, czym kobieta powinna być, tyle że piętnaście lat starsza. Te piętnaście lat różnicy doprowadzało mnie do szału. Kiedy z nią wychodziłem na miasto, dręczyła mnie tylko jedna myśl - jak to będzie za dziesięć lat? Albo - na ile lat ona teraz wygląda? Czy prezentuję się przy niej dosyć dojrzałe? Po przyjściu do domu wszystko wracało do normy. Kiedy wchodziliśmy po schodach, zanurzałem jej palec w kroku, od czego rżała jak koń. Jeżeli jej syn, który był prawie w moim wieku, leżał już w łóżku, zamykaliśmy

się w kuchni. Ona się kładła na wąskim kuchennym stole, a ja wystrzeliwałem w nią swój ładunek. To było coś cudownego. A jeszcze cudowniejsze było to, co sobie mówiłem przy każdym takim epizodzie: - To już ostatni raz... od jutra uciekam gdzie pieprz rośnie! - Po czym, ponieważ była dozorczynią, schodziłem do piwnicy i wytaczałem dla niej pojemniki na śmieci. Rano, kiedy syn wychodził do pracy, wyłaziłem na dach i wietrzyłem pościel. Zarówno ona, jak i syn mieli gruźlicę... Czasem nie było szaleństw na stole. Czasem beznadziejność sytuacji tak mnie chwytła za gardło, że ubierałem się i wychodziłem na spacer. Od czasu do czasu zdarzało mi się nie wrócić. Byłem wówczas bardziej nieszczęśliwy niż kiedykolwiek, bo wiedziałem, że ona tam na mnie czeka z tymi swoimi wielkimi, pełnymi smutku oczyma. Wracałem do niej jak mężczyzna, który ma do spełnienia świętą powinność. Kładłem się na łóżku i pozwalałem się pieścić; przyglądałem się jej zmarszczkom pod oczyma i rudym odrostom włosów. Leżąc tak myślałem często o tej drugiej, o tej, którą kochałem, i zastanawiałem się, czy podobnie leży teraz pełna oczekiwań, czy też... No i te długie spacerory odbywane trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku! - odbywałem je ponownie w myślach leżąc u boku tamtej kobiety. Ileż to razy przeżywałem owe spacerory na nowo! Najbardziej ponurymi, posępnymi, szkaradnymi ulicami, jakie stworzył człowiek. Przeżywam w udreće na nowo te spacerory, te ulice, te pierwsze zdruzgotane nadzieje. Okno jest tam nadal, lecz nie ma Melizandy; ogród też jeszcze jest, lecz nie lśni złotem. Chodzę tam, chodzę z powrotem, lecz okno zawsze puste. Wieczorna gwiazda wisi nisko; zjawia się Tristan, potem Fidelio, a na końcu Oberon. Hydroglowy pies ujada wszystkimi paszczami naraz, i chociaż w pobliżu nie ma żadnych mokradeł, zewsząd dobiega mnie rechot żab. Te same domy, te same szyny, wszystko to samo. Dziewczyna chowa się za zasłoną, czeka, aż przejdę, zajmuje się tym lub tamym... ale jej tam nie ma, nigdy, nigdy, nigdy. Czy to wielka opera, czy gra katarynka? To Amato zrywa sobie złote struny; to Rubajjat, Mount Everest, bezksiężycowa noc, szloch o świcie, chłopiec z bujną wyobraźnią, Kotek i Myszka, wulkan Mauna Loa, lis albo karakuł, nie jest to ani z materii, ani z czasu, będzie trwać wiecznie i zaczynać się wciąż od nowa, pod sercem, w głębi gardła, w podeszwach stóp, niechby choć raz, jeden jedyny raz, na miłość Chrystusa, choćby tylko cień albo szelest firanki, albo oddech na szybie, coś choć raz, niechby tylko kłamstwo, coś, co by położyło kres temu bólowi, położyło kres temu chodzeniu tam i z powrotem... Wracam do domu. Te same domy, te same latarnie, wszystko to samo. Mijam swój dom, cmentarz, zbiorniki gazu, zajezdnie, rezerwuar wodny, wychodzę na otwartą przestrzeń. Siadam przy drodze, chowam głowę w dłoniach i szlocham. Upadłem tak nisko, że nie potrafię nawet tak skurczyć serca, żeby mi pękły żyły. Chciałbym się zadławić własnym żalem, a zamiast tego rodzę skałę.

Tymczasem ta druga czeka. Widzę, jak znów siedzi na ganku czekając na mnie, a oczy ma wielkie, przepełnione bólem, twarz bladą, drżącą z tęsknoty. Litość - zawsze sądziłem, że właśnie litość każe mi do tej kobiety wracać, ale teraz, kiedy się ku niej zbliżam i widzę jej spojrzenie, sam już nie wiem, co to jest, wiem tylko, że wejdziemy do środka, położymy się razem, a ona wstanie na wpół zapłakana, na wpół roześmiana, zamilknie, zacznie mi się przyglądać, śledzić każdy mój krok, i nigdy nie zapyta, co mnie gnębi, nigdy, przenigdy, bo tego jednego się boi, tego jednego nie chce wiedzieć. Nie kocham cię! Czy nie słyszy mojego krzyku? Nie kocham cię! Wołam tak w kółko, z zaciśniętymi ustami, z nienawiścią w sercu, z rozpaczą, z bezradną złością. Ale słowa nigdy nie padają. Patrzę na nią i nabieram wody w usta. Nie mogę... Czas, czas, nieskończony czas do naszej dyspozycji i nie ma go czym zapłacić, jak tylko kłamstwami.

Wcale nie mam zamiaru przeczesywać całego swojego życia, które prowadziło do tej fatalnej chwili - jest zbyt długie i zbyt bolesne. Zresztą, czy naprawdę moje życie prowadziło mnie do takiego momentu kulminacyjnego? Wątpię. Podejrzewam, że w nader licznych chwilach miałem szansę na dobry początek, tyle że zabrakło mi siły i wiary. Pamiętnego wieczoru rozmyślnie porzuciłem sam siebie: rzuciłem stare życie i wkroczyłem w nowe. Nie wymagało to najmniejszego wysiłku. Miałem wtedy trzydzieści lat. Miałem żonę, dziecko i, jak to się mówi, „odpowiedzialność na głowie”. Tak wyglądają fakty, ale fakty nic nie znaczą. W istocie rzeczy pchało mnie naprzód pragnienie tak wielkie, że zdołało się urzeczywistnić. W takich chwilach nie liczy się zbyt wiele to, co człowiek robi, lecz to, czym jest. W takich właśnie chwilach człowiek staje się aniołem. I to mi się przytrafiło: stałem się aniołem. Nie tyle czystość anioła jest tak cenna, ile fakt, że umie on latać. Anioł może zawsze i wszędzie przełamać schemat, a mimo to znajdzie drogę do nieba; ma taką moc, że potrafi zstąpić do najniższej materii, a mimo to ulatnia się z niej, kiedy tylko zechce. Pamiętnej nocy świetnie to zrozumiałem. Byłem czysty i nieludzki, byłem na dystans, miałem skrzydła. Otrząsnąłem się z przeszłości, przyszłość też mnie nie obchodziła. Przekroczyłem próg ekstazy. Kiedy wyszedłem z biura, złożyłem skrzydła i schowałem je pod marynarkę.

Sala dansingowa mieściła się naprzeciwko bocznego wejścia do teatru, gdzie spędzałem całe popołudnia, zamiast szukać pracy. Była to ulica teatrów, przesiadywałem tam godzinami śniąc najbardziej burzliwe sny. Całe życie teatralne Nowego Jorku skupiało się na tej jednej ulicy, a przynajmniej tak się wydawało. Był to Broadway, sukces, sława, blask, farba, azbestowe kurtyny i ta dziura w kurtynie. Siedząc na schodach teatru, wpatrywałem się w salę dansingową naprzeciwko, w rząd czerwonych światełek, które jarzyły się nawet w letnie popołudnia. W każdym oknie kręcił się wentylator, który jakby wywiewał muzykę na

ulicę, gdzie wchłaniał ją łoskot hałasów ulicznych. Po drugiej stronie dansingu znajdował się szalet publiczny, gdzie też czasem siadywałem w nadziei na zdobycie kobiety bądź wyłudzenie drobnej pożyczki. Nad szaletem na poziomie ulicy stał kiosk z zagranicznymi gazetami i czasopismami; sam widok tych pism, tych dziwnych języków, w jakich były wydrukowane, wystarczał, żeby wybić mnie z rytmu na cały dzień.

Bez cienia premedytacji wszedłem po schodach do sali dansingowej, udałem się prosto do okienka w kasie, gdzie Grek imieniem Nick siedział z rolką biletów. Podobnie jak toaleta tam w dole i jak schody teatru, ta ręka Greka wydaje mi się teraz czymś odrębnym i odległym - potężna owłosiona ręka olbrzyma ludożercy przeniesiona wprost z koszmarnej skandynawskiej baśni. Właśnie ta ręka zawsze do mnie przemawiała, zawsze mi mówiła: - Pani Mara dziś nie przyjdzie - albo: - Tak, pani Mara będzie dzisiaj późno. - Właśnie o tej ręce śniłem jako dziecko, kiedy spałem w pokoju z zakratowanym oknem. W rozgorączkowanym śnie to okno nagle się zapalało, by ukazać ludożercę wczepionego w kraty. Noc w noc odwiedzał mnie ten włochaty potwór, ścisnął kraty i zgrzytał zębami. Budziłem się zlany potem, w całym domu ciemno, w pokoju absolutna cisza.

Stojąc na skraju parkietu dostrzegam ją, jak idzie w moją stronę; idzie z rozpostartymi żaglami, duża pełna twarz pięknie osadzona na długiej, kolumnowej szyi. Widzę kobietę w wieku może osiemnastu, a może trzydziestu lat, z granatowoczarnymi włosami, o wielkiej białej twarzy, pełnej białej twarzy, w której lśnią żywym blaskiem oczy. Ma na sobie dobrze skrojony niebieski kostium z dywetyny. Jeszcze dziś wyraźnie pamiętam krągłości jej ciała, piękne proste włosy z przedziałkiem na boku jak u mężczyzny. Pamiętam uśmiech, jaki mi wtedy posłała - wymowny, zagadkowy, przelotny - uśmiech, który zjawił się nagle niczym podmuch wiatru.

Cała jej istota skupiała się w tej twarzy. Mógłbym po prostu zabrać samą głowę i ponieść ją do domu; mógłbym ją w nocy położyć obok siebie na poduszce i się z nią kochać. Te usta, te oczy, kiedy się otwierały, promieniowała z nich cała jej istota. Biła od nich iluminacja pochodząca z nieznanego źródła, z centrum ukrytego głęboko w ziemi. Nie mogłem myśleć o niczym innym, jak tylko o tej twarzy, dziwnym, jakby łonowym uśmiechu, jego porywającej bezpośredniości. Uśmiech był tak boleśnie szybki i migawkowy jak błysk noża. Ten uśmiech, ta twarz obnoszona wysoko na długiej białej szyi, prężnej łabędziej szyi medium - a zarazem istot zagubionych i potępionych.

Stoję na rogu pod czerwonymi światłami, czekam, aż ona zejdzie. Dochodzi druga nad ranem, ona kończy pracę. Stoję na Broadwayu z kwiatem w butonierce, czuję się absolutnie czysty i samotny. Prawie cały wieczór przegadaliśmy o Strindbergu, o jego bohaterce

imieniem Henrietta. Słuchałem z tak wyteżoną uwagą, że wpadłem w trans. Zupełnie jak gdybyśmy od pierwszego zdania rozpoczęli wyścig - tyle że w przeciwnych kierunkach. Henrietta! Gdy tylko padło to imię, ona natychmiast zaczęła mówić o sobie, nie tracąc z pola uwagi Henrietty. Henrietta była z nią związana długim niewidzialnym sznurkiem, który poruszała niepostrzeżenie jednym palcem niczym uliczny kuglarz, co stoi w pewnym oddaleniu od czarnej maty na chodniku i niby to nie zwraca uwagi na małą zabawkę podskakującą na macie, ale zdradzają go spazmatyczne ruchy małego palca, do którego ma przywiązaną czarną nić. Henrietta to ja, zdawała się mówić, to moja prawdziwa natura. Chciała, abym uwierzył, że Henrietta naprawdę jest wcieleniem zła. Powiedziała to tak naturalnie, tak niewinnie, z nieludzką prawie szczerością - jakże mogłem uwierzyć jej słowom? Zdobyłem się tylko na uśmiech, jakbym chciał jej pokazać, że mnie przekonała.

Nagle czuję, że się zbliża. Odwracam głowę. Tak, oto i ona, wkracza w całą swą krasie, z rozpostartymi żaglami, z płonącymi oczyma. Po raz pierwszy dostrzegam jej posturę. Zbliża się jak ptak, ludzki ptak spowity puszystym futrem. Silnik pracuje pełną parą: chce mi się krzyżeć, wydać z siebie taki ryk, że cały świat nadstawi uszu. Co za chód! To nie chód, tylko ślizg w powietrzu. Wysoka, majestatyczna, przy kości, opanowana kroczy przez ten dym, jazz i blask czerwonych światełek niczym królowa matka wszystkich upadłych cór Babilonu. Wszystko to się rozgrywa na rogu Broadwayu, naprzeciwko szaletu. Broadway to jej żywioł. To jest Broadway, to jest Nowy Jork, to jest Ameryka. Ona sama jest Ameryką na dwóch nogach, uskrzydloną i podniecającą. Jest libido, odrazą i sublimacją - z domieszką kwasu solnego, nitrogliceryny, laudanum i sproszkowanego onyksu. Ma w sobie obfitość i świetność; to Ameryka na dobre i na złe, a po obu stronach oceany. Po raz pierwszy w życiu ten kontynent spada na mnie z całą siłą, uderza między oczy. To jest Ameryka, czy są tu bizona, czy ich nie ma, Ameryka, koło szmerglowe nadziei i rozczarowania. Cokolwiek stworzyło Amerykę, stworzyło i tę dziewczynę - jej kości, krew, mięśnie, gałki oczne, chód, rytm, sylwetkę, pewność siebie, śmiałość i prężny krok. Niemal góruje nade mną, jej pełna twarz błyszczy jak wapień. Wielkie puszyste futro zsuwa jej się z ramienia. Ona nawet tego nie zauważa. Chyba nie zwróciłaby uwagi, gdyby spadło z niej całe ubranie. Niczym się nie przejmuje. To Ameryka spadająca niczym piorun na szklany magazyn gorąco krwistej hysterii. Amurrika, w futrze czy bez futra, w butach czy bez. Amurrika płatna przy dostawie. I wynocha, łajdaki, zanim was kropniemy! Nieźle mnie to rąbnęło, aż cały drzę. Coś mnie takiego ogarnia, że nie ma przed tym odwrotu. A ona idzie, prosto przed siebie, przed szklaną taflą okna. Gdyby przystanęła choć na sekundę, gdyby choć na chwilę zostawiła mnie w spokoju. Ale nie, nie daje mi ani chwili. Szybka, bezwzględna, władcza, dopada mnie jak

Fatum, jak szpada przeszywająca na wylot...

Trzyma mnie za rękę, a ściska mocno. Idę koło niej bez żadnych obaw. We mnie migoczą gwiazdy; we mnie olbrzymi nieboskłon, chociaż przed chwilą motory dudniły tam jak szalone.

Na taką chwilę można czekać całe życie. Oto siedzi przed tobą dziewczyna, której nie miałeś nadziei nigdy spotkać, rozmawia i wygląda dokładnie tak jak kobieta z twoich snów. Najdziwniejsze jednak, że nigdy przedtem nie wiedziałeś, iż o niej śniesz. Cała twoja przeszłość wydaje ci się teraz jednym wielkim snem, który poszedłby w niepamięć, gdyby nie to marzenie. Marzenie też zresztą mogłoby pójść w niepamięć, gdyby nie rola pamięci, bo ta wprowadza wspomnienie do krwi, krew zaś podobna jest oceanowi, który wymywa wszystko, a zostawia jedynie to, co nowe i bardziej konkretne od samego życia: RZECZYWISTOŚĆ.

Siedzimy w małej łoży w chińskiej restauracji po drugiej stronie ulicy. Kątem oka dostrzegam błysk świetlistych liter migających pionowo po niebie. Ona nadal rozprawia o Henriecie, a może o sobie. Jej czarny toczek, futro i torebka leżą obok niej na ławie. Co kilka minut zapala kolejnego papierosa, który sam się dopala, kiedy ona wciąż mówi i mówi. Nie ma tu początku ani końca; słowa buchają z niej jak płomień i trawią wszystko dokoła. Nie wiadomo, jak ani gdzie zaczęła. Raptem już jest w środku długiej opowieści, zupełnie nowej, choć zawsze tej samej. Jej monolog jest bezkształtny niczym sen: nie ma tu ani kolein, ani ścian, ani wyjść, ani przystanków. Odnoszę wrażenie, że tonę w głębokiej sieci słów, że z trudem wypływam na wierzch, patrzę jej w oczy i tam usiłuję znaleźć jakiś refleks znaczenia jej słów - nie znajduję jednak nic, nic prócz własnego odbicia kołyszącego się w bezdennej studni. Chociaż mówi tylko i wyłącznie o sobie, nie potrafię uchwycić wizerunku jej istoty. Wychyla się do przodu, oparta łokciami o stół, ale jej słowa mnie zalewają, przetaczają się po mnie fala za falą, i nic we mnie nie kiełkuje, nic, co umiałbym ogarnąć umysłem. Opowiada o swoim ojcu, o dziwnym życiu, jakie wiedli na skraju Lasu Sherwoodzkiego, gdzie się urodziła, przynajmniej jeszcze przed chwilą mi o tym opowiadała, bo teraz znów mówi o Henriecie, a może o Dostojewskim? - już sam nie wiem - lecz zaraz zdaję sobie sprawę, że mówi o czymś zupełnie innym, o mężczyźnie, który pewnego wieczoru odprowadził ją do domu, a kiedy stali na ganku żegnając się, ni stąd, ni zowąd sięgnął i zadarł jej sukienkę. Przerzywa na chwilę, jak gdyby chciała mnie zapewnić, że o tym właśnie ma mi ochotę opowiedzieć. Patrzę na nią ze zdumieniem. Nie mam pojęcia, skąd się w ogóle wziął ten temat. Jaki znowu mężczyzna? Co on jej mówił? Pozwalam jej mówić dalej w nadziei, że pewno do tego wróci, ale nie, znów mnie wyprzedza, bo teraz mężczyzna, ten mężczyzna, już nie żyje, popełnił samobójstwo, i chociaż ona próbuje dać mi do zrozumienia, że to był dla

niej straszliwy cios, odnoszę wrażenie, że szczyli się faktem, iż doprowadziła jakiegoś mężczyznę do samobójstwa. Do mnie jednak nie przemawia obraz tego faceta jako nieboszczyka; myślę tylko o tym, jak stał tam na ganku i zadzierał jej sukienkę, bezimienny, aczkolwiek żywy, zastygły na zawsze w akcie schylania się, żeby jej zdrzeć sukienkę. Jest też kolejny mężczyzna, tym razem jej ojciec, widzę go w stadninie koni wyścigowych, a czasem w malej karczmie pod Wiedniem; najczęściej widzę go na dachu karczmy, jak puszcza latawce dla zabicia czasu. Nie potrafię odróżnić jej ojca od mężczyzny, w którym kochała się do szaleństwa. To ktoś w jej życiu, o kim wolałaby nie mówić, ale sama wciąż do niego wraca, i chociaż nie mam pewności, czy to nie ten sam mężczyzna, który jej zadarł sukienkę, nie mam też pewności, czy to nie ten sam mężczyzna, który popełnił samobójstwo. Może to zresztą ten mężczyzna, o którym zaczęła mówić, kiedy usiedliśmy do jedzenia. Przypominam sobie, że zaczęła wtedy mówić z pewnym rozgorączkowaniem o mężczyźnie, którego właśnie zobaczyła przy wejściu do restauracji. Wymieniła nawet jego imię, ale zaraz je zapomniałem. Pamiętam tylko, jak powiedziała, że z nim żyła i że zrobił coś, co jej się nie spodobało - nie wspominając, co to takiego było - dlatego od niego odeszła, rzuciła go bez słowa wyjaśnienia. I nagle teraz, przy wejściu do chińskiej knajpki, wpadli na siebie przypadkiem, co ją wprawiło w takie drżenie, że trzęsła się jeszcze, kiedy siedzieliśmy już w łoży... Przez dłuższą chwilę czuję się bardzo nieswojo. Może każde wypowiedziane przez nią słowo jest kłamstwem! Nie takim zwykłym, o nie, gorzej, kłamstwem niewysłowionym. Ale też czasem przebija z takiej opowieści prawda, zwłaszcza kiedy się myśli, że się już nigdy danej osoby nie zobaczy. Czasem mówi się komuś obcemu coś, czego nie wyjawiliby się najserdeczniejszemu przyjacielowi. To tak jakby zasnąć na przyjęciu; człowiek tak się zaczyna zajmować sobą, że zasypia. A kiedy już się pogrąży we śnie, podejmuje z kimś rozmowę, z kimś, kto cały czas był w tym pokoju, dlatego wszystko rozumie, nawet jeżeli rozpoczyna się w środku zdania. Niewykluczone zresztą, że ta druga osoba też zasypia, albo zawsze spała, dlatego tak łatwo doszło do tego spotkania, a jeżeli nie przeszkadza ci żadnym słowem, to już wiesz, że wszystko, co mówisz, jest szczerą prawdą, że jesteś całkowicie rozbudzony i że nie ma żadnej innej rzeczywistości poza tym rozbudzeniem we śnie. Nigdy przedtem nie byłem tak rozbudzony, a zarazem tak pogrążony we śnie. Gdyby ludożerca z moich snów naprawdę rozsunał kraty i wziął mnie za rękę, przeraziłbym się na śmierć, dawno więc bym nie żył, czyli spałbym snem wiecznym, a zatem byłbym wolny, nic by mnie więcej nie dziwiło, nic nie trąciło nieprawdą, nawet gdyby się nie stało to, co się stało. To, co się stało, musiało się stać dawno temu, i to na pewno nocą. A to, co się dzieje teraz, dzieje się również dawno temu, nocą, i wcale nie jest bardziej prawdziwe niż sen o ludożercy i nie

ustępujących kratkach, tyle że kraty są teraz wyłamane, ta zaś, której się bałem, trzyma mnie za rękę, i nie ma już różnicy między tym, czego się bałem, a tym, co jest, bo przedtem spałem, teraz natomiast jestem całkiem rozbudzony we śnie, i nie ma czego się już bać ani spodziewać, ani wyglądać, tylko tego, co jest i co nie zna końca.

Chce iść. Iść... Znów te biodra, ten niebezpieczny ślizg w powietrzu jak wtedy, kiedy wybiegła z dansingu i wpadła na mnie. Znów jej słowa... - raptem, ni stąd, ni zowąd, nachylił się i zadarł mi sukienkę. - Owija sobie futro na szyi; mały czarny toczek okala jak kamea jej twarz. Okrąglą, pełną twarz ze słowiańskimi kośćmi policzkowymi. Jak mogłem coś takiego wyśnić, nigdy tego nie widząc? Skąd mogłem wiedzieć, że tak wstanie, bliska i pełna, z twarzą w pełni białą, rozkwitła jak magnolia? Cały drzę, kiedy ociera się o mnie pełnią swych ud. Wydaje mi się nieco wyższa ode mnie, chociaż nie jest. To dlatego, że tak trzyma brodę. Nie patrzy pod nogi. Stąpa po rzeczach, byle naprzód, z otwartymi szeroko oczyma, wpatrzona w przestrzeń. Bez przeszłości i bez przyszłości. Nawet terażniejszość wydaje się wątpliwa. Zupełnie jakby ją opuściła jaźń, całe ciało gna przed siebie, szyja pełna i wyprężona, biała jak twarz, pełna jak twarz. Nie milknie jej opowieść ciągnięta niskim, gardłowym głosem. Nie ma początku ani końca. Jestem świadom nie tyle czasu czy upływu czasu, ile beczasowości. Dziewczyna ma w gardle małą macicę połączoną z dużą macicą w miednicy. Taksówka stoi przy krawężniku, a ona nadal roztrząsa kosmologiczne plewy zewnętrznego ego. Podnoszę tubę i nawiązuję łączność z podwójną macicą. Halo, halo, jesteś tam? No to jazda! Jedziemy - taksówki, statki, pociągi, motorówki; plaże, pluskwy, autostrady, boczne drogi, ruiny; relikty, stary świat, nowy świat, nabrzeże, moło; kleszcze medyczne, rozbujany trapez, kanał, delta, aligatory, krokodyle, słowa, słowa i jeszcze raz słowa; następnie znów drogi i znów piasek w oczy, znów tęcze, znów ulewy, znów śniadania, znów śmietanki, znów mleczka. A kiedy wszystkie drogi już za nami, kiedy został jedynie kurz z naszych szalonych stóp, przetrwa wspomnienie twojej dużej, pełnej, tak białej twarzy i szerokich ust z rozchylonymi świeżymi wargami, kredowobiałych zębów, a każdy z nich doskonały, i w tym wspomnieniu nic się nie może zmienić, bo wszystko, tak jak twoje zęby, jest doskonałe...

Jest niedziela, pierwsza niedziela mojego nowego życia, mam na szyi psią obrozę, którą mi sama włożyłaś. Przede mną rozciąga się nowe życie. Zaczyna się od dnia wytchnienia. Leżę sobie wyciągnięty na szerokim zielonym liściu i patrzę, jak słońce wybuchu ci w macicy. Jakież to huk i hurgot! A wszystko specjalnie dla mnie, tak? Gdybyś tak miała w sobie milion słońc! Gdybym tak mógł zawsze tu leżeć rozkoszując się niebiańskimi



fajerwerkami!

Leżę zawieszony na powierzchni księżycy. Świat pogrążył się w łonowym transie: wewnętrzne i zewnętrzne ego osiągnęły równowagę. Tyłeś mi obiecała, że nawet gdybym miał nigdy z tego nie wyjść, to i tak bez znaczenia. Wydaje mi się, że upłynęło dokładnie 25.960 lat, odkąd zasnąłem w czarnym łonie seksu. Wydaje mi się, że spałem jakieś 365 lat za długo. Ale przynajmniej jestem teraz w domu, wszystko gra, i to co za mną, i to co przede mną, jest dobre. Przychodzisz do mnie jako Wenus, ale dobrze wiem, że jesteś Lilith. Całe moje życie osiągnęło równowagę; przez jeden dzień będę się upajał tym luksusem. A jutro przechylę szalę. Jutro skończy się ta równowaga; jeżeli znów ją kiedyś odnajdę, to we krwi, a nie w gwiazdach. Dobrze, że tyle mi obiecujesz. Trzeba mi obiecywać niemal wszystko, bo zbyt długo żyłem w cieniu słońca. Pragnę światła i czystości - i słonecznego ognia w trzewiach. Chcę być oszukiwany i odzierany ze złudzeń, żebym mógł dopełnić wyższego trójkąta i nie musiał wiecznie spadać z tej planety w kosmos. Wierzę we wszystko, co mi mówisz, ale też wiem, że wszystko przyjmie inny obrót. Uważam cię za gwiazdę i za pułapkę, za kamień, który przechyla szalę, za sędziego, który jest zaślepiony, za dziurę, w którą się wpada, za ścieżkę do przebycia, za krzyż i strzałę. Dotąd wędrowałem w przeciwnym kierunku niż słońce; odtąd wędruję w dwóch kierunkach, za słońcem i za księżycem. Odtąd biorę ze sobą dwie płci, dwie półkule, dwa nieba, po dwa zestawy wszystkiego. Odtąd będę dwusuwowy i dwupłciowy. Wszystko, co się zdarzy, zdarzy się po dwakroć. Będę niczym gość na tej ziemi, korzystając z jej dobrodziejstw i zaskarbiając sobie jej dary. Nie będę służył ani mnie nikt służył nie będzie. Będę szukał kresu w sobie.

Znów patrzę w słońce - swoim pierwszym prawdziwym spojrzeniem. Jest krwistoczerwone, wokół po dachach chodzą ludzie. Widzę wyraźnie wszystko, co nad horyzontem. Zupełnie jakby była niedziela wielkanocna. I śmierć, i narodziny mam już za sobą. Będę teraz żył pośród dolegliwości życia. Będę żył życiem duchowym Pigmeja, skrytym życiem małego człowieka na odludziu w buszu. Wnętrze i zewnętrznie zamieniły się miejscami. Równowaga przestała być celem - należy zniszczyć wagę. Niech usłyszę, jak mi znów obiecujesz wszystkie te słoneczne rzeczy, które w sobie nosisz. Niech uwierzę choć przez jeden dzień, odpoczywając na wolnym powietrzu, że słońce przynosi dobrą nowinę. Niech gniję w chwale, kiedy słońce wybucha ci w łonie. Wierzę ślepo we wszystkie twoje kłamstwa. Uważam cię za wcielenie diabła, za niszczycielkę duszy, za maharani nocy. Przybij swoje łono u mnie na ścianie, żebym cię zapamiętał. Musimy już iść. Jutro, jutro...

*Wrzesień, 1938 Villa Seurat, Paryż*

\*\*\*\*\*